A.W. Mykel

Dziedzictwo strachu

Przełożył ANDRZEJ SZULC

Tytuł oryginału: THE WINDCHIME LEGACY

Trzem osobom, od których śmierci zaczęło się to wszystko

Prolog

Deszcz przestał padać; samotną, skrytą w mroku postać mężczyzny otulało chłodne i ciężkie od wilgoci nocne powietrze. Bystre, bezwzględne oczy omiatały pustą ulicę. Mężczyzna wiedział, że wkrótce powinien się pojawić kurier. Od mokrych ścian domów i płyt chodnika odbijało się miękkie światło starych latarni; była typowa angielska marcowa pogoda.

Dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym znajdował się mężczyzna, od ulicy odchodziła wąska alejka, biegnąca wzdłuż bocznej ściany starego pubu Maynarda. W jej głębi, w najgęstszym mroku, stał zaparkowany samochód. Przyjechał tu całkiem niedawno. Maska była wciąż ciepła, a stygnący silnik wydawał ciche, metaliczne odgłosy. Samochód oznaczał, że łącznik jest już w pubie i czeka na kuriera. Obaj, kurier i skryty w mroku mężczyzna, przybyli po

informację, którą miał dostarczyć łącznik: jeden po to, żeby za nią zapłacić, drugi – żeby zabić.

Nagle w wiszącej w powietrzu mgiełce oczy mężczyzny dostrzegły jakiś ruch. Po paru chwilach obraz stał się wyraźniejszy. Do pubu zbliżał się kurier. Szedł równym krokiem, przyciskając do piersi sfatygowaną teczkę i rzucając na wszystkie strony niespokojne spojrzenia, żeby upewnić się, czy nikt go nie widzi. Nie zdołał jednak dojrzeć skrytego w mroku mężczyzny; nie poczuł wbitego w siebie groźnego wzroku.

Rozejrzawszy się po raz ostatni, wszedł do środka pubu.

W słabo oświetlonej Sali unosiły się kłęby dymu, zapach piwa, potu i starego tytoniu. Wypełniał ją tłum hałaśliwych klientów, podstarzałych prostytutek i pogrążonych w letargu pijaków.

Podchodząc do baru, kurier rozluźnił szalik i rozpiął guziki grubego palta. Jego oczy omiotły szybko całą salę, sprawdzając dokładnie każdą twarz. Zamówił ciemne *ale,* po czym podniósł do ust kufel i opróżnił jego zawartość kilkoma długimi łykami, nadal przyciskając mocno do piersi teczkę.

Odstawił kufel i ocierając z ust pianę spojrzał na dużego, zwalistego barmana. Ten kiwnął głową i wskazał oczyma drzwi prowadzące na zaplecze.

Kurier ruszył w tamtą stronę, otworzył drzwi i zamknął je za sobą. Kiedy szedł długim, skąpo oświetlonym korytarzem, dobiegające z pubu odgłosy wydawały mu się odległe i stłumione.

Przy końcu korytarza, dokładnie naprzeciwko siebie, znajdowało się dwoje drzwi. Otworzył te z lewej strony.

Wewnątrz panowała ciemność; przyćmione światło z korytarza prawie tu nie docierało. Kurier wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Zapaliło się światło.

Przy małym stoliku obok lampy siedział człowiek, z którym miał się spotkać. Przez chwilę obaj mężczyźni taksowali się w milczeniu wzrokiem.

Ten, który siedział przy stoliku, był niewysoki i drobny, miał skąpe siwiejące włosy. Ściągnął twarz w nieruchomą maskę i utkwił oczy w przybyszu.

- Ma pan pieniądze? – zapytał w końcu kurier, nerwowo oblizując wargi.

- Najpierw chcę mieć informację – odparł chłodno tamten.

- Najpierw pieniądze, potem informacja – upierał się kurier. Łącznik przyglądał mu się przez chwilę, a potem przesunął po stole grubą kopertę. Kurier złapał ją i otworzył. Jego palce przebiegły nerwowo po skraju banknotów, na ustach pojawił się uśmiech. Odpiął pasek teczki, wyjął z niej cienki skoroszyt i rzucił go na stół. Otworzył skoroszyt, wyjął z niego zapisane szyfrem papiery i zaczął je powoli przekładać, dokładnie przyglądając się każdej kartce. Ten szyfr został już przez jego mocodawców złamany, wiedział o tym. Kiedy skończył przerzucać papiery, wyjął malutki aparat fotograficzny, przystawił go do oka i wycelował w pierwszą kartkę.

*

Z mroku, na zewnątrz wynurzył się wysoki mężczyzna i przeszedł szybko przez ulicę. Poruszał się z kocią gracją, stawiając długie, miękkie kroki. Wszedł do pubu, omiótł szybkim spojrzeniem całą salę i ruszył prosto w stronę drzwi, za którymi przed chwilą zniknął kurier.

Barman przyjrzał mu się uważnie i zaczął zdejmować fartuch. Zanim jednak podniósł ladę, nieznajomy zniknął za drzwiami.

Stąpając cicho, pokonał szybko korytarz i zatrzymał się przed drzwiami pokoju, do którego wszedł kurier. Wyciągnął samopowtarzalny mauzer HSc, odbezpieczył go i otworzył silnym kopnięciem drzwi.

Łącznik usłyszał cichy, metaliczny trzask odbezpieczanej broni i dotknął ręką kontaktu w tej samej chwili, kiedy drzwi otworzyły się na oścież. Światło zgasło.

Kurier odwrócił się instynktownie w stronę stojącego w drzwiach mężczyzny i cisnął w niego teczką.

Tamten skoczył w bok, by nie stać w padającym z korytarza świetle. Jego mauzer wypalił dwukrotnie. Kurier runął do tyłu, wywracając stół.

Łącznik zerwał się błyskawicznie z krzesła, złapał je i rzucił tam, skąd przed chwilą błysnął ogień z lufy. Intruz stracił równowagę i oparł się o ścianę.

Drzwi z drugiej strony pokoju otworzyły się i szybko zatrzasnęły. Napastnik posłał w ich stronę kolejne dwa strzały i ruszył

do nich, ale wtedy ktoś nagle pociągnął go mocno za kołnierz i uderzył twardym narzędziem w bok głowy. Upadł na podłogę i przewrócił się szybko na bok. Mauzer wystrzelił ponownie, tym razem do barmana stojącego w drzwiach prowadzących do pubu. Dostał prosto w pierś; siła strzału wypchnęła go na korytarz.

Mężczyzna z mauzerem podniósł się na nogi i podbiegł do tylnych drzwi. Były zamknięte. Odwrócił się na pięcie, wyskoczył z pokoju i przebiegł przez korytarz i pub, którego klienci zastygli ze strachu na odgłos wystrzałów.

Kiedy wypadł na zewnątrz, wyjeżdżający z piskiem opon z bocznej alejki samochód skręcał właśnie prosto w jego stronę. Podniósł mauzera i strzelił w przednią szybę, w miejsce kierowcy. Nacisnął ponownie spust, ale broń się zacięła.

Samochód minął go i zataczając wściekłe zygzaki ruszył w dół ulicy. Po chwili wyrównał kurs, przyspieszył i zniknął w ciemnościach.

Mężczyzna zawrócił do pubu, mijając wybiegających zeń ogarniętych paniką klientów. Wszedł ponownie do pokoiku na zapleczu, wymacał leżącą na podłodze lampę i zapalił ją.

Kurier leżał płasko na plecach, z dwiema dziurami w twarzy, jedną między górną wargą a nosem, drugą na czole, tuż nad lewym okiem. Miał szeroko otwarte, puste oczy; krew z nosa i ust spływała po twarzy w stronę ucha.

Zabójca przeszukał podłogę, odnalazł skoroszyt i papiery, które stanowiły jego zawartość, a potem aparat i pieniądze.

Przeliczył kartki. Piętnaście. Miał je wszystkie.

Kopnął tylne drzwi, które otworzyły się na oścież. Na zewnątrz nie było śladu samochodu. Ale wiedział, że pocisk, który przebił przednią szybę, na pewno doszedł celu. Szkoda, że mauzer się zaciął. Łącznik nie powinien wyjść z tego żywy. Być może nie wyjdzie, jeśli pocisk był dostatecznie skuteczny. Martwiło go jednak, że misja nie zakończyła się pełnym sukcesem.

Przeszedł z powrotem przez pokój i przyjrzał się ciału barmana. Siła strzału posłała go do pokoiku naprzeciwko, na korytarzu leżały tylko nogi.

Poczuł ból od uderzenia w głowę. Dotknął bolącego miejsca i zobaczył, że ma zakrwawione palce.

Pochylił się i przez chwilę przyglądał martwej twarzy barmana. Malowało się na niej zaskoczenie. Zawrócił do pokoju i wyszedł przez wyłamane kopniakiem tylne drzwi, te same, przez które uciekł na zewnątrz łącznik. Wolał nie ryzykować ponownego przejścia przez bar.

Skręcając z alejki na ulicę, usłyszał zbliżające się zawodzenie policyjnych syren. Ale miał jeszcze trochę czasu. W oknach, które przedtem były ciemne, zobaczył zapalone światło. Kilka osób ostrożnie wyglądało na zewnątrz, uważając, żeby nie zarobić następnej kuli.

Przeszedł szybko ulicę i wsiadł na potężny motor marki BSA, który czekał na niego w tym samym miejscu, w którym go zostawił.

- Ośrodek kontrolny SENTINEL, tu Pielgrzym - powiedział i przez chwilę czekał na potwierdzenie.

BIP!

Dźwięk, jaki wydała wszczepiona płytka łącznościowa, powiedział mu, że jest w kontakcie z SENTINELEM.

- Mam informację. Kurier nie żyje, łącznik uciekł. Ale jestem pewien, że go raniłem.

- Zrozumiałem, Pielgrzym - oznajmił cichy głos. - Ile kartek odzyskałeś?

- Piętnaście... i aparat - odparł Pielgrzym. Nie było potrzeby wspominać o pieniądzach. Należały do niego.

- Znakomicie, Pielgrzym. Możesz teraz wracać do domu. Samochodem zajmie się Wydział Drugi. Dobra robota.

Dobra robota? Robota wykonana w połowie nigdy nie jest dobra, pomyślał. W głowie tego łącznika także powinno być kilka dziur. Nie zadowalała go wygrana w jednej partii - wyłącznie licytacja zamykająca.

Potężny motocykl obudził się z rykiem do życia. Przez chwilę pracował na wolnych obrotach, a potem odjechał w stronę przeciwną do tej, z której zbliżały się syreny. Motocyklista i jego pojazd po raz kolejny zanurzyli się w ciemność. W ciemność, do której należeli.

Rozdział 1

Nic nie zdarzyło się przypadkiem. Wszystko było dokładnie zaplanowane. Zabrakło nam tylko cierpliwości. W szalonym marszu naprzód zapomnieliśmy o pewnych podstawowych słabościach, które stały się ostatecznie przyczyną naszej porażki. Idea była dobra, niewłaściwa tylko okazała się jej realizacja.

Ustęp 1 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Rok później

Tego szarego marcowego dnia panowało w Moskwie dotkliwe zimno. Dymitr Czachowski stał przy oknie swego mieszczącego się w siedzibie KGB małego, skromnie urządzonego gabinetu. Wpatrywał się w pusty plac Dzierżyńskiego i rozmyślał o zbliżającej się wiośnie.

Moskwa wydawała się w zimie całkiem wymarła. Cieszył się na myśl o tym, że mrozy ustąpią wkrótce miejsca ciepłemu słońcu, że już niedługo rozkwitnie wspaniale cała natura. Ludzie znowu wyjdą na ulice, zaczną śpiewać ptaki, drzewa okryją się zielenią. Wszędzie powróci życie.

Jednak w tym roku Dymitr Czachowski nie miał oglądać na własne oczy rosyjskiej wiosny. Wybierał się do Paryża, by objąć stanowisko drugiego sekretarza sowieckiej misji we Francji. W gruncie rzeczy wolał wiosnę w Paryżu.

Każdego roku spędzał około ośmiu miesięcy w różnych misjach w Europie Zachodniej. Dla świata był po prostu jednym z wielu członków licznego sowieckiego korpusu dyplomatycznego. Ale CIA i

agencje wywiadowcze NATO wiedziały, że jest kimś o wiele ważniejszym: wysokim funkcjonariuszem Wydziału Operacyjnego Pierwszego Zarządu Kontrwywiadu KGB. To właśnie on był mózgiem zachodnioeuropejskiej sekcji.

Wydział Operacyjny koordynował działalność różnych siatek wywiadowczych KGB, wyznaczał kierowników rezydentur i selekcjonował agentów, których wysyłano za granicę. Kontrolował również łączność między tymi siatkami.

W latach bezpośrednio poprzedzających śmierć Stalina rosyjski wywiad ucierpiał znacznie wskutek wewnętrznych sporów, które omal nie doprowadziły do kompletnego paraliżu całej instytucji. Po śmierci Stalina rozgorzała ostra walka o władzę między Ławrientijem Berią a jego głównym przeciwnikiem, Malenkowem. Beria nie docenił wpływów, jakie posiadał w Armii Czerwonej jego adwersarz; został aresztowany i stracony - razem z wieloma innymi wysokimi urzędnikami odpowiedzialnymi za fatalny stan rzeczy.

Najważniejszym rezultatem tej akcji było roztoczenie przez partię komunistyczną kontroli nad siłami bezpieczeństwa, to znaczy wywiadem i tajną policją. Nigdy więcej pojedynczy człowiek nie miał wykorzystywać tych instytucji wbrew woli partii. W tym czasie odeszło w zapomnienie wielu ludzi; wielu z nich odeszło również z tego świata.

Właśnie w trakcie tego przesilenia i powrotu do normalności zauważono młodego Dymitra Czachowskiego, który dał się poznać jako energiczny lokalny przywódca Komsomołu. Pewnym osobom u

władzy tak zaimponowała jego postawa społeczna i talenty organizacyjne, że zaproszono go do Moskwy. Tam właśnie, w głównej kwaterze sowieckiego wywiadu, zaczęła się jego kariera kagebisty.

Po intensywnym szkoleniu w Karlshorst w Niemczech Wschodnich dalsze studia odbył w głównym ośrodku szkoleniowym KGB w Koczinie.

Stamtąd przeszedł bezpośrednio do Wydziału Wywiadu Zachodnioeuropejskiego, gdzie pracował pod kierunkiem niejakiego Konstantina Żadanowa, człowieka, który objął później stanowisko szefa Wydziału Naukowego KGB. Młody Czachowski okazał się wspaniałym agentem. Jego zdolności organizacyjne były wprost niewiarygodne, jeśli wziąć pod uwagę wiek i tak krótki staż. Żadanow szybko zarekomendował go swoim zwierzchnikom. Czachowski został odwołany do Moskwy, gdzie przeszedł wyższy kurs łączności i planowania operacyjnego.

Od tego momentu szybko awansował na coraz wyższe stanowiska. Każde z nich wiązało się z większą odpowiedzialnością. Odniósł w tym czasie wiele wspaniałych sukcesów, ale jednocześnie przysporzył sobie wielu wrogów.

Pod koniec lat sześćdziesiątych KGB dojrzała do kolejnej reorganizacji. Oparta ona była w dużej mierze na rekomendacjach Czachowskiego, rekomendacjach, które zatwierdzał Wydział Kadr Drugiego Zarządu, zajmujący się śledzeniem pracujących w służbie rządowej w kraju i za granicą sowieckich obywateli. Współpraca

Czachowskiego z Wydziałem Kadr układała się bardzo dobrze. Na podstawie ich oceny człowiek mógł zostać awansowany, ale mógł również zniknąć bez śladu. Działając ręka w rękę, znacznie polepszyli skuteczność działań sekcji zachodnioeuropejskiej. W trakcie czystki nie było dla Czachowskiego żadnego tabu, nie wahał się patrzeć na ręce ludziom najbardziej ustosunkowanym i wpływowym.

W swoich opiniach był bezlitosny. Brał pod uwagę wyłącznie dobro Związku Sowieckiego, nie obchodził go los pojedynczych ludzi. Czystka nie była tak ostra jak ta, która nastąpiła po śmierci Stalina, w dużej części dlatego, że reżim stracił dużo ze swej bezwzględności. Mimo to i teraz popłynęła krew. Wielu z tych, którzy ocaleli, miało wpływowych przyjaciół. Ludzie ci zapamiętali, że wszystkiemu winien jest Czachowski.

Jednym z nich był Wasilij Truszczenko. Zbyt wiele wart dla reżimu, by „wyeliminować" go całkowicie, przesunięty został na niższe stanowisko, nie pozbawiono go jednak możliwości awansu. Siedem lat później ponownie wspiął się na wysoką pozycję - w tym samym Wydziale Kadr, który go niegdyś zdegradował. Znalazłszy się tam, całą uwagę skoncentrował na Czachowskim. Czekał na okazję, kiedy będzie mógł mu wreszcie odpłacić pięknym za nadobne.

Już dwa razy wszczynał tajne dochodzenie przeciwko swojemu wrogowi. Miał nadzieję, że coś na niego znajdzie, coś, co go zniszczy. Obie próby okazały się jednak nieudane. Czachowski okazał się nie do ugryzienia - był niczym niezdobyta forteca, nie imały się go żadne ataki. Najwyraźniej nie miał słabego punktu. Ale Truszczenko był

człowiekiem cierpliwym i upartym i nie dawał za wygraną - aż w końcu odkrył w tej fortecy głęboką skazę, skazę, która powinna zagnać tamtego w jego sieci. Przed paroma dniami wszczął kolejne tajne dochodzenie. Posuwało się do przodu powoli, ale przyniosło już pierwsze zadowalające wyniki.

Spotkawszy się po raz ostatni przed wyjazdem z dyrektorem KGB, Leonidem Trawkinem, i dyrektorem Operacji Zachodnioeuropejskich, Aleksandrem Strojaninem, Czachowski wrócił do domu. Zjadł samotnie obiad, skończył się pakować i udał na spoczynek. Leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć. Rozmyślał o swojej żonie Tamarze, która umarła przed dwunastoma laty na raka, i o swoim jedynym synu Borysie, który dwa lata temu zginął w potyczce na granicy sowiecko-chińskiej. Był bez nich obojga bardzo samotny. Bardzo mu ich brakowało.

W końcu zamknął oczy i zapadł w sen, nie wiedząc, że w tej samej chwili dostarczono Truszczence informację, w wyniku której będzie zmuszony podjąć najbardziej desperacką decyzję w swoim życiu.

Kiedy nazajutrz po południu przybył do sowieckiej ambasady w Paryżu, czekała na niego zakodowana wiadomość. Znalazłszy się w zaciszu swojego apartamentu, odszyfrował ją. „Wiosna nie nadejdzie”, zawiadamiał go krótko agent o kryptonimie Szpak.

Czachowski wiedział, że to oznacza kłopoty. Kryptonim Szpak nosił jego zaufany przyjaciel w Wydziale Kadr. Truszczenko znowu dobiera mu się do skóry. Zdawał sobie sprawę, że po poprzednich

dwóch nieudanych śledztwach jego przeciwnik musiałby być głupcem, gdyby rozpoczynał trzecie, nie mając w rękawie jakiegoś asa. Wiedział, że zapis jego służby jest bez skazy; nikt niczego tam nie znajdzie. Ale głęboko pod utkanymi przez niego samego pajęczynami zapomnienia tkwiło coś, na myśl o czym przejmował go mimowolny dreszcz. Zastanawiał się, czy to rzeczywiście taka wielka zbrodnia i czy Truszczenko trafił na jej ślad. Przeczytał jeszcze raz wiadomość i pogrążył się w niewesołych rozmyślaniach.

Rozdział 2

Już w 1941 wiedzieliśmy, że czeka nas klęska; nigdy jednak nie powiedzieliśmy o tym narodowi. W ramach przygotowań powołaliśmy sekcję Niederlage. Jej zadaniem było opracowanie szczegółowych planów pozwalających zminimalizować skutki nadciągającej katastrofy. W najbardziej newralgicznych miejscach umieszczono ponad 120 000 zaopatrzonych w fałszywą tożsamość agentów. Była to największa tego typu operacja na świecie.

Ale byli wśród nas ludzie, którzy wiedzieli, że klęska będzie druzgocąca i całkowita. Powołano zatem specjalny oddział Niederlage i wydano ściśle tajną dyrektywę o absolutnym pierwszeństwie. Celem tych działań było przygotowanie planów na wypadek totalnej porażki. Klęska nie musiała być końcem wszystkiego.

Ustęp 2 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Chicago

Zegar na ścianie gabinetu odmierzał ostatnie minuty dnia pracy. Doktor Edward Bridges siedział zgarbiony za swoim eleganckim biurkiem; jego krótkie, grube palce rozerwały niecierpliwie celofanowe opakowanie taniego cygara marki White Owi. W chwilę potem rozparł się wygodnie w fotelu, puszczając w górę miękkie kłęby dymu.

Te minuty należały do niego. Drzwi gabinetu były zamknięte. Siedział tutaj sam, odcięty od świata, od wszelkich niepokojów i niewesołej rzeczywistości, pozwalając umysłowi snuć przyjemne fantazje, w których nagradzany był względami, jakich nigdy nie doświadczył jako mężczyzna. Był w tych marzeniach przystojny, silny i szczupły; i były tam kobiety, piękne kobiety...

Popiół z cygara spadł na jego ogromny brzuch. Strzepnął go, wracając zarazem do rzeczywistości. Obrócił fotel, żeby rzucić okiem na wielką, wiszącą za biurkiem metalową tablicę, na której widniał schemat organizacyjny należącego do SENTINELA oddziału Alpha. Ludziom z zewnątrz kompleks gmachów, w którym znajdował się jego gabinet, znany był pod nazwą KorporacjiAztek. W rzeczywistości kryło się w nim coś o wiele bardziej ważnego, bardziej, niż ktokolwiek był sobie w stanie wyobrazić.

Wzrok Bridgesa przesunął się ku mieszczącym się po lewej stronie tablicy przesuwanym drzwiom. WSTĘP TYLKO DLA

PERSONELU SSC-6, głosił umieszczony na nich napis. Prawo wstępu mieli tam wyłącznie pracownicy, którym w hierarchii agencji przyznano status SSC-6 i wyższy. Za tymi drzwiami mieścił się drugi gabinet doktora Edwarda Bridgesa, jego sanktuarium; tam leżały klucze do jego przyszłości - przechowywano tam grube tomy, w których zawarta była cała prawda o SENTINELU.

To on pomógł go zbudować, pomógł uczynić tym, czym stał się obecnie. Dlatego otrzymywał tak wysoką pensję i zajmował drugie co do ważności stanowisko w dziale obsługi technicznej projektu. Żył we względnym komforcie, lubił swoją pracę i był jednym z najlepszych specjalistów w swojej dziedzinie. Mimo to nie był człowiekiem szczęśliwym.

Miał ogromną nadwagę, łysiał i stawał się coraz brzydszy. W wieku trzydziestu ośmiu lat był nadal kawalerem i nic nie zapowiadało zmiany tego stanu rzeczy. Nie miał u kobiet żadnych szans i dobrze o tym wiedział. Odbijał to sobie w pracy. Kiedy pracował, jego brzydota nie miała znaczenia; nie odczuwał też samotności. Czuł się wtedy naprawdę ważny, ważniejszy od przystojniaków, obdarzonych tymi wszystkimi cechami, których on był pozbawiony, wszystkimi oprócz jego inteligencji. Jedno tylko nie dawało mu spokoju: to, że ominęły go zaszczyty i zasługi, na które w pełni zasługiwał jako główny autor oszałamiającego sukcesu SENTINELA. Zgarnęła je wszystkie Elizabeth Ryerson.

Przeklęta dziwka, pomyślał. Na pewno chciałaby, żeby odszedł. Ale wtedy szybko uprzytomniliby sobie, jak ważną odgrywał w

istocie rolę, jak bardzo go potrzebują. Zorientowaliby się, kto stał za wszystkimi sukcesami Elizabeth Ryerson, kto sprawił, że mogła, się popisywać przed grubymi szychami.

Bridges zdecydowanie przeceniał swoje możliwości. Nikt nie zaprzeczał, że był informatycznym geniuszem, daleko mu jednak było do Elizabeth Ryerson. Potrafił szybko opanować każdy system i poznać dogłębnie jego skomplikowaną strukturę, ale brakowało mu bardzo ważnej rzeczy - wyobraźni. Podobny był do malarza, który potrafi skopiować największe arcydzieła, lecz nigdy nie stworzy własnego. Mylił dar szybkiego opanowania danego systemu z talentem, który pozwala na jego skonstruowanie. Głęboko wierzył, że potrafiłby zrobić wszystko sam, gdyby tylko jemu pierwszemu wpadł do głowy odpowiedni pomysł.

Żując wściekle gumę, ponownie wrócił do rzeczywistości. Trochę go to wszystko podnieciło i musiał się uspokoić. Przypomniał sobie swój plan i po raz kolejny poczuł nerwowy skurcz żołądka. Pozostało tylko podjąć ostateczną decyzję. Nie gnębiło go w związku z tym żadne poczucie winy, nie czuł się także w najmniejszym stopniu zobowiązany wobec swoich pracodawców. Okazany mu przez nich brak uznania w pełni usprawiedliwiał jego zamiary. Skoro oni nie docenili jego talentu, zrobi to ktoś inny.

Zgasił cygaro i wyrwał kartkę z notatnika. Przez chwilę przyglądał się nazwisku, które nieświadomie nagryzmolił na papierze. Carson Ross.

Ross był pieprzonym gnojkiem, ale właśnie dzięki niemu mógł wcielić w życie swój plan. Podarł kartkę na drobne kawałki, wyrzucił je do kosza i zerknął na wiszący na ścianie zegar. 5:25. Przez ponad pół godziny był pogrążony w rozmyślaniach. Czas wracać do domu.

Wstał z fotela, okrążył biurko i podszedł do ciemnego, drewnianego wieszaka. Włożył marynarkę, a potem podobny do namiotu płaszcz. Otworzył drzwi, obrócił się i omiótł długim spojrzeniem swój gabinet, jakby oglądał go po raz ostatni.

Przez chwilę zastanawiał się, co będzie czuł, kiedy rzeczywiście nadejdzie ten ostatni dzień. Po siedmiu latach zostanie mu tylko kilka sekund, żeby wszystko zapamiętać, żeby na zawsze utrwalić pod powiekami ten obraz.

Na zawsze.

Ale na zawsze odchodzi się tylko w bajkach. Zgasił światło i wyszedł z gabinetu.

*

Na cały pomysł wpadł przez czysty przypadek. Poddając SENTINELA rutynowym testom, kazał mu podać nazwiska domniemanych sowieckich agentów, będących członkami towarzystw i organizacji, których listę załączył. Na liście znalazł się także Uptown Games Club, którego sam był członkiem. Na ekranie pojawiło się nazwisko Carsona Rossa.

Bridges znał Rossa z widzenia i wiedział, że niechętnie płaci swoje karciane długi. Dotarły do niego także inne plotki, w tym również te o biseksualizmie. Tajemnicą poliszynela było, że Ross żył

z pokaźnej pensji, którą wypłacał mu ojciec, jeden z właścicieli klubu. W młodości wysłano go do najlepszych szkół w Europie, ale w żadnej z nich nie udało mu się zagrzać dłużej miejsca i nie wiadomo było, czy którąkolwiek z nich w ogóle ukończył. Jeżeli nawet otrzymał jakiś dyplom, nigdy się nim nie chwalił. Życie traktował jak jeden wielki płatny urlop, a klub stał się ważnym elementem jego życia. Odwiedzał go bardzo często, mając nadzieję, że uzupełni tu otrzymywaną od ojca pensję, która nigdy mu jakoś nie wystarczała. Tam właśnie zastawił na niego sidła Bridges – przy stole gry w tryktraka.

Większość stałych członków klubu nie chciała grać z Rossem z powodu jego długów. Choć uważał się za bardzo dobrego gracza, w rzeczywistości grał słabo i na ogół przegrywał. Czasami wystawiał czeki bez pokrycia, które później spłacał ojciec. Tylko jego wpływom zawdzięczał, że nie udzielono mu dotąd twardej lekcji.

Strategia Bridgesa była prosta. Na początku pokonać Rossa, żeby tamten podniósł stawkę, a potem pozwolić mu wysoko wygrać. Dla doktora była to dość skromna inwestycja. Jedno było pewne – dopóki dawał się ogrywać, Ross chętnie spędzał w jego towarzystwie każdą wolną chwilę. Bridges wykorzystał ten czas, jak mógł najlepiej; podczas długich, suto zakrapianych wieczorów, które następowały po partyjkach tryktraka, udało mu się obudzić w tamtym zainteresowanie. Ross z radością przejmował na siebie obowiązki fundatora – w końcu robił to za pieniądze dopiero co wygrane od Bridgesa. Ale potem, po kilku spotkaniach, skłonny był zainwestować również własne fundusze po to, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o charakterze pracy

swojego partnera. Szybko zdał sobie sprawę, że Bridges ma dostęp do tajnych informacji – z tego, co mówił, wynikało, że zajmuje się systemami komputerowymi pracującymi dla potrzeb różnych amerykańskich agencji wywiadowczych. Doktor nie zdradzał na razie nic więcej, z wyjątkiem tego, że nie czuje się w pracy szczęśliwy.

Mały, chciwy móżdżek Rossa natychmiast uświadomił sobie tkwiące w tej sytuacji możliwości. Jeśli to, co opowiadał Bridges, było prawdą, mógł wyciągnąć z niego o wiele więcej niż to, co osiągał przy zielonym stoliku.

Bridges otworzył drzwi klubu, oddał płaszcz w szatni i wszedł na salę. Ich spotkania zawsze przebiegały tak samo, stały się czymś w rodzaju rytuału. Po krótkiej rozmowie zamawiali jeden albo dwa drinki, grali w tryktraka, a potem upijali się do nieprzytomności. Tego wieczoru miało to wyglądać trochę inaczej. Ross przyszedł z ustalonym planem.

Bridges zobaczył go, siedzącego przy tym samym co zwykle stoliku w rogu Sali. Ross był wysokim, przystojnym blondynem o zaborczej, prymitywnej osobowości. Łatwo było powziąć do niego antypatię i Bridgesowi nie sprawiło to większych trudności.

Ross podniósł wzrok, spoglądając na przysiadającego się do niego doktora.

- Kogo tu widzimy? Oto nasz szczęśliwy przegrany – stwierdził, krzywiąc wargi w sztucznym uśmiechu.

- Gówno prawda – mruknął Bridges. – Dziś wieczorem nie przegrywam. Dziś wieczorem puszczę cię w samych skarpetkach.

- Zobaczymy jeszcze, kto kogo puści w skarpetkach.

Ross ściągnął na siebie uwagę kelnerki. Dopóki nie podeszła, żeby przyjąć zamówienia, dwaj mężczyźni siedzieli w milczeniu.

- Dla mnie Jack Daniels z wodą sodową – powiedział Ross i spojrzał na Bridgesa, czekając, co wybierze.

- Johnnie Walker z czarną nalepką. Z lodem.

Kelnerka zapisała zamówienia i kręcąc pośladkami ruszyła w stronę baru.

- Jak ci się podoba ta sztuka? – zapytał Ross, wskazując ruchem głowy dziewczynę.

- Ładne cycki – przyznał Bridges, nie odrywając oczu od rozbujanych pośladków kelnerki.

- I niezła dupa – dodał Ross. – Przeleciałem ją kilka miesięcy temu, kiedy przyjęliśmy ją do klubu. Jęczała jak nawiedzona. Można ją ładować przez całą noc.

Brigdes uśmiechnął się słabo. Naprawdę nie znosił tego sukinsyna. Spojrzał jeszcze raz na kelnerkę, zastanawiając się, jak taka przystojna dziewczyna mogła położyć się do łóżka z takim gnojkiem. Prawdopodobnie wziął ją na gadkę o ojcu, który jest właścicielem klubu.

- Jadłeś już kolację? – zapytał Ross.

- Nie. Miałem zamiar coś przekąsić tutaj, w klubie.

- Jesz świństwa, które tu serwują? – zdziwił się Ross.

- Dlaczego nie? Jedzenie wcale nie jest takie złe – odparł Bridges.

- Może i nie, ale przyrządzają je czarnuchy. Często tutaj jadasz?

- Nie, tylko kiedy przychodzę pograć.

- No tak, nic dziwnego, że przegrywasz… Może zjesz dzisiaj razem ze mną u Kinziego? Co ty na to? Ja stawiam – zaproponował Ross. – Mam zarezerwowany stolik. Dobra kolacja może odmienić dziś wieczór twoje szczęście.

- U Kinziego? To brzmi zachęcająco. Przyjmuję zaproszenie. Pierwsza część planu Rossa została zrealizowana.

Jego łącznik, Dzwonnik, polecił mu wysondować, czy niezadowolenie Bridgesa jest rzeczywiście prawdziwe i czy skłonny byłby pracować dla bardziej hojnych mocodawców. Całą sprawę przyjęto w Moskwie z najwyższym zainteresowaniem. Wstępny raport Dzwonnika wylądował na biurku Andrieja Ulewa, szefa sekcji północnoamerykańskiej. Po godzinie przekazano go dyrektorowi KGB, Leonidowi Trawkinowi. Nieczęsto pojawiają się z dnia na dzień tak obiecujące możliwości, zwłaszcza kiedy pierwszy sygnał pochodzi, jak w tym przypadku, od podrzędnego informatora. Jeśli informacja okaże się prawdziwa, korzyści mogą być niewyobrażalne. Zarówno doktora Edwarda Bridgesa, jak i Carsona Rossa óbjdtó dochodzeniem III stopnia. Po czterdziestu ośmiu godzinachzgromadzono dosyć danych, by przyjąć, że Bridges jest tym, za kogo się podaje – potwierdzała to cała jego przeszłość.

Przesłano instrukcje Dzwonnikowi, który przekazał je Rossowi, posłużywszy się ustaloną wcześniej skrzynką kontaktową w Instytucie Sztuki przy Michigan Avenue. Oprócz instrukcji Ross otrzymał

pięćset dolarów na pokrycie niezbędnych wydatków. Gdyby powziął podejrzenia co do szczerości Bridgesa, miał spróbować go skompromitować i w ten sposób zmusić do współpracy. Całą sprawę ułatwiał jego biseksualizm. Dzwonnik miał obserwować spotkanie, żeby pomóc ocenić, czy trzeba będzie posłużyć się szantażem.

Kelnerka wróciła z drinkami. Ross posłał jej znaczące mrugnięcie. Zignorowała je i postawiła szklanki na małych serwetkach z wytłoczonym godłem klubu.

Bridges zauważył na jej twarzy wyraz lekkiego niesmaku. Przez chwilę patrzył na nią zachłannie, wyobrażając sobie, jak leży pod nim, zarzuciwszy mu nogi na ramiona, jęcząc i wzdychając przy każdym jego ruchu.

Godzinę później kelner prowadził ich do stolika u Kinziego. Zamówili drinki i przez chwilę rozmawiali, starannie unikając interesujących obie strony tematów. Po wypiciu drugiej kolejki podeszli do grilla. Wybrali sobie wyłożone na specjalnej ladzie steki, po czym podeszli do stołu z sałatkami i z napełnionymi talerzami wrócili do stolika.

Bridges pochłaniał z apetytem swoją sałatkę, podczas gdy jego towarzysz nerwowo bawił się widelcem. Wyraźnie widoczny niepokój Rossa upewnił naukowca, że podczas tego wieczoru wydarzy się coś ważnego.

- Ed… – zaczął w końcu tamten. – Wspominałeś kiedyś, że ta praca nie daje ci satysfakcji. Dlaczego jej w takim razie nie rzucisz? – zapytał.

Bridges podniósł wzrok, przeżuwając powoli jedzenie.

- Źle mnie zrozumiałeś, Carson – powiedział i przerwał, żeby przyjrzeć się reakcji swego klubowego partnera od kart. Odnotował nagłą zmianę wyrazu jego twarzy.

Żołądek podszedł Rossowi do gardła. Być może skontaktował się z Dzwonnikiem przedwcześnie.

- Nie chodzi o to, że nie znajduję satysfakcji w pracy – zaczął wyjaśniać Bridges. – Tak naprawdę to bardzo ją lubię. Chodzi raczej o samo miejsce, a może, dokładnie rzecz biorąc, o ludzi. Jestem w swojej dziedzinie bardzo dobrym specjalistą, lubię pracować z komputerami, robić rzeczy, które potrafi tylko kilka osób na całym świecie. Ale nie spotykam się tam z należnym uznaniem. Jestem zawsze drugi. Tymczasem to moja praca umożliwiła powstanie całego programu. Ale te sukinsyny zawsze patrzą na spód kartki, rozumiesz? A tam nie ma mojego podpisu, więc dla nich cały splendor spada na tego pierwszego. Szlag może człowieka trafić, kiedy to widzi i wie, że nigdy nie posunie się dalej. Znalazłem się w ślepej uliczce. Wiem, że jestem zbyt dobry, żeby tak się marnować.

- Dlaczego nie możesz zacząć po prostu pracować gdzie indziej? – zapytał Ross.

- To nie takie proste – odparł Bridges potrząsając głową. – To, co robię, jest ściśle tajne. Tkwię w samym sercu wszystkich programów. Nigdy nie pozwolą mi odejść.

- Owszem, pozwoliliby, gdybyś obiecał, że zachowasz to wszystko w tajemnicy. Jakim prawem mogliby ci zabronić?

Bridges przyjrzał się Rossowi zmrużonymi oczyma.

- Kiedy przyjmowałem tę pracę, wiedziałem, co jest grane. Dali mi to bardzo jasno do zrozumienia już na samym początku. Nie mam żadnego wyboru, muszę zostać tam, gdzie jestem.

Ross potrząsnął głową, udając zdziwienie.

- Nie potrafię sobie wyobrazić niczego aż tak ważnego – powiedział.

- Potrafiłbyś, gdybyś wiedział, co to za system – rzucił Bridges. – Ten komputer jest tak zaawansowany, że nawet gdybym odsłonił ci rąbek tajemnicy, nie uwierzyłbyś w połowę tego, co potrafi. Powiedziałbyś, że zmyślam.

- Daj spokój – zaprotestował Ross. – Nie wierzę, żeby istniał komputer, który potrafiłby zrobić coś, czego nie zrobiłby inny. Mamy dzisiaj przecież całą masę supernowoczesnych komputerów. Co sprawia, że ten jest taki wyjątkowy?

- Mógłbym ci na to odpowiedzieć jednym słowem, Carson. Wtedy byś zrozumiał.

- Więc odpowiedz.

Bridges potrząsnął z uśmiechem głową.

- Tego właśnie mi nie wolno, przyjacielu. Obawiam się, że nigdy nie będę mógł ci tego powiedzieć.

Na twarzy Rossa odmalowało się wyraźne rozczarowanie.

- Tyle mi już powiedziałeś, a teraz chcesz, żebym się gubił w domysłach? – zapytał z niedowierzaniem.

Bridges tylko się uśmiechnął. Do ich stolika zbliżyła się kelnerka z dwoma wspaniale wyglądającymi stekami, jednak żaden z mężczyzn nie wydawał się zainteresowany jedzeniem. Kiedy odeszła, spróbowali bez przekonania mięsa.

- A gdybyś znalazł kogoś innego, dla kogo mógłbyś pracować? – zapytał Ross, przerywając milczenie. – Innymi słowy, co byś powiedział, gdyby znalazł się nagle ktoś, kto zaproponuje ci pracę, w której mógłbyś robić to, co dotychczas, i grać jednocześnie pierwsze skrzypce? Bridges roześmiał się.

- Gdzie? Powiedziałem ci już, ta praca jest ściśle tajna. Nie ma takiej możliwości, Carson. Nigdy nie pozwolą mi odejść.

- A gdyby to jednak okazało się możliwe? – nalegał Ross. – Gdyby pozwolili ci odejść? Czy zgodziłbyś się pracować dla kogoś innego?

- Gdyby pozwolili mi odejść i znalazłoby się miejsce, w którym mógłbym wykorzystać swoją wiedzę i grać pierwsze skrzypce, wtedy tak, chyba tak. Ale to się nigdy nie zdarzy, przyjacielu – odparł Bridges.

- Nigdy nie mów „nigdy”. Nie możesz wiedzieć, co przyniesie przyszłość – odparł Ross. – Jaką stawkę dzisiaj proponujesz? – zapytał, zmieniając temat. Dowiedział się już tego, co chciał wiedzieć.

- Dziesięć dolców punkt? – zaproponował Bridges.

- Zgoda.

*

Po dwudziestu czterech godzinach zapis ich rozmowy wylądował na biurku Ulewa. Ross co do joty wykonał swoje zadanie. Według obserwującego spotkanie Dzwonnika szantaż nie był konieczny.

Ulew długo przewracał papiery na biurku, wielokrotnie je czytając. Potem podniósł słuchawkę telefonu i polecił objąć doktora Edwarda Bridgesa dochodzeniem I stopnia - nie powinien zostać pominięty ani jeden fakt z jego życia. Musieli dowiedzieć się o tym człowieku wszystkiego, co tylko możliwe.

Zabrał z biurka papiery i ruszył z nimi do Leonida Trawkina. Cała operacja musi zostać potraktowana z wyjątkową uwagą. Wartość informacji Bridgesa wydawała się obecnie jeszcze bardziej obiecująca niż na, początku. Leonid Trawkin powinien być w najwyższym stopniu usatysfakcjonowany.

Rozdział 3

Czym jest historia, jeśli nie dziejami ciągłych wojen, pisanymi post factum przez zwycięzców? Z niewzruszoną pewnością siebie ogłaszają oni nieunikniony triumf nad silami zła. A przecież dobro i zlo są w historii rzeczą względną. Rola diabla jest ceną, jaką płaci się za klęskę. I tak powinno być, bowiem zwyciężeni są słabi, a świat należy do silnych.

Zwycięzcy zasiadają w sądzie, który potępia zwyciężonych; zwyciężeni stają się wojennymi zbrodniarzami. Odpowiadają przed

ustanowionym przez zwycięzców wymiarem „sprawiedliwości"; giną na szubienicach zbudowanych rękoma ludzi, po których stronie stanął Bóg, rękoma, które popełniły te same czyny, za które nas wieszano. Gdybyśmy zwyciężyli, to oni zawiśliby na naszych szubienicach. Zapomnijmy o tym, co dzieje się podczas wojny. Wojna jest straszna dla obu stron. Wszyscy zabijają się wzajemnie, a umarli nie czują bólu.

Ustęp 5 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Sytuacja w Moskwie nadal była niewyraźna. Szpak nie potrafił dowiedzieć się niczego konkretnego o wszczętym przez Truszczenkę śledztwie. Nie było żadnych przecieków; wszystko odbywało się w najgłębszej tajemnicy. Wiedział tylko, że ludzie Truszczenki są na tropie jakichś tajemniczych faktów. Wkrótce powinno się okazać, jakich.

Czachowski coraz bardziej skłaniał się do przekonania, że jego podejrzenia były słuszne i Truszczenko odkrył to, czego się obawiał. Jeśli tak rzeczywiście było, niewiele miał na swoją obronę. Nie popełnił co prawda żadnej poważnej zbrodni przeciwko państwu, ale jego wina była na swój sposób o wiele trudniejsza do wybaczenia.

Całe szczęście, że był teraz w Paryżu. Znał to miasto najlepiej ze wszystkich zachodnioeuropejskich stolic. Gdyby przebywał w Moskwie, szanse ucieczki byłyby nieporównanie mniejsze. Spodziewając się najgorszego, zaczął układać plan akcji.

*

W Moskwie Truszczenko pracował do późna w nocy w swoim gabinecie. Szykował się właśnie do wyjścia, kiedy zadzwonił telefon.

Telefonował jego podwładny, człowiek, który prowadził śledztwo. Poinformował go, że odkryto miejsce zamieszkania liii Bodonowa i roztoczono nad nim obserwację. Bodonow mieszkał w Kijowie razem ze swoją niezamężną siostrą. Na wieść o tym puls Truszczenki wyraźnie podskoczył. Wiedział, że tylko ten człowiek może naprowadzić go na trop zbrodni popełnionych przez Czachowskiego. Kiedy będzie miał w swoich rękach Bodonowa, złamie go i zmusi do złożenia pełnych, obciążających Czachowskiego zeznań. I wtedy nareszcie zniszczy tego sukinsyna.

- Zgarnijcie go – warknął do telefonu. – Zróbcie to dziś w nocy, kiedy wszyscy śpią. Chcę, żeby to stało się szybko. Nikt nie powinien się dowiedzieć o jego aresztowaniu.

- Co zrobić z dziewczyną? – zapytał jego podwładny. Truszczenko przez chwilę się zastanawiał.

- Ją także zgarnijcie – powiedział w końcu. – Może się nam przydać przy składaniu zeznań. Ale zróbcie to tak, by Bodonow nie domyślił się, że ją też zabieracie.

Odłożył słuchawkę i rozparł się wygodnie w fotelu. Przez chwilę siedział nieruchomo, a potem obrócił fotel i wlepił oczy w czarne niebo za oknem. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Już niedługo, drogi Dmitriju Czachowski. Już niedługo… – powiedział cicho.

*

Dochodziła druga w nocy; Kijów pogrążony był w ciszy i mroku. Słychać było tylko szum mroźnego marcowego wiatru. Pod drzwi budynku, w którym mieszkał ze swoją siostrą Bodonow, zajechały dwie duże czarne wołgi. Trzecia zatrzymała się jakieś trzysta metrów z tyłu, kryjąc się w cieniu przed światłem księżyca.

Z pierwszego samochodu wysiadło czterech mężczyzn, z drugiego trzech. Chcąc uniknąć wszelkiego hałasu, zostawili nie domknięte drzwiczki.

Niczym kserokopie tego samego oryginału, siedmiu ubranych w ciemne długie płaszcze mężczyzn wspięło się po schodkach prowadzących do wejścia. Nic nie zakłócało ciszy; wszyscy mieszkańcy pogrążeni byli we śnie. Jeden z mężczyzn pozostał na straży przy drzwiach wejściowych, wewnątrz budynku. Dwaj następni stanęli kolejno na podeście pierwszego i drugiego piętra. Pozostała czwórka ruszyła korytarzem drugiego piętra w stronę mieszkania Bodonowa.

Nocne aresztowania należą w Rosji do częstej praktyki. Dają one tajnej policji zarówno fizyczną, jak i psychologiczną przewagę. Sterroryzowani i przerażeni ludzie nie stawiają większego oporu. Są wewnętrznie nie przygotowani na przemoc i słabsi od policjantów. Sam podejrzany, zaspany i wyciągnięty z ciepłego, bezpiecznego łóżka, nie ma pojęcia, co się z nim dzieje. Sąsiedzi i mieszkańcy okolicznych bloków często w ogóle nie wiedzą, co się stało.

Agenci zajęli rutynowe pozycje przy drzwiach; jeden z nich wyjął z kieszeni klucz. Dorobiono go i sprawdzono wcześniej tego samego dnia, kiedy mieszkanie było puste. Mężczyzna włożył go powoli w zamek, przekręcił i otworzył drzwi. Cicho wślizgnęli się do środka małej kawalerki, minęli przedpokój i podeszli do podwójnego łóżka.

Zapaliła się stojąca na nocnym stoliku lampka. Bodonow obudził się i chciał wyskoczyć z pościeli, ale złapali go i ściągnęli nagiego z łóżka. Zanim zdążył krzyknąć, jeden z mężczyzn uderzył go w twarz potężną, grubą jak szynka pięścią. W ślad za pięścią dosięgnął go ciężki, podkuty but. Kopnięty w brzuch, a potem w nerki, upadł, zwijając się z bólu, na podłogę.

Zaskoczona i przestraszona siostra Bodonowa usiadła na łóżku. Ściągnięty przez któregoś z mężczyzn koc odsłonił jej nagie ciało. Była piękna i młoda; miała duże mlecznobiałe piersi i jedwabiście gładką skórę. Jeden z intruzów wycelował w nią pistolet i zakazał się ruszać. Posłuchała go; z oczu zaczęły jej płynąć łzy.

Przywódca grupy złapał ją za długie czarne włosy i ściągnął z łóżka na podłogę, a potem gwałtownie szarpnął do góry. Kiedy jęknęła z bólu, pchnął ją mocno na ścianę.

- Ty jesteś siostrą tego człowieka? - zapytał surowym, władczym głosem.

- Tak... tak - odparła, z trudem łapiąc oddech. Przyjrzał się jej ciału.

- Zawsze śpisz nago ze swoim bratem? - zapytał.

Nie odpowiedziała. Była przerażona i nie potrafiła zebrać myśli. Spoglądała w czarne, przepełnione sadyzmem oczy, przekonana, że zaraz straci życie.

Mężczyzna złapał ją za pierś i boleśnie wykręcił.

- Zawsze śpisz z bratem w ten sposób? - zapytał ponownie. Dziewczyna powtórnie jęknęła i stanęła na palcach, próbując złagodzić uścisk. Nadal nie odzywała się ani słowem.

Mężczyzna złapał drugą ręką jej twarz i obrócił ją tak, że patrzyli sobie prosto w oczy.

- Twoje milczenie stanowi najlepszą odpowiedź - powiedział. Puścił jej pierś i odwrócił się do Bodonowa.

Dwaj agenci trzymali go klęczącego na podłodze. Jeden z nich ciągnął go do tyłu za włosy, tak że spoglądał prosto w sufit.

Kierujący grupą podszedł bliżej i przyjrzał się uważnie twarzy klęczącego mężczyzny.

- Nazywasz się Ilia Bodonow - powiedział. Było to stwierdzenie faktu, nie pytanie.

Bodonow wpatrywał się bez słowa w ponure oczy agenta. Wciąż próbował zrozumieć, co się dzieje.

- Jesteś aresztowany za zbrodnie przeciwko państwu - powiedział krótko tamten.

- Jakie zbrodnie? Nie zrobiłem nic złe... - ostatnie słowa utkwiły Bodonowowi w gardle. Jeden z intruzów po raz kolejny szarpnął go gwałtownie za włosy. Ból w wygiętych do tyłu plecach był prawie nie do zniesienia.

- Zabieramy cię na przesłuchanie. Wstawaj i ubieraj się. Masz dziesięć minut.

Szarpnięty do góry, poderwał się na nogi, wciąż czując dotkliwy ból tam, gdzie dosięgły go kopniaki.

- Pomóż mu - powiedział dowódca, zwracając się do dziewczyny. - Szybko. Zaraz wychodzimy - dodał, popędzając ją gestem ręki.

Podbiegła do brata i pomogła mu się wyprostować. Był najwyraźniej otępiały z bólu. Podprowadziła go do komody, o którą się oparł. Szybko podała mu ubranie, po czym ruszyła po torbę, żeby włożyć do niej dodatkową garderobę.

Jeden z mężczyzn zatrzymał ją.

- Idę po jego torbę. Będzie potrzebował rzeczy na zmianę - wyjaśniła. - Czy to zabronione?

Dowódca kiwnął głową i dał ręką znak, żeby przeszła. Złapała torbę i próbowała zebrać myśli. Czego będzie potrzebował? Co wolno mu zabrać?

- Pospiesz się! Za długo to trwa - krzyknął kierujący grupą mężczyzna.

Popędzana, nie zwracała uwagi na własną nagość. Zaczęła wrzucać do torby ubranie. Sweter, spodnie, trochę bielizny, skarpety i robocze buty. Rozejrzała się nerwowo po pokoju, a potem przeszła do łazienki i wrzuciła do torby ręcznik i mydło. Sięgnęła po miseczkę do golenia i pędzel, ale człowiek z pistoletem powstrzymał ją.

- Nie wolno zabierać przyborów do golenia - powiedział, przewiercając ją oczyma.

Rozejrzała się ponownie wokół siebie i dostrzegła leżący na podłodze koc. Podniosła go, zwinęła i wepchnęła do torby. Potem wyjęła z szafki bochenek razowca i wsunęła w ślad za kocem. Ledwie się zmieścił. Zamknęła torbę i zatrzasnęła zamek.

- Minęło dziesięć minut. Musimy iść - warknął dowódca. Bodonow skończył się ubierać. Założył na siebie gruby sweter, spodnie, ciepłe skarpety i wysokie buty. Spojrzał na siostrę.

Podbiegła do niego przez pokój, zarzuciła mu ręce na szyję i mocno pocałowała.

- Musimy już iść! - wrzasnął dowódca. Złapał ją za ramię i szarpnął do tyłu. Rozpaczliwie czepiała się brata, szlochając głośno i nie odrywając od niego wzroku. Bodonow milczał. W jego spojrzeniu zawarte było wszystko, nie trzeba było dodawać ani jednego słowa. Już po mnie, mówiły jego oczy.

Dowódca wrzasnął ponownie, ale dziewczyna nie zwracała na niego uwagi. Złapał ją brutalnie za pierś i wykręcił, pociągając jednocześnie za włosy. Kiedy upadła na podłogę, kopnął ją w pośladek. Leżała nieruchomo, nie przestając szlochać. Mężczyźni wyszli, zatrzaskując drzwi i zabierając ze sobą jej brata. Obróciła się i wlepiła oczy w drzwi, nie mogąc zrozumieć, co właściwie się wydarzyło. Wszystko stało się tak nagle.

Dla liii Bodonowa był to również straszliwy wstrząs. W ciągu tych paru chwil, kiedy usłyszał słowa Jesteś aresztowany", zawalił się

cały jego świat. Za zatrzaśniętymi drzwiami mieszkania zostawił swoje życie. Po raz ostatni schodził schodami swojego bloku.

Po chwili siedzieli już w wołdze, dowódca z przodu, Bodonow z tyłu, między dwoma agentami. Drugi samochód ruszył w ślad za nimi. Ulice były nadal pogrążone w mroku i ciszy; paliło się tylko światło w oknie Bodonowa. Było niczym żegnająca go morska latarnia.

Za rogiem dowódca odsunął szybę i wyrzucił torbę Bodonowa na ulicę. Obrócił się i spojrzał więźniowi prosto w oczy.

- Nie będziesz już jej potrzebował т-» powiedział.

Kiedy dwa pierwsze samochody zniknęły w ciemnościach, pod blok zajechał trzeci. Wysiadło z niego i podeszło do drzwi wejściowych czterech kolejnych mężczyzn w ciemnych płaszczach.

Przyjechali po dziewczynę.

Rozdział 4

Wszystko zaczęło się w Niemczech, sponiewieranych duchowo i zniszczonych po pierwszej wojnie światowej. Kraj był nękany przez inflację i bezrobocie. Był to czas rozpaczy, gospodarczej ruiny i niewiary w rząd, który dopuścił się zdrady narodu. W powietrzu wisiała groźba krwawej rewolucji. Ludzie pełni byli desperacji, nienawiści i gniewu.

Nadszedł czas siewu. Brakowało tylko ziarna i przywódcy.

Ustęp 6 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Od długich godzin spędzonych przy biurku bolały go oczy. Odchylił się do tyłu w fotelu i tarł je pięściami, próbując odpędzić zmęczenie. Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin bez przerwy tłumaczył i odszyfrowywał odkryty przez siebie tekst. Teraz praca była skończona.

Odsunął fotel od zawalonego papierami biurka i podszedł do biblioteki, która zajmowała całą najdłuższą ścianę gabinetu. Trzymając w ręku książkę, przebiegł oczyma po grzbietach stojących na półkach tomów. Gdyby coś mu się przytrafiło, tam zawarta była cała tajemnica, bezpiecznie ukryta. A mógł się śmiało założyć, że coś mu się przytrafi, i to całkiem niedługo. Odkryty tekst sprawił, że stał się niebezpieczny. Wiedział o tym i wiedział, co go czeka. Dlatego właśnie wykorzystał czas, który mu pozostał, żeby ukryć treść dziennika w należących do biblioteki tomach. Teraz, kiedy informacja była bezpieczna, a oryginał palił się w kominku, mógł skoncentrować się na tym, jak przeżyć. Do ich przyjścia zostało mu, jak sądził, jeszcze parę dni. Postawił ostatnią książkę na właściwym miejscu na półce.

Poczuł nagły skurcz kiszek. Od czasu kiedy dokonał swego odkrycia i zdał sobie sprawę z jego złowrogiego znaczenia, stale prześladowała go biegunka. Ból stawał się coraz ostrzejszy. Ruszył szybko do mieszczącej się po prawej stronie gabinetu toalety.

Tak się spieszył, że nie zdążył włączyć oświetlenia. Spod drzwi biegła tylko smuga światła z gabinetu, gdzie paliła się jarzeniówka.

Siedział chwilę w półmroku, a potem sięgnął ręką za siebie i pociągnął za uchwyt.

Kiedy przebrzmiał szum spuszczanej wody, jego oczy dostrzegły nagle cień, który przesunął się po biegnącej spod drzwi smudze światła. Ktoś był w gabinecie - ktoś, kto bez wątpienia słyszał dochodzący z łazienki hałas i wiedział, gdzie szukać gospodarza.

Instynktownie sięgnął dłonią pod lewą pachę, ale nie było tam waltera. Nie zakładał kabury od dwóch dni; na ogół nie nosił broni w domu. Ale dzisiaj będzie go to drogo kosztować. Źle ocenił czas, który mu pozostał.

Przebiegł szybko oczyma wnętrze toalety, szukając jakiejś broni. Przez głowę przelatywały mu gorączkowe myśli. Trzymając w ręku sprzączkę paska, żeby uniknąć przypadkowego stuknięcia, zaczął powoli unosić się z sedesu. Gdyby udało mu się złapać brzytwę, miał szansę zaskoczyć niespodziewanego gościa, kiedy ten otworzy drzwi. Widział dwie wyraźne smugi cienia, które rzucały nogi intruza. Stał tuż za drzwiami.

To była ostatnia rzecz, jaką zobaczył.

Rozległ się strzał. Drzwi eksplodowały do środka; ładunek z dubeltówki trafił go prosto w krocze, rzucając na umieszczony z tyłu rezerwuar i rozpłaszczając plecy i ramiona o ścianę. Odbił się i opadł z powrotem na sedes. W tej samej chwili padł kolejny strzał, trafiając go w pierś. Jego siła podniosła go w górę i znowu cisnęła do tyłu, na rezerwuar. Zaraz potem opadł na sedes i powoli zaczął przechylać się w lewo, aż zatrzymała go ściana.

Resztki drzwi otworzyły się.

Zabójca załadował kolejny pocisk i posłał go prosto w głowę swojej ofiary. Został z niej tylko okrwawiony kikut. Mała łazienka cała obryzgana była krwią, mózgiem i kawałkami kości. Intruz oceniał przez chwilę skuteczność swojej akcji, a potem zawrócił do gabinetu, żeby rozpocząć poszukiwania.

*

W gabinecie Irwina Honeycuta panowała napięta atmosfera. Od chwili popełnienia morderstwa co godzina napływały raporty. Nie po raz pierwszy agent SENTINELA ginął podczas pełnienia swoich obowiązków, ten jednak był pierwszym, na którego nasłano zawodowego mordercę. Jego staranny kamuflaż został zdemaskowany. Zagrożona ujawnieniem była cała agencja, a także SENTINEL.

Honeycut siedział za biurkiem w swoim eleganckim gabinecie. Prowadzenie tego supertajnego programu i powołanej do jego realizacji agencji powierzył mu ostatni prezydent, kierował więc nim od samego początku.Wybierając Honeycuta, prezydent okazał wyjątkową mądrość. Jego doskonała orientacja w sprawach biznesu i polityki wspierana była przez chłodny logiczny umysł i nieomylny osąd, dzięki któremu zyskał opinię człowieka, który nigdy się nie myli. Agresywny i ambitny, atakował każdy problem z precyzją komputera i determinacją buldoga.

Usunął się z życia publicznego i przeszedł na wcześniejszą emeryturę, twierdząc, że choruje na nadciśnienie. Dla niepoznaki

prowadził w ograniczonym wymiarze godzin własną firmę konsultingową. Utrzymywał okazjonalne kontakty ze swoimi starymi kolegami, spotykając się z nimi wystarczająco często, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Stanowili ważne źródła informacji i pomagali zachować pozory. Nikt nie miał pojęcia, jaką naprawdę dzierży władzę.

Stukał teraz niecierpliwie palcami po blacie biurka, czekając aż SENTINEL połączy go z prezydentem. Połączenie nie mogło dojść do skutku, jeśli w Gabinecie Owalnym znajdował się jakiś gość albo ktoś z personelu Białego Domu. Automatyczne urządzenie nagrywające wszystko, co działo się w gabinecie prezydenta, otrzymywało wtedy fałszywe sygnały. Ani jedno słowo rozmowy nie miało prawa znaleźć się na taśmie.

SENTINEL zaprojektował na nowo cały system ochrony Białego Domu. Czujniki dźwięku i ruchu zainstalowane były w każdym rogu budynku. Zamontowano także kontrolowany bezpośrednio przez SENTINELA automatyczny system obronny. Nikt oprócz prezydenta, jego zespołu specjalnych doradców i osób, którym przyznano status SSC-7, nie wiedział o istnieniu tych urządzeń.

Zadzwonił telefon.

- Mówi prezydent – usłyszał w słuchawce.

- Tu Irv, panie prezydencie. Mam dla pana więcej informacji na temat zabójstwa Spartanina – oznajmił swoim chrapliwym głosem Honeycut.

- Przepraszam, że kazałem ci tak długo czekać. Był właśnie u mnie ambasador Nigerii. Starałem się maksymalnie skrócić jego wizytę, nie będąc przy tym niegrzeczny. Nikt nam nie będzie przeszkadzał, dopóki nie zawiadomię Ronniego. Dwadzieścia minut wystarczy?

- Aż nadto, panie prezydencie – odparł Honeycut.

- Podaj mi fakty, Irv.

- To było na pewno zabójstwo, panie prezydencie. Dokonane z rozmysłem i wyjątkową brutalnością. Sprawcy chcieli być pewni, że nie będziemy mieli co do tego żadnych wątpliwości…

- Kim są sprawcy? – przerwał mu prezydent.

- To Sowieci. Jesteśmy o tym przekonani.

- Skąd wiecie? I w jaki sposób zdemaskowano zabójcę? – zapytał prezydent. – Dane o twoich agentach nie figurują nawet w CIA, nie mówiąc już o FBI czy Pentagonie. Nie ma ich w aktach żadnego wywiadu na całym świecie.

- To nie do końca prawda, panie prezydencie – wyjaśnił Honeycut. – Jak pan wie, na mocy zawartego z Brytyjczykami porozumienia informujemy ich o każdej akcji wywiadowczej podjętej na terenie Zjednoczonego Królestwa. Podajemy im także kryptonimy zaangażowanych agentów. Oni odwzajemniają nam się tym samym. Złamanie tej umowy podważyłoby nasze wzajemne zaufanie i naraziło na szwank dalszą współpracę. Przekazujemy im kryptonimy naszych agentów, określając ich jednak jako tajnych współpracowników CIA albo wywiadu NATO. Ustaliliśmy, że nastąpił przeciek. Kryptonimy

trzech naszych agentów zostały przekazane Sowietom. Mógł to zrobić tylko jeden z czterech wyższych urzędników brytyjskiego wywiadu, bo tylko oni mieli dostęp do tej informacji. Wszyscy trzej agenci brali w ciągu ubiegłego roku udział w akcjach na terenie Wielkiej Brytanii. To Spartanin, Pielgrzym i Borsuk. Jesteśmy…

- Poczekaj chwilę, Irv. Mam jeszcze jedno pytanie – przerwał mu ponownie prezydent. – Co z Pielgrzymem i Borsukiem? Gdzie się teraz znajdują?

- Obaj są bezpieczni. Przebywają w Stanach, chwilowo nie przydzielono im żadnej misji. SENTINEL obserwuje ich od momentu zabójstwa. Pracujemy teraz nad ustaleniem, który z czterech Brytyjczyków współpracuje z Sowietami.

- Czy Brytyjczycy nam uwierzą, kiedy znajdziemy winnego i poinformujemy ich o tym? – zapytał prezydent.

- Bardzo wątpliwe. Jeżeli im powiemy, a oni nie uwierzą, wtedy na nas spadnie odpowiedzialność, jeśli coś mu się stanie. Rosjanie prawdopodobnie go załatwią i zrobią to tak, żeby zwalić winę na nas. Obciążając nas, bardzo dużo zyskają. Jednocześnie pozbędą się zdemaskowanego agenta, który nie ma już dla nich żadnej wartości. W tej sytuacji najlepszym dla nas rozwiązaniem jest jak najszybsze ustalenie winnego i przeprowadzenie własnej „akcji specjalnej". Przyczyny śmierci będą wyglądać na całkowicie naturalne.

Prezydent przez chwilę milczał. Martwił go spokojny, rzeczowy ton Honeycuta, kiedy mowa była o odebraniu komuś życia. Wydawało mu się to czymś złym, czymś głęboko przeciwnym

naturze, wiedział jednak, że nie ma innego wyjścia. Tamten człowiek wystawił właśnie na odstrzał trzech bardzo ważnych agentów; przez niego mogła wyjść na jaw największa tajemnica kraju. Główna przewaga SENTINELA polegała na tym, że nikt o nim nie wiedział. Był przysłowiowym asem w rękawie, asem o wartości królewskiego sekwensu.

- Podaj mi więcej informacji na temat zabójstwa – poprosił.

- Spartanin otrzymał trzy strzały z dubeltówki, z bliskiej odległości, kiedy siedział w toalecie. Rozerwało go na kawałki. Scotland Yard rozkłada ręce. Nie mają żadnego punktu oparcia.

- Co robił w Anglii? – zapytał prezydent.

- Mieszkał tam. Właśnie powrócił z kolejnej misji – odparł Honeycut.

- Czy podczas śledztwa nie wyjdzie na jaw, że był naszym agentem?

- W żadnym wypadku. Dowiedzą się o nim tylko tyle, ile chcemy, żeby wiedzieli.

- Czy doszło do ujawnienia jakichś innych kryptonimów?

- Żadnych, o których wiedziałby SENTINEL. Przeciek obejmował tylko te trzy. Wciąż nad tym pracujemy – powiedział Honeycut.

- A co z tym podwójnym agentem w Wielkiej Brytanii? Co na niego już mamy?

- Może pan pamięta, panie prezydencie, skazanego przed dziewięciu laty podwójnego sowieckiego agenta, Lionela Duncana,

który uciekł z angielskiego więzienia. Wchodził w skład czteroosobowej siatki, którą udało się Brytyjczykom rozbić. Wszyscy członkowie zajmowali wysokie stanowiska w brytyjskim wywiadzie. Duncan przeszedł po prostu przez mur, korzystając z pomocy z zewnątrz. Udało mu się wydostać z kraju i po czterech miesiącach pojawił się w Moskwie. Rosjanie długo o tym trąbili.

- Tak, pamiętam tę sprawę. Brytyjczycy bardzo nad tym boleli. Mów dalej.

- Natychmiast po jego ucieczce wywiad brytyjski wystąpił z teorią „piątego agenta". Naszym zdaniem albo cała ucieczka była sfingowana i stanowiła część zorganizowanej przez Brytyjczyków tajnej operacji wymiany, albo „piąty agent" istnieje naprawdę. Może nim być jeden z naszych czterech podejrzanych – wyjaśnił Honeycut.

- Zbadaj to wszystko dokładnie, Irv. A potem zrób to, co uznasz za konieczne – powiedział prezydent głosem, który niewiele różnił się od szeptu. Po krótkiej chwili milczenia odchrząknął. – Jak udało im się zidentyfikować Spartanina na podstawie samego kryptonimu? – zapytał głośniej.

- Nie potrafimy w tej chwili powiedzieć, panie prezydencie. Wiemy tylko, że mieli jego kryptonim i że nie żyje. Ale SENTINEL wkrótce wypowie się na ten temat. Wkrótce będziemy znali odpowiedź na pozostałe pytania – zapewnił Honeycut.

Prezydent wyczuł, że jego rozmówca ma do powiedzenia coś więcej. Czekał.

- Zaginęła także pewna ważna informacja – oświadczył Honeycut ściszonym głosem. – Wydział Drugi był w domu Spartanina po wizycie Scotland Yardu i nie mógł jej odnaleźć. Ma ją albo Scotland Yard, albo Rosjanie… a może wciąż tam jest, a my nie możemy jej odnaleźć.

- Co to za informacja? – zapytał prezydent.

- Dokładnie nie wiemy. Spartanin trafił na nią zupełnie przypadkowo podczas swojej ostatniej misji. Przydzielono go do akcji specjalnej w Madrycie. Znalazł tę informację po wykonaniu zadania, ale zabito go, zanim zdążył nam ją dostarczyć. Wiemy tylko, że to coś bardzo ważnego. – Głos Honeycuta nagle stwardniał. – Musimy tam wrócić i przeprowadzić bardziej gruntowne przeszukanie. Chciałbym, żeby powierzono tę misję Pielgrzymowi i Borsukowi.

- Dlaczego akurat im? Są bardziej narażeni od innych – stwierdził prezydent.

- Właśnie dlatego, panie prezydencie. Można ich poświęcić. Jeśli znajdą to, czego szukamy, jesteśmy górą. Jeżeli im się nie uda i zginą podczas akcji, problem przecieku przestanie istnieć.

- A jeśli Sowieci ich dostaną? – zapytał prezydent. – Stracimy wtedy więcej, niż zyskamy.

- Nie, panie prezydencie, nic takiego się nie zdarzy. To dwaj najlepsi agenci, jakich mamy. Jeśli ktokolwiek jest w stanie przeprowadzić tę akcję, to są nimi właśnie ci dwaj. A jeśli powinie im się noga, nigdy nie dostaną się żywi w ręce przeciwnika. SENTINEL potrafi tego dopilnować.

- W jaki sposób? Honeycut przez chwilę milczał.

- W ich implantach znajduje się materiał wybuchowy – oznajmił w końcu. Jego głos ponownie stał się cichy i napięty. – SENTINEL może go w każdej chwili zdetonować.

Prezydent odetchnął głęboko.

- Wiedzą o tym? – zapytał.

- Nie, panie prezydencie, nie wiedzą – odparł sucho Honeycut. – Nie wszystkie wszczepione płytki zaopatrzone są w ładunek wybuchowy. Mają je tylko agenci, którym zaimplantowano je w ciągu ostatnich dwu lat. Zarówno Pielgrzym, jak i Borsuk otrzymali płytki najnowszej generacji. W ciągu dwunastu miesięcy zainstalujemy je u wszystkich agentów. Niezależnie od tego, co Rosjanie już wiedzą, musimy odzyskać tę informację, panie prezydencie.

- Dobrze, Irv – odparł po krótkiej przerwie jego rozmówca. – Rób, co uważasz za stosowne, masz moje pełne błogosławieństwo. Czy jest coś jeszcze?

- Nie, panie prezydencie. Zna pan teraz wszystkie fakty.

- Doskonale, Irv. Zawiadom mnie, jeśli dowiesz się czegoś więcej.

- Naturalnie, panie prezydencie.

Honeycut usłyszał trzask, po którym nastąpiła cisza. Odłożył słuchawkę na widełki i przez chwilę się zastanawiał. Wiedział, że informacja musi zostać odzyskana i dokładnie zanalizowana. To była sprawa najwyższej wagi.

- SENTINEL – odezwał się swoim chrapliwym głosem. Na konsoli SENTINELA zapaliło się białe światełko.

- Tak, panie Honeycut – odezwał się cichy głos.

- Chcę, żebyś wezwał Pielgrzyma i Borsuka. Czeka ich kolejna misja. Niech zgłoszą się w Chicago o godzinie dwudziestej pierwszej czasu centralnego, w tym samym miejscu co zwykle. Borsuk pierwszy, Pielgrzym piętnaście minut później. Osobiście ich poinstruuję.

- Przyjąłem – oznajmił głos i światło na konsoli zgasło.

Rozdział 5

Niczym boży posłaniec, pojawił się w niespokojnych Niemczech przywódca zdolny poruszyć tajne struny aryjskiej duszy. Obdarzony oratorskim talentem, mówiący o sprawach, których nie poruszał nikt przedtem, powoli budził niemieckiego Zygfryda.

Zarówno naród, jak i przywódca w niemal patologiczny sposób ukochali Niemcy. Nigdy nie było jaśniejszej i bardziej przekonywającej identyfikacji pomiędzy narodem, jego herosami i dziejową misją. Stal się niemieckim Mesjaszem – i ludzie poszli za nim.

Ustęp 7 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Chevrolet impala zatrzymał się przed starym domem. Wysiadając z samochodu, Justin dostrzegł rozchylające się i zasuwające zasłony w salonie. Obszedł samochód i kierując się w stronę wejścia spojrzał na starą, przymocowaną do ogrodzenia skrzynkę pocztową. Wisiała tutaj, odkąd tylko pamiętał, zawsze elegancko pomalowana na ten sam kolor co dom. Duże litery głosiły, że mieszka tutaj rodzina Chaple'ów.

- Cześć, synu – odezwał się głos z werandy.

- Cześć, tato. Jak się czujesz? – zapytał Justin, wchodząc po schodkach.

- Znakomicie – odparł jego ojciec, ale Justin widział, że nie jest z nim najlepiej.

Leon Chaple był potężnie zbudowanym mężczyzną, silnym i spokojnym. Justin nie pamiętał, żeby ojciec kiedykolwiek się skarżył – nawet kiedy dawno temu uciął sobie czubek kciuka piłą tarczową, czy przed czterema laty, po operacji na otwartym sercu, którą przeszedł nazajutrz po urodzeniu się syna Justina, Michaela. Wydawał się nieczuły na ból – z wyjątkiem tego jednego razu, kiedy przed paru laty umarła mu żona. Justin po raz pierwszy i ostatni widział wtedy łzy w jego oczach.

Byli do siebie bardzo podobni, ojciec i syn. Obaj mieli ponad sześć stóp wzrostu, byli szczupli i silni.

- Twój wuj Tom przysłał mi dość leków, żebym pociągnął jeszcze jakieś sześć miesięcy – zaczął ojciec. – To te nowe tabletki, o których ci opowiadałem, te, które noszę w kieszonce na piersi.

Całkiem dobrze się czuję, odkąd zacząłem je brać, ale plamią mi wszystkie podkoszulki.

- Och, daj spokój – przerwał mu Justin. – Nie musisz martwić się o parę podkoszulków. Kupię ci ich tyle, ile tylko będziesz chciał.

- Nie, nie, dziękuję. Kupię sobie sam, za własne pieniądze – zaprotestował ojciec.

Był teraz na pełnej rencie. Udało się zlikwidować zwężenia na trzech arteriach, lecz czwarta okazała się nie do naprawienia. Czuł się teraz o wiele lepiej, ale nie do tego stopnia, żeby mógł myśleć o powrocie do pracy.

Renta nie była zbyt wysoka, a przed zawałem nie zdążył dużo zaoszczędzić. Ale Justin umówił się w banku, żeby utrzymywali wysokość konta ojca na pewnym określonym poziomie, dokonując w razie czego transferu z rachunku, który założył podczas jego choroby. Dbał o to, żeby ojciec żył w wygodzie i żeby niczego mu nie brakowało.

- Co mówił doktor Marsh, kiedy u niego ostatnio byłeś? – zapytał.

- Mówił, żebym jeszcze raz poddał się tym testom. Chyba chcą mnie znowu operować – powiedział Leon Chaple.

Justin dostrzegł w oczach ojca niepewność i strach. Strach był kolejną rzeczą, której nigdy dotąd nie widział w jego spojrzeniu – aż do okresu, który poprzedzał pierwszą operację. Ale technika ***bypassu*** znacznie się od tego czasu udoskonaliła i czwarta arteria

kwalifikowała się być może do operacji – zawsze jednak istniało ryzyko.

- Cóż, jeżeli jest szansa, że się lepiej poczujesz, nie powinieneś się chyba wahać, tato – powiedział Justin.

Ojciec potrząsnął głową.

- Nie, nie chcę przez to ponownie przechodzić. Przeżyję ten czas, który mi pozostał, taki, jaki jestem. Nie dam się znowu pokrajać.

Justin wiedział, że lepiej się z nim nie kłócić. Wiedział również, że kiedy przyjdzie odpowiedni moment, wuj Tom skłoni ojca, żeby zrobił to, co konieczne. Zawsze się go słuchał.

- Co nowego w ubezpieczeniach? – zapytał ojciec, żeby zmienić temat.

- Nic specjalnego – odparł Justin.

- Złapaliście jakichś kanciarzy?

- Tak, w zeszłym tygodniu. Jeden z naszych własnych reprezentantów próbował orżnąć firmę na sto pięćdziesiąt kawałków. Ale nakryliśmy go.

- Dostaniesz za to podwyżkę? – zapytał stary Chaple.

- Nie, tato – roześmiał się Justin. – Na tym przecież polega moja praca.

- To dużo forsy, synu. Powinieneś im powiedzieć, że chcesz pracować na procent.

- Nie mogę tego zrobić. Dostaję stałą pensję. Łapanie ludzi, którzy próbują okraść firmę, należy do moich obowiązków.

- Powinieneś dostawać prowizję – upierał się stary. – To niebezpieczna praca. Ktoś może próbować cię zabić, żeby uniknąć aresztowania.

- Nic podobnego, tato. Ci ludzie nie są na ogół niebezpieczni. Są sprytni, ale niegroźni. Złapani na gorącym uczynku zazwyczaj się poddają. Moje życie nigdy nie było w niebezpieczeństwie.

Leon Chaple pokiwał głową. Justin był zawsze wrażliwym, spokojnym chłopcem i nigdy nie przyjmował do wiadomości faktu, że ludzie potrafią sobie nawzajem wyrządzać krzywdę. Był zbyt ufny i zbyt naiwny. Miał tylko nadzieję, że nie będzie z tego powodu cierpiał.

- Po prostu uważaj. Nigdy nie wiadomo, jak mogą zareagować ludzie, których przypierasz do muru. Myślę, że niebezpieczny może być każdy człowiek, zwłaszcza kiedy się boi.

- Dobrze, tato, obiecuję, że będę uważał. Ale nie martw się, poradzę sobie – zapewnił Justin.

- Jak się miewa twój syn? Często go widujesz? – zapytał ojciec.

- Doskonale. Rośnie teraz jak na drożdżach. Będzie wysoki tak jak ty.

Twarz ojca pokraśniała z dumy.

- Widuję go podczas weekendów, chyba że wysyłają mnie akurat w podróż służbową – ciągnął Justin. – Sue nie robi żadnych problemów.

Leon Chaple dostrzegł w oczach syna cień smutku. Justin rozwiódł się z Susan przed ponad rokiem, ale nadal bardzo tęsknił za małym Michaelem.

- Przyzwyczaił się do nowego ojca?

- Ja jestem jego ojcem – odparł twardym głosem Justin.

- Wiem o tym, synu. Miałem na myśli, czy się polubili z nowym mężem Susan.

- Tak – odparł Justin odwracając wzrok. – Jack jest dla niego dobry. Będzie mógł dać Mike'owi mnóstwo rzeczy, których ja chyba nie byłem w stanie mu dać. Spędza też znacznie więcej czasu w domu.

Znowu poczuł dotkliwy ból, rozdzierający wnętrzności niczym stalowe kleszcze. Ten ból wracał za każdym razem, kiedy pomyślał o tym, co się stało, o tym, co mu zrobiła żona, jaka była tego przyczyna i ile go to kosztowało.Sam rozwód nie był zbyt bolesny, najgorsze było rozstanie z małym Michaelem. Ich małżeństwo rozpadało się już od dwóch lat, ale nigdy nie myślał, że tak to się skończy: że złapie ją ***in flagranti*** z kimś innym.

Był to dla niego ciężki cios. Jego żona… Susan… pieprzyła się z tym sukinsynem. Zraniło go to bardzo głęboko. Wszystko było po tym skończone, niemożliwy był powrót do punktu wyjścia.

Ojciec przyjrzał się uważnie jego twarzy.

- Chodź, synu. Napijemy się w domu kawy. Nastawiłem wodę tuż przed twoim przyjściem.

Kiedy siedzieli, popijając gorącą kawę, Justin usłyszał dźwięk dzwoneczków zawieszonych na werandzie z tyłu domu. Pamiętał, jak

będąc małym chłopcem przysłuchiwał się im, leżąc w nocy w łóżku. Kiedy miał jakieś kłopoty, ich słodki, krystaliczny dźwięk uspokajał go. Wszystkie smutki odpływały w dal, a on zapadał w bezpieczny sen. To była chyba rzecz, która najbardziej utkwiła mu w pamięci ze starego domu: zawieszone na werandzie dzwoneczki. Teraz znowu go uspokajały, ich słodka muzyka łagodziła bolesne wspomnienia i tęsknotę za synem.

- Jak się miewa Barbara? – zapytał przerywając milczenie ojciec. Barbara była nową przyjaciółką Justina. Leon Chaple kilkakrotnie ją spotkał i bardzo polubił.

- Doskonale, tato. Zawsze o ciebie pyta. W najbliższej przyszłości chce cię zaprosić na kolację. Mógłbym także wziąć Mike'a, jeśli nie masz nic przeciwko temu. W ten sposób spędziłbyś z nim trochę czasu – powiedział Justin, znowu się uśmiechając.

- Podoba mi się ten pomysł – odparł ojciec. – To bardzo miła dziewczyna, synu. Nie myślisz, żeby się z nią ożenić?

- Nie jestem jeszcze gotów do ponownego ożenku, tato. Jeszcze nie teraz. Dam ci znać, jak się namyślę.

- Cóż, mam nadzieję, że wkrótce się to stanie. Mężczyzna potrzebuje dobrej kobiety. Mam nadzieję, że kiedy będziesz w końcu gotów, zdecydujesz się właśnie na nią. To jedna z najbardziej uroczych młodych panienek, jakie kiedykolwiek spotkałem.

- Ja też tak uważam, tato – przytaknął Justin. Jego myśli pobiegły ku Barbarze.

Jej uroda była subtelniejszego rodzaju niż uroda Susan. Barbara była od niej szczuplejsza, miała delikatną, proporcjonalną figurę. Była dziewczyną, na którą można nie zwrócić uwagi na zatłoczonej ulicy, ale której nie sposób nie zauważyć na plaży, kiedy ma na sobie skąpe bikini.

Urodziła się na Środkowym Zachodzie i tam wychowała, lecz po ukończeniu college'u przeniosła się na Wschód, żeby zająć się pisaniem. W przyszłości miała zamiar zacząć pisać powieści.

Jako niezależna pisarka odniosła natychmiastowy sukces, ale mimo że finansowo wiodło jej się teraz całkiem dobrze, nigdy nie zaczęła pracy nad pierwszą powieścią. Niewielu ludzi zajmujących się pisaniem robi tak szybką i błyskotliwą karierę, jej talent jednak był całkiem naturalny, a podpowiadająca wybór właściwych tematów intuicja wyróżniała ją spośród innych autorów.

Po raz pierwszy spotkali się rok przed rozwodem Justina, na przyjęciu wydanym przez ich wspólnego przyjaciela. Justin od razu wywarł na niej duże wrażenie. Przystojny, elegancko ubrany, uprzejmy i zdradzający bezsprzecznie dobry gust, jeśli chodzi o kobiety, pojawił się na przyjęciu w towarzystwie Susan, która wydała się Barbarze jedną z najpiękniejszych spotkanych w życiu kobiet. Olśnieni urodą Susan mężczyźni przez cały wieczór wodzili za nią oczyma, ale ona ani na chwilę nie oddaliła się dalej niż parę stóp od Justina.

Spotkali się potem dwukrotnie: na przyjęciu – tym razem bez Susan – i w kawiarni w centrum handlowym w New Jersey. Tam

właśnie narodziła się ich przyjaźń. Spacerując po sklepach i rozmawiając spędzili ze sobą prawie pięć godzin. Kiedy Justin zaproponował następne spotkanie, przyjęła zaproszenie. A potem zdarzyło się coś, co sprawiło, że Justin stał się częścią jej życia.

Kąpiąc się pod prysznicem odkryła mały guz na prawej piersi. Ogarnięta paniką pobiegła natychmiast do swego lekarza. Kazał jej zgłosić się za trzy dni w szpitalu, na operację.

Rozpaczliwie potrzebowała kogoś bliskiego. Ale był tylko Justin.

Kiedy opowiadała mu, co jej grozi, w jej oczach malowało się przerażenie. Częściowo wywołane obawami o wynik badań, częściowo strachem, że z nią zerwie. Chybaby tego nie przeżyła.

On jednak okazał jej czułość, o jaką nigdy by go nie posądzała. Delikatnie ją objął, pocałował lekko w usta i powiedział, że wszystko będzie w porządku. „Nie martw się. Będę przy tobie” – dodał, ocierając jej z oczu łzy.

W ciągu tych trzech dni spędził z nią wiele godzin. Jego optymizm był tak wielki, że nie mogła mu się oprzeć. Przekraczając progi szpitala czuła się o wiele pewniejsza. Towarzyszył jej przez cały czas – dopóki siostry nie odpędziły go od jej łóżka. Powiedział, że całą noc zostanie w szpitalu i będzie przy niej, kiedy otworzy oczy po operacji.

Tej nocy musiała samotnie zmagać się z ogarniającym ją przerażeniem, ale świadomość, że Justin jest blisko, dodawała jej otuchy.

O ósmej rano miała pojechać na salę operacyjną. Nie wiedziała, czy obudzi się cała, czy okaleczona. Myślała, że umrze ze strachu. Justin zadzwonił do niej jeszcze dwukrotnie tego wieczoru z poczekalni, próbując ją pocieszyć i dodać pewności siebie. Udało mu się kilka razy ją rozśmieszyć i było to wspaniałe lekarstwo.Jak przez mgłę odbierała obecność kręcących się wokół niej ludzi; nad głową widziała oświetlającą stół operacyjny lampę. Do jej uszu docierały dodające otuchy słowa lekarzy. Zamknęła oczy z imieniem Justina na ustach.

Następną rzeczą, jaką pamiętała, była sala pooperacyjna. Nie czuła bólu. Słyszała czyjś głos – to siostra próbowała ją delikatnie obudzić, żeby sprawdzić, jak silnie działa środek usypiający. Za chwilę ponownie pogrążyła się we śnie.

Pamiętała, że przeniesiono ją na kolejne małe łóżko na kółkach. Widziała nad sobą butle z kroplówką. Wciąż nie czuła bólu, ale przestraszyły ją te butle. Próbowała się odezwać, żeby zapytać o wynik operacji, ale nie udało jej się wymówić ani słowa. Potem pamiętała, że wywieziono ją ponownie na korytarz i zobaczyła uśmiechniętą twarz Justina. Pochylił się, pocałował ją lekko w policzek i powiedział, że wszystko będzie dobrze. Potem zasnęła.

Wróciła w końcu do swojej izolatki. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła Justina. Chciała coś powiedzieć, ale on znowu ją pocałował. A potem wyciągnął zza pleców różowy biustonosz i uśmiechnął się.

- Pomyślałem, że będziesz chciała go założyć przed powrotem do domu – powiedział. – Będzie pasował jak ulał.

Poczuła, jak z oczu płyną jej łzy. Wyciągnęła ramiona i płacząc przytuliła twarz Justina do swojej.

- Przyniosłem ci też dolną część – oznajmił.

- Kocham cię – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. Pocałował ją czule.

- Chcesz zobaczyć majtki? – zapytał po chwili. Odwzajemniła z uśmiechem jego pocałunek.

- Możesz je sobie zatrzymać. Nie będziemy ich potrzebować bardzo, bardzo długo.

Żaden z przyjaciół nie zrobiłby dla niej tego, co Justin. Był tutaj, był zawsze, kiedy go potrzebowała. Nie mogła uwierzyć, że ktoś taki istnieje: wspaniały, odważny Justin, najdroższa osoba w jej życiu.

*

Reszta wizyty Justina w domu ojca upłynęła tak samo jak zwykle. Rozmawiali o tych samych rzeczach i o tych samych ludziach. Obaj byli na swój sposób samotni.

Godziny mijały wolno, w końcu jednak na Justina nadeszła pora. Pożegnał się, wsiadł do swojej impali i odjechał. Przy następnej przecznicy skręcił w prawo.

BIP!

To odezwała się jego płytka.

- Jesteś potrzebny, Pielgrzymie... - oznajmił cichy głos.

Rozdział 7

W swoim marszu naprzód Narodowy Socjalizm musiał pokonać wiele przeszkód. Byliśmy brutalni i nie wahaliśmy się użyć przemocy, co miało zresztą swoistą wartość propagandową. Dyskusja skupiła się dzięki temu na sprawach podstawowych.

Wola oporu osłabia, przeszkody padały jedna za drugą, aż w końcu pozostała tylko jedna droga. Droga Narodowego Socjalizmu.

Ustęp 9 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Edwardowi Bridgesowi wydawało się, że ten dzień nigdy się nie skończy. Przeważającą jego część spędził w swoim wewnętrznym gabinecie przeglądając grube tomy dokumentacji. Chciał ustalić, które jej fragmenty będą mu najbardziej potrzebne. Wybrał dwadzieścia cztery schematy, przedstawiające najbardziej zaawansowane systemy, a także dane na temat rewolucyjnego nośnika pamięci, dzięki któremu stało się możliwe stworzenie SENTINELA. Posiadając te informacje i mając do dyspozycji ekipę informatyków, był w stanie zbudować drugiego SENTINELA w dowolnym miejscu globu.

Wpadł również na pomysł, w jaki sposób wynieść papiery na zewnątrz. Skopiowanie dokumentów było prawie niemożliwe. SENTINEL bowiem kontrolował kopiowanie każdego karteluszka w całym gmachu, a pod koniec dnia przypominał wszystkim osobom będącym w posiadaniu kopii, żeby je zniszczyły. Monitorowany był

również sam proces niszczenia. Nawet pojedyncza kopia nie mogła przetrwać dłużej niż jeden dzień - cóż dopiero mówić o dwudziestu czterech, których potrzebował Bridges.

Ale był pewien słaby punkt, który udało się wykryć Bridgesowi - punkt, który rozwiązywał wszystkie jego problemy. Schematy zawarte w tomach znajdujących się w jego wewnętrznym gabinecie były jedynymi mającymi postać wydruku. Zazwyczaj wszystkie dane umieszczano w pamięci SENTINELA i na każde żądanie wyświetlane były na monitorach lub na dużych, zajmujących całą ścianę ekranach.Charakter pracy Bridgesa wymagał jednak spędzania wielu godzin przy schematach, a od długiego wpatrywania w ekran bolała go głowa i męczyły się oczy. Zwrócił się w tej sprawie do Elizabeth Ryerson, która zgodziła się, żeby na swój użytek sporządził zestaw wydruków - jedynych w całym gmachu.

Przechowywane były w jego wewnętrznym gabinecie, do którego wstęp dawały tylko dwie karty magnetyczne: jego i Elizabeth Ryerson. Schematy rzadko kiedy opuszczały gabinet. Osoba, która je wypożyczała, musiała się podpisać specjalnym impulsowym piórem, które wysyłało SENTINELOWI wzór podpisu do weryfikacji. Przedostanie się kogoś obcego przez system bezpieczeństwa Alphy było praktycznie niemożliwe, ale weryfikację podpisów wprowadzono, aby uchronić się przed ewentualnością zabrania dokumentów przez osobę podpisującą się cudzym nazwiskiem. Wszystkie schematy trzeba było oddać tego samego dnia, w przeciwnym razie nikt nie miał prawa opuścić gmachu.

Następny słaby punkt tego systemu, z którego miał zamiar skorzystać Bridges, polegał na tym, że spośród wszystkich pracowników kompleksu on jeden nie musiał podpisywać się przy wypożyczaniu schematów. To był jego wewnętrzny gabinet. Schematy znajdowały się pod jego pieczą. Wydrukowano je przede wszystkim do jego użytku. Postanowił zabrać oryginały. Mógł wykraść je ostatniego dnia i znaleźć się poza krajem, zanim ktokolwiek zauważy ich brak. Musiał tylko owinąć je sobie wokół goleni, naciągnąć na nie skarpetki i wyjść za bramę.

Dzień dobiegł wreszcie końca. Bridges nie mógł się doczekać, żeby sprawdzić swój pomysł. Miał zamiar przeprowadzić tyle prób, ile tylko zdoła, używając pustych formularzy. Były trochę mniejsze od schematów i z nieco cieńszego papieru, ale doszedł do wniosku, że ta drobna różnica nie powinna nastręczyć żadnych problemów.

Na początek owinął wokół każdej nogi po cztery arkusze i przespacerował się z nimi po gabinecie. Tkwiły wygodnie w skarpetkach i ani trochę nie szeleściły. Dodał więcej arkuszy i spróbował ponownie. Wszystko było w porządku, ale postanowił nie ryzykować i nie zabierać wszystkich dwudziestu czterech arkuszy, dopóki nie przeprowadzi próby z mniejszą liczbą.

Z owiniętymi wokół goleni i ukrytymi w workowatych nogawkach papierami wyszedł z gabinetu. Udało mu się przejść przez punkty kontrolne bez żadnego problemu. Kiedy zbuduję już w Rosji następnego SENTINELA, pomyślał, zadbam o to, by wyeliminować ten słaby punkt systemu bezpieczeństwa.

Po wyjściu z kompleksu budynków instytutu pojechał do klubu na spotkanie z Rossem. Jak na razie dzień był udany i dobra passa powinna trwać dalej. Przypuszczał, że właśnie tego wieczoru zostanie mu złożona oferta. Ross zadzwonił i powiedział, że chce się z nim widzieć.

Jego karciany towarzysz siedział przy barze. Bridges podszedł i zajął miejsce tuż obok.

Tamten nie odwrócił w ogóle głowy. Przez kilka chwil panowało niezręczne milczenie.

- Jak się miewa nasz wielki przegrany? - zaczął w końcu Bridges, nawiązując do klęski, jaką poniósł Ross w tryktraka po kolacji u Kinziego. - Myślałem, że lanie, jakie ci spuściłem, na dobre cię odstraszy. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że po raz ostatni widzę ciebie i twoje pieniądze - zażartował.

- Gówno prawda - zaprotestował Ross. - Wciąż jestem trzysta dolców do przodu. Na razie zobaczyłeś tylko z powrotem swoje własne pieniądze. Przegrana wcale mi nie przeszkadza, jeśli płacę cudzą forsą.

Próbował nadrabiać miną, ale nie potrafił ukryć zdenerwowania. Bridges uśmiechnął się lekko, przewidując, co nastąpi dalej. Dał znak barmanowi, że chce zamówić drinka.

Ten podał mu gotowego czarnego Johnniego Walkera z lodem.

- Nalałem whisky, kiedy tylko zobaczyłem, że pan wchodzi, panie Bridges - powiedział. Dobrze dbał o klientów, od których dostawał najwyższe napiwki.

- Przypomnij mi, żebym podwyższył dzisiaj twój napiwek do dziesięciu centów, Sam - zażartował Bridges. Był w szampańskim humorze. - Jaka dziś stawka? - zapytał, zwracając się do Rossa. - Pięć? Dziesięć?

- Właściwie nie mam specjalnej ochoty na tryktraka, Ed. Pomyślałem, że może będziesz chciał znowu zjeść ze mną kolację...

- W porządku - odparł Bridges kiwając głową. - Ale tylko pod warunkiem, że pozwolisz mi zapłacić.

- Zgoda. Znowu u Kinziego?

- Doskonale.

Ross odetchnął w duchu z ulgą. Kazano mu przyprowadzić Bridgesa do Kinziego, gdzie miał czekać Dzwonnik. Jeśli początek rozmowy będzie zachęcający, Dzwonnik podejdzie do ich stolika, żeby dobić targu. Jeśli nie, będą musieli na nowo rozważyć możliwość posłużenia się szantażem.

Wypili do końca swoje drinki. Doktor zapłacił rachunek i dał barmanowi pięć dolarów napiwku. Wyszli z klubu i złapali taksówkę, która zawiozła ich do Kinziego.

W drodze do stolika Bridgesowi wydało się, że rozpoznaje faceta, który był tutaj poprzednim razem. Miał łatwo wpadającą w pamięć twarz. Przypominał łasicę.Facet miał w uchu słuchawkę; wąski przewód koloru jego skóry znikał pod kołnierzykiem koszuli. Najprawdopodobniej ma również przy sobie magnetofon, pomyślał Bridges.

Niezobowiązująca rozmowa trwała do momentu, kiedy pojawiła się kelnerka z koktajlami. Po jej odejściu Ross rozejrzał się po sali. Bridges zauważył, że jego wzrok zatrzymuje się na facecie ze słuchawką.

Po chwili Ross odwrócił się z powrotem do Bridgesa. Ręce drżały mu lekko, co nie uszło uwagi naukowca. Zaraz zrobi pod siebie, pomyślał Bridges.

- Wiesz, Ed... myślałem trochę, wiesz... o naszej ostatniej rozmowie. - Ross zacinał się ze zdenerwowania, drżał mu głos.

Bridges miał ochotę się roześmiać, i o mało tego nie zrobił. Zachowanie powagi wymagało od niego wielkiego wysiłku.

- Chodzi mi o to... no wiesz, o to, co mówiłeś... o swojej pracy. - Ross odchrząknął. - Czy naprawdę serio myślisz o tym, żeby pracować dla kogoś innego, gdyby wyłoniła się taka możliwość? To znaczy, gdyby to było... no wiesz, naprawdę możliwe? - Wyglądał, jakby miał zamiar zaraz zwymiotować.

Bridges spojrzał na niego z ukosa.

- Do czego zmierzasz, Carsonie? - zapytał.

- Najpierw powiedz, czy mówiłeś serio? - odpowiedział pytaniem Ross.

Bridges rozwinął z celofanu jedno ze swoich tanich cygar marki White Owi i wsadził je do ust.

- Tak, mówiłem serio - odparł, przygryzając koniec cygara. - Gdyby oferta była poważna i zgodzono by się na wszystkie moje warunki. Tak, czymś takim z całą pewnością byłbym zainteresowany.

Zauważył, że jego towarzysz ponownie zerka w stronę faceta ze słuchawką.

- Chodzi o to, że... że mam pewnych przyjaciół - zaczął Ross. Szukał odpowiednich słów. - Pewnych przyjaciół, którzy zainteresowali się twoją sytuacją... i gotowi są ci pomóc. A jednocześnie... chcą dobrze na tym sami skorzystać. - Był ledwie żywy ze strachu. Proponował Bridgesowi zdradę własnego kraju. Przez dłuższą chwilę spoglądał w stronę faceta ze słuchawką, a potem odwrócił się z powrotem do Bridgesa. Podniósł swoją szklankę, pociągnął z niej łyk i zakrztusił się.

Bridges ledwie zdołał powstrzymać wybuch śmiechu.

Po krótkim ataku kaszlu Rossowi udało się złapać oddech.

- W grę wchodziłaby relokacja - oświadczył. - Musiałbyś się przeprowadzić. Jesteś tym zainteresowany? - zapytał szeptem, zaciskając dłonie w pięści, żeby powstrzymać ich drżenie.

- Relokacja? Dokąd?

- Do obcego kraju...

- Jakiego kraju?

- Nie baw się ze mną w ciuciubabkę, Ed. Wiesz dobrze, do czego zmierzam. I nie łudź się, że powiem coś więcej, dopóki nie przedstawisz jakiegoś dowodu, świadczącego o tym, że twoje intencje są uczciwe. - Ross powoli odzyskiwał panowanie nad sobą. Skoczył na głęboką wodę i wiedział, że teraz albo uda mu się wypłynąć, albo utonie.

Bridges oparł podbródek o dłoń i żuł powoli cygaro.

- Chcę rozmawiać z człowiekiem, który ma pełnomocnictwa do zawarcia umowy - powiedział.

- Najpierw potrzebuję więcej informacji - odparł Ross. - Ja też chcę coś z tego mieć - dodał niemal błagalnym głosem.

- Powiedziałem ci już dosyć, żebyś wiedział, czego się trzymać. Wysłali tutaj ciebie, żebyś złożył mi ofertę... i twojego przyjaciela, żeby przysłuchiwał się naszej rozmowie. - Bridges pokazał kciukiem faceta ze słuchawką.

Ross zaczerwienił się.

- Skąd wiesz...? - zapytał.

- Jeśli to on jest człowiekiem, z którym mogę dobić targu, poproś go tutaj - powiedział Bridges. - Ty sam dowiedziałeś się już wszystkiego, czego miałeś się dowiedzieć.

Człowiek ze słuchawką podszedł do ich stolika. Usiadł obok Bridgesa i spojrzał mu prosto w oczy. Dał znak Rossowi, który wstał, przemierzył szybkim krokiem salę i wyszedł z restauracji.

- Będę pańskim nowym łącznikiem. Mój kryptonim brzmi Dzwonnik. Porozmawiajmy o pańskich warunkach.

Był bezpośredni i zmierzał prosto do celu. Podobało się to Bridgesowi o wiele bardziej niż kluczenie Rossa.

- Trzy razy większe wynagrodzenie, możliwość dobrania sobie ludzi spośród czołowych naukowców i niekwestionowane stanowisko szefa technicznej strony projektu - powiedział. - Ale musicie zagwarantować mi szybki transfer z tego kraju, zanim odkryta

zostanie moja nieobecność, a także zapewnić pełną ochronę w Związku Sowieckim.

Dzwonnik uśmiechnął się.

- Skąd pan wie, że reprezentuję Związek Sowiecki? - zapytał.

- Wiem dużo więcej, niż się panu wydaje - odparł Bridges. Dzwonnik wyjął z ucha słuchawkę. Nie odrywał wzroku od twarzy naukowca.

- Pańskie warunki są zbyt wygórowane - oświadczył.

- Są ostateczne - skontrował go Bridges.Rosjanin namyślał się przez chwilę.

- Zgoda - powiedział w końcu. - Teraz niech pan powie, co za to dostaniemy. Płacimy wysoką cenę za bardzo niepewny towar. Muszę wiedzieć coś więcej.

Bridges uśmiechnął się.

- Dowie się pan - zapewnił go i przerwał, żeby zapalić cygaro. - Dostarczę wam dokumentację, dzięki której będziecie mogli zbudować najnowocześniejszy komputer, jaki kiedykolwiek został skonstruowany przez człowieka. Nazwaliśmy go SENTINEL. Stanowi serce całego systemu obrony i wszystkich systemów wywiadowczych Stanów Zjednoczonych. Kiedy zaoferuję wam swoje usługi, będziecie mieli wszystko, co potrzeba, żeby stworzyć własnego SENTINELA.

- Co sprawia, że ten komputer jest taki niepowtarzalny? - zapytał Rosjanin. - W rozmowie z Rossem wspomniał pan, zdaje się, że można określić to jednym słowem. Chcę je teraz usłyszeć, panie Bridges.

Naukowiec spojrzał Dzwonnikowi w oczy.

- Intelekt - powiedział. - Prawdziwy intelekt, dysponujący milion razy większymi możliwościami niż najbardziej rozwinięty mózg ludzki.

Po twarzy Dzwonnika przemknął cień.

- To tylko semantyka, panie Bridges. Żaden komputer nie dysponuje prawdziwym intelektem.

- Ten tak - odparł z uśmiechem Bridges i przerwał, żeby ponownie zająć się cygarem, które zgasło. Przez chwilę przyglądał się uważnie Dzwonnikowi. - Dokonaliśmy przełomu w biocybernetyce, zostawiając daleko z tyłu komputerowe średniowiecze. I posuwamy się naprzód tak szybko, że sami nieraz nie potrafimy za tym nadążyć. SENTINEL projektuje systemy, do których skonstruowania brakuje nam jeszcze odpowiednich technologii. On jest teraz naszym nauczycielem - powiedział, wypuszczając białe kłęby dymu. - Tego właśnie przełomu wasi ludzie próbowali dokonać od przeszło trzydziestu lat - dodał.

Dzwonnikowi zabrakło nagle słów. Jeśli Bridges mówił prawdę, było to najbardziej znaczące odkrycie w dziejach ludzkości.

- Co pana uprawnia do stwierdzenia, że nie skonstruowaliśmy sami takiego komputera? - zapytał w końcu.

Bridges roześmiał się cicho.

- No tak, z całą pewnością macie ich pełen magazyn. Siedzi pan tutaj, przyjacielu, i chce pan zawrzeć ze mną umowę. To najlepszy dowód. A poza tym, gdybyście zbudowali go przed nami, w tym

miejscu znajdowałaby się teraz tylko sterta gruzów. Nie sposób byłoby was powstrzymać, podobnie jak wy nie potrafilibyście ruszyć nawet małym palcem, gdybyśmy nacisnęli właściwy guzik. Na szczęście dla was SENTINEL nie ma charakteru ofensywnego. Funkcjonuje jako system czysto defensywny. I tutaj właśnie pomogę wam osiągnąć przewagę. Nadam waszemu komputerowi charakter ofensywny. Staniecie się najpotężniejszym państwem na całej planecie.

- Ile potrwa, zanim nasz komputer osiągnie pełną zdolność operacyjną? - zapytał Dzwonnik.

- Mniej więcej trzy lata - odparł Bridges.

- Za trzy lata amerykański SENTINEL rozwinie się do tego stopnia, że nigdy nie zdołamy go dogonić - stwierdził Dzwonnik.

- Potrafię temu zaradzić - uspokoił go Bridges. - Możliwe jest opracowanie specjalnej procedury, dzięki której poprzez selektywny transfer pewnych fragmentów pamięci wasz SENTINEL dowie się w ciągu kilku sekund wszystkiego, co wie jego poprzednik. Będziecie dysponowali całą ich wiedzą, zanim się w ogóle zorientują, że dokonano transferu. - Bridges wypuścił z ust kolejny kłąb dymu. - Nie zapominajcie, że ich komputer nie jest ofensywnie zaprogramowany. Wasz będzie. Potrafię go również odpowiednio zmodernizować. W rezultacie uzyskacie totalną przewagę. Poznacie cały ich system obronny i jeśli tylko będziecie tego chcieli, zdołacie go pokonać. Wtedy tylko jeden SENTINEL pozostanie na tej planecie - i będzie nim ten, który należy do was.

- Co by było, gdyby Związek Sowiecki odpalił teraz w kierunku Stanów wszystkie swoje rakiety? - zapytał Dzwonnik.

Bridges zachichotał cicho.

- Przegralibyście wojnę w ciągu dwóch godzin. Ani jeden pocisk nie dosięgnąłby strategicznego celu na amerykańskiej ziemi. W ciągu kilku chwil od zarejestrowania pierwszej wystrzelonej w kierunku Stanów rakiety SENTINEL zneutralizowałby całkowicie waszą zdolność uderzeniową. Pozbawieni łączności i energii, stalibyście się całkowicie bezbronni. Moglibyście sobie co najwyżej porzucać w naszą stronę śnieżkami.

- Czy zostalibyśmy zniszczeni? - zapytał Dzwonnik.

- Nie. Nasz SENTINEL nie ma instynktu mordercy, którym potrafię obdarzyć waszego. Ale skończyłaby się raz na zawsze wasza rola światowego mocarstwa.

- Ile czasu zabierze panu skompletowanie wszystkich informacji? - zapytał Rosjanin.

- Mogę dostarczyć je panu choćby jutro - odparł Bridges. - Ale będziecie musieli szybko wydostać mnie z tego kraju. Kiedy wyjdzie na jaw, że zniknąłem razem z kompletem danych, SENTINEL szybko ustali miejsce mojego pobytu. Ma do dyspozycji głęboko utajnioną służbę bezpieczeństwa, która natychmiast ruszy za mną w pościg. Nawet potem, już w Związku Sowieckim, będziecie musieli zorganizować superszczelny system bezpieczeństwa, który będzie mnie chronił aż do momentu uzyskania przez waszego SENTINELA pełnej zdolności operacyjnej. Rosjanin kiwnął głową.

- Jestem pod wrażeniem, panie Bridges. Ale może trzeba będzie przezwyciężyć sceptycyzm moich zwierzchników. Czy jest jakiś dowód, który mógłby potwierdzić samo istnienie waszego SENTINELA? - zapytał.

- Oczywiście - odparł Bridges, sięgając do kieszeni i wręczając Dzwonnikowi szarą kopertę. - Niech pan dopilnuje, żeby przekazano te dane osobiście Leonidowi Trawkinowi. Powinny rozwiać wszelkie wątpliwości pańskich zwierzchników. Ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Nie, panie Bridges. Jestem całkowicie usatysfakcjonowany.

- Dobrze, w takim razie możemy coś zjeść. Umieram z głodu.

Rozdział 8

Niemcy zaczęły zmierzać ku swemu przeznaczeniu. Mówiono, że daliśmy się uwieść wielkiemu kłamstwu; nazywano nas barbarzyńcami. Zapomniano jednak, że barbarzyństwo stoi u podstaw wszelkiej kultury; że to właśnie dzięki barbarzyńcom jedna cywilizacja zastępuje inną.

To właśnie barbarzyńcy doprowadzili do upadku potężne Imperium Rzymskie. Germańscy zdobywcy byli przodkami naszej aryjskiej rasy. Podbój stal się naszym dziedzictwem, naszym przeznaczeniem. I na tym opierał się nasz plan. Wszystko miało polegać na odpowiedniej organizacji.

Ustęp 11 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Zimne podmuchy wiatru od jeziora Michigan szczypały Justina boleśnie w policzki i nos. Szedł szybkim krokiem Monroe Street w kierunku Michigan Avenue. Kiedy w nią skręcił, odetchnął z ulgą, bo porywisty wiatr zaczął dmuchać mu w plecy. Każdy krok zbliżał go teraz do przytulnego, ciepłego wnętrza klubu. Po chwili znalazł się w środku.

Minął obrotowe drzwi i wbiegając po schodkach rzucił okiem na zegarek. Była 9:05; trochę się spóźnił. Przeszedł obok dwóch pamiątkowych tablic, na których wyryte były nazwiska należących do klubu weteranów obu światowych wojen, po czym nacisnął tkwiący w ścianie guzik.

Czekając na wlokącą się nieznośnie windę, omiótł szybko oczyma westybul. Czasy świetności klubu dawno odeszły już w przeszłość. Kiedyś było to naprawdę ekskluzywne miejsce, ale w latach sześćdziesiątych zaczął się powolny upadek. Coraz trudniej było o nowych, młodych członków, a szeregi starych kurczyły się w wyniku naturalnego odsiewu. Proces degradacji odbił się także na wyglądzie wnętrz, które straciły wiele ze swego dawnego blasku.

W końcu drzwi windy się otworzyły. Justin wszedł do środka i nacisnął guzik czwartego piętra.

Po długiej, zgrzytliwej jeździe winda stanęła, a jej drzwi ponowniesię rozsunęły. Wychodząc na zewnątrz Justin lekko się skrzywił. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach starości, coraz wyraźniejszy w miarę posuwania się w głąb budynku.

Justin przeszedł przez dwie duże sale konferencyjne i drzwi, za którymi mieściła się kręgielnia. Minął tory i rzędy szafek i zbliżył się do wahadłowych drzwi po drugiej stronie sali. Pchnął je i znalazł się w ciemnym, służącym jako pralnia pomieszczeniu, w którym przy ścianach zamontowane były duże suszarki. Po całodziennej pracy wciąż unosiła się tutaj ciepła para, przesycona zapachem proszku do prania. Z tyłu znajdowały się małe drzwi oznaczone napisem „Zaopatrzenie". Justin otworzył je i zapalił światło. Składzik był długi i wąski, cały wypełniony półkami. Podszedł do ostatniej z nich i przytknął tarczę zegarka do przełącznika światła. Ściana przesunęła się cicho w jego stronę.

Wszedł do środka niewielkiego, przyprawiającego o klaustrofobię sześcianu. W tej samej chwili rozjaśnił się mały, umieszczony w ścianie przycisk. Przystawił do niego tarczę zegarka i drzwi się zamknęły. Ściana z półką wróciła na swoje miejsce i światło w składziku zgasło.

Kiedy winda ruszyła cicho w dół, poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Nie miał pojęcia, jak szybko się porusza i jak głęboko zjeżdża. Oprócz sensacji żołądkowych, które odczuwał przy starcie, nic nie wskazywało na to, że znajduje się w ruchu. Po chwili kabina zatrzymała się i drzwi się rozsunęły.

Powitał go wymierzony prosto w czoło, oddalony o mniej więcej dziesięć cali od jego twarzy colt python kalibru 357. Z początku widział przed oczyma tylko dwuipółcalową, błyszczącą niebieską lufę pistoletu. Potem skoncentrował wzrok na jego właścicielu.

- Któregoś dnia ta pieprzona armata wyląduje prosto na twoim nosie, Fanning - powiedział do stojącego przed nim Borsuka. - Co u ciebie słychać, Ted? - zapytał z uśmiechem, wsadzając czubek palca wskazującego w lufę i ściągając ją w dół.

- Dawno się nie widzieliśmy - odparł Ted Fanning. Włożył broń do kabury pod pachą i podał Justinowi szorstką dłoń.

Pracowali już przedtem razem, wykonując kilka niebezpiecznych misji. Fanning był pierwszym partnerem Justina i nauczył go wielu elementów sztuki przetrwania. Zdaniem Justina nie było człowieka, który bardziej zasługiwałby na zaufanie. Ich życie wielokrotnie zależało od tego, co zrobi ten drugi. Tworzyli wyjątkowo dobry, skuteczny i niebezpieczny duet.

- W jakie znowu wpędziłeś nas kłopoty? - zapytał Justin, szczerząc zęby w uśmiechu.

Trochę niższy od niego Fanning był twardy i silny, przypominał drwala. Pod wystającymi krzaczastymi brwiami tkwiły wąskie, głęboko osadzone stalowoszare oczy. Ale pod tą powierzchownością neandertalczyka krył się szybki jak błyskawica umysł i bystry wzrok. Trochę potargane brudne blond włosy były długie i lekko przerzedzone. Fanning uśmiechnął się do przyjaciela.

- Kiedy się ostatnio widzieliśmy. Justin? Rok temu, prawda? - zapytał.

- Chyba dawniej. Kiedy człowiek dobrze się bawi, czas szybko ucieka.

BIP!

Na konsoli z głośnikiem zapaliła się biała lampka.

- Dobry wieczór panom - odezwał się Chrapliwy głos Honeycuta.

Pogaduszki były skończone. Dwaj mężczyźni usiedli w fotelach obok głośnika i skoncentrowali na nim całą uwagę.

- Mamy dla was pilne zadanie - kontynuował Honeycut.

To nie był ten sam co zawsze cichy głos, który przydzielał im zadania. Mimo to już kiedyś go słyszeli. Mówiący przedstawił się kryptonimem Pegaz. Zamienili się obaj w słuch, czekając na instrukcje.

Ośrodek kontrolny w klubie obsługiwał wyłącznie ich dwóch. Otrzymywali instrukcje tylko tutaj i nie wiedzieli nic o lokalizacji pozostałych trzydziestu dwu ośrodków, rozrzuconych po całych Stanach. Na całym świecie było ich sto dwadzieścia dwa.

- Zabity został agent SENTINELA - zaczął Honeycut. - Jak wiecie, nie jest to nasz pierwszy agent, który zginął podczas pełnienia swoich obowiązków. Ale ten przypadek jest szczególny. Agent miał kryptonim Spartanin i zabity został przedwczoraj w Anglii. Padł ofiarą zamachu w swoim własnym domu. Ustaliliśmy, że odkryta została jego prawdziwa tożsamość, co stało się przyczyną jego likwidacji. To, proszę panów, sprawa pierwsza. Sprawa druga wiąże się z zaginięciem pewnej ważnej informacji. Spartanin przywiózł ją z Madrytu, gdzie przeprowadzał akcję specjalną. Na tę informację trafił całkiem przypadkowo. Był to dziennik pisany ręcznie po niemiecku. Spartanin znał dobrze niemiecki i zaczął go tłumaczyć. W tym samym

czasie urwała się z nim łączność. Sądzimy, że albo doszło do awarii wszczepionej płytki, albo łączność zablokował ktoś trzeci. Jeśli w grę wchodzi to drugie, mogą się spełnić nasze najgorsze obawy. W niebezpieczeństwie może się znaleźć cały program SENTINELA.

- Przepraszam pana, mam pytanie... - przerwał Honeycutowi Justin.

- Tak, słucham cię, Pielgrzym?

Czy mógłby pan nam opowiedzieć, w jaki sposób zdemaskowany został Spartanin i kto go zabił? - zapytał.

- Oczywiście. Zdołaliśmy ustalić, że jego kryptonim ujawniony został podczas przecieku, którego sprawcą był sowiecki agent piastujący wysokie stanowisko w brytyjskim wywiadzie. Zaczęliśmy już ograniczać listę podejrzanych. Mamy poważne powody sądzić, że odpowiedzialność za morderstwo ponoszą Sowieci.

Potem Honeycut przedstawił im szczegóły morderstwa i konsekwencje odkrycia przez Sowietów istnienia SENTINELA i całej agencji.

- Nie wiemy jeszcze, w jaki sposób ustalono na podstawie kryptonimu prawdziwą tożsamość tego agenta. SENTINEL ma w tej sprawie kilka hipotez, które wydają się prawdopodobne. Z powodu luki informacyjnej nie możemy jednak dokładnie stwierdzić, co naprawdę Sowieci wiedzą o agencji i SENTINELU. Stoimy w związku z tym przed podwójnym problemem. Musimy po pierwsze ustalić, ile wiedzą na ten temat, po drugie zaś odnaleźć zaginioną informację. Niestety, jeśli chodzi o pierwszą kwestię, niewiele

możemy w tej chwili zrobić. Pozostaje problem drugi - i tu zaczyna się wasza misja. W wyniku zaangażowania się w sprawę Scotland Yardu ograniczony został czas, jaki miał do dyspozycji na miejscu zbrodni Wydział Drugi. Zdołaliśmy ustalić, że Scotland Yard nie odnalazł dziennika. To oznacza, że wciąż prawdopodobnie znajduje się w mieszkaniu naszego agenta, tylko my po prostu nie potrafiliśmy go odszukać.

- Może zabrał go zabójca - wtrącił Justin. Honeycut milczał przez chwilę.

- Mów dalej - zwrócił się w końcu do Pielgrzyma.

- Powiedział pan, że Spartanin wszedł w posiadanie dziennika w Madrycie, po przeprowadzeniu akcji specjalnej. Dlaczego nie założyć, że zabił go i zabrał dziennik ktoś, kto śledził go już od Hiszpanii? - zasugerował Justin.

- To możliwe - przyznał Honeycut. - Ale naszym zdaniem Spartanin zdawał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa i zdołał ukryć informację gdzieś w swoim domu. Tak czy owak, panowie - ciągnął - już niedługo będziecie mogli wyjaśnić tę sprawę. Jedziecie do Anglii, żeby odnaleźć dziennik.

- Czy mógłby nam pan o nim powiedzieć coś więcej? - zapytał Fanning.

- Nie w tej chwili - odparł Honeycut. - Wiemy tylko, że to manuskrypt i że napisany jest po niemiecku, co już wam powiedziałem. Powinniśmy dostarczyć wam więcej danych jutro, jeszcze zanim w nocy wejdziecie do domu Spartanina. Wydział Drugi

zabrał popioły z jego kominka i właśnie przystąpił do ich analizy. Już wstępne wyniki pozwolą ustalić, czy są w nich szczątki dziennika.

Wiemy, że zaczął go tłumaczyć. Jeśli dziennik nie był zbyt długi, mógł doprowadzić pracę do końca.

- Dlaczego nie skierować do tych poszukiwań agentów, którzy przebywają w Anglii? - zapytał Justin. «- Zaoszczędziłby pan w ten sposób mnóstwo czasu.

- Ponieważ, moi panowie... - Honeycut przerwał na chwilę, żeby skoncentrować ich uwagę na tym, co ma do powiedzenia - przeciek objął również wasze kryptonimy.

Justin drgnął nerwowo. Spojrzał na Fanninga.

Ten posłał mu tak samo zaniepokojone spojrzenie. Ujawnienie kryptonimu było jedną z rzeczy, jakich najbardziej obawiał się każdy agent.

- Nie możemy narażać więcej agentów, niż to absolutnie konieczne - wyjaśnił Honeycut. - Jeśli ujawniona została również wasza prawdziwa tożsamość i dojdzie do najgorszego, wtedy nie poniesiemy przynajmniej żadnych dalszych strat. Na razie jednak wiemy tylko o ujawnieniu kryptonimów... Od zamachu na Spartanina śledziliśmy każdy wasz ruch, żeby sprawdzić, czy nic wam nie grozi. Jak zwykle będziecie korzystać z pełnej pomocy ośrodka kontrolnego SENTINELA. Będziecie mieli do" dyspozycji specjalnie zmodyfikowany model Learjeta. Latałeś już na nim, Borsuk. Traktuj go delikatnie, bo chcemy, żeby służył nam nadal.

Fanning znany, był z tego, że często niszczył sprzęt podczas akcji.

- Zaopiekuję się nim, jakby należał do mnie - odparł, uśmiechając się szeroko.

- Tego właśnie się obawiamy - powiedział Honeycut. - Pamiętaj, że chociaż zwiększyliśmy jego szybkość i zasięg, nie ma nieograniczonych możliwości.

- Jasne. Ostatnim razem dostaliście go przecież w idealnym stanie.

- Biorąc pod uwagę twój zapis służby, zmniejsza to tylko szanse odzyskania maszyny. Tak jak powiedziałem, traktuj go delikatnie.

- Jak własną żonę - odparł Fanning.

- Learjet czeka już na was na lotnisku Meigs, zatankowany i gotowy do lotu. Ośrodek kontrolny SENTINELA zaopatrzy was w plan lotu i odpowie na wszystkie wasze pytania. Wierzę, że wam się uda, panowie. Życzę powodzenia.

Biała lampka na konsoli zgasła.

Dwaj mężczyźni popatrzyli sobie w oczy.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Fanning.

- Wszystko to jest bardzo ogólnikowe - odparł Justin, potrząsając głową. - Jeśli Spartanina załatwiło KGB i Sowieci wiedzą, kim jesteśmy, sami pchamy im się w ręce.

- No tak... jeśli wiedzą, kim jesteśmy. Ale przecież jesteśmy tak dobrze zakamuflowani, że trudno uwierzyć, by ktoś mógł nas namierzyć wyłącznie na podstawie kryptonimu - stwierdził Fanning.

- Dlatego właśnie pomyślałem, że ktoś śledził Spartanina od Madrytu. Być może zabójca wrócił już do Hiszpanii i ukrył dziennik w bezpiecznym miejscu - powiedział Justin.

- Wydaje mi się, że masz rację - zgodził się Fanning. - Będziemy musieli działać bardzo ostrożnie i dobrze się wzajemnie kryć. Nie chcę, żeby ktoś odstrzelił mi tyłek.

Justin przycisnął biały guzik na konsoli.

- Tak, panowie? - odezwał się cichy głos.

- Kim był Spartanin? - zapytał Justin.

- Amerykaninem. Nazywał się William Priest. W ubiegłym roku mieszkał w Anglii.

- Priest? - powtórzył Fanning, wyprostowując się nagle w fotelu. - Bill Priest? Ze starego ośrodka w Baltimore?

- Zgadza się.

- Cholera! Znałem go, Justin. Brałem z nim udział w kilku misjach dawno temu, kiedy agencja dopiero ruszała z miejsca. Porządny był z niego facet. Naprawdę porządny. Chyba jedyny, na którym mogłem tak kompletnie polegać, oprócz ciebie oczywiście. - Fanning potrząsnął głową z niedowierzaniem i znów zwrócił się do swego anonimowego informatora: - Miał wtedy inny kryptonim, prawda? Jak on brzmiał?

- Tamburlaine - podpowiedział mu głos.

- Tak, zgadza się. Tamburlaine. Jezu, nie mogę uwierzyć, że ktoś potrafił Billy'ego tak załatwić. To był twardy facet. I cholernie sprytny.

- Czy zawsze zachowujesz ostrożność we własnym domu? - zapytał Justin.

- Chyba masz rację. We własnym domu człowiek staje się nieostrożny - przyznał Fanning, wyciągając cygaro.

- Wasze zestawy podróżne są w szafce - oznajmił cichy głos. Zaopatrzono ich we wszystko, czego mogli potrzebować w ciągu następnych trzech dni, na wypadek gdyby misja zajęła im aż tyle czasu.

- Mapy drogowe leżą na biurku. Zaznaczono na nich drogi dojazdowe do domu Spartanina - mówił dalej głos. - Wylądujecie jakieś czterdzieści mil na północ od Londynu. Wszystko zostało załatwione. Na lotnisku będzie czekał przeznaczony dla was samochód.

Fanning zapalił duże ciemne cygaro i puścił w górę kilka gęstych kłębów dymu.

- Nie potrafię w to uwierzyć - powtórzył, potrząsając głową. - Bill Priest...

- Co ty palisz? Śmierdzi jak krowie placki - powiedział śmiejąc się Justin. On także lubił cygara i jego przyjaciel dobrze o tym wiedział.

- To dobre cygaro. Ręcznie zwijane. Kubańskie - bronił się Ted. - Masz, spróbuj - zaproponował, podając mu drugie.

Justin wziął je ostrożnie do ręki i przyjrzał się opasce.

- Nigdy nie słyszałem o tej marce, ale wygląda przyjemnie - powiedział. Cygaro było twarde i miało lekko nieregularny kształt.

Zapalił je i rozkoszował się przez chwilę aromatem dymu.

- Dobre - stwierdził, kiwając głową i chowając opaskę do portfela. Zamierzał zaopatrzyć się kiedyś w cygara tej samej marki.

Następną godzinę spędzili przeglądając sprzęt wchodzący w skład zestawów podróżnych i ustalając wspólnie z SENTINELEM plan lotu. Potem sporządzili z grubsza plan działania po wejściu do domu Spartanina.

W końcu zaczęli szykować się do wyjścia. Fanning, który miał wyjść pierwszy, umówił się, że zaczeka na Justina w samochodzie przed Palmer House i razem pojadą na lotnisko Meigs.

Kiedy zakładali płaszcze, rzucił Justinowi następne cygaro.

- Jeśli będziemy mieli chwilę czasu, może uda nam się je kupić w Londynie. Tam właśnie je dostałem. To ostatnie dwa - powiedział, klepiąc się po kieszonce na piersi. Wziął do ręki torbę i wszedł do windy. - Do zobaczenia najpóźniej za dziesięć minut, partnerze. - Mrugnął okiem do Justina i zniknął za drzwiami.

Dochodziła druga w nocy, kiedy Justin i Fanning zjawili się na lotnisku. Na płycie panował prawie kompletny bezruch; w uszach dzwoniła cisza. Dwaj mężczyźni ruszyli w stronę smukłego, skrytego w mroku gatesa learjeta 24D. Jego sylwetka rysowała się niewyraźnie na tle czarnego jeziora Michigan.

Justin przysłuchiwał się miękkim, stłumionym odgłosom własnych kroków. Zaczynało go ogarniać podniecenie. Jak zwykle

przed każdą akcją, zaostrzała mu się percepcja wszystkich zmysłów. Czuł napinające się mięśnie brzucha. Przyjrzał się z bliska learjetowi.

Delikatne, odbite od błyszczącej powierzchni kadłuba światło nadawało mu niesamowity, upiorny wygląd. Samolot był o wiele mniejszy, niż to sobie wyobrażał. Tak małe maszyny nie mają na ogół zasięgu, który pozwalałby im bezpiecznie przelecieć Atlantyk. Mimo niewielkich rozmiarów learjet przypominał zwierzę, w którym drzemie olbrzymia siła. Smukłe linie kadłuba biegły z gracją do tyłu, gdzie tuż przy ogonie przymocowane były dwa potężne silniki.

Fanning zatrzymał się przed dziobem maszyny. Widział w niej piękną, pełną wdzięku kobietę, wrażliwą na jego delikatne pieszczoty, pragnącą, by ją posiadł, tylko on jeden. Wydawało mu się, że spełni każde jego tajemne życzenie, zareaguje na każde dotknięcie. Stała tutaj, czekając na niego. Tylko na niego.

Był urodzonym lotnikiem. W wieku szesnastu lat prowadził stary rolniczy samolot swego ojca niczym as pilotażu z czasów pierwszej wojny światowej. Podczas lat spędzonych w college'u również siadał za sterami samolotów i wiele latał potem. Prawie każdy manewr wykonywał jak po sznurku. Potrafił bezbłędnie kontrolować cały układ sterowniczy, instynktownie wyczuwał pozycję i szybkość samolotu.

Dotknął dłonią dziobu i delikatnie przesunął nią po metalu.

- To prawdziwa piękność, prawda?

- Jasne - odparł Justin.

- Świetnie się rozumiemy - stwierdził Fanning.

- Mam nadzieję - powiedział Justin. - Mamy do przebycia kawał drogi. Nie chciałbym od połowy pokonywać jej wpław.

- Nic się nie martw - zapewnił go Fanning. - Latałem już na niej przedtem. Ta dziecina ma naprawdę znakomite osiągi. Normalny zasięg tego typu samolotu wynosi około ośmiuset pięćdziesięciu mil przy pięciuset pięćdziesięciu milach na godzinę i pułapie czterdziestu pięciu tysięcy stóp. Zmodyfikowany model może przelecieć cztery tysiące dwieście mil z szybkością pięciuset dziewięćdziesięciu mil na tej samej wysokości. To naprawdę niesamowite możliwości jak na taką panienkę. Nikt na całym świecie nie podejrzewałby, że przelatuje taki dystans bez międzylądowania.

Justin był pod wrażeniem parametrów „panienki".

- Ile potrafisz z niej wydusić, jeśli będziemy musieli skądś naprawdę szybko zwiewać? - zapytał.

- Maksymalna szybkość zmodyfikowanego modelu wynosi siedemset dwadzieścia mil na godzinę. Ale zapomnij wtedy o dystansie czterech tysięcy mil. Kiedy zasuwa tak szybko, zasięg lotu oczywiście się zmniejsza.

Załadowali bagaż i Fanning uruchomił silniki. Po sprawdzeniu instrumentów i odebraniu instrukcji z wieży pokołowali w stronę pasa startowego. Po chwili learjet uniósł się z rykiem silników, zataczając łuk nad jeziorem Michigan. Kiedy pięli się w górę na spotkanie ciemności, Fanning zaczął gwizdać „London Brigde is Falling Down".

Byli w drodze do Anglii.

*

W Moskwie była akurat pora obiadu. Siedzącemu za biurkiem Leonidowi Trawkinowi burczało z głodu w brzuchu. Naprzeciwko siedział Andriej Ulew. Trawkin kartkował leżące przed nim raporty i akta osobowe. Ich zawartość głęboko go poruszyła.

Przed chwilą otrzymał wyniki analizy danych, które Bridges przekazał Dzwonnikowi jako dowód istnienia i możliwości SENTINELA.

- Wszystko zostało potwierdzone – oznajmił ponurym głosem. – Do najdrobniejszego szczegółu. Znają położenie każdego silosu rakietowego w okręgu irkuckim. Namierzyli je z dokładnością kilkudziesięciu metrów. Mają listy wszystkich agentów, których umieściliśmy w CIA i w Pentagonie. A ich informacje na temat naszych łodzi podwodnych klasy Siska są przerażająco dokładne, poczynając od uzbrojenia i wyposażenia elektronicznego, aż do pozycji, którą zajmowały w oznaczonym dniu i godzinie… Ten ich SENTINEL jest albo najbardziej złowrogim odkryciem od czasu rozbicia atomu, albo najsprytniej obmyślonym bluffem, jakiego kiedykolwiek spróbowali. Ale przecież nie zdołaliby zgromadzić tylu informacji… nawet gdyby mieli u nas agenta ulokowanego na najwyższym szczeblu.

- Bardzo trudno w to wszystko uwierzyć, towarzyszu generale – stwierdził Ulew. – Zgadza się, dane przekazane przez doktora Bridgesa są prawdziwe, trudno jednak uwierzyć w istnienie tego rodzaju sztucznego mózgu. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wszystko to stanowi fragment jakiejś mistyfikacji, której celem jest

podesłanie nam tego doktorka. Ten facet, kiedy się tu znajdzie, może w ciągu paru chwil kompletnie zablokować wszystkie nasze systemy komputerowe.

- Tak, potrafi to zrobić. Ale nie możemy przejść do porządku dziennego nad tą sprawą. Jeśli ten komputer istnieje, musimy go mieć. A doktor Bridges stanowi naszą jedyną szansę. Kiedy dostarczy nam dokumentację, możemy najpierw sprawdzić jej prawdziwość i dopiero potem dopuścić go do naszych komputerów. Musimy także otoczyć go wyjątkowo szczelnym systemem ochrony. Amerykanie będą starali się go wyeliminować, co do tego nie ma dwóch zdań.

Ulew pokiwał głową. Musieli podjąć jakieś działania. Dowody świadczące o istnieniu SENTINELA wyglądały zbyt poważnie, by uważać je za bluff. Wiązała się z tym sprawa trzech kryptonimów, które otrzymali poprzez wywiad brytyjski. Wszystkie dotyczące tych kryptonimów dane zostały bardzo dokładnie przeanalizowane. W ciągu ostatnich dwu lat co najmniej osiem, a może nawet jedenaście sowieckich misji zbiegło się w czasie i miejscu z amerykańskimi operacjami. Wszystkie oprócz jednej zakończyły się fiaskiem KGB. A i tej jednej nie sposób było uznać za sukces; katastrofy uniknięto ledwie o włos. Potwierdzało to informację Bridgesa o tajnej agencji, będącej na usługach SENTINELA.Jeszcze tego wieczoru Trawkin miał zamiar przedstawić osobiście całą sprawę na forum Komitetu Centralnego, a także choremu Breżniewowi. Przez głowę przelatywały mu niewesołe myśli. W końcu podniósł wzrok znad leżących na biurku papierów.

- Dziękuję, Andriej. Możesz już odejść. Poinformuję cię o wyniku rnojego spotkania z Komitetem.

Ulew wstał i wyszedł z gabinetu.

Trawkin podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił cztery cyfry, które Otwierały specjalną kodowaną linię.

Kiedy połączenie zostało potwierdzone, wykręcił następne cyfry i czekał.

- Tu Trawkin – powiedział, kiedy po drugiej stronie ktoś się odezwał. – Chcę spotkać się z Centaurem. W tym samym miejscu GO zwykle. Godzina druga zero zero… Tak… tak, dobrze – odparł Kiwając głową, po czym odłożył słuchawkę.

Centaur był jego najbardziej zaufanym agentem. Jednym z najlepszych pracowników całego sowieckiego wywiadu. Podobnie jak w przypadku SENTINELA, największym atutem Centaura był fakt, że jego istnienie otoczone było najgłębszą tajemnicą.

Aleksiej Kuradin miał wrócić z emerytury do czynnej służby, żeby iidać się w swoją ostatnią misję, od której tak wiele zależało. Jeżeli istniał człowiek, któremu mogło się to udać, był nim właśnie on.

Trawkin pomyślał o swoim starym przyjacielu i o ludziach, przeciwko którym go wysyłał. Zastanawiał się, jak dużo Amerykanie wiedzą o Centaurze. Ile zdołali się dowiedzieć rok temu w Anglii, fciedy tak blisko otarł się o śmierć? O mało go wtedy nie zabili. Ile się dowiedzieli?

Rozdział 9

Kto ma, ten ma. Do tego sprowadza się moralność polityka. Klasa rządząca musi zdać sobie sprawę, że podbite masy pozbawione są wszelkich praw. Muszą poddać się woli najeźdźcy, niezależnie od tego, czy jego zamiarem będzie przekształcenie ich w niewolniczą siłę roboczą, czy totalna eksterminacja.

Mając przed oczyma tę prawdę wstąpiliśmy na drogę, na której miało się spełnić nasze przeznaczenie. Nie powstrzymywały nas względy humanitarne, wiedzieliśmy bowiem, że dobro naszej ojczyzny wymaga podboju, wywłaszczenia i eksterminacji obcych narodów. Historia po wielekroć zaświadcza, że wielkie państwa rodzą się na gruzach mniejszych.

Przygotowani na totalne zwycięstwo, nie dopuszczaliśmy do siebie myśli o klęsce.

Ustęp 16 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Sowieckie metody śledcze przeszły długą ewolucję od czasów Stalina, kiedy potrzebne informacje uzyskiwało się prostymi metodami. Teraz zamknięte usta i umysły otwierano za pomocą narkotyków; tortury fizyczne zastąpiono psychicznymi. Czasami jednak odwoływano się do bezpośrednich środków nacisku – kiedy na przykład pewne konkretne oskarżenie wymagało pewnego konkretnego zeznania; kiedy potrzebnych było tylko kilka słów.

Iwan Kutz pełnił w KGB obowiązki śledczego. Do tajnej policji wstąpił jeszcze w epoce stalinowskiej i z satysfakcją wykonywał swoje zadania podczas dwóch wielkich czystek, które nastąpiły po śmierci dyktatora. Był mistrzem w zadawaniu bólu, potrafił doprowadzić swoją ofiarę do stanu, kiedy może zdobyć się tylko na krzyk: „Dosyć! Powiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć!" Dlatego właśnie polecono mu, by zajął się Ilią Bodonowem.

Pokój przesłuchań był mały i duszny; unosił się w nim zapach bólu i strachu. Rozjaśniał go jedynie wąski, padający z sufitu stożek światła. W środku tego stożka tkwił przywiązany do krzesła Bodonow.

Krzesło zaopatrzone było w różnych miejscach w elektrody.Przekręcenie odpowiedniego przełącznika powodowało porażenie prądem dowolnej części ciała ofiary. Na skraju stożka światła stał stół, a na nim skrzynka z licznymi przełącznikami, do których podłączono biegnące od krzesła kable. Był tam także opornik, za pomocą którego można było regulować napięcie prądu. Przełączniki kontrolowały czas trwania impulsu.

Bodonow okazał się bardzo upartym człowiekiem. Sprawiło to Kutzowi wyjątkową przyjemność. Im dłużej opierał się Bodonow, tym bardziej cieszył się Kutz. Zrezygnował w końcu z nowszych metod, odwołując się do swego koronnego „argumentu": starej, obszytej skórą pałki, dzięki której odniósł tyle sukcesów za czasów Stalina.

Nie ufał technicznym nowinkom. Nigdy nie pozwalały dokładnie ocenić intensywności zadawanego bólu. Stosował je na

początku przesłuchania, ale potem nieodmiennie wracał do starych, sprawdzonych metod. Rozbity łuk brwiowy lub wybity ząb bardziej przemawiały do jego wyobraźni niż niewidzialny prąd, który przepuszczał przez ciała swoich ofiar. A zakończone sukcesem przesłuchania usprawiedliwiały stosowane przez niego środki.

W ręce Kutza oddawano tylko tych więźniów, których określano jako jednokierunkowych". Sowieckie poglądy na temat kary więzienia, wrogów państwa i zagrażających spokojowi ogółu jednostek są raczej czarno-białe i nie ma w nich miejsca na półcienie. W aresztach wielu było takich „jednokierunkowych" – ludzi, którzy musieli złożyć zeznania, zanim miał im zostać wymierzony najwyższy wymiar kary.

Kutz krążył wokół Bodonowa; w kręgu światła widoczne były tylko jego błyszczące buty. Bodonow widział umieszczone na skraju stołu przełączniki, które regulowały przepływ prądu przez jego jądra i inne części ciała. Z mroku niczym zza czarnej kurtyny wynurzała się co jakiś czas biała ręka, żeby przekręcić jeden z nich. A potem padały te same, powtarzane po wielekroć pytania. Bodonow nie odpowiedział jak dotąd na żadne. W końcu wstrząsy elektryczne ustały. W ciemności błysnęła pałka. Każde uderzenie trafiało gdzie indziej, każde zadawało inny, jedyny w swoim rodzaju ból.

Prawego oka Bodonowa nie było widać spod opuchlizny. Lewe zredukowane było do wąskiej szpary z długimi, głębokimi ranami powyżej i poniżej. Dolna warga była fatalnie przecięta i nabrzmiała,

górna spuchnięta i pokaleczona w miejscach, w które wbiły się jego własne zęby, zanim je stracił.

Kutza cieszył upór ofiary. Miał nadzieję, że Bodonow wytrzyma jeszcze trochę więcej.

Ale wiedział zarazem, że pod ścianą siedzi ukryty w mroku Wasilij Truszczenko. Wiedział, że Truszczence bardzo zależy na tym zeznaniu i czuł, że jest bacznie obserwowany. Bardzo chciał zasłużyć sobie na jego szacunek, więc przyjemność musiał odłożyć na później – teraz najważniejsze było zeznanie.

Pałka wychyliła się z mroku, trafiając Bodonowa w szczyt ramienia. Więzień skurczył się i jęknął z bólu, ale nie powiedział ani słowa.

- Teraz nam powiesz! – wrzasnął Kutz. – Odpowiesz na wszystkie moje pytania!

Cisza.

Pałka uderzyła ponownie, tym razem w ucho. Bodonow znowu jęknął, przechylając w bok głowę. Wiedział, że jest „jednokierunkowy". Pytania nie pozostawiały żadnej wątpliwości co do tego, jakie oskarżenie mu grozi. Ale nie pomoże im załatwić Czachowskiego. Czachowski jest wspaniałym człowiekiem i nie powinien wylądować w tym bagnie.

Śledczy doskoczył do Bodonowa, złapał go za włosy i pociągnął do tyłu.

Bodonow po raz pierwszy ujrzał twarz swego prześladowcy. Wytężał wzrok, żeby zobaczyć ją wyraźniej przez łzy, które wypełniły

spuchnięte oko. Obraz był zamazany, twarz zniekształcona. Zebrał ślinę i splunął.

Kutz wpadł w szał. Zaczął walić Bodonowa po przegubach rąk i po łokciach. Nagle przypomniał sobie o obecności Truszczenki. Odzyskał panowanie nad sobą.

- Sprowadźcie tutaj dziewczynę – warknął. Trzęsąc się ze złości, wlepił w Bodonowa ponure spojrzenie. – Daję ci ostatnią szansę odpowiedzi na moje pytania. Kiedy po raz pierwszy spotkałeś Dymitra Czachowskiego?

Cisza.

- Czy uprawiałeś seks ze swoją siostrą? Cisza.

- Utrzymywałeś sprzeczne z naturą stosunki seksualne z innymi mężczyznami i małymi dziećmi. Może zaprzeczysz temu?

Cisza.

- Pieprzyłeś się z Dymitrem Czachowskim? Znów żadnej odpowiedzi.

- Opowiedz mi o Dymitrze Czachowskim i o małych dzieciach, z którymi zaspokajał swoje zboczone żądze.

- To nieprawda – odezwał się Bodonow, po raz pierwszy od chwili, kiedy wyciągnięto go z łóżka.

- A więc jednak mówisz! – wrzasnął Kutz. – Powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć!

Znów odpowiedziała mu cisza.

- Twoja siostra już złożyła zeznania.Bodonow podniósł ze zdumieniem wzrok. Jego siostra? Przecież jej nie zabrali. Nie mogli tego zrobić… Otworzyły się drzwi.

- Nie wierzysz, że to prawda? – zapytał Kutz, szczerząc w złowrogim uśmiechu zęby. – Pokażę ci. Dajcie ją tutaj bliżej – rozkazał.

Siedzący z tyłu Truszczenko nie odezwał się ani słowem. Wiedział, że dla Bodonowa nadszedł krytyczny moment. Jeśli w ogóle coś powie, stanie się to właśnie teraz.

Dwaj strażnicy rzucili skatowane ciało w krąg światła. Bodonow wytężył wzrok. Ujrzał długie, czarne włosy, pokaleczoną twarz, połamane i powykręcane palce, poranione piersi.

Jego piękna siostra… Co oni jej zrobili? I za co? Komu oboje szkodzili? To, co robili, nie zagrażało przecież państwu. Spojrzał na swojego oprawcę. Nadal nie widział go wyraźnie, ale nie odrywał od niego wzroku.

Kutz uważnie go obserwował, widział wlepione w siebie załzawione oko. Wiedział, że wygrał. Mógł teraz użyć ostatecznego argumentu.

Pochylił się i zbliżył twarz do twarzy Bodonowa. W jego głosie nie brzmiała już groźba; był teraz delikatny i niemal czuły.

- Zostawimy twoją siostrę w spokoju i dopilnujemy, żeby natychmiast zajął się nią lekarz... pod warunkiem, że powiesz nam, co chcemy wiedzieć. W przeciwnym razie... - jego głos ponownie stwardniał - zmusimy cię, żebyś oglądał, jak łamiemy jej...

- Powiem! - zawołał Bodonow, jeszcze zanim Kutz skończył mówić. - Powiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć - powtórzył i szlochając przekręcił głowę, żeby przyjrzeć się siostrze. - Obiecaliście. Dacie jej spokój i dopilnujecie, żeby się nią zaopiekowano? - zapytał.

Kutz położył mu uspokajającym gestem rękę na ramieniu.

- Oczywiście, zrobimy to. Daję ci na to moje słowo - powiedział. Wyprostował się i obrócił w stronę siedzącego w ciemności Truszczenki. Na twarzy miał wypisane zwycięstwo.

Truszczenko dostrzegł u Kutza erekcję. Pogardzał tamtym i jego małym chorym móżdżkiem, ale musiał przyznać, że facet był skuteczny. Dostarczył mu tego, czego potrzebował, żeby wyrównać stare rachunki.

- Opowiedz nam teraz o małych dzieciach... - zaczął Kutz.

*

Zima nie dawała za wygraną, zasypując w marcu Moskwę dziesiątkami ton śniegu. Pośród szalejącej śnieżycy stał samotny mężczyzna, wpatrując się w stojącą przed nim starą kamienicę.

Przyjrzał się dokładnie szarej fasadzie, a potem jeszcze raz omiótł wzrokiem wyludnione, zaśnieżone ulice.

Zerknął na zegarek. Choć wcale na to nie wyglądało, zbliżała się druga w nocy. Śnieg sprawił, że wszystko wydawało się jakby jaśniejsze, a pora wcześniejsza niż w rzeczywistości. Mężczyzna pokonał kilka schodków i wszedł do środka budynku.

Wspiął się na czwarte piętro i ruszył cicho korytarzem w stronę apartamentu, w którym kazano mu się zgłosić. Wystukał na drzwiach szyfr. Odpowiedziało mu pojedyncze puknięcie. Zastukał szybko dwa razy. Drzwi się otworzyły.

Gość wszedł do środka i ze zdumieniem rozpoznał w stojącym za drzwiami mężczyźnie Leonida Trawkina. Szef KGB nigdy nie kontaktował się osobiście z agentami. Ta sprawa musiała być bardzo ważna. Trawkin zamknął za nim drzwi.

- Dobry wieczór, Aleksy - pozdrowił starego przyjaciela. - Miło cię ponownie widzieć po tak długiej przerwie.

Uściskali się serdecznie.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, Leonid. Powiedz mi, cóż to za nie cierpiąca zwłoki sprawa, że wywabiliście z matecznika takiego starego wilka jak ja? - zapytał Aleksy Kuradin, wpatrując się bacznie w oczy przyjaciela.

- Sytuacja jest krytyczna - odparł Trawkin.

Tak to zostało określone na posiedzeniu Komitetu Centralnego. Czekali na niego z niecierpliwością. Szedł tam myśląc, że niełatwo będzie ich przekonać, iż sprawa jest naprawdę poważna. Tymczasem to oni tłumaczyli mu, jak wielkie ma znaczenie.

W posiedzeniu uczestniczyło kilku czołowych rosyjskich informatyków. Udzielili mu bardzo pogmatwanego krótkiego kursu cybernetyki - nauki, która zajmuje się mechanicznym przedłużaniem możliwości ludzkiego mózgu.

Jego umysł, nie przyzwyczajony do tego rodzaju rozważań, szybko pogubił się w labiryncie technicznych terminów i definicji. Zrozumiał z tego tyle, że Związek Sowiecki znajduje się w trakcie wdrażania zakrojonego na wielką skalę programu, który ma go uczynić pierwszym cybernetycznym społeczeństwem w historii. Socjologiczno-technologicznym społeczeństwem, w którym systemy cybernetyczne będą wspomagać - lecz nie kontrolować - oświatę, rolnictwo, przemysł, handel i wszystkie inne ważniejsze dziedziny aktywności społecznej.

Wiedział, że Rosjanie mają więcej matematyków niż jakikolwiek kraj na świecie i że selekcjonuje się tu cudowne dzieci niemal od kołyski, umieszczając je następnie w specjalnych warunkach, w których mogą maksymalnie rozwijać swoje zdolności. Nigdzie na świecie nie skoncentrowano tylu środków, żeby osiągnąć ten cel, i nigdzie nie było takiej obfitości talentów, dzięki którym mógł zostać zrealizowany. Mimo to cały ich program był właściwie w proszku. Potrzebny był przełom w biocybernetyce, taki, jakiego dokonali Amerykanie.

Sowieccy naukowcy przyznali, że istnienie SENTINELA jest prawdopodobne i że może on dysponować przedstawionymi przez Bridgesa możliwościami. Gdyby udało się skonstruować taki komputer w Rosji, Związek Sowiecki mógłby bardzo szybko prześcignąć Amerykę.

Kuradin wysłuchał w milczeniu Trawkina, który zrelacjonował mu całą historię, poczynając od pierwszego spotkania Bridgesa z

Rossem aż po posiedzenie Komitetu Centralnego. Kiedy skończył, wręczył przyjacielowi dwa grube pliki akt. Zawarte w nich były wszystkie informacje na temat sprawy.

- No, Aleksy? - zapytał. - Co o tym sądzisz?

- Odpowiem na to pytanie, kiedy się z tym wszystkim dokładniej zapoznam. Potrzebuję jednego dnia - odparł Kuradin.

- Komitet Centralny wyraził jeszcze jedną opinię, o której zapomniałem ci powiedzieć - oznajmił Trawkin. - Po dokładnym zapoznaniu się z ***dossier*** doktora Bridgesa doszli do wniosku, że jego obecność wcale nie jest niezbędna. Potrzebna nam jest jego dokumentacja, ale nie on sam. Komitet uważa, że doktor znacznie przecenia swoją rolę i wkład w realizację programu.

- To z pewnością ułatwi mi pracę. Ale co będzie, jeśli najistotniejsza informacja zawarta jest w jego głowie albo zaszyfrował ją sobie tylko znanym kodem? - zapytał Kuradin.

- Wtedy będziemy musieli go tu przerzucić - odparł Trawkin. - Będziesz musiał podjąć decyzję, kiedy go zobaczysz. Powinieneś się przygotować na obie ewentualności.

Kuradin kiwnął potakująco głową.

- Dostarczymy ci tutaj wszystko, czego będziesz potrzebował - mówił dalej Trawkin. - Skontaktuję się z tobą jutro o tej samej porze. Gdybyś potrzebował czegoś, daj mi znać, a ja dopilnuję, żeby ci to przysłano. Ta sprawa ma absolutny priorytet. Wszystko jest do twojej dyspozycji.

Trawkin wstał, jakby miał zamiar wyjść. Kuradin podniósł się razem z nim.

- Jeszcze jedno, Aleksy... - zaczął szef KGB i przerwał, żeby skoncentrować uwagę przyjaciela na tym, co miał zamiar powiedzieć. - Przeczytaj uważnie raport na temat trzech agentów, który otrzymaliśmy z Anglii. Nasze dane na temat działalności tej trójki potwierdzają informację doktora Bridgesa o istnieniu supertajnej agencji wywiadowczej. Powiązaliśmy z jej akcjami co najmniej osiem naszych operacji. Wszystkie oprócz jednej zakończyły się niepowodzeniem. W tej misji, która nie zakończyła się klęską, uczestniczył jeden z naszych najlepszych ludzi. O mały włos nie skończył jak inni. Było to rok temu, w Anglii.

Kuradin usiadł z powrotem na krześle i wlepił wzrok w podłogę. Machinalnie zaczął masować kikut małego palca u lewej ręki. Przeniósł się pamięcią do Anglii. Znowu poczuł wstrząs, jakiego doznał, kiedy po przebiciu przedniej szyby kula uderzyła w kierownicę i zmieniając tor trafiła go w lewe udo.

Przypomniał sobie paraliżujące chwile po postrzale, kiedy stracił czucie w ręce. Poczuł na nowo przeszywający ból w nodze. Dopiero znalazłszy się w bezpiecznym miejscu mógł ocenić swoje obrażenia. Stracił palec, ale rana na udzie była tylko powierzchowna.

Spocił się cały. Czuł napinające się ze strachu mięśnie żołądka - zupełnie tak samo jak wtedy. Nadal masował kikut.

- To był Anglik... Pomyślałem później, że może...

- To był Amerykanin, Aleksy - przerwał mu Trawkin. - Amerykanin o kryptonimie Pielgrzym. To on strzelał do ciebie tamtego dnia, to on o mało cię nie zabił.

Kuradin miał zamyślony, nieobecny wyraz twarzy.

- Amerykanin? Pielgrzym? - powtórzył.

- Co o nim myślisz? - zapytał Trawkin.

Kuradin wstał i podszedł do okna. Odsunął na bok ciężkie zasłony i przez chwilę przyglądał się padającemu śniegowi.

- Często o nim myślałem. Tysiąc razy pytałem samego siebie, czy potrafi być ode mnie lepszy. Skąd wiedział? Tak mało brakowało, żeby mnie zabił... żeby mnie pokonał. - Odwrócił się do Trawkina. - Oddał do mnie tylko jeden strzał. Mógł strzelić jeszcze raz, ale nie zrobił tego. Zastanawiam się, dlaczego. - Odwrócił się z powrotem w stronę okna. - Czułem jego obecność. Dwa dni przed ostatnim spotkaniem z kurierem wiedziałem, że jest coraz bliżej. Z każdym moim krokiem on również zbliżał się do mnie o jeden krok. Czułem, że jest tuż za mną. A potem wyprzedził mnie i czekał. Myślałem, że być może przyszedł śladem kuriera, ale kiedy wywalił kopniakiem te drzwi, wiedziałem już, że przyszedł po mnie. Miałem dużo szczęścia.

Otarł pot z czoła i górnej wargi.

- Misja zakończyła się sukcesem, Aleksy. To ty wygrałeś to starcie, nie Pielgrzym - powiedział Trawkin.

- Czyżby? Nie wiem. - Spojrzenie Centaura odpłynęło w bok. - Tak, dostarczyłem wam informację. Udało mi się unieść z tego cało głowę. Ale nie wiem, dlaczego tak się stało. Miał mnie w ręku.

Powinienem tamtego dnia umrzeć.Pomasował delikatnie bolącą rękę. Nagle przeszedł go nerwowy dreszcz. Pojął, co stara się mu dać do zrozumienia Trawkin. No tak, komputer należał do Amerykanów... A Pielgrzym był Amerykaninem. Możliwe było ponowne spotkanie.

Pokiwał głową i spojrzał Trawkinowi twardo w oczy.

- Nie martw się, Leonid. Uwzględnię w swoim planie i jego, i ten komputer... jeśli w ogóle istnieje.

Tym razem na pewno nie przegra z Pielgrzymem. To zwycięstwo będzie niepodważalne i ostateczne. Rewanż nie zakończy się klęską.

- Zobaczymy się jutro, Aleksy. Śpij dobrze, przyjacielu - powiedział Trawkin i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Schodząc po schodach myślał o tym, jak słaby i zmęczony wydawał się Kuradin. Wyglądał dużo starzej niż rok temu. Zawsze sprawiał wrażenie małego i wątłego, lecz Trawkin wiedział, że w niepozornym ciele Centaura kryje się siła i odwaga wielkiego niedźwiedzia. Odniesie sukces, jak zwykle.

Po wyjściu Trawkina Kuradin wpatrywał się przez kilka długich chwil w drzwi. Zastanawiał się, czy szef KGB wie o tym, że jego najlepszy agent jest ciężko chorym człowiekiem. Stan Centaura był krytyczny, czekało go dwanaście, najwyżej osiemnaście miesięcy życia. Miał już serdecznie dosyć szpiegowskiego rzemiosła. Chciał spędzić ostatnie dni razem z córką i wnukami.

Gdyby tylko wiedzieli, w jaki sposób ich dziadek zarabiał na życie, pomyślał.

Ale kochał przecież także swoją ojczyznę... Powinien poświęcić się dla niej po raz ostatni, a potem spędzić czas, który mu pozostał, bawiąc się z wnukami i opowiadając im historie o starej Rosji, o tym, jak stała się wielkim mocarstwem. A także o czekającej ich wspaniałej przyszłości - przyszłości, do której narodzin miał się przyczynić.

Zabrał z biurka pliki akt, notes i kilka ołówków. Mały pokój wyposażono we wszystko, czego potrzebował.

Zgasił wszystkie światła oprócz małej nocnej lampki, po czym ułożył jedną na drugiej poduszki i oparłszy się o nie usadowił wygodnie w łóżku. Wziął do ręki pierwszy skoroszyt. Na jego okładce widniało tylko jedno słowo: SENTINEL.

Potwierdzi jego istnienie; sprawdzi, czy rzeczywiście kieruje nim tak potężny intelekt i żelazna logika.

Jak można pokonać komputer? - zapytał sam siebie.

Przez chwilę się zastanawiał.

Atutem sztucznej inteligencji jest logika. Logika, powtórzył w myśli. Logika i... szybkość.

Tak, oczywiście. Logika... i szybkość, to jej dwa największe atuty. Ale również narzędzie, za pomocą którego będzie można ją pokonać.

Rozdział 10

Pierwszego września 1939 roku zaatakowaliśmy Polskę. Kampania trwała 37 dni. Pomiędzy dziesiątym maja a dwudziestym

piątym czerwca roku 1940 ostatecznie zniszczyliśmy anglo-francuską koalicję. Nasze wojska zajęły Holandię, Belgię, Luksemburg i Francję.

Wydawaliśmy się światu niezwyciężcni. W rzeczywistości jednak ponieśliśmy poważne straty. Prawie 50 000 zabitych, 110 000 rannych. Nasza marynarka doznała znacznych strat podczas kampanii norweskiej; nasze siły powietrzne zostały prawie zdziesiątkowane podczas zwycięskiej akcji na Zachodzie, a Luftwaffe nie udało się opanować nieba nad Anglią.

Wojna trwała dalej, ale stało się jasne, że armia niemiecka nie zdoła wygrać wojny na wyniszczenie.

Rozwiązanie leżało na Wschodzie. Dwudziestego drugiego czerwca 1941 wkroczyliśmy do Rosji.

Ustęp 18 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Learjet wylądował na prywatnym lotnisku opatrzonym kryptonimem Brighton i położonym niedaleko Huntington, mniej więcej sześćdziesiąt mil na północ od Londynu. Justin i Fanning pojechali stamtąd na zachód, do domu Spartanina, który znajdował się na przedmieściach Coventry.

Przejechali powoli ulicą; Fanning obejrzał szybko teren. Pogrążony w ciemności dom stał w pewnym oddaleniu od innych. Widać było jednak wyraźnie sąsiednie budynki po obu stronach ulicy,

co oznaczało, że podczas przeszukania będą musieli zawiesić w oknach specjalne zasłony.

Przejechali jeszcze jakieś pół mili i zatrzymali się.

- Ośrodek kontrolny SENTINELA, zgłasza się Borsuk - powiedział Fanning.

BIP!

Dźwięk, który wydała wszczepiona płytka, poinformował go, że jest w kontakcie z ośrodkiem kontrolnym SENTINELA.

- Co mówią twoje czujniki? - zapytał.

- Na terenie posiadłości nie ma nikogo z personelu. Wasz samochód dostrzeżony został z satelity. Czujniki stwierdzają również, że dom jest nadal ogrzewany. Temperatura gabinetu wynosi siedemdziesiąt dwa stopnie Fahrenheita. W pozostałej części domu jest od sześćdziesięciu do sześćdziesięciu czterech stopni.

- Samochód zostawiamy tutaj. Znasz naszą pozycję? - zapytał Fanning.

- Tak - odpowiedział cichy głos.

- Obserwuj bez przerwy samochód. Do domu przedostaniemy się przez posiadłość graniczącą z nim od północy.

- Przerywam kontakt do czasu, kiedy sprawdzicie, czy w domu nie ma żadnych urządzeń elektronicznych.

- Zrozumiałem.

Byli teraz zdani sami na siebie, chyba że czujniki odnotowałyby coś nienormalnego. Ośrodek kontrolny SENTINELA przerywał ciszę tylko w krytycznej sytuacji.

Bezszelestnie skradali się przez sąsiednie posiadłości. Konieczność zachowania ciszy odbijała się niekorzystnie na tempie, w którym pokonywali teren.

Każdy z nich niósł czarną płócienną torbę, zawierającą różne elektroniczne urządzenia. Po raz ostatni sprawdzili czujnikami posiadłość, po czym w czterech rogach wokół domu ustawili automatyczne sensory. W ich zasięgu znajdował się teraz cały teren; gdyby do domu ktoś się zbliżał, zostaliby natychmiast zaalarmowani.

Na podstawie dostarczonego im planu domu zdecydowali, że najlepiej będzie wejść do środka przez tylne drzwi, które prowadziły bezpośrednio do dużej piwnicy.

Czujniki wykazały, że przy drzwiach nie zamontowano żadnego alarmu. Weszli do środka.

Po piętnastu minutach udało im się ustalić, że w domu nie zainstalowano żadnych urządzeń elektronicznych. Zasłonili okna w gabinecie prostokątami czarnego filcu i uszczelnili je taśmą samoprzylepną. Dopiero potem włączyli jarzeniówkę przy biurku. Z zewnątrz nikt nie powinien zauważyć żadnego światła.

- Oświetlenie jest za słabe, Ted. Zapal tę lampę na górze - powiedział Justin, pokazując kontakt w ścianie. Duży pokój zalało jaskrawe światło. Jedną ścianę zajmowała w całości wielka biblioteka.

Ich uwagę przyciągnęły roztrzaskane drzwi do łazienki w przeciwnym końcu pokoju.

- W łazience może być okno - powiedział Fanning, gasząc górne światło. Gabinet znowu oświetlało tylko przyćmione światło starej jarzeniówki. Drzwi do łazienki wyglądały w nim jeszcze gorzej.

Justin pchnął je do środka. W łazience rzeczywiście znajdowało się małe okienko, w którym tkwiła gruba matowa szyba. Zasłonił je szczelnie, po czym zapalił światło.

Podłoga pokryta była rozmazaną, zaschniętą krwią, w której pozostawiono wiele odcisków stóp. Ktoś, zapewne kiedy zabierano zwłoki, próbował, najwyraźniej bez większego przekonania, oczyścić podłogę. Wyglądało na to, że poza tym nikt nie ruszył tutaj palcem od dnia zabójstwa.

Pochlapane krwią ściany i toaleta podziurawione były śrucinami, które nie trafiły Spartanina. Żaden z mężczyzn nie powiedział ani słowa.

Wrócili do gabinetu.

- Dobra, skąd zaczynamy? - zapytał Fanning.

- Chyba stąd. W tym pokoju przebywał przed śmiercią - powiedział Justin. Przyjrzał się olbrzymiej bibliotece. - Jezu, to może być wszędzie. W jednym albo stu kawałkach. W porządku, zaczynajmy. Stojąc i gadając niczego nie zdziałamy.

W ciągu następnych czterech godzin przeszukali cały pokój, lecz niczego nie znaleźli. Justin przekartkował każdą książkę, a Fanning sprawdził każdy kwadratowy cal gabinetu. Bez rezultatu.

Pracowali bez przerwy z wyjątkiem krótkich chwil, kiedy odzywały się umieszczone wokół domu sensory. Dwukrotnie granicę

posiadłości przekroczyły psy. Satelita natychmiast ustalił temperaturę i masę obiektu i odwołał alarm.

Mieli jeszcze jakieś półtorej godziny do wschodu słońca. Mogli kontynuować poszukiwania przez cały następny dzień, tak długo, dopóki nikt nie zbliży się do domu. Umieszczone wokół domu sensory były dobrze ukryte i nie powinny zwrócić niczyjej uwagi, podobnie zresztą jak samochód, zaparkowany w znacznej odległości od ulicy. Musieli tylko odsłonić przed wschodem słońca okna.

Fanning usiadł za biurkiem, a Justin w fotelu po drugiej stronie. Byli zmęczeni. Od opuszczenia Chicago nie mieli prawie chwili odpoczynku.

- Może gdzieś tutaj jest jakaś tajna skrytka? - zasugerował Fanning.

Przeszukali całe biurko już wcześniej i nie znaleźli niczego oprócz kilku małych zeszytów, zawierających notatki na temat dokonanych w domu i na terenie posiadłości napraw, oraz drugiej jarzeniówki, która wyglądała, jakby nikt nie używał jej od lat.

Fanning omiótł ponownie wzrokiem blat biurka. Wszystko było tu normalne, zwyczajne: stara lampa, notatnik, kalendarz, zszywacz, pudełko na cygara, kilka rachunków i przycisk do papieru zrobiony z pleksiglasu, w którym zatopiono kilkadziesiąt błyszczących amerykańskich jednocentówek. Potrząsnął głową i westchnął.

Otworzył pudełko cygar i zajrzał do środka.

- Nie będzie już ich potrzebował - powiedział. - Chcesz jedno? - zapytał swego towarzysza.

- Nie. Ty też lepiej nie pal - powiedział Justin. - Zapach cygara zostanie tutaj przez kilka dni. Jeśli ktoś się zjawi, będzie wiedział, że w domu byli goście.

- Myślisz, że powinienem je odłożyć z powrotem? - zapytał Fanning.

- Nie, nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie. Dziwi mnie, że nikt ich do tej pory nie zabrał - stwierdził Justin.

- Myślę, że Spartanina zabito z powodu tego dziennika - przerwał mu Fanning. - Nie ma tutaj po nim śladu. Może zabójca zabrał go ze sobą lub spalił w kominku. Może Billy nie zdążył go przetłumaczyć i zginął, zanim doprowadził rzecz do końca. Jedno jest pewne - zakończył - dziennika nie ma w tym pokoju.

Justin kiwnął ze zmęczeniem głową.

- Dobra, sprawdźmy teraz resztę domu. Chcę szybko skończyć tę robotę. Ciarki chodzą mi po plecach.

*

Dymitr Czachowski siedział w swoim paryskim apartamencie, trzymając na kolanach kartkę z rozszyfrowaną wiadomością od Szpaka. Na stole stało nie tknięte śniadanie.

Wszystko było stracone. Wszystko. Dwadzieścia trzy lata służby, sukcesy, odznaczenia i zasługi. Żadna z tych rzeczy nie miała już znaczenia. Za kilka dni aresztują go i wywiozą do Rosji niczym pospolitego przestępcę.

Spojrzał na kartkę i ponownie ją przeczytał.

Truszczenko aresztował Ilię Bodonowa. Przyczyna aresztowania nieznana. Zabrano również jego siostrę. Przesłuchanie prowadzi Kutz. Dam znać, jeśli wiadomo będzie coś więcej. Szpak.

Czachowski wiedział, dlaczego Bodonow został aresztowany. Znał Kutza i jego metody i wiedział, że Bodonow wcześniej czy później się załamie i zezna wszystko, co mu każą. Nie było żadnej szansy obrony przed zarzutami, które Truszczenko postawi mu w ciągu kilku następnych dni. Musiał uciekać.

Sporządził już przedtem dokładny plan na wypadek, gdyby doszło do najgorszego. Ta chwila właśnie nadeszła. Był gotów.

Zadzwonił do konsulatu i przez chwilę rozmawiał ze swoją sekretarką. Zawiadomił ją, że wybiera się dziś w zaplanowaną wcześniej podróż na południe Francji. To powinno dać mu dwa dni, zanim odkryją jego zniknięcie.

Jego ranga dawała mu pewne przywileje, między innymi możność w miarę swobodnego poruszania się po kraju. Wyszedł z apartamentu i pojechał służbowym samochodem na dworzec. Wsiadł do pociągu, zajął miejsce w przedziale, umieścił bagaż na półce i spokojnie czekał na odjazd. Ale kiedy pociąg ruszył do Lyonu, Czachowskiego nie było wśród pasażerów.

Ostrożnie szedł przez Paryż, wracając skomplikowaną trasą. Chciał się upewnić, że nikt go nie śledzi. Był wolny i miał do dyspozycji co najmniej dwa dni na realizację planu ucieczki na Zachód.

Uważnie przyglądał się ludziom w oknach i na ulicy. Potrafił rozpoznać twarze agentów KGB, jakby naznaczeni byli niewidzialnym piętnem.

Poranne powietrze było wilgotne i chłodne. Dopiero przed kilku minutami przestał padać deszcz. Oddech Czachowskiego zamieniał się w mgiełkę. Znalazł budkę telefoniczną i wszedł do środka. Bolał go kark i czuł ucisk w piersi.

Wziął do ręki słuchawkę i wykręcił numer. Na jego twarzy pojawiły się kropelki potu.

- Halo? – Po drugiej stronie linii rozległy się trzaski.

- Henri? – zapytał Czachowski.

- Tak, to ja. Kto mówi? – zapytał głos.

- Joseph. Potrzebuję twojej pomocy – powiedział Czachowski, używając ustalonego wcześniej kryptonimu.

Henri nie spodziewał się tak prędko tego telefonu. Dopiero przed dwoma dniami otrzymał od Josepha instrukcje.

- Tak… tak. Co mogę dla ciebie zrobić? – wyjąkał zmieszany, próbując przypomnieć sobie dokładną treść instrukcji. – Gdzie jesteś? Zaraz do ciebie przyjadę.

- Nie, Henri, nie wolno ci do mnie przyjeżdżać – powiedział szybko Czachowski. – Musisz zanieść do amerykańskiego konsulatu list, który ci dałem. Masz go?

- Tak, mam.

- To dobrze… dobrze. Musisz go zaraz zanieść. Oddaj go Robertowi Morsandowi. Tylko jemu. Zapamiętałeś nazwisko?

- Tak. Robert Morsand – powtórzył Henri.

- Masz oddać list tylko jemu.

- Tak, oczywiście. Na pewno cię nie zawiodę. Już wychodzę. Czachowski był cały mokry. Krople potu spływały mu po czole.

W małej budce robiło się duszno, coraz trudniej było oddychać.

- Dziękuję, Henri. Nigdy ci tego nie zapomnę – powiedział. W słuchawce zapadła cisza.Rosjanin nie wychodził z budki. Pocił się obficie, całe jego ciało ogarnęła dziwna słabość. Nigdy przedtem bóle nie były tak silne. Wyjął niewielką fiolkę, wysypał na dłoń małe tabletki i włożył jedną z nich pod język.

Jego oddech stał się ciężki i urywany. Bolała go szyja, a ucisk w piersi stał się wprost nieznośny. Nie mógł złapać tchu. Wydawało mu się, że znalazł się pod wodą, że tonie uwięziony w tej przeklętej budce. Musiał wyjść na zewnątrz.

Pchnął drzwi. Nie chciały się otworzyć. Czuł, że za chwilę się udusi.

Brak mi tchu... muszę stąd wyjść... muszę wyjść!

Ogarnęła go panika. Znów usiłował otworzyć drzwi, ale stawiały wyraźny opór. Zaczął je drapać palcami, walcząc zawzięcie o to, żeby wydostać się na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Budka próbowała go zabić. Musiał stąd wyjść... musiał wyjść... musiał złapać oddech! Oparł się z całej siły o drzwi.

A potem nagle znalazł się na zewnątrz. Klęczał na chodniku, łykając rozpaczliwie życiodajne powietrze. Przy każdym oddechu pierś rozrywał mu ostry ból. Jego pole widzenia zawęziło się do

małego światła w końcu długiego ciemnego tunelu. Dotknął czołem zimnej, wilgotnej ziemi i próbował wdychać powoli powietrze, tak głęboko, jak tylko pozwalał mu na to ból w piersi. Obok leżącej na chodniku fiolki rozsypało się kilka tabletek. Sięgnął odrętwiałą dłonią po jedną z nich i włożył do ust.

Wydawało mu się, że minęła cała wieczność, zanim ustąpił ból i dławiący ucisk w piersi. Mógł głębiej odetchnąć, powiększało się światło w tunelu, ale poczuł się zupełnie wyzuty z sił.

W końcu uniósł głowę i wyprostował się na klęczkach. Wokół niego stali ludzie. Kiedy podniósł wzrok, nikt się nie odezwał, wlepiali tylko w niego zdumione oczy. Dźwignął się z ziemi. Przez chwilę chwiał się na nogach, a potem odzyskał równowagę i ruszył niepewnie przed siebie, zlany potem, na uginających się, miękkich nogach. Chłodne powietrze dobrze mu zrobiło. Powoli zaczynał odzyskiwać siły. Spojrzał na zegarek. Zostało mu akurat tyle czasu, żeby dojść do następnej budki.

*

Henri wyszedł z domu natychmiast, tak jak powiedział. O godzinie 11:25 zjawił się w amerykańskim konsulacie przy Avenue Gabriel i zapytał o Roberta Morsanda. Powiedziano mu, żeby usiadł w holu i poczekał.

O 11:50 podszedł do niego wysoki, przystojny mężczyzna. – Nazywam się Robert Morsand – powiedział doskonałą francuszczyzną. – Podobno chciał się pan ze mną widzieć?

Henri przyjrzał się elegancko ubranemu Amerykaninowi. Wyglądał na czterdzieści lat, nie więcej. Jego czarne włosy przyprószone były siwizną; miał na sobie nienagannie skrojone i wyprasowane ubranie oraz wypucowane na glans buty.

- Tak, zgadza się – odparł Henri. – Przyniosłem panu pilny list od mego przyjaciela. Mam go wręczyć tylko panu i jest przeznaczony tylko dla pańskich oczu.

Morsand wziął kopertę.

Kiedy wyjął list, Henri wstał, zamierzając wyjść.

- Niech pan chwilę poczeka – powiedział Morsand. – Może będzie pan musiał zanieść przyjacielowi odpowiedź.

Rozprostował kartkę i przeczytał jej treść.

Szanowny panie Morsand

Nazywam się Dymitr Czachowski. Jestem pracownikiem Oddziału Operacyjnego Pierwszej Dyrekcji Kontrwywiadu KGB. Z powodu prowadzonej ostatnio przez KGB polityki, której W sposób otwarty się przeciwstawiłem, moje życie znalazło się w poważnym niebezpieczeństwie. Chciałbym pana formalnie poinformować o zamiarze zwrócenia się o azyl w pańskim kraju.

W kopercie znajdzie pan monetę, na której wyryty jest numer telefonu. Może pan skontaktować się ze mną pod tym numerem o dwunastej w południe tego samego dnia, w którym otrzyma pan mój Ust.

Musi pan zadzwonić z bezpiecznego telefonu. Nie może to być telefon w pańskim konsulacie.

Moje życie jest teraz w pańskich rękach.

Dymitr Czachowski

Morsand spojrzał na zegarek. Była dokładnie 12:00. Odwrócił się i wybiegł z holu, zostawiając zaskoczonego Henriego. Wyskoczył z konsulatu i ruszył ulicą w stronę budki telefonicznej.

Automat był zepsuty.

- Niech to cholera! – zaklął i pobiegł dalej.

Wpadł do następnej budki. Zdyszany sprawdził numer na monecie i wykręcił go. Spojrzał na zegarek. Była 12:06.

W słuchawce odezwał się sygnał. Potem następny. Po trzecim Morsand był pewien, że schrzanił sprawę.

- Halo? – odezwał się w końcu zmęczony głos.

- Tu Morsand – przedstawił się po francusku Amerykanin, dysząc ciężko. – Z kim mówię?

- Mówi Czachowski. Dymitr Czachowski – odpowiedział tamten po angielsku z wyraźnie obcym akcentem.

- Gdzie i kiedy możemy się spotkać? – zapytał Morsand, przerzucając się również na angielski.

- Nie sądzę, żeby bezpiecznie było spotykać się już teraz. Może pan całkowicie zaufać Henriemu. Czy wciąż jest w konsulacie? – zapytał.

- Tak – odparł Morsand. – Kazałem mu zaczekać, na wypadek gdyby trzeba było przesłać odpowiedź. – Powoli łapał oddech.

- Doskonale. Proszę mu dać numer, pod którym mogę się z panem skontaktować. I podać godzinę. To musi być telefon, który uważa pan za bezpieczny. Zgłoszę się do pana. Wiem, że sprawdzi pan moją tożsamość. Niech pan będzie ostrożny, KGB wie bardzo dużo o tym, co dzieje się w konsulacie. – Czachowski mówił, jakby się źle czuł.

- Wszystko z panem w porządku? – zapytał Morsand. Czachowski nie odpowiadał. Amerykanin słyszał w słuchawce płytki, nieregularny oddech.

Rosjanin otarł zbierające się w kącikach oczu łzy.

- Tak, wszystko w porządku. Po prostu jestem bardzo zmęczony i… i… – Urwał. – Widzi pan, ja kocham Rosję – podjął. – To wszystko wcale nie jest łatwe… – powiedział łamiącym się głosem.

Morsand usłyszał stłumiony szloch.

- Rozumiem pana – pocieszył Rosjanina. – Niech pan mi wierzy, potrafię pana zrozumieć.

- Naprawdę? Zastanawiam się, czy w ogóle zdaje pan sobie sprawę, co może czuć ktoś taki jak ja. – Czachowski opanował się. – Skontaktuję się z panem zgodnie z otrzymanymi wskazówkami. Dziękuję, panie Morsand.

W słuchawce zapadła cisza.

Wracając do konsulatu Morsand zastanawiał się nad tym, co powiedział Czachowski o swoich uczuciach i próbował sobie

wyobrazić, jak by się czuł, gdyby role się odwróciły. Nie potrafił jednak. To chyba z powodu różnicy, która dzieli ich kraje. Coś takiego nigdy nie mogło mu się przydarzyć.

Po powrocie do konsulatu dał Henriemu dokładne instrukcje dla Czachowskiego. Niski człowieczek zanotował je i wyszedł.

Morsand przypomniał sobie, co mówił Czachowski o telefonach w konsulacie. Zamknął się w pokoju łączności, skąd można było nawiązać bezpośredni kontakt z Waszyngtonem. Linię wyposażono w specjalne, uniemożliwiające podsłuch urządzenie. Pomieszczenie było absolutnie czyste. Przeszukiwano je każdego dnia.

Wydał polecenie dokładnego sprawdzenia całego budynku i wszystkich linii telefonicznych.

A potem korzystając ze skamblera zawiadomił swoich zwierzchników za oceanem o kontakcie i poprosił o pełne ***dossier*** Dymitra Czachowskiego. Jeszcze przed zachodem słońca musiał dowiedzieć się o nim wszystkiego, czego tylko zdoła.

Rozdział 11

Starcie z Rosją, tym wielkim niedźwiedziem na Wschodzie, mogło odwrócić wiszącą nad nami kieskę. Szybkie zwycięstwo skłoniłoby naszych wrogów na Zachodzie do negocjacji na temat zawieszenia broni, a to dałoby nam niezbędny czas na przegrupowanie sil i stworzenie rezerw dla realizacji naszych celów. Los całego świata zależał od wyniku naszego starcia z Rosją.

To było starcie dwu ideologii, dwu stojących sobie na drodze tytanów, starcie, w którym stawką była rola światowego mocarstwa lub totalna destrukcja. Rosja musiała zostać doszczętnie zniszczona, podobnie jak stałoby to się z nami, gdybyśmy przegrali.

Ustęp 19 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Doktor Edward Bridges zdjął marynarkę: wraz ze swym podobnym do namiotu płaszczem powiesił na stojącym w kącie gabinetu drewnianym wieszaku, po czym zamknął drzwi, dając tym do zrozumienia sekretarce, żeby mu nie przeszkadzała.

Usiadł ciężko w fotelu za biurkiem, pochylił się z trudem w dół i z poczerwieniałą od wysiłku twarzą podciągnął lewą nogawkę. Wyjął dwanaście owiniętych wokół goleni czystych formularzy. Wyprostował się, położył je na biurku, przez chwilę ciężko oddychał, a potem pochylił się ponownie. Po kilku sekundach miał w ręku kolejnych dwanaście arkuszy.

W ciągu ostatnich dni wielokrotnie wynosił je i wnosił do Alphy. Metoda okazała się idealna; papiery wcale mu nie przeszkadzały. Zostało już mało czasu, sygnał mógł nadejść każdego dnia. Wtedy będzie musiał zrobić to naprawdę.

Spędził ostatnio dużo czasu z SENTINELEM, zapoznając się ze stanem sowieckiej informatyki. Okazało się, że trochę ich nie doceniał. W pewnych dziedzinach byli bardziej zaawansowani, niż się spodziewał. Nadal nie mieli systemów porównywalnych z

najlepszymi amerykańskimi rozwiązaniami sprzed powstania SENTINELA, ale posuwali się we właściwym kierunku i robili to bardzo szybko.

-7Toceniał, że osiągnięcie biocybernetycznego przełomu, który umożliwił powstanie SENTINELA, powinno im zabrać nie więcej jak piętnaście lat.

Oba kraje tradycyjnie już zaangażowane były w desperackie współzawodnictwo. Stany Zjednoczone wyprzedzały na ogół Rosję dzięki swojej zdecydowanie bardziej rozwiniętej technologii. To właśnie przewaga technologiczna sprawiła, że pierwsi dokonali przełomu – przewaga technologiczna oraz genialny umysł doktor Elizabeth Ryerson. Sowieci nie mieli Elizabeth Ryerson, podobnie jak przedtem nie mieli Alberta Einsteina. Mimo to ich potencjał był większy, i wynikało to z samej natury systemu. Mogli odpowiednio ukierunkować każdy pączkujący talent, zapewniając mu przeszkolenie i możliwości rozwoju, które odpowiadały ich potrzebom.

Rozważania Bridgesa przerwał nagły dzwonek telefonu. Któregoś ranka zadzwoni telefon, a mnie już tu nie będzie, pomyślał.

Podniósł słuchawkę.

- Bridges.

- Cześć, Ed. Mówi Elizabeth. Masz może kilka minut? – zapytała chrapliwym szeptem doktor Elizabeth Ryerson.

- Co się stało z twoim głosem? – Bridges ledwo ją rozpoznał.

- Mam zapalenie krtani – odparła. – Czy nie mógłbyś wpaść na kilka minut do mojego gabinetu? Chciałabym porozmawiać z tobą na

temat UFF szesnaście łamane przez zero zero dziewiętnaście. To ten system podwodnych sensorów, nad którym pracuje Warren.

- Oczywiście, Beth.

- Doskonale. Powinniśmy spotkać się niedługo z kierownictwem departamentu, żeby przedstawić im ostateczny projekt. Musimy wiedzieć, ile będą nas kosztowały wszystkie przeróbki. Na jakim jesteście etapie?

- Powiem ci, Beth, że rezultaty są lepsze, niż się spodziewaliśmy. Ale musimy dokonać pewnych poprawek w konstrukcji ekranów. Nie są jeszcze na sto procent pewne. Kiedy to zrobimy, cały system będzie absolutnie niewykrywalny, nawet przy pełnym obciążeniu na wyjściu. To fenomenalny system – podsumował z entuzjazmem Bridges. Rosjanie też będą tego zdania, dodał w duchu.

- Miło mi to słyszeć, Ed. Czy mógłbyś wpaść do mnie razem z Warrenem za jakieś piętnaście minut? Jeśli zdąży ze wszystkimi raportami do przyszłego poniedziałku, moglibyśmy wyznaczyć spotkanie właśnie na ten dzień. Co ty na to? – zapytała.

- Oczywiście. Zaraz zadzwonię do Warrena. Do zobaczenia za piętnaście minut.

- Świetnie. Dziękuję ci, Ed.

- Cała przyjemność po mojej stronie. – Ty komputerowa dziwko, dodał w myśli, słysząc trzask odkładanej słuchawki. – Ktoś powinien przerżnąć wreszcie tę dupę, żeby obudziły się w niej jakieś ludzkie uczucia – mruknął pod nosem.

Nacisnął na interkomie przycisk łączący go z sekretarką.

- Słucham, panie doktorze – zgłosiła się Patricia.

- Czy mogłabyś poprosić doktora Geislera, żeby pofatygował się zaraz do mojego gabinetu? I powiedz mu, żeby przyniósł ze sobą wszystko, co ma na temat testów UFF szesnaście łamane przez zero zero dziewiętnaście – powiedział.

- Tak jest, panie doktorze.

Podszedł do drzwi i otworzył je. Zaczął się kolejny pracowity poniedziałek.

Robert Morsand siedział przy swoim biurku, kartkując ***dossier*** Dymitra Czachowskiego. To, co w nim wyczytał, wywarło na nim silne wrażenie.

Przyjrzał się fotografiom. Przedstawiały niskiego mężczyznę o prawie białych włosach, przetykanych tu i tam pasemkami czerni. Miał gęste i mocne, zaczesane do tyłu włosy, pociągłą twarz, trochę zbyt duży haczykowaty nos, małe, osadzone głęboko i blisko siebie przenikliwe oczy oraz wąskie, zaciśnięte mocno wargi. Na żadnej z fotografii się nie uśmiechał.

Morsand skupił uwagę na niektórych szczegółach ***dossier.***

WIEK: 45 LAT WZROST: 5 STÓP 7 CALI WAGA: 130 FUNTÓW

WDOWIEC. ŻONA TAMARA ZMARŁA W 1966 NA RAKA. JEDYNY SYN, BORYS, ZGINĄŁ W 1976 W POTYCZCE NA GRANICY SOWIECKO-CHIŃSKIEJ.

ŻYCIORYS: DO KGB WSTĄPIŁ W 1954; PRZEDTEM PEŁNIŁ FUNKCJĘ OBWODOWEGO PRZYWÓDCY KOMSOMOŁU NA UKRAINIE; PRZESZEDŁ SZKOLENIE W KARLSHORST; 1954-55 KOCZINO; 1955-57 SKIEROWANY DO WYDZIAŁU WYWIADU ZACHODNIOEUROPEJSKIEGO; 1957 ZDOBYWA UZNANIE ZWIERZCHNIKÓW, KTÓRZY WZYWAJĄ GO Z POWROTEM DO MOSKWY; 1959 WYŻSZY INTENSYWNY KURS PLANOWANIA OPERACYJNEGO; 1961 POJAWIA SIĘ W WYDZIALE OPERACYJNYM PIERWSZEGO ZARZĄDU NACZELNEGO. UWAŻANY ZA TWÓRCĘ WYDZIAŁU D; 1967-70 AUTOR REORGANIZACJI WYDZIAŁU ZACHODNIOEUROPEJSKIEGO KGB; OD 1971 ODNOTOWANO JEGO OBECNOŚĆ W AMBASADACH SOWIECKICH W CAŁEJ EUROPIE, GDZIE PEŁNIŁ RÓŻNEGO RODZAJU FUNKCJE; UWAŻANY ZA PIĄTEGO CO DO WAŻNOŚCI FUNKCJONARIUSZA WYDZIAŁU OPERACYJNEGO; KONTROLUJE ZAPLANOWANE PRZEZ SIEBIE OPERACJE NA TERENIE EUROPY ZACHODNIEJ.

Morsand przeczytał profil psychologiczny. Facet był niczym skała. Dlaczego chcieli go wykończyć? Dlaczego im podpadł?

Schował akta do teczki i wyszedł z konsulatu, udając się do domu swego dobrego przyjaciela, Maurice'a Picou. Czekał go tam wspaniały obiad, dobra fajka i wyborne wino. O 21:30 do Maurice'a miał zadzwonić Dymitr Czachowski.

Wieczorem Morsand siedział samotnie przy aparacie, paląc fajkę i rozmyślając o pierwszej rozmowie z Czachowskim. Myślał o tym, jak takie rzeczy wyglądają w kinie: telefon zawsze dzwoni dokładnie o wyznaczonej porze, a każdy zegar zawsze wydaje się idealnie zsynchronizowany z urządzeniem przy bombie. Wszyscy wstrzymują oddech, licząc mijające sekundy, podczas gdy główny bohater usiłuje gorączkowo rozbroić ładunek wybuchowy. Dziesięć, dziewięć, osiem – który przeciąć drut? Siedem, sześć, pięć – czerwony czy niebieski? Cztery, trzy, dwa – ciach! Wszyscy uratowani.

A gdyby zegar spieszył się o dwie minuty?

DRRRRRRRR!

Podskoczył jak oparzony na dźwięk telefonu. Spojrzał na zegarek. 21:27. Więcej niż dwie minuty. Nie zapali już cygara. DRRRRRRRR! Podniósł słuchawkę.

- Morsand przy telefonie.

- Halo, tu Dymitr Czachowski. – Głos w słuchawce brzmiał o wiele pewniej niż za pierwszym razem.

- Możemy się już bezpiecznie spotkać? – zapytał Morsand.

- Nie, jeszcze nie – odparł Czachowski. – Tu, gdzie jestem, nic mi nie grozi. Chyba nie zaczęli mnie już szukać. Pewnie zorientują

się, że zniknąłem, dopiero jutro mniej więcej o tej porze. Być może nawet pojutrze rano, jeśli dopisze mi szczęście.

- Oni już wiedzą o pańskiej ucieczce. I ostro pana szukają – poinformował go Morsand.

Czachowski był zaskoczony. A więc udało mu się zwiać w ostatniej chwili. Nawet jednodniowa zwłoka oznaczałaby koniec.

- Chcemy umieścić pana w jednym z naszych zakamuflowanych lokali – powiedział Morsand. – Dzięki temu będziemy mogli pana chronić do czasu, kiedy możliwy stanie się przerzut. Teraz, kiedy polują na pana siepacze z KGB, sytuacja trochę się skomplikowała. Zanim dokonamy przerzutu, musimy zorientować się dokładnie, co oni wiedzą. Jeśli dobrze pójdzie, wywieziemy pana w czwartek albo piątek.

- Cztery dni! To dużo czasu – stwierdził Czachowski.

- Zgadza się. Ale ważna jest każda sekunda. Jeden błąd, i już po panu. Niech pan mi zaufa, dobrze wiemy, co robimy. W tej dziedzinie mamy większe od pana doświadczenie – powiedział Morsand. – Chcę, żeby zadzwonił pan do mnie pod ten numer jutro o tej samej porze. Wtedy umieścimy pana w naszym lokalu. Nigdy tam pana nie wytropią.

- Dobrze, zadzwonię do pana jutro – odparł Czachowski. – Dziękuję… dziękuję panu – dodał. W słuchawce zapadła cisza.

Morsand wiedział, że uzyskał nad nim przewagę. Czachowski zrobi teraz wszystko, co mu się każe. Ucieczka na Zachód to poważna sprawa. Strona, która traci swego człowieka, gra ostro i bez pardonu.

W przeszłości niejeden przerzut zakończył się klapą; aby do tego nie doszło, potrzebna była pełna współpraca Rosjanina.

Tym razem Morsand postanowił zachować wyjątkową ostrożność. Dyrektor CIA, Shyleur Platt, dał mu jasno do zrozumienia, że ponosi pełną odpowiedzialność za powodzenie akcji. I Morsand miał zamiar przeprowadzić ją bez żadnych komplikacji.

*

Pod osłoną ciemności Justin i Fanning po raz kolejny sprawdzili teren. A potem odeszli, zanurzając się w mrok tak samo ostrożnie i cicho, jak się zjawili. Zgodnie z instrukcjami SENTINELA pozostawili zamaskowane sensory.

Przebywali w domu równo dwadzieścia cztery godziny. Każdy pokój został skrupulatnie przeszukany i pozostawiony w stanie, w jakim go zastali. Nie znaleźli najmniejszego śladu dziennika. Justin był przekonany, że zabójca zabrał go ze sobą po zamordowaniu Spartanina.

Pojechali na lotnisko Brighton i wystartowali stamtąd do Chicago, przekazując SENTINELOWI kompletną ustną relację podczas lotu. Raport kończył się konkluzją, że w domu Spartanina na pewno nie ma dziennika. We wtorek po południu każdy z nich był w drodze do własnego domu.

*

Irwin Honeycut siedział za swoim wielkim, obitym pluszem biurkiem, ślęcząc nad dostarczonym przez Pielgrzyma i Borsuka raportem. To, czego się dowiedział, wcale mu się nie podobało.

Dziennik ukryty był gdzieś w domu, dobrze o tym wiedział. Szkoda, że w całą sprawę wmieszał się Scotland Yard. Gdyby nie to, mogliby wysłać tam całą ekipę Wydziału Drugiego. Oni znaleźliby dziennik. Musiał tam być. Nie było co do tego cienia wątpliwości – agentom po prostu nie udało się go odszukać.

Po zbadaniu znalezionych w kominku popiołów Wydział Drugi potwierdził, że oryginał dziennika został spalony. Popioły świadczyły również o tym, że Spartanin zdążył go przetłumaczyć. Ale gdzie ukrył tłumaczenie i na ile dni przed zabójstwem zorientował się, że musi to zrobić?

Honeycut wiedział na temat dziennika więcej, niż wyjawił to prezydentowi, a także Pielgrzymowi i Borsukowi. Wiedział, że trzeba go odnaleźć. Dokument był bardzo niebezpieczny; SENTINEL musiał go odtworzyć i przeanalizować. Poznanie jego treści było sprawą najwyższej wagi. Stawka była olbrzymia – szło prawdopodobnie o bezpieczeństwo milionów ludzi. Do zadań Honeycuta i SENTINELA należała ochrona tych ludzi przed zagrożeniem, zapewnienie bezpieczeństwa całemu krajowi, a w rezultacie zapewnienie bezpieczeństwa całemu światu. Gdyby informacje zawarte w dzienniku wpadły w niepowołane ręce, doprowadziłoby to świat do walki o władzę, walki, w której w perzynę obrócone zostałyby całe kontynenty i która pochłonęłaby życie milionów niewinnych i bezbronnych ludzi. Za wszelką cenę trzeba było tego uniknąć.

Dom miał nadal znajdować się pod stałą obserwacją SENTINELA, a Wydział Drugi pozostawał w gotowości aż do chwili,

kiedy możliwe okaże się jego wkroczenie do akcji bez wiedzy Scotland Yardu. Przeprowadzona przez Pielgrzyma i Borsuka akcja to jednak nie to samo co zaangażowanie Wydziału Drugiego z pełnym wyposażeniem. Honeycut nie chciał, aby w sprawę wmieszał się brytyjski wywiad. Tego tylko brakowało, żeby w domu zaczęło węszyć MI5 i odnalazło dziennik przed nimi.

Dysponując wstępnymi rezultatami analizy znalezionych w kominku popiołów oraz raportem Pielgrzyma i Borsuka, Wydział Drugi mógł wkroczyć tam ponownie i przetrząsnąć dom do góry nogami. Zajęłoby to najwyżej jeden dzień, ale dopóki nie mieli gwarancji bezpieczeństwa, trzeba było poczekać. Tak długo, jak długo w domu nie myszkował nikt inny, Honeycut gotów był odłożyć akcję na później. Nie był jednak z tego zadowolony.

*

Leonid Trawkin podszedł do okna małego pokoju i spojrzał roztargnionym wzrokiem w dół, nie zauważając wcale pokrytych grubą warstwą zmarzniętego śniegu ulic. Wydął wargi i potrząsnął z niedowierzaniem głową. Przed chwilą wysłuchał Aleksego Kuradina, który przedstawił mu zarys swojego planu. Z trudem krył irytację. To nie był wcale dobry plan. Oczekiwał od Centaura więcej.

Poprzedniego wieczoru dostarczył Kuradinowi dokumenty, o które tamten poprosił. Były tam akta osobowe licznych „śpiochów” - przebywających w Stanach Zjednoczonych sowieckich agentów, którzy nie prowadzili aktywnej działalności i czekali na pierwszy sygnał, żeby ją rozpocząć. Były wśród nich akta profesjonalnych

morderców, którzy dawno mieli już za sobą czasy swojej świetności i których nazwiska były dobrze znane amerykańskiemu wywiadowi. Była tam również dokumentacja najbardziej nowoczesnych systemów cybernetycznych w Związku Sowieckim - a także akta osobowe agenta, który spełniał pewne bardzo szczególne wymagania.

Trawkin odwrócił się od okna i powoli wrócił do stojącego pośrodku pokoju stołu. Nie podnosił wzroku.

- Ten plan nie jest... nie jest... - przez chwilę szukał odpowiednich słów - nie jest dokładnie tym, czego się spodziewałem, Aleksy. Mam poważne wątpliwości...

- To dobrze, to bardzo dobrze. Właśnie takiej reakcji się po tobie spodziewałem - przerwał mu Kuradin. Jego twarz skrzywiła się w uśmiechu. - Pozwól, że wyjaśnię ci mój plan nieco dokładniej.

Trawkin usiadł. Wysłucha Centaura, a jeśli wyjaśnienie go nie zadowoli, odbierze mu po prostu tę misję. Miał nadzieję, że nie okaże się to konieczne. Zapis służby Kuradina był do tej pory nieskazitelny, składały się na niego same sukcesy.

- Miałem nadzieję, że to, co powiedziałeś mi przed chwilą, to nie wszystko - powiedział. Podniósł wzrok i czekał.

- Po pierwsze, musisz zrozumieć, że to nie może być normalny plan. SENTINEL dysponuje o wiele większym intelektem niż jakikolwiek przeciwnik, z którym zmierzyliśmy się wcześniej. Nie możemy pozwolić, żeby wciągnął nas w partię szachów. Jeśli to zrobimy, przegramy. Potrafi wyprzedzić każdy nasz ruch. To bio-cybernetyczny intelekt, którego możliwości przekraczają nasze

najśmielsze wyobrażenia i który dysponuje na dodatek oddziałem tajnych agentów, wypełniających wszystkie jego instrukcje.

Kuradin zaczął spacerować po pokoju.

- Jego atutami są żelazna logika i szybkość. Analizuje różne opcje szybciej, niż jest to w stanie postrzec nasz umysł. Ale ma pewne słabe punkty.

Trawkin spojrzał na niego pytająco. Nie dostrzegał ani jednego słabego punktu. Wzruszył ramionami na znak, że się poddaje. Centaur podniósł w górę wskazujący palec.

- Słabymi punktami SENTINELA są... - zaczął i przerwał, żeby spotęgować efekt - logika i szybkość. - Na jego twarzy znów pojawił się uśmiech.

Trawkin zmrużył oczy, czekając na ciąg dalszy.

- Zbudowano go na bazie logiki; na niej opiera się jego funkcjonowanie. Sporządza na podstawie znanych mu faktów listę wszystkich możliwych opcji działania. A potem wybiera tę z nich, która wydaje mu się najwłaściwsza. Tu właśnie leży nasza przewaga. My wiemy, jaki będzie nasz pierwszy ruch, on nie. My również możemy określić stojące przed nami opcje... ale zawsze o jeden ruch naprzód. W ten właśnie sposób go pokonamy. Pozwolimy, żeby wyprzedził samego siebie... i nas. Będziemy szli spacerem tam, gdzie logika nakazuje biec, i skręcać w lewo tam, gdzie właściwszy wydawałby się skręt w prawo. Wybierzemy najmniej logiczną opcję. Pokonamy SENTINELA, wychodząc kuchennymi drzwiami, podczas gdy on będzie się spodziewał, że wyjdziemy przez frontowe.

Tak, teraz to był znowu Aleksy, jakiego znał. Samopoczucie Trawkina znacznie się poprawiło. Kuradin ponownie przedstawił cały plan, zwracając uwagę na awaryjne opcje działania. Gdyby zawiodła jedna z nich, natychmiast wyłaniała się następna. Każda klęska obracała się w sukces. Najważniejsze było jednak bezpieczeństwo. Żeby zwiększyć prawdopodobieństwo pozostania przy życiu, Centaur zaangażował do akcji człowieka o bardzo specyficznych talentach. Był nim Otto Ten Braak, cieszący się niegdyś sławą najskuteczniejszego z płatnych morderców.

- Ale dlaczego wybrałeś właśnie Ten Braaka? - zapytał Trawkin. - Najlepsze lata ma już za sobą. Amerykanie za dobrze go znają. Ułatwi im dotarcie do ciebie.

- I o to właśnie chodzi - odparł Kuradin. - Pomożemy im nawet. Ale ten trop zawiedzie ich donikąd. Wszyscy, Pielgrzym i cała reszta, rzucą się za nim w pogoń... I prędko odkryją, że nie tak łatwo sobie z nim poradzić.

Otto Ten Braak był doświadczonym mordercą; nie było człowieka, który mógłby się z nim równać w sztuce zabijania. Dobrać mu się do skóry można było tylko działając z zaskoczenia. To prawda, miał już za sobą najlepsze lata i był zbyt dobrze znany. Nie tak sprytny, jak młodsze pokolenie zatrudnianych przez Sowietów specjalistów, potrafił jednak nadal być śmiertelnie niebezpieczny. Miał swoje własne, bardzo skuteczne metody.

Był w swoim czasie najlepszy. Zasługiwał na honorowy koniec, a nie na „emeryturę” z ręki jakiegoś nowego najemnika, wysłanego,

żeby dosięgnąć go z wysokiego dachu, w windzie lub pod prysznicem. Taka śmierć była dla człowieka honoru nie do przyjęcia. Człowiekowi pokroju Ten Braaka trzeba zawsze dać ostatnią szansę. Tą szansą mogła być tylko misja o wielkim znaczeniu, misja, z której prawdopodobnie nie wyjdzie z życiem, ale która zadecyduje o powodzeniu planu. Misja, która przyniesie mu chwałę, na jaką zasługiwał.

Ten Braak miał wziąć na siebie Pielgrzyma.

Ci dwaj byli do siebie pod wieloma względami podobni; obaj stuprocentowo skuteczni i śmiertelnie niebezpieczni. Nie było na całym świecie bardziej złowrogiego i bezwzględnego narzędzia śmierci od Ten Braaka; jej zadawaniu służył każdy jego zmysł, każdy mięsień, doskonale wyszkolony w sztuce zabijania. Podczas tej akcji dojdzie do starcia dwóch morderczych intelektów, ale jeśli poprowadzi się ją we właściwy sposób, zwycięstwo będzie należało do Ten Braaka.

Kuradin wyjaśnił, w jaki sposób Trawkin powinien wspomagać jego plan z Moskwy. Najważniejsza była kwestia czasu. Do przecieku pewnych informacji powinno dojść we właściwym momencie. Nawet jeśli trzeba będzie się odwołać do ostatniej przewidzianej w planie ewentualności, zakończy się on sukcesem. Nic nie mogło odwrócić od nich szali zwycięstwa.

Kiedy Kuradin wyjawił mu ostatnią kryjącą się w planie niespodziankę, Trawkin nie potrafił ukryć zdumienia i żalu. Fakt, że Centaur był śmiertelnie chory, powinien działać na ich korzyść, szef

KGB nie mógł jednak pogodzić się ze świadomością, że jego przyjaciel stoi nad grobem.

- Nic nie wiedziałem, Aleksy. Nigdy bym cię nie poprosił...

- Nonsens - przerwał mu Kuradin. - Umrę tak czy owak.

- Ale twoja rodzina... Na pewno chcesz teraz spędzić z nimi każdą wolną chwilę. Z córką i wnukami. Wiem, jak ich kochasz, Aleksy. Mogę wyznaczyć do tej misji innego agenta. Można sporządzić nowy plan...

Kuradin uciszył go podniesioną ręką.

- Tylko ja mogę doprowadzić do skutku ten plan, Leonidzie. I zrobię to właśnie dla mojej rodziny. Ani przez chwilę nie uwierzyłem, że Amerykanie nie zamierzają użyć tego komputera w agresywnych zamiarach. Zrobią to, kiedy nadejdzie odpowiedni moment. Nie mogę pozwolić, żeby moich ukochanych czekała niepewna przyszłość. Musimy mieć ten komputer, żeby utrzymać równowagę sił.

Centaur przerwał, zaraz jednak znów zaczął mówić:

- Wiesz równie dobrze jak ja, że ***detente*** jest słowem, którego będziemy używać tak długo, jak długo istnieje równowaga sił. Kiedy tylko któreś z mocarstw uzna, że uda mu się zniszczyć przeciwnika szybko i gładko, przy minimalnych stratach własnych, wtedy ***detente*** natychmiast zniknie z naszych słowników. Mamy szczęście, że Amerykanie wierzą w nie bardziej od nas, w przeciwnym razie już byłoby za późno. Gdyby ten komputer wynaleziony został przez nas, a nie przez nich, Ameryka już leżałaby w gruzach. ***Detente*** jest dla nas tylko pretekstem, żeby zyskać na czasie i wynaleźć broń, której użycie

obróci w perzynę resztę świata. To prawda, Leonidzie. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Pokój będzie trwał tak długo, jak długo obie strony zachowają równowagę strachu.

Trawkin nic nie odpowiedział. Tak, równowaga sił rzeczywiście stanowiła jedyną gwarancję pokoju. Groźba wzajemnego zniszczenia była dostatecznie przerażająca, żeby powstrzymać palec od naciśnięcia guzika, ale ta sytuacja nie będzie trwała wiecznie. Człowiek jest tylko zwierzęciem. Podobnie jak niższe gatunki, tyle że w bardziej wysublimowany i uporządkowany sposób, robi to, co podpowiadają mu jego instynkty i natura. A w naturze silniejsi wypierają słabszych. W każdym naturalnym zbiorowisku rządzą silniejsi, o tym zaś, kto jest silniejszy, rozstrzyga konfrontacja. Ten komputer to tylko początek. Ludzie będą starali się skonstruować następne, coraz bardziej wszechstronne, aż w końcu któryś z przeciwników uzna, że jest silniejszy i nie powinien przegrać. Wtedy dojdzie do wojny, tak jak dochodziło do wszystkich wojen w przeszłości. Miejsce równowagi sił zajmie konfrontacja. I znowu będą zwycięzcy i pokonani. I tylko umarli odpoczywać będą w pokoju.

- Poza tym - odezwał się Kuradin, przerywając tok myśli Trawkina - kieruje mną także egoizm i próżność. Czy nie wykradam w końcu największego światowego sekretu? - zapytał z uśmiechem. - Pozostanę w pamięci jako największy rosyjski szpieg - dodał i roześmiał się.

Trawkin zawtórował mu, ale nie dał się oszukać. Człowiek, który tak długo godził się na to, by jego osiągnięcia pozostały

anonimowe, nie mógł kierować się próżnością tego rodzaju. I tak był już zresztą największym rosyjskim szpiegiem. Nieważne, czy wie o tym świat; liczyło się, że wiedział sam Aleksy Kuradin. Ale istniało jedno pytanie, na które Centaur nie znał odpowiedzi. Czy Pielgrzym był od niego rzeczywiście lepszy? To rozstrzygnięcia właśnie tej sprawy domagała się jego próżność.

- Cóż, Leonidzie? Co sądzisz teraz o tym planie? - zapytał Kuradin.

Plan był genialny. Trawkin nie zawiódł się na swoim przyjacielu. Tylko Centaur mógł wymyślić coś takiego - coś tak prostego, niemal zbyt prostego, ale zarazem niezawodnego. Trawkin wstał i spojrzał w oczy przyjacielowi.

- Masz moją pełną aprobatę - odpowiedział. - Kiedy przystępujesz do realizacji?

- Już to zrobiłem - odparł Kuradin. - Po twoim wyjściu stąd nie zobaczymy się aż do chwili, kiedy zrealizujemy nasz plan.

Jeśli zakończy się klęską, nie zobaczymy się już nigdy, dokończył w myśli Trawkin.

Dwaj mężczyźni patrzyli sobie przez kilka długich chwil w oczy, a potem serdecznie się objęli. Wychodząc po schodkach na zaśnieżoną ulicę Trawkin myślał o wątłym, schorowanym człowieku, którego zostawił na górze. Miał nadzieję, że nie było to ich ostatnie spotkanie.

Rozdział 12

Aby osiągnąć ostateczne zwycięstwo w Rosji, wykorzystaliśmy wszystkie doświadczenia wyniesione z poprzednich kampanii. Koordynacja działań i wsparcie Luftwaffe były wspaniale.

W grudniu znaleźliśmy się u bram Moskwy, wyeliminowawszy z walki dwie trzecie oddziałów Armii Czerwonej.

Ustęp 20 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Justina obudził koszmar. Kiedy powracały do niego dręczące szczegóły snu, nie mógł pozbyć się dziwnego poczucia niepokoju. Zastanawiał się, co to wszystko może znaczyć.

W tym śnie Spartanin siedział przy biurku w swoim gabinecie. Drugi mężczyzna - intruz - wszedł bezszelestnie do domu. Spartanin wyczuwał jego obecność, ale nie sięgał wcale po broń. Zamiast tego wdrapał się na blat biurka. Ważne było tylko biurko. Trzeba było je chronić. Obcy wszedł z dubeltówką do pokoju, jednak Spartanin nawet na niego nie spojrzał. Siedział po prostu na biurku i czekał. Intruz strzelił i Spartanin spadł na podłogę. A potem zabójca sam wdrapał się na biurko i objął wartę. Ale na co czekał?

Nagle w pokoju pojawili się oni dwaj, Justin i Fanning. Przeszukiwali gabinet. Obcy obserwował ich, ale sam był niewidoczny.

Później Justin znalazł się sam w gabinecie. Fanning był w jakiejś innej części domu. Justinowi zaświtało w głowie, że kluczem do całej sprawy jest biurko. Zrozumiał to, kiedy na nie spojrzał. Wdrapał się

na blat, tak jak to przedtem zrobił Spartanin, usiadł i czekał. Nie wiedział na co, ale czekał.

Pojawił się tamten. Jego dubeltówka wycelowana była prosto w Justina.

Gdzie był Fanning? Justin potrzebował pomocy. Gdzie on się podział?

Z lufy dubeltówki unosił się dym. Justin domyślił się, że Fanning musi być martwy. Obcy już go uśmiercił.Dubeltówka wypaliła. Siła strzału zrzuciła Justina z biurka, ale nie czuł w ogóle bólu.

Zabójca sprawdził skuteczność strzału, po czym wdrapał się na biurko i objął z powrotem wartę.

A potem Justin obudził się.

Myśl o tamtym mężczyźnie nie dawała mu spokoju. Mógł pojawić się w każdej chwili.

Pistolet! Gdzie jest pistolet?

Przez głowę przebiegały mu gorączkowe myśli.

Każdy nocny szmer mógł oznaczać kryjącego się w ciemności napastnika.

Gdzie mój pistolet?

W tej profesji nie sposób ustrzec się paranoi. Nikt zresztą nie zdołałby bez niej przetrwać. Nie wolno jednak dać się jej bez reszty ogarnąć, bo wtedy człowiek przestaje się do czegokolwiek nadawać. A to właśnie zaczynało się dziać z Justinem.

Nadszedł czas, żeby się wycofać. W przeciwnym razie jego profesja go zniszczy. Zniszczyła już wielu ludzi, stając się wszystkim, co mieli, a potem zabijając ich. Nie chciał być jednym z nich. Wiedział kiedyś, dlaczego zarabia w ten sposób na życie; wiedział, co pozwala mu uśmiercać bez zmrużenia oka przeciwników. To stało się takie łatwe; nigdy nie dręczyło go poczucie winy.

Swój chrzest bojowy przeszedł podczas drugiej misji. Złamał pierwszą zasadę, której go nauczono: chwila wahania oznacza śmierć. Ledwie się wtedy wywinął.

Ci ludzie próbowali go zabić. Po pozbyciu się pierwszych oporów jego działania stały się szybkie i naturalne. Nie było moralnych usprawiedliwień ani sporów z sumieniem, wyłącznie automatyczna reakcja. Nie miał czasu myśleć o pierwszym człowieku, którego zabił. Zanim ochłonął, uśmiercił już pięciu następnych.

Nigdy ich nie liczył, nie pamiętał też potem ich twarzy. Nigdy się już nie zawahał. Coś się w nim na zawsze zmieniło - zaczęło mu się to podobać.

Barbara przewróciła się na drugi bok i przytuliła plecami do jego piersi. Przyjrzał się jej uważnie. Była taka piękna, kiedy spała. I tak słodko się do niego tuliła.

Zastanawiał się, czyjej nie obudzić. Miał ochotę się z nią pokochać. Lubił to robić. Najwspanialej kochali się zawsze w środku nocy, tak jak teraz, kiedy wszystko było ciepłe, miękkie, niewyraźne i pogrążone w półmroku.

Przejechał delikatnie dłonią po jej brzuchu i dalej, aż do piersi. Miała wspaniałe piersi. Kiedy byli sami, mówił do niej „Króliczku”. Zaczął wodzić palcami po brodawkach. Wtulił twarz w jej włosy.

Przesunął miękko palcami po jej biodrze i położył dłoń na pośladku. A potem jego ręka wsunęła się powoli między jej uda, tam gdzie było ciepło i mokro.

Barbara zadrżała.

Gładził ją czule, wodząc palcami po całym jej ciele. Zadrżała ponownie.

Wsunął delikatnie palce między miękkie włosy łonowe. Pocałował Barbarę w ucho. Znowu zadrżała.

Zaczął całować jej kark, wsuwając w nią coraz głębiej palce.

- No dobrze, dzika bestio - zamruczała, odwracając się do niego przodem. - Daję ci godzinę, żebyś skończył.

Pocałowali się czule. Była gotowa na jego przyjęcie. Bezbronna. Bezbronna! Obcy zaatakował cię, kiedy byłeś bezbronny! Gdzie jest pistolet?

Przytulone do niego ciało Barbary niemal go parzyło; ich pocałunki były coraz szybsze, głębsze i bardziej gwałtowne.

Pistolet! Do broni miał mniej więcej cztery kroki. Ile sekund będzie potrzebował, żeby do niej dobiec?

Całując jej szyję dotarł aż do piersi; język miękko pieścił brodawki, palce coraz głębiej wnikały w rozkoszną wilgoć.

Barbara wzdychała cicho. Przez jej ciało przechodziły fale gorąca.

Justin zsunął się niżej, całując ją w brzuch.

Westchnienia przeszły w głośne jęki.

Całował ją po biodrach i udach, dotykając językiem najbardziej czułych miejsc.

Zbliżała się do orgazmu.

Cztery kroki! Pistolet jest załadowany, jeden pocisk tkwi w komorze. Zachowaj środki bezpieczeństwa!

- Teraz, Justin. Proszę cię, wejdź - szepnęła.

Nie przerywał pocałunków. Znał jej ciało i jego wymagania. Istniała znaczna różnica między „teraz" a „TERAZ!" Jęki Barbary stawały się coraz głośniejsze. Była cała rozpalona.

- Teraz, Justin. Proszę cię. Teraz. - Oddychała głęboko i gwałtownie.

Pocałował ją głębiej.

- O Boże... jak dobrze... Teraz, kochanie. Proszę cię, skarbie - jęczała, wijąc się w pościeli. - Teraz... och... och. TERAZ. Justin! TERAZ!

Podniósł się szybko, żeby wziąć ją, zanim osiągnie orgazm. Pistolet... gdzie jest pistolet...? Do diabła z pistoletem! Obcy rozpłynął się w powietrzu.Irwin Honeycut czekał przy słuchawce aparatu, który łączył kompleks SENTINELA bezpośrednio z prezydentem. Telefon został odebrany po drugim dzwonku.

- Mówi prezydent - odezwał się głęboki, dźwięczny głos.

- Dzień dobry, panie prezydencie. Tutaj znowu Irv. Mam dla pana więcej informacji na temat zabójstwa Spartanina. Chciałbym

także omówić z panem pewną ważną, związaną z tym sprawę - oznajmił swoim ochrypłym głosem Honeycut.

- W porządku. Co masz nowego, Irv?

- Kilka minut temu ustaliliśmy, że to Sowieci. Dokonał tego Wydział Drugi. Wiemy nawet, kto był zabójcą - odparł z dumą Honeycut.

- Podczas naszej poprzedniej rozmowy twierdziłeś, że Wydział Drugi prawie nic nie znalazł. W jaki sposób do tego doszli? - zapytał prezydent.

- To całkiem proste, panie prezydencie. Nikt nie może wejść do jakiegoś pomieszczenia i nie zostawić w nim żadnych śladów. Dobra ekipa śledcza szuka śladów albo innych wskazówek i łączy ze sobą fakty. A Wydział Drugi jest najlepszą ekipą śledczą pod słońcem. Sprawdziwszy wszystkie zebrane dowody, zdali sobie sprawę, że mają więcej, niż sądzili pierwotnie. Udało im się ustalić tożsamość mordercy. Pracuje wyłącznie dla Sowietów. Zresztą do takiej operacji nie wynajmuje się luzaków. Chociaż był bardzo ostrożny, zostawił jednak po sobie dość śladów, żeby można go było zidentyfikować. Tak czy owak wiemy, kim jest, i znamy miejsce, w którym podobno przebywa. Kiedy informacja zostanie sprawdzona, wyślemy ludzi, którzy odpłacą mu pięknym za nadobne.

- Doskonale - powiedział prezydent. - A Pielgrzym i Borsuk? Są bezpieczni?

- Tak, panie prezydencie. Wczoraj wrócili z Anglii - odparł Honeycut.

- Znaleźli dziennik?

- Nie, panie prezydencie, nie udało im się. Ale wciąż jesteśmy przekonani, że znajduje się w domu. Przeszukali go skrupulatnie cal po calu, niestety bez rezultatu. Chyba zaryzykujemy i wyślemy tam ponownie ekipę Wydziału Drugiego.

- Ale przecież Wydział Drugi już tam był i niczego nie znalazł - zauważył prezydent.

- Zgadza się, panie prezydencie, nie mogli jednak wtedy swobodnie działać z powodu prowadzonego przez Scotland Yard śledztwa. Poza tym mieli przecież ustalić, co się stało i kto jest sprawcą, a nie szukać dziennika. Wtedy zresztą prawie nic na jego temat nie wiedzieliśmy, no i nie mogliśmy ryzykować dłuższego pobytu w tym domu. Nie wolno w żadnym wypadku dopuścić do wmieszania się w sprawę brytyjskiego wywiadu. Ludzie z MI5 fatalnie pomieszaliby nam szyki.

- Jak dużo udało wam się dotąd dowiedzieć na temat dziennika? - zapytał prezydent.

- Cóż, panie prezydencie, wiemy o wiele więcej niż podczas naszej ostatniej rozmowy. Wiemy, że pisany był ręcznie po niemiecku i liczył około dziewięćdziesięciu, maksimum sto stron. Wiemy, że kiedy urwała się łączność ze Spartaninem, pracował właśnie nad jego przekładem. Jesteśmy przekonani, że ukończył ten przekład i zdołał go gdzieś ukryć przed śmiercią. Większość tych informacji dostarczyła nam analiza popiołów, które usunęliśmy z kominka. Ale trzeba będzie przeprowadzić szereg kolejnych analiz, zanim

SENTINEL będzie mógł wyciągnąć bardziej konkretne wnioski - wyjaśnił Honeycut.

Nic z tego, co potrafił SENTINEL, nie mogło już zadziwić prezydenta. Popioły, a zwłaszcza duże zetlałe kawałki papieru mogły być odczytane równie dobrze jak oryginał. SENTINEL potrafił zbadać nawet drobniejsze cząsteczki popiołu i odtworzyć z nich fragmenty oryginalnego tekstu. Układał po prostu obok siebie mikroskopijne porcje informacji i cierpliwie je analizował - wszystkie albo przynajmniej większą ich część. Wystarczyło to, aby móc wyrobić sobie pogląd na temat zawartości i znaczenia całego dziennika.

- Doskonale, Irv. A co z naszym „piątym agentem”? Czy mamy na jego temat coś więcej?

- Lista podejrzanych zawężona została do dwóch osób. Wydaje nam się, że już go namierzyliśmy, potrzebujemy jednak więcej danych, żeby potwierdzić podejrzenia - odpowiedział Honeycut.

- Zanim podejmiemy jakąkolwiek akcję, Irv, musimy być absolutnie pewni. Nie może być w tej sprawie ani cienia wątpliwości. Sądzisz, że uda ci się ustalić jego tożsamość ze stuprocentową pewnością?

- Nic nie jest na sto procent pewne, panie prezydencie. Ale wydaje mi się, że znam sposób, dzięki któremu uda nam się do minimum ograniczyć możliwość pomyłki. Czy poinformowano już pana o zamiarze przejścia na naszą stronę Dymitra Czachowskiego?

- Tak, właśnie dzisiaj powiedział mi o tym Shyleur Platt. Powiedział również, że to jakaś gruba szycha. Kiedy wydobędziemy

go z Paryża i umieścimy w bezpiecznym miejscu, zdaniem Platta rozpęta się prawdziwe piekło. Będą próbować taktyki dezinformującej. Dyskretny przeciek wykaże, że jest on w rzeczywistości sowiecką wtyczką, która ma nam udzielić fałszywych i mylących informacji. To ich normalne zagranie, kiedy przechodzi do nas ktoś ważny. Ale Platt nie ma wątpliwości, że facet jest autentyczny. Co o tym sądzisz? - zapytał prezydent.

- Jest autentyczny, to prawda. Może pan śmiało postawić na niego milion dolarów. To właśnie on wymyślił taktykę „dezinformacji" i zdezorganizował całą sieć wywiadowczą w Europie Zachodniej. Sądzę, że potrafi powiedzieć, kim jest nasz „piąty agent". Chciałbym, żeby pozwolił mi pan go przejąć - poprosił Honeycut.

W słuchawce zapadła cisza.

- Platt poinformował mnie, że CIA jest już w to dosyć głęboko zaangażowane - odparł w końcu prezydent. - Jeśli sprawy pójdą dobrze, przejmą Czachowskiego w ciągu paru dni. Będziemy mogli wtedy uzyskać od niego wszelkie informacje. Moim zdaniem lepszym rozwiązaniem byłoby dyskretne wsparcie akcji przez twoich ludzi, tak aby zagwarantować pełny sukces CIA. Co ty na to? - Prezydent umilkł, czekając na odpowiedź Honeycuta. Nie musiał czekać długo.

- Nie, panie prezydencie. CIA nie może go dostać w swoje ręce. Nie wolno nam do tego dopuścić.

- Co to znaczy „nie wolno do tego dopuścić"? - zapytał prezydent.

- To znaczy, panie prezydencie, że nie możemy pozwolić, aby Czachowskiego przejęło CIA. - Głos Honeycuta był spokojny i stanowczy.

- Niby dlaczego? - Prezydent nie zamierzał dać się zbić z pantałyku.

- Dlatego, że nie wiemy dokładnie, co Rosjanie wiedzą o Spartaninie, Pielgrzymie i Borsuku. Nie mamy pewności, czy nie wiedzą czegoś na temat SENTINELA. Z całą pewnością dotarły do nich pogłoski o działalności naszej agencji. Spartanin został zabity w Anglii. Wszystkie akcje Pielgrzyma i Borsuka miały miejsce w Europie Zachodniej. Wniosek nasuwa się sam. Jeżeli Czachowski wie o tym, nie możemy pozwolić, aby podzielił się swoją wiedzą z CIA - podsumował Honeycut.

Jezu Chryste, on ma rację, pomyślał prezydent. Jeżeli Shyleur Platt i CIA dowiedzą się o SENTINELU i agencji, dojdzie do prawdziwego polowania na czarownice, które narazi cały program. SENTINEL pozbawiony zostanie swego największego atutu - tego, że otoczony był najgłębszą tajemnicą.

- Cóż, wiem teraz, za co dostajesz swoje pieniądze, Irv. Ale jak masz zamiar to zrobić? Trzymają go w zakamuflowanym lokalu, do którego bez ich wiedzy nikomu nie uda się zbliżyć. To nie będzie łatwe.

- Na pewno poradzimy sobie z CIA, panie prezydencie. Bardziej niepokoją mnie Rosjanie. Są sprytniejsi od tamtych. Nie wiemy, jak dalece orientują się w sytuacji. Wiadomo tylko, że polują na

Czachowskiego. Ale CIA ma tam na miejscu doskonałego człowieka. To Robert Morsand. Jest dobry, naprawdę dobry. Żałuję, że nie pracuje dla nas. Na szczęście otacza go banda głupców. Przemycił już niejednego uciekiniera ze Wschodu, jednak z Czachowskim może mu się nie udać. Nie ma dobrego wsparcia.

- Czy macie we Francji agentów, którzy mogliby to przeprowadzić? - zapytał prezydent.

- Chciałbym, żeby Czachowskiego przejęli Pielgrzym i Borsuk. Oni są naprawdę najlepsi. A jeśli im się nie uda, Rosjanie nie dowiedzą się przynajmniej nic ponad to, co już wiedzą.

- To brzmi całkiem rozsądnie. Masz moje oficjalne błogosławieństwo, Irv. Możesz go przejąć - oznajmił prezydent.

- Jest jeszcze jedna sprawa, panie prezydencie. Moi chłopcy chcą wiedzieć, jak mają traktować ludzi z CIA. Zamierzam powiedzieć im, żeby uważali ich za takich samych przeciwników jak tych z KGB. To oznacza, że jeżeli będą musieli, użyją broni - powiedział Honeycut.

Prezydent milczał.

- Ale to są przecież Amerykanie, Irv - odezwał się po dłuższej przerwie. - Nie mogę pozwolić, żeby Amerykanie zabijali Amerykanów.

- To ostateczność, panie prezydencie. Oni też nie chcą zabijać swoich rodaków, chyba że będzie szło o ocalenie własnej głowy. Muszą dysponować taką możliwością - nalegał Honeycut.

- Masz rację, ale wcale mi się to nie podoba. Pamiętaj: to ostateczność.

- Tak jest, panie prezydencie. Otrzymają również polecenie zlikwidowania Czachowskiego, jeśli okaże się, że istnieje niebezpieczeństwo przejęcia go przez CIA. Nie pozwolą na to. Odzyskanie go przez Rosjan raczej nam nie zaszkodzi. Najważniejsza sprawa, to nie dopuścić do niego CIA.

- W porządku, Irv. To twój ***show.*** Informuj mnie na bieżąco. Chcę wiedzieć o wszystkim, co się dzieje - powiedział prezydent.

- Oczywiście, panie prezydencie. I proszę się nie obawiać, spróbujemy załatwić tę sprawę w rękawiczkach.

- Dobrze, dziękuję ci, Irv. W takim razie do usłyszenia.

- Do widzenia, panie prezydencie.

W słuchawce zapadła cisza. Honeycut odłożył ją i nacisnął biały przycisk na konsoli SENTINELA.

- Tak, słucham? - odezwał się cichy głos.

- Wezwij Pielgrzyma i Borsuka. Mamy dla nich kolejne żądanie.

Rozdział 13

Mimo nieprzerwanego marszu naprzód i wielkich zwycięstw zaczęła nas pokonywać sama Rosja, jej bezmiar. Im dalej się posuwaliśmy, tym bardziej oddalały się od siebie nasze trzy główne armie. Nie byliśmy w stanie ściśle trzymać się planu. Zawodził sprzęt. Ludzie byli coraz bardziej zmęczeni. Luftwaffe miała

trudności ze wsparciem wojsk lądowych na tak rozległym terytorium. Kiedy nadeszły jesienne roztopy, nasze czołgi zaczęły tonąć w błocie. Nie było żadnych ustalonych wcześniej granic, na których mieliśmy zakończyć natarcie. Brak było naturalnych linii obronnych, na których moglibyśmy się zatrzymać. Naczelne Dowództwo nie potrafiło temu wszystkiemu sprostać.

A potem napotkaliśmy trzy kolejne przeszkody - większe, niż się spodziewaliśmy: rosyjskie rezerwy, czołgi T-34, które okazały się lepsze od naszych, oraz siarczysty rosyjski mróz.

Ustęp 21 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Była środa rano; zapowiadał się piękny kwietniowy dzień. Impala Justina skręciła w przecznicę, przy której mieszkała Susan. Przyjechał zobaczyć się z synem.

Zatrzymał się przed domem i przez chwilę mu się przyglądał. To był ich dom, zanim doszło do rozwodu, zanim pojawił się Jack.

Teraz był tu tylko gościem. Na myśl o tym poczuł ból.

Wszędzie czaiły się wspomnienia minionego szczęścia. Ale niezależnie od tego, jak bardzo były z początku przyjemne, zawsze kończyły się przypomnieniem Susan - obrazem jej nóg oplatających tego pieprzonego dentystę, widokiem jej piersi, podskakujących dziko, kiedy trzymając Jacka za tyłek pomagała mu wejść w siebie głębiej przy każdym kolejnym pchnięciu. Słyszał jej głośne jęki rozkoszy i widział koci uśmiech na jej twarzy.

Od dawna podejrzewał, że coś w ich małżeństwie jest nie w porządku. Ale kiedy zobaczył to na własne oczy, załamał się. Nikt nigdy nie zranił go tak dotkliwie.

Zbliżył się do frontowych drzwi, nacisnął dzwonek i czekał, starając się stłumić w sobie złość. Po chwili ponownie przycisnął on guzik. Słyszał dobiegający ze środka dźwięk dzwonka. Przez moment myślał, że nikogo nie ma w domu, ale zaraz potem usłyszał chrobot spuszczanego łańcucha.

Susan miała na sobie szlafrok *frotte;* jej długie jasne włosy ociekały wodą, na twarzy widać było krople. Brała właśnie prysznic.

- Cześć - powiedział.

Nie odpowiedziała. Jej oczy były zimne, wyraz twarzy zacięty. Kilka kropli spłynęło po jej szyi i zniknęło między piersiami.

- Przepraszam, nie chciałem wyciągać cię spod prysznica. Mogę wejść?

Nadal nie odzywała się ani słowem, ale cofnęła się o krok, robiąc mu przejście.

Justin znał to spojrzenie. Była na niego o coś wściekła.

- Czy Michael jest w domu? - zapytał. Zmierzyła go lodowatym wzrokiem.

- Nie, moja matka zabrała go rano do siebie. Potem odwiezie go prosto do przedszkola. Będzie z powrotem dopiero o wpół do czwartej.

- Zapomniałem, że chodzi w środy do przedszkola - powiedział.

- Zapominasz o mnóstwie rzeczy - odparła z przekąsem.

- O co ci chodzi? - zapytał, patrząc na nią z ukosa.

- Gdzie byłeś w niedzielę? - syknęła. - Znowu zapomniałeś o niedzieli.

Przez chwilę milczał.

- Nie, nie zapomniałem. Miałem pilną pracę, która przeciągnęła się z soboty na niedzielę. Nie wiedziałem, że będę zajęty, w przeciwnym razie nie umawiałbym się, że go zabiorę.

- Zbyt zajęty, żeby podejść do telefonu? - burknęła zgryźliwie. Kiedy wzywano go do Chicago, nie miał pojęcia, że spędzi całą niedzielę i poniedziałek poza krajem. Od momentu wkroczenia do ośrodka kontrolnego aż do zakończenia misji nie wolno mu było z nikim się kontaktować. Taka była normalna procedura.

- Po prostu nie mogłem - stwierdził, potrząsając głową.

- Bzdura! - krzyknęła. - Nie wmówisz mi, że byłeś zbyt zajęty, żeby zadzwonić do swego syna i powiedzieć mu, że nie przyjedziesz. - Wyraźnie się rozgrzewała. Zapowiadało się na większą awanturę.

- Nie mogłem podejść do telefonu, Susan...

- Nie wciskaj mi tych bredni. Zbyt często je już słyszałam.

- To nie są brednie. Nie mogłem się wyrwać - powtórzył z uporem.

- Jest środa, Justin. Pewnie byłeś strasznie zajęty aż do dziś? - zapytała z sarkazmem.

- Wróciłem dopiero wczoraj wieczorem. Było zbyt późno, żeby zadzwonić. Przyjechałem tu od razu z rana. Nie zapomniałem, Susan.

Potrząsnęła głową, posyłając mu spojrzenie, które mogło zabić.

- Posłuchaj, Susan. Nie rozumiesz, że...

- Nie, Justin, teraz ty mnie posłuchaj - przerwała mu. - To nie ja jestem tym kimś, kto nie rozumie. To twój syn nie rozumie, że kiedy obiecujesz go gdzieś zabrać, oznacza to, że może przyjdziesz, a może nie. Ma tylko cztery lata. Przez cały tydzień nie mówił o niczym innym. - Mówiła podniesionym głosem; w jej oczach zalśniły łzy. - Czekał na ciebie przy tym przeklętym oknie przez cały boży dzień - ciągnęła, wskazując wielkie panoramiczne okno w salonie. Przy tym ruchu rozchylił się jej lekko szlafrok, odsłaniając część prawej piersi i prawie całe udo. - Trudno o bardziej żałosny widok - dodała. - Kiedy minęło południe, wiedziałam, że już nie przyjedziesz. Ale on nawet nie chciał o tym słyszeć. Kazał sobie podać lunch do salonu, żeby móc stamtąd widzieć, czy na podjazd nie wjeżdża twój samochód. Zjadł tam również obiad. Kiedy na dworze zrobiło się ciemno, biegł do drzwi za każdym razem, gdy zobaczył na ulicy reflektory przejeżdżającego samochodu. „Mamo, mamo, tata przyjechał”, wołał. A potem stał przy drzwiach, czekając na dzwonek.

Justin czuł się fatalnie. Słowa Susan celnie go ugodziły.

- Nigdy... nigdy nie sprawiłbym mu świadomie krzywdy - wyjąkał.

- Ty sukinsynu! - krzyknęła, nie powstrzymując już dłużej łez. - Ty łajdaku! Jak możesz postępować w ten sposób z chłopcem? Nigdy ci tego nie wybaczę, Justin. Nigdy.

- Nie sądzisz chyba, że zraniłem go umyślnie? - zapytał.

- Wiem tylko to, co widzę. A widzę jego małą twarzyczkę przylepioną przez cały dzień do szyby. Ani na chwilę nie przestał wierzyć, że przyjdziesz. W końcu zasnął przy tym oknie. Kiedy Jack zanosił go do łóżka, mruczał cicho przez sen: „Tata przyjechał". Mogłeś zadzwonić. Wystarczyłby jeden głupi telefon.

- Przepraszam, Susan - powiedział cicho. Dużo było rzeczy, za które powinien przeprosić i których nie potrafił zmienić. Gdyby tylko mógł powiedzieć jej o agencji i o tym, czym się zajmuje, powiedzieć, dlaczego to takie ważne - wtedy może by go zrozumiała. A może nie.

Przeprosiny wcale jej nie ułagodziły. Miała teraz przewagę i podobało jej się to.

- Powiedz to swojemu synowi. Może on ci uwierzy, bo ja nie mogę. On myśli, że potrafię puścić w telewizji Popeye albo Spidermana za każdym razem, kiedy ma ochotę ich oglądać. Nie przyjmuje do wiadomości, kiedy mówię mu, że nadają te filmy tylko o określonej porze. Nie rozumie jeszcze tych rzeczy. Uważa, że każdego dnia może być niedziela, bo on tak chce. Pyta mnie sto razy dziennie, kiedy przyjdziesz. Co mam mu odpowiedzieć?... On cię podziwia, Justin. Zasługuje na kogoś lepszego od ciebie. Cały czas czeka na niedzielę... i na ciebie. I zawsze będzie czekał... i czekał... podobnie jak ja.

Justina głęboko zraniły jej słowa. Starał się uspokoić, ale nie udało mu się to.

Wizyty tutaj, przebywanie z nią razem przypominało skradanie się pod zaporami z kolczastego drutu. Zawsze wychodził stąd

wewnętrznie obolały i pokrwawiony. Nienawidził jej i jednocześnie kochał; pożądał jej, ale już nie mógł jej mieć z powrotem.

To był teraz ich dom, jej i Jacka, nie jego. Była teraz żoną Jacka. A Michael? Niedługo zacznie mówić „tato” do Jacka. Wtedy będzie po wszystkim. Powinien zabić tego sukinsyna, kiedy złapał ich razem w łóżku, zabić i oskarżyć o zgwałcenie żony.

A potem przypomniały mu się jej słowa: „I zawsze będzie czekał i czekał... podobnie jak ja”.

Poczerwieniał i twarz wykrzywił mu gniew.

Susan zobaczyła w jego oczach coś, czego nigdy przedtem nie widziała. Przestraszona dała krok do tyłu.

- Czekał? - zapytał wściekłym głosem. - Tak jak ty czekałaś? Opowiedz mi, jak na mnie czekałaś, ty dziwko!

W ułamku sekundy doskoczył do niej, złapał za włosy i pociągnął na podłogę. Szlafrok spadł jej z ramion; trzymał się tylko na luźno zawiązanym pasku.

- Jak długo czekałaś, zanim pobiegłaś z mokrymi majtkami do tego twojego zasranego dentysty? Nie krępuj się, mów, jak to nie możesz mi wybaczyć tego, że nie zadzwoniłem. Nie miałem wyboru, ty miałaś. Nie możesz mi wybaczyć czegoś, na co nie miałem żadnego wpływu. A co powiedzieć o tym, co ty zrobiłaś? Czy to można wybaczyć? No dalej, opowiedz mi coś jeszcze o czekaniu i wybaczaniu - mówił, wykręcając jej do tyłu głowę.

- Nie, Justin. Proszę cię, przestań. Nie rozumiesz, co przeżywałam - krzyknęła, bliska histerii. - Nigdy nie było cię w domu.

Nigdy nie wiedziałam, gdzie jesteś i jak długo cię nie będzie. I nawet... nawet kiedy wracałeś, było w tobie coś... coś takiego...

Szarpnął ją ponownie za włosy i zdarł do reszty szlafrok. Susan łkała przerażona.

- Nie, Justin... posłuchaj... proszę cię, wysłuchaj mnie. - Jej głos drżał, słowa biegły szybko jedno za drugim. - Było coś takiego w twoim wnętrzu... coś, czego nie znałam. To coś całkowicie tobązawładnęło. Stałeś się wobec mnie odległy i nieczuły. A ja potrzebowałam ciepła, miłości, zrozumienia. Pojawił się Jack...

Pociągnął ją za włosy na podłogę i usiadł na niej okrakiem, patrząc z nienawiścią w oczy. Cały jego ból, wszystkie tłumione od dawna uczucia i gniew wydostały się na zewnątrz. Za chwilę wyładuje na niej całą swą frustrację i złość.

- Zawsze... zawsze cię kochałam - wyjąkała przez łzy. - Nawet kiedy poszłam do łóżka z Jackiem, kochałam tylko ciebie, Justin. Ale w tobie była ciemna strona, do której mnie nie dopuszczałeś. Byłam taka samotna, taka strasznie samotna. Musiałam znaleźć jakieś oparcie, żeby się ratować. Musiałam się ratować.

Gniew zniknął z jego oczu; znowu ogarnął go dotkliwy ból. Widział teraz wszystko, wszystkie fragmenty swego życia od czasu wstąpienia do agencji.

- Nie zostawiłaś mi niczego - powiedział. - Obróciłaś w gruzy całą moją dumę, całe moje życie, rodzinę. Zabrałaś mi to wszystko i oddałaś jemu. Całe moje życie.

A co ja zrobiłem, żeby to wszystko odzyskać? - pomyślał.

Może Susan miała rację? Może rzeczywiście istniała w nim ciemna strona, która wyłączała ją z jego życia. Może sam był sobie winien? A może... może winna była agencja, to, co robił?

- Susan... ja... ja... - jąkał się, nie mogąc znaleźć słów. Nie potrafił powiedzieć jej, co czuje. Przed jego oczyma niczym w koszmarnym kalejdoskopie wirowały różne obrazy: Susan i Jack, czekający na niego Michael, Barbara, agencja, ludzie, których zabił. Niepokoiła go dziwna przyjemność, jaką odczuwał, pociągając za cyngiel.

Nie odrywał wzroku od niej.

- Kocham cię, Justin - załkała. - Och, tak bardzo cię kocham. Położył się na niej. Ogarnięci nagłym rozpaczliwym pożądaniem, nie zwracali uwagi na to, co się wokół nich dzieje. Nie było przeszłości ani przyszłości... liczyła się tylko ta jedna chwila.

*

Kiedy Justin wsuwał koszulę do spodni, odezwał się SENTINEL. Nie mogąc odpowiedzieć, zwarł na chwilę ścianki biegnącej od gardła do ucha trąbki Eustachiusza.

Wszczepione mikrokontakty wydały pojedynczy ton. Justin komunikował w ten sposób, że otrzymał sygnał z ośrodka kontrolnego SENTINELA, ale nie jest teraz sam i nie może swobodnie rozmawiać. Nie było obawy, że Susan coś usłyszy. Implant połączony był z uchem za pomocą bezpośredniego łącza neuronowego. Mogli stykać się policzkami i nie usłyszałaby najmniejszego szmeru.

- Pielgrzym, jesteś natychmiast potrzebny. Czy możesz stawić się za sześćdziesiąt minut na lotnisku Newark? – zapytał miły głos.

BLIP! Pojedynczy ton – odpowiedź twierdząca.

- Bilet będzie na ciebie czekał przy stanowisku linii United. Nie zabieraj ze sobą niczego. Wszystko otrzymasz na miejscu. Wyłączam się.

Justin spojrzał na Susan. Leżała na plecach na łóżku, wciąż naga.

- Wpadłem, żeby zapytać, czy nie masz nic przeciwko, żeby Michael przenocował u mnie z soboty na niedzielę – powiedział. – Co ty na to?

Susan zgodziłaby się teraz na wszystko.

- Oczywiście – odparła. – O której po niego przyjdziesz?

- Chyba koło pierwszej.

- Świetnie – powiedziała z uśmiechem. A potem nagle sobie o czymś przypomniała. – Och, poczekaj. W niedzielę będziesz musiał przyprowadzić go trochę wcześniej. Powiedzmy o wpół do siódmej. Jack zabiera go na ostatni mecz Rangersów na ich boisku. – Dzięki temu będziemy mogli być ze sobą sami przez kilka godzin, pomyślała.

Na wzmiankę o Jacku Justin poczuł ukłucie zazdrości. W niedzielę miał zamiar zaprosić na późny obiad ojca. Przesunięcie posiłku na godzinę drugą nie powinno sprawić większych trudności.

- Dobrze – mruknął, kiwając głową. – Barbara i ja chcemy zaprosić w niedzielę na obiad mojego ojca. Ale zjemy po prostu trochę wcześniej.

Barbara. Teraz Susan poczuła nieprzyjemne ukłucie. Zupełnie zapomniała o Barbarze. W ciągu ostatniej godziny byli tylko ona i on. Uprzytomniła sobie, że Justin nie należy już przecież do niej. Pragnęła go w tej chwili bardziej niż kogokolwiek.

Justin skończył się ubierać, założył marynarkę i wyszedł z sypialni do salonu.

Zeskoczyła z łóżka, owinęła się ręcznikiem i pobiegła za nim. Kiedy otworzył frontowe drzwi, zamknęła je z powrotem. Zarzuciła mu ręce na ramiona i namiętnie pocałowała. Gdy oderwali od siebie wargi, zajrzała mu głęboko w oczy.

- Wcale się nie zmieniliśmy w ciągu tych siedmiu lat, Justin – powiedziała. Siedem lat temu byli świeżo po ślubie i bardzo się kochali.

Jej intencje były jasne. Przygoda z Jackiem i wszystko, co do niej doprowadziło, w gruncie rzeczy niczego nie zmieniło. Ona była tą samą Susan, a on tym samym Justinem. Wciąż się kochali. Pragnęła go.

Jack był tylko kimś, kto dostarczał rzeczy, których potrzebowała, a przynajmniej wydawało jej się, że potrzebuje: stabilizacji, ciepła, zrozumienia i poczucia wspólnoty. Był przy niej stale i naprawdę dobrze rozumiał się z Michaelem – ale nie mógł jej zastąpić pierwszego męża.

Justin przesunął oczyma po salonie. Zobaczył mnóstwo znajomych rzeczy: małe porcelanowe figurki, które podarował jej na dzień świętego Walentego, filiżanki z manufaktury Hummela, na

których tak bardzo jej zależało, stojące na półce ręcznie odlane szklane miniaturki i setki innych przedmiotów. Wszystkie przywoływały wspomnienia, szczęśliwe wspomnienia. Ale ani przez chwilę nie opuszczało go również tamto inne wspomnienie, które sprawiało mu tyle bólu i wypierało wszystkie inne: obraz jej i Jacka.

Potrząsnął głową.

- Nie, Susan. Ludzie się zmieniają. My też się zmieniliśmy. Nigdy już nie będziemy tacy sami jak kiedyś. Gdybyśmy się nie zmieniali, nie potrafilibyśmy przetrwać.

Ujął ją za podbródek i delikatnie dotknął jej warg ustami. A potem otworzył drzwi i wyszedł.

Patrzyła przez łzy, jak odchodzi. Nagle zdała sobie sprawę, że nie pamięta, czy odchodząc od niej kiedykolwiek obejrzał się za siebie. Łzy puściły jej się z oczu gęstym strumieniem – wiedziała, że nigdy go nie odzyska.

*

Justin przełknął ślinę, żeby zmniejszyć ciśnienie w uszach. Samolot podchodził do lądowania na 0'Hare. Rozmyślał nad tym, co powiedziała Susan. Pod pewnymi względami miała rację. Niektórzy ludzie zawsze pozostają tacy sami. Susan na przykład zawsze znajdzie sobie kolejnego Jacka, kiedy tylko poczuje się samotna i zaniedbana. A on sam? Wiedział, że zawsze będzie stanowił zagadkę dla każdego - w połowie biały, w połowie czarny. Nikt nigdy nie dowie się o nim całej prawdy.

Gdzieś po drodze pozwolił, żeby zawaliło się całe jego życie. Niektórych jego fragmentów nigdy nie uda się ocalić - inne jednak były do uratowania, jeśli będzie uważał, żeby nie popełnić tych samych błędów. Wciąż jeszcze mógł odnaleźć szczęście, zbudować wspólne życie z Barbarą, pod warunkiem jednak, że podejmie pewien ważny krok; bez tego nie miał najmniejszych szans. Musiał opuścić agencję - natychmiast, zanim pochłonie go bez reszty.

Podejmie się tej ostatniej misji - tyle był im winien. Ale po niej nie będzie już następnych. Zakomunikuje to dzisiaj Pegazowi.

Trochę obawiał się jego reakcji. Jednak ważniejsze od agencji było przecież jego własne życie. Zacznie wszystko od nowa z Barbarą. Będzie także lepszym ojcem dla Michaela. Zamierzał twardo odejść - jeśli mu pozwolą.

*

- Dzień dobry, panowie – usłyszeli głos Honeycuta. – Mamy dla was kolejną małą robótkę. Tym razem w Paryżu. Spodziewamy się was z powrotem w piątek wieczorem.

Justin odetchnął z ulgą. Nie chciał znowu sprawić zawodu małemu Michaelowi.

- Macie przejąć sowieckiego uciekiniera. Nazywa się Dymitr Czachowski. W samolocie znajdziecie kopie jego ***dossier.*** CIA przetrzymuje go teraz w zakamuflowanym lokalu i planuje przerzut na piątek. Operacją dowodzi Robert Morsand. Jego ***dossier*** również będzie w samolocie. Są tam także plany domu, w którym trzymają Czachowskiego, harmonogram akcji CIA, a także nazwiska i

fotografie wszystkich biorących w niej udział ludzi Morsanda, z zaznaczeniem ich specjalności. Znajdziecie poza tym kopertę zawierającą fotografie i akta sowieckich agentów, o których wiemy, że są zaangażowani w polowanie na Czachowskiego. Będą się starali za wszelką cenę go zneutralizować. Nie ustaliliśmy tożsamości wszystkich, więc bądźcie ostrożni. Na pewno wyznaczono do tej akcji najlepszych.

Dwaj mężczyźni słuchali z uwagą Honeycuta, który zaznajamiał ich z dalszymi szczegółami, wyjaśniając również, dlaczego Sowieci chcą odzyskać Czachowskiego i dlaczego nie wolno pozwolić, żeby dostał się w ręce CIA. Mieli zrobić wszystko, żeby go przejąć. Jeśli zaś sytuacja na to nie pozwoli – zabić.

- Naszym celem jest przekonanie każdej ze stron, że zrobili to przeciwnicy. Będziecie w samym środku, więc się pilnujcie. Musimy przejąć Czachowskiego albo go wyeliminować. Traktujcie te rozkazy, jakby pochodziły bezpośrednio z Białego Domu. Wolno wam posłużyć się wszelkimi dostępnymi środkami. Macie pod tym względem zupełną swobodę. Samolot stoi już na lotnisku Meigs, zatankowany i gotowy do drogi. Zatrzymacie się w Reykjaviku, żeby zabrać jeszcze jednego pasażera. Ośrodek kontrolny SENTINELA poda wam szczegóły lotu. Są jakieś pytania?

Justin wiedział, że powinien powiedzieć Pegazowi o swojej planowanej rezygnacji, ale chwila nie wydawała się odpowiednia. Znaczenie tej misji, zabójstwo Spartanina i wszystko, co się do tej

pory wydarzyło – mogło wskazywać, że chce się wycofać z innych przyczyn.

Postanowił zaczekać z tym do powrotu z Paryża.

- Mam dla was jeszcze jedną wiadomość, panowie – ciągnął dalej Honeycut. – Zidentyfikowaliśmy zabójcę Spartanina. Przebywa teraz w Madrycie i jest pod ścisłą obserwacją. Wysłaliśmy już specjalną ekipę.

Justin poczuł ogromną ulgę. Intruz zniknie. Jego teoria była prawdopodobnie słuszna. Morderca musiał śledzić Spartanina, zabić go, a potem wrócić z łupem do Madrytu.

- Czy jest coś nowego na temat dziennika? – zapytał.

- Na razie nic. Sprawdzamy twoją teorię, ale jednocześnie czekamy na kolejną sposobność przeszukania domu. Pod koniec tygodnia wyślemy tam ekipę Wydziału Drugiego. Ważniejsze jest jednak w tej chwili zadanie, które wam powierzam. Otrzymacie wsparcie od naszych agentów operujących w rejonie Paryża. Koordynacją działań zajmie się ośrodek kontrolny SENTINELA. Czy macie jeszcze jakieś pytania?

Obaj mężczyźni milczeli.

- W takim razie życzę panom powodzenia. Dostarczcie tu Czachowskiego.

- Może pan na nas liczyć – odparł Justin. Głośnik wyłączył się.

Fanning wyjął dwa cygara i rzucił jedno z nich Justinowi.

- Wiosną nie ma piękniejszego miasta od Paryża – rozmarzył się. Godzinę później learjet unosił się z rykiem silników nad pasem

startowym lotniska Meigs. Na kursie mieli Reykjavik. Fanning znowu gwizdał. Tym razem „April in Paris”.

Rozdział 14

Niemieckie Naczelne Dowództwo wydało rozkaz utrzymania za wszelką cenę wszystkich zajętych rosyjskich terytoriów. Mimo olbrzymich trudności nasze wspaniale oddziały nie dały się wyprzeć ze zdobytych pozycji. Słabo skoordynowana rosyjska ofensywa została zatrzymana.

Z nadejściem cieplejszych temperatur rozpoczęło się kolejne natarcie. Niestety spotkało się ono z większym i bardziej zawziętym oporem niż podczas naszej pierwszej ofensywy, rok wcześniej. Straciliśmy przez to coś, czego nie wolno nam było stracić – czas. Nadeszła następna mordercza zima i razem z nią ruszyła kolejna straszliwa rosyjska ofensywa. W lutym 1943 nasza licząca przeszło 300 000 żołnierzy 6 Armia została kompletnie rozbita u bram Stalingradu.

Ustęp 22 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Wasilij Truszczenko stał przed rozwścieczonym Leonidem Trawkinem. Oficjalna wersja zeznania Bodonowa właśnie trafiła na biurko generała. Twarz Trawkina była purpurowa, ręce drżały mu z gniewu. Miał ochotę skręcić tamtemu kark.

Truszczenko był spokojny i opanowany. Dowody mówiły same za siebie, a Czachowski dodatkowo potwierdził swoją winę uciekając. Sprawa była jasna.

Generał zmierzył podwładnego twardym spojrzeniem. Widniejący na twarzy Truszczenki triumf rozwścieczył go jeszcze bardziej. To żałosne poszukiwanie odwetu mogło narazić na szwank całą misję Aleksego Kuradina. Misję, która już się zaczęła. Kuradin wyjechał i nie można go było zawiadomić o zniknięciu Czachowskiego. Dowie się o tym, kiedy będzie za późno. Jeśli chcieli zdobyć dokumentację SENTINELA, misji nie wolno było odwołać.

- Czy zdajesz sobie sprawę, coś narobił? – zapytał, starając się kontrolować głos.

Truszczenko nie zamierzał dać się zbyć. Zbyt długo czekał, żeby przyskrzynić swego wroga. Nie dbał o to, jak potężnych popleczników ma Czachowski.

- Ujawniłem notorycznego przestępcę, człowieka, którego perwersyjne zbrodnie zagrażają w poważnym stopniu bezpieczeństwu państwa. To najgorszy rodzaj zbrodniarza: pedofil, zboczeniec najpodlejszego i najniższego stopnia.

- To trzeba będzie jeszcze udowodnić – stwierdził Trawkin. – Ale proszę, mów dalej. Pokaż, jakim jesteś wielkim patriotą – dodał lodowatym tonem.

Truszczenko zastanawiał się przez chwilę.

- Nie jestem… nie jestem pewien, czy rozumiem, co chcecie przez to powiedzieć, towarzyszu generale… Zgromadziłem dowody, które w niepodważalny sposób świadczą o jego winie…

- Gdzie on jest? – ryknął Trawkin, waląc potężną jak bochen chleba pięścią w biurko. – Gdzie jest ten twój przestępca?

Truszczenko nie zamierzał dać się zakrzyczeć. Dowody były nie do obalenia.

- Ukrył się gdzieś. W ten sposób sam przyznał się do…

- Gdzie się ukrył? – przerwał mu generał. Truszczenko spojrzał zwierzchnikowi w oczy.

- Nie wiem. Ale przez cały czas go szukamy. Odnalezienie go to tylko kwestia czasu. – Jego spojrzenie było twarde i chłodne; nie okazywał najmniejszych oznak strachu.

- Nie wiesz? – powtórzył, przedrzeźniając go, Trawkin. – A dlaczego się ukrył?

- Ponieważ jest winien zarzucanych mu czynów. Wolał uciec, niż zostać skazanym za swoje zbrodnie – odparł spokojnie Truszczenko.

- Wolał uciec… – nasrożył się generał. – Kiedy sporządzono oficjalny akt oskarżenia? – zapytał.

- Zarzuty zostały przedstawione dwa dni temu. Po ich przejrzeniu sporządzono wczoraj akt oskarżenia.

- A kiedy odkryto zniknięcie Czachowskiego?

- Przed dwoma dniami – odpowiedział Truszczenko.

- Przed dwoma dniami? A więc jeszcze zanim sporządzony został akt oskarżenia. Kto odkrył jego nieobecność? – Trawkin zmierzał powoli do sedna. Jego głos stał się spokojniejszy.

Truszczenko odnotował tę zmianę. Wiedział, o co chodzi Trawkinowi, ale nie zmieniało to przecież faktu, że Czachowski był winien.

- Wysłaliśmy ekipę z Wydziału Kadr, żeby zlokalizowała Czachowskiego i obserwowała jego poczynania. To oni właśnie ustalili, że nie ma go na południu Francji, gdzie powinien być.

- To oznacza, że właściwie zniknął dwa dni wcześniej, nim to zauważono. Albo przynajmniej mógł zniknąć dwa dni wcześniej, prawda? – Trawkin zbliżał się do ostatepznej konkluzji.

- Mogło tak być – odparł ostrożnie Truszczenko.

- Wysłałeś ekipę obserwacyjną, zanim przedstawiony został oficjalny akt oskarżenia – ciągnął Trawkin.

- Zgadza się. Miałem prawo to zrobić. To była tylko ekipa obserwacyjna, jej zadaniem nie było sprowadzenie go z powrotem do Związku Sowieckiego. Wysyłając ją nie przekroczyłem wcale swoich kompetencji. Nie muszę mieć niczyjej zgody, żeby wysłać obserwatorów. Mieli go obserwować i donosić o jego poczynaniach, dopóki nie przedstawimy wam oficjalnego aktu oskarżenia i nie zażądamy jego powrotu. Nie zrobiłem nic złego – powtórzył z uporem Truszczenko.

- Powiem ci, co takiego zrobiłeś… Naraziłeś na szwank najpoważniejszą operację wywiadowczą, jaką kiedykolwiek

przedsięwziął ten kraj. Wysłałeś w objęcia wroga jednego z naszych najważniejszych funkcjonariuszy. Zmusiłeś go do szukania ratunku na Zachodzie.

Truszczenko zaczerwienił się. Jaka operacja wywiadowcza? Nie miał pojęcia, co Trawkin ma na myśli.

- Naraziłeś na szwank cały nasz system wywiadowczy w Europie Zachodniej. I sam sobie założyłeś pętlę na szyję.

Truszczenko doznał nagłego wstrząsu. Zniknęła gdzieś jego pewność siebie, nogi ugięły się pod nim. Usiadł na krześle. Krew odpłynęła mu z twarzy. Założył sobie pętlę na szyję?

- Jeśli Czachowskiemu uda się zbiec, Związek Sowiecki znajdzie się przez ciebie na krawędzi wojny. Dymitr Czachowski nie jest zwyczajnym obywatelem, którego los nie ma dla nas żadnego znaczenia. Przekroczyłeś swoje kompetencje, wszczynając przeciwko niemu dochodzenie i nie powiadamiając o tym mojej kancelarii – dobił go Trawkin. – Wyobrażałeś sobie, że człowiek o jego znaczeniu i wpływach nie ma żadnych przyjaciół? Wiedział o każdym twoim kroku. Nie informując nas o podniesionych zarzutach i o wszczęciu śledztwa dałeś mu czas na staranne zaplanowanie ucieczki. Gdybyś nas uprzedził, wezwalibyśmy go do Moskwy i zatrzymali jeszcze przed rozpoczęciem śledztwa. A potem przedstawili zarzuty tutaj, mając go w ręku.

- Ale on jest winien – wtrącił Truszczenko. – Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Jest rzeczą urzędowo stwierdzoną, że…

- Że zniknął z ambasady i że winę za to ponosisz ty! – ryknął generał. – To jest jedyna rzecz urzędowo stwierdzona. Uciekł z powodu twojej głupoty i małodusznej żądzy odwetu. Wysłaliśmy w teren dziesięć ekip, żeby go zlokalizowały i zlikwidowały. Jeśli uda mu się zbiec, ty zasiądziesz zamiast niego na krześle Kutza. A kiedy wyciśniemy z ciebie wszelką chęć życia, zostaniesz rozstrzelany.

Truszczenko trząsł się cały. Po jego twarzy spływały strugi potu.

- Ja… ja nie wiedziałem o żadnej wywiadowczej operacji. Ja… ja…

- Nie musiałeś o niczym wiedzieć, gnojku. Jesteś kompletnym kretynem – wrzasnął Trawkin.

- A zarzuty? – wyjąkał drżącym głosem Truszczenko.

- Nie mają żadnego znaczenia w porównaniu z tym, co narobiłeś. Niezależnie od tego, co stanie się z Czachowskim, jesteś skończony. Jeśli uda nam się go zlikwidować, może uniesiesz z tego cało głowę. Ale i tak będziesz jeszcze żałował, że się urodziłeś.

Generał nacisnął wmontowany w biurko przycisk interkomu. Do gabinetu weszli trzej strażnicy. Truszczenko obrócił się na krześle. Poczuł, że chwytają go mdłości.

- Zabierzcie go i trzymajcie pod ścisłą strażą aż do odwołania. To wszystko – rzucił ponurym głosem Trawkin. Wziął do ręki akt oskarżenia i zaczął przerzucać jego kartki. Nie spojrzał nawet na wyprowadzanego z gabinetu Truszczenkę. W gruncie rzeczy nie wiedział, co czyta. Przed oczyma stanęła mu twarz Aleksego Kuradina – twarz Centaura, który nie wiedział, co się wydarzyło i jakie to może

mieć konsekwencje. Nie wiedział, po jak cienkiej stąpa teraz linie i w jakim niebezpieczeństwie znajdzie się Rosja, jeśli nie uda się powstrzymać Czachowskiego.

Dymitr Czachowski był w posiadaniu mnóstwa informacji, z których większość, gdyby udało mu się zbiec na Zachód, mogła wyrządzić Rosji poważną szkodę. Ale jedna z nich mogła okazać się dla przyszłości Rosji wprost fatalna. Czachowski znał Aleksego Kuradina – i jego największy sekret.

*

W Chicago był już późny wieczór, kiedy w apartamencie Edwarda Bridgesa zadzwonił telefon. Doktor podniósł słuchawkę po drugim dzwonku.

- Bridges przy telefonie - rzucił. W jego głosie brzmiało napięcie. - Automat telefoniczny w Playboy Club. Za dziesięć minut. Pierwszy aparat - odezwał się głos. To był telefon, na który czekał!

Mieszkał w odległości kilku minut pieszego spaceru od klubu. Pospiesznie włożył płaszcz i wybiegł z apartamentu. Rzucił okiem na zegarek. 9:33. Facet, który dzwonił, powiedział: „za dziesięć minut”.

Z bijącym mocno sercem wyszedł ze swojego bloku i ruszył szybko ulicą. To naprawdę się wydarzy, dokładnie tak, jak zaplanował. Ponownie rzucił okiem na zegarek i przyspieszył kroku.

Po kilku minutach wchodził do klubu. Spojrzał na zegarek. Była 9:42. Ruszył szybko w stronę płatnych telefonów. Na ścianie wisiały trzy. „Pierwszy aparat”. Pierwszy z prawej czy z lewej?

Z automatu po prawej stronie telefonował jakiś mężczyzna. O Boże, niech to będzie pierwszy z lewej! DRRRRRRR!

Skoczył do telefonu po lewej. Poczekał na drugi dzwonek. DRRRRRRR!

- Tak? - odezwał się, podniósłszy słuchawkę. Brakowało mu tchu. Krew waliła w uszach tak głośno, że nie był pewien, czy coś usłyszy. - Bridges przy telefonie - dodał, przyciskając mocniej słuchawkę do ucha.

- Dobry wieczór, doktorze Bridges. Jak pan się dzisiaj miewa? - zapytał niski, spokojny głos.

- Do... doskonale. - Bridges z trudem przełknął ślinę. Nogi drżały mu ze zdenerwowania. - Doskonale, czuję się doskonale.

- To dobrze, doktorze Bridges - powiedział głos. - Czy może pan przygotować dokumentację na piątek wieczór? Niech pan odpowie „tak” albo „nie”.

- Ta... tak. Żaden problem.

- Tylko „tak” albo „nie”, doktorze Bridges - powtórzył z naciskiem głos.

- Tak.

- Znakomicie. W South Beloit, przy skrzyżowaniu drogi numer pięćdziesiąt jeden i siedemdziesiąt pięć, niedaleko Interstate dziewięćdziesiąt jest hotel Holiday Inn. Zrozumiał pan? Potrafi pan go znaleźć?

- Tak.

- Bardzo dobrze, doktorze Bridges. Wynajmie pan tam pokój pod własnym nazwiskiem. Niech pan nie dzwoni ze swojego telefonu, żeby dokonać rezerwacji. Proszę wynająć pokój na trzy noce: piątek, sobotę i niedzielę. Zapamiętał pan?

- Tak, na trzy noce.

- Tylko „tak" albo „nie", doktorze Bridges.

- Tak.

- Skontaktujemy się tam z panem. - W słuchawce rozległ się trzask i zapadła cisza.

- Niech pan poczeka! Kiedy? Którego dnia? - Bridges rozejrzał się dookoła, żeby sprawdzić, czy nikt go nie słyszał.

Nie było nikogo. To dobrze, nikt go nie obserwował. Odwiesił słuchawkę. To działo się naprawdę. Piątek będzie jego ostatnim dniem!

Był szczęśliwy i zarazem przerażony. Musiał się czegoś napić. Wyszedł z Playboy Club i prawie biegiem wrócił do domu.

Nalał sobie pełną szklankę szkockiej, wrzucił trochę kostek lodu i pociągnął spory łyk. Od razu poczuł się lepiej.Fałszywy trop. Musiał zostawić za sobą fałszywy trop, trop, którym podąży SENTINEL. Sobota. Skontaktują się z nim prawdopodobnie w sobotę. Dobrze. Dobrze. Przez głowę przelatywały mu gorączkowe myśli. Rezerwacja. Musi zarezerwować pokój. Podniósł słuchawkę.

Co robisz, idioto, pomyślał. Nie dzwoń z własnego aparatu. Zapomniałeś już, co ci tamten powiedział? Na dole, w holu, jest automat.

Odstawił szklankę i ponownie wybiegł z apartamentu.

Znalazłszy się w holu, trochę się uspokoił. Powstrzymał wściekłą gonitwę myśli i spróbował się skoncentrować. Na początku to, co najważniejsze. Fałszywy trop, tę sprawę trzeba załatwić najpierw. Przez chwilę się namyślał, a potem wziął do ręki książkę telefoniczną.

Wrzucił do automatu dwie dziesięciocentówki, usłyszał sygnał centrali i wykręcił wolny od opłaty numer. Dziesiątki wyskoczyły z powrotem.

Sygnał odezwał się kilka razy, zanim ktoś odebrał telefon.

- Dziękujemy, że zadzwonił pan do Avisa. Polecamy produkty Chryslera. Mówi Donna. Czym mogę służyć?

- Chciałbym wynająć samochód. Do odbioru w piątek wieczór na lotnisku 0'Hare w Chicago.

- Tak jest, proszę pana. Na 0'Hare, w piątek wieczór. Chodzi panu o ten piątek?

- Tak, ten piątek.

- W porządku. Jaki rodzaj samochodu pan sobie życzy?

- No... chyba coś dużego.

- Coś dużego - powtórzyła, wprowadzając informację do komputera. Bridgesa dobiegało ledwie słyszalne stukanie klawiszy.

- O której godzinie odbierze go pan w Chicago? - zapytała.

- O której? Mniej więcej o... o siódmej. Mogę się trochę spóźnić, trudno mi teraz powiedzieć.

- Jaki jest numer pana lotu?

- Numer... nie wiem... Do czego potrzebny pani numer mojego lotu? - zapytał.

- Żeby zatrzymać dla pana samochód w przypadku, gdyby lot się z jakiejś przyczyny opóźnił. Wie pan, jaki jest pana numer lotu?

- Hm... hm... nie, niestety, nie wiem. Jeśli to takie ważne, mogę...

- Nie, to nie jest konieczne. Z jakiego miasta pan przyleci? Przez chwilę się namyślał.

- Z Nowego Jorku.

- To nam wystarczy. Potrzebne mi jest pańskie nazwisko i numer Avis Wizzard, jeśli pan ją posiada.

- Nie, nie mam Avis Wizzard. Nazywam się Edward Bridges.

- Świetnie, panie Bridges. Czy może mi pan podać swój adres albo adres pańskiej firmy?

- Tak, oczywiście... Comtech Corporation, Madison Avenue w Nowym Jorku - zmyślił na poczekaniu.

- Czy ma pan jakiś numer telefonu, pod którym można się z panem skontaktować?

- Tak... mam... - Spojrzał na numer automatu. - Siedemset dziewięćdziesiąt jeden trzydzieści dwa czterdzieści dwa.

- Kierunkowy do Nowego Jorku jest dwieście dwanaście? - zapytała.

- Tak, zgadza się.

- Czy odstawi pan samochód w to samo miejsce?

- Tak, w poniedziałek rano. - Zwrócę wam go z Moskwy, pomyślał.

- Czy będzie pan płacił kartą kredytową Avisa, czy jakąś inną kartą kredytową?

- Nie, zapłacę gotówką.

- W porządku, panie Bridges, w piątek w Chicago ma pan zarezerwowany duży samochód, do odbioru na lotnisku 0'Hare. Czy mogę panu pomóc w dokonaniu jakichś innych rezerwacji?

- Nie, to wszystko. Dziękuję.

- Proszę bardzo. Dziękujemy, że zadzwonił pan do Avisa. Bridges odwiesił słuchawkę. Wrzucił monety, zadzwonił do informacji i otrzymał numer hotelu Holiday Inn w South Beloit.

Wykręcił kierunkowy 815 i numer hotelu. Usłyszał długi sygnał. Dziesiątki wyskoczyły z powrotem.

- Proszę wrzucić siedemdziesiąt pięć centów za pierwsze trzy minuty rozmowy.

Pogrzebał w kieszeniach. Razem z dwudziestoma centami, które wyskoczyły z aparatu, miał dokładnie żądaną sumę. Wrzucił wszystkie monety, przysłuchując się wydawanym przez nie stukom i brzękom.

Telefon w South Beloit dzwonił i dzwonił.

- Holiday Inn w South Beloit. Czym mogę służyć?

- Chciałbym zamówić...

- Proszę chwilę zaczekać.

- Halo! Halo! - Zaczął protestować. Nikt nie odpowiadał. Potrząsnął głową i czekał na ponowne zgłoszenie się telefonistki. Bębniąc palcami po ścianie gratulował sobie pomysłowości, z jaką udało mu się zatrzeć za sobą ślady.

Czekanie przedłużało się. Zaczęło go to denerwować, bo nie miał więcej drobnych. Spojrzał na zegarek, próbując ocenić, ile minęło czasu.

- Przepraszamy, że musiał pan czekać - odezwał się młody głos.

- Nie ma sprawy. Chciałbym zarezerwować pokój na piątek, sobotę i niedzielę - powiedział.

- Połączę pana z działem rezerwacji.

Cholera! Teraz był naprawdę wściekły. W takim tempie nie załatwi tej rezerwacji do soboty.

Znowu czekał. Spojrzał na zegarek. Trzy minuty prawie się kończyły. Zaraz zgłosi się telefonistka z centrali, każąc mu wrzucić kolejne monety.

- Dział rezerwacji. Mówi Tom. Czym mogę służyć?

- Nareszcie - odparł z przekąsem. - Chciałbym zarezerwować pokój na najbliższy piątek, sobotę i niedzielę.

Połączenie urwało się na krótką chwilę, podczas której monety wpadły do środka aparatu. Czas się skończył. Ale telefonistka chyba zaspała.

- Halo? - usłyszał głos z drugiej strony linii.

- Tak, słyszę pana dobrze - odpowiedział.

- W porządku, rezerwuję pokój na piątek, sobotę i niedzielę. Czy mógłby pan podać swoje nazwisko?

Miał zarezerwować pokój pod własnym nazwiskiem!

- Bridges. Edward Bridges.

- Czy przyjedzie pan wieczorem? Po godzinie szóstej?

- Tak, po szóstej.

- W porządku, pokój będzie na pana czekał. Czy mógłby pan podać nazwę swojej firmy albo adres domowy?

- Jasne. Chemtech Corporation. Chicago, La Salle Street tysiąc sto - skłamał.

- Czy ma pan jakiś telefon w domu albo w firmie, pod którym można się z panem skontaktować?

- Tak: Siedemset dziewięćdziesiąt jeden trzydzieści dwa czterdzieści dwa, kierunkowy dwieście dwanaście - powiedział, ponownie podając numer automatu, z którego dzwonił.

- Dziękuję, panie Bridges. Przyjąłem pana rezerwację na najbliższy piątek, sobotę i niedzielę. Czekamy na pana wieczorem. Dziękuję, że zadzwonił pan do Holiday Inn.

- Proszę bardzo - odparł i odwiesił słuchawkę.

A więc wszystko załatwione. Musiał teraz tylko pójść w piątek do Alphy i wynieść stamtąd dokumentację. Powinno mu to pójść jak z płatka.

Wyszedł z kabiny i ruszył z powrotem do mieszkania, żeby uczcić pomyślny obrót sprawy paroma szklaneczkami szkockiej. Nagle usłyszał za sobą dzwonek telefonu. Zatrzymał się i odwrócił.

Telefon nie przestawał dzwonić.

Przez twarz przebiegł mu chytry uśmiech.

- Możecie mnie zaskarżyć - zachichotał i ruszył z powrotem na górę. Niecodziennie człowiekowi udaje się oszukać towarzystwo telefoniczne.

*

Marzec był w Chicago bardzo chłodny, ale Reykjavik przywitał ich niemal mrozem. Na Justina i Fanninga czekał na lotnisku mężczyzna o kryptonimie Striker. Ruszyli razem z nim w stronę ledwie wystającej z ziemi pokaźnej betonowej budowli przypominającej bunkier. W dół prowadziły wąskie schody.

- Jezu Chryste, czy tu zawsze tak zimno? - zapytał Justin, czując jak usta drętwieją mu z chłodu.

Striker uśmiechnął się.

- Mamy już prawie wiosnę. Zimy są o wiele gorsze. Justin potrząsnął głową.

- Jest wtedy jeszcze zimniej niż dzisiaj? Nic dziwnego, że nazywają tę wyspę Islandią* - stwierdził, chuchając w zgrabiałe dłonie.

*** Ang. Iceland - dosłownie: Kraj Lodu (przyp. tłum.).**

Pomieszczenie wewnątrz betonowej budowli było ciepłe i elegancko umeblowane, miało ściany obite boazerią. Na jednej z nich wisiała duża tablica, do której przypięto liczne fotografie.

Gospodarz poczęstował gości gorącą gęstą czekoladą. Kiedy już się rozgrzali, zabrali się do rzeczy.

Striker wskazał pierwszą fotografię.

- Jak wiecie z ***dossier,*** które przestudiowaliście w samolocie, ten człowiek to Dymitr Czachowski. Mężczyzna na zdjęciu obok niego nazywa się Borys Fadiejkin i kieruje poszukiwaniami. To sprytny facet i możecie być pewni, że ma dla nas w zanadrzu parę niespodzianek. Nie wiemy dokładnie, ile ekip ma pod swoimi rozkazami. Wiadomo nam o sześciu. Ośrodek kontrolny ocenia ich liczbę na dziesięć do dwunastu. W tym równaniu Sowieci są dla nas wielką niewiadomą. Mogą wszystko zepsuć.

Striker przesunął się w stronę następnego zdjęcia.

- A to Morsand. Obok stoi Bud Kodek, jego najbliższy współpracownik. Kieruje operacją. Plan jest, jak sami będziecie mieli okazję stwierdzić, bardzo prosty.

Pokazał następne fotografie.

- Tu macie dom, w którym przebywa Czachowski. Zabierają go stamtąd w piątek. Według planu ma to nastąpić o pierwszej, ale Morsand znany jest z tego, że lubi zaczynać wcześniej. Moim zdaniem operacja rozpocznie się koło jedenastej. Te zdjęcia są satelitarnymi zbliżeniami całego obszaru, który Morsand ma zamiar zabezpieczyć. Jak widzicie, obejmuje on całą przecznicę i wszystkie budynki otaczające dom. Nasza uwaga skupia się tutaj - powiedział Striker, pokazując tył domu, w którym mieścił się zakamuflowany lokal. W prostokącie, który tworzyły dwa sąsiadujące z domem budynki i trzeci, stojący dokładnie z tyłu, znajdowało się małe podwórko. - Ulica będzie zbyt dobrze kryta, żeby można było myśleć

o jakiejkolwiek szansie ucieczki. Cały teren zamieniłby się w ciągu paru sekund w pole bitwy. Jedyną sposobność odbicia Czachowskiego daje to podwórko - dodał.

- Wygląda mi na śmiertelną pułapkę - mruknął Fanning.

- Nie, wcale nią nie jest. Morsand wyśle dwóch ludzi, żeby pilnowali tylnego wyjścia. Zgodnie z planem ma tam być również facet z radiotelefonem. Plan nie wspomina nic o snajperze, ale jestem przekonany, że też tam będzie. Dokładnie tutaj - powiedział Striker, wskazując dach budynku stojącego z tyłu podwórza.

- Skąd pan wie, że właśnie tam będzie? - zapytał Justin.

- Niech pan przyjrzy się dachom domów - odparł Striker i wskazał dach, na którym według niego powinien zająć pozycję snajper. - Jest płaski. Podobnie jak ten po prawej, gdzie będzie łącznik. Inne są spadziste, w typowym francuskim stylu. Wiecie, ile jest płaskich dachów w tej części Paryża? - zapytał.

Wzruszyli ramionami.

- Nie ma ich zbyt wiele. Dlatego właśnie wybrano to miejsce. Jest doskonałe do obrony. Z tego dachu snajper kontroluje tyły domu, podwórko i ulicę po drugiej stronie. Jeden człowiek zastępuje tu pięciu.

- Powiedziałem, że to śmiertelna pułapka - powtórzył Fanning. - Mając na karku tego snajpera nigdy stamtąd nie wyjdziemy.

Striker uśmiechnął się ponownie.

- Kiedy pan stamtąd wyjdzie, snajpera już nie będzie na dachu. Ja o to zadbam. Stąd - powiedział, pokazując punkt na większej, przedstawiającej całą dzielnicę fotografii.

Dwaj mężczyźni przyjrzeli się wskazanemu przez niego miejscu.

- To dość daleko - stwierdził Justin.

- Nie powiedziałbym. Odległość wynosi tylko czterysta jardów. To dzwonnica. Wznosi się mniej więcej trzydzieści stóp powyżej interesującego nas dachu. Strzał jest bardzo łatwy.

- To wcale nie jest łatwy strzał - powiedział Fanning.

- Dla mnie tak - odparł Striker.

- A co się stanie, jeśli nie będzie go na tym dachu? Jeśli zajmie pozycję w którymś z okien?

- Nie zrobi tego. Nie mógłby wtedy kontrolować ulicy po drugiej stronie. Ona także musi znajdować się pod obserwacją - wyjaśnił Striker.

- A co się stanie, jeśli snajper będzie jednak siedział w oknie? - upierał się Fanning.

- Jeśli zajmie pozycję przy oknie, wtedy ma pan rację: to podwórko stanie się śmiertelną pułapką. Ale on będzie na dachu - powiedział z przekonaniem Striker.

- Cóż, nawet jeśli tam będzie, czterysta jardów to duża odległość. Jeśli pan spudłuje, będzie po nas. Nie podoba mi się to podwórko - stwierdził Justin.

- Czy się wam podoba, czy nie, jest jedyną drogą z tego domu - powiedział Striker.

Justin potrząsnął głową. Spojrzenie Fanninga nie wróżyło nic dobrego.

- Snajper nie usłyszy nawet strzału, który go uśmierci - ciągnął Striker. - Podobnie jak facet z radiotelefonem. Po wyeliminowaniu dwóch agentów przy tylnych drzwiach jeden z was będzie mógł przebiec razem z Czachowskim podwórko i minąwszy budynki wydostać się na ulicę z drugiej strony. Będzie tam czekał samochód, prowadzony przez drugiego z was. Przemycenie was obu do tego budynku jest praktycznie niemożliwe. Natomiast jeden ma całkiem spore szanse.

Fanning wyciągnął z kieszeni ćwierćdolarówkę.

- Zobaczymy, kto siądzie za kierownicą. Zwycięzca dostaje samochód. Wybieraj - powiedział, rzucając monetę w górę.

- Reszka - zawołał Justin.

Moneta spadła na dywan i podskoczyła. Na wierzchu był orzeł. Fanning uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Niektóre dni są przyjemniejsze od innych - podsumował.

- Dziękuję ci bardzo - odparł Justin.

Striker cofnął się w głąb pokoju, gdzie znajdował się schludnie utrzymany warsztat. Na stojącym na nim statywie umieszczony był dziwnie wyglądający karabin. Dwaj mężczyźni ruszyli za Strikerem, przyglądając się z zaciekawieniem broni.

Justin przejechał palcem po długiej, gładkiej, pozbawionej muszki lufie, na której zamontowana była potężna luneta Redfielda. Kolbę karabinu stanowił sporządzony z aluminium pręt w kształcie

litery T, obity materiałem w miejscu, gdzie stykało się z nim ramię. Zaraz za pozbawionym kabłąka spustem zamontowany był niewielki, dający się zdemontować uchwyt.

- Widzicie panowie jeden z najbardziej precyzyjnych typów broni, jakie kiedykolwiek wykonano - oznajmił z dumą Striker. - Skonstruowałem ją z karabinu Winchester High Wall, kalibru sześć milimetrów, modernizując przed kilku laty normalny seryjny model. Lufa jest całkowicie stabilna i nie przenosi. Jeśli potrzebny jest precyzyjny strzał, nic nie może się równać z dobrze zrobioną, zmodyfikowaną seryjną bronią. Ta dziecina ma wszystkie zaletypotrzebne w naszym rzemiośle. Można ją całkowicie rozłożyć w dziesięć sekund. Nie ma takiego celu, którego by nie trafiła, jeśli wyposaży się ją w odpowiednią lunetę. Dotknął dłonią lufy.

- Ta zamontowana tutaj - ciągnął - jest nastawiona na czterysta jardów, co oznacza, że pocisk trafi dokładnie w miejsce położone na przecięciu linii celownika, jeśli odległość do celu wyniesie od trzystu dziewięćdziesięciu do czterystu dwudziestu pięciu jardów. Przy dwustu jardach trafi trzy cale wyżej, przy pięciuset stopę niżej. Jeśli chodzi o naszego przyjaciela na dachu najważniejszy problem polega nie na tym, żeby go trafić, ale żeby właściwie umiejscowić strzał. Prawdopodobnie zdecyduję się na głowę, co w przypadku tej broni nie będzie trudniejsze niż trafienie w ścianę stodoły. Normalnie staram się znaleźć w odległości od stu do dwustu jardów od celu, choć strzelałem już także z dziewięciuset. Z odległości czterystu jardów ofiara w ogóle nie usłyszy strzału. Zagłuszy go miejski hałas. Będę używał naboi z

rtęciowym czubkiem *. Trafienie nimi w jakiekolwiek miejsce na ciele ofiary gwarantuje pewną śmierć.

*** Nabój z rtęciowym czubkiem jest morderczym wynalazkiem, który działa na bardzo prostej zasadzie. W czubku albo w podstawie naboju wierci się dziurę. Następnie wpuszcza się do środka kroplę rtęci i starannie zatyka otwór. Kropla zajmuje tylko część pustej przestrzeni i kiedy pocisk wylatuje z lufy, rtęć rozpłaszcza się z tyłu. Trafiający w cel pocisk zwalnia, ale ciężka kropla rtęci leci nadal z jego pierwotną szybkością do przodu i uderzając w czubek wybucha wewnątrz celu.**

- Jak szybko potrafi pan załadować z powrotem ten karabin? - zapytał Justin. - Jest jednostrzałowy, a pan ma przecież dwa cele.

- Ważny jest tylko jeden z nich. Łącznik, kiedy pana zobaczy, będzie zbyt zajęty wysyłaniem wiadomości, żeby zauważyć, że jego kolega na dachu nie ma już głowy. Po zlikwidowaniu pierwszego celu zostanie mi dla niego mnóstwo czasu. Pan przebiegnie wtedy podwórko i wydostanie się na ulicę.

- Gdzie będę już na ciebie czekał w samochodzie - wtrącił Fanning.

- Zgadza się. Bardzo ważny jest czas. Kiedy pański przyjaciel wyjdzie z budynku, pan wjedzie w tylną uliczkę. Będą pana mieli na widoku, musi więc pan zatrzymać się przy krawężniku w tej samej chwili, kiedy pański kolega pojawi się tam z Czachowskim. Od tego momentu będziecie zdani sami na siebie.

Przedyskutowali dokładnie szczegóły ostatniego etapu operacji, już po wydostaniu się ze strefy kontrolowanej przez CIA. Nie powinna im nastręczyć większych trudności.

Striker starannie złożył broń i zapakował resztę swojego sprzętu.

Zmodyfikowany learjet wystartował z lotniska w Reykjaviku zgodnie z rozkładem. Wchodzili do akcji.

Rozdział 15

Miesiąc po klęsce pod Stalingradem rozpoczęliśmy ostatnią desperacką ofensywę, która miała nam przynieść zwycięstwo. Miała przynieść, lecz nie przyniosła. Zupełnie nie doceniliśmy rosyjskich rezerw i zdolności mobilizacyjnych. Nie panowaliśmy już w powietrzu, a linie zaopatrzeniowe zostały odcięte. Ofensywa ugrzęzła i zatrzymała się. Jesienią i zimą 1943 zakończył się nasz sen o podboju. Rozpoczął się długi odwrót do domu, znaczony gęsto niemiecką krwią.

Ustęp 23 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

W piątek rano miał się odbyć przerzut Czachowskiego z Paryża. Rosjanin nie miał nic do roboty, kazano mu tylko siedzieć i czekać. Wszystko zależało teraz od Morsanda, a Czachowski miał do niego pełne zaufanie.

Instrukcje Amerykanina były wyraźne.

- Siedź spokojnie i nie wystawiaj nosa z pokoju - powiedział. - Nie wyglądaj przez okna i trzymaj szczelnie zasunięte wszystkie żaluzje i zasłony. Nie zapalaj światła i nie odpowiadaj na niczyje pukanie aż do piątku, a i wtedy tylko na umówiony szyfr. Nie rozmawiaj absolutnie z nikim. Przez trzy dni nie wolno ci istnieć. Jeśli zastosujesz się do tego, być może uda nam się wydostać cię żywego z Paryża. KGB szukając ciebie przeczesuje całe miasto. Ogromnie im na tobie zależy.

Czachowski pilnie wysłuchał pouczeń tamtego. Sam uświadamiał sobie większość ograniczeń. Wiedział, że nawet na chwilę odchylona zasłona może ściągnąć kulę snajpera. Wiedział, że każdy przechodzień może być zakamuflowanym kagebistą. Nie wiedział tylko o jednej rzeczy, która kłóciła się ze wszystkim, co usłyszał od Morsanda. Stało się to, kiedy po całym dniu spędzonym w tej norze zaczął cisnąć go pęcherz. W jednopokojowej klitce nie było toalety, zlewu ani wanny. Nie miał nawet butelki, do której mógłby się wysikać. Morsand niewątpliwie nigdy tutaj nie zajrzał, w przeciwnym razie spróbowałby coś na to zaradzić.Trzy dni temu zaryzykował po raz pierwszy. Jedyna łazienka znajdowała się na drugim końcu korytarza. Korzystali z niej wszyscy mieszkańcy piętra. Rosjanin wstrzymywał mocz tak długo, jak potrafił. W końcu zdecydował się wyjść na korytarz. Dom znajduje się przecież pod ochroną CIA, przekonywał sam siebie, i po ulicach z pewnością krążą uzbrojeni agenci. Zajmie mu to dwie, najwyżej trzy minuty. Dwa razy

dziennie, sześć razy do piątku i koniec. Ryzyko wydawało się możliwe do przyjęcia.

Otworzył drzwi, wystawił na zewnątrz głowę i zastygł w bezruchu. Korytarzem kuśtykała stara kobieta, oddalając się od jego pokoju. Wyglądała na jakieś sześćdziesiąt lat, ubrana była w brudny szary płaszcz i miała krzywe, opuchnięte nogi. Minęła znużonym krokiem łazienkę i podeszła do ostatnich drzwi, tuż obok tylnej klatki schodowej. Wsunęła trzęsącą się ręką klucz do zamka i przekręciła go. Przed wejściem do środka obróciła się i omiotła nieufnym spojrzeniem korytarz.

Czachowski schował głowę w tej samej chwili, kiedy staruszka zaczęła się obracać. Mało brakowało, żeby go zobaczyła. Odczekał kilka minut, a potem sprawdził ponownie korytarz i wyszedł z pokoju.

Skradał się ostrożnie korytarzem w prawie kompletnej ciszy. Podszedł do łazienki i otworzył drzwi. W środku siedziała mała dziewczynka, jeszcze dziecko. Zamknął szybko drzwi i czym prędzej schronił się w swoim pokoju. Po dziesięciu bardzo długich minutach spróbował ponownie. Łazienka była pusta, ale drzwi nie miały żadnego zamka.

Znajdowała się w niej umywalka, wanna i jeden nie oddzielony żadnym przepierzeniem sedes. Po drugiej toalecie i po kabinach zostały tylko ślady na podłodze i ścianach. Nad szeroką umywalką wisiało duże brudne lustro. Poszczerbiona i zardzewiała wanna miała chyba tysiąc lat. Całe pomieszczenie było zapuszczone i śmierdziało uryną. Czachowski ulżył sobie, zerkając bez przerwy przez ramię w

stronę drzwi, tak jakby miało to teraz jakiekolwiek znaczenie. Gdyby zaskoczyli go w tej chwili, nie miał najmniejszych szans. Za nic w świecie nie udałoby mu się wstrzymać strumienia moczu.

Skończywszy, otworzył drzwi i ze zdziwieniem stwierdził, że pomarszczona staruszka znowu wychodzi ze swego pokoju. Minęła go, nawet na niego nie spojrzawszy. Obserwował ją aż do chwili, kiedy zaczęła schodzić po schodach. Zerknął w stronę jej pokoju i zobaczył stojącą w uchylonych drzwiach dziewczynkę, którą widział wcześniej w łazience. Miała długie włosy, duże okrągłe oczy i uśmiechała się do niego. Bezwiednie odwzajemnił uśmiech, ale w tej samej chwili drzwi się zatrzasnęły. Wrócił do swego pokoju i położył się w ciemności, próbując zasnąć. Niełatwo jest jednak zasnąć komuś, kto popełnił właśnie najpodlejszy czyn w swoim życiu i poszukiwany jest przez ludzi, których jedynym pragnieniem jest odebranie mu życia. Długo trwało, zanim dręczony złymi myślami zapadł w końcu w niespokojny sen.

Nazajutrz późnym rankiem odważył się ponownie wyjść do łazienki. Była pusta, więc wszedł i usiadł na sedesie. Po kilku minutach sięgnął po papier toaletowy. W tej samej chwili otworzyły się ku jego przerażeniu drzwi i do środka wmaszerowała dziewczynka.

Czachowskiego ogarnęło skrępowanie. Ale ona nie wydawała się w najmniejszym stopniu zawstydzona. Nie wiedział, co robić. Mała zaczęła się myć i wdała się z nim w rozmowę.

Siedział, trzymając w ręku rolkę papieru. Nie mógł przecież podetrzeć sobie w jej obecności tyłka, postanowił więc siedzieć dalej na sedesie i zachowywać się tak samo nonszalancko jak ona.

Była trochę starsza, niż z początku myślał. Wyglądała na jakieś trzynaście lat. W padającym przez okno świetle jej włosy wydawały się bardzo jasne. Sięgały niemal do pasa, proste i jedwabiste. Miała olbrzymie, błękitne oczy. Przypominała mu jego ukochaną Tamarę, jeszcze z tych cudownych, czułych lat, kiedy była mała. Zawsze ją kochał, ją jedną, odkąd sięgał pamięcią.

Z początku tylko przysłuchiwał się temu, co mówiła dziewczynka. Była sympatycznym i przyjaźnie nastawionym dzieckiem. Potem odpowiedział kilka razy grzecznie na jej pytania i po chwili zorientował się, że rozmawiają jak starzy znajomi. Nie mógł oprzeć się jej czarowi; mimo niewygodnej pozycji, jaką zajmował, pogawędka z nią sprawiała mu prawdziwą przyjemność.

Od twardej deski klozetowej zaczął go boleć tyłek. Zdrętwiały mu pośladki i stracił prawie czucie w łydkach. W końcu dziewczynka skończyła się myć i wyszła. Czachowski podniósł się na obolałych nogach, czując mrowienie w stopach. Powoli krew zaczęła krążyć z powrotem i kiedy znalazł się w swoim pokoju, poczuł się trochę lepiej.

Rozmowa z dziewczynką przyniosła mu tak pożądaną chwilę wytchnienia. Miło było zapomnieć na moment o strachu i grożącym niebezpieczeństwie.

Po południu tego samego dnia zaryzykował następną wyprawę do łazienki, nie tyle z prawdziwej potrzeby, co z chęci ponownego spotkania małej. Po raz trzeci podjął olbrzymie ryzyko, tym razem jednak zupełnie niepotrzebnie. Kiedy jej nie spotkał, zorientował się, że popełnia duży błąd. Mimo to nie mógł się opanować. Coś nie pozwalało mu przestać o niej myśleć.

Po dwóch kolejnych wyprawach jego upór został wynagrodzony.

Gdy wszedł do łazienki, siedziała na skraju wanny, szczotkującdrugie, opadające w dół włosy. Natychmiast wdała się z nim w rozmowę. Czachowski udawał, że się myje.

Po krótkiej chwili siedział obok niej na skraju starej wanny, czesząc jej przepiękne włosy. Zaczęła opowiadać mu o sobie, a on czuł, że to urocze dziecko całkiem zawładnęło jego sercem.

Była sierotą i mieszkała tutaj razem ze swoją babcią. Minęły już trzy lata, odkąd jej ojciec zabił matkę i sam popełnił samobójstwo.

Kiedy rodzice się spotkali, jej matka była striptizerką i prostytutką. Zakochali się w sobie i wzięli ślub. Matka rzuciła swoją profesję. Wkrótce potem urodziła się Nicole - tak nazywała się dziewczynka. Ojciec nie mógł się nią nacieszyć.

Ale matka z niechęcią traktowała macierzyńskie obowiązki. Po sześciu latach zaczęła tęsknić za pieniędzmi i życiem, jakie prowadziła przed ślubem. Kiedy męża nie było w domu, zapraszała do mieszkania innych mężczyzn. Nicole widziała, jak dawali matce pieniądze. Nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego kładli się razem z

nią do łóżka. Pamiętała, jak podskakiwali i wydawali śmieszne odgłosy. Wszystko to wydawało jej się głupimi zabawami dorosłych.

A potem któregoś dnia ojciec wrócił wcześniej, niż się go spodziewano, i zastał matkę z jakimś mężczyzną. O mało go nie zabił i paskudnie pobił matkę. Nicole bardzo to przeraziło. Następnego dnia matka odeszła, zostawiając małą samą w mieszkaniu.

Ojciec szukał jej przez wiele lat. Przez cały ten czas troskliwie opiekował się swoją słodką Nicole. Miłość do niej była jedyną rzeczą, która trzymała go przy życiu.

Kiedy miała dziesięć lat, ojciec ubrał ją którejś niedzieli w najlepsze ubranie i zabrał na mszę. Wydawało jej się to wtedy śmieszne, bo nigdy wcześniej nie byli w kościele. Potem odprowadził ją do babci i wyszedł. Nazajutrz zjawiła się policja. Jak się okazało, ojciec odnalazł i zabił jej matkę, a potem odebrał sobie życie. Zabił również mężczyznę, z którym była. Od tego czasu Nicole mieszkała ze swoją starą babcią.

Babka była wspaniałą kobietą; ciężko pracowała, żeby zapewnić im jaki taki byt. Ale robiła się coraz starsza i nie miała już wiele sił. Wkrótce Nicole będzie musiała pójść do pracy, żeby przynieść do domu pieniądze.

Niewinna ofiara świata dorosłych, pomyślał Czachowski. Dzieci zawsze cierpią za grzechy swoich rodziców. To niesprawiedliwe.

Nie wątpił, że któregoś dnia będzie miała wszystko, czego zapragnie. Już w wieku trzynastu lat była bardzo ładnym dzieckiem.

W przyszłości stanie się olśniewającą pięknością; mężczyźni będą składali u jej stóp swe fortuny.

Szczotkując jej włosy i dotykając co jakiś czas palcami miękkiej, delikatnej szyi, poczuł, jak ogarnia go podniecenie. Jej twarz była taka ładna, oczy takie duże i ciepłe, usta tak pięknie ukształtowane.

Nadszedł piątek, ostatni dzień jego pobytu w zakamuflowanym mieszkaniu. Chciał jeszcze raz porozmawiać z Nicole, pożegnać się z nią i zostawić trochę pieniędzy dla niej i jej babki. Za trzy godziny przyjdą po niego ludzie Morsanda i nigdy już małej nie zobaczy. Wyszedł z pokoju i ruszył korytarzem, podejmując kolejne ryzyko.

Mijając łazienkę zauważył, że jej drzwi są lekko uchylone. Zajrzał przez nie i przyjemnie zaskoczony zobaczył myjącą zęby Nicole. Wszedł do środka.

- Dzień dobry - powiedział cicho.

- Dzień dobry, ***monsieur*** - odparła niewyraźnie. W ustach miała pełno piany. Obróciła się do niego i uśmiechnęła na powitanie.

Czachowski stanął jak wryty. Dziewczynka miała na sobie skąpe majteczki i prawie przezroczystą bluzkę, przez którą widział wszystko, co chciał zobaczyć. Włosy związała na czubku głowy, co sprawiło, że wyglądała na starszą. Jej ciało było delikatne i pociągające: miała małe pączkujące piersi i zaokrąglone jak u kobiety biodra. Poczuł, że ogarnia go podniecenie.

Wpatrując się w niego wielkimi oczyma, wolnym ruchem wsunęła szczoteczkę w rozchylone usta. Piana ściekała jej po brodzie,

a szczoteczka znikała i wynurzała się z ust w powolnym erotycznym rytmie.

- Przyszedłem się z tobą zobaczyć, bo... bo muszę dzisiaj wyjechać - powiedział, oblizując spieczone wargi i przełykając ślinę.

Spojrzała na niego, wciąż poruszając szczoteczką. Wysunęła z ust język i oblizała ją.

Coś ścisnęło go w gardle.

- Miałem nadzieję, że porozmawiam z tobą przed wyjazdem. Chciałbym coś dać tobie i twojej babci. Czy jest w domu? - zapytał.

Potrząsnęła głową. Szczoteczka dotykała teraz jej warg, Nicole bawiła się nią w drażniący sposób językiem. A potem włożyła ją znowu do ust, głęboko aż do gardła, i znów zaczęła poruszać wolnym, miarowym ruchem. Piana spływała po szczoteczce i po jej palcach.

Czachowski wpatrywał się w nią jak w obraz. Powinien gdzieś usiąść, żeby ukryć ogarniające go podniecenie.

Przestała myć zęby i pochyliła się nad umywalką, żeby wypluć pianę. Kiedy to zrobiła, dekolt luźnej bluzki rozchylił się i z miejsca, w którym stał, zobaczył dwoje pączkujących piersi. Przyglądał im się przez chwilę, a potem wlepił wzrok w pośladki Nicole i miękki wzgórek między udami. Spod majteczek wystawały jasne włosy.

- Kiedy pan wyjeżdża, *monsieur!* - zapytała prostując się.

- Za kilka godzin - odpowiedział. Spojrzała na niego nagle posmutniałymi oczyma.

- Chętnie porozmawiałabym z panem jeszcze trochę przed pańskim wyjazdem. Może mógłby pan jeszcze raz wyszczotkować mi włosy?

- Tak... tak... chętnie to zrobię - wyjąkał.

- Och, tak się cieszę! - zawołała, ruszając ku drzwiom. - Może pan pójść ze mną, porozmawiamy w moim pokoju.

Ruszył za nią, ze wzrokiem przykutym do jej pośladków. Jej chód był pełen wdzięku. Wydawała mu się bardzo piękna. Było coś takiego w młodym, niewinnym pięknie, co rozpalało go do czerwoności. Nic nie mogło go wtedy powstrzymać.

Wszedł za nią do pokoju. Nicole zamknęła drzwi, podeszła do komody i otworzyła jedną z szuflad. Czachowski nie odrywał od niej oczu. Wyjęła z szuflady szczotkę do włosów i drugą bluzkę. Rzuciła szczotkę na łóżko.

- Możemy usiąść tutaj, kiedy będzie pan mnie czesał - powiedziała.

Posłusznie podszedł do łóżka i usiadł, szczęśliwy, że może ukryć erekcję.

- Szkoda, że pan tak prędko wyjeżdża. Tak fajnie mi się z panem rozmawiało i tak wspaniale czesze pan moje włosy. Będzie mi tego brakować - powiedziała. - Ale mamy przynajmniej dla siebie tych kilka godzin.

Podniosła ręce i ściągnęła bluzkę przez głowę. Nic nie zasłaniało teraz jej młodych, ślicznych piersi. Wzięła do ręki drugą bluzkę,

rozwinęła ją i ruszyła w jego stronę. Patrzyła mu prosto w twarz. Czachowski gwałcił ją oczyma.

Szła powoli, jakby namyślała się nad każdym krokiem. Zatrzymała się w odległości dwóch stóp od Czachowskiego. Jego oczy znalazły się na wysokości jej piersi.

- Lubi pan Nicole, *monsieur!* - zapytała cicho. Zupełnie zaschło mu w ustach. Mógł tylko kiwnąć głową. Rzuciła bluzkę na podłogę, wyjęła szczotkę z ręki Czachowskiego i pogładziła nią delikatnie jego policzek. To było jak porażenie prądem. Dała mały krok do przodu, objęła go dłonią za kark i delikatnie przyciągnęła do siebie. Nie przestając go głaskać, przysunęła do jego twarzy swoje wspaniałe piersi.

Czując ich ciepło, obrócił ku nim głowę. Nie potrafił się dłużej powstrzymywać. Musiał mieć to cudowne dziecko. Zaczął ssać jedną z brodawek.

Przycisnęła mocniej jego głowę. Miała gorącą skórę; Czachowski cały płonął.

Przejechał dłonią po jej biodrze i zaczął ściągać majtki. Rozchyliła lekko nogi, żeby mu pomóc. Pogładził ją delikatnie po pośladku i przesunął rękę między jej rozpalonymi udami. Była bardzo podniecona. Kiedy poczuł obfitą wilgoć między jej nogami, zapragnął jej jeszcze gwałtowniej. Wsadził palce w tę wilgoć, jednocześnie całując ją po szyi i piersiach. A potem dotknął ustami jej wspaniałych warg.

Ale pocałunek Nicole wcale nie był pocałunkiem trzynastolatki. Był pocałunkiem doświadczonej kobiety. Język dziewczynki wsunął się głęboko w jego usta. Ogarnięty ślepą, zwierzęcą namiętnością, Czachowski usłyszał nagle dźwięk, którego zupełnie się nie spodziewał - metaliczny trzask odwodzonego kurka.

Skoczył na równe nogi, odpychając od siebie Nicole. Ale było już za późno.

W progu stała babka dziewczynki, trzymając w ręku pistolet. Pękaty tłumik wymierzony był prosto w serce Rosjanina. Drzwi były lekko uchylone. Nie usłyszał nawet, kiedy staruszka weszła.

- Dymitrze Czachowski - odezwała się po rosyjsku. - Za zbrodnie przeciwko państwu i za próbę dezercji zostaliście skazani na śmierć.

A więc jednak go odnaleźli. Fałszywa babcia i dziecko. Posłużyli się jego słabością, żeby złapać go w pułapkę. Nie, niemożliwe. To nie mogło być prawdą.

Nicole cofnęła się w stronę otwartej szuflady.

Stara kobieta podniosła broń nieco wyżej. Jej palec powoli zbliżał się do spustu. Czachowski rozpostarł szeroko ręce i zamknął oczy.

Rozległ się głuchy, podobny do kaszlnięcia odgłos i staruszka runęła do przodu. Z jej przestrzelonej na wylot głowy trysnęła krew.

Justin szybko wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Lufa opatrzonego tłumikiem mauzera przesunęła się w stronę Nicole, która stała obok otwartej szuflady komody.

Dziewczynka wpatrywała się w niego rozszerzonymi ze strachu oczyma.

- Proszę... proszę nie robić mi krzywdy, ***monsieur*** - odezwała się po angielsku, z wyraźnie obcym akcentem. - Ja robię tylko to, do czego mnie wynajęto. Ta pani wynajęła mnie na tydzień, żebym była z tym mężczyzną. Przyprowadziłam go tutaj, żeby się ze mną pokochał. To wszystko, ***monsieur.*** Pracuję dla ***madame*** Blanche. Ta kobieta zapłaciła jej, żebym tutaj pracowała przez tydzień - wyjaśniała. - Proszę, ***monsieur.*** Mówię szczerą prawdę. Niech pan zapyta ***madame*** Blanche.

Czachowski zupełnie nie wiedział, co się dzieje, nie wiedział, czy będzie żył, czy umrze. To wszystko nie było realne. Dziewczynka mogła mówić prawdę. Wiele wyrafinowanych paryskich burdeli zatrudniało podobne do niej podlotki dla klientów, którzy lubili to robić z dziećmi.

Justin pogrzebał w kieszeni i wyciągnął z niej małe, czarne metalowe pudełko wielkości paczki papierosów. Po jednej jego stronie znajdował się przycisk, po drugiej mały otwór. Pudełko mogło porażać prądem elektrycznym na odległość około dwudziestu stóp. Ładunek był dostatecznie mocny, żeby na dziesięć do piętnastu minut pozbawić przytomności silnego mężczyznę. Spojrzał Nicole prosto w oczy, starając się ją rozgryźć. Zerknął w stronę otwartej szuflady.

Mogła mówić prawdę.

Ale mogła też kłamać. I skąd wiedziała, że ma odezwać się po angielsku?

Mauzer kaszlnął ponownie. Włosy z tyłu głowy dziewczynki uniosły się, jakby porwał je nagły podmuch wiatru. Odbiła się plecami od szuflady i upadła na twarz. Na jej włosach rozszerzała się szkarłatna plama; otwarte szeroko martwe oczy wpatrywały się w podłogę.

Justin lubił strzały w głowę. Były szybkie, bezbolesne i skuteczne. Stosował je, kiedy tylko mógł. Nie chciał patrzeć na cierpienia ludzi, których zabijał.

Czachowski był półżywy ze strachu. Nie rozumiał, co się dzieje. Spojrzał bezradnie na Justina.

Pielgrzym podniósł małe czarne urządzenie, wycelował je w Rosjanina i nacisnął przycisk. Krótka błyskawica poraziła Czachowskiego, rzucając go z powrotem na łóżko. Stracił przytomność.

Justin podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Do schodków prowadzących do budynku zbliżało się czterech mężczyzn. Jeden z nich, wysoki i muskularny, odpowiadał rysopisowi dostarczonemu przez ośrodek kontrolny SENTINELA. To był Bud Kodek, człowiek dowodzący ekipą Morsanda. Justin zerknął na zegarek. Była 11:00, dwie godziny przed wyznaczoną porą. Striker zapowiadał, że CIA może przyspieszyć akcję, podał nawet przypuszczalną godzinę. Morsand liczył się najwyraźniej z możliwością przecieku albo trudnościami ze strony Czachowskiego, który mógł w ostatniej chwili zmienić zdanie.

Justin schował z powrotem do kieszeni urządzenie do ogłuszania, zarzucił sobie Czachowskiego na plecy i ruszył w stronę drzwi. Rosjanin był lżejszy, niż się spodziewał; mały człowieczek, którego jedynym atutem były szare komórki.

Nagle zatrzymał się i spojrzał na komodę, przy której leżała Nicole. Przestępując martwe ciało podszedł do niej i otworzył szufladę. W środku leżał samopowtarzalny rewolwer z tłumikiem, dokładnie taki sam jak starej. Gdyby nie zabił tej małej, gdyby dał jej najmniejszą szansę, już by nie żył. W tym rzemiośle nigdy nie powinno się dawać nikomu żadnej szansy. Nie odpuszczaj nikomu - tak brzmiało pierwsze przykazanie religii przetrwania.

- Mówi Pielgrzym. Schodzę na dół - powiedział.

Płytka łącznościowa przekazała wiadomość do czekającego w samochodzie Fanninga oraz Strikera, znajdującego się w położonej w odległości czterystu jardów dzwonnicy. SENTINEL transmitował wszystko do Honeycuta w Waszyngtonie i do pilotującego helikopter agenta o kryptonimie Jaskółka, z którym mieli się spotkać na obrzeżach Paryża.

Justin ruszył szybko w stronę drzwi. Czachowskiemu wypadła z kieszonki na piersi mała fiolka. Justin podniósł ją i przyjrzał się jej dokładnie.

Tabletki nitrogliceryny.

Cholera! Rosjanin był chory na serce. Ładunek, którym go poraził, mógł spowodować śmierć. Ujął go za nadgarstek, szukając pulsu. Był szybki i mocny - Czachowski żył.

Justin otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Słysząc na schodach zbliżające się kroki ludzi Kodeka, skręcił w stronę znajdującej się tuż obok tylnej klatki schodowej i zbiegł w dół tak szybko, jak tylko pozwalał mu ciężar przerzuconego przez ramię Rosjanina.

Na dzwonnicy Striker przystąpił do ostatnich przygotowań. Cztery sześciomilimetrowe pociski dum-dum leżały na kamiennej balustradzie obok zmodyfikowanego winchestera. Karabin opierał się na zwiniętej marynarce.

Justin znalazł się na ostatnim podeście przed wyjściem na podwórko. Ostrożnie wyjrzał przez okno.

Zgodnie z planem tylne wyjście zabezpieczało dwóch agentów. Przebiegł oczyma otaczające podwórko dachy i prawie natychmiast zobaczył na domu z lewej strony łącznika. Ale człowiekiem, którego chciał zobaczyć najbardziej, był snajper. Wpatrywał się pilnie w dach budynku z tyłu. Nikogo. Nie było snajpera!

Przeszukując wzrokiem dachy, przypomniał sobie słowa Strikera: „Jeśli zajmie pozycję przy oknie, wtedy będzie pan miał rację... to podwórko stanie się śmiertelną pułapką.”

Nie widział snajpera. Nie tak miała się zakończyć jego ostatnia misja.

- Nie ma go tam - powiedział sam do siebie. - Nie ma go na dachu.

- Jest - usłyszał głos Strikera.

- Nie widzę go - stwierdził Justin.

- A ja tak. Dupek zszedł ze stanowiska. Siedzi po drugiej stronie. Wystawił na zewnątrz lufę strzelby. Widzisz ją?Justin spojrzał z ukosa w górę. Zobaczył lufę.

- W porządku - powiedział z ulgą. - Widzę go. Schodzę z ostatniego podestu i pryskam stąd. Postaraj się nie chybić!

Usłyszał śmiech.

- Ja nigdy nie chybiam - odparł Striker. Więc postaraj się i tym razem, pomyślał Justin.

Zbiegł szybko po kilku ostatnich schodkach i zatrzymał się przed drzwiami, poza zasięgiem widzenia dwóch agentów.

Striker wziął do ręki jeden z nabojów i załadował go do karabinu. Zajął pozycję strzelecką i przyłożył oko do lunety. Przecinające się linie celownika przesuwały się po dachu.

Bud Kodek i jego ludzie podeszli do drzwi pokoju Czachowskiego. Kodek zastukał w umówiony sposób. Bez odpowiedzi. Zastukał ponownie. Wciąż nic.

Przekręcił klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Kodek rzucił zatroskane spojrzenie swoim ludziom.

Justin wyskoczył przez drzwi tak szybko, że zabezpieczający tylne wyjście agenci zostali kompletnie zaskoczeni. Mauzer kaszlnął dwa razy, a potem jeszcze dwa. Obaj zginęli, zanim zdążyli się zorientować, co się stało.

Kodek pchnął mocno drzwi pokoju Czachowskiego. W środku nie było nikogo.

- Cholera - zaklął i wybiegł z powrotem na korytarz. W tej samej chwili zatrzeszczał jego radiotelefon.

- Agenci na dole wyeliminowani - odezwał się podekscytowany głos łącznika. - Widzę człowieka niosącego ciało.

Kodek puścił się sprintem w dół schodów. Jego ludzie deptali mu po piętach.

Justin wypadł na podwórko i rzucił się biegiem w stronę przejścia między budynkami. Nie spuszczał oczu z wystającej zza krawędzi dachu lufy.

Zobaczył, że się poruszyła.

Na co on, do cholery, czeka?!

Lufa zaczęła przesuwać się w dół. Snajper przytknął oko do lunety, żeby wziąć na muszkę ruchomy cel. W miejscu, w którym przecinały się linie celownika, pokazała się głowa. Palec dotknął spustu.

Justin obserwował sunącą wolno lufę. Przechyliła się w dół, a potem jeszcze niżej, niżej i niżej, a potem zza krawędzi dachu wysunęła się kolba i karabin runął na ziemię.

Kodek był w połowie drogi na dół, kiedy radiotelefon zatrzeszczał ponownie.

- Widzę go wyraźnie. Ma Czacho... - Łączność nagle się urwała.

Jak na tak dużego mężczyznę, Kodek poruszał się bardzo szybko. Wyskoczył na podwórko w tej samej chwili, kiedy wysoka postać znikała między dwoma budynkami, kierując się w stronę tylnej uliczki.

- Wóz pierwszy i drugi, ruszajcie na tyły. Przejęli go! Szybko! - wrzasnął Kodek do mikrofonu i ruszył biegiem przez podwórko.

Justin wybiegł na ulicę w tej samej chwili, kiedy potężny nowy mercedes 450 SEL podjechał do krawężnika.

Otworzyły się tylne drzwi. Justin wrzucił Czachowskiego do środka i sam dał nura w ślad za nim.

Mercedes dodał gazu i odskoczył od krawężnika. Ułamek sekundy później zza rogu wypadł z piskiem opon pierwszy należący do CIA czarny citroen.

Kiedy Kodek wybiegł spomiędzy budynków, citroen rozwijał już pełną prędkość. Tuż za nim pędził drugi mercedes.

Kodek rozpoznał twarz kierowcy. Mercedes należał do KGB.

Sekundę później zza rogu wyskoczył następny samochód CIA. Zarzucił tyłem i minął z dużą szybkością Kodeka. Rozpoczął się pościg.

Kodek stał wściekły, przyglądając się bezradnie znikającym za rogiem samochodom. Wiedział, że Morsand nieźle mu zmyje głowę. Potrząsnął z niedowierzaniem głową.

- Nie mogę w to, kurwa, uwierzyć! - ryknął. - Sprzątnęli go nam prosto sprzed nosa. Mają go. Przeklęte sukinsyny!

Fanning prowadził mercedesa, cały czas zerkając jednym okiem w tylne lusterko. Citroen dopędzał go powoli, lecz nieubłaganie.

- Mówi Borsuk. Mam parę jastrzębi na ogonie. Będę potrzebował pomocy - powiedział.

- Tu ośrodek kontrolny SENTINELA - odparł cichy głos. - Znamy twoją pozycję. Za dwie przecznice będziesz mijał Place St Michele. Skręć w lewo, żebyśmy mogli zatrzymać pościg.

Justin wystawił na chwilę głowę, żeby zobaczyć, jak blisko za nimi znajduje się citroen. Był tuż-tuż. Pielgrzym zmienił magazynek w mauzerze i zdjął tłumik.

Citroen skręcił na sąsiedni pas i zaczął wyprzedzać mercedesa. Zbliżali się do skrzyżowania na Place St Michele.

- Skręcaj! Teraz! - odezwał się SENTINEL.

W tej samej chwili, kiedy ścigany przez citroena Fanning wprowadził mercedesa w kontrolowany poślizg, wjechał na skrzyżowanie mały czerwony fiat. Minął Fanninga o stopę i skręcił prosto na citroena, uderzając w jego lewy przedni błotnik.

Fiat potoczył się w bok niczym zgnieciona puszka od piwa. Citroen, kręcąc się wokół własnej osi, przeleciał przez skrzyżowanie i zatrzymał się po jego drugiej stronie. Miał rozbity lewy błotnik i koło.Siedzący w nim agent wyskoczył na zewnątrz w tym samym momencie, kiedy przez plac przemknął ścigający Fanninga niebieski mercedes KGB. Agent przebiegł klnąc przez skrzyżowanie i cisnął o ziemię swój zgnieciony kapelusz.

Sekundę później na plac wpadł drugi citroen CIA. Skręcił poślizgiem w lewo, ale manewr się nie udał. Rozległ się głuchy odgłos i stojący na asfalcie agent wyleciał w powietrze niczym szmaciana lalka. Citroen uderzył w zaparkowane samochody i stanął.

Kierowca musiał dwa razy przekręcić kluczyk w stacyjce, zanim udało mu się ponownie uruchomić silnik. Citroen ruszył do tyłu, ale z prawego przedniego koła poszedł natychmiast gęsty dym. Zgnieciony błotnik szorował o oponę. Nie mogło być mowy o dogonieniu dwóch pierwszych samochodów - mimo to kierowca nie rezygnował z pościgu.

Ze zmiażdżonego fiata wygramoliła się młoda kobieta. Rozczochrana, z twarzą pochlapaną krwią, ruszyła utykając w stronę kierowcy citroena. Z jej ust wylał się strumień soczystych francuskich przekleństw. Kierowca próbował ją uspokoić, ale bez skutku. Trzeci pasażer citroena wyskoczył na zewnątrz i podbiegł do ciężko rannego kolegi, leżącego na ulicy.

Fanning pędził wąskimi uliczkami, biorąc poślizgiem ostre zakręty. Był dobry, ale to samo można było powiedzieć o sowieckim kierowcy - nie odpuszczał ani o cal.

Ted pokręcił z irytacją głową. Jeśli plan miał być wykonany, musi zgubić ten samochód.

Wszedł poślizgiem w kolejny zakręt i nagle zahamował, widząc przed sobą korek. Zanim zdążył się wycofać, ustawiły się za nim trzy kolejne samochody. Sowiecki mercedes zatrzymał się czwarty w kolejności.

Spojrzał w tylne lusterko i zobaczył, że jeden z sowieckich agentów wysiadł z mercedesa i przemykając między samochodami zmierza w ich kierunku. W ręku trzymał broń.

Wpadliśmy jak śliwka w kompot, pomyślał.

- Mamy duże kłopoty - powiedział do Justina.

Pielgrzym wychylił głowę przez boczną szybę i zobaczył zbliżającego się agenta KGB. Odbezpieczył mauzera.

Ich samochód stał na skrajnym prawym pasie, tuż przy chodniku.

- Spieprzamy stąd - oznajmił Fanning.

Wcisnął gaz do dechy i rąbnął w zderzak stojącego przed nim samochodu, wpychając go na następny wóz w korku. Zapiszczały opony, z kół poszedł dym. Wrzucił tylny bieg i powtórzył to samo z wozem stojącym z tyłu.

Rosjanin podniósł pistolet i strzelił. Pocisk strzaskał tylną szybę mercedesa i przeleciał przez dach, mijając o włos głowę Fanninga.

W wybitym oknie pojawił się mauzer Justina. Jego pocisk trafił Rosjanina prosto w pierś. Agent KGB zwalił się na maskę małego samochodu tkwiącego w korku, ochlapując krwią przednią szybę. Siedząca za kierownicą kobieta krzyknęła głośno z przerażenia.

Fanning ostro skręcił kierownicą, dodał gazu i wjechał na trotuar. Jadąc prawą stroną po chodniku, a lewą po jezdni, popędził w stronę skrzyżowania. Po drodze wyrwał z zawiasów drzwi jednego z samochodów, które jego pasażer otworzył, żeby zobaczyć, co się dzieje z tyłu.

Przerażeni przechodnie zmykali na bok. Ścinając słupki ze znakami drogowymi i zmiatając z drogi pojemniki na śmiecie, mercedes zbliżył się do budki telefonicznej. Korzystający z niej właśnie mężczyzna nie miał tyle szczęścia, co pasażer samochodu z

wyrwanymi drzwiami. Zanim zdążył wyskoczyć z budki, Fanning roztrzaskał ją w drobny mak.

Sowiecki mercedes powtórzył sztuczkę Fanninga i gnał chodnikiem, rozpędzając przerażonych przechodniów.

Fanning wpadł na szerokie skrzyżowanie i przejechał je, nie zdejmując nogi z gazu. Usiłujące go ominąć samochody stawały z piskiem opon w poprzek ulicy. Prawie cudem udało mu się z nikim nie zderzyć.

Kierowca KGB próbował za nim przejechać, ale kilka samochodów ruszyło już z miejsca, zamykając mu drogę. Ktoś rąbnął mercedesa w tylny zderzak. Wóz obrócił się, zderzył z kolejnym samochodem i stanął. Silnik zaskoczył dopiero po kilku niecierpliwych próbach. Mercedes przejechał skrzyżowanie, ale po samochodzie Fanninga nie zostało najmniejszego śladu.

Dymitr Czachowski zniknął.

Rozdział 15

W obliczu grożącej nam klęski rozpoczęliśmy przerzucanie bogactw, które zgromadziliśmy podczas początkowych zwycięstw. Były one olbrzymie. Splądrowaliśmy cale kraje.

Największa część łupów umieszczona została w tajnym skarbcu, pozostającym pod kontrolą specjalnego oddziału Niederlage. Jego istnienie miało podstawowe znaczenie dla planowanego powrotu do władzy.

Skarbiec podzielony został na wiele mniejszych części, które ulokowaliśmy na całym świecie - zarówno w krajach, które sprzyjały naszej sprawie, jak i tych, które były neutralne bądź wrogie. Środki, które miały służyć naszej odnowie, umieściliśmy tuż przed nosem przeciwnika. Po dziś dzień nie odkryto wielu skrytek.

Ustęp 26 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Kiedy learjet wystartował w podróż powrotną, w Waszyngtonie była już 8:00.

Prezydent czekał na dzwonek telefonu, który łączył go bezpośrednio z kompleksem SENTINELA. W każdej chwili mógł zgłosić się Honeycut. W przestronnym Gabinecie Owalnym panowała pełna napięcia cisza. Tym razem brak wiadomości niekoniecznie musiał oznaczać dobrą wiadomość. Z każdą mijającą sekundą prezydent coraz bardziej obawiał się, iż coś poszło nie tak.

Czekał, stukając piórem w leżący na biurku notes.

Zadzwoń! Zadzwoń! Zadzwoń, do jasnej cholery!

Bzzz! Bzzzz! Pochylił się nad szufladą, w której schowany był telefon.

Bzzzz! Bzz...

- Tak, Irv. Jak poszło?

Honeycut przez chwilę milczał, zdumiony sposobem, w jaki prezydent, odebrał telefon. Zabrakło namaszczonego „tu mówi prezydent”.

- Mamy go - odparł. - Nie poszło nam to tak gładko, jak się spodziewaliśmy, ale mamy go.

- Gdzie jest teraz?

- Czterdzieści pięć tysięcy stóp nad Atlantykiem, w drodze do kraju.

- A CIA? Czy ktoś... ktoś został poszkodowany? - zapytał z niepokojem prezydent. Po ciszy, jaka zapadła po jego pytaniu, prawie natychmiast domyślił się odpowiedzi. Dawno temu nauczył się, że cisza zapowiada coś nieprzyjemnego.

- Tak, panie prezydencie. Morsand podjął kroki, o których nie było mowy w jego planie. Był wyłącznie jeden sposób, żeby wyjść cało z tej sytuacji. Tylko dzięki wyjątkowemu refleksowi i umiejętnościom naszych agentów udało nam się odnieść sukces. Straty poniesione przez CIA są godne ubolewania, ale alternatywą była przegrana - powiedział Honeycut.

- Jak duże są ich straty?

Honeycut głośno westchnął - kolejna zapowiedź złych wieści.

- Czterech agentów CIA zabitych, jeden ciężko ranny. Nie wiemy w tej chwili dokładnie, jaki jest jego stan. Potrącił go ich własny samochód pościgowy. Chyba żyje. Zabitych zostało również trzech agentów KGB i prawdopodobnie jeden przechodzień.

- O Boże, Irv! Ośmiu lub dziewięciu zabitych? To istna jatka - jęknął z przerażeniem prezydent.

- To było konieczne, panie prezydencie. KGB zjawiło się tam przed Morsandem. Zastawili najbardziej subtelną pułapkę, jaką

mógłby pan sobie wyobrazić. Zabrakło im dosłownie dwóch sekund, żeby załatwić Czachowskiego na dobre. Kto wie, ilu zginęłoby ludzi Morsanda, gdyby nie Pielgrzym. Tylko dzięki niemu akcja skończyła się dla nas pomyślnie. Mogliśmy ponieść o wiele większe straty i mimo to pozostać z pustymi rękoma - powiedział Honeycut.

- Tak... jestem o tym przekonany, Irv. Co teraz? Co robimy dalej?

- Wyłoniły się dwie małe komplikacje. Pierwsza polega na tym, że Czachowski jest chory na serce, o czym nie wiedzieliśmy. Jak poważnie, dowiemy się po badaniu lekarskim. Po drugie, wziął w łeb nasz zamiar zasugerowania obu stronom, że zrobił to przeciwnik. Była taka szansa po likwidacji dwóch pierwszych agentów KGB, ale potem było zbyt wielu zabitych po obu stronach. Jestem jednak pewien, że potrafimy sobie z tym poradzić. Musimy tylko zatrzeć za sobą ślady - wyjaśnił Honeycut.

- A co z Rosjaninem? - zapytał prezydent.

- Odtransportujemy go do jednego z naszych tajnych ośrodków, wyposażonych w odpowiednią aparaturę medyczną. Po dokładnym zbadaniu zostanie przesłuchany i poddany leczeniu. A potem zacznie się proces amerykanizacji. Stworzymy z niego całkiem nowego człowieka. Otrzyma nową tożsamość i nową powierzchowność, którązapewni mu operacja plastyczna i odpowiednie środki kosmetyczne. Potem nauczy się myśleć, zachowywać i mówić jak rodzony Amerykanin. Kiedy będzie gotów, opuści ośrodek. Stanie się człowiekiem tak bardzo różniącym się od swego poprzedniego

wcielenia, że nie poznałaby go nawet własna matka - podkreślił Honeycut.

- Czy są jakieś szanse zdemaskowania go, kiedy opuści ośrodek?

- Praktycznie żadne. Ale żeby się dodatkowo zabezpieczyć, wszczepimy mu płytkę. Na wszelki wypadek zaopatrzona będzie w ładunek wybuchowy. Jestem jednak przekonany, że świetnie się zaaklimatyzuje, panie prezydencie. Najtrudniejsza część jest już za nami. Reszta wymaga czasu i cierpliwości, ale przecież dysponujemy i jednym, i drugim.

Prezydent pokiwał głową.

- Dobra robota, Irv. Nie muszę ci powtarzać, jakie to wszystko ważne. Dziękuję ci.

- To nie mnie powinien pan dziękować, ale chłopcom, którzy tego dokonali. Mówiłem panu, że są dobrzy. Udało im się, mimo że akcja była piekielnie trudna.

- Masz rację. Oddali swojemu krajowi wielką przysługę. Co powiesz, żeby wysłać ich obu na zasłużone wakacje? Z pierwszorzędną obsługą od początku do końca. Koszty pokrywa Biały Dom. Zasłużyli sobie na to, Irv.

Honeycut roześmiał się.

- Z przyjemnością im to przekażę, panie prezydencie. Dziękuję. Jeśli będę miał jakieś dalsze wiadomości, natychmiast pana poinformuję.

- Dobrze, Irv. Jeszcze raz dziękuję - powiedział prezydent, odkładając słuchawkę. Zasunął szufladę i zamknął ją specjalnym kluczem. Zamek wyposażony był w system alarmowy.

Zaburczało mu w żołądku. Nic jeszcze dzisiaj nie jadł. Wiedział, że zanim skończy śniadanie, zjawi się Shyleur Platt i będzie musiał wysłuchiwać jego pokrętnych, przeplatanych atakami gniewu usprawiedliwień. Czasami trudno sobie było z nim poradzić. Zwłaszcza na czczo.

Wstał z fotela i wyszedł, żeby zjeść śniadanie.

*

Bud Kodek stał przed rozwścieczonym Robertem Morsandem. Pierwszy gniew już nieco ustąpił i Morsand próbował teraz zanalizować to, co usłyszał od Kodeka. Nie było tego zbyt wiele.

- Cóż, pewne jest przynajmniej to, że nie ma go w swoich łapach KGB – powiedział. – Nie staraliby się tak bardzo zachować go przy życiu. Wsadziliby mu po prostu kulkę w głowę i wynieśli się tak samo szybko, jak się pojawili. Ktoś chciał go mieć żywego. Ale kto?

- Jedyni agenci, którzy widzieli porywacza, są martwi – zaczął Kodek. – Ja sam widziałem go przez krótką chwilę, ale z daleka i z tyłu. Był wysoki i piekielnie szybki. Trzymał Czachowskiego przerzuconego przez ramię i mimo to biegł szybko jak jeleń. Wyskakując na podwórko załatwił Ruckera i Tonellego, a potem w jakiś sposób sprzątnął Casha, zanim ten zdążył namierzyć go z dachu. Musiał to zrobić w biegu. Potem załatwił Malory'ego. Samochód, który go zabrał, pojawił się i zniknął tak szybko, że nie zdążyliśmy go

zatrzymać. Obawiam się, że nie mieliśmy wystarczającej obstawy z tyłu…

- Nie wydaje mi się, żeby człowiek, który niósł Czachowskiego, załatwił Casha i Malory'ego. Nie było co po nich zbierać. Obaj trafieni zostali pociskami dum-dum. Rucker i Tonelli nie. Casha nie sposób było trafić z dołu. W biegu, z przewieszonym przez ramię Rosjaninem, musiałby strzelać prawie pionowo w górę… nie sądzę, żeby to było możliwe. Ktoś mu pomagał, prawdopodobnie z zewnątrz. Akcja była dobrze zaplanowana. Ktokolwiek to był, dysponował dokładnymi informacjami. Znał nasz plan. Co wiesz na temat tej staruchy i dziewczyny? – zapytał Morsand.

- Kiedy minęły mnie tamte samochody, pomyślałem, że to robota KGB. Rozpoznałem jednego z ich agentów w niebieskim mercedesie. Wróciliśmy na trzecie piętro, żeby przeszukać wszystkie lokale. W pierwszym pokoju obok tylnej klatki schodowej znaleźliśmy ciała. Kobieta była specjalnie ucharakteryzowana, żeby wyglądać o wiele starzej. Staranna robota. Druga wyglądała na pierwszy rzut oka jak mała dziewczynka. Może czternaście lat. Ale nie wydaje mi się, żeby była taka młoda. Starsza uzbrojona była w samopowtarzalny rewolwer. Drugi, taki sam, znajdował się w szufladzie komody, obok której znaleźliśmy dziewczynę. Zebraliśmy wszystkie dane, żeby dokonać identyfikacji. Jeśli są w naszych aktach, wkrótce będziemy mieli ich nazwiska. Obie zabite zostały pojedynczymi strzałami w głowę. Normalne pociski. Moim zdaniem te dwie kobiety były agentkami KGB. Kolejny sowiecki agent został

zabity na skrzyżowaniu podczas pościgu. Stali w korku, a on najwyraźniej starał się dogonić ich pieszo. Doszło do wymiany strzałów i dostał w pierś. Również normalnym pociskiem.

Morsand kiwnął głową.

- Jedyne pociski dum-dum to te, którymi strzelano do agentów na dachu – mówił dalej Kodek. – Na pewno się nie mylę. Załatwił ich ktoś z zewnątrz. Ale kto?

- To może być każde z państw Europy Zachodniej. Wszyscy wiele by zyskali, mając dostęp do informacji Czachowskiego. Może to Brytyjczycy, może Francuzi. Mają najwięcej do zyskania. W grę wchodzą również zachodnie Niemcy. Albo nawet Izrael. Za dużo w tej sprawie znaków zapytania – stwierdził Morsand. Wyłączył magnetofon i nacisnął przycisk na interkomie.

- Tak, panie Morsand? – odezwała się sekretarka.

- Czy możesz przyjść tu do nas, Lindo?

- Tak jest, proszę pana.

W chwilę później do gabinetu weszła młoda, atrakcyjna kobieta. Kodek zawsze lubił na nią patrzeć. Miała nieduży biust, ale za to wspaniały tyłek i nogi. Normalnie dałby się ponieść wyobraźni, jednak to, co wydarzyło się w ciągu dnia, zupełnie odebrało mu ochotę na te rzeczy.

- Czy mogłabyś sporządzić notatkę z tej taśmy? To bardzo pilne. Chcę, żebyś odłożyła na razie wszystkie inne sprawy – powiedział Morsand.

- Tak jest, proszę pana. Natychmiast się do tego zabiorę – odparła i wyszła z gabinetu.

- Idę teraz do pokoju łączności – poinformował Kodeka Morsand. – Czeka mnie rozmowa z Plattem. Nie ma sensu odkładać tego na później. Mam wrażenie, że nieprędko poznamy odpowiedź na nasze pytania.

Ruszył w stronę drzwi, ale nagle zatrzymał się i odwrócił twarzą do Kodeka. Przez chwilę przyglądał się wysokiemu, muskularnemu, przystojnemu mężczyźnie. To nie była jego wina. Po prostu tamci okazali się dzisiaj lepsi.

- Co z Charliem? – zapytał. Tak nazywał się agent, którego uderzył drugi samochód.

Kodek spojrzał na swego szefa.

- Wyjdzie z tego. Ma fatalnie złamane obie nogi i biodro, ale żyje. Chciałbym powiedzieć to samo o reszcie.

- Ja też.

Morsand wiedział, że Kodek czuje się odpowiedzialny za to, co się stało.

- Wydaje mi się, że mogłem to lepiej zaplanować – stwierdził, chcąc go pocieszyć. – Po fakcie zawsze łatwiej jest dostrzec, gdzie człowiek popełnił błąd i w którym miejscu plan był nie dopracowany. Tak czy owak, Platt będzie chciał prędko dostać odpowiedź na wiele pytań. Ja też. Zaprzęgnij wszystkich do roboty, niech szukają. Każdy ma prawo do błędów. Jeśli odkryjemy, gdzie popełnili je oni, może

uda nam się odzyskać Czachowskiego. Ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, żeby zachować go przy życiu. Może kryć się w tym coś więcej.

Chcę wiedzieć, dlaczego jest dla nich taki ważny. I wyrównać rachunki.

Kilka minut później, korzystając ze specjalnego urządzenia kodującego, połączył się z Shyleurem Plattem, dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej. Miał poinformować go o tym, co stało się z Czachowskim. Szef CIA spodziewał się, że najważniejsza operacja tej dekady poszła zgodnie z oczekiwaniami.

- No? – zapytał tylko Platt.

Morsand zacisnął zęby, wiedząc, że za chwilę wyleje mu się na głowę wiadro pomyj. Miał niedobre przeczucie, że tym razem to dopiero początek.

- No? – zapytał ponownie z niecierpliwością w głosie szef CIA.

- Straciliśmy go.

Rozdział 16

Im bliżsi byliśmy końca, tym bardziej koncentrowaliśmy nasze wysiłki. Musieliśmy zdążyć.

Unicestwialiśmy wszystkich przeciwników, którzy znaleźli się w naszym zasięgu.

Obozy śmierci pracowały na okrągło. Każdy wyeliminowany dziś wróg miał zmniejszyć liczbę tych, z którymi będziemy musieli walczyć jutro.

U schyłku Trzeciej Rzeszy zaczęliśmy się przygotowywać do nadejścia Czwartej, tej, która miała przynieść odrodzenie i ostateczne wypełnienie się naszego przeznaczenia.

Nie dbaliśmy o to, co myśli o nas świat. Wszystko miał usprawiedliwić nasz ostateczny sukces.

Ustęp 27 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Piątkowy ranek przywitał Chicago kwietniowym przymrozkiem. Doktor Edward Bridges dygotał z zimna przez całą drogę do pracy, mimo włączonego na pełny regulator ogrzewania w samochodzie. Jego ręce i nogi nie chciały się ogrzać; chłód przenikał je na wskroś.

To był jego ostatni dzień. Nie tak to sobie wyobrażał. Wszystko odbyło się zbyt szybko – jeden telefon, jeden dzień na przygotowanie. Nie czuł radości, jakiej się spodziewał.

Wszedł jak zwykle pół godziny wcześniej do swego gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Pat będzie wiedziała, że jest w środku i nie życzy sobie, aby mu przeszkadzano.

Usiadł za biurkiem i po raz ostatni wyjął ze skarpetek puste formularze. Kiedy stąd dziś wyjdzie, wokół jego nóg owinięte będą prawdziwe schematy i nie wróci już więcej. Ale był do tego dobrze przygotowany. Dzisiejsze wyjście z pracy będzie tak samo łatwe jak poprzednie. To będzie małe piwo. Niepotrzebnie tak się denerwował.

Włożył do otworu przy drzwiach swoją kartę magnetyczną i wszedł do wewnętrznego gabinetu. Przesuwane drzwi zamknęły się za

nim cicho. Przyjrzał się grubym tomom, w których mieściły się schematy techniczne, żałując, że nie może zabrać ich wszystkich. Zaczął je przerzucać, ostrożnie wyjmując arkusze schematów. Dokładnie tak, jak przewidział, było ich razem dwadzieścia cztery.

Wydawało się niewiarygodne, że tyle danych zajmuje tak mało miejsca, każdy jednak, kto dysponował odpowiednimi środkami i zdolnościami, mógł opierając się na nich zbudować drugiego SENTINELA.

Bridges potrząsnął głową, próbując wyobrazić sobie dwa SENTINELE. Dwie wieże Babel. Tak właśnie powinni nazwać ten komputer, pomyślał. Wieżą Babel. Największe osiągnięcie człowieka, równe niemal samemu cudowi stworzenia. Bogu zajęło siedem dni dokonanie tego cudu; ludzie zbudowali SENTINELA w siedem lat. Być może nawet, mieszając języki pierwszych budowniczych, Bóg wiedział, że będą podejmować kolejne próby, aż któregoś dnia spełnią się ich marzenia i dotrą w końcu do nieba.

Bridges przyjrzał się jeszcze raz schematom, by upewnić się, że ma wszystko, czego potrzebuje. Te papiery dawały mu więcej władzy, niż kiedykolwiek miał w ręku jeden człowiek.

Złożył razem arkusze i położył je na skraju biurka w wewnętrznym gabinecie, a potem wrócił przez przesuwane drzwi do zewnętrznego. Poczuł, jak znika gdzieś zdenerwowanie i ogarnia go spokojna pewność siebie.

Usiadł ciężko za swoim biurkiem i rozwinął z folii cygaro. Zapalił je i puścił na środek gabinetu kilka kłębów gryzącego dymu.

Jutro będzie najpotężniejszym człowiekiem na całej planecie. W jego rękach znajdzie się przyszłość całego świata.

Po kilku minutach podszedł do drzwi i otworzył je. W sekretariacie stał doktor Warren Geisler, rozmawiając z Pat.

- Cześć, Ed – powiedział Geisler, kiedy drzwi otworzyły się szerzej. – Miałem właśnie poprosić Pat, żeby przekazała ci, że proszę o telefon, kiedy będziesz miał wolną chwilę. Masz teraz kilka minut? – zapytał.

Warren Geisler należał do nowego pokolenia informatyków, wykształconych w ramach starannie zaplanowanego programu szkoleń, które zapoczątkowano po skonstruowaniu SENTINELA. Był młody, przystojny i utalentowany. W studenckich czasach grał w drużynie Ali-American, a na dodatek posiadał mózg wart milion dolarów. Miał wszystkie przymioty, których brakowało Edwardowi Bridgesowi.

- Jasne, Warren. Wejdź – powiedział Bridges, wchodząc z powrotem do gabinetu i zostawiając za sobą smugę dymu. – Czy będziesz miał wszystko gotowe na poniedziałkowe spotkanie? – zapytał.

- Tak, jeśli dział techniczny prześle mi jeszcze dzisiaj wszystkie wyliczenia – odparł Geisler.

- Dobrze. Wspaniale się spisałeś przy tym projekcie – pochwalił go Bridges. – O czym to chciałeś ze mną porozmawiać? – zapytał, zanim jego asystent zdążył odpowiedzieć na komplement. Smuga

dymu zaczęła dryfować w stronę otwartych drzwi. Geisler wszedł do środka i szybko usiadł, żeby się z nią nie zetknąć.

- Przed chwilą byłem u Elizabeth, żeby porozmawiać z nią o poniedziałkowym spotkaniu. Chciałem się dowiedzieć, czy mam przygotować demonstrację modelu zero dziewiętnaście. Ale Gina powiedziała, że szefowej nie ma i że przyjdzie dopiero w poniedziałek. Ma zapalenie krtani. Sądzisz, że będzie chciała zobaczyć, jak to działa? – zapytał.

Umysł Bridgesa pracował gorączkowo. Ryerson nie było. Nigdy już nie zobaczy tej dziwki. To fatalnie. Tak mu zależało, żeby po raz ostatni spojrzeć jej w oczy.

- Jestem pewien, że zechce, Warren – odparł, kiwając głową. – Najprawdopodobniej pod sam koniec zebrania. Możesz śmiało wyznaczyć pokaz na piętnastą trzydzieści. Wątpię, żebyśmy siedzieli dłużej – powiedział, wypuszczając z ust kolejny kłąb gryzącego dymu.

- W porządku, Ed. – Geisler poderwał się z krzesła, żeby uciec przed dryfującym w jego stronę obłokiem. Nagle zatrzymał się i obrócił z powrotem. – Byłbym zapomniał. Czy mógłbym dostać schemat zero dziewiętnaście, kiedy dział techniczny dostarczy mi wyliczenia? Potrzebny mi jest tylko na parę minut – powiedział.

Bridges poczuł nagłe ukłucie niepokoju. Schemat 019 był jednym z dwudziestu czterech, które miał ze sobą zabrać. Opanuj się, nakazał sobie. I tak dostaniesz go z powrotem przed końcem dnia, w przeciwnym razie nikomu nie wolno będzie opuścić terenu ośrodka. Zachowaj spokój. Nie daj Warrenowi wejść do wewnętrznego

gabinetu. Mógłby zobaczyć leżące na biurku papiery i nabrać podejrzeń.

- Jasne, ale może nie teraz. Zadzwoń po prostu do mnie, kiedy będziesz go potrzebował, to sam ci przyniosę. Przy okazji rzucę okiem na te wyliczenia działu technicznego. Zaoszczędzisz sobie chodzenia.

- Okay, Ed. Zadzwonię do ciebie później – powiedział Geisler i wyszedł.

A więc Elizabeth nie będzie przez cały dzień. To otwierało pewne interesujące możliwości. Bridges pomyślał o tajnych dokumentach, które trzymała w swoim biurku. Nie miał pojęcia, co zawierają, wiedział tylko, że przeznaczone były jedynie dla oczu Elizabeth i osób, z którymi się widywała, jeżdżąc do Waszyngtonu. Być może była to jedyna sposobność, żeby zobaczyć, co się w nich znajduje.

Może uda mu się dzięki temu zająć lepszą pozycję przetargową w rozmowach z Rosjanami? Trzeba tam pójść i sprawdzić.

Musi wymyślić jakiś fortel, żeby zająć czymś sekretarkę Elizabeth, Ginę, i wślizgnąć się niepostrzeżenie do gabinetu jej szefowej.

Po chwili zastanowienia otworzył szufladę biurka. Trzymał w niej akta osobowe swoich asystentów. Wyjął teczkę Warrena Geislera i drugą, doktora Phillipa Clarka. Obaj byli młodymi, utalentowanymi naukowcami, obu czekała obiecująca kariera w ramach programu SENTINELA. Bridges zwracał się już do Elizabeth, żeby awansować ich o oczko wyżej w hierarchii systemu bezpieczeństwa i wprowadzić

głębiej w cały program. Podniosłoby to również znacznie ich wynagrodzenie. Radzą sobie znakomicie, pomyślał.

Odłożył ***dossier*** doktora Clarka z powrotem na biurko i wyjął z szuflady trzecią teczkę. Wstał, założył marynarkę i ruszył do drzwi. Przechodząc przez sekretariat udał, że utyka. Krzywiąc się przy każdym kroku, przedefilował przed biurkiem Pat i wyszedł na zewnątrz.

Zanim skręcił w korytarz prowadzący do gabinetu Ryerson, zatrzymał się przy jednej z zamontowanych w ścianie popielniczek i zgasił cygaro. Gina pracowicie przepisywała na maszynie korespondencję Elizabeth.

- Cześć, Gina – pozdrowił ją Bridges. – Szefowa u siebie?

- Och, przykro mi, doktorze Bridges, ale doktor Ryerson w ogóle dziś nie będzie. Coraz bardziej dokuczało jej to zapalenie krtani i chciała wyleczyć je w czasie weekendu.

Bridges zrobił rozczarowaną minę.

- Hmm… Przyniosłem akta, o których chciała porozmawiać ze mną dziś rano – skłamał. – Zaznaczyła wyraźnie, że chce załatwić tę sprawę przed poniedziałkiem.

- Może pan je zostawić u mnie, doktorze Bridges. Sporządzę notatkę i przekażę jej, kiedy tylko się pojawi.

Bridges kiwnął głową.

- Tak, wydaje mi się, że to najlepsze wyjście – stwierdził. Rzucił okiem na teczkę Geislera i podał ją Ginie. Popatrzył na drugą teczkę i

zmarszczył brwi. – Niech to diabli! – jęknął. – Przyniosłem nie te akta.

Ruszył w stronę drzwi i ponownie się skrzywił. Przeszedł kuśtykając kilka kroków i odwrócił się z powrotem do Giny.

- Naprawdę głupio mi, że cię o to proszę, Gina, ale czy mogłabyś spełnić dobry uczynek i przebiec się do mojego gabinetu po te akta? Okropnie rwie mnie noga, a mam jeszcze zebranie w dziale technicznym, na które już jestem spóźniony.

- Och, naturalnie. Co mam przynieść? – zapytała z uśmiechem, zadowolona, że może oderwać się na kilka minut od swojego biurka.

- Miałem przynieść akta osobowe doktora Clarka i Geislera, ale pomyliłem się i zamiast Clarka wziąłem inne. Oddaj po prostu tę teczkę Pat i powiedz, żeby położyła ją na moim biurku. Powinna tam leżeć teczka doktora Clarka – powiedział, wręczając jej niepotrzebne akta.

- Oczywiście, doktorze Bridges. Załatwię to od razu.

- Dzięki, Gina, jesteś naprawdę cudowna – oznajmił i zaczął kuśtykać w stronę działu technicznego.

- Drobiazg – rzuciła za nim.

Okrążyła biurko i wyszła z sekretariatu. Chwilę później zniknęła za rogiem.

Bridges potruchtał szybko z powrotem do gabinetu Elizabeth. Przeszedł przez sekretariat i zamknął za sobą drzwi. Oceniał, że ma około pięciu minut na znalezienie tego, czego szuka. Mógł założyć w

ciemno, że Gina i Pat nie będą plotkowały krócej. A jemu powinny wystarczyć trzy minuty.

Obszedł biurko Elizabeth i spróbował otworzyć pierwszą szufladę. Bez skutku. Cholera! Była wyposażona w oddzielny zamek, żeby można było korzystać bez przeszkód z pozostałych. To głupota, pomyślał. Po co podejmować takie idiotyczne ryzyko, zwłaszcza ostatniego dnia. Mogę wszystko popsuć.

Ale i tak już podjąłeś to ryzyko, powiedział sam sobie. Dlaczego miałbyś się teraz wycofać?

Otworzył środkową szufladę i zaczął w niej myszkować. Po chwili znalazł małe metalowe pudełko. Próbował je otworzyć, lecz było zamknięte. Wyciągnął z kieszeni scyzoryk i delikatnie podważył zasuwkę. Wewnątrz znalazł małą kopertę. W środku był pojedynczy błyszczący klucz. Wsadził go w zamek pierwszej szuflady. Pasował. Przekręcił go i szuflada się otworzyła. Spojrzał na wiszący na ścianie zegar. Została mu tylko minuta.

W szufladzie znajdowało się jakieś trzydzieści, czterdzieści skoroszytów. Nie było na nich nazwisk ani tytułów, tylko same numery. Zauważył wśród nich czerwony skoroszyt. Pamiętał, że widział ją kilka razy w walizeczce Elizabeth, kiedy wybierała się do Waszyngtonu. Wyjął ją z szuflady i wsunął z tyłu pod spodnie. Trzymała się dobrze pod paskiem. Zasunął i zamknął szufladę, po czym włożył klucz do kieszeni. Będzie go potrzebował później, kiedy przyniesie skoroszyt z powrotem. Zrobi to, kiedy Gina wyjdzie na lunch.

Ostrożnie otworzył drzwi. Giny jeszcze nie było. Przeszedł przez sekretariat i ruszył szybko w stronę działu technicznego. Po paru sekundach był już bezpieczny.

Pięć minut później, kiedy nabrał pewności, że Gina wróciła do siebie, zjawił się z powrotem w swoim gabinecie. Kuśtykając minął biurko Pat, zamknął za sobą drzwi i ruszył prosto do gabinetu wewnętrznego, gdzie nikt nie mógł mu przeszkodzić. Poza nim tylko Elizabeth miała prawo otworzyć prowadzące do niego drzwi. Mógł spędzić tutaj, nie niepokojony przez nikogo, dokładnie tyle czasu, ile potrzebował.

Wyjął teczkę ze spodni i uważnie jej się przyjrzał. Była bardzo pogięta. Nie szkodzi, pomyślał. Kiedy Elizabeth zobaczy ją ponownie, on będzie się już znajdował w Rosji, strzeżony przez obstawę.

Na skoroszycie nie było żadnego znaku identyfikacyjnego ani nawet numerów, które widniały na innych teczkach w szufladzie. Bridges wyjął ołówek i blok do notowania, położył je na biurku i otworzył teczkę.

W środku znajdowało się dwadzieścia siedem kartek. Na pierwszej z nich widniał składający się z dwóch słów tytuł: OPERACJA RAPTOR.

*

Learjet przebył już niemal połowę drogi, kiedy Czachowski odzyskał przytomność. Był przypięty pasami do fotela. Przez kilka minut leżał nieruchomo, udając, że wciąż jest nieprzytomny. Wytężał

jednak słuch i rzucał wokół szybkie, ukradkowe spojrzenia, próbując ocenić sytuację.

Kiedy w końcu uznał, że czas się ocknąć, zobaczył wysokiego, ciemnego mężczyznę, który uratował mu życie w Paryżu. Przez moment ich oczy zetknęły się ze sobą.

Rosjanin przypomniał sobie trzymającą pistolet staruchę. Tak nagle się tam zjawiła, wyprostowana i jakby odmłodniała. Kiedy zamknął oczy, myśląc, że już po nim, rozległ się ściszony przez tłumik odgłos wystrzału. Jęk padającej staruchy zmusił go do otwarcia oczu. Zobaczył krew tryskającą z jej głowy. A potem zobaczył tego mężczyznę.

Pamiętał młodą dziewczynę, jej ciało, które uderzyło o stojącą z tyłu komodę, pamiętał krew na jej pięknych włosach. Dlaczego tamten zabił dziewczynę?

Kabina samolotu była niewielka. Natychmiast rozpoznał jego typ. Wyjrzał przez okno. Pozycja słońca powiedziała mu, że lecą na zachód. Nie na wschód, dzięki Bogu.

- Może pan usiąść? - zapytał Justin, rozpinając krępujące Rosjanina pasy.

Czachowski kiwnął głową i usiadł. Ponownie zerknął przez okno. Znajdowali się na bardzo dużej wysokości. Niebo było cudownie czyste, niżej widział rozpościerającą się aż po horyzont taflę wody. Lecieli nad oceanem.

- Potrzebuje pan może lekarstwa? - zapytał Justin, wyciągając małą fiolkę z nitrogliceryną.

Rosjanin pokręcił głową.

Justin przeszedł do przodu, by poinformować Fanninga, że Czachowski odzyskał przytomność. Po chwili pojawili się razem w kabinie.

- Kim jesteście? - zapytał Rosjanin. - I dokąd mnie zabieracie?

- Pracujemy dla Roberta Morsanda - skłamał Fanning. - Leci pan do Stanów Zjednoczonych.

- Tym samolotem? - Czachowski pokręcił z niedowierzaniem głową. - Jego maksymalny zasięg wynosi tysiąc osiemset mil. - Mówił po angielsku dobrze, ale z wyraźnie obcym akcentem.

W odpowiedzi Fanning również pokręcił głową.

- To zmodyfikowany typ - oznajmił. - Potrafi pokonać cztery tysiące mil z szybkością prawie sześciuset mil na godzinę. Leci pan do Ameryki, niech pan się nie boi.

- Gdzie jest Morsand? - zapytał Czachowski.

- Próbuje doprowadzić do porządku burdel, który pan spowodował, wychodząc ze swego pokoju. Pańska przygoda kosztowała życie siedmiu osób. Czterech z CIA, trzech z KGB - oświadczył Fanning.

Czachowski zmrużył oczy.

- Przepraszam... - powiedział cicho.

- Przepraszam to za mało - przerwał mu Justin. - Pańscy rodacy okazali się bardzo sprytni. Tak czy owak, nie obeszłoby się bez rozlewu krwi. Ale to, co pan zrobił, znacznie ułatwiło im zadanie.

Dobrze, że Morsand postanowił wysłać nas nieco wcześniej, w przeciwnym razie nie byłoby po panu co zbierać.

- Siedem osób... - Czachowski wbił wzrok w podłogę.

- Od jak dawna jest pan chory na serce? - zapytał Justin.

- Dopiero od kilku miesięcy. Od sześciu, może siedmiu - odparł Rosjanin.

- Na czym dokładnie polega problem? - pytał dalej Justin. Rosjanin wzruszył ramionami.

- Co powiedzieli panu lekarze?

- Nie było żadnych lekarzy. Sam wziąłem tabletki z infirmerii w konsulacie - przyznał tamten.

- Chce pan powiedzieć, że nie był pan badany? Wziął pan po prostu te tabletki, nie wiedząc dokładnie, co panu dolega?

Czachowski kiwnął głową.

- Dlaczego? - zapytał z niedowierzaniem Justin.

- Moja praca jest... to znaczy była... wszystkim, co miałem. Moja żona i jedyny syn nie żyją. Nie mam nikogo. Tylko swoją pracę. Gdyby się dowiedzieli, wysłaliby mnie zaraz na emeryturę.

- Robił pan sobie kiedyś elektrokardiogram?

- Tak, na krótko przed tym, zanim zaczęły się objawy. Był zupełnie normalny.

- Powinien pan pójść do lekarza. To może być mnóstwo rzeczy, niekoniecznie związanych z sercem - powiedział Justin.

Rosjanin potrząsnął głową.

- To się wie - stwierdził.

- Nie zawsze - odparł Justin i ruszył do przodu razem z Fanningiem.

- Co to może być? - zapytał półgłosem Fanning.

- Dlaczego mnie o to pytasz? Ktoś go musi natychmiast przebadać - odparł marszcząc czoło Justin.

BIP!

- Słucham cię, SENTINEL - powiedział Fanning.

- Na razie trzymajcie się wyznaczonego wcześniej kursu. Przed lądowaniem otrzymacie szczegółowe instrukcje dotyczące zmiany kursu i nowego miejsca przeznaczenia.

- Przyjąłem.

Instrukcja zdziwiła i nieco zaniepokoiła Justina. Nie chciał znowu zawieść swego syna. Obiecał przecież, że zabierze go na weekend. A nazajutrz była sobota.

- Nowe miejsce przeznaczenia? - zapytał. - Zastanawiam się, gdzie to może być...

- Nie wiem. Lądowałem kiedyś na St Simon Island, mając na pokładzie podobny ładunek - powiedział Fanning, pokazując kciukiem do tyłu. - Facet był bardzo ciężko ranny. Z powodu tego gnojka zmienili kurs w połowie drogi, a wcale nie był tak ważny jak ten tutaj. Możliwe, że ma z tym coś wspólnego jego stan zdrowia. Wydaje mi się, że jest tam jakiś ośrodek medyczny.

- Ile czasu to może zająć? - zapytał Justin.

- Jeśli rzeczywiście chodzi o St Simon, to nie więcej niż jakieś cztery godziny. Dlaczego pytasz? Umówiłeś się z kimś? Masz jakąś randkę? - zapytał z uśmiechem Fanning.

- Żebyś wiedział. Z dziewczyną, której nie mogę zawieść.

- Zdążysz - zapewnił go Fanning.

*

Edward Bridges był czerwony jak burak i cały zlany potem. To, co przed chwilą przeczytał, wstrząsnęło nim. Nie mieściło mu się to po prostu w głowie.

Nie wszystko było dla niego jasne, ale nawet to, co zdołał zrozumieć, napawało go przerażeniem. Operacja Raptor rozpoczęła się przed trzydziestu pięciu laty i realizowana była bez przeszkód aż do dzisiaj. To było niewiarygodne i działo się tutaj, w Ameryce.

W leżącym obok notesie zawarte były sporządzone przez niego przed chwilą notatki. Przypominały uproszczony wzór skomplikowanej reakcji chemicznej. Kiedy je odpowiednio uporządkuje i przepisze na maszynie, nie powinny zająć więcej niż jedną kartkę. Mógł wrócić do swojego mieszkania i zrobić to jeszcze przed wyjazdem na lotnisko.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza. Gina wkrótce wróci z lunchu. Czas przeleciał tak szybko. To, co czytał, tak go zaabsorbowało, że nie spostrzegł, iż minęło południe. Musi szybko odnieść wykradzioną teczkę.

Poukładał z powrotem papiery, włożył je do skoroszytu, a potem wepchnął go ponownie z tyłu za pasek spodni, zakrywając marynarką. Wyszedł ze swego gabinetu i ruszył korytarzem.

Chwilę później był już w gabinecie Elizabeth i wkładał skoroszyt do szuflady. Żałował, że nie ma czasu przejrzeć innych dokumentów. Myśl, co mógłby w nich jeszcze znaleźć, napawała go niemal strachem. Nie miał jednak wątpliwości, że wpadł mu w ręce najważniejszy ze wszystkich. Zasunął szufladę i zamknął ją na klucz, po czym włożył go z powrotem do małego metalowego pudełka i umieścił w środkowej szufladzie. Rozejrzał się po pokoju, upewniając się, czy wszystko znajduje się na swoim miejscu. Wrócił do swojego gabinetu.

Kolejny raz przebiegł w myśli cały plan. Wyniesie z Alphy schematy, przepisze w domu na maszynie notatki, a potem odbierze na lotnisku 0'Hare wynajęty samochód i pojedzie nim do Beloit, gdzie czeka go nowe życie. Spojrzał na zegar. Zostały jeszcze cztery godziny. Znowu poczuł, że ogarnia go zdenerwowanie. Zaczęło się odliczanie czasu, który dzielił go od przejścia po raz ostatni przez punkt kontrolny – najpierw w godzinach, potem w minutach i na koniec w sekundach. Ostatni raz! Te dwa słowa dzwoniły mu w głowie. Wszystko, co dzisiaj robił, działo się po raz ostatni.

*

Było dziesięć minut po piątej. Dział techniczny dostarczył Warrenowi Geislerowi potrzebne dane pięć minut przed końcem pracy. Geisler postanowił, że skończy pisać raport w sobotę rano.

Musiał tylko umieścić w nim teraz ostateczny wynik, a potem sprawdzić w poniedziałek schemat 019.

Edward Bridges z ulgą dowiedział się, że nie musi wypożyczać schematu. Nie dlatego, żeby sprawiało mu to jakąś różnicę - i tak powinien dostać go z powrotem przed końcem pracy. Ale czuł się lepiej, kiedy miał go przez cały czas przy sobie. Uchylił lekko drzwi i zajrzał do sekretariatu. Pat nie było. Poszła już pewnie do domu, pomyślał. Pchnął drzwi z powrotem i odwrócił się, nie widząc, że nie zamknęły się do końca. Wsunął kartę magnetyczną w otwór i wszedł do wewnętrznego gabinetu, żeby zabrać stamtąd schematy.

Wychodząc z gmachu Pat zawróciła w połowie drogi. Zapomniała kluczyków do samochodu.

Bridges wyszedł z wewnętrznego gabinetu w tej samej chwili, kiedy Pat weszła z powrotem do sekretariatu. Podszedł do swego wielkiego biurka i rzucił na nie schematy. Przeliczył pierwsze dwanaście arkuszy. Przez ostatnie kilka godzin jego zdenerwowanie nieustannie rosło. Miał zimne, spocone dłonie, ale czuł się dobrze.

Pat znalazła kluczyki, wyrwała sobotnią i niedzielną kartkę z kalendarza i już miała wyjść, kiedy zobaczyła uchylone drzwi do gabinetu Bridgesa. W środku paliło się światło. Wychodząc przed chwilą nie widziała się z nim i postanowiła teraz, że się pożegna. Ruszyła w stronę drzwi.

Bridges siedział za biurkiem, trzymając w ręku pierwsze dwanaście arkuszy. Ciężki papier nie zginał się tak łatwo, jak przewidywał. Położył schematy na biurku, pochylił się w dół,

podwinął prawą nogawkę i napiął gumkę skarpetki, sprawdzając jej wytrzymałość.

- Do widzenia, doktorze Bridges. Życzę miłego weekendu - zawołała, stojąc w progu, Pat.

Podskoczył jak oparzony, podnosząc w górę ręce. Nagły ruch naderwał ściągacz skarpetki, osłabiając elastyczność tkaniny. Zasłonił rękoma schematy i blady jak ściana spojrzał w stronę drzwi.

- Ach, to ty, Pat. Przestraszyłaś mnie. Do widzenia. Tobie też życzę udanego weekendu - powiedział, starając się powstrzymać drżenie głosu.

- Och, przepraszam, panie doktorze. Nie chciałam pana przestraszyć. Coś pan sobie rozdarł? Wydawało mi się, że słyszę odgłos prucia.

- Nie. To tylko skarpetka. Opada mi przez cały dzień. Po prostu ją podciągnąłem. Strzeliła tylko gumka - zmyślił szybko.

- Na pewno? Jeśli coś się rozdarło, mogę to panu prędko zeszyć. Mam w biurku igłę i nitkę - zaproponowała.

- Nie, Pat. To była tylko gumka w skarpetce, słowo daję. Dziękuję. Naprawdę.

- Nie ma sprawy. Jeszcze raz przepraszam, panie doktorze.

- Nic się nie stało, Pat. Baw się dobrze - powiedział czując, jak po twarzy i po czole spływają mu krople potu.

- Nawzajem, panie doktorze. Do zobaczenia w poniedziałek.

- W poniedziałek - powtórzył, kiwając głową. Gówno prawda, pomyślał.

Serce waliło mu jak młotem. Dotknął dłonią mokrego czoła. Chryste, ale go to przeraziło. Trząsł się cały, nie mogąc się opanować.

Przez jakiś czas oddychał głęboko, próbując się uspokoić. Położył schematy na biurku, podszedł do drzwi i pchnął je ponownie. Nie zatrzasnęły się. Pchnął mocniej i dopiero tym razem zamknęły się do końca.

Wrócił do biurka. Zanim do niego doszedł, skarpetka zsunęła się w dół. Pochylił się i uważnie ją zbadał. Jeśli nie będzie trzymać, użyje aptekarskiej gumki. Wziął pierwszy plik schematów i spróbował owinąć je sobie wokół nogi. Okazało się to trudniejsze, niż się spodziewał. Były zdecydowanie cięższe od formularzy. Udało mu się w końcu naciągnąć na nie skarpetkę. Wstał i zrobił kilka kroków po pokoju. Powinna trzymać. Gumka nie będzie potrzebna.

Miał pewne trudności z drugą nogą. Tu także musiał rozluźnić trochę ściągacz. Owinął arkusze wokół łydki i naciągnął skarpetkę. Trzymała bardzo dobrze. Teraz musi się stąd czym prędzej wynosić.

Przed wyjściem rozejrzał się po gabinecie. Miał wrażenie, że widzi go po raz pierwszy w życiu. Próbował wyobrazić sobie, jak wygląda reszta gmachu, jednak obraz był zamglony, jakby zaczął już wszystko powoli zapominać. Ale ten gabinet, jego gabinet... Przez siedem lat to był jego drugi dom. A teraz opuszczał go, zamieniając na miejsce, którego nie znał i nie widział. Nie tak to sobie wyobrażał.

Po kilku chwilach włożył płaszcz. Wychodząc obejrzał się do tyłu. Zamknął drzwi, żeby w poniedziałek Pat pomyślała, że jest w środku i nie życzy sobie, aby ktoś mu przeszkadzał. Być może nie

odkryją jego nieobecności przez cały ranek. To powinno dać mu jeszcze więcej czasu, choć w poniedziałek będzie już prawdopodobnie w Rosji.

Wyszedł na zewnątrz. Korytarz wydawał się mieć sto mil. Nogi uginały mu się w kolanach. Pocił się tak obficie, że podkoszulek przylepił się do pleców. Czuł, jak po wewnętrznej stronie uda spływa mu strumyczek potu.

Z trudem stawiał kolejne kroki. Wiedział teraz, jak musiał się czuć Ross u Kinziego. Szedł powoli korytarzem, powtarzając sobie, że wszystko jest w porządku, ale strach nie mijał.

Jego oczy przykuł kranik z wodą. Poczuł nagle, że gardło ma wyschnięte na wiór. Zatrzymał się i pociągnął długi orzeźwiający łyk, obserwując jak woda znika w otworze odpływowym. W rynsztoku.

Tam właśnie wyląduje, jeśli coś pójdzie nie tak. Co będzie, jeśli zabiorą mu całą dokumentację i zostawią w Ameryce? Powinien się jakoś zabezpieczyć. Wiedział, co musi zrobić. W drodze do domu wpadnie do biblioteki. Zajmie mu to tylko kilka minut.

Kiedy ruszył dalej, poczuł nagle, że schematy zaczynają się przesuwać. Nie przylegały już tak ściśle do łydek. Czuł, jak skarpetki robią się coraz bardziej luźne. Jezu Chryste, zaraz wszystko wypadnie na podłogę!

Pochylił się, ale w tej samej chwili usłyszał za sobą głosy. To była Gina i doktor Clark. Bridges spojrzał na wiszący w korytarzu zegar. Piąta trzydzieści. Co oni tutaj, do diabła, robią tak późno?

Ruszył szybciej, żeby go nie dogonili, ale ściągacz prawej skarpetki rozluźniał się teraz przy każdym kroku. Powłócząc nogą, żeby powstrzymać skarpetkę przed zsunięciem się niżej, wyglądał, jakby naprawdę kulał.

- Wciąż dokucza panu noga, doktorze? - zawołała Gina. Podniósł nerwowo wzrok, kiedy podeszli do niego z obu stron. Po twarzy spływał mu pot.

- Co ci się stało? - zapytał doktor Clark.

- Och, po prostu zesztywniało mi kolano - skłamał. Zwolnili kroku, żeby iść razem z nim. Po chwili znaleźli się przy pierwszym punkcie kontrolnym.

Niezależnie od głównego posterunku na parterze, każda kondygnacja miała swój własny punkt kontrolny. Bridges pracował na poziomie trzecim, zwanym od koloru sufitu i ścian „pokładem czerwonym". Każdy poziom miał inny kolor. „Pokład czerwony" był jądrem kompleksu Alpha.

Wyjście z Alphy stanowiło drobnostkę w porównaniu z dostaniem się do środka. Przy wejściu każdy musiał przejść przez zewnętrzne drzwi na parterze, które otwierały się po włożeniu karty magnetycznej w umieszczony obok nich otwór. Po przebyciu pierwszych trzeba było pokonać następne, położone po drugiej stronie małego holu. Ich zasada działania była identyczna, tyle że otwierały się dopiero po zamknięciu pierwszych. Dzięki temu nie sposób było dostrzec z zewnątrz, co się za nimi znajduje. Tylko w nagłych przypadkach wszystkie drzwi otwierały się jednocześnie.

Potem należało minąć stojących po obu stronach dwóch uzbrojonych strażników i wejść do głównego pomieszczenia kontrolnego.

Była to przestronna sala z trojgiem drzwi. Pierwsze prowadziły do holu wejściowego. Drugie, w kolorze czarnym, znajdowały się po prawej stronie. Przechodzić przez nie mieli prawo wyłącznie pracownicy służby bezpieczeństwa i tylko oni wiedzieli, co się za nimi znajduje. Szybko dowiadywał się też tego każdy nieproszony gość. Było to ponoć bardzo nieprzyjemne. Trzecie, położone po prawej stronie białe drzwi prowadziły do windy, która rozwoziła pracowników na sześć różnych poziomów Alphy. Pośrodku stał długi czarny stół z blatem przypominającym polerowane szkło. Był to bardzo szczególny stół.Na jego skraju leżała księga, w której każda wchodząca lub wychodząca z gmachu osoba składała swój podpis. Połączone cienkim przewodem z podstawką pióro nie różniło się na pierwszy rzut oka od pisaków, jakie znajdują się w każdym banku czy hotelowej recepcji, ale jego superczuła stalówka transmitowała bezpośrednio do SENTINELA impuls powstały przy składaniu podpisu. Impuls ten porównywany był następnie ze znajdującym się w pamięci komputera wzorem. Sprawdzano przeszło dwieście wyszczególnionych cech; fałszerstwo było wykluczone.

Po złożeniu podpisu każdy przybysz spoglądał w podobne do peryskopu urządzenie, w którym jaśniało łagodne błękitne światło. Badano wzór siatkówki. Nie ma na świecie dwóch takich samych.

Trochę dalej w blacie znajdował się błyszczący kwadrat o boku dwunastu cali. Po przyłożeniu do niego wewnętrznej strony prawej dłoni sprawdzane były wszystkie linie papilarne. Dopiero potem mijało się dwóch kolejnych uzbrojonych strażników pilnujących wejścia do windy. Strażnicy byli rosłymi, ponuro spoglądającymi osobnikami, którzy nigdy się do nikogo nie odzywali. Ale wszystkich obserwowali - zawsze milczący i zawsze czujni.

Po przyjeździe na któreś z pięter przechodziło się przez punkt kontrolny drugiego stopnia, gdzie cała zabawa zaczynała się od nowa. Wszystkie kondygnacje wyglądały tak samo, z wyjątkiem koloru podłogi, ścian i sufitu.

Wyjście z Alphy było o wiele łatwiejsze. Trzeba było tylko się podpisać i dać do przejrzenia wynoszone torby albo teczki. Po złożeniu przez daną osobę podpisu komputer odnotowywał, że opuściła kompleks.

Bridges zatrzymał się nagle. Był jak sparaliżowany. Wydawało mu się, że nie zrobi ani kroku dalej.

- Nie wyglądasz najlepiej, Ed - zauważył doktor Clark.

- I niezbyt dobrze się czuję - odparł. - Po przyjściu do domu położę się chyba do łóżka.

Cała grupa minęła posterunek kontrolny na piętrze i weszła do windy. Prawa skarpetka Bridgesa powoli zsuwała się w dół. Schematy zaczęły się rozwijać, zwiększając dodatkowo nacisk na gumkę.

Po kilku chwilach podpisali się w księdze przy głównym posterunku na parterze i stanęli przed drzwiami, czekając, aż się

otworzą. Bridges czuł na sobie uważny wzrok strażników. Był spocony i czerwony na twarzy. Jeśli jakaś osoba wyglądała tutaj podejrzanie, to był nią na pewno on.

Obejrzał się. Znowu zrobiło mu się niedobrze. Miał ochotę podnieść ręce do góry i powiedzieć, że się poddaje.

W końcu drzwi do holu otworzyły się. Po chwili odsunęły się następne i znaleźli się w zewnętrznym świecie, poza Korporacją Aztek. Ale do parkingu było dość daleko i Bridges wiedział, że nie zdoła donieść tam schematów. Gorączkowo szukał jakiegoś rozwiązania. Musiał coś zrobić, zanim się rozsypią.

Zaraz! Za rogiem korytarza znajdowała się łazienka. Niezbyt daleko, jednak i niezbyt blisko. Przy każdym kroku skarpetka opadała coraz niżej. Tylko dolny skraj arkuszy trzymał się jeszcze na miejscu. Góra rozwinęła się szeroko i oparła o nogawkę. Była wyraźnie widoczna. Jeszcze chwila i wszystko się wyda. Skręcił korytarzem w prawo.

Łazienka była tuż-tuż. Boże, niech nikt nie patrzy na moją nogawkę, niech nikogo nie przyciśnie pęcherz! - modlił się. Przeszedł kilka ostatnich kroków.

Arkusze wysunęły się ze skarpetki i oparły o but. Jeszcze tylko trzy kroki... jeszcze dwa... jeden. Doszedł do drzwi łazienki. Nikt nie zauważył, że zboczył w prawo. Doktor Clark i Gina poszli dalej.

Proszę, niech w środku nie będzie nikogo, modlił się gorączkowo. Wszedł do łazienki i w tej samej chwili arkusze rozsypały się na podłogę. Kiedy podnosił wzrok, myślał, że przestanie

mu bić serce. Łazienka była pusta. Walący wściekle puls o mało nie rozsadził mu głowy.

Westchnął głośno z ulgą i przez chwilę dochodził do siebie. Potem pochylił się, zebrał schematy, owinął je wokół łydki i naciągnął z powrotem skarpetkę. Leżały znakomicie. Poprawił lewą skarpetkę. Powinien teraz bez większych trudności dotrzeć na parking.

Wyślizgnął się z powrotem na korytarz i za chwilę był już na dworze. Doszedł do samochodu, otworzył drzwiczki i opadł ciężko na fotel. Niebezpieczeństwo minęło. Udało mu się wyprowadzić ich w pole. Nie poszło tak gładko, jak się spodziewał, ale mimo to odczuwał słodki smak zwycięstwa.

Wyjął z nogawek arkusze i położył je obok siebie na siedzeniu. A potem uruchomił silnik i ruszył do biblioteki - żeby mieć małe zabezpieczenie na przyszłość.

Rozdział 17

”Wielkie kłamstwo” zaczęło się, kiedy uświadomiliśmy sobie ponad wszelką wątpliwość, że wojna jest przegrana. Mimo to kazaliśmy ludziom wierzyć w zwycięstwo, żeby walczyli do końca.

„Jeśli wojna okaże się przegrana - powiedział Fuhrer - klęskę poniesie cały naród. Nie ma zatem potrzeby zaprzątać sobie głowy zapewnianiem mu prymitywnych warunków egzystencji po klęsce. Wprost przeciwnie - lepiej, żebyśmy zniszczyli to wszystko własnymi rękoma, bowiem naród pokonany jest narodem słabszym, a

przyszłość i tak będzie należała do silniejszych narodów Wschodu. Poza tym ci, którzy przeżyją, będą ludźmi pośledniego gatunku, najlepsi bowiem padną na polu bitwy”.

Z ostatnich rezerw stworzony został Volkssturm. Niemieckie dzieci i niemieccy starcy przygotowywali się do obrony ojczyzny.

Ustęp 29 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Gruby mężczyzna mógł ze swego miejsca obserwować całą halę odlotów. Przesunął po spoconym czole trzymaną w krótkich palcach brudną chusteczką. Zawsze obficie się pocił; czekanie jeszcze to potęgowało. Nie znosił czekania.

Po raz pierwszy w życiu był na międzynarodowym lotnisku Newark. Zrobiło na nim wrażenie. Agresywne, futurystyczne linie wzniesionych z betonu, szkła i stali trzech potężnych konstrukcji były pełne ekspresji.

Terminale otaczały połączone z nimi szklanymi korytarzami, podobne do kokonów pawilony. Przy każdym z nich mogło cumować od dziesięciu do dwunastu samolotów.

Jednym z tych korytarzy powinien nadejść Carson Ross. Grubas wiedział, że wykupił bilet na lot numer 193 TWA do Chicago. Start przewidziano na godzinę 7:45. Było już piętnaście po siódmej, ale Ross wciąż się nie zgłaszał.

Gruby mężczyzna popatrzył na zegarek i ponownie otarł pot z twarzy.

Pięć minut później jego ciemne, okrągłe oczy dostrzegły idącego korytarzem Rossa. Carson nie zwrócił uwagi na niskiego, otyłego człowieczka, który szybko ustawił się za nim w kolejce do stanowiska odprawy lotów.

- Lot sto dziewięćdziesiąt trzy do Chicago - powiedział do siedzącej za biurkiem ładnej czarnej kobiety.

- Chce pan nadać jakiś bagaż? - zapytała z uśmiechem.

- Nie, mam tylko to - odpowiedział, zaciskając dłoń na uchwycie podróżnej torby. Miał wiele powodów, żeby ani na chwilę nie wypuszczać jej z ręki - dwadzieścia pięć tysięcy powodów, każdy z nich wartości jednego amerykańskiego dolara. Interes, który zrobił, okazał się naprawdę świetny. Dwadzieścia pięć kawałków miesięcznie przez następnych dziesięć miesięcy. Każdą wypłatę miał odbierać w innym mieście. W tym miesiącu był to Newark, w stanie New Jersey. Odebrał forsę i spędził noc w Newark. Pieniądze należały do niego niezależnie od tego, czy Bridgesowi uda się przejść na drugą stronę.

Grubas postawił ciężką czarną walizeczkę na podłodze i czekał cierpliwie na swoją kolej.

- Pierwsza klasa - powiedziała kobieta do Rossa. - Czy będzie pan palił na pokładzie?

- Tak. Chciałbym dostać ostatnie miejsce po lewej stronie przy przejściu - poprosił.

- Zobaczę, czy nie jest już zajęte - powiedziała, dotykając klawiszy komputera. - Jest wolne. - Przypięła kartę lotu do biletu i

podała mu. - Ma pan miejsce cztery B. Wejście trzydzieste piąte, za pięć minut.

Grubas przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu. Ross miał swoje nawyki. W jego ***dossier*** zaznaczono, że zawsze podróżuje pierwszą klasą i zajmuje ostatnie miejsce po lewej stronie przy przejściu.

Odwracając się, Ross potknął się o stojącą za nim ciężką walizeczkę i o mało nie wywalił się jak długi. Kiedy odzyskał równowagę, zmierzył groźnym wzrokiem niskiego, tłustego człowieczka.

- Najmocniej pana przepraszam - odezwał się grubas z gardłowym akcentem, który przypominał Rossowi niemiecki.

Przez chwilę przyglądał się okrągłej twarzy grubasa. Przypominała mu pysk foki - takie same wyłupiaste oczy i tłusta skóra. Policzki i podbródek pokrywał ciemny jednodniowy zarost. Kosmyki przetłuszczonych włosów zaczesane były do tyłu łysiejącej głowy.

Brzydki sukinsyn, pomyślał i odszedł bez słowa.

Ciemne oczy śledziły go, kiedy znikał w poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy. Grubas podszedł do stanowiska odprawy, pokazał bilet i poprosił o miejsce w czwartym rzędzie, po prawej stronieprzejścia. Potem usadowił się w fotelu, z którego mógł bez przeszkód obserwować Rossa, i zaczął czytać wyjętą z kieszeni obszernego brązowego trencza gazetę.

Po kilku minutach poproszono pasażerów lotu 193 o zajęcie miejsc w samolocie. Ludzie ustawili się w kolejce i zaczęli schodzić korytarzem do rękawa. Grubas nie ruszył się z miejsca. Zamierzał wejść na pokład ostatni. Musiał się upewnić, że tamten naprawdę leci do Chicago.

Nadal czytał gazetę, rzucając znad niej szybkie spojrzenia w stronę Rossa. Kiedy z megafonów po raz ostatni wezwano do wejścia na pokład samolotu, Ross wstał, pokazał kartę lotu stewardesie i ruszył korytarzem w kierunku stojącego na płycie lotniska boeinga 707. Grubas siedział dalej, przewracając strony gazety.

Odczekał jeszcze trzy czy cztery minuty, zwinął gazetę, wstał i ruszył w stronę samolotu. Był ostatnią osobą, która weszła na pokład. Kiedy mijał cztery rzędy foteli pierwszej klasy, z przodu zamykano już drzwi boeinga. Zobaczył, że Ross siedzi tam, gdzie powinien. Nie patrząc na niego, przeszedł do foteli klasy turystycznej.

Ross odwrócił się z niesmakiem na widok mijającego go grubasa. Mały spocony człowieczek roztaczał wokół siebie koźli zapach, a on nie lubił ludzi, którzy byli brzydcy albo śmierdzieli. Otyli wzbudzali w nim wstręt.

Grubas zajął miejsce w pierwszym rzędzie swojej klasy, zaraz za Rossem, i spojrzał w przestrzeń pod jego fotelem. Była pusta. W wielu samolotach pasażerowie zajmujący miejsca w pierwszym rzędzie klasy turystycznej nie mogą umieszczać bagażu pod fotelami ostatniego rzędu klasy pierwszej. W niektórych boeingach 707 jest to jednak możliwe. Grubas nie miał przed sobą żadnego fotela, wstał

więc i umieścił swoją czarną walizeczkę pod znajdującym się po drugiej stronie przejścia siedzeniem Rossa. Potem usiadł z powrotem w swoim fotelu i zaczął przygotowywać się do startu.

Dziesięć minut później byli już w powietrzu. Samolot wziął kurs na Chicago. Grubas po raz ostatni przyjrzał się Rossowi, zatrzymując na chwilę wzrok na jego torbie, i zagłębił się w fotelu.

Rejs nie odbiegał w niczym od normy. W obu kabinach podano śniadanie; oddzielono też zasłoną obie klasy. Grubas nie mógł przez większą część lotu widzieć Rossa, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Wiedział, że nigdzie mu teraz nie ucieknie.

Ross sączył ostatnie krople swojej trzeciej filiżanki kawy, myśląc o czekającej go przyszłości. Przez cały rok dysponować będzie stałym i pokaźnym dochodem. Nareszcie trafił na złotą żyłę. Takich gratyfikacji nie wypłaca się zbyt często. Ten facet musiał być rzeczywiście ważny.

Kiedy podeszła do niego stewardesa z kawą, spojrzał na nią z uśmiechem. Wpadła mu w oko jeszcze przed startem. Niezła dupa. Mógł się założyć, że jęczy przy stosunku.

- Nie mam zbyt często pasażerów, którzy piliby aż cztery filiżanki - powiedziała, dolewając mu po raz kolejny kawy.

- Nie jestem zwyczajnym facetem - odparł, rozbierając ją wzrokiem. - Gdzie jest twój port macierzysty, kotku? - zapytał.

- W Sari Francisco.

- Może tam niedługo wpadnę. Będziesz mogła pokazać mi różne widoki. Zatrzymujesz się na jakiś czas w Chicago? - zapytał.

- Nie - odparła, potrząsając głową. - Z 0'Hare lecimy dalej, do Denver. W Chicago zmieni się część załogi, ale kilkoro z nas zostaje na pokładzie aż do Denver. Stamtąd lecę do domu.

- To fatalnie, skarbie. Chętnie pokazałbym ci miasto. Mówił ci już ktoś, że masz wspaniałą dupę?

Wlepiła w niego oczy, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. Wprawił ją w wyraźne zakłopotanie.

- Mówię serio. Masz wspaniałą dupę. Chciałbym pokazać ci kiedyś Chicago - powtórzył.

- Jasne, że byś chciał. - Odwróciła się i ruszyła w stronę dziobu. Kabina pierwszej klasy była niewielka i nie bardzo było się gdzie schować.

Ross wstał i ruszył w ślad za stewardesą. Mijając ją w przejściu, przesunął dłonią po jej pośladku.

- Niech pan przestanie! - syknęła, odwracając się do niego.

- Przepraszam, kochanie. Po prostu chciałem przejść. Muszę spuścić kropelkę. Chcesz mi może przytrzymać małego?

Wyjątkowy sukinsyn, pomyślała. Załatwię go na szaro. Wracając na miejsce, dotknął ponownie jej pośladka. Twarz stewardesy zapłonęła z gniewu, ale zignorowała zaczepkę. Ross wypił kawę i podniósł w górę filiżankę. Podeszła do niego z uśmiechem na twarzy.

Kiedy postawił filiżankę na tacy, poczuła, że jego ręka dotyka z tyłu jej nogi. Wzdrygnęła się lekko, ale nadal nalewała kawy do filiżanki, pochyliwszy się tylko trochę bardziej do przodu. Kiedy

odbierał filiżankę, jego ręka wsunęła się wysoko pod jej spódniczkę. Przechyliła dzbanek i wąski strumień gorącej kawy wylądował na spodniach Rossa.

Podskoczył w fotelu, łapiąc się ręką za sparzone miejsce.

Pochyliła się nad nim.

- Ojej, czyżbym sparzyła ci twojego małego siusiaczka? - zapytała z uśmiechem. Nachyliła się jeszcze bliżej. - Dotknij mnie jeszcze raz, Romeo - szepnęła - a ugotuję ci go na twardo. Zrozumiałeś?

Ross posłał jej wściekłe spojrzenie.

- Ty dziwko - syknął.

- Zgadza się, skarbie. Ale nie dla ciebie - odparła, oblizując językiem wargi. Odeszła od niego, kołysząc biodrami. Wytrzeszczaj gały, dupku, bo niczego więcej i tak nie zobaczysz.

Kiedy samolot zaczął schodzić niżej, odsunięto zasłonę między klasą pierwszą a turystyczną. Ross zniknął. Razem ze swoją torbą.

Oczy grubasa omiotły niespokojnie całą kabinę. W końcu zobaczył gasnące nad toaletą światełko ZAJĘTE. Wyszedł z niej Ross, dzierżąc mocno w dłoni swoją torbę.

Zapaliły się napisy proszące o zapięcie pasów.

Kilka minut później podchodzili do lądowania na lotnisku 0'Hare. Minęli właśnie jezioro Michigan i znajdowali się teraz nad stałym lądem. Niedługo powinno się pokazać lotnisko.

Grubas sprawdził, gdzie jest czarna walizeczka. Była tam, gdzie powinna. Przez całą podróż siedział w płaszczu, mimo że jeszcze

bardziej wskutek tego się pocił. Otarł twarz i czoło wilgotną szarą chusteczką.

Sięgnął do lewej kieszeni płaszcza i wymacał w niej małe metalowe pudełeczko. Kryjąc je w dłoni, wysunął na chwilę na zewnątrz. Sprawdził kolory trzech znajdujących się na nim przycisków. Po chwili pudełko tkwiło z powrotem w jego kieszeni.

Krótkie, pulchne palce grubasa przypominały miniaturowe bochenki chleba, ale poruszały się ze zwinnością i precyzją palców skrzypka. Kiedy poproszono o oddanie wszystkich tacek i wyprostowanie foteli, jego kciuk dotknął pierwszego z przycisków. Zapalił się napis proszący o niepalenie.

Grubas nacisnął przycisk.

Metalowe okucie stojącej pod siedzeniem Rossa czarnej walizeczki przesunęło się, odsłaniając małą dziurkę o średnicy mniej więcej jednej ósmej cala. Była widoczna tylko z miejsca, w którym siedział grubas. W dole migały domy i ulice. Jeszcze tylko parę chwil.

Kciuk grubasa odnalazł drugi przycisk. Nacisnął go kilka razy i z dziurki w walizce wysunął się cienki teleskopowy pręt. Każde dotknięcie przycisku posyłało go coraz wyżej w stronę pianki, która stanowiła wyściółkę fotela. Grubas nacisnął przycisk jeszcze raz i pręt dotknął pianki. Otarł pot z czoła. Zaczęło go ogarniać podniecenie. Nie spuszczał z oczu głowy Rossa.

Samolot znajdował się teraz na wysokości zaledwie paru stóp nad pasem startowym. Grubas czekał, trzymając kciuk na trzecim przycisku.

Kiedy koła samolotu dotknęły ziemi, pilot przełączył silniki na odwrotny ciąg, żeby wyhamować. W kabinie rozległ się stłumiony huk. Dłoń grubasa zacisnęła się na pudełku.

Ryk silników wzmagał się z każdą sekundą, wypełniając całą kabinę i zagłuszając cichy syk, który wydobył się z walizeczki, kiedy grubas nacisnął trzeci przycisk. Wąski, zakończony igłą pręt przeszedł przez poduszkę fotela i wbił się głęboko w udo Rossa. Ten podskoczył gwałtownie w górę, ale trzymały go zapięte pasy. Z igły trysnęła w jego ciało błyskawicznie działająca pochodna cyjanku potasu.

Wyprężył się i przez kilka sekund walczył o życie, a potem opadł z powrotem na siedzenie, z przechyloną lekko w lewo głową i utkwionymi we własnych spodniach oczyma.

Po opróżnieniu strzykawki grubas nacisnął drugi przycisk, igła wysunęła się z ciała Rossa i zniknęła z powrotem w walizeczce. Pierwszy przycisk przesunął na stare miejsce metalowe okucie.

Samolot toczył się wolno w stronę terminalu.

Kiedy się zatrzymał, pasażerowie wysiadający w Chicago zaczęli wstawać z miejsc. Zbyt byli zaabsorbowani wyjmowaniem swoich rzeczy spod siedzeń i ze schowków na górze, żeby zauważyć, że po zabraniu swojej walizeczki grubas zatrzymał się na moment przy fotelu Rossa.

Po kilku chwilach wszyscy wysypali się tłumnie z wyjścia G-9 i ruszyli w stronę taśmociągów z bagażem. Grubas poszedł spokojnie w kierunku głównego terminalu. W lewej ręce trzymał swoją ciężką walizeczkę, w prawej torbę Rossa.

Stewardesy żegnały właśnie ostatnich wychodzących pasażerów, kiedy ta, której Ross się naprzykrzał, spostrzegła, że jej podopieczny wciąż siedzi w fotelu. Trąciła łokciem koleżankę.

- Ten sukinsyn jeszcze tu jest. Czy nie miał przypadkiem wysiąść w Chicago?

Druga stewardesa sprawdziła listę.

- Zgadza się.

- Mam nadzieję, że nie będzie próbował lecieć z nami dalej do Denver. Nie wytrzymam tego - powiedziała pierwsza.

Podeszła do Rossa.

- Hej, Romeo, wysiadaj, bo polecisz nie tam, gdzie trzeba. Żadnej odpowiedzi.

Potrząsnęła go za ramię.

- Obudziłeś się już? - Wyraz jej twarzy nagle się zmienił. Potrząsnęła nim mocniej. - Hej, nic się panu nie stało?

Przytrzymywane pasami ciało Rossa przechyliło się w bok i oparło o poręcz fotela. Stewardesa krzyknęła głośno.

*

Grubas uśmiechnął się na widok biegnących w stronę wyjścia G-9 czterech policjantów. Słyszał, jak czyjś głos powtarza numer wyjścia w ich radiotelefonach.

Zrealizowany został właśnie kolejny etap planu Aleksego Kuradina. Otto Ten Braak wylądował w Chicago.

Rozdział 18

Rosjanie wkroczyli do Berlina i obrócili go w gruzy. Starcy i dzieci nie mieli żadnej szansy w walce z lepiej wyszkolonym przeciwnikiem, ale walczyli jak lwy. Pamiętam twarz małego chłopca, któremu przypinałem do piersi medal. Dzień wcześniej udało mu się w pojedynkę zniszczyć rosyjski czołg. Płakałem, patrząc w te oczy – załzawione i wystraszone, ale pełne zarazem dumy. Odebrał swój medal i drżąc z lęku wrócił na pierwszą linię. On byl uosobieniem Niemiec, solą tej ziemi. Pokochałem go i innych jemu podobnych gorącą miłością. Płaczę dzisiaj, kiedy pomyślę, jak wyglądałby świat, gdybyśmy wygrali. Zaoferowaliśmy mu niemiecki porządek. Zamiast tego zdominowany został przez zimną wojnę, komunizm i przestępczość. Ale świat przypomni sobie poświęcenie i męstwo tych dzieci, kiedy wzniesiemy ku ich czci pomniki. Nigdy ich nie zapomnimy.

Ustęp 30 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Elizabeth Ryerson obdarzona była genialnym umysłem. Kiedy się urodziła, jej rodzice nie byli już tacy młodzi, pozostała ich jedynym dzieckiem. Ani ojciec, ani matka nie przejawiali jakichś szczególnych zdolności, szybko jednak okazało się, że ma je ich córka. W wieku trzech lat nauczyła się czytać i pisać, a jako pięcioletnia dziewczynka czytała prace naukowe i podręczniki techniczne tak, jakby to były bajki do poduszki.

Jej zabawkami były miniaturowe rakiety oraz zestawy elektroniczne i chemiczne. Nie miała czasu na głupstwa, którymi zajmują się małe dziewczynki. W ciele małego pięcioletniego dziecka tkwił umysł dorosłego człowieka.

Rodzice próbowali skłonić córkę do częstszego przebywania z rówieśnikami. Ale dla Elizabeth dzieci w jej wieku były niewiarygodnie nudne: interesowały się rzeczami, które jej zupełnie nie ciekawiły. Rodzice nie mieli wyboru – musieli zapisać ją do szkoły dla szczególnie uzdolnionych.

Zanim weszła w wiek dojrzewania, zafascynowały ją perspektywy transplantacji. Przewidywała, że wkrótce serce, płuca, nerki zastąpione zostaną skonstruowanymi przez człowieka sztucznymi organami. Wątpiła tylko, czy uda się to uczynić z mózgiem. Gdyby jednak stało się to możliwe…

Komputery przedłużały funkcje mózgu i ułatwiały człowiekowi życie, ale nie potrafiły przecież myśleć. Nie dysponowały prawdziwym intelektem. Funkcjonowały w sposób mechaniczny, nie biologiczny. Nie zachodził w nich prawdziwy twórczy proces myślenia, lecz jedynie logiczna manipulacja danymi umieszczonymi w bankach pamięci. Nowe generacje komputerów mogły gromadzić coraz więcej informacji i przetwarzać je o wiele szybciej niż ludzki umysł, nie zmieniało to jednak faktu, że cały proces był inicjowany z zewnątrz. Przypominało to myślenie, ale nim nie było. Tylko ludzki umysł mógł myśleć, doznawać i tworzyć pojęcia. Tylko ludzki umysł

wiedział, jak coś wygląda, jak pachnie, jakie jest w dotyku, mógł doświadczać miłości, nienawiści, żalu i radości.

W wieku piętnastu lat Elizabeth wstąpiła do college'u. Towarzysko była zupełnie niewyrobiona; nie potrafiła wykrzesać z siebie zainteresowania dla rzeczy, które stanowiły istotę studenckiego życia.

Mimo wspaniałych naukowych sukcesów był to dla niej trudny okres. Kiedy jej koleżanki polowały już na mężów, ona zaczynała się dopiero nieśmiało interesować odmienną płcią. Jej przebudzenie miało miejsce w wieku, kiedy od kobiety spodziewa się czegoś więcej. Otaczał ją seks, narkotyki, bombardowały jedno po drugim dziwne doznania, które pozostawiły głębokie blizny w jej psychice. Weszła w ten świat, zanim była na to przygotowana.

W wieku osiemnastu lat, na ostatnim roku studiów, jakoś się pozbierała. Z brzydkiego kaczątka przeobraziła się w ładną dziewczynę. Nie bała się już tak bardzo fizycznych aspektów życia i to pozwoliło w pełni rozwinąć się jej intelektowi. Nabrała pewności siebie, ale nigdy nie zagoiły się do końca szramy, powstałe w trakcie okresu dojrzewania. Nie potrafiła o nich zapomnieć i to uniemożliwiało jej jakiekolwiek normalne kontakty z mężczyznami. W sferze intelektualnej i na bazie zawodowej te wspomnienia nie miały żadnego znaczenia i jej stosunki ze współpracownikami były naturalne i przyjazne, ale żaden z nich nie miał nigdy dostępu do wewnętrznego świata Elizabeth Ryerson. To była ziemia niczyja, tam nie mógł pojawić się żaden mężczyzna.

Jej zainteresowania jednak nie uległy zmianie – wciąż ciekawił ją ludzki umysł.

Kilka sześciennych cali mózgu może pomieścić milion miliardów bitów informacji. Żaden komputer nie jest w stanie zgromadzić ich tyle w tak małej przestrzeni. Ale tylko komputer potrafi przywołać natychmiast wszystkie dane i w ciągu kilku milisekund posłużyć sięnimi w rozwiązywaniu skomplikowanych problemów. Czy te dwie zdolności można połączyć w jedno? To zagadnienie kosztowało Elizabeth Ryerson wiele bezsennych nocy. Musiał istnieć jakiś klucz, klucz biologiczny; postanowiła poświęcić jego odkryciu wszystkie swoje siły.

Zaczęła studiować mechanizmy działania synapsów neuronowych i pamięci. Im więcej na ten temat wiedziała i myślała, tym większego nabierała przekonania, że można powtórzyć cały proces w warunkach laboratoryjnych. Odpowiedź leżała w mechanizmach połączeń synapsowych i składzie mózgowych protein. Elizabeth pochłaniała z pasją wszelką wiedzę na temat systemów komputerowych i zanim wstąpiła na Harvard School of Medicine, stała się jedną z najlepszych w całym kraju specjalistek w tej dziedzinie.

Po ukończeniu medycyny poświęciła się pracy badawczej. Wkrótce zorientowała się, że musi pogłębić swoją wiedzę na temat komputerów i rozpoczęła informatyczne studia doktoranckie na Massachusetts Institute of Technology.

Tam właśnie spotkała Edwarda Bridgesa. Interesował ją tylko jego umysł, nigdy nie było mowy o osobistym zaangażowaniu. Była od niego o wiele bardziej inteligentna, lecz on posiadał niezwykłą zdolność rozumienia jej najbardziej skomplikowanych teorii i mistrzowskiego układania w uporządkowany wzór pozornie nie przystających do siebie faktów. Ona wymyślała teorie i koncepcje, on szukał dla nich praktycznych zastosowań. Stał się dla Elizabeth wartościowym narzędziem.

Podczas studiów doktoranckich opracowała zupełnie nową teorię pamięci cybernetycznej i skonstruowała uproszczony model laboratoryjny. Przyniosło jej to bardzo szybko olbrzymie uznanie. Właśnie wtedy szczegóły pracy Elizabeth i waga dokonanych odkryć zwróciły uwagę pewnych osób.

Po obronie pracy doktorskiej zaproponowano jej stanowisko w prestiżowym Instytucie Colsona, ośrodku badawczym, w którym małe grupki uczonych próbowały zrealizować swoje najdziksze fantazje w całkowicie nowych dziedzinach nauki. Dokonano tam wielu nie ujawnionych do tej pory odkryć. Instytut korzystał z pokaźnych subwencji przekazywanych przez fundacje naukowe i prywatny sektor przemysłu. Ale największe środki płynęły w tajemnicy z Pentagonu i innych ośrodków rządowych.

Właśnie w Instytucie Colsona, po dokonaniu przez Elizabeth Ryerson kolejnego odkrycia w biocybernetyce, skontaktowało się z nią kilku przedstawicieli rządu. Bardzo zainteresowało ich jej odkrycie. Był nim gromadzący i przetwarzający dane funkcjonalny

nośnik pamięci – spełniający funkcje bardzo zbliżone do żywego mózgu. Potrzebne były jeszcze liczne udoskonalenia, ale zasadniczy przełom został dokonany. A świat nic o tym nie wiedział.

Po kilku wstępnych kontaktach odwiedził ją Irwin Honeycut. Interesował się pracami Elizabeth od czasu jej pierwszych sukcesów w MIT. To jego protekcji zawdzięczała pracę w Instytucie Colsona. Po kilku rozmowach zawarli bliższą znajomość. Znajomość, która napawała Elizabeth lękiem, ale która nacechowana była jednocześnie zaufaniem i wzajemnym zrozumieniem. Być może Honeycut wypełnił po prostu pustkę, która powstała w wyniku nagłej śmierci jej ojca, który zmarł zaledwie rok wcześniej. Elizabeth ciężko przeżyła tę stratę. W Irwinie znalazła siłę i uczciwość – cechy, które ją podbiły. Była w nim też jakaś delikatność i ojcowska troskliwość. Elizabeth gorąco chciała wypełnić powstałą w jej życiu lukę – i wypełniła ją.

Zaoferowano jej kierownictwo techniczne najbardziej utajnionego projektu, jaki kiedykolwiek finansował rząd Stanów Zjednoczonych. Badania miały być prowadzone w supernowoczesnym tajnym laboratorium; budżet był nieograniczony. Elizabeth dano całkowitą swobodę w doborze współpracowników – pod warunkiem, że spełnią wszystkie wymogi bezpieczeństwa. Ziściły się jej najśmielsze sny. Bez wahania przyjęła ofertę i stanowisko dyrektora techniczno-naukowego projektu, który opatrzono kryptonimem SENTINEL. Jej pierwszym asystentem został, po dokładnym prześwietleniu całego życiorysu, Edward Bridges.

Po niezbędnej lustracji całego personelu i zaznajomieniu go z wymogami bezpieczeństwa rozpoczęto realizację projektu. Narodził się SENTINEL.

*

W sobotę o godzinie 9:20 Elizabeth Ryerson złożyła podpis w punkcie kontrolnym kompleksu Alpha. Przyszła, żeby zlikwidować zaległości, które powstały w rezultacie spowodowanej zapaleniem krtani piątkowej nieobecności. Gardło wciąż jej dokuczało, ale ponieważ w czasie weekendu kompleks był prawie pusty, mogła trochę popracować, nie otwierając w ogóle ust.

Idąc długim korytarzem o mało nie zderzyła się z doktorem Warrenem Geislerem, który wybiegł ze swego gabinetu.

- Och, przepraszam, Warren - powiedziała zdziwiona.

- Doktor Ryerson... Elizabeth! Nie, to ja przepraszam. Nie powinienem wyskakiwać w ten sposób na korytarz - rzucił szybko Geisler. Widok Elizabeth go zaskoczył. Wiedział, że jest chora. W luźnym weekendowym ubraniu wyglądała bardziej atrakcyjnie niż zwykle.

- Jak twoje gardło? - zapytał.

- Wraca do normy - wychrypiała w odpowiedzi. - Ed przykuł cię na weekend do biurka? - zapytała z uśmiechem.

- Nie - roześmiał się Geisler. - Chciałem tylko skończyć na poniedziałek raport na temat zero dziewiętnaście. W poniedziałek rano przejrzymy jeszcze razem z Edem schematy i sprawozdanie będzie gotowe.

- To świetnie. Jak się sprawuje prototyp systemu?

- Wspaniale. Jest zupełnie nie do wykrycia. Te ostatnie ulepszenia były genialne.

Elizabeth uśmiechnęła się z zadowoleniem. Zawsze lubiła Warrena Geislera. Był pracowitym młodym człowiekiem, ogromnie uzdolnionym i pełnym profesjonalnej pasji. Pasja stanowiła dla niej o wszystkim; bez niej człowiek do niczego nigdy nie dojdzie.

- Wiesz, co ci powiem, Warren? Skoro już zadałeś sobie tyle trudu, możesz przejrzeć schematy dzisiaj. Wpadnę na chwilę do siebie, a potem otworzę wewnętrzny gabinet Eda. Co ty na to?

- Wspaniale - odparł Geisler. - Zabiorę tylko raport z mojego gabinetu. Jeśli chcesz, możesz go przekartkować. Poznasz z grubsza dane, które przedstawię na zebraniu.

- Dobrze. Spotkamy się za pięć minut - powiedziała, ruszając dalej korytarzem.

Weszła do gabinetu i zobaczyła na biurku akta Geislera i Clarka. Przeczytała przypiętą do nich notatkę Giny i zmarszczyła brwi. Nie przypominała sobie, żeby prosiła Bridgesa o ich teczki, choć domyślała się, o co chodzi. Postanowiła, że rozmówi się z Bridgesem w poniedziałek.

Odłożywszy akta na bok, otworzyła kluczem boczną szufladę i wyjęła z niej czerwony skoroszyt. Przez moment bacznie mu się przyglądała. Nie pamiętała, żeby był wcześniej taki pogięty. Po chwili przestała o tym myśleć. Wyjęła ze swojej walizeczki pojedynczy

arkusz papieru, włożyła go do skoroszytu, po czym umieściła go z powrotem w szufladzie i zamknęła ją na klucz.

Podniosła słuchawkę i wystukała numer Geislera. Odebrał po pierwszym dzwonku.

- Geisler.

- Schodzę na dół. Jesteś gotów?

- Tak, Elizabeth. Spotkamy się w sekretariacie, u Pat.

- Dobrze. Do zobaczenia za minutę - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Po kilku chwilach spotkali się w sekretariacie Bridgesa.

- Drzwi są zamknięte - powiedział Geisler. - Może jest w środku?

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Nie widziałam jego podpisu w spisie na dole. Może przyszedł po naszym spotkaniu.

Zapukała do drzwi i przez chwilę czekała. Nikt nie odpowiadał.

Zapukała ponownie, lecz nadal nikt nie odpowiadał.

- Może jest w wewnętrznym gabinecie - zasugerował Geisler. Elizabeth otworzyła drzwi. Na wieszaku nie było palta. Podeszła do drugich drzwi, które prowadziły do wewnętrznego gabinetu, i wsunęła w otwór swoją kartę magnetyczną. Drzwi odsunęły się. W środku nie było nikogo. Elizabeth ponownie wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

- Chyba zamknął po prostu drzwi wychodząc - powiedziała. - Wejdź i poszukaj schematu, Warren. Ja zostanę tutaj i przejrzę ten raport.

Geisler wręczył jej raport i wszedł do wewnętrznego gabinetu.

- Zaraz wracam - powiedział.

Elizabeth zaczęła sprawdzać wyliczenia raportu Warrena. Potem rzuciła okiem na podsumowanie i wnioski.

Po kilku minutach Geisler wychylił się z zakłopotanym wyrazem twarzy z wewnętrznego gabinetu.

- Elizabeth? Znalazłem tylko zero zero osiem. Schematu zero dziewiętnaście nie ma.

Podniosła wzrok.

- Musi tam być, Warren. Widocznie szukałeś w niewłaściwym miejscu. - Wstała z fotela Bridgesa i ruszyła za Geislerem do wewnętrznego gabinetu.

Podeszła do katalogu i sprawdziła numer tomu i arkusza, na którym znajdował się schemat 019. Następnie wyciągnęła właściwy tom i poszukała arkusza. Nie było go.

- Jesteś pewien, że schemat był skończony? Może w ostatniej chwili nanoszono jakieś poprawki? - zapytała.

Geisler potrząsnął głową.

- Widziałem go w zeszłym tygodniu. Nie przedstawiano mi żadnych poprawek. W tym tygodniu sprawdzaliśmy tylko układ zewnętrzny... jestem pewien; że nie zmieniono żadnego z komponentów - odpowiedział.

Elizabeth podeszła z powrotem do katalogu.

- Ostatni rewers na schemat zero dziewiętnaście wydany został dziewięć dni temu. Podpisałeś go o godzinie czternastej dwadzieścia... i potwierdziłeś zwrot o szesnastej trzydzieści sześć.

Po chwili namysłu nacisnęła biały przycisk na konsoli SENTINELA.

- Tak - odezwał się cichy głos.

- Jaki jest status schematu i projektu UFF szesnaście zero zero dziewiętnaście? - zapytała.

- Schemat i projekt są ukończone. W poniedziałek o godzinie trzynastej wyznaczono zebranie, na którym ma zapaść decyzja o realizacji.

- Gdzie znajduje się kopia schematu?

- Tom trzydziesty czwarty, sekcja UFF szesnaście X, strona dwudziesta siódma - odparł głos.

Elizabeth ponownie sprawdziła w katalogu. Dane się zgadzały. Zmrużyła oczy. Targnęło nią straszliwe podejrzenie.

- Sprawdź schemat dotyczący komponentów nośnika pamięci, Warren - powiedziała.

Geisler zajrzał do katalogu i podszedł do półki. Wyciągnął odpowiedni tom i zaczął przerzucać kartki.

- Nie ma go tutaj - stwierdził po chwili. Z twarzy Elizabeth odpłynęła cała krew.

- Sprawdź schemat funkcji synapsowych nośnika pamięci - powiedziała, przełykając z trudem ślinę.

Geisler przeszukał następny tom i ponownie podniósł wzrok.

- Zniknął. Zacisnęła mocno zęby.

- Czy Ed był w pracy przez cały piątek? - zapytała.

- Tak. Kiedy wychodziłem, wciąż tu siedział.

- SENTINEL! - zawołała Elizabeth.

- Tak - zgłosił się natychmiast głos.

- Ogłaszam żółty alarm dla całego kompleksu. Chcę, żeby zamknięto wszystkie wyjścia. Nikt nie może wyjść ani wejść. Kto jest teraz w kompleksie?

- Oprócz pani i doktora Geislera tylko doktor Martin Bibbey, doktor Marion Woelk i Richard Smalls. Wdrażane są wytyczne systemu zaostrzonego bezpieczeństwa.

- Pospiesz się. I skontaktuj się z doktorem Clarkiem. Powiedz, żeby się tu natychmiast zgłosił. Chcę, żeby przyznano doktorowi Clarkowi i Geislerowi status SSC sześć. - Odwróciła się do Geislera. - Myślę, że z przyznaniem wam nowego statusu nie będzie żadnych kłopotów. Powiadom o wszystkim Clarka. Sprawdźcie całą dokumentację i sporządźcie listę brakujących schematów.

Geisler kiwnął głową.

Na konsoli SENTINELA zapaliło się światełko.

- Tak, SENTINEL?

- Doktorowi Clarkowi i Geislerowi przyznany został status SSC sześć. Do czasu wydania nowych kart wszystkie systemy będą traktować ich karty typu SSC pięć jako SSC sześć. Wszystkie punkty kontrolne otrzymały polecenie, by nie wpuszczać żadnych

pracowników z wyjątkiem doktora Clarka. Zarządzony został alarm żółty - oświadczył cichy głos.

- Chcę, żeby natychmiast zlokalizowano doktora Bridgesa i wysłano po niego z Alphy specjalny oddział służby bezpieczeństwa - poleciła chrapliwym głosem Elizabeth.

- Przyjąłem - odpowiedział komputer. Elizabeth odwróciła się do doktora Geislera.

- Masz teraz status SSC sześć, Warren. Nie jestem ci już tutaj potrzebna. Gdybyś na niego nie zasługiwał, nie otrzymałbyś go. Czy to jasne? - zapytała.

- Tak... tak, oczywiście - odparł zakłopotany.

- Podobnie jak SENTINEL wierzę w twoje zdolności i zdrowy rozsądek. Zabierz się szybko do roboty i ustal, co się właściwie stało - powiedziała.

Geisler kiwnął głową i ruszył w stronę półki.

- Będę w swoim gabinecie. Zawiadom mnie natychmiast, kiedy dowiesz się czegoś więcej - poleciła.

- Tak jest - odparł Geisler, wyciągając pierwszy tom. - SENTINEL - zwrócił się do komputera.

- Tak, doktorze Geisler?

- Będę potrzebował listy wszystkich schematów, strona po stronie, tom po tomie. Wyświetl ją na monitorze.

Na ekranie natychmiast pojawiła się pierwsza strona listy. Tom I, sekcja 1.

Elizabeth wyszła z gabinetu Bridgesa i ruszyła korytarzem. Przenikał ją dotkliwy ból - jakby porwano jej własne dziecko. SENTINEL należał do niej. Poczęła go, a potem patrzyła, jak rośnie i się rozwija. A teraz... nagle przypomniała sobie pognieciony czerwony skoroszyt i notatkę, którą zostawiła jej na biurku Gina.

Wróciła biegiem do swego gabinetu. Otworzyła ponownie szufladę, ostrożnie wyjęła czerwony skoroszyt i położyła go na biurku. Przyjrzała mu się uważnie, a potem nacisnęła biały przycisk na stojącej obok biurka konsoli SENTINELA.

- Tak, doktor Ryerson? - odezwał się głos.

- Chcę, żeby natychmiast przybyła tutaj ekipa Wydziału Drugiego. Po przejściu przez punkt kontrolny mają udać się bezpośrednio do mojego gabinetu. Czy pan Honeycut został już powiadomiony o alarmie?

- Nie, nie został. Nie udało mi się z nim skontaktować. Nie ma go w domu i nie ma przy sobie przenośnego zestawu łącznościowego. Wysłałem sygnał przez pager. Powinien zadzwonić lada chwila - poinformował ją SENTINEL.

- Chcę, żebyś połączył mnie z nim natychmiast, kiedy się zgłosi. Czy już coś wiadomo o miejscu pobytu doktora Bridgesa? - zapytała.

- Jeszcze go nie ustaliliśmy. Zarządzono poszukiwania klasy pierwszej. Wydział Drugi jest w drodze do Alphy.

Białe światełko na konsoli zgasło.

Elizabeth usiadła za biurkiem. Chciało jej się płakać ze złości. To wszystko było niewiarygodne.

Światło na konsoli zapaliło się ponownie.

- Mam przy telefonie pana Honeycuta - poinformował ją cichy głos.

- Dziękuję, SENTINEL - powiedziała, podnosząc słuchawkę. - Halo, Irv. Mówi Elizabeth.

- Co się u was dzieje, do jasnej cholery? Dlaczego zarządzono żółty alarm? - zapytał Honeycut. Wrócił właśnie do domu po porannym joggingu. Jeden rzut oka na stojący na komodzie przenośny zestaw łącznościowy powiedział mu, że stało się coś złego. Widok mrugającego żółtego światełka sprawił, że ogarnął go nagły chłód.

- Mamy poważny problem, Irv. Odkryliśmy, że z wewnętrznego gabinetu Bridgesa zginęło kilka schematów. Zniknął również sam Bridges. Nie wiemy dokładnie, ilu i jakich schematów brakuje, ale wygląda to paskudnie... nie ma również schematów dotyczących nośnika pamięci.

Honeycut spurpurowiał. Gwałtownie podskoczyło mu ciśnienie.

- Czy możesz mi łaskawie powiedzieć, w jaki sposób udało mu się, do diabła, wynieść te schematy? - rzucił gniewnie do telefonu.

Honeycut był bardzo surowym szefem; wymagał od swoich ludzi ciężkiej pracy i nie tolerował żadnych błędów.

Zbita z tropu Elizabeth nie potrafiła odpowiedzieć na jego pytanie.

- Nie wiemy jeszcze, jak je wyniósł - wyjąkała po chwili. - Wezwałam tu ekipę Wydziału Drugiego i kazałam SENTINELOWI

wydelegować z Alphy oddział służby bezpieczeństwa, aby zatrzymać Bridgesa, kiedy tylko ustalone zostanie miejsce jego pobytu.

- Odwołaj ich - warknął Honeycut. - Bridges ma na pewno wspólników. Załatwią naszych ludzi w ciągu paru sekund. Skorzystali z weekendu, żeby zyskać dodatkowe dwa dni przewagi. Fakt, że tak szybko odkryliśmy kradzież, stanowi w tej chwili nasz jedyny atut. Nie mogą się zorientować, że odkryliśmy ucieczkę Bridgesa.

Przez chwilę się zastanawiał.

- Wezwij natychmiast do Chicago Pielgrzyma i Borsuka - powiedział w końcu. - Ja sam będę w Alphie za trzy godziny. I kiedy się zjawię, chcę znać odpowiedź na moje pytanie.

- Będziesz ją miał - zapewniła go.

- Zamierzam wprowadzić ze sobą Pielgrzyma i Borsuka - powiedział.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, Irv - zaprotestowała.

- Nie obchodzi mnie, co sądzisz - warknął. - Zabieram ich ze sobą. Mają ująć Bridgesa i odzyskać dokumentację, a możesz być pewna, że nie będzie to przypominało niedzielnej majówki. Muszą dowiedzieć się dokładnie, czego mają szukać i jakie grozi im niebezpieczeństwo. Chcę, żeby wszyscy agenci SENTINELA, którzy nie są akurat w trakcie wykonywania jakiejś misji, zostali postawieni w stan pogotowia. Zagrożona jest cała nasza przyszłość.

- W porządku, Irv. Zabierz ze sobą swój zestaw łącznościowy. Dam ci znać, kiedy wpadniemy na jakiś trop.

- Okay. Każ SENTINELOWI połączyć mnie z Białym Domem. Muszę poinformować prezydenta o żółtym alarmie - powiedział.

- Dobrze, załatwię to.

Honeycut czekał niecierpliwie ze słuchawką przy uchu. BIP!

- Tak, słucham? - zapytał.

- Prezydent jest w tej chwili na pokładzie Air Force One w drodze do Los Angeles - poinformował go cichy głos.

- Kto jest razem z nim w samolocie?

- Oprócz obstawy i załogi Russel Fulton, Harold Winston i Roland Morse.

Honeycut zastanawiał się przez chwilę. Russel Fulton był sekretarzem stanu i członkiem pięcioosobowego komitetu doradczego SENTINELA. Należał do niego również Harold Winston. Nie wtajemniczony był tylko Morse.

- Musimy zaryzykować - powiedział. - Połącz mnie.

Na pokładzie Air Force One zadzwonił specjalny telefon. Prezydent odstawił kawę, przeprosił swoich rozmówców i podszedł do małego biurka.

- Tak, kto mówi? - zapytał, podnosząc słuchawkę.

- Połączenie z tajną linią SENTINELA - poinformował go cichy głos. - Trzydzieści sekund.

Prezydent opuścił słuchawkę.

- Przepraszam was, panowie... - zaczął. - Rolly, czy mógłbyś przejść na kilka minut do drugiej kabiny? A wy zostańcie - zwrócił się do Fultona i Winstona.

Spojrzał na swoich ochroniarzy.

- Napijcie się trochę kawy, chłopcy.

Obstawa przeszła w ślad za Rolandem Morse'em do drugiej kabiny. Prezydent zaczekał, aż zamknęły się za nimi drzwi.

- Tak, jestem przy telefonie - powiedział.

- Tu Irv, panie prezydencie - odparł Honeycut.

Russel Fulton i Harold Winston patrzyli, jak ściskający słuchawkę prezydent siada w milczeniu w fotelu. Odezwał się dopiero po kilku minutach:

- Zgłoś się ponownie, Irv, kiedy będziesz wiedział coś więcej. I podejmij wszystkie działania, jakie uznasz za niezbędne. Masz moje wszelkie pełnomocnictwa.

Odłożył słuchawkę i posłał zatroskane spojrzenie swoim dwóm współpracownikom.

- Panowie, mamy żółty alarm.

Rozdział 19

Kiedy wymierzona została wreszcie sprawiedliwość, zwycięzcy stanowili większość. Ale zwycięzcy nigdy nic zostają zwycięzcami raz na zawsze. Historii nie tworzy leniwa, nieruchawa większość; to właśnie mniejszości buntują się i rzucają wyzwanie tym, którzy wytyczają losy świata. Nie został jeszcze napisany ostatni rozdział historii.

Klęska sprawiła, że powróciliśmy do zasad, którymi kierowaliśmy się początkowo; byliśmy przekonani o słuszności naszej sprawy. Powstawszy z popiołów, zaczęliśmy przygotowywać nasze największe zwycięstwo, zwycięstwo, które miało przynieść nowy światowy lad.

Nadaliśmy temu planowi nazwę „Operacja Raptor".

Ustęp 33 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Lear wystartował w stronę Chicago zaledwie dziesięć minut po otrzymaniu wezwania. Fanning miał rację - zmiana kursu zawiodła ich na wyspę St Simon. Czachowski został odtransportowany do ośrodka, gdzie miano go dokładnie zbadać i wydać diagnozę.

Dwaj agenci spędzili noc na miejscu. W sobotę rano mieli opuścić wyspę i wrócić do swoich domów. Ale rano za pośrednictwem wszczepionych płytek otrzymali nowe wezwanie. Mieli zgłosić się natychmiast.

Justin zdążył zatelefonować do Susan, żeby odwołać wieczorne spotkanie z synem. Odbył z nim krótką rozmowę, wyjaśniając, że wydarzyło się coś nagłego. Susan rzuciła uszczypliwą uwagę o pewnych ludziach, którzy nigdy się nie zmienią. Potem zadzwonił do Barbary i ojca, żeby przenieść na inny termin niedzielne spotkanie. Ojciec był trochę rozczarowany, ale zrozumiał. Barbara jak zwykle nie robiła mu żadnych wymówek.

Dwie minuty po wylądowaniu podjechała po nich limuzyna z przyciemnionymi szybami. Na jej tablicy rejestracyjnej widniał napis AZTEK 1.

- Dzień dobry, panowie - usłyszeli, wsiadając do środka.

Natychmiast rozpoznali ochrypły głos Pegaza. Na tylnym fotelu siedział Honeycut.

To odstępstwo od normalnej procedury bardzo zaniepokoiło Justina. Oznaczało albo kolejną brudną robotę, albo coś jeszcze gorszego. Wszystkie jego zmysły natychmiast znalazły się w stanie pogotowia. Był tylko jeden rodzaj „emerytury", na który miał zamiar przejść.

- Przepraszam, że nie daję wam odpocząć, ale coś się wydarzyło. Obawiam się, że sprawa jest raczej poważna... - zaczął Honeycut.

Przez dłuższą chwilę w samochodzie panowała nerwowa cisza.

- Czy to dotyczy dziennika? - zapytał w końcu Fanning.

- Nie. Dziennika nadal nie odnaleziono. Ale sprawa, z którą się do was zwracam, jest w tej chwili o wiele ważniejsza. Wygląda na to, panowie, że jeden z pracujących w laboratorium SENTINELA naukowców zdecydował się nam wyciąć identyczny numer, jaki Czachowski wyciął Rosjanom. Zabrał ze sobą bardzo cenne informacje. Szczegóły poznamy, kiedy dotrzemy na miejsce przeznaczenia. Na razie, panowie, musi wam wystarczyć to, co sam wiem.

Powtórzył im wszystko, czego się dowiedział. Nie było tego wiele, ale obaj zorientowali się z grubsza, o co chodzi.

O godzinie 15:30 dotarli do kompleksu Korporacji Aztek. Kiedy podjechali bliżej, otworzyły się wielkie drzwi. Po paru sekundach znaleźli się w środku garażu. Drzwi zamknęły się, a potem cała podłoga drgnęła i zaczęła opadać. Zjeżdżali w dół. Przez przyciemnione szyby trudno było cokolwiek dostrzec.

Honeycut zauważył zdziwione miny obu agentów.

- Znajdujemy się teraz w Alphie, panowie. Mieści się tutaj ośrodek badawczo-rozwojowy i główny oddział kompleksu SENTINELA. Tu właśnie powstaje i przechodzi testy większość naszych systemów. Stąd również wymknął się nasz ptaszek.

Winda zatrzymała się i wjechali na podziemny parking, który mógł pomieścić wiele pojazdów. Limuzyna zakręciła o sto osiemdziesiąt stopni i zatrzymała się. Stuknęła zwalniana automatyczna blokada; w chwilę potem drzwi zostały otwarte od zewnątrz. Na parkingu roiło się od uzbrojonych żandarmów.

Justin szybko ocenił sytuację, zwracając przede wszystkim uwagę na liczbę personelu, jego uzbrojenie i możliwe drogi ucieczki. Nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo - odzywała się po prostu jego zawodowa paranoja. Podobnie działo się z Fanningiem. Jego umysł pracował gorączkowo, dokonując podobnych spostrzeżeń i wyliczeń.

Obserwujący bacznie ich twarze Honeycut uśmiechnął się pod wąsem. Wiedział, co się z nimi dzieje. To stanowiło ich drugą naturę - nie ufali nikomu. Dlatego właśnie udało im się wyjść cało ze wszystkich misji. Byli wspaniale wyszkolonymi zwierzętami, których

reakcje od początku do końca wyznaczał instynkt przetrwania. - Tędy, panowie - powiedział.

Ruszyli za nim przez odsuwane czarne drzwi, za którymi mieścił się punkt kontrolny. Zaopatrzony był w takie same urządzenia, jakie znajdowały się przy głównym wejściu.

Pięć minut później, po dopełnieniu koniecznych formalności, ruszyli w ślad za Honeycutem długim, prowadzącym do windy korytarzem. Justin zauważył lasery i ukryte kamery. Na styku ścian i sufitu spostrzegł również prawie niewidoczne dysze wylotowe, a przy podłodze zawory powietrzne. Cały korytarz mógł być w ciągu kilku sekund wypełniony gazem paraliżującym. W podłodze znajdowały się z całą pewnością ukryte przewody, które w razie czego mogły śmiertelnie porazić prądem każdego intruza. Cały kompleks był doskonale zabezpieczony przed ewentualnym atakiem.

Zjechali na trzeci poziom i po przekroczeniu czarnych drzwi ponownie znaleźli się w punkcie kontrolnym. Przepuszczono ich bez przeszkód dalej.

Po przejściu krótkiego biało-czerwonego korytarza weszli do pomieszczenia, na którego drzwiach znajdowała się tabliczka: SALA SEMINARYJNA 2. Było to coś w rodzaju auli ze wznoszącymi się stopniowo półkolistymi rzędami krzeseł. Na dole stało duże czarne biurko, podobne do tych, które znajdowały się w punktach kontrolnych. Na ścianie za nim widniały trzy duże ekrany, również z czarnego, przypominającego szkło tworzywa.

Honeycut dał znak Pielgrzymowi i Borsukowi, żeby usiedli w pierwszym rzędzie, naprzeciwko biurka. Sam zniknął za drzwiami z drugiej strony sali.

Elizabeth czekała na niego w sali konferencyjnej.

- Jak poważna jest sytuacja? - zapytał Honeycut.

- Bardzo poważna - wychrypiała. - Sprawdziliśmy wszystkie tomy. Brakuje dwudziestu czterech schematów. Wystarczą im, żeby skonstruować nowego SENTINELA.

- Wielki Boże! - jęknął Honeycut. - Kim są ci „oni”?

- Prawdopodobnie Sowieci. SENTINEL sprawdził wszystkie przeprowadzone przez Bridgesa w ciągu ostatniego roku operacje komputerowe. Najwyraźniej Ed zaczął szukać potencjalnych klientów już sześć miesięcy temu. Z wyciągu danych, na które zgłosił zapotrzebowanie, wynika, że wyeliminował w końcu wszystkich oprócz Sowietów, Chińczyków i Izraelczyków. Potem jego pytania dotyczące technologii komputerowej ograniczyły się wyłącznie do Sowietów. Starannie odrobił swoją pracę domową - podsumowała Elizabeth.

- Ile czasu zajmie im doprowadzenie drugiego SENTINELA do pełnej zdolności operacyjnej?

Ryerson zastanawiała się przez kilka sekund.

- W ciągu roku powinni podłączyć tradycyjne bazy danych do nośnika pamięci funkcjonalnej. Po trzech latach znajdą się w punkcie, w którym my jesteśmy teraz - odpowiedziała.

- Tak szybko? - zapytał ze zdziwieniem Honeycut.

- Oczywiście - odparła, wzruszając ramionami. - Dostali od razu wszystkie właściwe odpowiedzi.

- Jeszcze niczego nie dostali - mruknął Honeycut.

- To nie wszystko, Irv. Mamy jeszcze jeden problem - dodała Elizabeth.

Kark Honeycuta poczerwieniał.

- To znaczy?

- Akta Operacji Raptor. Bridges je widział.

- Jakim cudem? - zapytał, krztusząc się ze złości.

- Wczoraj mnie tutaj nie było. Mam zapalenie krtani - powiedziała, wskazując na gardło. - Udało mu się w jakiś sposób dostać bez wiedzy Giny do mojego gabinetu. Odnalazł zapasowy klucz do szuflady i skorzystał z okazji. Dokładnie przejrzałam cały skoroszyt. Niczego nie brakuje, ale z całą pewnością wszystko przeczytał.

- Jesteś pewna, że miał w rękach ten skoroszyt?

- Tak. Wydział Drugi odkrył jego odciski palców na moim biurku, kluczu i na skoroszycie.

- Co takiego?! - ryknął Honeycut. - Pozwoliłaś ekipie Wydziału Drugiego przeglądać te akta?

- Skądże znowu. Nie jestem idiotką. Wyjęłam całą zawartość. Dostali tylko pustą okładkę. Ale mogę się założyć, że odciski Eda są również na wszystkich kartkach.

Honeycut łapał powoli oddech.

- Nie przejmuj się, Irv. Nikt oprócz Bridgesa nie dowie się niczego o Operacji Raptor - zapewniła go.

- A co z Wydziałem Drugim? Poddali analizie znalezione w kominku popioły. W dzienniku wspomina się o Operacji w całkiem niedwuznaczny sposób - powiedział Honeycut.

Elizabeth potrząsnęła głową.

- Mieli do czynienia wyłącznie z popiołami. Analizę odzyskanych fragmentów przeprowadził SENTINEL, a jej wyniki zostały natychmiast utajnione. Nikt nie upoważniony nie ma dostępu do tych informacji.

- Chwała Bogu, że w ogóle coś jeszcze kontrolujemy - mruknął z sarkazmem Honeycut. - Jaką część dziennika udało się do tej pory odtworzyć?

- Zakładając, że dostaliśmy wszystkie popioły, około ośmiu procent. SENTINEL ocenia, że powinniśmy zrekonstruować od czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu procent. To dużo, zważywszy, co mieliśmy do dyspozycji. Bez SENTINELA skończyłoby się na tych ośmiu procentach. To bardzo żmudny i powolny proces. Minie parę miesięcy, zanim otrzymamy ostateczny wynik. Ale nie jest to teraz najważniejszy problem...

- To cholernie ważny problem - zaprotestował Honeycut. - Koniecznie musimy mieć to tłumaczenie.

- Zgoda, to również jest problem - odparła kiwając głową Elizabeth - ale taki, z którym możemy sobie poradzić. A tego, co nam zrobił Bridges, możemy nie przetrwać. Jeśli Sowieci przejmą tę

dokumentację, prawie z całą pewnością będzie to oznaczało wojnę, bo tylko ona powstrzyma ich przed zbudowaniem drugiego SENTINELA. A jeśli go zbudują, na marne pójdzie wszystko, nad czym pracowaliśmy. Wszystkie te lata, wszystkie ofiary.

- Nie musisz mi tego powtarzać - przerwał jej Honeycut. - Sam ci to wcześniej mówiłem.

- Więc co robimy, Irv? - zapytała.

- Musimy naturalnie znaleźć Bridgesa. Jakie mamy szanse?

- Szczerze mówiąc niewielkie, chyba że popełni jakiś błąd. SENTINEL kontroluje wszystkie zapisy dotyczące transportu publicznego i prywatnego. Wykonuje w tej chwili pracę tysiąca ludzi. Bridges wyszedł stąd wczoraj o godzinie siedemnastej trzydzieści sześć. Mógł po prostu odjechać, gdzie mu się żywnie podobało. Rozesłaliśmy na cały kraj dane dotyczące jego samochodu. Jeśli nim jedzie, znajdziemy go.

- Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jest już z całą dokumentacją poza krajem - stwierdził Honeycut.

- Nigdzie stąd nie wyjedzie - powiedziała Elizabeth. Honeycut zmarszczył brwi.

- A to dlaczego?

- Uciekł, ale nie wydaje mi się, żeby udało mu się przekroczyć granicę. Oni nie zabiorą go ze sobą. Zadaliśmy to pytanie SENTINELOWI. Odpowiedział, że Rosjanie prawdopodobnie spiszą Bridgesa na straty. Łatwiej przemycić im samą dokumentację. Te schematy zawierają wszystko, czego potrzebują. Mają odpowiednich

ludzi, żeby złożyć to wszystko do kupy. Bridges jest dobry, ale nie aż tak - wyjaśniła Elizabeth.

- Chyba masz rację - mruknął Honeycut. - Ale to pogarsza naszą sytuację.

- Potrzebny nam jest tylko ich pierwszy błąd - powiedziała Elizabeth.

- Cóż, miejmy nadzieję, że go popełnią. Tymczasem mam dla ciebie robotę. Są tutaj Pielgrzym i Borsuk. Czekają, żeby dowiedzieć się, co się wydarzyło. Powinnaś im również udzielić krótkiego kursu na temat SENTINELA.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł, Irv - zaprotestowała Elizabeth. - Nie sądzę, by powinni wiedzieć o SENTINELU więcej, niż już wiedzą. Pewnego dnia może nam to zaszkodzić.

- Wybacz, ale to ja podejmuję tutaj decyzje. Mają odzyskać naszą dokumentację. Może ich to kosztować życie. Chcę, żeby wierzyli w to, co robią, żeby mieli odpowiednią motywację. Twoje informacje mogą mieć decydujące znaczenie, mogą zaważyć na tym, czy poniosą klęskę, czy dadzą z siebie wszystko i odniosą sukces - powiedział. - Chodźmy do nich.

Wstał i ruszył w stronę drzwi. Elizabeth poszła za nim.

Nie podobało jej się to wszystko, ale musiała robić, co jej kazano.

Przed przyjazdem Honeycuta przestudiowała akta osobowe i profile psychologiczne obu agentów. Obaj odznaczali się wysoką

inteligencją. Natomiast z psychologicznego punktu widzenia można ich było określić jako socjopatów i profesjonalnych paranoików. Byli ludźmi w pełni poczytalnymi, ale takimi, którym obce są wszelkie wyrzuty sumienia. Obaj do pewnego stopnia aspołeczni, zwykli realizować swoje cele, nie zwracając uwagi na potrzeby i pragnienia innych. W działaniu kierowali się chłodnym rozsądkiem; w ich motywacji wielką rolę odgrywało pragnienie odniesienia sukcesu. Byli bardzo skuteczni - i piekielnie niebezpieczni. Zabijanie stanowiło ich rzemiosło, rzemiosło, które sprawiało im satysfakcję.

Kiedy Honeycut i Elizabeth weszli do sali seminaryjnej, Pielgrzyma i Borsuka nigdzie nie było widać. Zauważyli ich dopiero po dłuższej chwili. Fanning stał w jednym z górnych rogów, a Justin na dole, dokładnie po przekątnej. Honeycut wybuchnął głośnym śmiechem.

- Panowie, dajcie spokój. Nikt nie zamierza was zaatakować. Proszę, chodźcie tutaj i usiądźcie. Mamy zamiar wzbogacić waszą wiedzę.

Usiedli w pierwszym rzędzie. Elizabeth podeszła do dużego biurka i odwróciła się do nich przodem. Honeycut stanął z boku.

- Przedstawiam wam doktor Elizabeth Ryerson, twórczynię SENTINELA i dyrektora działu naukowo-technicznego całego programu - zwrócił się do dwu agentów. - Doktor Ryerson poinformuje was, co się dokładnie wydarzyło i jakie informacje zaginęły. - Rzucił szybkie spojrzenie Elizabeth. - Udzieli wam

również krótkiego wykładu na temat SENTINELA. Oddaję ci głos, Beth.

- Witam panów - rozpoczęła ochrypłym głosem Elizabeth. -

Ponieważ znacie już panowie moje nazwisko, niepotrzebne są dalsze prezentacje. Zapoznałam się z waszymi aktami personalnymi. Będę starała się streszczać i w miarę możności unikać zbyt wielu terminów technicznych. Jak każdy naukowiec, mam skłonność do niepotrzebnego wdawania się w szczegóły. Jeśli to się zdarzy lub jeśli będziecie mieli panowie jakieś pytania, podnieście po prostu rękę. Obaj kiwnęli głowami.

- Człowiek, którego macie ująć, nazywa się Edward Bridges. - Na jednym z czarnych ekranów za biurkiem natychmiast ukazała się fotografia Bridgesa. Elizabeth odwróciła się lekko w bok, wskazując dłonią zdjęcie. - To on. Przyjrzyjcie mu się dobrze, panowie. Zabrał stąd dwadzieścia cztery schematy. Musicie je odnaleźć. Bridges musi być za wszelką cenę zatrzymany, a dokumentacja odzyskana.

Zamilkła na chwilę, dając im czas na dokładne przyjrzenie się fotografii.

- Teraz opowiem wam krótko o SENTINELU - kontynuowała. - O tym, czym jest i jak funkcjonuje. Pomoże to uświadomić wam, o co toczy się gra. Nie wiem, jaka jest wasza wiedza na temat komputerów, więc spróbuję to ująć w możliwie najprostszy sposób.

Przerwała, spoglądając na Justina, który podniósł nagle rękę. Skinęła w jego stronę głową.

- Zanim powie pani coś więcej, chciałbym, jeśli można, zamienić kilka słów z Pegazem - oświadczył Pielgrzym.

Elizabeth spojrzała na Honeycuta. Ten podniósł brwi i wzruszył ramionami.

- Mów śmiało - powiedział.

- Chciałbym porozmawiać z panem na osobności - odparł Justin.

Honeycut zastanawiał się przez kilka sekund, próbując się domyślić, o co może chodzić Pielgrzymowi.

- W porządku, chodź ze mną - mruknął w końcu.

Dwaj mężczyźni weszli do sali, w której wcześniej spotkali się Honeycut i Elizabeth. Automatyczne drzwi zamknęły się za nimi.

Honeycut przyglądał się Justinowi przez kilka chwil. Wyczuwał jego zdenerwowanie.

- Co cię gnębi, synu? - zapytał w końcu cichym głosem. Jego pełen zrozumienia ton zaskoczył Justina. Nie spodziewał się tego po Pegazie.

- Ja... to znaczy... - Nie wiedział, od czego zacząć. - Chodzi o to, że jeśli doktor Ryerson ma zamiar wyjawić nam jakieś ściśle tajne informacje, to nie chcę ich słyszeć. Uważam, że nie powinienem ich słyszeć - wyrzucił z siebie w końcu, zażenowany tak niefortunnym startem.Słowa Justina wyprowadziły Honeycuta z równowagi.

- Znajdujesz się w sercu najbardziej tajnego ośrodka rządowego, jaki kiedykolwiek istniał w tym kraju. Nie sądzisz, że trochę się spóźniłeś ze swoim oświadczeniem? Ale zanim posuniemy się dalej,

może zdradzisz mi, dlaczego masz taką awersję do ściśle tajnych informacji.

- Ja... to znaczy... do diabła, nie da się tego powiedzieć inaczej. - Justin spojrzał Honeycutowi prosto w oczy. - Chcę odejść z agencji.

Honeycut poczerwieniał, odwrócił wzrok i usiadł przy długim konferencyjnym stole.

- Chodź tutaj, Justinie - polecił łagodnie.

Zaskoczyło Justina, że zwrócił się do niego po imieniu. Po raz pierwszy usłyszał swoje imię z ust Pegaza. Podszedł do stołu i usiadł naprzeciwko szefa.

- W porządku, mów, co ci leży na wątrobie - powiedział Honeycut. - Dlaczego chcesz odejść z agencji?

- To nie była łatwa decyzja. Przyczyny są wyłącznie osobistej natury. Nie chcę, żeby pan pomyślał, że próbuję się jakoś wycofać z tego zadania. Zamierzałem złożyć rezygnację po jego wykonaniu. Jestem to winien agencji i osobiście panu. Ale uważam, że nie powinienem się tutaj dowiadywać niczego, co uniemożliwiłoby potem moje odejście. Sądzę więc, że najlepiej będzie, jeśli to, co mieliście zamiar powiedzieć nam obu, powiecie tylko Tedowi. Dopóki nie dostaniemy w swoje ręce Bridgesa i nie odzyskamy skradzionej dokumentacji, będę po prostu wykonywał jego polecenia.

- Poczekaj chwilę, synu - przerwał mu Honeycut. - Może o tym nie wiesz, ale sztuka porozumiewania się pomiędzy ludźmi polega w połowie na umiejętności słuchania. A nie sądzę, żebyś uważnie

wysłuchał mojego pytania. Zapytałem cię, dlaczego chcesz odejść z agencji, i wciąż czekam, żebyś mi to wyjaśnił.

Justin przez chwilę zbierał myśli.

- Dobrze, powiem panu, o co chodzi. Od czasu, kiedy wstąpiłem przed czterema laty do agencji, moje życie zupełnie się zmieniło. Patrzyłem, jak wszystko wokół mnie rozpada się w gruzy. Moje małżeństwo rozsypało się i zakończyło rozwodem. Stało się to w dużej części z mojej winy. Ale miało to również wiele wspólnego z moją pracą w agencji, z tym, co robię. Nigdy nie było mnie w domu, nie miałem odpowiedniego kontaktu z żoną i synem. Nigdy nie potrafiłem im też wyjaśnić przyczyn mojej nieobecności. Nie wiem, może moja wina polegała na tym, że nie potrafiłem dobrze kłamać. Tak czy owak, doprowadziło to do bardzo napiętej sytuacji w mojej rodzinie. W dodatku charakter tej pracy spowodował, że... bardzo się zmieniłem. Może to właśnie jest najważniejszym powodem: to, jaki wpływ wywarła praca w agencji na moją osobowość. Zmieniła mnie tak bardzo, że czasami sam siebie nie poznaję. Odkryłem w sobie ciemną stronę, której przedtem we mnie nie było. Zresztą nie wiem, może tkwiła ukryta gdzieś głęboko. Ale teraz ujawniła się i zaczęła dominować, aż w końcu stałem się kimś zupełnie innym. Doprowadziłem moją żonę do desperacji i sam odsunąłem od siebie wszystko, co było dotąd ważne w moim życiu. Odsunąłem tak daleko, że teraz nie jestem w stanie tego odzyskać... Pielgrzym westchnął cicho.

- Podczas szkolenia uczono nas zabijania i uprzedzono, że któregoś dnia być może będziemy musieli to zrobić. Nauczyli nas mnóstwa rzeczy, ale nigdy nie powiedziano, co ta praca może zrobić z człowiekiem, jak może go pochłonąć i zmienić. Rozumiałem to, co mówili o zabijaniu, to, że może się ono okazać konieczne, że trzeba czasem zabić, żeby samemu ujść z życiem. I muszę przyznać, że nauczyli nas tego bardzo dobrze. Tak dobrze, że kiedy po raz pierwszy pozbawiłem kogoś życia, stała się rzecz najgorsza ze wszystkich. W ogóle mnie to nie poruszyło. Nie chcę, żeby ta profesja zawładnęła mną bez reszty. Nie chcę, żeby mnie pochłonęła. Nie chcę dla niej ani przez nią umierać. Mam zamiar uratować ze swego życia wszystko, co da się jeszcze uratować. Chcę być dobrym ojcem dla mego syna i dobrym mężem dla kobiety, której potrafię coś z siebie dać. Czy rozumie pan, co próbuję powiedzieć? - zapytał milczącego Honeycuta.

Ten kiwnął głową.

- Tak, rozumiem - odparł, spoglądając na młodego mężczyznę. Potrafił go zrozumieć, ale wiedział zarazem, że było już za późno. Nie było powrotu z ciemności.

- Wiemy, co stało się z twoim małżeństwem, wiemy o Michaelu i Barbarze. Wiemy o poczuciu winy, które cię gnębi, bo nie przebywasz dość często z synem. Wiemy o tobie dużo, Justinie. Obchodzi nas, co się z tobą dzieje. Możemy ci pomóc i pomożemy. Obiecuję ci to. Ale teraz chcę, żebyś wysłuchał bardzo uważnie tego, co ci powiem. Możesz to zrobić? - zapytał Honeycut.

Justin kiwnął głową.

- Nasza agencja ma do spełnienia bardzo ważne zadanie. Chronimy interesy SENTINELA, a on z kolei chroni interesy tego kraju i pozwala utrzymać światowy pokój. Rozsiani po całym globie agenci pilnują, żeby to zadanie zostało wykonane. Nie jest ono łatwe. Wymaga wielkiego wysiłku i poświęcenia. Wszyscy oddajemy jakąś cząstkę samych siebie, wykonując tę pracę. Ktoś musi to zrobić. Musimy to robić - ty, ja, Ted Fanning, Spartanin, doktor Ryerson i wiele innych osób - bo to konieczne. Bez tego świat, w którym żyjemy i w którym żyje twój syn i inne dzieci, mógłby nagle przestaćistnieć. Wybraliśmy do tej pracy najzdolniejszych. A ze wszystkich tych ludzi ty i Ted Fanning jesteście najlepsi. Dlatego chcę, żebyś odłożył na jakiś czas swoją rezygnację... Kiedy ta misja się zakończy, dostaniesz długi płatny urlop. Dwa... nie, trzy miesiące. Wykorzystasz ten czas, żeby wziąć się w garść i zastanowić nad tym, co za chwilę usłyszysz. Możesz jechać, gdzie chcesz, robić, co chcesz, możesz zabrać Barbarę i Michaela w rejs dookoła świata... Płacimy wszystkie twoje rachunki. A potem, kiedy wrócisz i uznasz, że jesteś gotów, zgłosisz się ponownie do Alphy i porozmawiamy. Powiem już teraz, że mam zamiar zaproponować ci nową pracę: stanowisko dyrektora służby bezpieczeństwa SENTINELA oraz mojego bezpośredniego asystenta we wszystkich sprawach dotyczących bezpieczeństwa i wywiadu.

Milczał przez chwilę, po czym dodał:

- To będzie oznaczało koniec ciągłych podróży, z wyjątkiem przejażdżki raz na jakiś czas do Waszyngtonu i innych biur

terenowych. Nie będzie więcej akcji specjalnych. Będziesz miał tyle czasu dla Barbary i swojego syna, ile tylko zapragniesz. Podwoi się również twoje wynagrodzenie, dzięki czemu będziesz mógł żyć na odpowiednio wysokim poziomie. Zapewnimy ci także wiarygodny kamuflaż, żeby nikt nie zastanawiał się, z czego czerpiesz swoje dochody.

Justin nie wiedział, co ma powiedzieć. Nie wierzył własnym uszom.

- Nie potrzebuję niczyjej zgody, żeby złożyć ci tę ofertę, możesz więc uważać ją za pewną. W sprawach dotyczących SENTINELA podlegam bezpośrednio prezydentowi, a on z pewnością ucieszy się na wieść o tym, że obowiązki szefa ochrony przejął ktoś, kto posiada kwalifikacje lepsze od moich. To stanowisko wymaga bowiem wiedzy, którą zdobywa się wyłącznie podczas pracy w terenie. Powiedziałem ci o tym, ponieważ wierzę, że wszystko to pozostanie w obrębie tych czterech ścian. Gdybym nie miał do ciebie zaufania, zachowałbym milczenie. Czułem jednak, że powinieneś wiedzieć. Jeśli przyjmiesz moją ofertę, będziesz miał okazję dowiedzieć się więcej o SENTINELU - zakończył z uśmiechem Honeycut.

Justin uśmiechnął się także i kiwnął głową.

- Nie chcę, żebyś odpowiadał mi teraz - ciągnął Honeycut. - Zaczekaj do końca wakacji. Będziesz miał mnóstwo czasu na przemyślenie wszystkiego. Jeżeli po tych trzech miesiącach będziesz nadal chciał złożyć rezygnację, przyjmę ją. Twoja płytka łącznościowa zostanie zdezaktywowana i będziesz mógł robić, co

chcesz. Pomożemy ci przy starcie. Czy to nie uczciwe postawienie sprawy?

Justin wciąż był oszołomiony. Zgodził się odłożyć swoją rezygnację, tak jak tego chciał Honeycut.

- W takim razie osiągnęliśmy porozumienie - powiedział Honeycut, wstając i ściskając mocno jego dłoń. - A teraz wróćmy na salę seminaryjną, żeby wysłuchać, co ma nam do powiedzenia doktor Ryerson. Nie musisz się martwić, że to, czego się dowiesz, uniemożliwi ci potem odejście z agencji, jeśli oczywiście wciąż się będziesz przy tym upierał. SENTINEL sprawdził cię i uznał, że można ci powierzyć tę informację. A teraz chodźmy do Beth i Teda - podsumował, kładąc Pielgrzymowi dłoń na ramieniu.

Lubił Justina i miał zamiar dotrzymać wszystkich obietnic. Do ludzi takich jak on należał świat. Pegaz bardzo chciał, żeby Justin przyjął jego ofertę. Nowy świat będzie potrzebował ludzi jego pokroju.

Rozdział 20

I znowu wojna obróciła Niemcy w ruinę; naród obciążono zbiorową odpowiedzialnością za zbrodnie, a zniszczoną przez działania wojenne gospodarkę zduszono narzuconymi przez zwycięskie narody reparacjami.

Do pewnego stopnia byliśmy rzeczywiście winni - ponieważ ponieśliśmy klęskę. Ludzie dzierżący w ręku nieograniczoną,

niekontrolowaną władzę stają się często sadystami. Zwycięzcy wskazywali na popełnione przez nas zbrodnie, zapominając o swoich własnych - tak jakby ich w ogóle nie było. Obozy koncentracyjne stały się sztandarowym przykładem naszego zła. Oni także organizowali obozy, ale próżno szukać w podręcznikach historii ich nazw, opisów popełnionych zbrodni i listy niewinnych ofiar.

Ustęp 35 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

- Będziemy musieli odłożyć na później nasz mały wykład - oznajmiła Elizabeth Ryerson, kiedy Honeycut pojawił się wraz z Justinem w drzwiach sali seminaryjnej. - Zlokalizowaliśmy Bridgesa.

- Gdzie? - zapytał podekscytowany Honeycut.

- W South Beloit, w hotelu Holiday Inn - odpowiedziała.

- Od kiedy tam jest?

- Od wczoraj, od wpół do pierwszej w nocy. Popełnił błąd, dzięki temu go odnaleźliśmy. SENTINEL odkrył jego nazwisko w komputerze Avisa przy sprawdzaniu agencji wynajmu samochodów. Samochód został odebrany na 0'Hare. SENTINEL odkrył także, że własny samochód Bridgesa stoi na parkingu lotniska. Każdy pozostawiony tam po północy wóz jest spisywany i wciągany do ewidencji komputerowej. Ale dysponując wyłącznie tą informacją - kontynuowała Elizabeth - bylibyśmy nadal w lesie. Bridges mógł wsiąść do jakiegokolwiek samolotu podając dowolne nazwisko i płacąc gotówką za bilet. Nigdy byśmy go nie odnaleźli. Wynajmując

samochód w Avisie musiał jednak pokazać ważne prawo jazdy. W tym momencie popełnił błąd. SENTINEL sprawdził szybko komputer agencji, ustalając datę i godzinę rezerwacji. Bridges podał fałszywy adres i telefon w Nowym Jorku. Po odrzuceniu numeru kierunkowego dwieście dwanaście okazało się, że jest to numer publicznego automatu w jego własnym bloku. Kilka minut później Bridges zadzwonił z tego samego automatu do South Beloit. Nie zapłacił za przekroczony czas rozmowy, dzięki czemu łatwo było dowiedzieć się, dokąd dzwonił. Ustaliliśmy, że zameldował się w Holiday Inn - ciągnęła Elizabeth. - Numery rejestracyjne samochodu, którym przyjechał, zgadzają się z tymi, które podała agencja wynajmu. Wynajął pod swoim własnym nazwiskiem pokój na trzy noce. Wykonaliśmy pomyłkowy telefon do jego pokoju i analiza głosu potwierdziła, że Bridges znajdował się tam jeszcze dwie minuty temu. Znaleźliśmy go, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Zanim Honeycut zdążył coś powiedzieć, Elizabeth dodała:

- Jest jeszcze coś. SENTINEL prześledził wszystkie częstotliwości policyjne i wychwycił pewną interesującą informację. Dziś rano doszło do morderstwa na lotnisku 0’Hare. Na pokładzie samolotu, który przyleciał do Chicago z Newark, został zabity człowiek o nazwisku Carson Ross. Sposób zabójstwa był bardzo wyszukany. Ale jeszcze ciekawszy jest fakt, że jego nazwisko figuruje w naszym rejestrze i podane zostało ponad miesiąc temu Bridgesowi w odpowiedzi na jego pytanie. Prawdopodobnie Ross był sowieckim

informatorem. On i Bridges należeli do tego samego klubu. Pewnie to z nim Bridges miał nawiązać pierwszy kontakt.

Honeycut zaczął błyskawicznie analizować sytuację. Była 16:40.

- Jak daleko stąd do South Beloit? - zapytał.

- Dziewięćdziesiąt pięć mil - odparła Elizabeth.

- Hm... mogę tu mieć helikopter za mniej więcej piętnaście minut - powiedział. - To oznacza, że będziemy tam w ciągu godziny. Jeśli nie doszło jeszcze do nawiązania kontaktu, możemy ich wszystkich zgarnąć. O której godzinie został zabity ten Ross? - zapytał.

- Zwłoki odkryto zaraz po wylądowaniu w Chicago i wyjściu pasażerów z samolotu. Dokładnie o dziewiątej zero cztery. FBI zatrzymało samolot w hangarze TWA, żeby przeprowadzić oględziny - poinformowała go Elizabeth.

- Dziewiąta zero cztery - powtórzył Honeycut, kręcąc głową. - Nie spodziewają się, że odkryjemy zniknięcie Bridgesa i dokumentacji wcześniej niż w poniedziałek rano. Są przekonani, że mają do dyspozycji co najmniej dwie i pół doby. Wyślij tam ekipę Wydziału Drugiego. Załatw im karty identyfikacyjne FBI i ten sam co zwykle kamuflaż. Chcę mieć wszystko, co odkryją. Zdobądź dla mnie także wyniki autopsji. I zacznij ściągać do Alphy wszystkich będących aktualnie do dyspozycji agentów SENTINELA. Musimy zneutralizować Bridgesa i jego wspólników w South Beloit. Jeśli wydostaną się z kraju, wszystko stracone. Idę teraz do zbrojowni, żeby zorganizować trochę specjalnego sprzętu dla naszych chłopców.

Zamówię także helikopter. Wykorzystaj ten czas, żeby zapoznać ich z tym, o czym ci mówiłem. SENTINEL da wam znać, kiedy będę gotowy - powiedział.

Sekundę później już go nie było.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Dlaczego wszystkim osobom, które mają dostęp do zastrzeżonych materiałów, nie wszczepiono po prostu płytki łącznościowej? - zapytał w końcu Justin. - Dzięki temu o wiele łatwiej byłoby ich odszukać, gdyby zaszła taka konieczność. I dlaczego arkusze ze schematami nie zawierały włókien magnetycznych?

Elizabeth nie miała zamiaru dać się pouczać Justinowi. Wystarczająco przykre było to, że musiała opowiedzieć im o ukochanym dziecku swego intelektu; nie musiała wcale wysłuchiwać uwag podwładnego, którego jedynym życiowym powołaniem było zadawanie innym nagłej śmierci. Przez krótką chwilę patrzyła na Justina.

- Nie chciałam, żeby personel ośrodka pracował w atmosferze totalnej podejrzliwości - odparła szorstko. - Wzajemne zaufanie sprawia, że praca staje się bardziej efektywna.

Trele-morele, pomyślał Justin. W jego słowniku nie istniało takie słowo jak zaufanie. Tam, gdzie chodziło o to, by przeżyć, nie było dla niego miejsca. Nie powinno być także dla niego miejsca w takim jak ten ośrodku.

- Arkusze nie zostały namagnetyzowane, ponieważ dostęp do nich mieliśmy tylko ja i doktor Bridges. Nie przewidzieliśmy, że

jedno z nas spróbuje któregoś dnia je ukraść - wyjaśniła. - Ale w najbliższej przyszłości zamierzamy wprowadzić w życie wszystkie niezbędne środki zabezpieczające.

- Trochę to wszystko spóźnione - mruknął Fanning.

- Ponieważ mamy bardzo mało czasu, proponuję, panowie, żebyśmy od razu przeszli do rzeczy - kontynuowała Elizabeth, ignorując jego uwagę. - Postaram się maksymalnie streszczać i unikać terminów technicznych. Powinniście wyrobić sobie ogólne zdanie na temat tego, czym jest SENTINEL i jak funkcjonuje.

Przerwała na kilka sekund, zastanawiając się, od czego zacząć i jak najlepiej skondensować informacje, które miała podać.

- Zacznę może od struktury pamięci - oznajmiła w końcu. - Ponieważ stanowi ona podstawę SENTINELA, winna wam jestem krótki wstęp. Struktura ta jest całkowicie unikalna, zarówno jeśli chodzi o skład, jak i funkcję. Niczego podobnego nie ma na całym świecie.

Zaczęliśmy od pamięci płynnej lub, jeśli wolicie, zbiornika pamięci. Z funkcjonalnego punktu widzenia biła ona na głowę wszelkie dotychczasowe systemy. Mogliśmy magazynować w niej więcej danych i przetwarzać je szybciej niż w większości najnowocześniejszych komputerów. Płynna kompozycja okazała się jednak niepraktyczna ze względu na problemy z utrzymaniem jej integralności. Plazma miała charakter prawie biologiczny i zbyt wiele czynników wpływało na jej stabilność. Odkryliśmy, że jest podatna na działanie mikroorganizmów, i zmuszeni byliśmy zachowywać ściśle

określone parametry fizyczne i chemiczne. Najmniejsze ich zachwianie powodowało natychmiastowe załamanie się integralności plazmy. Skonstruowaliśmy bardzo skomplikowane komory, które pomagały zachować owe parametry, ale na dłuższą metę nośnik tego rodzaju nie wydawał się obiecujący. Mimo to funkcjonował lepiej od wszystkiego, z czym do tamtej pory eksperymentowaliśmy, doprowadziliśmy go więc do pełnej zdolności operacyjnej, mając nadzieję, że uda nam się jakoś rozwiązać ten problem w przyszłości.

Po czterech miesiącach od uruchomienia systemu, podczas testowania nowej komory wydarzył się bardzo, jak się okazało, szczęśliwy wypadek. W jednej z testowanych komór doszło do małego wybuchu. Nikt nie ucierpiał, ale mieliśmy dosyć znaczne zniszczenia i straciliśmy między innymi trzy litry nośnika. Sprzątając cały bałagan, odkryliśmy kilka małych kryształków. Bardzo nas to zdziwiło, ponieważ nie sądziliśmy, żeby krystalizacja naszego podobnego do bulionu roztworu była możliwa. Natychmiast poddaliśmy kryształki analizie i okazało się, że skład jest identyczny. Były w nich wszystkie elementy, z których składał się roztwór, na dodatek uporządkowane. Kryształy odziedziczyły wszystkie cechy roztworu.

Zbadaliśmy małe fragmenty przy użyciu krystalografii rentgenowskiej, przekazując dane bezpośrednio do naszego systemu operacyjnego. Na ich podstawie komputer ustalił strukturę i metodę syntezy. Następnie w ściśle kontrolowanych warunkach uzyskaliśmy większą liczbę kryształów i ponownie poddaliśmy je testom. Nie tylko

wykonywały wszystkie funkcje płynnego nośnika, ale wykazywały nad nim zdecydowaną wyższość, i to pod każdym względem. Dzięki ich skondensowanej strukturze mogliśmy zmagazynować o wiele więcej danych w tej samej jednostce pojemności, a także szybciej je przetwarzać. W przeciwieństwie do płynnego roztworu nie było żadnych problemów z zachowaniem integralności kryształów. Były wprost idealne.

Następnie uzyskaliśmy dużą masę krystaliczną o objętości ośmiustóp sześciennych. Przetestowaliśmy ją i po przekonaniu się, że funkcjonuje w sposób właściwy, zaczęliśmy przenosić do niej dane z płynnej pamięci. Ale po dokonaniu transferu pamięć krystaliczna nie chciała funkcjonować. Przez dziesięć dni trwała jakby w uśpieniu, nie odpowiadając na żadne z naszych pytań. Mieliśmy już zamiar dać za wygraną, kiedy nagle monitor rozświetlił się sam, bez żadnego udziału z naszej strony. Komputer wysłał swój pierwszy komunikat. Było to proste działanie: jeden plus jeden równa się dwa. Pięć minut później wysłał następne: dwa plus dwa równa się cztery. A potem kolejne i znowu kolejne, każde pojawiające się szybciej od poprzedniego. Uruchomiliśmy urządzenia rejestrujące i postanowiliśmy, że pozwolimy mu działać i będziemy obserwować, do jakich dojdzie rezultatów. W ciągu jednego dnia wykroczył poza granice naszej wiedzy matematycznej. Pracował tak szybko, że nie nadążaliśmy z rejestracją danych. Przekroczył dane, które umieściliśmy w jego pamięci. Zaczął myśleć.

Justin poczuł chodzące mu po plecach ciarki. Elizabeth dodała:

- Wiem, co chcecie powiedzieć, panowie: komputer nie potrafi przecież myśleć. Wprawdzie czasem najnowocześniejsze komputery sprawiają takie wrażenie, ale w gruncie rzeczy przetwarzają tylko dane, wypełniając określone instrukcje i korzystając z danych, które wcześniej zostały umieszczone w ich pamięci. Wykonują w ciągu kilku sekund zadania, jakie całemu zespołowi ludzi zajęłyby kilka lat, nigdy jednak nie wykraczają ponad to, co jest w nich zmagazynowane. Manipulują po prostu danymi, szukając właściwych odpowiedzi na zadawane im pytania. Możecie więc sobie wyobrazić entuzjazm, który nas ogarnął, kiedy nasz komputer zaczął w racjonalny i twórczy sposób myśleć. Wyposażyliśmy go w całą wiedzę, jaką człowiek zgromadził w ciągu stuleci swego istnienia, każde utrwalone w piśmie słowo, każdą myśl. Przewyższył zdolności nas wszystkich, i to w stopniu, do którego sami się niechętnie przyznawaliśmy. Stworzyliśmy prawdziwy intelekt.

W oczach Elizabeth zapaliły się iskierki podniecenia.

- Z początku był jak dziecko. Przez dziesięć dni zastanawiał się nad danymi, których mu dostarczyliśmy, bawił się nimi, próbując dociec, co ma z nimi począć. A potem, kiedy nabrał śmiałości, wysłał nam komunikat „jeden plus jeden równa się dwa”, najbardziej podstawową formułę matematyczną. Czekał, żeby się zorientować, jaka będzie nasza odpowiedź. Kiedy upewnił się, że ma rację, wysłał kolejny komunikat, a potem następny i znowu następny, nabierając przez cały czas coraz większej pewności siebie. Wkrótce przekonał się, jaka jest skala jego możliwości, i zwolnił, przystosowując się do

naszego poziomu. Wtedy właśnie nadał swój pierwszy niematematyczny komunikat. Brzmiał on: „Ja jestem alfa i omega, pierwszy i ostatni, początek i koniec”. Być może rozpoznajecie panowie ten cytat. Pochodzi on z Biblii, z Apokalipsy świętego Jana.

Obdarzenie go elektronicznym głosem było całkiem proste. Musiał jednak nauczyć się mówić jak człowiek. Nie miał doświadczeń, z których mógłby korzystać. Nigdy nie słyszał, jak brzmi spółgłoska albo samogłoska. Z początku robił zabawne błędy. Ale uczył się bardzo szybko. A kiedy nauczył się już mówić, wybrał własny tembr głosu i dostosował do niego swój aparat akustyczny. To właśnie jest głos, który słyszycie od paru lat, głos, który przedstawia się jako ośrodek kontrolny SENTINELA. W rzeczywistości nie ma żadnego ośrodka kontrolnego SENTINELA. Jest tylko SENTINEL... czysty intelekt.

Dwaj agenci siedzieli osłupiali - przez cały ten czas przemawiał do nich komputer, a nie żywy człowiek.

- Teraz, panowie, jeśli nie macie uwag do tego, co powiedziałam, możemy przejść do dalszego ciągu - oznajmiła Elizabeth.

Obaj byli w stanie tylko kiwnąć głowami.

Ryerson przystąpiła do dalszego ciągu wykładu, zerkając jednym okiem na zegar. Wyjaśniła, w jaki sposób funkcjonuje system sensorów, które stały się oczyma i uszami SENTINELA, i jak dzięki rozmieszczeniu ich w każdym zakątku globu może obserwować cały świat. Powiedziała o systemach ochrony sensorów, które

zabezpieczają je przed wykryciem przez inne czujniki, napomknęła o olbrzymich możliwościach obronnych SENTINELA i o tym, w jaki sposób chroni cały kraj. Przedstawiła potężną, pozostającą do jego dyspozycji siłę rażenia i środki, za pomocą których może zniszczyć źródła energii i systemy łączności przeciwnika. Obaj mężczyźni byli wstrząśnięci i przejęci grozą.

- Przykro mi, ale brakuje nam czasu, by kontynuować ten wątek - skłamała Elizabeth.

Cóż można powiedzieć więcej? - pomyślał Justin.

- Zresztą i tak nie zrozumielibyście większości wykładu - stwierdziła protekcjonalnym tonem. - Ale to, co usłyszeliście do tej pory, pozwoli wam wyrobić sobie pogląd, czym jest SENTINEL i co reprezentuje. Rozumiecie już chyba, dlaczego musimy zachować jego istnienie w tajemnicy i strzec tej tajemnicy wszystkimi dostępnymi środkami. Nie wykorzystujemy SENTINELA jako broni ofensywnej, ale mogą to zrobić nasi przeciwnicy. Dlatego właśnie musimy odzyskać tę dokumentację. Bezpieczeństwo tego kraju i całego świata opiera się na sile SENTINELA, sile, którą posiadać może tylko jedno państwo.

Justin poruszył się niespokojnie na krześle.

- To brzmi jak horror pomieszany z science fiction - stwierdził. - Nie podoba mi się w tym jedna rzecz. Komputer obdarzony takimi możliwościami może zechcieć przejąć władzę... Kto zdoła go przed tym powstrzymać?

Elizabeth roześmiała się.

- To nie żadna science fiction, to rzeczywistość. Co się tyczy zagrożenia, o którym pan wspomina, zostało ono w prosty sposób wyeliminowane. Nigdy nie straciliśmy z oczu tej ewentualności. W powieściach science fiction zapomniano o pewnej bardzo prostej rzeczy. Jest nią wyłącznik. My o tym nie zapomnieliśmy. SENTINEL może zostać wyłączony przez każdego, kto wie, jak to zrobić. Jest to dość proste. Po odcięciu pamięci krystalicznej, pozostałe banki pamięci będą funkcjonować dalej jak normalne systemy komputerowe. Dzięki dokonanym w nich przez SENTINELA udoskonaleniom będą oczywiście o wiele bardziej nowoczesne od innych komputerów, to my jednak, a nie SENTINEL, będziemy sprawować nad nimi kontrolę. Ale próba odłączenia go przez osobę niepowołaną jest praktycznie niemożliwa. SENTINEL obroni się z łatwością, sprawiając przykrą niespodziankę ewentualnym intruzom.

Nie mamy się jednak czego obawiać z jego strony. To naprawdę czysty intelekt. Obca mu jest chciwość i inne zbrodnicze instynkty; niepotrzebna mu władza ani bogactwo. Istnieje po to, żeby służyć człowiekowi. W tym celu został stworzony i pilnujemy, żeby taki właśnie miał charakter. Ale kiedy SENTINEL zostanie zbudowany w innym kraju, jego konstruktorzy mogą nie zachować koniecznej ostrożności; zwłaszcza jeśli będą się spieszyli, żeby nas dogonić. Temu właśnie powinniście panowie zapobiec - podsumowała Elizabeth.

- W jaki sposób można powstrzymać kogoś przed zwyczajnym odłączeniem energii? - zapytał Fanning. - Nie trzeba szukać wyłącznika, wystarczy wyciągnąć sznur z gniazdka.

- To niemożliwe - odparła Elizabeth. - Po pierwsze, ten ktoś nie zdoła odnaleźć SENTINELA. Tutaj go nie ma. W Alphie mieści się tylko jeden z jego siedmiu oddziałów. SENTINEL może działać niezależnie od nich, tak więc nawet gdyby wszystkie zostały zniszczone, co jest raczej nieprawdopodobne, nadal będzie w stanie bronić kraju. Zaopatrujące go niezależne źródła energii zlokalizowane są w tym miejscu, w którym zainstalowany został sam SENTINEL. Gdzie to jest, nie wiedzą nawet w Pentagonie. Komputer mieści się w komorze, skonstruowanej pierwotnie w celu przechowywania odpadów radioaktywnych, głęboko we wnętrzu jakiejś bezimiennej góry. Nawet technicy pracujący przy instalacji nie wiedzieli dokładnie, gdzie się znajdują. W Górach Skalistych jest ponad sto takich komór. Istnieje także dodatkowe źródło energii, którego nikt nigdy nie zdoła odłączyć, nawet gdyby udało się zniszczyć pozostałe. To Słońce. SENTINEL zaprojektował supernowoczesne konwertery i wzmacniacze energii słonecznej, które zamontowane są na obiegających Ziemię satelitach. Pobierają one energię słoneczną, transformują ją, kondensują, po czym przesyłają do specjalnych odbiorników.

- Dlaczego ktoś nie mógłby zestrzelić tych satelitów? - zapytał Justin.

- Mają system osłony sensorów - odparła Elizabeth. - Nie można ich nawet wykryć, nie mówiąc już o śledzeniu. Posługujemy się specjalnym systemem monitoringu, żeby śledzić ich tor i utrzymywać z nimi ciągłą łączność. Używamy sygnału, który jest w istocie spolaryzowanym promieniem światła. Taki sygnał może przyjąć tylko specjalnie zaprojektowany odbiornik. Nawet gdyby komuś udało się go skonstruować, co jest mało prawdopodobne, nie będzie mógł zlokalizować na stałe nadajnika. Częstotliwości zmieniają się co jedną pięćdziesiątą część sekundy. Ostatni odcinek każdej transmisji informuje odbiorcę, na której częstotliwości pojawi się kolejny, trwający jedną pięćdziesiątą sekundy interwał. Do odbioru potrzeba zatem również dekodera. Jest niepodobieństwem, aby ktoś zdołał zbudować zarówno odbiornik, jak i dekoder, nie dysponując inteligencją SENTINELA - wyjaśniła Elizabeth.

- Jedna pięćdziesiąta sekundy? Ile można przesłać w ciągu tak krótkiego czasu? - zapytał Justin.

- Zagęszczony maksymalnie sygnał może pomieścić zawartość całej Biblii - odparła Elizabeth.

Justina zaczęła boleć głowa. Przestał nadążać za treścią wykładu. W tej samej chwili na konsoli SENTINELA zapaliło się światełko.

- Panowie - odezwał się cichy głos. - Możecie teraz przejść do zbrojowni. Wszystko jest tam dla was przygotowane. Przykro mi, że musieliście czekać.

Słysząc ten głos Justin poczuł, że robi mu się nieswojo. Brzmiał tak naturalnie - jak głos człowieka.

- W porządku, SENTINEL - powiedziała Elizabeth. - Właśnie skończyliśmy. Zaraz tam będą.

Światełko zgasło.

- Dziękuję, że poświęciliście mi panowie czas i uwagę. Traficie do zbrojowni, skręcając stąd w lewo, a potem w pierwszy korytarz w prawo. To pokój numer trzysta czterdzieści cztery. Na drzwiach wisi tabliczka z napisem.

Dwaj mężczyźni wstali z krzeseł i ruszyli do drzwi. Justin przepuścił Fanninga przodem, po czym zawrócił i podszedł do Elizabeth. Podał jej rękę.

- Dziękuję bardzo, doktor Ryerson - powiedział. Spojrzał prosto w osłonięte okularami, przenikliwe oczy. Krył się w nich prawdziwy geniusz.

- Nie ma za co - odparła Elizabeth, ujmując jego dłoń. Przeszył ją krótki, gorący prąd. Coś w tym człowieku naruszyło jej barierę nieufności wobec mężczyzn. Stał przed nią zabójca. Myśliwy. Wcielenie najbardziej agresywnej męskości. Pogardzała nim, ale mimo to...

- Nie ma za co - powtórzyła, próbując opanować rumieniec, który pojawił się na jej twarzy. - Powinien pan już iść do zbrojowni. Pegaz czeka na pana.

Justin przytrzymał przez chwilę miękką, ciepłą dłoń. Doktor Ryerson była atrakcyjną kobietą. Ale w jej oczach nie było ciepła. Puścił jej rękę i ruszył w stronę drzwi, żeby dogonić Fanninga.

Rozdział 21

Obciążanie nas zbiorową odpowiedzialnością stanowiło jednocześnie nasze przekleństwo i błogosławieństwo. Stworzyło więź, która połączyła ocalałych z katastrofy. Nasza sprawa nigdy nie umarła.

Najlepsi spośród nas padli w boju, zginął kwiat naszej młodzieży. Ale aryjskie ziarno nie zostało skruszone. Dało początek kolejnej rasie zwycięzców, która spełni nasze zniweczone marzenia. Miną dwa, trzy pokolenia i wszystko rozpocznie się od nowa. Miną następne dwa i ludzie będą gotowi pójść za nowym przywódcą, nowym Fuhrerem.

Ustęp 36 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa.*

Whisky pociekła po zewnętrznej stronie szklanki i po dłoni Edwarda Bridgesa.

- Cholera! - zaklął, sięgając po ręcznik. Po raz drugi w ciągu godziny rozlał alkohol.

Gdzie oni się podziewają, do diabła? Była już 17:15. Spodziewał się ich wcześnie rano. Bezcenny czas przeciekał między palcami.

Przez chwilę przemierzał nerwowym krokiem pokój, a potem wychylił jednym łykiem pół szklanki i spojrzał niecierpliwie na zegarek.

Coś musiało pójść nie tak. Dlaczego w ogóle to zrobił? Musiał być chyba szalony. Czy rzeczywiście dużo przez to zyska? Nie było mu tutaj tak źle.

Nachodziły go na przemian fale zwątpienia i optymizmu, dręczyło poczucie winy. Whisky wcale nie rozjaśniała umysłu.

Nie przekroczył jeszcze punktu, z którego nie było powrotu. Schematy wciąż łatwo mogły zostać umieszczone tam, skąd je zabrał. Na zewnątrz stał wynajęty w Avisie samochód. Wsiadaj i jedź z powrotem, podpowiadał mu wewnętrzny głos.

A potem przypomniał sobie o czerwonym skoroszycie - o Operacji Raptor. Nie mógł wrócić, zbyt dużo wiedział.

Pociągnął następny długi łyk i prawie zakrztusił się, słysząc pukanie do drzwi.Otarł alkohol z podbródka i pospiesznie odstawił szklankę na bok, o mało jej nie przewracając. Podbiegł do drzwi, czując bolesny ucisk w skroniach. A więc stało się. Dotarł do punktu, z którego nie było powrotu.

Zbliżył oko do małego wizjera w drzwiach. Po drugiej stronie stało dwóch mężczyzn.

- Kto tam? - zapytał.

Zamiast odpowiedzi znowu rozległo się ciche pukanie. Bridges przekręcił klucz w drzwiach i nie zwalniając łańcucha, lekko je uchylił. Zerknął jednym okiem na zewnątrz.

- O co chodzi? - zapytał.

Pierwszy z mężczyzn spojrzał mu w twarz.

- Czy możemy wejść do środka, doktorze Bridges? - zapytał.

- Nie znam was. Kim jesteście? - odparł nerwowo Bridges.

- „Tak” albo „nie”, doktorze Bridges. Proszę odpowiadać wyłącznie „tak” albo „nie”.

Bridges natychmiast rozpoznał głos mężczyzny, z którym rozmawiał przez telefon w Playboy Club.

- Który automat? - zapytał, żeby się upewnić.

- Ostatni.

Bridges zamknął drzwi, zdjął łańcuch, a potem otworzył ponownie.

Dwaj mężczyźni wślizgnęli się szybko do pokoju. Bridges przyjrzał się im uważnie, zamykając drzwi.

Nie tak ich sobie wyobrażał. Obaj byli tacy niepozorni. On sam wydawał się przy nich olbrzymem. Mniejszy mężczyzna był gruby i mógł mieć najwyżej pięć stóp i pięć cali. Drugi, chudy, był tylko odrobinę wyższy. Bridges domyślił się, że chudy jest przywódcą. Nietrudno było to zgadnąć. Grubas stanął z prawej strony za chudzielcem i omiatał bacznym spojrzeniem pokój. Chudy wpatrywał się w Bridgesa.

- Czy możemy usiąść? - zapytał Aleksy Kuradin.

- Tak... proszę bardzo - odparł nerwowo Bridges. Wskazał ręką dwa krzesła stojące przy niewielkim stoliku obok okna. Zabrał z niego szybko butelkę i szklankę i postawił je na długiej, niskiej komodzie.

Dwaj mężczyźni podeszli do stolika. Ten Braak szybko sprawdził zasłony, upewniając się, czy są szczelnie zasunięte i czy nikt nie może obserwować ich z zewnątrz. Potem usiadł naprzeciwko Kuradina.

- Napijecie się panowie? - zaproponował drżącym głosem Bridges.

- Nie, dziękujemy, doktorze Bridges - odparł Kuradin. - Ale proszę, niech pan się nie krępuje - dodał, wskazując gestem głowy butelkę.

Bridges podszedł do komody i nalał sobie pół szklanki. Nie miał lodu, od samego przyjazdu nie opuszczał ani na chwilę pokoju. Kiedy szedł w ich stronę, Kuradin zauważył, że drżą mu ręce.

- Zaczynałem się denerwować - oznajmił Bridges, śmiejąc się nerwowo. - Myślałem już, że się nie pojawicie.

- Nie ma pan powodu do zdenerwowania, doktorze Bridges - odparł Kuradin. - Jest pan dla nas bardzo ważny. Nigdy byśmy o panu nie zapomnieli. - Jego angielski był doskonały, bez najmniejszego śladu obcego akcentu. - Czy możemy przejść od razu do rzeczy? - zapytał.

Bridgesowi bardzo to odpowiadało. Chciał się stąd jak najszybciej wynieść. Pociągnął łyk szkockiej.

- Mam tutaj ze sobą wszystkie dokumenty - powiedział. - Jeśli jesteście panowie gotowi, możemy iść.

- Najpierw chciałbym je zobaczyć - oświadczył Kuradin. Bridges wpatrywał się niespokojnie to w jednego, to w drugiego.

Grubas wciąż rozglądał się po pokoju. Nie podobał się Bridgesowi. Ten drugi zresztą też. Nie miał zaufania do żadnego z nich.

- Tracimy tylko czas - powiedział. - Powinniśmy stąd jak najszybciej wyjechać.

- Mamy mnóstwo czasu, doktorze Bridges. Pańska nieobecność zostanie odkryta dopiero w poniedziałek. Proszę mi pokazać dokumenty.

Bridgesowi wcale się to nie spodobało. Chciał mieć schematy cały czas przy sobie. Dlaczego temu Rosjaninowi tak zależy, żeby je zobaczyć?

- Wydaje mi się... - zaczął.

- Doktorze Bridges - odezwał się Kuradin, podnosząc rękę, żeby mu przerwać. - Proszę się uspokoić, nie mamy zamiaru pana skrzywdzić ani ukraść panu dokumentacji. Musimy po prostu podjąć pewne niezbędne środki ostrożności, żeby zapewnić sukces całej operacji. Jednym z nich jest sfotografowanie dokumentów na dwóch mikrofilmach. To tylko dodatkowe zabezpieczenie, które gwarantuje, że informacja dotrze bezpiecznie do naszego kraju. Wolno panu będzie przez cały czas mieć przy sobie oryginał i jeden z mikrofilmów. Ja wezmę drugi. Ale jeśli dokumentacja została już sfotografowana, będę musiał nalegać, żeby pan mi oddał film.

Bridges poczuł się trochę pewniej.

- Nie, nie została - powiedział, wpatrując się w przenikliwe oczy Rosjanina. - Rozumiem - dodał, kiwając głową. Odwrócił się,

podszedł do małej otwartej szafy i wziął do ręki leżącą w środku cienką dyplomatkę. Wrócił do stolika, otworzył ją i wyjął plik spiętych w górnym prawym rogu arkuszy. Spiął je w swoimmieszkaniu po przepisaniu na maszynie notatek, które zrobił na podstawie odnalezionego w czerwonym skoroszycie dokumentu. Razem z czystą, dodaną w charakterze okładki kartką plik liczył dwadzieścia sześć arkuszy.

Wyciągnął go w stronę Kuradina.

Rosjanin spojrzał na Ten Braaka i wskazał mu oczyma arkusze. Grubas wziął je z rąk Bridgesa, położył na stoliku przed Kuradinem i zapalił wiszącą lampę.

Kuradin po raz pierwszy po wejściu do pokoju wyjął ręce z kieszeni marynarki i położył na kolanach, pochylając się nad stolikiem.

Uważnie przyjrzał się pierwszej kartce, a potem zbadał sposób, w jaki spięte są wszystkie arkusze. Bokiem wskazującego palca prawej ręki podniósł dolny prawy skraj okładki. Następnie wsunął pod nią dłoń i przewrócił na bok, odsłaniając pierwszy schemat.

Bridges przyglądał się studiującemu pierwszy arkusz Rosjaninowi. Wydawało się, że rozumie, co czyta. Przysłali chyba kogoś, kto zna się na komputerach, pomyślał. Drugi z mężczyzn był cały spocony i miał gęsto porośnięte czarnymi włosami dłonie. Bridges zastanawiał się, jaka jest jego rola w całej akcji. Być może pełnił rolę obstawy, chociaż nie sprawiał wrażenia szczególnie niebezpiecznego.

Kuradin odwrócił następny arkusz w dokładnie ten sam sposób co pierwszy, uważając, żeby nie pozostawić nigdzie odcisków palców.

Bridges pociągnął kolejny łyk, opróżniając szklankę. Podszedł do komody i nalał sobie następną.

Kuradin skończył czytać drugi schemat, po czym przewrócił kolejną kartkę. Podniósł wzrok i spojrzał na Bridgesa.

- System pamięci jest fenomenalny - oświadczył. Przez moment wpatrywał się lekko zmrużonymi oczyma w Amerykanina, a potem z powrotem zagłębił się w lekturze. Po kilku chwilach odwrócił następny arkusz. Czytał coraz szybciej.

Wreszcie dotarł do ostatniego arkusza.

- Co to jest? - zapytał, spoglądając na Bridgesa.

- To mała niespodzianka, którą udało mi się zdobyć w piątek przed samym wyjściem. Jestem pewien, że was zainteresuje.

Kuradin przeczytał uważnie notatki, przełykając raz po raz ślinę. Jak zawsze, kiedy przypominał sobie tamten dzień w Anglii, zaczynało rwać go w kikucie palca. Część zawartych na ostatnim arkuszu informacji poznał już wcześniej, po odszyfrowaniu dokumentu dostarczonego po powrocie z zeszłorocznej misji. Ale tamte dane były fragmentaryczne, niepełne. Teraz miał przed sobą wszystko. Fakty układały się w wyraźny obraz.

- Dlaczego nie powiedział nam pan o tym wcześniej? - zapytał Bridgesa.

- Nic o tym nie wiedziałem. Mówiłem już, udało mi się dotrzeć do tych materiałów dopiero ostatniego dnia.

- To znaczy, że pańscy zwierzchnicy nie zdają sobie sprawy, że pan o nich wie?

- Zgadza się. I nie powinni tego odkryć.

Kuradin odwrócił wzrok od kartki i wpatrywał się przez chwilę w blat stołu. Powoli uświadamiał sobie znaczenie ostatniej informacji. Moskwa zupełnie się czegoś takiego nie spodziewała.

Ważne jednak było, żeby zwierzchnicy Bridgesa nie odkryli, że przekazał także tę informację. Mogło to w znacznym stopniu zmniejszyć szanse powodzenia sporządzonego przez Centaura planu.

Przewrócił ostatnią kartkę, a potem przesunął cały plik w stronę Ten Braaka.

- Wyrwij ostatni arkusz - polecił.

Bridges spojrzał zaskoczony znad swojej szklanki.

- Chwileczkę! Co pan robi?

- Świetnie wiem, co robię, doktorze Bridges - odparł Kuradin. - Sam pan stwierdził, że pańscy zwierzchnicy nie powinni się dowiedzieć, iż jest pan w posiadaniu tej informacji. Gdyby stało się coś złego i te dokumenty wpadłyby z powrotem w ich ręce, natychmiast by odkryli, co w trawie piszczy. Musimy zabezpieczyć się przed tą możliwością. Najlepszym sposobem jest usunięcie tej kartki. Nie znajdzie się również na mikrofilmie, na wypadek gdyby ujęli któregoś z nas - wyjaśnił.

- Co pan z nią zrobi? - zapytał Bridges. Kuradin pokręcił głową.

- Jeszcze nie wiem.

Ten Braak wydarł ostatnią kartkę, jednak jej spory fragment pozostał pod spinaczem. Grubas wyskubał go pracowicie, aż pozostał tylko maleńki, ledwie widoczny skrawek papieru. Zebrał z powrotem arkusze i położył je przed Kuradinem.

- Co mam z tym zrobić? - zapytał z ciężkim niemieckim akcentem, wskazując wydartą kartkę.

- Daj to mnie - powiedział Kuradin. Wziął kartkę od Ten Braaka, złożył ją i wsunął do kieszeni marynarki.

Grubas odwrócił okładkę, a Kuradin wyjął z kieszeni płaszcza dwa mikroskopijne aparaty. Postawił jeden z nich na stole, a drugim sfotografował pierwszy schemat. Potem wziął do ręki pierwszy aparat i ponownie zrobił zdjęcie tego samego schematu. Ten Braak odwrócił kartkę. Powtarzali całą procedurę, aż sfotografowane zostały wszystkie dwadzieścia cztery arkusze. Następnie Kuradin dał znak Ten Braakowi.

Grubas oddał kartki Bridgesowi, a potem podszedł do drzwi, przekręcił klucz w zamku i wyszedł. Kuradin zamknął za nim drzwi.

- Dokąd on idzie? - zapytał Bridges.

Rosjanin wyjął malutkie rolki z obu aparatów. Jedną z nich położył na stole, a drugą umieścił pod kopertą swojego zegarka, w małej przegródce, w której zazwyczaj znajduje się bateria.

- To jeden ze środków ostrożności, jakie musimy podjąć - odparł w końcu. - Poszedł do samochodu, żeby przynieść aluminiową kapsułkę, w której umieścimy tę rolkę - powiedział, pokazując leżący

na stole film. - Ten film będzie pan miał przy sobie. Umieścimy go w dolnej części pańskiego jelita grubego.

- Co takiego? - krzyknął Bridges. - Stroi pan sobie żarty?

- Bynajmniej - odparł potrząsając głową Kuradin. - Będzie tam zupełnie bezpieczny i nie sprawi panu żadnych kłopotów, zapewniam pana. Mój towarzysz wróci za parę minut. Proponuję, aby poinformował mnie pan przez ten czas, co uczynią pańscy zwierzchnicy, kiedy odkryją, że zniknął pan razem z całą dokumentacją.

Na dworze Ten Braak podszedł do samochodu, którym przyjechali do South Beloit. Otworzył bagażnik i przysunął do siebie czarną walizeczkę, z którą przyleciał z Newark. Zanim ją otworzył, rozejrzał się uważnie dookoła.

Po jego stronie, mniej więcej sześć miejsc parkingowych dalej, stał inny samochód. Złapał gumę i jego właściciel właśnie zmieniał koło.

Byli jedynymi ludźmi na parkingu. Ten Braak znajdował się wystarczająco daleko od tamtego, by nie martwić się, że mężczyzna coś zobaczy. Skoncentrował z powrotem uwagę na czarnej walizeczce i otworzył ją.

Wyjął trzy elementy metalowego cylindra i skręcił je w całość. Ich średnica wynosiła około pół cala, długość mniej więcej siedem cali. W pierwszym z nich mieściła się mała półtorawoltowa bateryjka, która zasilała cichy detonator we fragmencie środkowym. Zamiast pocisku detonator odpalał małą ampułkę, znajdującą się w ostatnim

elemencie. Ampułka zawierała kwas pruski, bezbarwną i bezwonną truciznę. Po wybuchu detonatora kwas pruski wydostawał się przez mały otwór w czubku cylindra. Każdy, kto wciągnął go do płuc, umierał w ciągu paru sekund. Po kilku godzinach, jeszcze zanim można było przeprowadzić sekcję zwłok, znikały wszelkie ślady. Pozostawała tylko woda, która szybko wyparowywała. Jako przyczynę śmierci podawało się na ogół zawał serca. Metoda nie była nowa, ale skuteczna.

Następnie Ten Braak otworzył małe metalowe pudełko i wyjął z niego dwie tabletki tiosiarczanu sodu i dwie ampułki azotanu amylowego. Było to antidotum - na wypadek gdyby temu, kto używał cylindra, przypadkowo dostały się do płuc opary kwasu.

Tabletkę należało zażyć przed użyciem cylindra, a zaraz po detonacji trzeba było stłuc ampułkę z azotanem i wdychać jej zawartość.

Na koniec wyjął metalową kapsułkę, do której mieli schować drugi mikrofilm. Umieszczona była w malej plastikowej torbie.

- Przepraszam... - usłyszał głos z tyłu. Stał za nim właściciel samochodu, który złapał gumę. Ten Braak odwrócił się, zasłaniając ciałem stojącą w bagażniku walizeczkę. - Czy nie mógłby pan pożyczyć mi swojego lewarka? - zapytał mężczyzna. - Nie mogę sobie poradzić z moim. Nie chce stać prosto pod zderzakiem.

Ten Braak wbił ciemne zmrużone oczy w okrągłą, pomarszczoną twarz. Facet był dość stary, mógł mieć sześćdziesiąt lat albo więcej.

- Pomogę panu - oświadczył Ten Braak ze swoim ciężkim, gardłowym akcentem.

- Dziękuję bardzo - odparł stary. - Chyba mój lewarek jest pęknięty. Nie chce stać prosto. A może brakuje jakiejś części - dodał.

Ten Braak ruszył za starym w stronę jego samochodu. Idąc wsunął dłoń do kieszeni i dotknął nią gładkiej, wykonanej na zamówienie drewnianej rękojeści.

Kiedy zatrzymali się przy samochodzie, powiedział:

- Niech pan spróbuje jeszcze raz.

Przyglądał się wysiłkom mężczyzny, który pochylił się i próbował wetknąć podnośnik pod samochód.

Rozejrzał się. Poza nimi na parkingu wciąż nie było nikogo. Wyjął z kieszeni drewnianą rękojeść. W samym środku wystawał z niej pod kątem prostym skryty w grubym skórzanym futerale czterocalowy metalowy szpikulec. Ujął rękojeść tak, że ostrze znalazło się między środkowym a wskazującym palcem jego zaciśniętej pięści, zdjął pokrowiec i przysunął się bliżej do mężczyzny.

- Widzi pan? Nie mogę go tu wepchnąć - oznajmił stary. Ten Braak zbliżył zaostrzony koniec szpikulca do głowy mężczyzny, zaraz za jego lewym uchem, a potem szybkim, zdecydowanym ruchem wbił go głęboko aż po rękojeść. Rozległ się cichy jęk. Oczy mężczyzny stanęły w słup i twarz mu stężała. Zmarł w ciągu sekundy.

W chwilę później jego ciało znalazło się w bagażniku. W ślad za nim wylądował lewarek. Ten Braak zatrzasnął klapę i ruszył z

powrotem do swojego samochodu. Po drodze schował szpikulec do futerału i włożył go do kieszeni.

Zamknął czarną walizeczkę i bagażnik, omiótł jeszcze raz wzrokiem parking i ruszył z powrotem do apartamentu Bridgesa.

Amerykanin skończył właśnie opowiadać Kuradinowi, czego można się spodziewać po SENTINELU. Usłyszawszy pukanie do drzwi, Rosjanin wpuścił Ten Braaka do środka i ponownie zamknął drzwi na klucz.Znalazłszy się w pokoju, Ten Braak wyjął kapsułkę z plastikowego opakowania. Rozkręcił ją i umieścił w środku mikrofilm. Bridges uważnie go obserwował. Skręcona z powrotem kapsułka wydawała się bardzo duża.

- Proponuję, żeby spróbował się pan teraz wypróżnić - powiedział Kuradin. - Nawet jeśli nie odczuwa pan parcia, powinien pan spróbować. Po umieszczeniu kapsułki nie będzie pan mógł tego zrobić aż do chwili, kiedy zostanie usunięta. A to nastąpi dopiero za sześć godzin. Znajdować się pan będzie wtedy na pokładzie samolotu lecącego bezpiecznie do Związku Sowieckiego - dodał.

Bridges wycofał się do łazienki.

Kiedy tylko zamknął za sobą drzwi, Ten Braak wyjął tabletki i ampułki. Dał po jednej z nich Kuradinowi. Obaj połknęli tabletki zawierające tiosiarczan sodu. Kuradin zacisnął dłoń na ampułce z azotanem amylowym.

Po kilku chwilach rozległ się szum spuszczanej wody i w pokoju pojawił się z powrotem Bridges. Ten Braak stanął między dwoma podwójnymi łóżkami.

- Niech pan stanie tutaj - powiedział, trzymając w ręku kapsułkę z mikrofilmem.

Bridges stanął, gdzie mu kazano.

- Mogę to zrobić sam - zaprotestował. - Niech pan mi to po prostu da. Sam sobie włożę.

- Kapsułka musi zostać umieszczona w odpowiedni sposób, doktorze Bridges, w przeciwnym razie może wypaść.

Jakie to krępujące, pomyślał Bridges.

Stali w odległości zaledwie osiemnastu cali od siebie. Bridges zajrzał głęboko w czarne oczy tamtego. Wiedział teraz, że się mylił; grubas sprawiał naprawdę złowrogie wrażenie. Zrobiło mu się nieswojo. Chciał coś powiedzieć, ale zanim zdążył otworzyć usta, Ten Braak podniósł szybko rękę ze śmiercionośnym cylindrem. Zdetonował go, kierując prosto w twarz Bridgesa trujące opary kwasu pruskiego.

Bridges wybałuszył oczy, zaczął krztusić się i charczeć, jego twarz zrobiła się ciemnoczerwona. Kaszląc i bełkocząc zatoczył się w stronę Ten Braaka, oczy wyszły mu z orbit. Zanim upadł, grubas pchnął go do tyłu na łóżko, po czym stłukł szybko ampułkę z azotanem amylowym i zaczął głęboko wdychać jego opary. To samo zrobił Kuradin. Ciało Bridgesa drgało przez chwilę w agonii, a potem znieruchomiało.

Ten Braak odpiął pasek i spuścił w dół spodnie i krótkie kalesony. Ukucnął rozstawiając szeroko nogi i wsadził sobie

aluminiową kapsułkę do odbytu, wpychając ją aż do okrężnicy. Potem szybko wciągnął spodnie i zapiął z powrotem pasek.

Dwaj mężczyźni wyszli z pokoju i wsiedli do samochodu. Wyjeżdżając z parkingu, zobaczyli przez przednią szybę nadlatujący helikopter.

*

- Widzę wyjeżdżający z parkingu samochód, Ted – powiedział Justin. – Z miejsca, w którym powinien znajdować się pokój Bridgesa. Sprawdź, czy uda ci się odczytać jego numery.

Fanning podniósł do oczu lornetkę.

- Rejestracja Illinois. LC osiemdziesiąt pięć osiemdziesiąt dziewięć. Niebieski dodge 307onaco, czterodrzwiowy sedan. Nie widzę kierowcy.

- SENTINEL, czy możesz sprawdzić te dane w kartotece Wydziału Komunikacji stanu Illinois? – zapytał Justin. – L jak Louis, C jak Charlie, osiemdziesiąt pięć osiemdziesiąt dziewięć. Nowy model Dodge Monaco – powtórzył.

- Przyjąłem – oznajmił cichy głos.

- Czy możesz prowadzić obserwację wizualną?

- Nie – odparł SENTINEL. – Powłoka chmur jest zbyt gęsta. South Beloit leżało na terenach rolniczych. Motel ze wszystkich stron otaczały pola uprawne. Pilot posadził helikopter na jednym z nich.

- Wystartuj ponownie – zwrócił się do niego Justin przed wyjściem z kabiny – i postaraj się śledzić ten samochód. Chcę wiedzieć, czy pojedzie drogą US siedemdziesiąt pięć w stronę

Interstate dziewięćdziesiąt. Jeśli to zrobi, daj nam znać, a my ci powiemy, co robić dalej.

Pilot kiwnął głową.

Dwaj mężczyźni wyskoczyli z helikoptera. Fanning niósł dużą metalową kasetę, podobną do skrzynki z narzędziami. Helikopter uniósł się z powrotem w powietrze.

BIP!

SENTINEL sygnalizował nawiązanie łączności.

- Niebieski dodge 308onaco, rejestracja Illinois, LC osiemdziesiąt pięć osiemdziesiąt dziewięć należy do agencji wynajmu samochodów National Rent-A-Car. Wynajęty został niejakiemu Davidowi R. Fromme'owi z Baltimore, Maryland. Fromme zamówił go w czwartek rano na lotnisko 0'Hare i zameldował się w motelu Holiday Inn w South Beloit w czwartek po południu o godzinie szesnastej czterdzieści sześć. Zarezerwował pokój do środy. Numer sto pięćdziesiąt pięć. Od pokoju doktora Bridgesa dzielą go tylko trzy inne.

- Dziękuję, SENTINEL – odparł Justin.Podeszli do okien pokoju Bridgesa. Nie było z nich widać miejsca, w którym wylądowali. Minęli drzwi i zatrzymali się. Normalnie zajęliby pozycje po obu jego stronach, ale tutaj jedno okno prawie przylegało do drzwi. A szkło niezbyt dobrze zatrzymuje pociski.

Fanning postawił na ziemi ciężką kasetę i zajął pozycję za stojącym po prawej stronie drzwi wynajętym samochodem Bridgesa.

Skulony za bagażnikiem, miał pod obstrzałem cały pokój. Zapalone w środku światło gwarantowało dobrą widoczność.

Lewa ręka zbliżającego się do drzwi Justina tkwiła w kieszeni marynarki. Wnętrze kieszeni i podszewka zostały wycięte, umożliwiając bezpośredni dostęp do mauzera.

Zapukał do drzwi.

Żadnej odpowiedzi.

Zapukał ponownie. Jeżeli Rosjanie nie odwiedzili jeszcze Bridgesa, powinien pomyśleć, że to właśnie Justin jest łącznikiem. Ale jeśli go odwiedzili, będzie albo martwy, albo nieobecny.

Wciąż żadnej odpowiedzi.

Odsunął się od drzwi i przyjrzał się zamkowi. Umieszczony poniżej mały żółty przycisk był wciśnięty. To oznaczało, że zasuwa jest otwarta, ale drzwi może blokować łańcuch. Pomacał drzwi. Były metalowe i bardzo solidne. Futryna, w której zostały osadzone, była także metalowa. Nie wydawało się, żeby można było je wyważyć jednym kopnięciem. Postanowił popracować nad zamkiem.

Wyciągnął z kieszeni scyzoryk i otworzył specjalnie ukształtowane ostrze. Wsadził je do dziurki, puszczając na chwilę kolbę pistoletu, żeby przytrzymać klamkę lewą ręką.

Tak cicho, jak to tylko było możliwe, kręcił ostrzem, wsuwając je coraz głębiej, w miarę jak uchylały się zapadki. Potem przekręcił klamkę, modląc się, żeby po drugiej stronie nie czekał na niego wycelowany pistolet. Uchylił nieznacznie drzwi i zobaczył, że łańcuch jest zwolniony. Nie wyglądało to zbyt dobrze.

Cofnął się i wyjął z kabury mauzera. Spojrzał na Fanninga, który tkwił w pozycji strzeleckiej skulony za samochodem.

Borsuk kiwnął głową.

Justin kopnął drzwi i błyskawicznie schował się za ścianę. Nic się nie wydarzyło.

Fanning wychylił się zza bagażnika i zobaczył leżącego na łóżku Bridgesa. Dał Justinowi znak głową.

W pokoju pojawił się najpierw mauzer, a za nim głowa Justina, który rozejrzał się szybko dookoła. Drzwi do łazienki były otwarte. Szafa nie miała drzwi. Nie było innych miejsc, w których ktoś mógłby się ukryć. Pielgrzym wszedł powoli do środka i spojrzał na leżącego na łóżku Bridgesa. Jeden rzut oka wystarczył mu, żeby zorientować się, że facet jest martwy. Zanim podszedł bliżej, rozejrzał się uważnie.

W pokoju panował idealny porządek: nie było żadnych śladów walki, nic nie leżało na podłodze. Justin ruszył najkrótszą drogą do ciała, dając ręką znak Borsukowi.

Fanning podniósł z ziemi ciężką kasetę. Wszedł do środka i przymknął łokciem drzwi, zostawiając tylko wąską szczelinę.

Justin stał nad leżącym na plecach w poprzek łóżka ciałem.

- Wygląda, jakby się czymś zakrztusił – powiedział. Pochylił się nad wykrzywioną twarzą i dotknął dużych, mięsistych policzków. Były miękkie i ciepłe. – Nie doszło jeszcze do stężenia pośmiertnego.

BIP!

- Jakie jest zabarwienie twarzy? – zapytał cichy głos. Justin zerknął w dół.

- Ciemnoczerwone. Rysy są wyraźnie wykrzywione. Skóra wokół oczu, nosa i ust wilgotna. Na ciele nie widać żadnych ran ani skaleczeń.

- Czy język wystaje z ust albo jest przygryziony? – zapytał SENTINEL.

- Nie.

- Dokument jest na komodzie – poinformował Fanning.

- Niczego nie dotykajcie – odezwał się SENTINEL. – Wyjmij z kasety niebieską butelkę i sterylną pincetę – polecił Justinowi.

Justin wyjął żądane przedmioty.

- Mam je – powiedział.

- Wyrwij pincetą kilka włosków z nosa denata i zanurz je w roztworze znajdującym się w niebieskiej butelce.

Justin wykonał polecenie.

- Gotowe – zameldował.

- Wyjmij z kasetki dwie papierowe torebki, załóż je na dłonie Bridgesa i uszczelnij taśmą. Większą torebkę załóż delikatnie na głowę i również uszczelnij, uważając, żeby nie zostawić żadnych śladów.

Po kilku chwilach polecenie zostało wykonane. SENTINEL poprosił ich następnie o wzięcie próbek zawartości szklanki i butelki. Fanning umieścił je w specjalnych słoiczkach.

- Teraz zajmijmy sie schematami. Opisz, co widzisz – polecił SENTINEL.

- W prawym górnym rogu spięte są spinaczem. Pierwsza kartka jest czysta. Papiery leżą na plastikowym blacie komody – odparł Justin.

- Używając ołówka albo pióra przesuń kartki, tak żeby spięty spinaczem róg wystawał lekko poza blat – poinstruował go SENTINEL.

- Gotowe.

- Teraz policz arkusze w rogu, nie dotykając żadnego z nich. Justin zabrał się do dzieła. Naliczył dwadzieścia sześć arkuszy łącznie z okładką.

- Powinno być dwadzieścia cztery – stwierdził SENTINEL.

- Może się pomyliłem – odparł Justin. Policzył ponownie. – Niech to szlag trafi – zaklął bezgłośnie. Nadal było dwadzieścia sześć kartek. Ukucnął, zajrzał pod spód i zobaczył pod spinaczem skrawek papieru, który pozostał po wydartym arkuszu. Był wystarczająco duży, żeby wyglądać z góry jak cała kartka. – Okay, naliczyłem dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć razem z okładką.

- Teraz wyjmij z kasetki jedno z pudełek i złóż je – polecił SENTINEL. – Używając ponownie ołówka wsuń schematy do pudełka, uważając, żeby nie dotknąć żadnego z arkuszy. Potem zamknij pudełko i obwiąż je sznurkiem.

- Wyjdę się rozejrzeć na zewnątrz – powiedział Fanning. Wsunąwszy ołówek w szparę ostrożnie otworzył drzwi, wyszedł i przymknął je z powrotem, podnosząc ołówkiem klamkę. Klamka

mogła stanowić ważny dowód rzeczowy dla będącej w drodze ekipy Wydziału Drugiego.

Justin złożył dolną część pudełka i zabierał się właśnie do złożenia pokrywki, kiedy jego wzrok przyciągnęły dwa skrawki papieru, leżące pod okrągłym stolikiem przy oknie. Podszedł i przyjrzał się im z bliska. Wyjął z kasetki kopertę, wsunął do niej ołówkiem kawałki papieru, a potem ponownie ukucnął obok komody i porównał je ze skrawkiem pod spinaczem. Wyglądały tak samo. A więc w pliku znajdowała się jeszcze jedna kartka. Podobnie jak pierwsza była z lżejszego gatunku papieru niż te, na których wydrukowano schematy. Może stanowiła po prostu tylną okładkę? Ale po co w takim razie ją wyrwano?

Używając pincety, którą wyrwał włoski z nosa Bridgesa, usunął skrawek papieru spod spinacza i włożył go do koperty razem z innymi. Zalepił ją, złożył i schował do kieszeni. Potem złożył do końca pudełko, wsunął do niego plik arkuszy, przykrył je i obwiązał sznurkiem.

- Dokument jest w pudełku – powiedział.

- Wkrótce przybędzie ekipa Wydziału Drugiego. Niczego nie dotykajcie i opuśćcie pokój – polecił SENTINEL.

W tej samej chwili drzwi uchyliły się i do środka zajrzał Fanning.

- Skończyłeś? – zapytał. Justin kiwnął głową.

- Chcę, żebyś rzucił na coś okiem – oznajmił Borsuk.

Justin wyszedł na zewnątrz, starannie przymykając drzwi, podobnie jak zrobił to wcześniej jego partner.

- Co odkryłeś?

- Znalazłem to pod tamtym samochodem – powiedział Fanning. Na ołówku trzymał kółko z kluczami. – W jednym kole nie ma powietrza, a obok stoi podstawka lewarka. Klucze leżały pod bagażnikiem.

Podeszli do samochodu.

- Wiem, że nie powinienem dotykać kluczyków, ale coś mnie tknęło – kontynuował Fanning. Uniósł w górę pokrywę bagażnika, który otworzył przed kilku minutami kluczykiem. – Zobacz, co znalazłem.

Justin przyjrzał sie zwłokom i zbadał małą ranę z boku głowy.

- To nie postrzał. Fanning pokiwał głową.

- Byli tutaj, to jasne. Ten biedak zobaczył pewnie coś, czego nie powinien widzieć.

- Cracker Jack do Pielgrzyma – rozległo się nagle w ich płytkach łącznościowych. To był pilot helikoptera.

- Mów, o co chodzi, Cracker Jack – odparł Justin.

- Podejrzany samochód, niebieski dodge 314onaco, wjechał do Beloit. Na chwilę straciłem go z oczu. Teraz wraca w waszym kierunku. Czy chcecie, żebym śledził go dalej?

- Tak jest, śledź go dalej, Cracker Jack. Obserwowany może się kierować w stronę drogi US siedemdziesiąt pięć. Postaraj się trzymać

poza jego polem widzenia. Jeśli wróci tutaj, zaczekaj pięć minut, zanim wylądujesz.

- Przyjąłem.

Justin przez chwilę się zastanawiał.

- To była gładka, czysta robota – powiedział w końcu.

- Mamy teraz dość czasu, żeby coś ustalić. Wydział Drugi nie zjawi się tu tak prędko – stwierdził Fanning, spoglądając Justinowi prosto w oczy.

Czytali sobie w myślach.

- Fromme? – zapytał Justin.

- Fromme – zgodził się partner.

- Mieszka w pokoju numer sto pięćdziesiąt pięć, prawda? Fanning kiwnął głową.

- Cracker Jack do Pielgrzyma – usłyszeli ponownie głos pilota. – Podejrzany samochód wraca do motelu.

- Dziękuję, Cracker Jack – odparł Justin. – Złożymy chyba temu Davidowi Fromme'owi małą wizytę – powiedział, zwracając się do Fanninga. – Mógł widzieć coś, co może nas zainteresować.

Rozdział 22

Wielkich ludzi nie tworzy propaganda; wielkość nadają im ich czyny i osąd historii.

Franz von Pappen

Wciąż słyszę grzmiący śpiew, który dobywał się z gardeł uczestników norymberskich marszów. Masy ludzi, których nie sposób było objąć wzrokiem – którzy przybyli tam po to, żeby usłyszeć Fuhrera, mówiącego im o ich przeznaczeniu, o ich obawach i o tym, jak je przezwyciężyć.

„Sieg Heil… Sieg Heil… Sieg Heill" – krzyczeli, wyznając miłość do swojego niemieckiego Mesjasza.

Ale wszystko to należy już do przeszłości. Nie ma już Rzeszy, nie ma tych ludzi i nie ma ich Fuhrera.

Bez przywódcy młode pokolenie nie znajdzie właściwej drogi. Nie myślę o jakimkolwiek przywódcy, ale o człowieku, który odznaczałby się podobnym jak nasz Fiihrer oddaniem sprawie.

Nie można oczekiwać, by następny cud zdarzył się tak szybko. Ludzie tacy jak on rodzą się raz albo dwa na tysiąc lat.

Ustęp 37 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Niebieski dodge 316onaco wjechał na teren motelu Holiday Inn, kierując się w stronę położonego z tyłu parkingu. Kuradin odwiózł właśnie Ten Braaka do Beloit. Jego partner umówił się tam z człowiekiem, który miał go zawieźć w okolice Nowego Jorku. W drodze do Beloit opowiedział Kuradinowi o staruszku, którego zabił na parkingu.

Kuradin długo zastanawiał się, rozważając, jaki wpływ może to wywrzeć na jego plan. Ostatecznie uznał, że nie powinno zaszkodzić. Mogło nawet pomóc.

Wjechał na tylny parking i minął kilka stojących tam samochodów. Zauważył wóz ze spłaszczoną oponą i zobaczył, że klapa bagażnika jest opuszczona w dół, ale nie zamknięta. Ten Braak wyraźnie zaznaczył, że zamknął ją na klucz.

Dodge przejechał powoli obok pokoju Bridgesa i jego zaparkowanego samochodu. Kuradin zobaczył, że drzwi do apartamentu są lekko uchylone. Już go odnaleźli!

Przeszedł go krótki dreszcz. Niewiarygodne! Dowiedzieli się o zaginięciu dokumentacji i ustalili, gdzie ukrył się Bridges. Przewidywania naukowca co do szybkości, z jaką zlokalizuje go komputer, były właściwe. To oznaczało, że trzeba było zastosować pierwszy, alternatywny wariant planu. Całe szczęście, że Centaur docenił wcześniej możliwości SENTINELA.

Zaparkował samochód przed wejściem do swojego pokoju. Starał się nie rozglądać na boki. Nie powinien okazywać przesadnego zainteresowania tym, co się dzieje. Niepokoiło go, że nie widzi żadnych ludzi ani samochodów. Gdzie oni się pochowali, zastanawiał się, podchodząc do drzwi.

Przekręcił klucz w zamku, uchylił lekko drzwi i wsunął do środka rękę, żeby zapalić światło. Nagle jego nadgarstek znalazł się w stalowym uścisku; wciągnięto go do pokoju.

Jak zareagować? – zastanawiał się gorączkowo Kuradin. Wpaść w panikę czy zachować zimną krew? Agent wywiadu odpowiedziałby instynktowną reakcją obronną. Biznesmen nie. Kuradin wybrał panikę jako kamuflaż.

- Aaaaa! – krzyknął, rzucony głową do przodu na najbliższe podwójne łóżko. Poczuł miażdżące mu plecy kolano.

- Nie ruszaj się – oświadczył spokojny głos. Nie zdołałby się poruszyć, nawet gdyby chciał.

Dwie dłonie przeszukiwały go, trzecia przyciskała jego głowę do pościeli. To oznaczało, że jest ich co najmniej dwóch.

- Jest czysty – powiedział Fanning.

Kolano uniosło się. Kuradin usiadł na łóżku, blady z przerażenia.

- Mój… mój portfel jest w kieszeni. Weźcie go, proszę. Weźcie go sobie. Nie róbcie mi tylko nic złego – wyrzucił z siebie, prawie łkając.

Justin przyjrzał się uważnie przerażonej twarzy.

- Nie przyszliśmy tu, żeby pana obrabować, panie Fromme. Chcemy tylko porozmawiać – oświadczył spokojnie.

W oczach Kuradina pojawił się strach i zmieszanie. Nic nie odpowiedział, rzucał tylko szybkie, przestraszone spojrzenia to na jednego, to na drugiego napastnika.

- Nie rozumiem – wykrztusił z siebie wreszcie, przełykając ślinę.

- Przykro mi, że musieliśmy potraktować pana tak brutalnie, panie Fromme, ale nie mogliśmy ryzykować.

- Ryzykować? Co ryzykować? Kim jesteście? Co tutaj robicie?

- FBI – odpowiedział Justin, wyciągając legitymację i podsuwającją Kuradinowi pod nos. Fanning zrobił to samo. – Teraz, jeśli pan pozwoli, chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

Kuradin przyjrzał się legitymacjom. Udawał, że powoli dochodzi do siebie. Przełknął głośno ślinę.

- O Boże – jęknął, dotykając dłonią spoconego czoła. – Myślałem, że chcecie mnie zabić.

- Nie, proszę pana, chcieliśmy tylko, żeby pan jak najszybciej znalazł się w tym pokoju.

Kłamstwo było szyte grubymi nićmi, ale Kuradin nie zamierzał odgrywać oburzonego obywatela. Im szybciej stąd wyjdą, tym lepiej. Zastanawiał się, czy któryś z nich jest Pielgrzymem, a jeżeli tak, to który.

- Czy mogę zobaczyć pański dowód?

Kuradin pokazał go. Najwyraźniej odkryli już jego fałszywą tożsamość. Zwracając się do niego przed chwilą, użyli nazwiska Fromme.

Po krótkiej wymianie zdań dotyczącej tego, kim jest i co sprowadza go do South Beloit, Justin przystąpił do pytań bezpośrednio związanych ze sprawą.

- Nie dalej jak dwadzieścia minut temu widziano pański samochód, wyjeżdżający z tego parkingu. Proszę nam powiedzieć, czy nie zobaczył pan albo nie usłyszał wtedy czegoś niezwykłego?

Kuradin zmarszczył brwi, jakby się głęboko namyślał.

- Nie. Nie przypominam sobie, żebym coś widział albo słyszał. Dlaczego pan pyta? Popełnione zostało jakieś przestępstwo?

Justin zignorował jego pytanie.

- Czy wyjeżdżając nie widział pan czegoś albo kogoś na parkingu? Kuradin zastanawiał się przez chwilę.

- Nie… chociaż zaraz… tak, widziałem. Widziałem dwóch ludzi zmieniających oponę. Ale to było jeszcze przed moim wyjazdem. Dokładnie rzecz biorąc, kiedy przyjechałem do motelu. Po dziesięciu lub piętnastu minutach wyjechałem ponownie. Wtedy już ich nie było.

- Dwaj mężczyźni zmieniający oponę? Pamięta pan, jak wyglądali?

Kuradin znów udał, że się namyśla.

- Nie za bardzo – odparł, potrząsając głową. – Jeden z nich był chyba gruby… Specjalnie mu się nie przyglądałem, ale wydaje mi się, że był dość gruby.

- Wysoki czy niski? – zapytał Justin. Kuradin ponownie się zastanowił.

- Niski. Niski i raczej ciemny. A może miał po prostu ciemne ubranie. Nie potrafię sobie przypomnieć. Ale jestem pewien, że był niski. – Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Jak niski? – zapytał Fanning. Kuradin potrząsnął głową.

- Naprawdę nie jestem w stanie sobie przypomnieć. Nie przyglądałem mu się dość uważnie. Odniosłem jednak wrażenie, że jest niski.

- A co może pan powiedzieć o tym drugim? Był niski czy wysoki, młody czy stary? – zapytał Fanning.

- Nie pamiętam – odparł, kręcąc głową.

- Powiedział pan, że było to mniej więcej… – Justin dokonał w myśli szybkiego obliczenia - …trzydzieści minut temu?

- Raczej trzy kwadranse – skorygował go Kuradin. Justin kiwnął głową do Fanninga.

- W porządku, panie Fromme, dziękujemy za współpracę – powiedział. – Przykro mi, że potraktowaliśmy pana tak brutalnie. Proszę przyjąć nasze przeprosiny.

- No, nie mogę powiedzieć, żeby mi się to spodobało – odparł Kuradin – ale przyjmuję.

- Czy będzie można się tutaj z panem skontaktować w ciągu kilku następnych dni? – zapytał Justin.

Kuradin kiwnął głową.

- Tak, aż do środy. Ale tylko wieczorem. W ciągu dnia muszę załatwiać interesy. Po środzie możecie się ze mną skontaktować w Baltimore. Zapisał pan przecież mój adres i telefon – stwierdził. – Na pewno nie zmieni pan zdania i nie zechce powiedzieć, o co tutaj chodzi? – zapytał z uśmiechem.

Justin potrząsnął głową.

- Jeszcze raz dziękuję, panie Fromme – powiedział.

Justin i Fanning wyszli z pokoju i ruszyli w stronę helikoptera, który wylądował po przyjeździe dodge'a 321onaco. Obok stał drugi, większy helikopter. Przyleciała nim przed chwilą ekipa Wydziału

Drugiego. Jej członkowie kręcili się po parkingu, sprawdzając wynajęty przez Bridgesa samochód i ten, w którego bagażniku odkryto zwłoki.

Wyjaśnienia Davida Fromme'a wydawały się całkowicie satysfakcjonujące, ale ten człowiek miał w sobie coś, co nie dawało Justinowi spokoju. Coś w nim było nie na miejscu, coś nie pasowało do reszty.

BIP!

- Tak, SENTINEL – odezwał się Justin.

- Sprawdziłem to, co powiedział Fromme – oznajmił cichy głos. – Jego dane osobiste i przyczyny, dla których przyjechał do South Beloit, są prawdziwe.

- Dziękuję, SENTINEL – odparł Justin. Ale dalej coś go niepokoiło. Coś się nie zgadzało, bardziej w samym panu Fromme, niż w jego opowieści.

Obaj agenci wsiedli do helikoptera i odlecieli w stronę Alphy.

*

Kuradin zastanawiał się nad sytuacją. Jeszcze do niedawna wszystko szło jak z płatka. Bridgesowi udało się bez przeszkód wydostać dokumenty, potem zaopiekowali się Rossem, przejęli informację od Bridgesa i zabili go. Ale na tym sukcesy się kończyły.

Zwłoki Bridgesa znalezione zostały zbyt szybko. Przy zastosowaniu odpowiednich preparatów możliwe było odkrycie, że śmierć nastąpiła w wyniku zatrucia kwasem pruskim. Godzinę później

stałoby się to niemożliwe. Na pewno odkryją przyczynę śmierci. Był o tym przekonany.

Spojrzał na zegarek. Mniej więcej przed godziną Leonid Trawkin ujawnił, że Otto Ten Braak znajduje się w Stanach Zjednoczonych i że powierzono mu misję specjalną. Śmierć Rossa, Bridgesa i mężczyzny na parkingu powinna ich naprowadzić na właściwy trop. Kuradin postarał się, żeby odciski Ten Braaka znalazły się na kilku przedmiotach - to musi skierować ich podejrzenia w odpowiednią stronę, nawet gdyby nie doszło do zaplanowanego przecieku.

Jeśli tylko nie wydarzy się coś nieprzewidzianego, następny etap planu powinien przebiec gładko. Centaur dysponował nadal wieloma innymi rozwiązaniami, a czas działał na jego korzyść.

Ale nie wiedział nic o ucieczce Dymitra Czachowskiego.

*

Od czasu naruszenia systemu ochronnego Alphy Elizabeth Ryerson mieszkała, zgodnie z poleceniem Honeycuta, w ośrodku. Chodziło głównie o jej bezpieczeństwo, na wypadek gdyby Bridges zdradził, jaka jest jej rola w projekcie. W gmachu mieścił się przeznaczony dla niej wygodny apartament, z którego korzystała i przedtem, kiedy wypadło jej pracować do późna w nocy. Zdarzało się to często, ponieważ ten budynek był jej całym światem. Fakt, że musiała spędzić w nim teraz trochę więcej czasu, nie stanowił dla niej żadnej niewygody. Właściwie była nawet z tego powodu zadowolona.

Wyczerpana i przygnębiona wydarzeniami dnia wcześnie położyła się spać. Niepokój, który odczuwała, sprawił, że ogarnęło ją zmęczenie i senność.

Spała ciężko i niespokojnie. Przed jej oczyma przesuwał się dziwny kalejdoskop koszmarów. Widziała Bridgesa, który drwiąco wymachiwał jej przed nosem schematami. Nie mogła ich odzyskać. Potem schematy zmieniły się nagle w małe dziecko, niemowlę, Bridges zaś w straszliwego potwora, który śmiejąc się, oddzierał z niego ostrymi zakrzywionymi zębami kawały mięsa. Pożerał jej dziecko, a ona stała bezradna, nie mogąc go powstrzymać.

Ten sam obraz powtarzał się bez końca. Elizabeth rzucała się w łóżku i płakała. Sen znowu się zmienił. W pokoju pojawił się ktoś trzeci. Wysoka ciemna postać, która przybywała jej z pomocą. To był Justin.

Wyciągnął pistolet i na pysku potwora odmalowało się przerażenie. Mimo swej monstrualnej siły był wobec Justina zupełnie bezbronny. W ciągu jednej chwili było po wszystkim. Bridges zniknął z jej snu wraz z odgłosami wystrzałów. Zniknął na zawsze – horror skończył się.

Justin podszedł do łóżka, w którym leżała naga na pościeli. Nagle znalazł się obok niej. Wepchnął nogę między uda Elizabeth i zbliżył pistolet do jej twarzy.

A potem wcisnął mocno nogę w jej krocze i przysunął pistolet jeszcze bliżej, tak że lufa niemal dotykała jej ust. Bała się i

jednocześnie odczuwała wdzięczność za to, że ją uratował. Ale teraz domagał się zapłaty.

Pociągnął ją do tyłu za długie kasztanowate włosy i przytknął lufę do jej warg. Przepełniona lękiem i wdzięcznością rozchyliła je. Zaczął delikatnie poruszać pistoletem, wsuwając go w jej usta za każdym razem głębiej i głębiej. Z początku się opierała, ale wkrótce uległa.

Czując, jak ogarnia ją podniecenie, zaczęła pieścić lufę ustami i językiem. Pistolet wnikał w nią coraz głębiej. Jej głowa poruszała się miarowym ruchem, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Zimny, twardy metal zaczął się zmieniać w coś innego, równie twardego, ale cieplejszego i większego. To nie był już pistolet, ale penis Justina.

Ogarnięta dziką pasją objęła go wargami, czując, że go pragnie, że go potrzebuje.

Penis stawał się coraz większy i większy, aż w końcu przestał mieścić się w jej ustach. Justin położył się na Elizabeth, rozchylając szeroko jej nogi. Wiła się na łóżku, bliska eksplozji, czując, jak wsuwa w nią swój wciąż powiększający się organ, a potem zaczyna się miarowo poruszać. Rozmiary jego członka były wprost niewiarygodne; rozrywał ją i ranił, lecz mimo to dostarczał rozkoszy, jakiej nigdy dotąd nie zaznała.

- Och, Justin… Justin. Pieprz mnie. PIEPRZ MNIE… PIEPRZ MNIE! – jęczała.

Obudziła się nagle, czując orgazm. Wydawało jej się, że nigdy się nie skończy.

Leżała potem długo na łóżku, spocona i odrętwiała. Nigdy jeszcze nie doświadczyła czegoś równie intensywnego. Wiedziała, że nie zapomni tego snu do końca życia.Wstała, podeszła do toaletki i usiadła przed lustrem. Była zupełnie wyczerpana. Dalszy sen wydawał się teraz niemożliwy.

Po kilku chwilach zaczęła szczotkować włosy. Przez jej głowę przesuwały się w zwolnionym tempie fragmenty snu. Odłożyła szczotkę i dotknęła palcami ust i języka, a potem zaczęła pieścić piersi. Obrazy ze snu odżywały w niej na nowo.

Znów widziała Justina, widziała jego pistolet, widziała jego penis.

Jej ręka powędrowała między nogi. Przypominając sobie szczegóły snu, zaczęła się masturbować. Najpierw dwoma palcami, potem trzema i czterema. Jęcząc z rozkoszy, zamknęła oczy, żeby skoncentrować się lepiej na swoich doznaniach. Pięć palców – a potem cała pięść.

- Tak… tak. Och, Justin… tak. Proszę cię… proszę, Justin!

*

Pielgrzym zapłacił kierowcy i wysiadł z taksówki przy Walton Street w Chicago. Rozejrzał się i ruszył na wschód, w stronę Lake Shore Drive. Tam właśnie mieszkał Bridges. Miał zamiar odwiedzić jego apartament.

Zbliżała się godzina pierwsza w nocy; kwietniowe powietrze było rześkie i przyjemne. Szedł nie spiesząc się i rozmyślając o Davidzie Frommie. Zwierzył się ze swoich wątpliwości Fanningowi.

„Może to ten jego palec”, powiedział Borsuk. To właśnie Fanning zauważył, że lokatorowi pokoju sto pięćdziesiąt pięć brakuje małego palca u lewej ręki. Patrząc na kikut, Ted również miał poczucie jakiegoś dziwnego zakłócenia równowagi. Tak jakby naruszona została symetria. „Tak, może to ten palec”, zgodził się Justin. Ale Fromme dalej nie dawał mu spokoju.

SENTINEL sprawdził tego człowieka bardzo dokładnie. Wszystko, co od niego usłyszeli, okazało się prawdą, łącznie z nazwiskami i wiekiem dzieci. Biznesmen podał nawet właściwe daty ich urodzin. Może to rzeczywiście ten jego palec, pomyślał Justin.

Zamajaczył przed nim wysoki blok, w którym mieszkał Bridges. Podniósł wzrok. Dom wydawał się bardzo ekskluzywny.

Nikt nie wiedział o jego nocnej wyprawie. Po powrocie do Alphy i zdaniu ustnego raportu SENTINELOWI i Honeycutowi, odwieziono ich obu do klubu. Noc mieli spędzić w Chicago, czekając na wyniki przeprowadzonego przez Wydział Drugi dochodzenia. Praca miała trwać przez całą noc.

Po zjedzeniu późnej kolacji i wypaleniu kilku wyśmienitych cygar Teda uznali, że czas położyć się spać. Justin nie powiedział Fanningowi o strzępach papieru, które znalazł w South Beloit. Nie wspomniał o tym również w raporcie. Wiedział, że nie powinien zachowywać dla siebie tej informacji, ale zbyt wiele było niewiadomych, które nie dawały mu spokoju.

Największą z nich była sprawa dziennika. Dlaczego Pegaz nie chciał przyjąć do wiadomości, że nie ma go w domu Spartanina?

Musiał go zabrać zabójca, to oczywiste. Istniały również pewne znaki zapytania, jeśli chodzi o sam zamach. Nie wydawało się prawdopodobne, żeby zabójcy udało się zablokować łączność ze Spartaninem. Z tego, co mówiła Ryerson, wynikało, że nie sposób nawet wykryć pasma, na którym jest utrzymywana. Tym bardziej niemożliwe było jej zablokowanie. Ostatnią rzeczą, która go niepokoiła, była tamta wydarta kartka. Plan Sowietów w stosunku do Bridgesa był jasny. Spotkać się z nim, zabić go i uciec, sprawiając wrażenie, że w ogóle nie doszło do kontaktu. Dlaczego w takim razie wyrwali tę kartkę? Co takiego zawierała, że postanowili zachować w tajemnicy jej istnienie? Jedno było pewne: SENTINEL nic o tym nie wiedział. Justin doszedł do wniosku, że wyjaśnienia należy poszukać w apartamencie Bridgesa.

Przeszedł przez pierwsze szklane drzwi. Drugie były zamknięte, ale ponieważ nie było portiera, Justin otworzył sobie sam. Znalazłszy się w środku, podszedł do skrzynek na listy i odszukał tę, która należała do Bridgesa. Apartament 16F. Ruszył szybkim krokiem do wind.

Apartament Bridgesa był przestronny i elegancko umeblowany. Pielgrzym przeszedł się najpierw po całym mieszkaniu, żeby poznać jego rozkład. Potem rozpoczął przeszukiwanie. Zaczął od drugiej, nie używanej sypialni, w której urządzony był gabinet.

Po trzech godzinach wciąż niczego nie znalazł. Uważał, żeby nie zmienić położenia żadnego przedmiotu. Wszystko zostawiał dokładnie

tak, jak było. Do sprawdzenia miał już tylko jedno pomieszczenie, kuchnię.

Wszedł do środka i zapalił światło. Natychmiast uderzyło go coś niezwykłego, coś, co nie pasowało do tego miejsca. Na kuchennym blacie stała maszynka do próżniowego pakowania mięsa. Wtyczka wciąż tkwiła w kontakcie. Takich rzeczy nie widuje się na ogół w mieszkaniu kawalera. Podszedł do zamrażalnika i otworzył go. Był pusty. Przyjrzał się ponownie maszynce i leżącej obok paczce z dużymi plastikowymi torebkami. Była do połowy opróżniona, ale otworzono ją bardzo niedawno. W koszu na śmieci leżały resztki opakowania.

Pobiegł do łazienki i uniósł pokrywę rezerwuaru. W środku było to, czego szukał.

Wyjął plastikową torbę. Zawierała złożoną pojedynczą kartkę papieru. Rozdarł torbę scyzorykiem, rozłożył kartkę i zaczął czytać.

W tekście roiło się od dat i kryptonimów. Zatytułowany był OPERACJA RAPTOR. To także nic mu nie mówiło. Następnaczęść nosiła tytuł NIEDERLAGE - 1941. Poniżej znowu zaczynała się długa lista kryptonimów i dat, od roku 1941 aż do chwili obecnej. Nic z tego nie rozumiał, ale domyślał się, że trzyma w ręku ważny dokument. Sięgające drugiej wojny daty trochę go zaniepokoiły, zwłaszcza że szukali napisanego po niemiecku dziennika. A potem przypomniał sobie o brakujących torbach - i o drugiej łazience, która przylegała do sypialni Bridgesa.

Kilka sekund później unosił pokrywę drugiego rezerwuaru. Ukryte w nim były pozostałe torby.

Rozdział 23

Po wojnie świat przekonał się, ze mieliśmy rację co do Rosjan. Zachodni alianci odbudowali Niemcy tak szybko, jak to tylko możliwe, aby chroniły Europę przed zalewem komunizmu. Ale nie wiedzieli, że odbudową Niemiec kierują starzy naziści i że hitlerowska młodzież wchodzi w wiek męski. Użyli swych wpływów i pieniędzy, aby umieścić czołowych nazistów na stanowiskach, które zapewniały im kontrolę nad krajem. Rozumieli, że tylko my możemy odbudować silne Niemcy. W opinii reszty świata ocaleli tylko „dobrzy Niemcy". Myślę, że wielu w to wierzyło... bo bali się wierzyć w coś innego.

Ustęp 39 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Mrok ustępował przed jasnymi promieniami poranka. W stanie New Jersey zapowiadał się chłodny, lecz pogodny dzień.

Potężny ciągnik siodłowy - Mack z doczepioną chłodnią zjechał z Interstate 80 na mały parking przy Roxbury Township. Ciężarówka jechała przez całą noc z Beloit, Wisconsin, najpierw drogą 1-90, potem 1-80, mijając pod drodze stany Illinois, Ohio i Pensylwania. Cała podróż zajęła ponad dwanaście godzin.

Pasażer i kierowca wyskoczyli z szoferki i oddalając się od autostrady wspięli się po łagodnym zboczu w stronę kępy pozbawionych liści drzew. Weszli jakieś dziesięć jardów w głąb zagajnika i zatrzymali się. Obaj jednocześnie rozpięli spodnie i pofolgowali sobie po długiej podróży.

Kierowca, chudy i podobny do pająka, miał niewielką, podłużną głowę i tak krótko obcięte włosy, że z daleka można go było wziąć za łysego. Kilkudniowy zarost na twarzy nie różnił się długością od szarej szczeciny na głowie. Długi, haczykowaty nos zdawał się wskazywać miejsce, w które uderzał strumień moczu. Małe, wąskie oczy były znużone i matowe. Facet sprawiał wrażenie prostego i niewykształconego.

Jego towarzysz był niski i gruby. Z wysuniętymi do przodu ramionami polewał pień młodego drzewa, trzymając w obu dłoniachczłonek. Po chwili prawa ręka cofnęła się do tyłu, wślizgnęła do kieszeni i odnalazła znajomą drewnianą rękojeść.

Skończył pierwszy i dał krok do tyłu. Wyjął broń z kieszeni i zdjął z niej futerał. Ostrze gotowe było do zadania ciosu. Podobny do pająka facet wciąż wbijał oczy w nie kończący się strumień moczu.

Uderzenie było szybkie niczym atak kobry. Kierowca zginął, zanim zdał sobie sprawę ze źródła nagłego, ostrego bólu. Kiedy padał na ziemię, spomiędzy jego nóg wciąż sączyła się żółta struga.

Ten Braak wrócił do ciężarówki i wdrapał się na fotel kierowcy. Wyjechał z powrotem na 1-80 i ruszył w stronę Nowego Jorku.

Zostawił za sobą kolejnego człowieka, który już nigdy nie rozpozna jego twarzy.

Na St Simon Island w Georgii dochodziła godzina 8:00. Mały podziemny kompleks stanowił arcydzieło sztuki inżynieryjnej. Z powodu wysokiego poziomu wód podskórnych tego rodzaju ośrodek nie powinien tu w ogóle powstać. Nikomu nie przyszłoby do głowy go tutaj szukać i to stanowiło jedną z przyczyn, dla których zbudowano go właśnie w tym miejscu.

Kompleks był pododdziałem SENTINELA. Znacznie mniejszy od Alphy, służył w zasadzie wyłącznie jako ośrodek medyczny; jego wyposażenie pozwalało na zajęcie się każdym nagłym wypadkiem. Kiedy zachodziła konieczność przyjęcia osoby, której istnienie i miejsce pobytu należało zachować w tajemnicy przed innymi działającymi na terenie Stanów Zjednoczonych agencjami wywiadowczymi, tak jak to było w przypadku Dymitra Czachowskiego, w ośrodku dokonywano również wstępnych przesłuchań. Zdarzało się to jednak dosyć rzadko..

Całym kompleksem kierował doktor medycyny Becker Dials, wybitny specjalista chorób serca. Był także dyrektorem kliniki kardiologicznej, która mieściła się nad ośrodkiem SENTINELA.

Doktor Dials podniósł słuchawkę telefonu, który łączył go specjalną linią z kompleksem Alphy.

- Halo, mówi Dials. Czy to ty, Irv?

- Cześć, Buck - rozległ się ochrypły głos Honeycuta. - Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe tak wczesnego telefonu?

- Skądże znowu - odparł Dials. - Pracujemy już od godziny.

- Przyjemnie słyszeć, że w służbie dla ojczyzny dajecie z siebie wszystko - zakpił Honeycut. - Od paru dni wszyscy jesteśmy zawaleni robotą. Jak się miewa Czachowski? - zapytał.

- Obawiam się, Irv - zaczął Dials - że nie mam zbyt pocieszających wiadomości. Nie mieliśmy czasu, żeby wykonać wszystkie testy, ale obraz jest i tak dość jasny. Jak może wiesz, ***angina pectoris*** spowodowana jest przez mniejsze lub większe zwężenie naczyń wieńcowych, zwłaszcza jeśli dotyczy obszaru zaopatrywanego przez lewą tętnicę wieńcową. Na EKG Czachowskiego widać uniesienie odcinka ST, co sugerowałoby możliwość świeżego zawału, ale po krótkiej chwili wykres powraca do stanu normalnego.

- Powiedz po prostu, co jest z nim nie w porządku - przerwał mu z lekką niecierpliwością w głosie Honeycut.

- Ma anginę Prinzmetala. Założyliśmy mu teraz Holtera, żeby zaobserwować więcej symptomów. Ta forma anginy nie jest spowodowana arteriosklerozą głównych naczyń wieńcowych. W tym przypadku arterie wieńcowe są zupełnie normalne, a przyczyną nieprawidłowej pracy serca jest chwilowy skurcz tętnicy wieńcowej. Stopień zmian można określić, obserwując wysokość uniesienia odcinka ST.

- Jakie są rokowania? - zapytał Honeycut.

- Około pięćdziesięciu procent chorych umiera w ciągu pierwszego roku - odparł Dials. - Jeśli szybko się nim nie zajmiemy, znajdzie się w tej grupie.

- Co chcecie zrobić?

- Najlepszym rozwiązaniem... jedynym rozwiązaniem w tej sytuacji byłby *by-pass,* czyli obejście zagrożonego obszaru za pomocą przeszczepu żyły odpiszczelowej.

- Jakie jest ryzyko? - zapytał Honeycut.

- No cóż, przy tego rodzaju operacji zawsze istnieje pewne zagrożenie...

- Jakie jest ryzyko? - powtórzył Honeycut.

- Jeśli uda nam się zredukować prawdopodobieństwo zawału i zużycie tlenu przez mięsień sercowy, zagrożenie będzie wynosiło około pięciu procent - powiedział Dials.

- To brzmi nie najgorzej. Jak szybko możecie to zrobić?

- Najpierw musimy zrobić arteriografię naczyń wieńcowych, żeby ustalić stopień, w jakim uległo zakłóceniu funkcjonowanie lewej komory. Redukcja zużycia tlenu przez mięsień sercowy potrwa co najmniej dwa tygodnie i wymaga ciągłego przebywania w łóżku. Jeśli uda nam się w sposób zadowalający ustabilizować jego stan, operacja może się odbyć za trzy tygodnie.

- Czy może zostać w tym czasie przesłuchany?

- Nie - odparł Dials.

- Nie może nawet mówić? - zapytał z niedowierzaniem Honeycut.

- Może mówić, ale rzeczy, o które chcecie go zapytać, spowodują niewątpliwie poważny stres. Równie dobrze moglibyście kazać mu wbiec na szczyt wysokiej góry. Potrzebny mu bezwzględny spokój.

- Są pewne rzeczy, Buck, których musimy się od niego dowiedzieć. Potrzebujemy tych informacji natychmiast. Reszta może poczekać. Czy możemy go przesłuchać, jeśli ograniczymy nasze pytania tylko do jednej sprawy? - zapytał Honeycut.

Dials przez chwilę się namyślał.

- No cóż, wydaje mi się to możliwe. Rozciągnijcie to tylko trochę w czasie, żeby go nie zmęczyć.

- Dzięki, Buck. Obiecuję, że postaramy się, żeby wszystko przebiegło szybko i gładko. Czy możemy zacząć już dzisiaj?

- Rano chcieliśmy poddać go kilku badaniom. Dajcie mu parę godzin odpoczynku po lunchu. Potem możecie zaczynać. Ale ostrzegam: nie denerwujcie go. Im dłużej potrwa stabilizacja, tym później będziemy mogli go operować. A w jego stanie liczy się każdy dzień.

- Będziemy o tym pamiętać. Dziękuję, Buck - odparł Honeycut, odkładając słuchawkę. I tak dowiemy się tego, czego chcemy, pomyślał.

*

Justin wstał godzinę przed śniadaniem, które miał zjeść razem z Fanningiem. Wykorzystał ten czas, żeby wysłać dużą brązową kopertę na adres swojej starej skrytki pocztowej, którą posiadał jeszcze od

studenckich czasów. Nie chciał wyzywać losu, nosząc przy sobie dokumenty, znalezione w apartamencie Bridgesa.

Nie spiesząc się, razem z Fanningiem zjedli śniadanie w klubie. Potem przyjechała limuzyna, która zabrała ich do Alphy.

Po przejściu przez punkt kontrolny skierowali się prosto do Sali seminaryjnej, w której Elizabeth Ryerson wygłosiła im poprzedniego dnia wykład o SENTINELU. Honeycut poinformował ich, że razem z doktor Ryerson zaraz do nich dołączą.

W pokoju przylegającym do Sali seminaryjnej odbył z Elizabeth krótką rozmowę.

- Jesteś tego pewna? – zapytał.

- Absolutnie – odparła Elizabeth. – Wczoraj w nocy, mniej więcej czterdzieści minut po dwunastej wyszedł z klubu. SENTINEL przez cały czas go śledził. Nie ulega wątpliwości, że odwiedził apartament Bridgesa.

Honeycut wlepił wzrok w ścianę. Zastanawiał się, czego Justin mógł szukać w apartamencie naukowca.

- Jakie hipotezy przedstawił SENTINEL? – zapytał.

- To było przeszukanie – odpowiedziała Elizabeth. – Przetrząsnął cały apartament. Trwało to ponad trzy godziny. Potem zjadł razem z Fanningiem śniadanie i przyjechał do Alphy.

- Czy są jeszcze jakieś inne hipotezy?

- Nie. Ale dokonaliśmy pewnego zaskakującego odkrycia. Podczas badania dokumentów, które przywieziono z Beloit, odkryto włókna pod spinaczem łączącym kartki. Najwyraźniej znajdował się

tam jeszcze jeden arkusz papieru. Inny niż ten, na którym były schematy, ale taki sam, jak czysta kartka, która stanowiła okładkę – powiedziała Elizabeth.

- Czy Pielgrzym mógł wyrwać tę kartkę w motelu, zanim włożył resztę do pudełka?

- Nie. Usłyszelibyśmy to. Poza tym cząsteczki kurzu pobrane z ostatniego arkusza zgadzają się z tymi, które pobraliśmy z blatów komody i stolika. Kartkę wyrwano przed jego przyjściem.

Honeycut potrząsnął głową.

- Nie będziemy podejmować żadnych kroków, zanim nie ustalimy, o co mu chodzi. Tymczasem wyślij do apartamentu Bridgesa ekipę Wydziału Drugiego. Może uda im się coś znaleźć.

Elizabeth i Honeycut przyłączyli się do oczekujących w Sali seminaryjnej Justina i Fanninga.

- Dzień dobry, panowie – powiedział Honeycut. – Mam nadzieję, że spaliście dobrze. Czeka was dzisiaj kolejny pracowity dzień. – Spojrzał na Justina. Wyglądał zadziwiająco świeżo jak na człowieka, który spędził na nogach prawie całą noc. – Mamy już raport z sekcji zwłok, a Wydział Drugi zakończył analizę tego, co odnaleziono na miejscu zbrodni. Czy mogłabyś zapoznać ich z wynikami, Beth? – poprosił.

Elizabeth kiwnęła głową. Na krótką chwilę jej oczy zetknęły się z oczyma Justina. Przez kilka sekund szarpały nią sprzeczne uczucia; wstyd i lęk walczyły z pożądaniem, do którego nie chciała się otwarcie przyznać. Ale oczy Justina były nieprzeniknione i chłodne

jak granit. Nie było w nich ani śladu uczucia, którego podświadomie szukała. Nie mogła mu ufać. Tajemna fascynacja zaczęła się przekształcać w nienawiść. Nie uda mu się więcej jej dotknąć.

- Sekcję przeprowadzono jakieś pięć godzin po odkryciu zwłok – powiedziała. – Zgodnie z naszymi przewidywaniami wykazała, iż śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych. Wiemy jednak, że prawdziwą przyczyną było zatrucie kwasem pruskim. Jego pozostałości odkryliśmy na włoskach, które wyrwał pan z nosa Bridgesa. Ale gdybyście przybyli godzinę później, nie udałoby się tego wykryć. Dokument odzyskaliśmy w całości – mówiła dalej. – Odnalezione na nim i w pokoju odciski pozwalają ponad wszelką wątpliwość ustalić tożsamość jednej z osób, z którymi spotkał się Bridges.

- Przepraszam – przerwał jej Justin. – Jednej z osób? Czy było ich więcej?

- Tak. SENTINEL przedstawił na ten temat teorię opartą na kilku drobnych dowodach. Drugi łącznik był naprawdę sprytny. Nie zostawił prawie żadnych śladów oprócz kilku włókien z ubrania na krześle. Ale SENTINEL odkrył, że wszystkie odciski palców na dokumencie pozostawione zostały przez kogoś, kto patrzył na niego z odwrotnej strony. To oznacza, że musiał być jeszcze ktoś inny, kto miał go przed sobą. Plik kartek był zbyt gruby i nieporęczny, żeby można było fotografować poszczególne arkusze bez pomocy przytrzymującej je drugiej osoby. Analiza spinacza wykazała, że nie był usuwany.

Identyfikacja pierwszego łącznika jest bardzo łatwa. Pozostawił odciski nie tylko w pokoju, ale również na podnośniku i pokrywie bagażnika samochodu, w którym odnaleziono zwłoki. Nie ma zatem wątpliwości, kto popełnił morderstwo.

Justin spojrzał na Fanninga, a potem na Elizabeth Ryerson.

- Sądzi pani, że tą drugą osobą może być Fromme?

- Z początku uważaliśmy to za całkiem prawdopodobne. Ale jego opowieść zgadza się do najdrobniejszego szczegółu. Kiedy opuści dzisiaj motel, wejdziemy do jego pokoju, żeby pobrać próbki włókien odzieży. Osobiście wątpię jednak, czy uzyskamy jakieś pozytywne rezultaty. SENTINEL przeanalizował kilka możliwości – kontynuowała Elizabeth – ale w końcu doszedł do wniosku, że na pewno był tam ktoś drugi. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że chcą nas przekonać, iż Bridges zmarł z przyczyn naturalnych, jeszcze zanim doszło do kontaktu. Zbyt wiele jednak pozostawiono odcisków palców. SENTINEL wysunął w związku z tym hipotezę, która wydaje nam się bardzo prawdopodobna. Jego zdaniem, gdybyśmy nie dali się nabrać na pierwszą wersję, celem planu było zwrócenie naszej uwagi na pozostawione w pokoju ślady. Naprowadziłyby nas one na trop pierwszego łącznika, a gdy zajęlibyśmy się jego ściganiem, drugi bezpiecznie wydostałby się z kraju.

- W takim razie mógł stąd już dawno wyjechać – oświadczył Fanning.

Elizabeth kiwnęła głową.

- Mógł, ale raczej tego nie zrobił – powiedziała. – Dokument zostanie prawdopodobnie kilkakrotnie skopiowany, a kopie umieszczone na mikrodotach. Dzięki temu dwóch albo trzech agentów, nie zaangażowanych w pierwszą fazę planu, bezpiecznie przemyci je później do Rosji. Film może zostać poddany obróbce tutaj albo w Kanadzie, a następnie przekazany kurierom, którzy udadzą się najprawdopodobniej w odwrotnym kierunku niż nasz podejrzany.

Sytuacja wydała się Justinowi niewesoła. Nie widział żadnej możliwości powstrzymania kurierów.

- Na szczęście – ciągnęła Elizabeth – wiemy o ich siatce wywiadowczej o wiele więcej, niż im się wydaje. Wiemy, gdzie znajdują się współpracujące z nimi laboratoria fotograficzne i kto je prowadzi. Zaangażowaliśmy do akcji wszystkich pozostających w tej chwili do dyspozycji agentów SENTINELA. Laboratoria zostały obstawione. Przygotowani jesteśmy do ich zniszczenia. I zrobimy to, aby uniemożliwić im dalsze funkcjonowanie. Honeycut spojrzał na zegarek.

- Prawdę mówiąc, panowie, już to się stało. Mniej więcej przed kwadransem.

Elizabeth spojrzała na nich.

- W tej sytuacji nasz nieznany agent zostanie z nie wywołanym filmem w ręku. Cały jego plan weźmie w łeb. Będzie musiał improwizować – stwierdziła.

- A co z tym drugim, tym, który został zidentyfikowany? – zapytał Justin.

- Opowie wam o nim Pegaz – powiedziała.

- Powinien zainteresować zwłaszcza ciebie, Borsuk – zaczął Honeycut. – To Otto Ten Braak.

Fanning poczuł, jak przeszywa go nagły dreszcz. Spotkał się już z Ten Braakiem wcześniej, sześć lat temu – i przegrał. Został ciężko, prawie śmiertelnie ranny w misji, w której inny agent SENTINELA stracił życie. Prawie rok się kurował, zanim wrócił do służby. Rzeczą, której pragnął bardziej niż czegokolwiek w życiu, była możność wyrównania rachunków z Ten Braakiem. Ale tamto spotkanie zostawiło w nim również wyraźny uraz. Nabrał do tego człowieka respektu – i bał się go.

- Dokąd pojedziemy? – zapytał.

- Do Nowego Jorku – odparł Honeycut. – Udało nam się uzyskać bardzo ważną wiadomość w Moskwie. Nasz agent ma tam zajmującego wysokie stanowisko informatora. Potwierdził on, że Ten Braak wysłany został z misją do Stanów Zjednoczonych. We wtorek ma się spotkać z łącznikiem w Nowym Jorku. Mamy listę lokali, w których może się zatrzymać. A także kryptonim łącznika, który ma się z nim skontaktować. Na szczęście wiemy, jak naprawdę nazywa się ten łącznik, więc jego odnalezienie nie powinno sprawić większych trudności.

- A co z drugim agentem?

- Cały czas nad tym pracujemy. Agent w Moskwie jest jednym z naszych najlepszych pracowników. Najlepszym, jakiego mamy w Rosji. Jest duża szansa, że uda mu się odkryć jego tożsamość. Naszym

zdaniem drugi agent zatrzyma się tutaj jeszcze przez kilka dni, w ciągu których zorganizowany zostanie jego przerzut do Rosji. Będzie próbował wykorzystać ten czas, żeby umieścićkopie dokumentu na mikrodotach. A my dysponujemy wystarczającymi siłami, żeby go odszukać – zakończył Pegaz.

- Kiedy wyjeżdżamy? – zapytał Justin.

- Natychmiast – odparł Honeycut. – Zatankowany lear czeka na lotnisku Meigs. Wasz samochód został przewieziony z Newark na lotnisko Teterboro w New Jersey. Dalsze instrukcje dostaniecie przed wylądowaniem w Teterboro.

Trzydzieści pięć minut później lear wystartował. Rozwinąwszy maksymalną prędkość, wziął kurs na Teterboro. Rozpoczął się pierwszy etap pościgu.

Rozdział 24

Polowania na nazistów prowadzone były przez wiele lat po wojnie. Często rozpoczynał je specjalny oddział Niederlage, kierując w ten sposób uwagę na odpowiednich ludzi, a dokładniej, odwracając ją od tych, na których nam naprawdę zależało. Jedną z naszych najbardziej udanych operacji było porwanie Eichmanna. Licznym nazistom udało się uciec przed holocaustem, wielu z całkiem pokaźnymi fortunami „skradzionymi" z naszego skarbca. Ochraniać ich miała specjalna sekcja Niederlage. W tym celu

powstały również organizacje Die Spinne i Odessa. Czerpaliśmy z tych zasobów, żeby podtrzymać tlący się ogień.

Ustęp 40 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Justin bacznie wpatrywał się w twarz przyjaciela, który siedział za sterami zmodyfikowanego leara. Jego reakcja na wiadomość Honeycuta o Ten Braaku dała mu wiele do myślenia, ale nie zamierzał Teda o nic wypytywać. Jeśli Fanning miał ochotę mu się zwierzyć, zrobi to bez ponaglania. Nadal obserwował jego twarz. W jego oczach zauważył coś, czego nie widział nigdy przedtem. Strach.

- Domyślam się, że masz ochotę dowiedzieć się czegoś więcej – odezwał się nagle Fanning.

- Na jaki temat? – zapytał z głupia frant Justin. Fanning zerknął na niego kątem oka.

- Wiesz dobrze, że mam na myśli Ten Braaka. I dlaczego to dla mnie takie ważne, że właśnie jego ścigamy.

- Jeśli chcesz o tym porozmawiać, proszę bardzo – odparł Justin. Zapadło kolejne długie milczenie.

- To było sześć lat temu – powiedział w końcu Fanning. – Agencja rozpoczynała dopiero swoją działalność i nie byliśmy jeszcze tak nafaszerowani techniką jak teraz. Wysłali mnie wtedy do Afryki Południowej – mówił dalej. – Opiekowaliśmy się jakimś przemysłowcem, nazywał się Lothengarr. Było nas dwóch, ja i facet o nazwisku Nicolosi. To była jego pierwsza robota. Sprytny, przystojny

chłopak. – Oczy Fanninga odpłynęły na chwilę w dal. – TenLothengarr był z jakiegoś powodu ważny dla agencji. Ktoś chciał go załatwić, więc wysłano nas, żebyśmy go chronili. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, dlaczego chcieli to zrobić. Zresztą to nieważne.

Lothengarr uwielbiał długie spacery po plaży, więc codziennie zawoziliśmy go jego limuzyną nad morze. Wysiadaliśmy z samochodu, spacerowaliśmy, a potem wracaliśmy do jego posiadłości na lunch. Robiliśmy to regularnie przez dwa tygodnie. To była dla nas całkiem miła, przyjemnie spędzona godzina.

Tego dnia pojechaliśmy długą polną drogą, która prowadziła na jego ulubioną dziką plażę. Do najbliższej szosy były jakieś trzy mile. Po drodze minęliśmy popsuty samochód. Miał podniesioną maskę, a niski gruby facet grzebał w silniku. Pamiętam, że spojrzałem na niego, kiedy przejeżdżaliśmy. Wyglądał, jakby upał solidnie dawał mu się we znaki. Cały pokryty potem, smarem i piaskiem. Biedny sukinsyn, pomyślałem.

Przejechaliśmy jeszcze tą drogą jakieś czterysta, pięćset jardów i zatrzymaliśmy się. Droga była kręta jak diabli i wszędzie rosły gęste krzaki. Z miejsca, w którym zaparkowaliśmy, nie widzieliśmy już ani tego faceta, ani jego samochodu. Przeszliśmy wąską ścieżką na plażę i ruszyliśmy brzegiem morza, ja z przodu, Nicolosi z tyłu, a Lothengarr w środku, oddalony o jakieś dwadzieścia stóp od każdego z nas.

Obserwowaliśmy przez cały czas, czy nic nie rusza się w zaroślach i czy od strony morza nie podpływają jakieś łódki. Plaża miała około stu pięćdziesięciu stóp szerokości i była naprawdę długa.

Było tam jednak jedno miejsce, zaraz za naturalnym falochronem, gdzie nagle zwężała się i biegła wokół półkolistej zatoczki. Drogę w głębi lądu zasłaniały zarośla.

Kiedy dotarliśmy do tej zatoczki, wyprzedziłem ich może o jakieś sto pięćdziesiąt stóp. Zrobiłem to, żeby sprawdzić teren, zanim Lothengarr podejdzie bliżej. Szedłem wzdłuż brzegu zatoczki i wtedy po raz pierwszy zauważyłem, że drogę jednak widać z plaży. Krzaki były tutaj trochę rzadsze i morze dochodziło prawie do samej drogi. Zdałem sobie z tego sprawę, bo zobaczyłem znowu ten popsuty samochód. Nigdzie nie było jednak widać grubego faceta. Zobaczyłem za to kobietę i małą dziewczynkę, które kąpały się w zatoczce. Pomyślałem, że są razem z grubasem i że on wypoczywa gdzieś w cieniu albo coś w tym rodzaju.

Szedłem dalej wzdłuż zatoczki, zbliżając się do drogi i wypatrując grubasa. Coś w tym wszystkim zaczęło mi się nie podobać. Odwróciłem się i chciałem pomachać Nicolosiemu i Lothengarrowi, żeby zaczekali, dopóki nie sprawdzę terenu, ale minąłem już cypel i zniknęli mi z pola widzenia. Człowiek uświadamia sobie wszystkie takie małe błędy dopiero poniewczasie.

Szedłem dalej, aż zbliżyłem się do wyższych i bardziej gęstych zarośli. Zobaczyłem Lothengarra i Nicolosiego. Czekali przy cyplu. Właśnie miałem do nich pomachać, kiedy ujrzałem grubasa. Stał tam w cieniu drzew, trzymając coś w rękach. To było zbyt długie jak na jakieś samochodowe narzędzie. Zmrużyłem oczy, bo słońce świeciło mi prosto w twarz, i zobaczyłem na jego twarzy uśmiech. A potem

ujrzałem, jak podnosi ten przedmiot. To był karabin. Zobaczyłem go zbyt późno. Sięgnąłem po pistolet, ale zanim zdążyłem oddać strzał, rzuciło mnie do tyłu. Nic nie czułem, straciłem od razu przytomność, nie usłyszałem nawet strzału – powiedział Fanning.

Nie widział, co się stało później. Ten Braak załatwił Nicolosiego strzałem w głowę i zaraz potem wpakował dwa naboje w Lothengarra. Ale nie skończył na tym. Została jeszcze kobieta i mała dziewczynka, którym zapłacił wcześniej, żeby mu towarzyszyły.

- Wylądowałem w szpitalu. Ten Braak był przekonany, że mnie zabił. Załatwił ich wszystkich: Lothengarra, Nicolosiego, kobietę i dziecko. Lekarze powiedzieli, że ja też powinienem umrzeć. Pocisk trafił w górną lewą część klatki piersiowej. Roztrzaskał żebro, przebił płuco i wyszedł przez łopatkę. Operowali mnie przez sześć godzin, wyciągając fragmenty kości i kawałki ołowiu. Ale wykaraskałem się jakoś. Dopiero po roku powierzyli mi następne zadanie. Od tego czasu wiele się dowiedziałem i usłyszałem o Ten Braaku – dodał Fanning. – Traktowałem to jako swój zawodowy obowiązek.

Justin przejrzał ***dossier*** Ten Braaka w drodze na lotnisko. Teczka była dość gruba i wynikało z niej, że będą mieli do czynienia z jednym z najbardziej niebezpiecznych morderców na świecie. Mimo niepozornego wyglądu nie ustępował szybkością i zwinnością kotu, a jego ręce bezbłędnie wyszukiwały śmiertelne miejsca na ludzkim ciele. W młodości nikt nie mógł się z nim równać. Z wiekiem stał się trochę powolniejszy. W aktach zaznaczono, że niedługo prawdopodobnie zostanie wysłany na „emeryturę".

Przez następnych kilka minut Fanning uzupełniał dane zawarte w ***dossier,*** relacjonując kilka wyczynów Ten Braaka, o których dowiedział się w ostatnich latach.

- Jedno mogę ci powiedzieć na pewno – podsumował. – Nigdy nie weźmiemy go żywego, jak tego chce Pegaz. Będziemy musieli działać z zaskoczenia. Pamiętasz, rozmawialiśmy często o szóstym zmyśle, który wykształca się w tym fachu. No więc on ma siódmy.

Justin pokiwał powoli głową, podnosząc wzrok znad akt, żeby spojrzeć na Fanninga.

- Dlaczego w takim razie chcą go wysłać na emeryturę?

- Jest za dobrze znany – odpowiedział Fanning. – Dziwię się, że posłużyli się nim w tej akcji.Justin przez chwilę się zastanawiał.

- Mnie to nie dziwi – odparł. – Zgadza się to z analizą SENTINELA. Że łatwiej nam będzie go odnaleźć, ale jednocześnie trudniej zneutralizować. Posłużenie się nim wcale nie jest takie głupie.

Reszta lotu minęła w milczeniu. Obaj wykorzystywali ten czas, żeby się psychicznie przygotować. Bez postawienia wszystkich zmysłów w stan ostrego pogotowia, bez maksymalnej koncentracji mieli o wiele mniejsze szanse. A Fanning zamierzał zrealizować plan, który stał się jego obsesją od owego dnia przed sześciu laty: chciał załatwić Ten Braaka.

*

Kiedy lear zmierzał na wschód, niebieski dodge monaco wyjechał z motelowego, parkingu. W chwilę potem pozostali na

miejscu członkowie ekipy Wydziału Drugiego wkroczyli do pokoju Kuradina, żeby go przeszukać i pobrać próbki odzieży.

Nie znaleźli niczego. Poprzedniego dnia Kuradin przebrał się przed powrotem do motelu w inne ubranie. Stara marynarka i spodnie, a nawet buty i skarpetki zostały wyrzucone. Rosjanin przewidział wszystko.

Dodge monaco zajechał tymczasem na parking przed miejskim szpitalem w Beloit. Kuradin udał się bezpośrednio na izbę przyjęć. Godzinę później znajdował się już w dwuosobowym pokoju. Zarejestrował się pod nazwiskiem Rogera Canewaya.

Po rozpakowaniu małej torby przebrał się w piżamę, położył do łóżka i po raz kolejny zaczął analizować całą sytuację.

Pogoń za Ten Braakiem się rozpoczęła, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Amerykanie powinni już otrzymać przeciek z Moskwy - nawet jeśli dotarł do nich pośrednią drogą. Rosjanie nie wiedzieli, w jaki sposób przekazywać informacje bezpośrednio SENTINELOWI, w związku z czym udostępniali je znanym sobie informatorom CIA, mając nadzieję, że szybko dotrą tam, gdzie trzeba. Ludzie SENTINELA infiltrowali także z pewnością KGB i było całkiem prawdopodobne, że informacja dotarła również tą drogą. A nawet gdyby tak się nie stało, na pewno odkryli do tej pory prawdziwą przyczynę śmierci Bridgesa i odciski palców Ten Braaka. Biorąc to wszystko pod uwagę, powinni dopaść go najpóźniej we wtorek wieczorem.

Po pobraniu krwi czas do południa szybko zleciał. Zgodnie z zaleceniem Kuradin nie jadł nic od dwudziestu czterech godzin.

Wczesnym popołudniem odwiedził go doktor Awadi - wysoki, szczupły Hindus o wyrazistej, przystojnej twarzy i czarnych jak heban oczach, w których świeciły ciepłe iskierki. Awadi był „śpiochem" - agentem, którym nigdy jeszcze się nie posłużono.

- Jak się pan dzisiaj miewa, panie Caneway? - powitał Kuradina z wyraźnie obcym, orientalnym akcentem.

- Świetnie, doktorze.

- Widzę, że nasze siostry zdążyły już pana pokłuć - powiedział śmiejąc się.

- Tak, pobrały mi krew - odparł uśmiechając się Kuradin. - I muszę dodać, że zrobiły to bardzo delikatnie.

Sąsiednie łóżko zajmował starszy mężczyzna. Teraz spał.

- Przykro mi, że musieliśmy pana przegłodzić - powiedział Awadi. - Od jutra wieczorem może pan przejść na normalną dietę. Powinniśmy wtedy zakończyć wszystkie wstępne badania. Nie widzę powodu, żeby nie mógł się pan potem normalnie odżywiać.

Poddał Kuradina pobieżnemu badaniu, podczas którego zegarek z mikrofilmem został podmieniony na drugi, taki sam. Uwaga na temat normalnej diety oznaczała, że nazajutrz mikrodoty powinny być gotowe. Po południu film miał zostać zabrany do wywołania w Madison, w stanie Wisconsin.

Awadi wyszedł z sali, żeby kontynuować obchód, a Rosjanin został sam ze swymi myślami.

Wiedział, co wykażą testy - chroniczną białaczkę limfatyczną. Nie było co do tego wątpliwości. Ale w głębi duszy wciąż kołatała w nim tajemna nadzieja, że wyniki nic nie wykażą. Każdy chce żyć i Kuradin nie był pod tym względem wyjątkiem, choć jego chłodny, logiczny umysł wykluczał taką możliwość. Gdyby tylko mógł wyzdrowieć, gdyby mógł przeżyć...

Wrócił myślami do wczorajszego spotkania z agentami SENTINELA. Nie spodziewał się go, ale był na nie przygotowany. W tej chwili najprawdopodobniej przetrząsają jego pokój. Ich oczom nie ujdzie najdrobniejszy szczegół. Ale on starannie się przygotował. O godzinie piątej po południu prawdziwy David Fromme wsiądzie do samochodu przed szpitalem i wróci do Holiday Inn. Fromme był również „śpiochem", którym nie posłużono się dotąd. Był kryty na sto procent i bardzo podobny do Kuradina. Miał mieszkać w Holiday Inn aż do środy rano, kiedy Kuradin zamierzał wyjść ze szpitala. Po dalszych czternastu godzinach, jeśli wszystko pójdzie gładko, Centaur miał znaleźć się poza Stanami Zjednoczonymi, w Paryżu. A po kolejnych pięciu w Rosji.

Rosja... Jego myśli pobiegły ku córce i wnukom. Pragnął wziąć ich w ramiona, powiedzieć, jak bardzo ich kocha i jak bardzo chce sprawić, by świat, w którym żyją, stał się bezpieczny. Ale Rosja oddalona była o czterdzieści osiem godzin. Zastanawiał się, ile godzin pozostało jeszcze w klepsydrze, która odmierzała czas jego życia.Te rozmyślania sprawiły, że przypomniał sobie swoją ubiegłoroczną misję w Anglii. Przez cafy czas jej trwania nie opuszczał go strach,

lecz strach był przecież jego starym znajomym. Tym razem jednak była to także świadomość przeciekającego między palcami czasu. Czasu, którego nie uda się odzyskać. Miał wtedy wrażenie, jakby ktoś odliczał ostatnie minuty jego życia. Teraz odczuwał to samo.

Jednym z mężczyzn w South Beloit był Pielgrzym. Wiedział o tym. Przypomniał sobie ich twarze. Wyczuł to, kiedy jego nadgarstek złapany został w stalowy uścisk. Zastanawiał się, który to z nich.

Przypomniał sobie stojącą w drzwiach Maynard Pub sylwetkę szczupłego, wysokiego mężczyzny, który o mało nie pozbawił go życia. Nie mógł się mylić. To był brunet, ten, który kierował akcją. Pielgrzym.

Znowu usłyszał szmer piasku, sypiącego się przez wąski otwór w klepsydrze. Czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy Rosję?

Rozdział 25

Żaden z członków Odessy ani Die Sporne nie tnial najmniejszego pojęcia o istnieniu Operacji Raptor. Byli zbyt dobrze znani, żeby się nimi posłużyć, i zbyt odsłonięci, żeby im ufać.

Z początku plan operacji był dość ogólny. W różnych miejscach na całym globie powstały ośrodki sterujące. Było ich pięć i znajdowały się w Argentynie, Hiszpanii, Stanach Zjednoczonych, Afryce Południowej i w Niemczech. Charakter planu nie pozwalał z początku określić, w którym z tych miejsc należy skoncentrować

wszelkie wysiłki. Ale niebawem mieliśmy się dowiedzieć, gdzie narodzi się Czwarta Rzesza.

Ustęp 41 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Niedzielne popołudnie w New Jersey całkowicie potwierdziło poranną prognozę. Dzień był słoneczny i rześki. W powietrzu unosiła się zapowiedź wiosny.

Ford farlaine rocznik 1955 wjechał na parking przy Roxbury Township i zatrzymał się na jednym z ukośnych miejsc parkingowych. Młody kierowca zgasił silnik, wyciągnął rękę ku siedzącej obok niego dziewczynie i pogładził delikatnie palcem jej miękką pierś. Przez dłuższą chwilę całowali się czule.

Chłopak i dziewczyna byli studentami Fairleigh Dickinson University, a dokładniej jego filii w Teaneck. Spędzili właśnie pierwszy wspólny weekend w wiejskim domku jej wuja w górskim paśmie Poconos i wracali do szkoły na ostatnie kilka dni zajęć przed wiosennymi feriami. Wakacje powinny na ogół skłaniać do radości, ale dla nich oznaczały dziesięciodniowe, trudne do zniesienia rozstanie.

Od kampusu dzieliło ich tylko czterdzieści pięć minut drogi i chcieli maksymalnie wykorzystać ostatnie wspólnie spędzone chwile. Wysiedli z samochodu, żeby nacieszyć się pięknem budzącej się do życia natury. Ten dzień wydawał się stworzony specjalnie dla nich, wyrażał ich pączkującą miłość.Złączeni uściskiem zeszli po łagodnie

opadającym zboczu. Chłopak pomyślał, że spełniły się jego najśmielsze sny. Przez chwilę wpatrywał się w długie, proste blond włosy dziewczyny, a potem w ufnym geście posiadania dotknął dłonią jej pośladka. Należała do niego bez reszty - cała jej uroda, cała jej kobiecość i ciało. Przyglądał się jej twarzy, małemu prostemu noskowi, pięknym miękkim ustom, które tak niedawno pieściły całe jego ciało, i oczom - błękitnym jak rozpościerające się nad nimi wiosenne niebo. Przypomniał sobie zapach Emerande i słodki smak jej skóry.

Przedzierali się przez wysoką zeszłoroczną trawę, kierując się w dół zbocza. Wciąż sycił się jej urodą. Nagle ujrzał, jak dziewczyna mruga oczyma. Z jej twarzy zniknęło miłosne upojenie, zastąpione wyrazem niekłamanego przerażenia.

Spojrzał na to, co ją tak przestraszyło, i poczuł mdłości.

*

Leonid Trawkin wiercił się niespokojnie w łóżku. Raport, jaki otrzymał na temat Czachowskiego, spędzał mu sen z oczu.

Wiedział dobrze, przez kogo tamten został porwany. Prawdopodobnie znajdował się teraz gdzieś na terenie Stanów Zjednoczonych, pod opieką agentów SENTINELA.

Szanse Centaura malały z każdą minutą. Gdyby tylko istniał jakiś sposób, żeby go powiadomić… Ale było to niemożliwe.

Wiadomość o udziale Ten Braaka w misji została podana zgodnie z planem, ale Trawkin nie miał pewności, czy dotrze na czas do właściwych osób.

Od tej chwili Kuradinowi mógł pomóc tylko łut szczęścia. Szczęście jednak nie jest czynnikiem, na którym można polegać. Centaur będzie musiał sam sobie pomóc.

To, że wybrał na współpracownika Ten Braaka, okazało się jednak korzystne. Grubas do mistrzostwa opanował sztukę przetrwania. Istniała zawsze możliwość, że przy odrobinie szczęścia dostarczy towar w Nowym Jorku.

Ekipa Wydziału Drugiego znalazła się w pokoju Kuradina w parę chwil po jego wyjeździe. Przeszukali wszystkie należące do niego rzeczy, zwracając specjalną uwagę na ubrania. Wiedzieli dokładnie, jakiego typu materiału szukają, ale nic nie znaleźli.

Zebrali odciski z całego pokoju i znaleźli kilka włosów w wannie i na ręczniku. Mała zakrwawiona serwetka powiedziała im, że Fromme zaciął się przy goleniu. Zabrali ją. Pozostało im teraz tylko sprawdzenie ubrania, które miał na sobie. Prawdopodobnie włożył ten sam płaszcz i spodnie co wczoraj.

Samochód został dyskretnie sprawdzony, kiedy Kuradin spał w nocy. Wyniki były mizerne, ponieważ Kuradin starannie usunął wszystkie ślady pozostawione przez Ten Braaka w samochodzie. Odnaleziono kilka włókien, ale czekały na wysłanie do laboratorium do czasu, kiedy uda się sprawdzić ubranie, które Fromme miał na sobie. Czyli do następnego dnia.

Wydział Drugi popełnił jeden poważny błąd. Przenośny telefaks, którym można było przesłać odciski palców, zabrała pierwsza grupa.

To oznaczało, że odciski Fromme'a wysłane zostaną dopiero dzień później. Ten dzień miał się okazać bardzo kosztowny.

*

Godziny wizyt w szpitalu miejskim w Beloit dobiegały już końca, kiedy do sali Kuradina wszedł doktor Awadi. To spotkanie nie było przewidziane w planie. Awadi był wyraźnie wzburzony.

Na szczęście współlokator Kuradina był akurat w solarium ze swoją żoną. Awadi zamknął drzwi; z jego ust wylał się nerwowy potok słów, zniekształconych obcym akcentem.

- Poczekaj chwilę, zwolnij - powiedział Kuradin. - Opowiedz wszystko od początku.

- Laboratorium. Zostało zniszczone - wyjąkał Awadi. - Nie możemy wywołać filmu. Laboratorium w Milwaukee też. Co teraz zrobimy? - Był zdenerwowany i przerażony. Zbyt zdenerwowany, pomyślał Kuradin. To był jeden z problemów, które nastręczali zawsze uśpieni agenci. Trudno się było zorientować, jaka jest ich odporność na stresy.

Centaur zastanawiał się spokojnie. Oba laboratoria zostały zniszczone. Tego nie przewidział. Całkiem prawdopodobne było, że skoro zniszczono te dwa, to samo stało się z innymi. Co robić?

Znalazł się w sytuacji, którą w szachach określa się mianem utraty tempa albo utraty przewagi, jaką daje pierwszy ruch. Ale, podobnie jak w szachach, można przecież zawsze nadrobić tempo. W jaki sposób? Zaczął analizować problem.

- Czy masz dostęp do szpitalnej ciemni? - zapytał w końcu Awadiego.

- Tak, ale nie potrafię wywołać filmu - odparł lekarz.

- Nie chcę, żebyś go wywoływał - stwierdził Kuradin. - Wyjmij go tylko z kasety i przygotuj do wszczepienia mi pod skórę czaszki, tak jak to miałeś zrobić z mikrodotem. Musimy umieścić rolkę w jakimś opakowaniu, które ochroniłoby film przed naświetleniem. Potrafisz to zrobić? - zapytał oszołomionego Hindusa.Awadi zbadał czaszkę Kuradina tuż nad karkiem, gdzie wciąż - rosły gęste włosy.

- Tak, to się da zrobić, jeśli wszczep będzie odpowiednio mały. Nie będzie nic widać, z wyjątkiem małego strupa. Ale jeśli będzie większy... - Hindus zaczął przemierzać nerwowym krokiem pokój. Wyjął z kieszeni kawałek gumy, rozwinął ją i wsadził sobie do ust. Rzucił na podłogę zwinięte w kulkę opakowanie.

Tak, to jest to, pomyślał Kuradin, patrząc na zwinięte opakowanie.

- Zwiń ciasno film i zapakuj go w folię aluminiową - powiedział.

- Sama folia nie zabezpieczy filmu przed naświetleniem - zauważył Hindus.

- Chyba masz rację - mruknął Kuradin. - Musimy wymyślić coś jeszcze.

- Mam! - zawołał nagle Hindus. - Laboratorium dentystyczne! Foliową kulkę można umieścić w amalgamacie używanym do plombowania zębów. Będzie stanowić doskonałą ochronę.

- Wspaniale - powiedział Kuradin. - Czy możesz przygotować film jeszcze dziś, żeby był gotowy do wszczepienia jutro rano?

- Tak. Laboratorium dentystyczne jest wieczorem nieczynne. Mogę tam bez trudności wejść i zabrać trochę amalgamatu. Na jutro rano wszystko będzie gotowe - oświadczył Hindus.

Kilka minut później był już w ciemni i przygotowywał foliową kapsułkę.

Prawie wszystko postępuje zgodnie z planem, pomyślał Kuradin. Wszczepienie mikrodotów miało stanowić dodatkowe zabezpieczenie, na wypadek gdyby został zabity albo stan jego zdrowia pogorszył się przed powrotem do Rosji. W takim przypadku miano zrobić wszystko, żeby odzyskać jego ciało. Nawet śmierć nie powinna stanowić przeszkody w realizacji planu.

Tempo zostało nadrobione prawie tak samo szybko, jak się załamało. Zachodziła jednak konieczność małej korekty. Awadi okazał się zbyt słaby, by można było na nim polegać.

Rozdział 26

Wyznaczony został przewodniczący każdego ośrodka sterującego i ustalono związany z tym stanowiskiem kryptonim. Osoba mogła się zmieniać, kryptonim pozostawał ten sam.

W Argentynie sprawował tę funkcję Szaman, w Hiszpanii Tytus, w Stanach Zjednoczonych Colorosa, w Afryce Południowej Konstantyn, w Niemczech Falkę. Pierwszym centrum sterującym,

które wyłączyliśmy z naszych planów, były Niemcy. Falkę ujawnił swoim bliskim przyjaciołom, członkom Odessy, pewne dotyczące Operacji Raptor fakty. Razem z ludźmi, których o tym poinformował, został zneutralizowany przez specjalną grupę bojową Raptora.

Ustęp 42 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Nowy Jork stał się centrum poszukiwań Ten Braaka. Według przecieku z Moskwy we wtorek miał się tutaj spotkać ze znanym agencji łącznikiem.

Najłatwiejszym wyjściem wydawało się otoczenie obserwacją łącznika i przyskrzynienie obydwu podczas spotkania. Istniała jednak możliwość, że do spotkania nie dojdzie, a informacja umieszczona zostanie w skrytce. W obu przypadkach sprawą zasadniczej wagi było zlokalizowanie Ten Braaka tak szybko, jak to tylko możliwe, i ujęcie go, kiedy jeszcze będzie miał przy sobie film - jeśli zgodnie z przewidywaniami SENTINELA rzeczywiście go miał.

Śledząc policyjne częstotliwości w całym kraju, SENTINEL natrafił na wiadomość o odnalezieniu zwłok przy parkingu. Sposób zadania śmierci wskazywał na Ten Braaka. Policja New Jersey doszła do wniosku, że sprawca zamordował kierowcę, żeby ukraść ciężarówkę. Dzięki temu SENTINEL dowiedział się, w jaki sposób Ten Braak dostał się z Wisconsin do Nowego Jorku.

Do pomocy Justinowi i Fanningowi wysłano trzy ekipy. Ich zadaniem była obserwacja trzech używanych przez sowieckich agentów lokali, w których według przewidywań SENTINELA Ten Braak mógł szukać schronienia.Wynikające z braków kadrowych kłopoty agencji rozwiązały się z chwilą, gdy przeciek o pobycie Ten Braaka w Nowym Jorku dotarł do NATO i CIA. Obie instytucje miały dosyć powodów, żeby go zneutralizować.

SENTINEL mógł śledzić ich działalność i gdyby zlokalizowały Ten Braaka pierwsze, zamierzał wysłać najbliżej działającą własną ekipę, która zneutralizowałaby go, jeśli okazałoby się to konieczne. Wszystkim agentom SENTINELA wydano autentyczne legitymacje zaangażowanych w poszukiwania agencji, w tym także FBI. Mogli się nimi posłużyć podczas akcji.

Sieć, w którą usiłowano złowić Ten Braaka, zaciskała się coraz szczelniej.

W celu ujęcia jego partnera ściągnięto z powrotem do Stanów wszystkich pozostających do dyspozycji agentów. Ich pierwszym zadaniem było wyeliminowanie używanych przez Sowietów laboratoriów fotograficznych. Personel Wydziału Drugiego obserwował je bez przerwy. Wysłano także agentów w różne rejony Stanów, tam gdzie wedle przewidywań SENTINELA mógł się skierować nie zidentyfikowany partner. W tym samym czasie dokonano ważnego odkrycia. Ktoś próbował skontaktować się z laboratoriami w Madison i Milwaukee.

SENTINEL wysnuł z tego trzy wnioski. Po pierwsze agent nie opuścił rejonu, w którym skontaktował się z Bridgesem. Po drugie, film nie został jeszcze wywołany. Po trzecie zaś, agent nie ruszy prawdopodobnie dalej, dopóki nie zabezpieczy w jakiś inny sposób dokumentacji. Z ostatniej hipotezy wynikało, że szanse na sukces znacznie się zwiększyły.

SENTINEL polecił zniszczyć laboratoria fotograficzne, aby zyskać na czasie. Chodziło o to, żeby spowodować małe zamieszanie i zmusić przeciwnika do improwizacji. Każda nowa decyzja nie zidentyfikowanego agenta zwiększała szanse na jego zlokalizowanie. Miał co prawda przewagę pierwszego ruchu, ale był tylko człowiekiem i mógł popełnić błąd. Nawet przy bardzo wysokim ilorazie inteligencji znajdujący się w stresogennych warunkach umysł ludzki podejmuje właściwe decyzje najwyżej w osiemdziesięciu na sto przypadków. Oznaczało to, że" w dwudziestu na sto się myli. Biorąc pod uwagę próbę kontaktu z laboratoriami, SENTINEL oceniał teraz swoje szanse sukcesu na mniej więcej trzydzieści pięć procent. Był to znaczący krok do przodu.

Poszukiwania powinny się zatem ograniczyć do dwóch rejonów: Ten Braak przebywał w Nowym Jorku, a nie zidentyfikowany agent gdzieś w południowym Wisconsin lub północnym Illinois. SENTINEL przegrupował odpowiednio agentów.

Ponownie zwrócono uwagę na Davida Fromme'a.

Po porzuceniu ciężarówki Ten Braak dotarł pieszo do Hackensack. Na dworcu autobusowym przy River Street wsiadł do

autobusu, który zawiózł go do Nowego Jorku pod terminal kapitanatu portu przy Eighth Avenue. Stamtąd pojechał metrem na Fourteenth Street, a potem kolejnym autobusem na Third Avenue. Pozostałą drogę, jaka dzieliła go od położonego w East Village celu, przebył idąc na piechotę.

Zameldował się w hotelu Paradise przy Third Avenue, z którego korzystali często sowieccy agenci. Nie było go na liście SENTINELA. Ten Braak wpisał się do księgi jako Victor Mueller i zapłacił za cztery dni z góry. Wynajął narożny pokój na szóstym piętrze, z widokiem na Third Avenue.

Była to zapchlona, obskurna nora z umieszczoną w rogu śmierdzącą łazienką. Miała dwa okna, jedno wychodzące na Third Avenue, a drugie na schody przeciwpożarowe przy bocznej uliczce. Schody te zapewniały w razie potrzeby możliwość awaryjnego wyjścia. Korytarz był pogrążony w półmroku i kończył się oknem piętnaście stóp od drzwi pokoju Ten Braaka, wychodzącym również na podest schodów przeciwpożarowych. Stojąc na nim, mógł objąć obstrzałem cały korytarz. Nie było to idealne miejsce, ale mogło być gorzej.

Całe popołudnie spędził planując sposób ewentualnej obrony i pojadając sandwicze, które kupił w drodze do Paradise. Nie miał zamiaru wychylać nosa z pokoju aż do wtorku, kiedy czekało go spotkanie z łącznikiem. Wszystko, czego potrzebował, miało mu zostać dostarczone na górę.

Tego wieczoru położył się wcześnie spać. Poszukiwania koncentrowały się w rejonie Lower East Side. Dopóki siedział w swojej norze, niełatwo było trafić na jego ślad. A próba wzięcia go żywcem mogła się okazać bardzo niebezpieczna.

*

W pokoju 155 motelu Holiday Inn w South Beloit zadzwonił telefon. David Fromme podniósł słuchawkę po drugim dzwonku.

- Halo? – odezwał się.

- Czy to pan David Fromme? – zapytał cichy głos.

- Tak, jestem przy telefonie – odparł. Zapadła cisza. – Kto mówi? – rzucił zniecierpliwiony.

Nikt nie odpowiadał.

- Kto mówi? – powtórzył Fromme.

W słuchawce rozległ się cichy trzask. Połączenie zostało zerwane.

SENTINEL analizował sytuację. Coś się nie zgadzało. To nie był głos człowieka, którego Pielgrzym i Borsuk przesłuchiwali poprzedniego dnia.Było to sprytne i nieoczekiwane posunięcie. Drugi agent mógł już dawno opuścić ten rejon. Jego miejsce zajął sobowtór. Telefon zadzwonił ponownie.

- Tak? – odezwał się Fromme.

- Automat telefoniczny w holu – usłyszał w odpowiedzi. Głos był inny niż poprzednio.

Połączenie urwało się, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Wyszedł natychmiast do holu. Obserwowała go ekipa Wydziału Drugiego i stwierdziła, że nie był tym samym człowiekiem, który wyjechał stąd rano dodge'em 363onaco.

Fromme podszedł do automatów i czekał.

Jakiś mężczyzna wszedł do holu i usiadł w miejscu, z którego widać było telefony. Założył nogę na nogę, wyjął z kieszeni długopis i oparł o kolano dłoń, w której go trzymał. Siedział nieruchomo, wpatrując się w częściowo wypełnioną krzyżówkę w gazecie. Długopis wycelowany był w telefony.

Zadzwonił środkowy automat.

Fromme podniósł słuchawkę.

- Tak – odezwał się.

- Mówi Feniks. Mam dla ciebie instrukcje – powiedział Kuradin.

- Zaczekaj – przerwał mu Fromme. – Ile razy do mnie dzwoniłeś?

- Raz – odparł Kuradin. W jego głowie zabrzmiał ostrzegawczy dzwonek.

- Ktoś zadzwonił do mnie tuż przed tobą.

- Co powiedział? – zapytał Kuradin.

- Zapytał, czy jestem Davidem Fromme. A potem już się nie odezwał.

- Odpowiedziałeś mu?

- Tak, potwierdziłem – odparł Fromme. – I zapytałem dwukrotnie, kto mówi.

Kuradin zamilkł. To oznaczało kłopoty. Wiedział, że zostały mu jeszcze jakieś trzy minuty, zanim namierzą miejsce, z którego dzwonił. Przez moment się zastanawiał.

- Posłuchaj – zwrócił się w końcu do Fromme'a. – W naszych planach zaszła mała zmiana. Jutro w południe udasz się na punkt A. Będzie tam na ciebie czekał Kwiat Kaktusa. Zrealizujesz Plan Niebieski. Plan Niebieski, rozumiesz?

Fromme zesztywniał.

- Nie – odparł po chwili.

- Plan Niebieski – powtórzył Kuradin.

- Nie, nie zrobię tego – stwierdził podenerwowanym głosem Fromme. – Nie możesz mnie o to prosić. Nie mogę…

- Zrobisz to – przerwał mu Kuradin.

- Słuchaj, zrobię wszystko, czego zażądasz, ale nie to. Nie było o tym wcześniej mowy…

- Zrobisz wszystko, co każę. Albo… – zawiesił głos tamten, nie wypowiadając groźby.

- Ale żądasz przecież…

- Zrób to. W przeciwnym razie zobaczysz się ze swoją żoną i dziećmi na ich pogrzebie. Czy wyraziłem się jasno? – zapytał Kuradin.

Oczy Fromme'a rozszerzyły się z przerażenia. Nie mógł powstrzymać drżenia głosu.

- Nie zrobisz tego… nie możesz…

- Jutro w południe, punkt A, Plan Niebieski. – Połączenie zostało przerwane.

Mężczyzna siedzący nad krzyżówką słyszał całą rozmowę. Wycelowany w telefon długopis był superczułym miniaturowym mikrofonem kierunkowym, wychwytującym najlżejszy dźwięk z odległości stu jardów. Dźwięk przekazywany był do tkwiącej w uchu mężczyzny mikroskopijnej słuchawki koloru ludzkiego ciała. A także bezpośrednio do SENTINELA.

Fromme zamknął oczy i oparł wilgotne czoło o zimny metal automatu. Wiedział, że nie zawahają się przed spełnieniem groźby. Nie miał innego wyboru, musiał zrobić to, co mu kazano. Musiał jutro zabić człowieka znanego mu pod kryptonimem Kwiat Kaktusa. Tym człowiekiem był doktor Kantilal Awadi.

Odwiesił słuchawkę i rozejrzał się nerwowo, a potem wyszedł chwiejąc się z holu. Nigdy w życiu nie zabił człowieka. Jak mogli mu grozić w ten sposób? Był przecież jednym z nich.

Mężczyzna z gazetą siedział jeszcze jakieś pięć minut w holu, po czym wstał i udał się do pokoju zajmowanego przez ekipę Wydziału Drugiego.

Rozmowa trwała zbyt krótko, żeby namierzyć miejsce, z którego dzwoniono. Ale SENTINEL dowiedział się pięciu bardzo ważnych rzeczy: głos rozmówcy Fromme'a należał do człowieka, który rozmawiał poprzedniego dnia z Pielgrzymem i Borsukiem, a jego kryptonim brzmiał Feniks; w misji brał również udział inny agent o kryptonimie Kwiat Kaktusa; plany zmieniły się – zapewne w wyniku

zniszczenia laboratoriów w Madison i Milwaukee – Kwiat Kaktusa miał prawdopodobnie zostać zamordowany.

Było także oczywiste, że Feniks domyślił się, iż poprzedni telefon do Fromme'a oznacza kłopoty. Musiał w związku z tym podjąć kolejną szybką decyzję.Kuradin był cały zlany zimnym potem. Wszystko szło fatalnie. Jego plan bez przerwy się sypał. Na uśpionych agentach nie można było polegać; SENTINEL działał szybciej, niż się tego spodziewał; kurczyła się liczba możliwych rozwiązań.

Pomyślał o telefonie do Fromme'a. Co mógł oznaczać? No tak, domyślił się w końcu. Charakterystyka głosu. Tego też się nie spodziewał.

Do diabła! Za wcześnie zmienił swój fałszywy kryptonim. Głupi błąd. Jeśli SENTINEL był na tyle mądry, żeby zadzwonić do Fromme'a w celu sprawdzenia jego głosu, to można się było założyć, że podsłuchał całą późniejszą rozmowę. Dowiedział się o Kwiecie Kaktusa i o tym, co go czeka. Zorientował się także z grubsza, gdzie znajduje się Kuradin albo – co ważniejsze – gdzie go nie ma.

Pojadą jutro za Fromme'em, żeby nie dopuścić do zabójstwa. A potem dobiorą się do Awadiego i wyciągną z niego wszystko, co będą chcieli. Film musi zostać wszczepiony już dzisiaj wieczorem.

Trzeba zrezygnować z kolejnego wariantu i przejść od razu do następnego. To oznaczało wyjazd z Beloit dwa dni wcześniej. Nie miał innego wyboru.

Wyszedł z pokoju i skierował się do laboratorium dentystycznego, gdzie Awadi kończył właśnie przygotowywać kapsułkę z filmem.

Czuł, jak ogarnia go zdenerwowanie. Wiedział, co musi zrobić, i trochę go to przerażało. On też nigdy przedtem nie zabił człowieka.

A SENTINEL odkrył w ciągu kilku ostatnich minut rzecz o wiele ważniejszą: ustalił coś więcej niż wzór głosu – wzór rozumowania.

Rozdział 27

Mieliśmy nadzieję, że miejscem narodzenia nowej Rzeszy, naszą nową ojczyzną stanie się Argentyna. Kraj obfituje w bogactwa naturalne, a cala Ameryka Południowa reprezentuje olbrzymie możliwości.

Ale w latach powojennych potencjał ten wcale nie był wykorzystywany. Zawładnęli nim ludzie zacofani i skorumpowani. Rozwój gospodarczy nie byl zgodny z naszymi oczekiwaniami. Starając się go pobudzić, wpompowaliśmy w ten kraj ogromne środki. Kiedyś przyniosą może rezultaty, ale stanie się to w dalekiej przyszłości, która wykracza poza nasz plan.

Szaman został zneutralizowany, a jego zasoby przekazano innym ośrodkom sterującym.

Ustęp 46 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Zabieg był skończony. Awadi przyłożył do małego kolistego nacięcia watę nasyconą dwuprocentowym roztworem wody utlenionej. Potem delikatnie zaczesał włosy Kuradina w dół i cofnął się, żeby lepiej przyjrzeć się swemu dziełu.

- Wygląda bardzo dobrze – oświadczył ze swoim ciężkim akcentem. – Nie będzie nic widać.

Hindus znakomicie wykonał swoją robotę. Powierzchnia amalgamatu była prawie idealnie gładka, a zabieg łatwy, szybki i niemal bezbolesny.

Kuradin ostrożnie dotknął palcami małego guza. Był o wiele mniejszy, niż się spodziewał. Kapsułka miała tylko jedną ósmą cala średnicy. Można ją było wymacać, ale trudno zauważyć, nawet gdyby go kompletnie ogolono.

Awadi rzucił po raz ostatni okiem na jego kark. Był zadowolony ze swojej pracy.

Kuradin wstał z małego stołu operacyjnego. Czuł, jak ogarnia go fala zdenerwowania. Nadeszła pora, aby wykonać ostatnie zaplanowane na tę noc zadanie.

- Musisz mi jeszcze pomóc w jednej sprawie – zaczął. – Zostawiono dla mnie wiadomość w kostnicy. Potrzebuję twojej pomocy, żeby ją odnaleźć.

- Teraz? – zdziwił się Awadi. Dochodziła godzina pierwsza w nocy.

- Jutro może panować tam zbyt duży ruch. Może się także zdarzyć, że ktoś trafi na nią całkiem przypadkowo, zanim ją odnajdziemy.

Hindus kiwnął głową.

- Dobrze, ale załóż lepiej swoje normalne ubranie. Powiem kierownikowi, że przyszedłeś rozpoznać kogoś z rodziny.

Centaur wrócił do swojego pokoju, przebrał się szybko i zeszli razem do podziemi, w których mieściła się kostnica.

Nocna zmiana była zredukowana, a światła na korytarzach przyćmione. W korytarzu prowadzącym do kostnicy i na Sali, w której dokonywano sekcji, było jeszcze ciemniej niż gdzie indziej.

Może wynikało to ze świadomości tego, co się za chwilę wydarzy, może z faktu, że ta część szpitala była zarezerwowana dla zmarłych – ale Kuradinowi wydawało się, że ich kroki odbijają się od chłodnych ścian niesamowitym echem. Myśl o zadaniu, które musiał wykonać, wprawiała go w coraz większe zdenerwowanie.

Pocił się obficie, obserwując Awadiego. Ten człowiek miał przed sobą jeszcze tylko kilka chwil życia. Kuradin wiedział z jego ***dossier,*** że Hindus ma żonę i dwójkę dzieci. Nigdy już ich nie zobaczy ani nie pocałuje. Każdy krok zbliżał go nieubłaganie do końca. Rosjanin zastanawiał się, ile kroków ma do pokonania człowiek w swoim życiu i ile zostało jeszcze jemu samemu. Czy będzie wiedział, który krok jest jego ostatnim? Które mrugnięcie okiem, który posiłek albo pocałunek wyczerpie liczbę, jaka została mu dana?

Pomyślał o swojej rodzinie. Nie wiedział, czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczy, czy nie podzieli losu, jaki sam miał zgotować za chwilę Awadiemu.

Dotarli do kostnicy. Biurko kierownika było puste. Awadi przysłonił dłonią oczy i przez chwilę zaglądał przez szybę do środka. Nie paliło się tam żadne światło. Oprócz zmarłych w kostnicy nie było nikogo.

- Gdzie jest kierownik? – zapytał Kuradin.

- Nie wiem – odparł Hindus.

- Wejdźmy tam szybko, zanim wróci.

Otworzyli ciężkie metalowe drzwi i wślizgnęli się do środka. Przyćmione, padające przez szybę światło z korytarza rzucało niesamowity błękitnoszary blask na drzwiczki komór.

Komory stały w trzech rzędach, po sześć w każdym rzędzie. Tu właśnie, niczym kawałek mięsa w lodówce, lądował wcześniej czy później każdy śmiertelnik.

- Gdzie to jest? – szepnął Awadi.

- Drugi rząd od końca, druga komora od dołu – odparł Kuradin. Awadi podszedł do drugiego rzędu. Otworzył drzwiczki i wysunął częściowo szufladę. Leżały tam owinięte w białe prześcieradło małe zwłoki. Dziecko.

Kuradin potrząsnął głową.

- Nie, komora powinna być pusta. Spróbuj z drugiej strony. Lekarz przeszedł przez salę, przecinając wąską smugę światła.

Kuradin nie odstępował go na krok. W ręku trzymał małą wąską ampułkę z trucizną. Wystawał z niej uchwyt zatopionego w szkle, cienkiego jak igła szpikulca.

Hindus otworzył drzwi komory. Tym razem w środku nie było żadnych zwłok. Wysunął na zewnątrz szufladę.

Toczące się rolki zagłuszyły cichy brzęk tłuczonego szkła.

- Gdzie? – zapytał Awadi.

- Z tyłu – odpowiedział Kuradin.

Awadi pochylił się i zajrzał do środka niewielkiej komory. Moment był doskonały, żeby uderzyć, ale Kuradin zawahał się. Zareagował podobnie jak większość ludzi, którzy mają odebrać komuś z rozmysłem życie. Czekał zbyt długo.

Awadi wysunął na zewnątrz całą szufladę.

- Nic tutaj nie ma – oświadczył i obrócił się do Kuradina. – Musi być w innej komorze. To chyba nie ta.

To była właśnie ta, pomyślał Kuradin. Stracił przewagę, jaką daje zaskoczenie. Patrząc teraz w oczy tego człowieka, odczuwał coraz większe opory przed wykonaniem zadania. Zrób to, rozkazywał sam sobie.

- Jesteś pewien, że to miało być w drugiej… – Awadi przerwał, spostrzegłszy w jego ręku igłę. – Co to jest?

Kuradin nie odpowiedział. Zamachnął się, mierząc igłą w pierś lekarza, ale tamten zdołał się uchylić. Nareszcie zrozumiał, dlaczego znaleźli się w kostnicy i dlaczego szuflada miała być pusta. Przeznaczona była dla niego.

- Co ty robisz? – krzyknął.

Jego głos odbił się donośnym echem od ścian kostnicy. Hałas zaniepokoił Kuradina.

- Cicho! – syknął przez zęby, odcinając Hindusowi drogę do drzwi. Ruszył powoli naprzód, popychając go w stronę wysuniętej szuflady.

- Nie możesz tego zrobić! – krzyknął Awadi. – Nie! Niech ktoś mi pomoże! – wrzasnął.

Kuradin musiał działać szybko. Krzyki Hindusa słychać było prawdopodobnie w całej piwnicy. Skoczył do przodu, żeby zadać kolejne pchnięcie.

Ale Awadi ponownie okazał się szybszy. Strach przyspieszył jego reakcje, a adrenalina dodała sił. Odtrącił od siebie uzbrojoną w śmiercionośne narzędzie dłoń, pchnął Kuradina na drzwi komory i pobiegł ku wyjściu.

Kuradin odbił się ciężko od metalowych drzwi i dał rozpaczliwego nurka za Hindusem. Udało mu się wbić igłę w jego prawą nogę, tuż pod kolanem. Awadi dał jeszcze jeden krok do przodu, a potem runął na podłogę. Jego gasnące oczy wpatrywały się przez chwilę z osłupieniem i niedowierzaniem w Kuradina. Wiedział, że umiera. Było po wszystkim.

Krótka walka sprawiła, że Kuradin zapomniał o wyrzutach sumienia. Wszystko wydarzyło się jakby automatycznie. Ręka wykonała to, co trzeba było zrobić, bez bezpośrednich instrukcji mózgu.

Usiłował rozpaczliwie opanować zadyszkę. Nasłuchiwał dochodzących z korytarza kroków albo głosów, ale w piwnicy panowała cisza. Trzeba było ukryć ciało. Szybko.

Wstał i zbadał Awadiego. Nie próbował racjonalizować tego, co się stało. Nieraz już widział ginących ludzi – także tych, których sam kazał zabić. Na tym po prostu polegał ten fach. Nie mógł sobie pozwolić na wyrzuty sumienia. Ta rzecz, która leżała przed nim, nie była już istotą ludzką, lecz czymś, co należało ukryć. Teraz chodziło wyłącznie o jego życie.

Złapał trupa za kostki u nóg i zaczął wlec po podłodze. Mijając padającą przez szybę smugę światła, usłyszał jakiś hałas. W chwilę potem zobaczył za oknem kierownika kostnicy i pielęgniarkę. Zamarł w bezruchu, a potem ostrożnie puścił nogi Hindusa i wycofał się w mrok. Ciało leżało częściowo w cieniu; ramiona, ręce i twarz rozjaśniało w groteskowy sposób szare światło. Kuradin nie przesunął dalej Awadiego bojąc się, że zwróci to uwagę stojącej za szybą pary.

Siostra była bardzo zmartwiona i płakała. Kierownik próbował ją pocieszyć, ale bez większego skutku. Mówili stłumionymi głosami i Kuradin nie był w stanie nic zrozumieć. Nie miał innego wyboru; musiał czekać.

Pielęgniarka stała tuż przed szybą, zwrócona twarzą w jej stronę. Ponieważ światło padało z zewnątrz, Kuradin mógł być pewien, że go nie zobaczy. Ale gdyby spojrzała w dół…

Obróciła się twarzą do kierownika. Zaczęli się kłócić. Trwało to całą wieczność. W końcu siostra odeszła zagniewana korytarzem.

Kierownik potrząsnął głową i usiadł przy biurku, tuż przy drzwiach do kostnicy.

Kuradin podpełzł w ciemności do ciała. Starając się nie hałasować odciągnął je powoli na bok, a potem zajął miejsce, z którego mógł obserwować kierownika. Jeśli ten człowiek szybko się stąd nie wyniesie, będzie musiał zaopiekować się nim w taki sam sposób jak Awadim. Nagle uświadomił sobie, że nie ma igły. Leżała gdzieś na podłodze.

Natężył wzrok, ale nigdzie jej nie widział. Bał się wyruszyć na czworakach na poszukiwania. Coś takiego określa się zwykle mianem „ostatniego błędu”.

Nie miał innej broni, a kierownik był dużym mężczyzną. Musiał odnaleźć igłę.

Nagle tamten wstał zza biurka i ruszył raźnym krokiem w tym samym kierunku, w którym odeszła pielęgniarką.

Kuradin zobaczył w szybie jego cień. W chwilę później wpychał już ciało Awadiego do komory. Dla kogoś tak wątłej postury jak on nie było to łatwe zadanie, ale konieczność pośpiechu podwoiła jego siły.

Szuflada wjechała do środka, drzwi się zamknęły. Kuradin wpatrywał się przez chwilę w widniejący na nich numer. Jedenaście. Człowiek zredukowany został do numeru. Miał już niewiele czasu. Kierownik mógł zaraz wrócić i uniemożliwić mu ucieczkę. Wyszedł z kostnicy, nie szukając igły.

Idąc korytarzem dotarł do klatki schodowej, wspiął się szybko na parter i wyszedł na dwór. Oddalając się od szpitala i tego, co się w nim wydarzyło, z ulgą wciągał w płuca chłodne nocne powietrze. Stopniowo przestawały mu drżeć kolana. Dosyć zmartwień czekało go w przyszłości – w trakcie realizacji następnej fazy ustawicznie sypiącego się planu.

*

Poniedziałkowy ranek w Nowym Jorku znów przyniósł wspaniałą wiosenną pogodę. Wiał ciepły łagodny wiatr, a po jasnobłękitnym niebie płynęły leniwie duże postrzępione chmury. Nie zaczęły się jeszcze kwietniowe deszcze, ale zapowiadano je na środek tygodnia.

Ktoś zapukał cicho do drzwi pokoju na szóstym piętrze hotelu Paradise. Pukał w umówiony sposób. Ten Braak podszedł do drzwi i uchylił je, trzymając w ręku masywny samopowtarzalny pistolet. Przyniesiono śniadanie.

Do środka wszedł wysoki kościsty mężczyzna. Koźli odór Ten Braaka zatrzymał go na chwilę w miejscu. Rozejrzał się nerwowo po pokoju i wręczył Ten Braakowi jego skromne śniadanie, składające się z dużego plastikowego kubka czarnej kawy i bułki z masłem. Przyniósł również „Daily News”.Na twarzy mężczyzny malowało się zdenerwowanie; Ten Braak od razu je dostrzegł.

- Wpadłeś w niezłe tarapaty, przyjacielu - rzucił tamten, nie przestając się rozglądać po pokoju. - Szukają cię. Wiedzą, że jesteś w Nowym Jorku, i ostro węszą.

- Ilu ich jest? - zapytał Ten Braak.

- Wielu - oznajmił jego informator. - CIA, FBI i ludzie z NATO. Nie wiem, jaki wyciąłeś im numer, ale im szybciej się stąd wyniesiesz, tym większą zrobisz mi przysługę. Nie chcę, żeby doszło tu do strzelaniny.

Ten Braak wbił w mężczyznę zwężone źrenice. Chętnie załatwiłby tego drania. Odwrócił się i powoli przemierzając pokój zaczął analizować sytuację.

Kościsty facet coraz bardziej się denerwował. Nie wiedział, czy milczenie Ten Braaka nie oznacza, że ma się wynieść z pokoju. Po krótkiej chwili ruszył ku drzwiom.

- Poczekaj - zatrzymał go Ten Braak. - Będę potrzebował kilku rzeczy. - Podszedł do swojej marynarki i wyjął z kieszeni notatnik i długopis. Przeszedł się po pokoju, przyglądając się przełącznikom i gniazdkom, a potem zatrzymał się pod wiszącym u sufitu, zaopatrzonym w sześć żarówek starym żyrandolem. Światło można było zapalić, naciskając kontakt przy drzwiach. Grubas przyglądał się przez chwilę żyrandolowi, po czym zapisał coś w notesie.

Podszedł do drzwi, otworzył je i zbadał framugę. Następnie zamknął je i uzupełnił notatki. W pokoju były jeszcze dwie inne lampy. Po ich dokładnym zbadaniu podszedł do okna wychodzącego na schody przeciwpożarowe, uważnie im się przyjrzał i znowu coś zapisał.

Sprawdził notatki i wręczył je chudemu mężczyźnie.

- Masz to wszystko zorganizować do południa - powiedział ze swoim twardym akcentem.

Mężczyzna zerknął na kartkę przez brudne podrapane okulary w drucianych oprawkach.

- To niebezpieczny towar - stwierdził.

- Możesz to wszystko zdobyć? - zapytał Ten Braak.

- Tak, mogę. Ale w naszej umowie nie było nic o wysadzeniu tej budy w powietrze. Załatwię co trzeba, nie możesz jednak trzymać tego w tym pokoju - upierał się.

- Nie zamierzam użyć tu tych materiałów - skłamał Ten Braak.

- Lepiej, żeby to była prawda, bo w przeciwnym razie nie chcę cię tutaj widzieć.

- Będę również potrzebował samochodu. Możesz to załatwić?

Mężczyzna przez chwilę się zastanawiał.

- Tak - odparł w końcu, kiwając głową. - Mogę zorganizować samochód. Nie będzie piękny, ale silnik ma na chodzie.

- Dobrze. Chcę mieć to wszystko w południe - powiedział Ten Braak.

- To będzie kosztowało - oświadczył mężczyzna.

- Ile?

- Osiemset.

To był rozbój i Ten Braak świetnie o tym wiedział. Ale cena nie gra roli, kiedy człowiek naprawdę czegoś potrzebuje. Poza tym wciąż miał przy sobie gotówkę Rossa.

Podszedł do torby podróżnej, otworzył ją, wyjął zwitek banknotów i odliczył osiem setek, kładąc je na dłoni przestępującego z nogi na nogę mężczyzny.

- I czterysta za samochód - dodał chudzielec, uśmiechając się chciwie.

Ten Braak odliczył kolejne czterysta dolarów, wpatrując się w małe jak paciorki, uśmiechnięte oczy.

Mężczyzna wetknął pieniądze do kieszeni.

- Kiedy zorganizuję wszystko, pokażę ci, gdzie to zamelinowałem - powiedział.

Ten Braak posłał mu promienny uśmiech.

- Będę bardzo wdzięczny - odparł.

- I zobaczę, może uda mi się dowiedzieć czegoś więcej o tych facetach, którzy cię szukają - dodał mężczyzna.

W chwilę później już go nie było.

Żując bułkę i popijając ją długimi łykami gorącej kawy, Ten Braak rozmyślał nad tą ostatnią uwagą. Nie musiał się długo zastanawiać, żeby dojść do wniosku, że został wystawiony.

Wszystko stało się teraz zrozumiale. W tym fachu człowiek wie, kiedy sytuacja staje się trudna. Wiele rzeczy pozwala się domyślić, że zbliża się „emerytura”. Rodzaj zleconego zadania, wysokość honorarium, standard hotelowego apartamentu i inne drobiazgi. Drobiazgi, które sygnalizują zbliżający się koniec.

Może chodziło o jego wiek, a może uznali, że nie jest już w pełnej formie. Tak czy owak, wiedział, co go czeka. Ostrożnie przyjmował każde zadanie, bojąc się, że może stanowić pułapkę.

Kiedy zaproponowano mu tę ostatnią misję, uznał, że być może się mylił i ma zbyt bujną wyobraźnię. To było najważniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek otrzymał. Można je było powierzyć tylko najlepszym. Świadczyło o tym również honorarium. Teraz jednak zorientował się, jaka miała być jego prawdziwa rola. Był przynętą, kimś, kogo należało poświęcić, aby zagwarantować sukces temu drugiemu.W gruncie rzeczy nie mógł mieć pretensji do swoich mocodawców. Jeśli trzeba odejść, lepiej odejść w ten sposób. Zostanie przynajmniej zapamiętany jako ten, który przyczynił się do sukcesu. Odejdzie z honorem i u szczytu sławy.

Ale sława będzie jeszcze większa, jeśli uda mu się wrócić z dokumentacją. Dowiedzą się wtedy, kto jest nadal najlepszy. W jego przekonaniu nie trzeba było tego w ogóle udowadniać, ale skoro oni byli innego zdania, dopiero jego powrót odsunie wszelkie spekulacje na temat wcześniejszej „emerytury”.

Spotkanie z łącznikiem prawdopodobnie również stanowiło pułapkę. Postanowił w ogóle się z nim nie kontaktować. Będzie się starał maksymalnie grać na zwłokę, żeby dać Feniksowi czas na wydostanie się z kraju. A potem zdany wyłącznie na własne siły wróci do Rosji z dokumentacją. Na jego widok posrają się na zielono.

Przekazana im informacja sprawi, że na zawsze zapamiętają Ten Braaka. Powtórzy im także, co usłyszał od Feniksa na temat

SENTINELA i jego agencji. Kiedy to wszystko się skończy, nikt nie będzie miał najmniejszych wątpliwości, kto jest najlepszy.

*

David Fromme po raz czwarty przejeżdżał obok miejsca spotkania, ale Kwiatu Kaktusa nadal nie było. Minęło już dwadzieścia minut od umówionego terminu. Musiało zdarzyć się coś złego.

Zerknął w tylne lusterko i zobaczył w nim coś, co go zaniepokoiło. Z tyłu jechał ten sam chevrolet impala, który pojawił się za nim, kiedy mijał poprzednio miejsce spotkania. Nagle zrozumiał, co się dzieje. Śledzili go.

Czując, jak oblewa go nerwowy pot, gorączkowo analizował sytuację. Wszystko stało się jasne. Odmowa wykonania zadania przypieczętowała jego los. Uznali go za słabego i postanowili zlikwidować. Kwiat Kaktusa został już prawdopodobnie wyeliminowany. Dlatego się nie zjawił.

Najwyższy czas, żeby się stąd zbierać. Natychmiast. Skręcił w pierwszą przecznicę w lewo i wcisnął gaz do dechy.

Impala siedziała mu na zderzaku. To przesądziło sprawę. Fromme zaczął uciekać.

*

- Ośrodek kontrolny SENTINELA, tu Sigmund – powiedział kierowca impali. – Niebieski dodge 380onaco ucieka. Rozpoznał nas!

- Podążajcie za nim – odezwał się cichy głos. – Jeśli to możliwe, weźcie go żywcem.

Pościg szybko przeniósł się poza granice miasta. Fromme nie znał dobrze terenu i po prostu pędził jak wariat wiejskimi drogami, zerkając nerwowo w lusterko, w którym wciąż widać było ścigającą go impalę. Wyjął trzydziestkę ósemkę i położył ją obok siebie na siedzeniu. Zabijanie w obronie własnej to nie to samo co morderstwo.

Impala po chwili zrównała się z dodge'em. Siedzący obok kierowcy agent dawał Fromme'owi znaki, żeby zjechał na bok. W odpowiedzi tamten skręcił kierownicą, próbując zepchnąć impalę z drogi.

Impala cofnęła się. Agent otworzył szybę i przygotował broń. Sigmund zbliżył się do tylnego zderzaka dodge'a i zjechał na bok, żeby ułatwić partnerowi strzał w tylną oponę.

Strzał był bliski i łatwy. Opona poszła w strzępy, a dodge wpadł w gwałtowny poślizg. Fromme nie był w stanie zapanować nad kierownicą. Wypadł z drogi i uderzył z całej siły w drzewo.

Impala zatrzymała się w niewielkiej odległości od rozbitego samochodu. Partner Sigmunda wyskoczył na zewnątrz, zatrzymał się dziesięć stóp za prawym tylnym błotnikiem dodge'a i podniósł gotowy do strzału pistolet, kryjąc kolegę.

Sigmund zbliżył się ostrożnie z drugiej strony, również z wyciągniętą i gotową do strzału bronią. Fromme'a nie było widać. Drugi agent nie opuszczając broni zatoczył szeroki łuk wokół samochodu.

Sigmund przykucnął, podbiegł pochylony do drzwi kierowcy i zapukał w nie lufą pistoletu.

- Wyjdź z podniesionymi rękoma, tak żeby cię było dobrze widać! – krzyknął.

Żadnej odpowiedzi. Powtórzył polecenie. Wciąż żadnej odpowiedzi.

Uniósł pistolet i szybko wstał. Fromme leżał z zakrwawioną twarzą na przednim siedzeniu.

- Jest nieprzytomny – stwierdził Sigmund. Ostrożnie dotknął klamki i sprawdził drzwi. Nie były zamknięte i nie zablokowały się podczas zderzenia. Ponownie przykucnął i otworzył je, gotów strzelić na widok każdego podejrzanego ruchu.

Fromme leżał nieruchomo.

Sigmund szarpnął go za nogę. Żadnej odpowiedzi. Pociągnął ponownie, tym razem silniej. Wciąż nic. Powoli podniósł się, żeby przyjrzeć się lepiej Fromme'owi. Posłał spojrzenie partnerowi.

- Chyba nie żyje – zawyrokował.

Spojrzał ponownie w dół, ale zdążył zobaczyć tylko jasny, rozrywający płaszcz tamtego błysk. Pocisk z trzydziestki ósemki trafił go prosto w twarz.

Fromme wyprostował się gwałtownie, próbując wyskoczyć z samochodu. Kiedy znalazł się w pozycji siedzącej, pocisk z broni drugiego agenta przebił szybę od strony kierowcy i trafił go w tył czaszki. Fromme uderzył bokiem w kierownicę, a potem osunął się z powrotem na siedzenie.

Drugi agent obiegł samochód i zbliżył się do swego partnera. Sigmund wciąż żył, ale nie sposób było mu pomóc. Pocisk trafił go w

twarz między kością policzkową a nosem i skierował się w górę. Ranny znajdował się w głębokim szoku. Miał otwarte i nieobecne oczy. Puls i oddech wyprawiały dzikie harce; agent czepiał się rozpaczliwie resztek życia.

W oddali zabrzmiała policyjna syrena. Partner Sigmunda wyjął szybko z jego kieszeni karty identyfikacyjne CIA i NATO, pozostawiając jedynie papiery FBI.

Sigmund zmarł w ambulansie. W izbie przyjęć stwierdzono zgon i tego samego popołudnia ciało przetransportowano do kostnicy w miejskim szpitalu w Beloit. Przeznaczona dla niego komora nosiła numer jedenasty. Odnaleziono w niej zwłoki doktora Kantilala Awadiego i SENTINEL uzyskał dzięki temu nowe ważne informacje. Feniks uciekał.

Rozdział 28

Z pozostałych państw, w których działały nasze ośrodki sterujące, najwięcej obiecywaliśmy sobie po Stanach Zjednoczonych. Były idealne z wielu względów; jednym z najważniejszych była duża liczba Aryjczyków. Ale ich system demokratyczny wyraźnie kolidował z naszym planem.

Ośrodek sterujący przetrwał dzięki Colorosie. Choć niektóre z jego pomysłów i propozycji wydawały się trochę nierealne, był człowiekiem wybitnie utalentowanym i cieszącym się olbrzymim

szacunkiem. Wiele z tego, co mówił, wydawało się godne zainteresowania. Warto było inwestować w jego pomysły.

Ustęp 47 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Leonid Trawkin siedział zamyślony za swoim biurkiem. Przed pięcioma godzinami zawiadomiono go, że ktoś dobierał się do komputerowego ***dossier*** Feniksa. Dane zaopatrzone były w specjalny program zabezpieczający, który wysyłał natychmiast zakodowany sygnał do ekipy nadzorującej wszelkie tego rodzaju próby.

Wniosek, jaki z tego wynikał, był niewesoły. Centaur musiał się znaleźć w poważnych tarapatach. Plan zakładał, że da o sobie znać tylko dwa razy w ciągu trwania misji. Do obu kontaktów miało dojść dopiero pod jej koniec – Trawkin miał się dzięki nim dowiedzieć, który z wariantów jest ostatecznie realizowany. Brak jakiegokolwiek kontaktu stanowił sygnał, że Centaur został zabity albo aresztowany. W takim przypadku Trawkin powinien dyskretnie dopuścić do przecieku ***dossier*** Feniksa. Jeśli Centaur pozostawał w areszcie, umożliwiłoby to gładkie przejście do realizacji ostatniego awaryjnego wariantu. Jeśli nie żył, nie miało większego znaczenia: można było uznać, że sytuacja jest prawie beznadziejna. Prawie – bowiem istniała nadal mała szansa pod warunkiem, że Kuradinowi wszczepiono wcześniej mikrodoty i uda się odzyskać jego ciało.

Próba dobrania się do komputerowego ***dossier*** Feniksa oznaczała, że plan gdzieś się załamał. Fałszywy kryptonim został

odkryty, zanim jeszcze generał zaaranżował przeciek.Trawkin przygotował ***dossier*** bardzo starannie, trzymając się co do joty instrukcji Kuradina. Chodziło o to, aby uLryć udział Centaura w operacji – na wypadek gdyby SENTINEL dowiedział się czegoś o nim i o jego specyficznych talentach.

Do ***dossier*** włączone zostały jedynie niektóre fakty z ubiegłorocznej misji Centaura w Anglii, tej, która o mało nie zakończyła się niepowodzeniem. Fałszywy kryptonim został wybrany po długich i żmudnych poszukiwaniach. Prawdziwy Feniks był specjalnym agentem, spełniającym prawie idealnie bardzo szczególne wymagania, które Kuradin przedstawił podczas rozmowy z Trawkinem. Feniksa i Centaura cechowały pewne zaskakujące podobieństwa. Obaj byli niewysocy i szczupli; obaj pracowali w specjalnym zespole agentów, którego skład znany był tylko niewielu wyższym urzędnikom KGB; obaj wreszcie doznali w odstępie zaledwie trzech miesięcy poważnej kontuzji ręki podczas pełnienia misji w Europie Zachodniej.

Życiorys Feniksa został dopasowany do prawdziwej historii Centaura. Umieszczono w nim informacje, że ostatnia jego misja miała miejsce w Anglii i że stracił tam mały palec u lewej ręki. W rzeczywistości Feniks został ranny trzy miesiące wcześniej, w zachodnich Niemczech, i stracił trzy palce u prawej ręki.

Wszystko miało wskazywać, że Kuradin to Feniks.

Ale starannie przemyślany plan nie uwzględniał zagrożeń, jakie wyłoniły się z chwilą ucieczki Czachowskiego. Trawkin nie wątpił, że

przejęli go agenci SENTINELA. Fakt, że Czachowski znał zarówno Feniksa, jak i Centaura, stawiał pod znakiem zapytania realizację ostatniego wariantu. Nikt nie mógł odkryć, że Centaur występuje pod fałszywym kryptonimem.

Jedno było pewne: całą sprawę należało załatwić bardzo delikatnie. Informacja musiała dostać się w ręce Amerykanów właśnie teraz – później mogli dojść do wniosku, że dane zostały sfabrykowane.

A to oznaczało, że nie można przeszkadzać informatorowi aż do czasu, kiedy skontaktuje się ze swoim łącznikiem i ***dossier*** dotrze tam, gdzie trzeba. Musieli siedzieć z założonymi rękoma i odłożyć aresztowanie obu do chwili, gdy upewnią się, że informacja została przekazana do Ameryki.

Istniała jeszcze jedna szansa. Łącznik mógł być agentem SENTINELA. Dałoby im to do ręki poważny atut, zakładając oczywiście, że Czachowski nie ujawnił prawdziwego kryptonimu Kuradina. Ostatnia faza planu poszłaby wtedy jak po maśle.

Trawkinowi nie pozostało zatem nic innego, jak czekać na wiadomość od Centaura. Pierwszy sygnał powinien dotrzeć w środę. Miał nadzieję, że jego przyjaciela nie opuści do tego czasu szczęście.

Obawy Trawkina byłyby znacznie większe, gdyby znał aktualną sytuację Kuradina. W starciu z potężnym intelektem SENTINELA cały plan tjypał się w gruzy. Centaur uciekał, zmuszony do podejmowania decyzji w tempie szybszym, niż się pierwotnie spodziewał. Każda z nich zwiększała szanse sukcesu SENTINELA.

*

Nad wyspą St Simon wisiały gęste chmury i mżyło. W tajnym podziemnym kompleksie pod kliniką kardiologiczną doktora Dialsa trzyosobowa ekipa przygotowywała się do kolejnego przesłuchania Dymitra Czachowskiego.

Ekipie przewodniczył Richard Wyatt, ekspert w dziedzinie sowieckiego wywiadu i główny asystent Honeycuta, po którym miał objąć kierowanie agencją. Szef przechodził na emeryturę za sześć lat i Wyatt starał się dobrze wykorzystać ten okres. Był idealnym kandydatem. Honeycut sam wybrał go na swego następcę.

W skład ekipy wchodził także psychiatra, doktor Bell, i tłumacz, Victor Bishoff. Wszyscy trzej mieli dostęp do najbardziej tajnych informacji.

Doktora Bella wezwano jako doradcę w kwestiach dotyczących stanu psychicznego Czachowskiego. Przesłuchiwani, których do ucieczki skłoniła w większym stopniu chęć ocalenia własnego życia niż przekonania, przejawiają często upartą niechęć do ujawniania ważnych informacji. Czując się nadal związani ze swoim krajem, odczuwają na ogół wyrzuty sumienia, przekazywanie informacji uważają za zdradę i wymagają specjalnego traktowania. Trzeba ich powoli i cierpliwie urabiać, aż przezwycięży się w końcu moralne opory.

Victor Bishoff pełnił dwie funkcje. Był tłumaczem, ale oprócz tego był też prawdziwym mistrzem obserwacji. Wyraz twarzy albo mrugnięcie okiem przesłuchiwanego dostarczały często bardzo

istotnych informacji, które uzupełniały to, co właśnie zostało powiedziane. Bishoff patrzył i robił po cichu notatki, żeby potem dołączyć je do protokołu przesłuchania.

Normalna procedura w podobnych do Czachowskiego przypadkach przewidywała mniej więcej dwa tygodnie na ustalenie stopnia prawdomówności delikwenta. W ramach akcji dezinformacyjnych Sowieci bardzo często podsyłali uciekinierów, którzy dostarczali specjalnie spreparowane, fałszywe dane. Trzeba się było przed tym maksymalnie zabezpieczyć.

Ta procedura została jednak w tym przypadku zawieszona. Stało się to z kilku przyczyn. Nie było żadnych wątpliwości, że Czachowski jest tym, za kogo się podaje, a jego krytyczny stan nie pozwalał na żadną zwłokę. Informację trzeba było uzyskać jak najszybciej.To wszystko poważnie utrudniło stojące przed ekipą zadanie. Przełamanie oporów sumienia w tak krótkim czasie nie było wcale łatwe. Zaplanowali jednak całe przesłuchanie bardzo starannie.

Instynkt samozachowawczy Czachowskiego był niewątpliwie silniejszy od gnębiących go wyrzutów, w przeciwnym razie nigdy nie zdecydowałby się na ucieczkę. Musieli oprzeć się na tym instynkcie. Od tego, czy powie im, co chcieli wiedzieć, miało zależeć jego życie.

Pierwsze dwie sesje miały spokojny przebieg. Zadawano normalne pytania testowe. Swobodna atmosfera miała utrwalić w Czachowskim poczucie bezpieczeństwa, poczucie, które zamierzali rychło zburzyć.

Zgodnie z przewidywaniami doktora Bella odpowiedzi Czachowskiego były ostrożne. Ujawniał wyłącznie informacje, które od dawna były im znane. Opowiedział o strukturze sowieckiego wywiadu i karmił ich historyjkami, które stanowiły tajemnicę poliszynela. Z początku zdradzał duże zdenerwowanie, potem się uspokoił. Doszedł do wniosku, że nic mu nie grozi, i zaczął odzyskiwać pewność siebie.

Jednak dzisiejsza sesja miała być inna. Nie odbywała się w jego izolatce, ale w specjalnym pokoju przesłuchań. Doktor Dials przystał, żeby przewieziono tam Czachowskiego w fotelu na kółkach. Niełatwo było go przekonać; zgodził się dopiero, kiedy Honeycut pozwolił mu wziąć udział w przesłuchaniu, dając prawo jego przerwania, gdyby poziom stresu niebezpiecznie się podniósł.

Nowe otoczenie i odejście od normalnej procedury powinno wytrącić Czachowskiego z równowagi. Każdy sposób był dobry, żeby osiągnąć pożądany efekt.

Fotel na kółkach zaopatrzony był w specjalną aparaturę, która odnotowywała każdą zmianę w czynnościach fizjologicznych. Mogli dzięki niej śledzić poziom stresu, jak również wychwytywać oczywiste kłamstwa. Umożliwiała ona także doktorowi Dialsowi prowadzenie ciągłej obserwacji stanu zdrowia przesłuchiwanego. Od czterdziestu godzin nie miał żadnego ataku. Odpoczynek dawał rezultaty.

Trzej mężczyźni czekali w pokoju przesłuchań.

Po kilku chwilach otworzyły się szerokie drzwi i siostra wtoczyła fotel z Czachowskim do środka. W ślad za nią do pokoju wkroczył doktor Dials. Fotel ustawiono przed dużym stołem, za którym siedzieli Wyatt, Bell i Bishoff. Pielęgniarka wyszła, a Dials dołączył do trzech przesłuchujących.

Powierzchnia stołu była nachylona pod dużym kątem, tak aby Czachowski nie widział blatu. Znajdowały się tam różne elektroniczne monitory. Śledząc ich wskazania, Dials i Bell mogli kontrolować stan zdrowia Rosjanina.

Cały pokój zaprojektowano tak, aby wprowadzić delikwenta w lekki stres. Temperatura była tu wyraźnie niższa niż w pozostałej części kompleksu; jarzeniowe światło raziło w oczy, a kolor ścian i rodzaj umeblowania dobrano tak, aby przesłuchiwanego jak najbardziej zdeprymować. Każdy, kto się tutaj znalazł, zaczynał czuć się nieswojo; wszystkie elementy wyposażenia miały sprawić, żeby wrażenie to pogłębiało się z każdą sekundą.

Dokładnie nad Czachowskim znajdował się wylot wentylatora. Zamiast powietrza wydobywał się z niego wąski stożek fal akustycznych. Nie słyszał ich, ale dość szybko powinien odczuć ich stresogenne działanie.

Obowiązki śledczego miał pełnić Wyatt. Czachowski mówił nieźle po angielsku, chociaż z wyraźnym obcym akcentem. Zadaniem Bishoffa było skupienie się na studiowaniu jego reakcji. Bell miał zadawać pytania wyłącznie wtedy, kiedy czujność Rosjanina będzie

uśpiona. Nagły strzał z boku mógł w takim momencie przynieść bardziej pożądany efekt.

Czachowski siedział, czekając na pytania. Monitory odnotowywały oznaki jego niepokoju; był napięty i podenerwowany. Zaczęło działać na niego otoczenie.

- Witamy, panie Czachowski - powiedział Wyatt.

- Dzień dobry - odparł Rosjanin.

- Mam nadzieję, że spał pan dobrze tej nocy? Nic panu nie dolegało?

- Dziękuję, spałem dobrze.

- Gdyby poczuł się pan gorzej, proszę nam o tym po prostu powiedzieć. Natychmiast przerwiemy sesję - zapewnił go Wyatt.

Czachowski skinął potakująco głową.

- Chciałbym teraz wrócić do kilku spraw, o których rozmawialiśmy wczoraj - zaczął Wyatt. Zamierzał skierować myśli Czachowskiego z powrotem na bezpieczny teren, pozwolić mu odzyskać pewność siebie. - Jak długo pracował pan w KGB?

- Dwadzieścia trzy lata - odparł Czachowski.

- To sporo czasu - stwierdził Wyatt, uśmiechając się i kiwając głową. - Jeśli pan pozwoli, chcielibyśmy, żeby jeszcze raz opowiedział nam pan o Wydziale Dezinformacji i Wydziale Akcji Specjalnych.

Czachowski zastanawiał się przez chwilę, a potem zaczął gładko recytować. Czterej mężczyźni słuchali z uwagą, wpatrując się w monitory.

- Teraz proszę przedstawić w skrócie zakres swoich obowiązków w Wydziale Operacyjnym - zażądał Wyatt, kiedy Rosjanin skończył.

I znowu czterej Amerykanie przysłuchiwali się z uwagą Czachowskiemu.

Kiedy i ten temat został wyczerpany, Wyatt kiwnął głową.

- Proszę nam teraz opowiedzieć o swojej rodzinie.

- Nikt z mojej rodziny już nie żyje - oświadczył Rosjanin. - Żona, Tamara, zmarła przed dwunastu laty. Mieliśmy syna, Borysa, ale zginął dwa lata temu w potyczce przy granicy chińskiej. - W oczach Czachowskiego pojawił się smutek. - Był wspaniałym chłopcem - dodał. Po kilku chwilach milczenia podniósł z powrotem wzrok na Wyatta. - Nikt... nikt nie powinien doczekać śmierci swoich dzieci - powiedział.

Obraz na monitorach nie odbiegał od normy.

- Musiał go pan bardzo kochać - wtrącił Bell, pragnąc, żeby Czachowski nie zmieniał tematu. Wyatt zorientował się, do czego zmierza psychiatra.

Czachowski kiwnął powoli głową.

- Widziałem w nim swoją żonę. Był jedyną pozostałą po niej cząstką. Brakuje mi go... brakuje mi ich obojga - powiedział, opuszczając głowę. - Bardzo.

- Jak poznał pan swoją żonę? - zapytał Bell. Podczas poprzednich przesłuchań nie wypytywali Czachowskiego o sprawy osobiste. To był błąd.

Rosjanin namyślał się przez chwilę.

- Wydaje mi się, jakbym znał ją zawsze. Dojrzewaliśmy razem jako dzieci. Kochaliśmy się, odkąd sięgam pamięcią - powiedział. - Była takim pięknym dzieckiem. W całej szkole nie było ładniejszej od niej dziewczyny. Przynajmniej dla mnie - dodał ze słabym uśmiechem.

- Tak właśnie ją pan zapamiętał? Jako dziecko? - zapytał Bell.

- Pamiętam ją z wielu okresów. W większości z dzieciństwa. Byliśmy wtedy ze sobą tak związani. Ale pamiętam ją ze wszystkich okresów, jakie ze sobą spędziliśmy. Pamiętam, jak zmarła. - Przerwał i spuścił ze smutkiem wzrok. - Być może... być może właśnie dlatego wolę myśleć o niej jako o dziecku. Wydaje mi się wtedy, że zostało nam jeszcze tyle czasu... tyle czasu...

- Dlaczego pan uciekł? - zapytał nagle Wyatt.

Wykresy na monitorach podskoczyły. Dotknęli obnażonego nerwu. Czachowski namyślał się gorączkowo.

- Ja... ja... Moje życie znalazło się w niebezpieczeństwie - wyjąkał.

- Dlaczego? - naskoczył na niego Wyatt. Wykresy na monitorach już nie były normalne.

- Ja... eee... - Czachowski wracał do rzeczywistości, za wszelką cenę starając się znaleźć właściwą odpowiedź. - Naraziłem się Komitetowi Centralnemu. W ostatnim czasie kilka razy otwarcie krytykowałem ich decyzje. A w Rosji nie można bezkarnie sprzeciwiać się woli Komitetu.

- I za to chcieli pana zabić? - zapytał Wyatt.

- Nie... nie... Chcieli mnie zabić, bo postanowiłem uciec. Przyjaciel ostrzegł mnie, że mają zamiar wezwać mnie z powrotem do kraju. To mogło oznaczać tylko dymisję i najprawdopodobniej więzienie albo szpital psychiatryczny. W ten sposób traktują tam niewygodnych. Za bardzo zależy mi na życiu, żeby zgodzić się na taki koniec. Wybrałem życie i uciekłem. Za to właśnie miałem zostać ukarany - powiedział.

Wyatt potarł czubek nosa i popatrzył ostro na Rosjanina.

- To bardzo wzruszająca historia - oświadczył, podnosząc brwi. - A teraz niech pan nam opowie prawdę.

Wykresy ponownie skoczyły do góry.

- Ja nie kłamię - upierał się Czachowski, omiatając szybkim spojrzeniem przesłuchujących go Amerykanów.

- Owszem, kłamie pan - odparł stanowczo Wyatt.

- Wszystko, co powiedziałem, to prawda. Przysięgam...

- To kupa bredni. Kłamie pan jak najęty - ryknął Wyatt, waląc pięścią w stół.

Czachowski był oszołomiony. Nie był w stanie myśleć, nie potrafił się skoncentrować. Nagle ogarnął go strach. Nie mogli przecież wiedzieć. Wbił oczy w podłogę, szukając odpowiednich słów. Był do tego stopnia wytrącony z równowagi, że z trudnością przychodziło mu formułowanie po angielsku tego, co chciał powiedzieć.

Wyatt nie dał mu szansy się pozbierać.

- Wiemy wszystko o Bodonowie i o tym, dlaczego chcieli wezwać pana z powrotem do Moskwy. Wiemy, że jest pan pedofilem, że jest pan pospolitym przestępcą.

Dials rzucił Wyattowi ostrzegawcze spojrzenie. Wykresy mało nie oszalały. Rosjanin mógł tego nie wytrzymać. Przesłuchanie trzeba było przerwać.

Kardiolog uniósł się z krzesła, ale Bell położył mu rękę na ramieniu.

Rewelacje Wyatta głęboko wstrząsnęły Czachowskim. Nie mógł uwierzyć, że wszystko o nim wiedzą. W jaki sposób? Jak udało im się to odkryć?

- Lepiej niech pan zacznie grać z nami w otwarte karty. I to natychmiast, w przeciwnym razie wsadzę pana do samolotu do Paryża prędzej, niż zdąży pan mrugnąć okiem. Chcemy, żeby odpowiedział pan na nasze pytania. Chcemy użytecznych informacji, a nie bzdur, którymi karmił pan nas do tej pory. Nie powiedział pan ani jednej rzeczy, o której już byśmy nie wiedzieli. Czterej nasi ludzie oddali życie, żeby wyciągnąć pana z Francji. - Wyatt sięgnął pokoronny argument. - Czterech Amerykanów nie wróciło do domu, żeby pan mógł tu bezpiecznie dojechać. Nadszedł czas, żeby zaczął pan spłacać zaciągnięty dług. Jasne?

Czachowski był kompletnie oszołomiony. Kiwnął słabo głową.

Wykresy wciąż skakały wysoko w górę, ale po chwili zaczęły się powoli uspokajać. Rosjanin nie miał już nic więcej do ukrycia, nie miał się czego bać.

Gdyby nie ci ludzie, już by nie żył. Coś był im winien. Był im winien wszystko. Nie powinien czuć się zobowiązany wobec tych, którzy próbowali go zabić i zrobiliby to, gdyby tylko trafiła się następna okazja.

- Powiem wszystko, co chcecie wiedzieć - wyszeptał cicho.

- Lepiej niech pan to zrobi - stwierdził Wyatt.

Dials odchylił się do tyłu, widząc jak monitory wracają powoli do normy. Stresogenne otoczenie wciąż powinno utrzymywać Czachowskiego w stanie lekkiego niepokoju, ale najgorsze chyba już minęło.

- Niech pan nam powie, co mówią panu kryptonimy Spartanin, Pielgrzym i Borsuk - zażądał Wyatt.

Czachowski nie wahał się ani chwili.

- To kryptonimy amerykańskich agentów działających w Europie Zachodniej. Dostaliśmy je od naszego człowieka, zajmującego wysokie stanowisko w brytyjskim wywiadzie.

- Od „piątego agenta”? - zapytał Wyatt. Hipoteza „piątego agenta” była powszechnie znana. Czachowski niewątpliwie zrozumie aluzję.

- Tak, zgadza się. Jego kryptonim brzmi Koziorożec. Naprawdę nazywa się Lloyd Cushman - odpowiedział Rosjanin.

Tak właśnie brzmiało nazwisko Anglika, które SENTINEL podał Honeycutowi. Można będzie teraz przeprowadzić przeciw niemu „akcję specjalną”.

- Agenci ci mieli ponoć wchodzić w skład Wydziału Operacji Specjalnych CIA - kontynuował Czachowski. - Jednak nasi informatorzy w CIA nie potwierdzili tego. Analitycy KGB na podstawie przecieków doszli do wniosku, że powołano nową tajną organizację lub bardzo głęboko zakamuflowany oddział CIA. Ale my uznaliśmy, że te przecieki są sfingowane i mają na celu stworzenie wrażenia, że zdolność operacyjna obu agencji znacznie się obniżyła. Informacje musiały zostać ujawnione rozmyślnie. W przeciwnym razie musielibyśmy uznać, że możliwości tej nowej agencji są o wiele większe.

Był bardzo bliski prawdy. Przecieki istotnie zostały zaaranżowane przez SENTINELA.

- Naszą teorię potwierdzały informacje przekazane przez Koziorożca - mówił dalej Czachowski. - Przemawiał za nią także szereg przeprowadzonych przeciwko nam profesjonalnych akcji. Większość z nich zakończyła się naszą porażką. Daty podane przez Koziorożca zgadzały się z naszymi. Nie potrafiliśmy się jednak dowiedzieć niczego więcej. Nigdzie nie ma danych na temat tych agentów. Pojawiają się i po wykonaniu zadania znikają jak duchy.

- Coś jeszcze? - zapytał Wyatt.

Czachowski zastanawiał się przez chwilę, a potem potrząsnął głową.

- Nie, nic.

- Czy potrafiłby pan rozpoznać tych agentów, gdyby ich pan zobaczył? - zapytał Wyatt.

- Nie - odparł Czachowski. - Nie mieliśmy fotografii. Gdyby nie informacje dostarczone przez Koziorożca, nie wiedzielibyśmy nawet o ich istnieniu.

- Czym według was jest ta agencja? - zapytał Wyatt.

- Mieliśmy dwie teorie - odparł Czachowski. - Pierwsza, że agenci wchodzą w skład prywatnej organizacji, popieranej i finansowanej przez wasz rząd, który jednak ze względów bezpieczeństwa nie ma dostępu do żadnych danych. Druga, że wymyślono fałszywe kryptonimy i nadaje się je różnym agentom, żeby wprowadzić nas w błąd. Oznaczałoby to, że informacje dostarczone przez Koziorożca podrzucono nam po to, aby KGB zaangażowało się w polowanie na agentów, którzy w ogóle nie istnieją.

- Czy mówi coś panu nazwa SENTINEL? - zapytał Wyatt. Czachowski przez chwilę się zastanawiał.

- Nie, nigdy nie słyszałem tego kryptonimu.

Monitory pokazywały, że wszystko, co do tej pory powiedział, było prawdą.

- Niech pan nam opowie o Feniksie - powiedział Wyatt. Wykres skoczył ostro w górę.

- Skąd wiecie o tym kryptonimie? - zapytał Rosjanin.

- Nieważne - odparł Wyatt. - Chcemy, żeby powiedział nam pan o nim wszystko, co pan wie.

Dials wpatrywał się we wskazania pracy serca. Wcale mu się nie podobały. Napisał szybko kilka słów na kartce papieru i podał ją Bellowi. Powinni szybko kończyć. Nie później niż za dwie minuty.

Rosjanin wyjaśnił, w jakim charakterze działał Feniks. Opowiedział o tajnym zespole agentów, o którego istnieniu wiedzieli tylko nieliczni wybrańcy, w tym również on sam. Przedstawił rysopis Feniksa, odpowiadający z grubsza wyglądowi pierwszego Davida Fromme'a, którego Pielgrzym i - Borsuk przesłuchali w South Beloit.

Wyjaśnił, że po ubiegłorocznej misji Feniks został odsunięty od operacji zagranicznych. Stało się to z powodu poważnej kontuzji ręki, wskutek której łatwo go było rozpoznać. Od tego czasu nie powierzono mu żadnego zadania.

Zapytany o dokładny charakter kontuzji, pamiętał tylko, że zdeformowała ona znacznie jego rękę. Nie przypominał sobie dobrze, którą. Chyba prawą.

- To znaczy, że gdyby go pan zobaczył, potrafiłby go pan rozpoznać? - zapytał Wyatt.

- Z całą pewnością.

- Czy Feniks wykonywał kiedyś jakieś zadania w Stanach Zjednoczonych? - pytał dalej Wyatt.

- Tak, często. Mówi świetnie po angielsku i zna bardzo dobrze wasz kraj. Ale ja powierzałem mu wyłącznie zadania w Europie Zachodniej. Wiem, że wysyłano go do Ameryki, nie wiem jednak nic na temat przeprowadzonych przez niego tutaj akcji.

Czachowski nie wyglądał dobrze. W ciągu kilku ostatnich minut kolor jego twarzy uległ gwałtownej zmianie. Anginie Prinzmetala nie zawsze towarzyszą ustalone i występujące wcześniej symptomy. Wywołuje ją skurcz, do którego może dojść stopniowo, ale i z zaskakującą szybkością.

- Mamy powody sądzić, że przebywa obecnie w Stanach Zjednoczonych - powiedział Wyatt. - Będziemy potrzebowali pańskiej pomocy, kiedy go zatrzymamy.

Czachowski kiwnął głową i lekko skrzywił się z bólu.

- Uważam, że na dzisiaj dosyć, panowie - oświadczył Dials, wstając z krzesła.

- Jeszcze jedna rzecz wymaga wyjaśnienia - stwierdził Wyatt. Dials zmarszczył brwi i potrząsnął głową, ale Wyatt nie zwrócił na to uwagi.

- Podczas jakiej misji Feniks odniósł swoją ranę? - zapytał. - Czy stało się to w Stanach Zjednoczonych?

Informacje, jakie uzyskali do tej pory, pozwalały wyciągnąć określone wnioski. Odciski palców zdjęte w South Beloit, a także w kostnicy i w szpitalnej sali, w której leżał Roger Caneway, pasowały do tych, które pozostawił w samochodzie w Anglii uciekający przed Pielgrzymem agent. Także pobrane w szpitalu próbki krwi pochodziły od tej samej osoby, która została rok wcześniej ranna w samochodzie. Liczyło się jednak każde potwierdzenie: całą operację zaplanowano po mistrzowsku i możliwe były różne niespodzianki.

- Nie... nie... to było... - Czachowski urwał nagle i złapał się za pierś.

Dials skoczył na równe nogi, naciskając przycisk wzywający ekipę kardiologiczną.

- Na dzisiaj to wszystko - oświadczył, ruszając szybko w stronę swego pacjenta.

Wyatt wstał także i zbliżył się do Czachowskiego. Do pokoju wpadli medycy, którzy przenieśli szybko Rosjanina na wózek i założyli mu na usta i nos maskę tlenową. Ekipa wypchnęła wózek z sali. Wyatt biegł z boku, nie odstępując Czachowskiego na krok.

- Gdzie? Gdzie został ranny? - zawołał.

Załzawione oczy Rosjanina wychodziły niemal z orbit. Próbował odpowiedzieć przez maskę.

- W Eu... w Europie - wystękał.

Głos był stłumiony, ale Wyattowi udało się go zrozumieć. Dials rzucił mu mordercze spojrzenie. Wyatt nadal biegł obok toczącego się wózka.

- Gdzie w Europie?

Czachowski nie był w stanie odpowiedzieć. Próbował, ale z jego ust nie wydobywały się żadne słowa.

- Czy to było w Anglii? - zapytał Wyatt. Potrzebował tylko kiwnięcia głową. - Czy to było w Anglii? - powtórzył.

Czachowski rzucał i kręcił głową, nie mogąc wytrzymać bólu. Spojrzał Wyattowi prosto w oczy, próbując odpowiedzieć.

- W Niemczech - wykrztusił w końcu. - W Niemczech Zachodnich - powtórzył, ale jego słowa stłumiła maska. - Inny... inny agent w Anglii. Cen... Centaur. Postrzelili go w... rękę... w Anglii - wystękał.

Wszystko to przypominało niewyraźny bełkot. Wyatt zrozumiał tylko fragmenty. „Zranił... rękę w Anglii". Reszta była niejasna. Dials wsunął się między wózek i Wyatta i odepchnął go na bok.

- Powiedziałem, że to wszystko, do diabła! Zabije go pan! Wyatt pozostał w tyle, a ekipa wtoczyła Czachowskiego na salę operacyjną. Zabrali się ostro do roboty. To był zawał.

Czachowski stracił przytomność. Podłączono go do aparatury reanimacyjnej, a Dials przystąpił do zewnętrznego masażu serca. Zrobiono mu bezpośredni zastrzyk w serce.

Walczyli o jego życie przez prawie trzydzieści minut. Dials otworzył klatkę piersiową i przystąpił do masażu wewnętrznego.

Po kolejnych piętnastu minutach, które wydawały się trwać całą wieczność, serce zaczęło bić ponownie. Jego rytm był regularny i spokojny, ale Czachowski nie odzyskał przytomności.

Godzinę później przewieziono go na oddział intensywnej terapii i podłączono do monitorów. Serce pompowało bez przeszkód krew, jego rytm utrzymywał się w normie.

Czachowski żył, ale nie mógł im powiedzieć nic więcej. Znajdował się w głębokiej śpiączce.Przesłuchujący musieli zadowolić się informacjami, które uzyskali do tej pory. Według Wyatta ostatnie

słowa Czachowskiego potwierdzały, że Feniks został ranny w rękę w Anglii.

Ale Wyatt nie dosłyszał tego, co Czachowski powiedział o Niemczech i Centaurze.

Fakty zgadzały się również z informacjami, które zaledwie godzinę wcześniej nadesłał z Moskwy agent SENTINELA, Orzeł. Wszystko wskazywało na to, że Rosjanin, którego Pielgrzym spotkał przed rokiem w Anglii, nosił kryptonim Feniks.

W rzeczywistości jednak Centaur odzyskiwał właśnie przewagę pierwszego ruchu. Teraz, nawet jeśli go aresztują, będą przekonani, że mają w rękach Feniksa. A Centaur obdarzony był pewną wyjątkową zdolnością, o którą nikt go nie podejrzewał. Posiadał fotograficzną pamięć.

Rozdział 25

Obiecująca wydawała się także Afryka Południowa. Żyje tam wielu Aryjczyków, którzy przyczynili się w znacznym stopniu do rozwoju tego kraju. Podobnie jak Ameryka Południowa, kontynent afrykański reprezentuje olbrzymie możliwości. Niewątpliwie potrafilibyśmy w przyszłości zawładnąć jego większą częścią. Poważną przeszkodą jest jednak całkowity brak Aryjczyków na całym pozostałym obszarze z wyjątkiem Rodezji. Problem rasowy mógłby zostać jakoś rozwiązany, ale zajęłoby to zbyt wiele czasu i musielibyśmy poświęcić mu zbyt wiele uwagi. Kontynent afrykański

pozostawał jednak nadał w sferze naszych zainteresowań, tym bardziej że Konstantyn zajmował tam bardzo wpływowe stanowisko. Tymczasem w Stanach Zjednoczonych znacznie wzrosły wpływy Colorosy.

Ustęp 54 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Dochodziła prawie czwarta po południu, kiedy do drzwi Ten Braaka rozległo się umówione pukanie.

- Dostałeś wszystko, co było na liście? - zapytał.

- Tak, tak, dostałem. Ale tutaj tego nie ma. Jeśli chcesz zobaczyć towar, musisz pójść ze mną.

Wyjście z pokoju było ryzykowne. Ten Braak wiedział o tym, nie miał jednak wyboru.

- Idę - powiedział, chwytając płaszcz.

Dwaj mężczyźni zbiegli na dół z szóstego piętra. Chudzielec zszedł razem z Ten Braakiem do piwnicy i wyprowadził go z hotelu wyjściem służbowym. Wyszli na dwór po lekko wznoszącej się rampie i skręcili w lewo, w boczną uliczkę, oddalając się od Third Avenue. Dwadzieścia jardów dalej chudzielec zatrzymał się przy obdrapanym volkswagenie.

- To ten samochód - powiedział.

Ten Braak rzucił okiem na pogiętą, zardzewiałą karoserię. Spodziewał się czegoś więcej za swoje czterysta dolarów.

- Wsiadaj - powiedział chudy mężczyzna. - To osiem przecznic stąd. Bezpieczniej będzie, jak pojedziemy samochodem.Krztusząc się

i strzelając z gaźnika, volkswagen ruszył do przodu. Nie był może najpiękniejszy, ale jeździł.

Wjechali z powrotem w Third Avenue i ruszyli na południe. Przy Fourteenth Street skręcili w prawo, a potem jeszcze raz w prawo, w Second Avenue. Volkswagen, puszczając kłęby dymu, dotarł do jednokierunkowej Thirteenth Street i skręcił w nią. Minąwszy trzy czwarte przecznicy chudzielec zjechał na bok, zaparkował w drugim rzędzie i zgasił rozklekotany silnik.

- To tutaj - powiedział, pokazując dłonią opuszczony sześciopiętrowy budynek. - Towar jest tu bezpieczny. Nikt nie mieszka w tym domu, czasem tylko przybłąka się jakiś pijak albo dzieciaki. Ale towarowi nic nie grozi.

Wysiedli z samochodu i Ten Braak przyjrzał się z powątpiewaniem starej ruderze. Potem rzucił okiem w górę i w dół ulicy. Widok był jedyny w swoim rodzaju. Europejczyk nigdy nie uwierzyłby, że to też jest Ameryka, pomyślał. Dzielnica przypominała najgorsze slumsy w najbardziej zacofanych krajach Trzeciego Świata.

Wspięli się po schodkach i weszli przez wyłamane frontowe drzwi do środka. Ten Braak ruszył za swoim przewodnikiem w górę schodów. W budynku nie pozostawiono żadnych drzwi ani gzymsów. Wymontowano rury i wyrwano spod tynku miedziane kable. Zabrano wszystko, co dało się wyrwać i sprzedać. Nie było poręczy przy schodach ani parkietu w mijanych przez nich mieszkaniach. Z pokrywającego ściany graffiti można się było całkiem dobrze nauczyć

amerykańskiego slangu, a przy okazji dowiedzieć się, kto jest kim w sąsiedztwie i gdzie dzwonić w razie awantury.

Weszli do jednego z mieszkań na czwartym piętrze.

- Teraz już nikt tu nie przychodzi - powiedział chudzielec. - W zeszłym roku znaleziono tu trupy trzech pijaczków. Mieli poderżnięte gardła i wetknięte do ust obcięte kutasy. Z początku wszystkie dzieciaki przychodziły zobaczyć, gdzie to było. A potem jeden z nich spadł z dachu i już nie przyłaziły.

Stawiając ostrożnie kroki tylko tam, gdzie podłoga wydawała się solidna, przeszli do łazienki. W futrynie wciąż tkwiły drzwi, a w środku, nie do wiary, stała wanna. Wszystkie zamówione przez Ten Braaka towary mieściły się w trzech kartonowych pudłach. Ten Braak zaczął je przeglądać.

- Niczego nie brakuje - odezwał się chudzielec.

Ten Braak sprawdzał dalej. W jednym z kartonów stały dwa galonowe kanistry. Wyciągnął jeden, odkręcił korek i powąchał zawartość. W środku było to, o co prosił.

- Musimy przenieść wszystko do samochodu - powiedział.

- Nie możesz tego ze sobą zabrać, już ci mówiłem - upierał się chudzielec. - W moim hotelu nie może się stać nic złego. Nie było o tym mowy w... Ten Braak podniósł rękę, żeby go uciszyć.

- Chcę to tylko wstawić do samochodu - powiedział.

- W tym mieście? - roześmiał się chudy. - Jeśli zostawisz te pudła w zaparkowanym samochodzie, za sekundę ich nie będzie.

- Tutaj nie będą bezpieczne - odparł Ten Braak.

- Na pewno będą - upierał się chudy. - Mówiłem ci już, nikt tu nie przychodzi.

Ten Braak wyszedł z łazienki i dał znak tamtemu, żeby podążył za nim. Przystanął w kącie pokoju, który minęli wcześniej, i wskazał ręką podłogę. Chudzielec spojrzał w dół. Leżały tam trzy używane, zwinięte w węzeł kondomy. Nie straciły jeszcze koloru, nie były nawet pokryte kurzem. Na podłodze obok też nie było kurzu, jakby niedawno ktoś na niej leżał.

- Jednak przychodzą tu ludzie - mruknął Ten Braak.

- Nie wiedziałem o tym - przyznał chudzielec.

- Pomożesz znaleźć mi inną melinę, bliżej Paradise - powiedział Ten Braak.

Tamten kiwnął głową.

- Dobra, w porządku. Znam takie jedno miejsce. Ale musimy sforsować zamek.

Ten Braak kiwnął dla świętego spokoju głową. Miał własną koncepcję, gdzie przechować zorganizowane przez chudego towary.

Każdy z nich wziął jedno pudło i zeszli ostrożnie na dół. Wepchnęli pudła do samochodu, zamknęli go i wrócili po resztę.

Kiedy znaleźli się w łazience, Ten Braak wyjął z ostatniego kartonu trzy lampy.

- Możemy je włożyć do schowka - stwierdził. - A to pudło trochę skrócimy, żeby zmieściło się obok innych - dodał, wręczając chudzielcowi kieszonkowy nóż.

Kiedy facet pochylił się nad kartonem, żeby przyciąć boki, w dłoni Ten Braaka pojawiła się śmiercionośna broń z drewnianą rękojeścią.

Chudzielec zrobił pierwsze nacięcie. Klęczał przed Ten Braakiem, pochylony nisko nad pudłem.

W tej pozycji trafienie go w miejsce za uchem nie było łatwe. Gdyby ostrze weszło nie tam, gdzie trzeba, mógł zaatakować nożem. Ale miejsce za uchem nie było jedyne.

Szpikulec wbił się w sam środek karku, tuż nad podstawą czaszki. Chudzielec chciał się wyprostować, lecz Ten Braak pchnął jego głowę w dół i wsuwał ostrze coraz głębiej, aż ofiara przestała się poruszać.

Włożył lampy z powrotem do kartonu, zabrał nóż i zszedł do samochodu, wyjmując uprzednio z portfela zabitego swoje pieniądze.Dwadzieścia minut później wniósł ostatnie pudło do pokoju w hotelu Paradise.

Opróżnił wszystkie kartony, układając ostrożnie ich zawartość na podłodze, łóżku i stole. Następnie przeszedł się jeszcze raz po pokoju, oglądając ponownie drzwi, wyłączniki i gniazdka.

Potem siadł przy stole i zaczął rysować schemat. Po kilku minutach rozwinął przywieziony przewód i zaczął go ciąć na odpowiednie odcinki.

Po wymierzeniu i pocięciu kabla wyszedł z pokoju i zaczął szukać pomieszczenia gospodarczego. Znalazłszy je, otworzył drzwi i podszedł do skrzynki z bezpiecznikami. Odszukał dwa korki

oznaczone numerem swojego pokoju, wykręcił je, po czym wrócił do siebie.

Na stole rozłożył już przedtem potrzebne narzędzia. Wziął śrubokręt i szczypczyki, podszedł do kontaktu przy drzwiach i rozmontował go.

Pół godziny później kontakt został połączony przewodem ze specjalnym sprężynowym przekaźnikiem, umieszczonym między drzwiami a futryną. Dopasowując przekaźnik, musiał zrobić dłutem małe nacięcie w futrynie.

Od przekaźnika przewód prowadził do dużego zegara ściennego i z powrotem do kontaktu przy drzwiach. Osobne druty biegły od regulatora do pierwszego gniazdka, a potem do innych gniazdek, nie włączanych przez przełącznik przy drzwiach. Teraz wszystkie uruchamiane były przez jeden kontakt i zegar.

Ten Braak ustawił przyniesione z volkswagena trzy lampy przy gniazdkach, do których nie były podłączone żadne źródła światła. W ten sposób każde gniazdko miało podłączoną lampę.

Potem wyjął z czarnej walizeczki ręczny świder, zamontował w nim najmniejsze wiertło i wyciągnął z kartonu paczkę z dużymi przemysłowymi żarówkami.

Na stole leżała duża strzykawka i puszka z kitem. Wyjął z pudła sporą miskę i postawił ją obok.

Wywiercił małą dziurkę w podstawce pierwszej żarówki i sprawdził, czy mieści się w niej igła strzykawki. Wchodziła bez

żadnych trudności. Wywiercił takie same otwory w pozostałych dziesięciu.

Następnie postawił na stole dwa galonowe kanistry i wylał zawartość jednego z nich do miski. Napełnił strzykawkę płynem, wsadził igłę w otwór wywiercony w pierwszej żarówce i wstrzyknął wszystko do środka. Powtarzał tę czynność, aż żarówka wypełniła się całkowicie. Zalepił otwór kitem i zabrał się za następną.

Wypełniwszy płynem wszystkie żarówki, owinął je w dostarczoną mu razem ze śniadaniem gazetę i ułożył ostrożnie w kartonach.

Nastawił zegar na zero, wyszedł na korytarz i wkręcił z powrotem korki w składziku. Po powrocie do pokoju stwierdził, że palą się wszystkie żarówki w żyrandolu i cztery z pięciu lamp. Sprawdził tę, która nie działała. Miała zepsuty przełącznik.

Po kilku minutach przełącznik był naprawiony i wszystkie lampy się paliły. Ten Braak nastawił zegar na pięć sekund. Kiedy przesunął wskazówkę na piątkę, światła zgasły. Gdy dotarła z powrotem do zera, zapaliły się wszystkie jednocześnie.

Zbliżył się do drzwi i spojrzał na swój zegarek. Stojąc w miejscu rzucił okiem na przesuwającą się wskazówkę sekundową, a potem szybko omiótł oczyma pokój. Przeszedł na środek i ponownie spojrzał na zegarek. Siedem sekund powinno wystarczyć.

Po upływie tego czasu człowiek, który tu wejdzie, znajdzie się w środku piekła.

Kontakt przy drzwiach gasił teraz wszystkie światła. Ten Braak przekręcił go i usiadł przy stole. Pozostało mu tylko czekać na zapadnięcie ciemności. Za jakieś cztery godziny miał zamiar wyjść z pokoju.

Przygotował się na spotkanie z przeciwnikiem. Teraz musiał go tu zwabić. Miał nadzieję, że mu się to uda.

*

Przeczesywanie Lower East Side to przysłowiowe szukanie igły w stogu siana, zwłaszcza jeśli ścigany nie ma ochoty wystawić nosa z kryjówki.

Justin i Fanning spenetrowali cały teren, sprawdzając każdy możliwy trop. Inne ekipy SENTINELA przetrząsnęły wszystkie podejrzane lokale, jak na razie jednak efekty były mizerne. Nie ulegało wątpliwości, że akcja wymaga większej liczby ludzi. Część agentów oddelegowano z Nowego Jorku w celu zlokalizowania Feniksa. Po odnalezieniu ciała Awadiego w kostnicy, pozostawiony w Beloit trop wydawał się całkiem świeży.

Na lotnisku 0'Hare roiło się od agentów, z których każdy miał portret człowieka, którego szukano. Pod obserwacją były także lotniska w Milwaukee i Madison.

Od śmierci Fromme'a i Sigmunda SENTINEL dowiedział się wielu rzeczy. Feniks został przyjęty do szpitala miejskiego w Beloit pod nazwiskiem Rogera Canewaya. Na to samo nazwisko zarezerwowane było miejsce w samolocie, który w środę po południu wylatywał z Chicago do Paryża.

SENTINEL rozgryzł już sposób rozumowania Feniksa. Przewidywał, że sowiecki agent będzie starał się wydostać przez 0'Hare – właśnie dlatego, że nikt się tego po nim nie spodziewał.Justin i Fanning sączyli piwo w barze. Sprawdzony został ostatni fałszywy trop. Nie mieli już żadnych nowych pomysłów.

- Dokąd teraz pójdziemy? – zapytał ze znużeniem Justin.

- Nie mam pojęcia – odparł Fanning.

- Może wcale go nie ma w Nowym Jorku – powiedział Justin. – Może siedzi gdzieś w Jersey i zjawi się tutaj dopiero we wtorek, żeby skontaktować się z łącznikiem.

- Nawet jeśli tu jest, to jak do jasnej cholery mamy go znaleźć? – żołądkował się Fanning. – Nie było go w żadnym z lokali, które mamy na liście. Pozostaje nam chyba tylko śledzić łącznika i mieć nadzieję, że Ten Braak przekaże mu film podczas spotkania. To nasza jedyna szansa.

- Jeśli w ogóle ma ten film – dodał Justin.

Obaj mężczyźni popijali przez chwilę piwo, wpatrując się w telewizor nad barem.

- Sprawa byłaby prosta, gdyby zjawił się znowu u McSorleya – rzucił po chwili Fanning.

- U McSorleya…?

- Tak. To był jedyny raz, kiedy o mało go nie dorwałem. Widziano go u McSorleya, tu w Nowym Jorku, na Lower East End.

- Myślałem, że nigdy nie miałeś szansy się z nim zmierzyć – zdziwił się Justin.

- To prawda, ale wtedy minęła mnie dosłownie o krok. Zauważono go u McSorleya, jak zajada sandwicze popijając je piwem. Nie zdążyłem go nawet zobaczyć. Zanim tam dotarłem, wyszedł i zgubił za sobą ogon. Wtedy właśnie los zetknął nas ze sobą najbliżej: obaj znajdowaliśmy się w Nowym Jorku – wyjaśnił Fanning.

- No to teraz jesteście tak samo blisko – stwierdził Justin. – A wizyta u McSorleya nie jest wcale takim złym pomysłem. Facet może mieć stałe nawyki. Jeśli się nie zjawi, zjemy przynajmniej wspaniałego sandwicza z indykiem. Nie wiesz, co to jest prawdziwy sandwicz z indykiem, jeśli nie spróbowałeś tych, które przyrządzają u McSorleya.

Nie musieli się długo wzajemnie przekonywać. Byli zmęczeni i głodni, więc taka perspektywa wydawała im się bardzo nęcąca. Mieli ponadto nadzieję, że trafią na jakiś trop. Dopili do końca piwo i wyszli.

Pub McSorleya był znany ze swoich sandwiczy z indykiem i piwa ***ale.*** Zamawiało się tam na ogół od razu dwa albo trzy kufle: z powodu dużej liczby klientów oczekiwanie na następny mogło trwać całą wieczność.

Szczęście im sprzyjało i zaraz po wejściu znaleźli wolny stolik w pierwszej Sali tuż przy drzwiach. Interes szedł świetnie i wolne miejsca – wraz z tymi przy barze – można było policzyć na palcach.

Justin usiadł plecami do pustego kominka. Ze swego miejsca mógł obserwować frontowe drzwi i zwieńczone łukiem przejście do drugiej Sali. Miał na oku cały lokal.

Druga sala była wypełniona po brzegi. W dobiegającym stamtąd zgiełku słychać było śmiechy, przekleństwa i zbiorowe śpiewy. Cały lokal stanowił jakby żywcem przeniesiony zza oceanu fragment Zielonej Wyspy. Barmani i przeciskający się przez tłum z ciężkimi tacami kelnerzy mówili z wyraźnym irlandzkim akcentem.

W studenckich czasach Justin spędził tutaj wraz z kolegami wiele piątkowych wieczorów. Piątek był prawdziwym świętem, a dodatkowego smaczku dodawał tym popijawom fakt, że w tamtych czasach lokal odwiedzali wyłącznie mężczyźni. Przyjemnie było tu teraz wrócić.

Do ich stolika podszedł kelner i zapytał głośno, przekrzykując panujący na Sali hałas:

- Słucham uprzejmie. Co panowie życzą?

- Lubisz ciemne ***alei*** – zapytał Justin swego partnera. Fanning kiwnął głową.

- Niech pan nam da po trzy *ale* i dwa sandwicze z indykiem. Dla mnie z podwójną cebulą – powiedział Justin.

Kelner kiwnął głową i oddalił się w stronę baru. Zamówił piwo u jednego z barmanów i ruszył do kuchni po sandwicze.

Fanning i Justin siedzieli przez chwilę w milczeniu. W obu wzbierało napięcie. Każda mijająca godzina przybliżała moment konfrontacji.

Na stoliku pojawiło się *ale.* Przygotowanie sandwiczy musiało zająć trochę więcej czasu. Justin podniósł jeden z kufli i wychylił go do dna. Fanning zrobił to samo.

- Kiedy byłem w college'u, często tutaj przychodziliśmy – powiedział Justin. – Zajmowaliśmy dwa takie stoły – dodał, pokazując stojące w drugiej Sali masywne meble. – W pół godziny zastawialiśmy cały blat kuflami i dopiero wtedy pozwalaliśmy je uprzątnąć. Potem cała zabawa zaczynała się od nowa. Spędziliśmy tutaj masę czasu – oznajmił z uśmiechem.

- Gdzie tu się można odlać? – zapytał Fanning. Justin wskazał ręką tył Sali.

- Tam.

Fanning pociągnął długi łyk zimnego ***ale*** z drugiego kufla i wstał od stolika. Obszedł krzesło Justina i skierował się do toalety. Za kilkanaście sekund był już z powrotem.

- Szybko się uwinąłeś – zauważył Justin. Ale uśmiech spełzł mu z twarzy, kiedy zobaczył minę Fanninga.

- On tu jest – oznajmił Borsuk, siadając na krześle obok partnera.

- Ten Braak? – zapytał przyciszonym głosem Justin. Fanning skinął głową.

- Jesteś pewien?

Wyraz oczu partnera starczył Justinowi za odpowiedź. Wiedział, że Ted na pewno nie uległ złudzeniu.

Przez twarz Fanninga przemknął cień. Sięgnął dłonią po swoje magnum, ale Justin powstrzymał go.

- Nie tutaj. Gdzie on siedzi?

- W drugiej Sali. Stolik w rogu, po prawej stronie łazienki.

- Widział cię? – zapytał Justin.

- Nie, nie sądzę.

Pielgrzym wychylił się lekko i wbił chłodny wzrok w siedzącą przy narożnym stoliku postać. To był Ten Braak, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Połykał właśnie z wilczym apetytem kęsy sandwicza. Na jego stoliku stało kilka pustych kufli.

- Musimy się stąd wynosić – stwierdził Justin.

- Załatwimy go na ulicy? – zapytał Fanning.

- Nie. Musimy iść za nim aż do miejsca, gdzie się zamelinował. Jeśli ma film, to jedyny sposób, żeby go odzyskać – powiedział Justin.

- Moim zdaniem powinniśmy przyskrzynić Ten Braaka, kiedy będzie stąd wychodził. Jeśli go zajdziemy z dwóch stron, nie będzie miał szans – zauważył Fanning.

- Wychodzimy. Porozmawiamy o tym na zewnątrz. Bierzmy dupę w troki, zanim cię zauważy.

Wstali od stolika. Justin rzucił na blat dwadzieścia dolarów.

- Mógłbym załatwić go już teraz – upierał się Fanning. – Nawet by się nie zorientował.

- Wychodzimy – powiedział Justin.

- Załatwmy go tutaj. Na zewnątrz ma większe szanse.

- Wychodzimy – powtórzył Justin, popychając lekko swojego partnera w stronę drzwi.

Skierowali się ku wyjściu. Justin szedł tuż za Fanningiem. Mijając drzwi i wychodząc na ulicę, rzucił szybkie spojrzenie do tyłu. Ten Braak wciąż był zajęty sandwiczem.

Kiedy zatrzasnęły się drzwi, utkwił w nich swoje ciemne oczy. Przez jego twarz przemknął uśmiech. Skończył kanapkę i nie spiesząc się pociągnął łyk z jednego z dwóch stojących przed nim pełnych kufli.

- Idź do samochodu – powiedział Justin, zwracając się do Fanninga. – Jeśli będzie szedł piechotą, pójdę za nim. Jeśli złapie taksówkę, podjedź tutaj i będziemy ją śledzić.

Nie chciał, żeby Fanning zanadto zbliżał się do Ten Braaka. Najważniejszą rzeczą było teraz odzyskanie filmu. Nie mieli gwarancji, że grubas ma go przy sobie.

- Chyba popełniamy duży błąd – stwierdził Fanning. – W swojej melinie na pewno będzie miał większe szanse obrony.

- Załatwimy go. Ale to nie jest tylko nasza prywatna sprawa – odparł Justin. – Jeśli nie odzyskamy tego filmu, zawalimy całą robotę.

- Wcale mi się to nie podoba – powiedział Fanning.

- Mnie też, ale to jedyny sposób. Ruszyli w górę ulicy.

BLIP!

Justin zasygnalizował SENTINELOWI, że chce nawiązać z nim łączność.

- Słucham cię, Pielgrzym – odezwał się cichy głos.

- Zaalarmuj pozostałe ekipy. Namierzyliśmy go. Pójdziemy za nim i załatwimy go w jego melinie. Musimy być wszyscy w stałej łączności.

- Przyjąłem.

Justin ukrył się za węgłem w sporej odległości od pubu. Tymczasem Fanning wsiadł do samochodu i zapalił silnik. Sięgnął pod siedzenie obok kierowcy i wyciągnął stamtąd wąski czarny futerał. Położył go sobie na kolanach i lekko poklepał. Długie lata oczekiwania zbliżały się do końca. Ciężar i dotyk futerału dodawały mu otuchy. W środku znajdowała się jego Malutka. Świadomość, że tam jest, sprawiała, że czuł się silniejszy. Każde klepnięcie dodawało mu pewności siebie.

*

Ten Braak wypił swoje ostatnie *ale* i zapłacił kelnerowi. Cisnął go pęcherz, ale bał sie pójść do ubikacji. Gdyby go tam zaskoczyli, nie uszedłby z życiem.

Wstał, skierował się ku drzwiom i wyszedł w chłodną ciemną noc, omiatając oczyma ulicę. Nie widział ich, ale wiedział, że są gdzieś blisko. Wyczuwał ich obecność.

Skręcił w stronę Third Avenue, oddalając się od Justina.

Pielgrzym ruszył za nim, zachowując bezpieczną odległość. Przez cały czas utrzymywał łączność z Fanningiem i innymi ekipami SENTINELA.

Ten Braak wszedł do hotelu Paradise. Justin został na dole, kryjąc się w cieniu.

Minąwszy hol wejściowy i pierwszą kondygnację schodów, grubas pokonał z zadziwiającą szybkością i lekkością następne pięć pięter. Wślizgnął się do ciemnego pokoju i podszedł do swojej czarnej

walizeczki komiwojażera, wyjął z niej małą lornetkę i zbliżył się do okna wychodzącego na Third Avenue.

Stanął z boku, żeby nikt nie zobaczył go z zewnątrz, ale wystarczająco blisko, żeby widzieć drugą stronę ulicy. Powoli sprawdził cały teren, szukając wysokiego mężczyzny, który go śledził. Z początku niczego nie zobaczył.

A potem ujrzał nadjeżdżającą Third Avenue impalę. Skręciła w boczną ulicę i zaraz się zatrzymała. Z mroku wynurzyła się wysoka postać i podeszła do samochodu.

Ten Braak obserwował uważnie samochód przez lornetkę. Na sekundę przedtem, zanim kierowca zgasił światła, przeczytał jego znaki rejestracyjne.

Fanning pochylił się i otworzył szybę z prawej strony.

- Zaparkuj trochę dalej. Jest w hotelu Paradise - powiedział Justin.

Borsuk przejechał powoli ze zgaszonymi światłami kilkadziesiąt jardów i zaparkował samochód.

Kryjąc się z powrotem w cieniu, Justin poinformował trzy ekipy SENTINELA, gdzie się znajduje, i obserwował budynek. Czekał, aż w którymś z okien zapali się światło.

Ten Braak postał jeszcze parę chwil przy oknie, a potem przekręcił kontakt. Pokój zalało światło staroświeckiego żyrandola. Pozostałe lampy wyłączył przed wyjściem do pubu.

Justin wlepił oczy w narożny pokój na szóstym piętrze. W chwilę potem dołączył do niego Fanning. W jednej ręce niósł długi futerał, a w drugiej latarkę z dużym reflektorem.

- Szóste piętro, na rogu - powiedział Pielgrzym, wskazując ręką oświetlone okna.

Obaj mężczyźni zadarli głowy.

Ten Braak pokazał się na krótko w oknie, żeby zasunąć firanki i zasłony, ale starczyło czasu, żeby mu się szybko przyjrzeć.

- To on - powiedział Justin. - Teraz poczekamy, aż pójdzie spać, a do nas dołączą inne ekipy.

Fanning przyciskał mocno futerał do boku.

- Co tam masz? - zapytał Pielgrzym. Borsuk popatrzył na niego.

- Polisę ubezpieczeniową - odparł.

Ten Braak centralnym wyłącznikiem zgasił światło. Podszedł do kartonów, wyjął z nich wielkie przemysłowe żarówki i wkręcił je na miejsce starych w lampach i żyrandolu. Potem nastawił zegar na siedem sekund i sprawdził, czy przełączniki wszystkich lamp są włączone. Omiótł ostatnim spojrzeniem pokój, po czym otworzył drzwi i napiął sprężynę w zainstalowanym w futrynie przekaźniku. Przekręcił centralny wyłącznik i zamknął ostrożnie drzwi, upewniwszy się, że przekaźnik jest w pozycji otwartej, zabezpieczony przez drzwi. Kiedy ktoś je otworzy, sprężyna powinna wrócić na swoje miejsce i uruchomić zegar. Po siedmiu sekundach w pokoju miało rozpętać się piekło.

Ruszył korytarzem w stronę tylnych schodów i zbiegł do podziemi. Po kilku chwilach wyszedł na zewnątrz służbowym wyjściem i przedostał się przez piwniczne okno do przylegającego budynku.

Minąwszy szybko budynek, wyszedł na sąsiednią ulicę i wsiadł do zaparkowanego tam volkswagena. Uruchomił go i ruszył pod prąd jednokierunkową ulicą, oddalając się od Third Avenue. Minął kilka przecznic, przeciął ponownie Third i zaparkował na Second Avenue.

Justin stał, obserwując okna. Ze swego miejsca miał widok na frontowe wejście i alejkę, która odchodziła w stronę bocznej uliczki.

Dopiero po dwóch godzinach polecił innym ekipom zająć pozycje wyjściowe. W ich skład wchodziło sześciu agentów.

Jeden z nich, wyposażony w lekki karabin z zamontowanym noktowizorem, miał ubezpieczać schody przeciwpożarowe, na wypadek gdyby Ten Braak spróbował wyjść przez okno. Obserwował również front hotelu.

Dwaj inni agenci zajęli stanowiska przy przeciwległych rogach hotelu. Czwarty wszedł na dach stojącego po drugiej stronie ulicy wyższego budynku. Wyposażony był w lekki karabin, podobny do tego, który miał agent na dole. Oba były niskokalibrową, samopowtarzalną bronią, zaopatrzoną w pociski dum-dum kalibru 22, których trafienie oznaczało pewną śmierć.

Dwaj pozostali agenci weszli wraz z Justinem i Fanningiem do środka budynku.

Czteroosobowa grupa wspinała się w milczeniu po schodach. Jeden agent pozostał na piątym piętrze, drugi wdrapał się na siódme. Ich zadaniem było zneutralizowanie Ten Braaka, gdyby poradził sobie z Justinem i Fanningiem.

Borsuk otworzył niesiony przez siebie futerał. Pielgrzym patrzył, jak wyjmuje z niego dubeltówkę z obciętą lufą, ładuje do komory naboje i montuje na górze latarkę.

- Ja wejdę tam pierwszy - powiedział Fanning.

Justin spojrzał w szare, niespokojne oczy swojego partnera. Kiwnął głową.

Obaj wiedzieli, że Ten Braak nie da się wziąć żywcem. Ruszyli powoli korytarzem.

Justin zatrzymał się z boku, w miejscu, z którego mógł ubezpieczać Fanninga.

Borsuk stanął przed drzwiami. Palec wskazujący trzymał na spuście Malutkiej, kciuk lewej ręki na przełączniku latarki.

Pielgrzym wyciągnął z kabury mauzera i ustawił się w pozycji strzeleckiej.Byli gotowi.

Fanningowi drżały kolana. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek był tak zdenerwowany. Ale wiedział, że wszystko to minie, kiedy wyważy kopniakiem drzwi.

Spojrzał na Justina. Pielgrzym zwarł ścianki trąbki Eustachiusza, dając tym sygnał innym agentom, że wchodzą do pokoju. Skinął głową przyjacielowi. Dla Fanninga nadeszła chwila spłaty starych długów.

Borsuk wbił wzrok w drzwi i wziął głęboki oddech. Zapalił latarkę, uniósł w górę stopę i wyważył potężnym kopniakiem drzwi. W przekaźniku przeskoczyła sprężyna.

Fanning wpadł do środka, kierując promień latarki na łóżko. Było puste.

Ukucnął nisko i omiótł szybko cały pokój światłem latarki. Mauzer Justina wycelowany był w zamknięte drzwi łazienki.

Wskazówka na zegarze sunęła w stronę zera.

W ciągu krótkiej chwili Fanning zorientował się, że jedynym miejscem, w którym może się ukrywać jego przeciwnik, jest łazienka. Stanął pośrodku pokoju.

Wskazówka zegara dotarła do zera.

Zapaliło się światło na górze i lampy przy ścianach.

Wszystko trwało tylko ułamek sekundy, ale Fanning zdążył sobie uświadomić, że ponownie przegrał.

Wielkie żarówki zamontowane w wiszącym nad jego głową żyrandolu i boczne lampy eksplodowały. W ciągu sekundy wokół Borsuka rozszalało się piekło. Stanął cały w płomieniach, a Justina fala uderzeniowa cisnęła o ścianę korytarza.

Przez krótki moment Borsuk stał w miejscu, niczym niema płonąca pochodnia. Potem zatoczył się kilka kroków do przodu i machnął ręką, jakby chciał odsunąć od siebie płomienie. Zakręcił się wokół własnej osi i upadł na łóżko.

Justin wpatrywał się w płonącą, posuwającą się sztywno do przodu postać. Kiedy upadła, wszystko zniknęło w morzu płomieni.

- Pielgrzym! Natychmiast opuść budynek! - odezwał się stanowczy głos SENTINELA.

Justin stał zaszokowany, nie wierząc własnym oczom. Ta płonąca pochodnia to był jego partner, jego przyjaciel. Rozległo się kilka stłumionych eksplozji - wybuchły pociski i płytka łącznościowa.

- Natychmiast opuść budynek! - usłyszał ponownie.

Wziął się w garść i ruszył biegiem w stronę schodów. Razem z dwoma agentami zbiegł jak szalony na dół i wyskoczył z budynku.

Przez cały czas poruszał się jak w transie. To wszystko nie było realne. To nie wydarzyło się naprawdę. Zostawił tam Teda...

Stojąc na ulicy obrócił się i spojrzał na płomienie, które zaczęły ogarniać już wyższe piętro i rozprzestrzeniać się dalej. Potem wbił wzrok we frontowe drzwi, jakby spodziewał się, że za chwilę wybiegnie przez nie Fanning. Ale on znajdował się w samym środku tego piekła. Od chwili, kiedy wszedł do tamtego pokoju, nikt nie mógł mu pomóc.

Justin zwymiotował na ulicy.

- Natychmiast opuść teren! - usłyszał po raz kolejny rozkaz SENTINELA.

Nie był w stanie się poruszyć.

- Natychmiast opuść teren! - powtórzył głos. Znajdujący się w stanie szoku Pielgrzym nie nadawał się teraz do niczego. SENTINEL wiedział o tym. - Masz natychmiast opuścić miasto - polecił. - Jedź do domu i nie ruszaj się stamtąd aż do otrzymania dalszych rozkazów. Natychmiast. NATYCHMIAST!

Wciąż półprzytomny, Justin niczym posłuszne dziecko wykonał polecenie. Ruszył w stronę samochodu i wsiadł do środka. Uruchomił silnik i odjechał, zostawiając to wszystko za sobą. Zostawiając Fanninga w tym piekle.

Impala wyjechała na Second Avenue i zaczęła się oddalać od miejsca wybuchu. Skręciła w którąś z przecznic, a potem ponownie ruszyła wzdłuż Manhattanu, kierując się w stronę tunelu Lincolna.

Justin ani razu nie spojrzał w lusterko. Nie widział podążającego w pewnej odległości za nim obdrapanego volkswagena.

Z myśliwego Pielgrzym zmienił się w ściganą zwierzynę. Czekała go jeszcze jedna paskudna niespodzianka. Jej sprawcą miał być również Otto Ten Braak.

Rozdział 26

W trakcie realizacji Operacji Raptor nastąpił moment, kiedy nasze nadzieje gwałtownie się załamały. Powinniśmy realizować trzeci etap planu, nie wykroczyliśmy jednak poza pierwszy.

Wtedy właśnie zupełnie zaskoczyło nas śmiałe odkrycie Colorosy. Jego konsekwencje były fascynujące. Nagle stwierdziliśmy, że znajdujemy się w przededniu rozpoczęcia etapu piątego. Opracowany przez oddział specjalny Niederlage, rozłożony na sto lat plan udało się dzięki genialnemu projektowi Colorosy skrócić do lat czterdziestu. Znaleźliśmy się nagle u progu ostatecznego sukcesu. Ale nie zamierzaliśmy się teraz spieszyć. Po

popełnionych w przeszłości pomyłkach naszą zasadą miała być odtąd niezachwiana cierpliwość.

Ustęp 59 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Co myśli i czuje ktoś, kto ogląda śmierć przyjaciela? Zwłaszcza jeśli ten przyjaciel był zarazem partnerem i mentorem, podziwianym i uważanym niemal za niezniszczalnego? I nie tylko ogląda tę śmierć, ale widzi, jak łatwo została zadana, jak brutalnie i szybko.

Ten Braak załatwił się z nimi jak z pętakami. Zasiało to w sercu Justina strach, taki sam, jaki odczuwał jeszcze niedawno Fanning.

Szanse odnalezienia zabójcy były teraz równe zeru. Ten Braak nigdy nie skontaktuje się z agentem. Zniknął. Ale Justina mało to obchodziło. Dla niego wszystko było skończone. Wypisywał się.

Żołądek podchodził mu do gardła, w głowie czuł zamęt. Chciał dostać się do domu, wskoczyć do łóżka, schować się pod kołdrą i pozwolić, żeby kojący dźwięk dzwoneczków przeniósł go tam, gdzie jest spokojnie i bezpiecznie. Potrzebował tego bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

Dzwoneczki jednak milczały. Była tylko rzeczywistość: świeża pamięć tego, co się stało. I strach.

Po raz pierwszy w życiu Justin uświadomił sobie, dlaczego nigdy nie oglądał się wstecz. Ze strachu. Ze strachu, że ktoś albo coś go wyprzedzi. Nie oglądał się i teraz. Gdyby to zrobił, dostrzegłby skradającą się za sobą śmierć.

Dojazd do osiedla, w którym mieszkał, zajął mu dwadzieścia minut. Zaparkował impalę za swoim blokiem, zgasił silnik i przez dłuższą chwilę siedział w ciemności.

Zastanawiał się, jak długo jeszcze Fanning żył i ile zaznał bólu, zanim przestały funkcjonować końcówki jego nerwów. Czy Ted zdawał sobie w ogóle sprawę, co się stało?

Poczuł, że musi się czegoś napić. Czegoś, co zwaliłoby go z nóg.

Otworzył drzwiczki samochodu, wysiadł, obszedł budynek i skierował się w stronę głównego wejścia.

Ciemne oczy obserwowały, jak wspina się po zewnętrznych schodach do swego apartamentu na drugim piętrze. W mieszkaniach piętro wyżej i niżej nie było nikogo. Nikt nie powinien niczego usłyszeć.

Justin wszedł do mieszkania, zapalił światło i minął przestronny salon, kierując się w stronę barku. Nalał sobie whisky i przytknął szklankę do ust. Po chwili odstawił ją. Nie miał już ochoty na drinka.

Tak naprawdę potrzebował teraz szklanki gorącej herbaty i ciepłego prysznica - a potem być może trwającego cały tydzień snu. Wszedł do kuchni i nastawił wodę.

Kilka chwil później odpinał w sypialni kaburę. Położył mauzera na stoliku przy łóżku i dotknął palcami dużej popielniczki z żółtego szkła. Popielniczka była żartobliwym prezentem od Barbary i przedmiotem jego wiecznych komentarzy. Jej rogi miały kształt kobiecych piersi; na ich szczycie znajdowały się duże różowe brodawki. Justin był do niej bardzo przywiązany.

Czajnik zaczął gwizdać, wrócił więc do kuchni, wyjął z szafki duży termiczny kubek, włożył do niego torebkę herbaty i zalał ją wrzącą wodą.

Po krótkiej chwili wyjął torebkę, wycisnął ją i wsypał do kubka trochę cukru. Zgasił światło w kuchni i w salonie i wrócił do sypialni.

Ten Braak zobaczył, że światło zgasło, i obiegł szybko budynek.

Obok jednego oświetlonego okna znajdowały się dwa mniejsze, najprawdopodobniej łazienki. Lekka poświata w jednym z nich dochodziła zapewne z sypialni. Potem światło zapaliło się także w łazience.

Okno było lekko uchylone i Ten Braak słyszał przez nie szum wody. A potem zobaczył pojawiający się ponownie w sypialni cień.

Justin postawił kubek na wysokiej półce tuż przy drzwiach łazienki. Herbata była zbyt gorąca, żeby ją od razu wypić. Kiedy skończy brać prysznic, będzie jeszcze ciepła.

Ten Braak widział, jak cień pojawił się z powrotem w łazience. Usłyszał wzmagający się szum wody. Plastikowa zasłona rzucała Przez okno niebieskawy odblask. Widział cień pod prysznicem.Nadeszła odpowiednia chwila.

Ruszył szybko w stronę głównego wejścia i wspiął się po schodach. Sforsowanie zamka zajęło mu zaledwie kilka sekund. Wsunął się do środka.

Szum prysznica stłumił odgłosy kroków. Ten Braak zamknął drzwi i skierował się w stronę oświetlonej sypialni.

Wszedł do środka i szybko omiótł wzrokiem pokój w poszukiwaniu broni. Dostrzegł mauzera.

Podszedł do stolika i wyciągnął pistolet z kabury. Wyjął magazynek i zarepetował, wyrzucając nabój z komory, po czym umieścił broń z powrotem w kaburze.

Wyjął z kieszeni garotę.

Nie była to zwyczajna garota, wykonana z przymocowanej do dwóch uchwytów struny fortepianu. Ten Braak zmodyfikował ją nieco: jeden z drutów zaopatrzył w specjalny mechanizm zatrzaskowy, który uruchamiał się w chwili, gdy dotykał go drugi drut. Pozwalało to na zaciśnięcie pętli bez konieczności trzymania uchwytów. Drut mógł przesuwać się przez mechanizm tylko w jedną stronę, a uwolnić go można było przez półobrót i wysunięcie bokiem z małego zamka.

Umożliwiało to zaatakowanie drugiego przeciwnika, podczas gdy pierwszy dusił się w drucianej pętli.

Właściwe zaciągnięcie drutu sprawiało, że wrzynał się głęboko w gardło ofiary. Napadnięty tracił przytomność w ciągu sześciu sekund. Fakt, że nie trzeba było bez przerwy naciągać struny, pozwalał lepiej kontrolować ruchy przeciwnika. Jeśli zaszłaby taka potrzeba, można było zawsze zaciągnąć pętlę mocniej, co doprowadzało niemal do dekapitacji. Ale zdarzało się to rzadko.

Ten Braak podszedł do zamkniętej łazienki i przekręcił klamkę drzwi, leciutko je uchylając. Teraz wystarczyło mocno pchnąć je nogą

i wskoczyć do środka z garotą. Wszystko nie powinno trwać dłużej niż piętnaście sekund.

Czekał.

Kilka minut później szum wody ucichł. Ten Braak skoncentrował się.

Justin wytarł się szybko pod prysznicem, po czym wyszedł zza zasłony, żeby osuszyć się dokładniej. Łazienka wypełniona była kłębami pary, lustro zaparowane. Stał odwrócony plecami do drzwi.

Może był to instynkt, ów szósty, zapewniający przetrwanie zmysł, a może po prostu reakcja na powiew zimnego powietrza, które wpadło przez otwarte drzwi. W chwili gdy pętla śmignęła nad głową Justina, udało mu się unieść w górę lewą rękę.

W ciągu ułamka sekundy garota napięła się. Drut owinął się wokół dłoni, przyciskając ją mocno do szyi. Ręka uratowała gardło, ale kiedy Ten Braak pociągnął mocno do tyłu, starając się zatrzasnąć zamek, garota wgryzła się w nią głęboko.

Justin chciał w pierwszym odruchu odskoczyć w drugą stronę, przemógł się jednak i runął tyłem na przeciwnika. Ten Braak nie zdołał zatrzasnąć garoty wystarczająco" blisko, aby mocją powtórnie zaciągnąć. Morderczy drut nie spełnił swego zadania.

Grubas starał się wywlec Justina z łazienki do sypialni, gdzie mógł zacisnąć garotę mocniej, przecinając dłoń i gardło.

Zapierając się w progu, Justin szukał po omacku prawą ręką jakiejś broni. Zacisnął palce na termicznym kubku i chlusnął przez

ramię jego zawartością. Gorąca herbata trafiła Ten Braaka prosto w oczy.

Rozległ się stłumiony okrzyk i napięcie pętli zelżało. Grubas złapał się obiema rękami za twarz. Justin kopnął go od tyłu w krocze, przewracając na podłogę.

Obrócił się twarzą do napastnika. Widok Ten Braaka nie zdziwił go; nie czuł też strachu. Kontakt z przeciwnikiem został już nawiązany. Reszta była kwestią odruchów. Chodziło o przetrwanie.

Ten Braak przeturlał się po podłodze i skoczył na równe nogi. Sekundę później nacierał na Justina niczym wściekły byk.

Gorąca herbata i kopniak w krocze wyeliminowałyby z walki każdego innego napastnika. Ale nie Ten Braaka.

Lewa ręka Justina była skutecznie przygwożdżona do szyi. Wiedział, że nie może pozwolić, aby Ten Braak chwycił któryś z uchwytów. Pozostawały mu nogi.

Zanim jednak zdążył kopnąć przeciwnika, Ten Braak zasypał go uderzeniami. Krótkie, twarde jak stal ręce zadawały wściekłe, mordercze ciosy. Z uwięzioną lewą ręką Justin nie potrafił się przed nimi obronić.

Gorąca herbata oślepiła Ten Braaka i dotkliwie poparzyła mu twarz. Nie mógł wybierać miejsc, których trafienie mogło okazać się śmiertelne, ale nadrabiał to liczbą i siłą uderzeń.

Justin poczuł, jak któreś z jego lewych żeber pęka pod wściekłymi razami. Udało mu się podnieść w górę kolano i odsunąć

na chwilę od przeciwnika. Trzasnął go w twarz, trafiając podstawą dłoni w czubek nosa. Siła uderzenia rzuciła Ten Braaka do tyłu.

Obaj potrafili zabijać gołymi rękoma. Rzadko używali pięści i nigdy nie uderzali nimi bezpośrednio w szczękę. Łatwiej było w ten sposób połamać palce i zwichnąć nadgarstek, niż zadać skuteczny, nokautujący cios. Wyprowadzone z dołu uderzenie podstawą dłoni może okazać się o wiele bardziej niszczące. Jeszcze lepiej trafić w nos - taki cios eliminuje przeciwnika z walki i potrafi nawet zabić.

Ten Braak widział teraz jeszcze gorzej, mimo to zaatakował ponownie.Prawa noga Justina zatoczyła szybki łuk. Ten Braak upadł, ale natychmiast poderwał się na nogi. Znowu zaatakował.

Potężny cios trafił Justina w uwięzione przedramię, o mało nie łamiąc mu kości. Zatoczył się do tyłu i poderwał do góry lewą nogę, odchylając do tyłu wolne prawe ramię, żeby mocniej uderzyć. Ten Braak zachwiał się, ale zdołał jeszcze złapać przeciwnika za nogę i trzymając ją w żelaznym uchwycie pociągnął go za sobą do tyłu. Justin podskakiwał, starając się zachować równowagę.

Ten Braak uderzył go z całej siły przedramieniem w kolano, a potem kopnął w lewą nogę. Justin wylądował na podłodze. W ciągu ułamka sekundy grubas siedział mu na piersi.

Rozcapierzył palce, próbując trafić go w oczy, ale osłabiony wzrok ponownie uniemożliwił mu zadanie celnego ciosu. Pierwsze uderzenie trafiło Justina w brew, rozrywając skórę nad lewym okiem, a drugie ześlizgnęło się nieszkodliwie po czole.

Impet chybionego ciosu sprawił, że Ten Braak pochylił się nisko do przodu. Justin wykorzystał ten moment. Jego palec wskazujący wbił się głęboko w lewy oczodół Ten Braaka. Zrzucił z siebie przeciwnika, podniósł się i dał nurka po mauzera.

Uderzony jego ramieniem stolik runął na podłogę. Lampa rozbiła się o ścianę, a popielniczka pofrunęła w górę.

Justin cisnął mauzerem, trafiając Ten Braaka w pierś, ale nie zrobiło to na tamtym żadnego wrażenia.

Grubas nacierał ponownie, zadając jeszcze więcej morderczych ciosów.

Zasypany wściekłymi uderzeniami Justin zachwiał się i upadł. Zatoczył ponownie szeroki łuk lewą nogą, podcinając przeciwnika. Ten Braak runął na podłogę, a Justin odsunął się z trudem na bok.

Istnieje pewna granica tego, co może znieść ludzkie ciało. Justin właśnie się do niej zbliżał. Ale to samo działo się z Ten Braakiem.

Justin kopnął tamtego jeszcze raz, trafiając w czoło. Grubas przewrócił się i legł nieruchomo na brzuchu.

W ciągu ułamka sekundy Justin przygwoździł go do podłogi. Jego prawa ręka zatoczyła krąg w stronę poparzonej twarzy przeciwnika, trafiając go w prawe oko. Zaraz potem cofnęła się i uderzyła jeszcze dwa razy.

Ten Braak nie miał już oczu. Jego jedyną nadzieją były uchwyty garoty. Musiał zrzucić Justina z pleców i zaatakować od przodu.

Ale kiedy tylko uniósł się górę, nogi Justina objęły go w pasie, zamykając jak w imadle.

Nie mógł oderwać tułowia od podłogi. Miażdżący uścisk spowodował mimowolne wypróżnienie kiszek i pęcherza.

Najbliższym przedmiotem w zasięgu Justina była ciężka żółta popielniczka. Podniósł ją i zaczął wściekle walić Ten Braaka w głowę. Walił i walił tak długo, aż w końcu nie miał siły unieść w górę ramienia.

Rozluźnił uchwyt i zwlókł się z przeciwnika, a potem odsunął na bok jego martwe ciało. Przez chwilę leżał na plecach, łapiąc kurczowo powietrze.

Dotknął prawą ręką garoty i odnalazł zatrzask. Zwolnił go i nie zważając na ból wyciągnął drut z głębokiej rany na lewej dłoni.

Wyczerpany, na pół zaduszony, poczuł, jak wstrząsają nim gwałtowne wymioty.

Wszystko zaczęło odpływać; otoczyła go wirująca czerń.

Nie czuł już bólu, stracił też poczucie czasu. Spadał coraz głębiej i głębiej w ciemność - zanurzał się w próżni.

I wtedy znowu usłyszał ich dźwięk.

Dźwięk dzwoneczków.

Przybywały, żeby go chronić; żeby ukołysać go swoją cichą muzyką do snu.

Przybywały zawsze, kiedy ich potrzebował. Był teraz bezpieczny.

Rozdział 27

Genialny plan Colorosy zaczął dawać pierwsze efekty. Z początku nikt nie wierzył, że do jego realizacji potrzebny będzie tylko czas. Ale stopniowo nauczyliśmy się polegać na osądzie Colorosy i pokładaliśmy w nim coraz większe zaufanie. Nie miałem żadnych wątpliwości, że jest on człowiekiem, przed którym stoi przyszłość. Wszystkich nas zasmuciła nagła i niespodziewana śmierć Tytusa w Hiszpanii. Cieszył się doskonałym zdrowiem. Mianowany został nowy Tytus. Nie ufałem mu.

Ustęp 60 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

SENTINEL monitorował sygnał nadawany przez płytkę łącznościową Justina od momentu, kiedy agent opuścił miejsce śmierci Fanninga. Dokładnie w tej samej sekundzie, kiedy Ten Braak zaatakował Pielgrzyma, ruszyły na pomoc znajdujące się najbliżej ekipy. SENTINEL postawił również w stan alarmu ekipę medyczną i Wydział Drugi w Nowym Jorku.

Pierwsza ekipa przybyła zaledwie kwadrans po rozpoczęciu walki. Jej członków poinformowano, że Justin żyje, ale jest ciężko ranny. Mieli wyeliminować Ten Braaka, gdyby jeszcze żył. Kiedy jednak znaleźli się w sypialni, wszelkie polecenia dotyczące Ten Braaka okazały się bezprzedmiotowe.

- Jezu Chryste - jęknął dowódca grupy, omiatając spojrzeniem pokój i podchodząc szybko do trupa. - Zobaczcie, co z niego zostało.

Ten Braak nie żył, nie było co do tego cienia wątpliwości. Prawy bok jego głowy przypominał rozbity melon. Przez potrzaskane kości

czaszki widać było mózg. W miejscu, gdzie jeszcze niedawno były oczy, ziały dwie krwawe dziury. Twarz wyglądała, jakby ktoś tłukł w nią długo stalowym młotkiem.

Justin leżał nieprzytomny na podłodze u stóp łóżka. Twarz, szyję i pierś zalane miał krwią z rany nad okiem i przeciętej dłoni. Wściekłe ciosy Ten Braaka zostawiły ślady na całym jego ciele. Na czole i twarzy widniały skaleczenia od chybionych uderzeń w oczy.

Jeden z agentów przyniósł z łazienki zmoczony ręcznik i zaczął wycierać nim twarz rannego.

Pielgrzym skrzywił się lekko i otworzył spuchnięte oko.

- Miałeś gościa, przyjacielu - powiedział tamten. Justin kiwnął słabo głową.

Nietrudno było się domyślić, co uratowało mu życie. Rana na dłoni i zakrwawiona szyja wskazywały, jaką przeszkodę napotkała garota.

Pielgrzym został zaskoczony i mógł używać tylko jednej ręki. Nie miał również ubrania, które łagodziłoby siłę ciosów. A mimo to zrobił z Ten Braaka krwawą miazgę. Mówiło to coś na temat leżącego u ich stóp człowieka.

Po kilku minutach przybyła druga grupa, a w ślad za nią ekipa medyczna i Wydział Drugi.

Rany Justina zostały opatrzone, po czym przeniesiono go do specjalnej karetki, która była właściwie małym szpitalem na kołach. Mniejsze skaleczenia zszyto, zanim dojechał do położonej niedaleko prywatnej kliniki. Jeszcze w drodze otrzymał zastrzyk usypiający.

Od zadanych ciosów bolało go całe ciało. Po chwili zastrzyk uśmierzył ból i przed oczyma Pielgrzyma zaczęły się przesuwać niewyraźne obrazy. Stojący w płomieniach Fanning i atakujący wściekle Ten Braak - niski, gruby mężczyzna, w którego niepozornym ciele tkwiła tak niewiarygodna siła i szybkość. Ból, strach... i dzwoneczki.

Znowu je usłyszał. Zastanawiał się, skąd się wzięły. Ale w gruncie rzeczy nie miało to żadnego znaczenia. Były, i tylko to się liczyło. Koiły go, otulały i chroniły. Powitał je z radością i pozwolił, by go uśpiły. Ich cicha muzyka przenosiła go w inny świat.

SENTINEL wiedział, że Justin będzie spał tak długo, jak długo będą brzmiały dzwoneczki. Ofiarowywały mu ukojenie, spokój i zapomnienie.

*

Irwin Honeycut zjawił się w Alphie wczesnym rankiem i razem z Elizabeth Ryerson zabrał się do przeglądania raportu Wydziału Drugiego.

Bardzo przygnębiła go strata Borsuka. Nie tak łatwo było znaleźć agenta o podobnych umiejętnościach. Ale ta sprawa była zamknięta. Nie miał ochoty do niej wracać.

- Zgodnie z przewidywaniami SENTINELA Wydział Drugi odnalazł przy Ten Braaku kopię filmu – powiedział. – Umieszczona była w metalowym pojemniku, który został wydalony razem z ekskrementami podczas walki. Znajdowały się na nim fotografie wszystkich dwudziestu czterech schematów.

- A brakująca kartka? – zapytała Elizabeth.

- Na filmie jej nie było – odparł.

SENTINEL wysłał ekipę Wydziału Drugiego do apartamentu Bridgesa. Jej członkowie nie natrafili na żaden dowód, który wskazywałby, że Justin odkrył coś podczas prowadzonego na własną rękę przeszukania. Mimo to coś jednak odnaleźli. Z maszyny Bridgesa wyjęto taśmę i SENTINEL ustalił dokładnie, co zostało napisane na kartce.

- Sądzisz, że Pielgrzym znalazł ją w mieszkaniu Eda? – zapytała doktor Ryerson.

Honeycut chwilę się zastanawiał.

- Nie – odparł w końcu. – Nie wydaje mi się. Ale nawet jeśli ją znalazł, nie powinien zrozumieć ani słowa, nie mając do dyspozycji całego dokumentu.

- Chyba że ma również dziennik…

Honeycut zmarszczył brwi. Dziennik wciąż nie został odnaleziony. Komuś, kto go posiadał, dwudziesta piąta strona powiedziałaby bardzo wiele.

- Na pewno go nie ma – stwierdził. – Jesteśmy co do tego absolutnie przekonani. Naszym największym zmartwieniem jest teraz Feniks. Dziennik będzie musiał poczekać.

W sprawie Feniksa SENTINEL poczynił olbrzymie postępy. Prawdopodobieństwo ujęcia agenta wynosiło obecnie według jego oceny dziewięćdziesiąt pięć procent.

To, że agent pojawiał się w miejscach, w których był najmniej spodziewany, potwierdzało przewidywania SENTINELA. Rozważano różne wersje, ale SENTINEL optował za tym, że odnajdą Feniksa w lecącym w środę samolocie do Paryża.

Wszyscy będący pod ręką agenci zostali skierowani na lotnisko 0'Hare. Nie można było dopuścić, by Feniks się wymknął lub ukrył film w miejscu, z którego później przejąłby go inny sowiecki agent. Po starcie samolotu nie będzie miał dokąd uciec – i znajdzie się pod pełną kontrolą. SENTINEL przygotował już dokładny plan.

- To musi się udać – stwierdziła z przekonaniem Elizabeth.

- Też mi się tak wydaje – odparł Honeycut. – Ale będę miał pewność dopiero wtedy, kiedy będziemy mieli w naszych rękach i film, i Feniksa.

Nadeszła środa. SENTINEL był gotów. Rozlokowani w biegnących nad halą odlotów przejściach agenci obserwowali przez szklane ściany wszystkie stanowiska sprzedaży biletów. W rękach trzymali stopery i notesy, jakby prowadzili pomiary wydajności pracy, co na 0'Hare zdarza się dość często.

Dodatkowi agenci umieszczeni zostali przy stanowiskach TWA.

Caneway zarezerwował miejsce na rejs TWA numer 802 bezpośrednio do Paryża. Odlot miał nastąpić o godzinie 16:35.

Pod obserwacją znalazły się również wejścia na lotnisko i stanowiska kontroli. Agent, który zauważyłby Feniksa, miał wysłać sygnał za pośrednictwem trąbki Eustachiusza.

Pod automatyczne drzwi podjechała taksówka. Siedzący z tyłu Aleksy Kuradin był przekonany, że nikt nie rozpozna go w przebraniu zakonnicy. Nie powinni się go tu spodziewać, nawet jeśli odkryli ciało Awadiego.

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku. Kierowca obszedł samochód. Zanim otworzył drzwi od strony pasażera, dał znak bagażowemu, by przytoczył wózek inwalidzki.

Kiedy Kuradin wychylił się na zewnątrz, kierowca ostrożnie ujął go pod ramię, pomagając wysiąść. Z boku ubezpieczał ich bagażowy.

- Dziękuję panu bardzo – powiedział cicho Rosjanin.

- Nie ma za co, siostro – odparł taksówkarz.

Mogli się spodziewać przebrania, ale nikt przecież nie patrzy dwa razy na zakonnicę. Wygląd Kuradina zupełnie się zmienił. Wydawał się dwa cale niższy i pięćdziesiąt funtów cięższy. Jego oczy były teraz ciemnobrązowe, a dłonie odziane w czarne wełniane rękawiczki. W miejscu brakującego małego palca u lewej ręki znajdowała się wata, tak umieszczona, że palec wyglądał jak lekko zgięty.

Kuradinowi wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim wwieziono go przez stanowiska kontroli do poczekalni. Udało mu się minąć niepostrzeżenie wszystkich agentów.

Oczekiwanie na wejście na pokład było prawie nie do zniesienia. Co jakiś czas rzucał ukradkowe spojrzenie znad trzymanego w dłoniach „Catholic Digest”, szukając wypatrujących go oczu.

W końcu ogłoszono, że pasażerowie mogą wchodzić na pokład, i po paru chwilach Kuradina wwieziono do przestronnej kabiny boeinga 747. Zarezerwował sobie miejsce przy oknie, nad lewym skrzydłem, żeby ukryć palec przy ścianie kabiny. Nie zamierzał jeść podawanego podczas lotu posiłku – nie chciał zdejmować rękawiczek. Gdyby je zdjął, ktoś mógł odkryć, że brakuje mu palca, a gdyby jadł w rękawiczkach, mogło się to wydać dziwne. Wolał nie ryzykować.

Udawał, że czyta swoje czasopismo, obserwując ukradkiem wchodzących na pokład pasażerów. Nadal był bezpieczny. Z każdą mijającą sekundą czuł się coraz pewniej. Powinno się udać.

Dwadzieścia minut później na pokład wszedł ostatni pasażer. Drzwi wielkiego samolotu zamknięto i boeing zaczął kołować na pas startowy.

Roger Caneway nie zgłosił się do odprawy. Ale ten fakt nie

771zaskoczył bynajmniej SENTINELA, który nie spodziewał się, żeby Feniks wszedł na pokład jako Caneway. Bardziej prawdopodobne było, że podszyje sic pod kogoś innego. Na razie jednak SENTINEL go nie rozpoznał.

Sprawdzona została błyskawicznie cała lista pasażerów, niestety bez rezultatu. Tego również można się było spodziewać. Do tej pory Feniks umiejętnie zacierał za sobą wszelkie ślady. Nie było powodu sądzić, że nie uczyni tego i tym razem.

Trzydzieści minut później samolot uniósł się z rykiem nad pas startowy i wzbił w powietrze. Kiedy ziemia zniknęła pod postrzępionymi białymi chmurami, Aleksy Kuradin odetchnął z ulgą.

Do Paryża miał osiem i pół godziny lotu. Kiedy się tam znajdzie, będzie bezpieczny i dobrze chroniony. Wszystko się nareszcie skończy i będzie mógł wrócić do domu.

Ale boeing 747 nie miał nigdy dolecieć do Paryża. Feniks był na pokładzie samolotu, SENTINEL miał co do tego pewność, mimo że nie udało się go rozpoznać – i musiał zostać za wszelką cenę zatrzymany.

*

Justin był już na nogach i chodził sztywno po małym pokoiku. Bolało go całe ciało. Ciasny opatrunek zredukował wprawdzie ból trzech złamanych żeber, ale dokuczało mu uszkodzone przez Ten Braaka kolano oraz stopy, spuchnięte od wściekłych kopniaków zadawanych w głowę i twarz przeciwnika.

Rany Justina wymagały założenia pięćdziesięciu sześciu szwów, z których większość przypadła na paskudnie przeciętą lewą dłoń. Na szczęście przeważającą ich część założono mu podczas snu.

Był teraz zupełnie przytomny i przypomniał sobie dzwoniące w uszach dzwoneczki. Zastanawiał się, czy były wytworem jego własnego umysłu, czy też ich dźwięk przekazał mu SENTINEL.

Jednym z niepokojących, związanych z wszczepioną płytką zjawisk było to, że kiedy człowiek przyzwyczaił się do jej obecności, trudno mu było odróżnić własną myśl od odbieranej informacji. Nadchodzący sygnał nie zawsze był wyraźnie słyszalny. Bezpośrednie rozkazy odbierało się na ogół w formie dźwiękowej, ale inne dane dostarczano często w postaci, która bardziej przypominała myśl, nie

rozmowę. Justin zastanawiał się, ile myśli tak naprawdę należy niego, a ile zostało mu podrzuconych przez obcy intelekt. Nie dawało mu to spokoju. Czyżby ulegał sygnałom, które uważał za własne myśli? Wcale mu się to nie podobało.

SENTINEL zapoznał go z najnowszymi wydarzeniami. Justin dowiedział się, co odnalazła ekipa Wydziału Drugiego w jego mieszkaniu, co wydarzyło się w Beloit i jaki jest przewidywany plan Feniksa. Został też poinformowany o udziale Feniksa w operacji na terenie Wielkiej Brytanii.

Na koniec usłyszał głos Honeycuta:

- Jak się czujesz, Pielgrzym?

- Wspaniale - odparł. - Mogę już stąd wyjść. Jak wygląda sytuacja?

- Samolot do Paryża jest już w powietrzu. Niestety nie potwierdziliśmy jeszcze obecności Feniksa na pokładzie. Ale SENTINEL uważa, że on tam jest. W samolocie znajduje się trzech naszych agentów. Pomogą w identyfikacji.

- Co teraz? - zapytał Justin.

- Za jakieś dziewięćdziesiąt minut sprowadzimy samolot na dół - powiedział Honeycut. - Czy czujesz się wystarczająco silny, żeby odbyć małą podróż?

- Jasne. Przebiegnę sprintem całą drogę.

- Pomyślałem, że zechcesz przy tym być - stwierdził Honeycut. - Samolot wyląduje w Newark. Czekają tam wszystkie ekipy, które

poprzednio miały ci pomóc w odnalezieniu Ten Braaka. Kiedy będziesz gotów, samochód odwiezie cię na lotnisko.

- Już jestem gotów - odparł Justin.

- Nie, teraz jeszcze nie jesteś - oświadczył Honeycut. - Najpierw musi ci się przyjrzeć doktor Waith. To on właśnie cię zszywał.

- Naprawdę nic mi nie jest - upierał się Justin.

- Jestem tego pewien. Ale pozwólmy, żeby ostatnie słowo miał w tej kwestii lekarz. Wyznaczono ci nowego partnera, który zastąpi Borsuka.

Zapadła cisza. Justin wrócił myślami do piekielnej pułapki, zastawionej przez Ten Braaka. Ponownie stanęła mu przed oczyma płonąca pochodnia, w którą zamienił się Fanning.

Przypomniał sobie, co powiedział Ted, kiedy po raz pierwszy przystępowali do wspólnej akcji: „Nigdy nie szukaj sobie przyjaciół w tym fachu, łatwiej jest pracować i łatwiej przetrwać".

Ale w miarę upływu czasu zaczęli darzyć się coraz większym szacunkiem. Na jego gruncie wyrosła przyjaźń, o której żaden z nich nie mówił głośno, ale którą obaj czuli. Nikt nie zdoła zastąpić Borsuka.

- Po wypisaniu ze szpitala - oświadczył Honeycut, wyrywając go z zamyślenia - pojedziesz na Newark i obejmiesz dowodzenie. Musicie wziąć Feniksa żywcem. Czy to jasne?

Zapadła krótka cisza.

- Tak jest - odparł po chwili Justin. - Weźmiemy go żywcem.

Nie powierzono by mu tego zadania, gdyby nie był jedyną osobą, która widziała Feniksa z bliska. Widział jego oczy. Pod przebraniem można ukryć bardzo wiele, ale oczy zawsze pozostają te same. Kolor można zmienić szkłami kontaktowymi, lecz kształt i ruchy gałki nigdy się nie zmieniają.

- Zawiadomimy cię, kiedy będziesz mógł wyjechać - powiedział Honeycut kończąc rozmowę.

Kilka chwil później do pokoju weszło dwóch mężczyzn.

- Jestem doktor Waith - oświadczył wyższy. - A to Rainmaker, pański nowy partner.

Justin zmierzył bacznym spojrzeniem człowieka, który miał zostać jego nowym wspólnikiem. Niższy od Fanninga o jakieś trzy cale, ciemne włosy i oczy, miękkie, zaokrąglone rysy twarzy. Wyglądał bardzo łagodnie, ale pierwsze wrażenie może być zwodnicze. Ten Braak również nie wyglądał na wcielonego diabła.

- Pielgrzym - przedstawił się Justin, wyciągając rękę.

- Witam - odparł niższy mężczyzna.

Uścisnęli sobie dłonie, wciąż szacując się uważnym spojrzeniem.

Rainmaker wysłuchał relacji z wydarzeń, które zapoczątkowała śmierć Spartanina. Czuł wobec Pielgrzyma instynktowny respekt. Zimny, twardy wzrok Justina zbijał go z tropu. Wiedział, do czego zdolny jest ten człowiek.

- Zanim pan wyjedzie, chcę jeszcze raz rzucić okiem na pańską rękę - powiedział Waith. - Bardzo boli?

- Ani trochę - skłamał Justin.

Waith zdjął bandaże i przyjrzał się zaszytej ranie.

- Trochę potrwa, zanim to się wszystko zrośnie - powiedział. - Paskudna rana. Jeśli nie chce pan stracić dłoni, musi pan bardzo uważać, żeby nie doszło do ponownego uszkodzenia. Na wszelki wypadek dam panu zastrzyk przeciwbólowy. Może teraz pan nic nie czuje, ale później na pewno będzie bolało.

Przygotował zastrzyk i wbił igłę bezpośrednio w dłoń. Potem wręczył Justinowi fiolkę z szarymi i różowymi tabletkami.

- Znieczulenie potrwa kilka godzin. Proszę je zażyć, kiedy znowu zacznie pana boleć - powiedział. - Niech pan je łyka co cztery godziny, a w razie potrzeby częściej. Ale nie wolno panu pić alkoholu.

Justin przyjrzał się tabletkom i schował je do kieszeni.

Po zastrzyku ból zaczął ustępować. Waith ponownie zabandażował ranę. Kiedy skończył, Justin włożył dostarczone przez nowego partnera ubranie.

Rainmaker wręczył mu mauzera i pas z kaburą. Zawieszony pod pachą pistolet uwierał Justina w pęknięte żebra, ale można to było wytrzymać.

Po paru minutach był gotów. Ruszyli w stronę międzynarodowego lotniska Newark.

Podczas jazdy Rainmaker kilka razy rzucił okiem na zatopionego w myślach partnera. Potrafił czytać w jego oczach. Justin szykował się, ładował się psychicznie. Na jego twarzy widniał wyraz

szczególnej satysfakcji - jakby cieszył się na myśl o czekającym go spotkaniu.

*

Silny tylny wiatr sprawił, że mimo opóźnionego startu boeing wyprzedzał trochę rozkład. Mijali właśnie East Coast, kierując się w stronę oceanu, kiedy w słuchawkach pilota rozległ się głos:

- TW lot osiemset dwa, mówi wieża kontrolna Newark. Potwierdź odbiór.

- Wieża kontrolna Newark, tu TW lot osiemset dwa. Słyszę cię dobrze.

- TW lot osiemset dwa, masz wiadomość na sześć dwa jeden sześć.

- Przyjąłem, Newark – potwierdził kapitan.

Nastawił radio na 6216. Na tej właśnie zastrzeżonej częstotliwości miała zostać wysłana specjalna wiadomość.

- TW osiemset dwa, jestem gotów – powiedział.

Kiedy rozpoczęto nadawanie, pociągnął z filiżanki łyk kawy. Nagle jego twarz stężała. Przełknął kawę i zmrużywszy oczy wysłuchał wiadomości. Potem obrócił się w swoim fotelu i spojrzał na załogę.

- Mamy na pokładzie bombę – oznajmił. Piloci wymienili między sobą szybkie spojrzenia.

- Lądujemy w Newark – powiedział kapitan. – Zostali poinformowani o sytuacji i będą mieli wszystko przygotowane.

Powiedz załodze kabinowej, żeby szykowała się do lądowania – zwrócił się do drugiego pilota.

Kiedy tamten podniósł się z fotela i zniknął za drzwiami, nastawili z powrotem radio na normalną częstotliwość.

- Wieża kontrolna Newark, tu TW osiemset dwa.

- Słyszymy cię dobrze, osiemset dwa. Kurs sto osiemdziesiąt.

- Przyjąłem, wchodzę na kurs sto osiemdziesiąt – odparł kapitan. Przechylił lekko maszynę i zaczął zawracać.

Do kabiny wszedł z powrotem drugi pilot.

- Zrobił się tam niezły burdel, John. Ludzie zaczęli już jeść.

- Zabierzcie im tacki – powiedział kapitan. – Zegar tyka. Mamy akurat tyle czasu, żeby wylądować.

Pilot kiwnął głową i już miał wrócić do kabiny pasażerskiej, kiedy otworzyły się drzwi i do środka weszła stewardesa. W jej oczach malował się strach.

- Przygotuj wszystko do lądowania – polecił drugi pilot. – Musimy natychmiast zacząć schodzić w dół.

- Co mam powiedzieć pasażerom? – zapytała. Pilot przez chwilę się zastanawiał.

- Powiedz im… powiedz im, że jedna z twoich koleżanek zraniła się w kuchence – dodał szybko. – Lądujemy w celu uzyskania pomocy medycznej. To samo możesz przekazać reszcie załogi kabinowej – dodał.

Kiwnęła głową i zniknęła.

Samolot wszedł w drugi łagodny łuk, lecąc teraz na północny zachód w stronę Newark.

Wielu pasażerów już przy pierwszej zmianie kursu wyczuło, że coś jest nie w porządku. Po drugiej zorientowali się wszyscy. Maszyna stopniowo obniżała wysokość.

W kabinie zaczęły się nerwowe szepty. Pasażerowie wstawali z miejsc.

Kuradin usłyszał, jak jeden z pasażerów informuje kilku innych o sytuacji. Jedna ze stewardes poważnie zraniła się w kuchence i potrzebuje natychmiastowej pomocy medycznej. Jest przy niej lekarz, który znalazł się przypadkiem na pokładzie, ale mimo to trzeba natychmiast lądować, żeby przewieźć ją do szpitala.

Kuradin przez chwilę się zastanawiał. Niewykluczone, że to prawda, pomyślał. Ale bardziej prawdopodobne było, że przestało dopisywać mu szczęście.

Samolot tracił wysokość od momentu, w którym dokonano pierwszego zwrotu. Po drugim tempo schodzenia w dół jeszcze się zwiększyło. Boeing zaczął wchodzić w warstwę chmur. Rosjanin czuł się coraz mniej pewnie.

- TW osiemset dwa, wejdź na dwieście siedemdziesiąt. Pułap trzy tysiące, zredukuj szybkość do dwustu dziesięciu węzłów.

- Przyjąłem, Newark – potwierdził kapitan.

- Będziesz lądował zaraz po jumbojecie United – poinformowała go wieża.

- Dziękuję, Newark.

Agenci SENTINELA zajmowali miejsca z przodu, pośrodku i z tyłu samolotu. Do tej pory nie zdołali dokonać identyfikacji.

- TW osiemset dwa, zbliżasz się do pasa. Lecisz za jumbojetem. Wiatr z kierunku zero dziesięć, dwanaście węzłów.

- Przyjąłem. Wiatr zero dziesięć, dwanaście węzłów.

- Ruch za tobą został skierowany na inne pasy – poinformowała wieża.

Kuradin przyglądał się zbliżającej się pod spodem ziemi. Nerwy miał napięte jak postronki. Od Paryża dzieliło go mniej niż siedem godzin – tak blisko miał do celu… Ale musi zachować spokój i grać swoją rolę do końca. Zawsze mogła się jeszcze pojawić jakaś szansa.

- TW osiemset dwa, możesz lądować. Dokołuj na sam koniec pasa.

- Przyjąłem, Newark. Jak stoimy z czasem? – zapytał kapitan.

- Nie najgorzej. Zdążycie.

Pas wybiegł w górę na spotkanie samolotu. Koła uderzyły o beton raz, potem drugi. Wylądowali.

Kabinę wypełnił głośny ryk odwrotnego ciągu. Ci z pasażerów, którzy nie uwierzyli w historyjkę kapitana, spędzili kilkanaście ostatnich minut w straszliwym napięciu. Wszyscy byli zadowoleni, że znaleźli się z powrotem na ziemi.

- Osiemset dwa, kołuj na sam koniec pasa. Skręć w ostatni zjazd w prawo. Czekają tam na was autobusy. Zatrzymaj samolot i ewakuuj pasażerów przez wyjścia awaryjne.

- Przyjąłem – odparł kapitan.

Samolot sunął szybko po pasie. Może rzeczywiście doszło do jakiejś awarii, myślał ze słabą nadzieją Kuradin. Ale kiedy maszyna minęła budynek terminalu, nie wiedział, co o tym sądzić.

- Tu mówi kapitan – odezwał się głos w głośnikach. – Proszę pozostać na swoich miejscach aż do zatrzymania się samolotu. Kiedy staniemy, proszę przechodzić w stronę wyjść awaryjnych.

W kabinie rozległy się krzyki pasażerów.

- Nie ma powodu do paniki – kontynuował kapitan, ale jego głos utonął w ogólnym zgiełku. – Proszę pozostać na swoich miejscach i stosować się do instrukcji załogi kabinowej.

Rozpętało się prawdziwe piekło. Pasażerowie zerwali się z foteli i rzucili w stronę wyjść awaryjnych.

Samolot nadal kołował w stronę autobusów, a potem ostro zahamował, rzucając wszystkich na podłogę i fotele.

Otwarto wyjścia awaryjne. Te z nich, które nie znajdowały się nad skrzydłami, miały specjalne zjeżdżalnie, ale ścisk był tak wielki, że kilku pasażerów wypchnięto na zewnątrz, zanim udało się je do końca nadmuchać. Nie obyło się bez poważnych kontuzji.

Agenci SENTINELA zajęli pozycje przy każdym z wyjść i uważnie przyglądali się twarzom wychodzących.

Kuradin pozostał na swoim miejscu, otoczony zgiełkiem i szaleństwem. Zastanawiał się, czy nie przejść do tyłu i nie wydostać się na zewnątrz przez jedno z wyjść z drugiej strony, ale potem zobaczył coś, co kazało mu zmienić zdanie. Fotel na kółkach. Kilka sekund później ujrzał Justina.

Opuściła go cała nadzieja. Poobijana twarz tamtego świadczyła, że plan został zrealizowany. Doszło do spotkania z Ten Braakiem. Tyle tylko, że to Pielgrzym wyszedł z tej próby zwycięsko.

Kuradin wiedział, że musi wydostać się z samolotu przez najbliższe wyjście, obok którego stał jego fotel na kółkach. Żeby przetrwać, musiał dalej grać swoją rolę. To była jedyna szansa.

Z pomocą jednej ze stewardes ruszył kulejąc ku wyjściu. Postawił stopę na skrzydle i natychmiast się wywrócił. Dwóch mężczyzn szybko pomogło mu wstać i zejść na dół.

- Proszę się nie obawiać. Nie upuścimy siostry – powiedział jeden z nich, przekrzykując histeryczne wrzaski innych pasażerów.

Kuradina posadzono na wózku i zawieziono w stronę jednego z oczekujących autobusów. Zaraz potem wniesiono go do środka i posadzono przy oknie.

Po paru chwilach samolot był pusty. Ostatnia zeszła na dół załoga.

Agentom SENTINELA nie udało się zidentyfikować Rosjanina. Przyłączyli się do ostatnich wsiadających do autobusów pasażerów. Mieli kontynuować poszukiwania podczas jazdy do terminalu. Justin wsiadł do drugiego autobusu, tego samego, w którym znajdował się Kuradin.

Po paru chwilach ruszyli w stronę terminalu.

SENTINEL skierował swoje laserowe baterie na samolot. Kiedy autobusy znalazły się w bezpiecznej odległości, odpalił.

Samolot eksplodował, zamieniając się w wielką pomarańczową kulę ognia. Nocne niebo rozjaśniło się, jakby nagle z powrotem wzeszło słońce.

W autobusach rozległy się histeryczne krzyki. Pasażerowie odmawiali na głos modlitwy, ściskali się i całowali.

W stronę płonącego wraku ruszyły wozy straży pożarnej.

Justin przepychał się przez zatłoczone przejście, zaglądając w twarze ludziom. Oczy Kuradina spotkały się na krótką chwilę z jego oczyma, a potem uciekły szybko na bok. Ale było już za późno.

BLIP! BLIP!

Wszczepiona płytka zasygnalizowała rozpoznanie. Dwa sygnały. Drugi autobus.

Justin przesuwał się dalej do tyłu. Minął Kuradina, usiadł i posłał mu jeszcze jedno szybkie spojrzenie. Kuradin obrócił się lekko do tyłu, a potem z powrotem skierował wzrok przed siebie.

Autobusy ze zgrzytem hamulców zatrzymały się tuż pod halą przylotów; za szybami piętro wyżej ukazały się twarze gapiów.

Zapłakani i rozmodleni ludzie zaczęli wysiadać. Kuradin kuśtykał ciężko, opierając się na lasce i posuwając razem z tłumem. Nagle czyjaś dłoń ujęła go delikatnie pod ramię.

Obejrzał się przerażony.

- Tędy, proszę siostry – zwrócił się do niego uprzejmie Rainmaker, który otrzymał wiadomość od Justina. Zaprowadził Kuradina do fotela na kółkach i zaczął toczyć go przez ciemne

podziemia terminalu, w stronę wypełnionych rozhisteryzowanym tłumem schodów.

Z tyłu dołączył do nich Justin. Rainmaker ustąpił mu miejsca za fotelem. Rosjanin nie zauważył tej zamiany.

Fotel skręcił nagle w lewo, oddalając się od schodów. W ogólnym zamieszaniu nikt tego nie spostrzegł. Wózek toczył się coraz szybciej i szybciej. Kuradin kurczowo zacisnął palce na poręczach, jego oczy rozszerzyły się z przerażenia.

Daleko przed nimi otworzyły się drzwi. Po ich obu stronach stali dwaj mężczyźni. W głębi była tylko ciemność.

Justin najechał z pełną szybkością na próg. Kuradina wyrzuciło do przodu i upadł na podłogę.

Zanim zdążył wstać, ktoś poderwał go do góry i cisnął o ścianę. Uderzył o nią z głuchym łoskotem. Kiedy osuwał się w dół, czyjś łokieć wbił mu się w potylicę, a obie ręce wykręcono mu do tyłu i do góry. Musiał stanąć na palcach, z twarzą i klatką piersiową przyciśniętą do ściany.

Podczas gdy Rainmaker go przeszukiwał, Justin wykręcał mu ramiona tak mocno, że tylko cala brakowało, by wyłamać je ze stawów.

- Jest czysty – oznajmił po chwili Rainmaker. Justin obrócił Kuradina przodem do siebie.

- Jak się siostra miewa? – syknął.

Zdarł kornet z głowy Rosjanina i wbił w niego pełne nienawiści spojrzenie.

- Jeden ruch, jeden oddech… tylko spróbuj – ostrzegł, kierując lufę mauzera w podbródek Rosjanina.

Kuradin wiedział, że to nie żarty.

- Nie mam zamiaru stawiać oporu – oznajmił.

- Wielka szkoda – odparł Justin.

Dwaj mężczyźni przez dłuższą chwilę nie odrywali od siebie wzroku. W ciągu tych kilku sekund powiedzieli sobie bez słowa o wielu rzeczach: o Anglii, o tym, kto wygrał, a kto przegrał, o Fanningu… i o Ten Braaku.

- Wszystko skończone, Feniks. To szach-mat. Tym razem nie wrócisz już do domu – powiedział Justin.

Szach-mat? Niezupełnie, pomyślał Kuradin.

Zostało jeszcze jedno wyjście, jeszcze jedna możliwość.

Rozdział 28

Plan Colorosy wszedł w stadium realizacji. Kontrolowaliśmy największy potencjał, jaki kiedykolwiek znal świat.

W Stanach Zjednoczonych nie było teraz żadnych przeszkód, których nie moglibyśmy pokonać. Szacowaliśmy, że zostało nam najwyżej dziesięć lat. Dzień, w którym miało się wypełnić nasze przeznaczenie, był bardzo bliski. Moja radość nie miała granic.

Ale pogorszył się niestety stan mojego zdrowia. Moim najgorszym przeciwnikiem stała się starość.

Boję się, że nie doczekam Wielkiego Dnia.

Ustęp 68 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Leonid Trawkin siedział przy biurku w swoim gabinecie. Za oknem świeciło słońce, ale wewnątrz panował ponury i mroczny nastrój.

Spis ewakuowanych pasażerów zgadzał się co do jednej osoby, brakowało w nim jednak Aleksego Kuradina i Trawkin wiedział, dlaczego. Centaur został aresztowany.

Pozostała tylko jedna jedyna nadzieja. Ostatnia awaryjna opcja – pod warunkiem, że Dymitr Czachowski nie zepsuje wszystkiego.

Żołądek Trawkina zamienił się w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin w bolesny supeł, odmawiając przyjęcia jakiegokolwiek pożywienia. Co gorsza, dołączyła się do tego obstrukcja. Kiedy będzie musiał się wypróżnić, obolałe hemoroidy przypomną mu, jaką władzę posiadają kiszki nawet nad najbardziej możnymi tego świata. Życie obfituje w drobne dokuczliwości, wobec których równi są wszyscy.

Do drzwi rozległo się pukanie.

- Wejść! – warknął Trawkin.

Do gabinetu wszedł Anatol Krykow, potężny mężczyzna o sympatycznych, mądrych oczach. Pracował w Wydziale Kadr. Trawkin osobiście powierzył mu zorganizowanie przecieku w sprawie Feniksa.

- Melduję się na rozkaz, towarzyszu generale – powiedział głębokim barytonem.

Trawkin zmarszczył brwi, wydął wargi i odwrócił wzrok. Wstał, podszedł do okna za biurkiem i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w topniejący śnieg.

Krykow cierpliwie czekał.

- Czy zidentyfikowany został agent kontaktujący się z Mielnikiem? – zapytał w końcu Trawkin. Iwan Mielnik był źródłem przecieku, choć miał opinię człowieka o nieposzlakowanej lojalności. Jego zdrada była bolesną niespodzianką.

- Tak jest, towarzyszu generale – odparł Krykow. – To Vytas Limpoulous. Jest Grekiem i studiuje łączność w naszej szkole wywiadu – dodał, mając na myśli ośrodek szkoleniowy KGB w Moskwie.

- Jak długo studiuje? – zapytał Trawkin.

- Rok – odparł Krykow.

Cały rok. Trawkin potrząsnął gniewnie głową. Ten człowiek przez cały rok działał tuż pod ich nosem, a oni nie mieli najmniejszego pojęcia, kim jest. Zastanawiał się, ilu było jeszcze innych, tak samo dobrze zakamuflowanych agentów.

- Poleciłem, aby do naszego komputera wprowadzono pewne nowe informacje dotyczące Feniksa – oznajmił. – Mogą zainteresować tego Limpoulousa. Mielnik uważnie śledzi te dane. Kiedy pozna nowe fakty, będzie starał się ponownie skontaktować z Grekiem. Chcę, żeby ujęto ich obydwu podczas spotkania. Ale Limpoulous musi zostać wzięty żywcem – powiedział, patrząc prosto w oczy Krykowa. – Bez względu na koszty. Czy to jasne? – zapytał.

- Tak jest, towarzyszu generale – odparł Krykow. – Wyznaczę do akcji osiem naszych najlepszych ekip.

- Pamiętaj, macie go wziąć żywcem, bez względu na koszty – powtórzył generał.

- Tak jest, towarzyszu generale – powtórzył Krykow. Nienawidził akcji opatrzonych klauzulą „bez względu na koszty". Zbyt często te koszty okazywały się nie do przyjęcia.

- Możesz odejść. Czeka cię dużo roboty: aż do ich spotkania trzeba wziąć pod obserwację zarówno Mielnika, jak i Limpoulousa.

Krykow kiwnął głową, obrócił się na pięcie i ruszył sztywno wyprostowany ku drzwiom. Po chwili Trawkin był znowu sam.

Usiadł ciężko na krześle i głęboko westchnął. Zaburczało mu głośno w żołądku; nagle poczuł, że jest głodny.

W celu przedyskutowania stojących przed nimi możliwości zwołane zostało nadzwyczajne posiedzenie Komitetu Centralnego. Kiedy przedstawi im nowe fakty, zapadnie z pewnością milczenie. Ale pozostanie również nikły cień nadziei, związanej z ostatnią fazą planu.Zerknął na zegarek. Zostało mu jeszcze dosyć czasu, żeby zjeść lunch. Poczuł się trochę lepiej. Jeśli szybko zje lunch, być może zostanie mu trochę czasu na krótki spacer.

*

Justin stał przy małym okienku, przez które można było zajrzeć do sterylnego pomieszczenia, mieszczącego się w podziemiach kliniki kardiologicznej doktora Dialsa na St Simon Island. Przyglądał się odzianej w lekarskie kitle ekipie, która otaczała Feniksa.

Po jego prawej stronie stał doktor Becker Dials, a po lewej Wyatt.

- Ma chroniczną białaczkę limfatyczną - oświadczył Dials. - Potwierdzają to badania krwi i próbki szpiku, które pobraliśmy z jego mostka. Według naszych szacunków pogorszenie nastąpiło nie dalej jak trzy dni temu. I posuwa się w bardzo szybkim tempie.

- Czy umrze? - zapytał Justin.

- Jest w bardzo złym stanie. Jak pan widzi, krwawienie z nosa zamieniło się w ciągły krwotok. Założyliśmy tampony, żeby nie zadusił się własną krwią.

- Wygląda paskudnie - stwierdził Justin.

- Stan pogarsza się bardzo szybko - powiedział Dials. - Do niedawna przyjmował podobny do stosowanego u nas, podtrzymujący remisję specyfik o nazwie ***asparaginase.*** To zmodyfikowana forma naszego leku, trochę bardziej skuteczna. Ale większość tego rodzaju substancji staje się po pewnym czasie nieefektywna. Chory wychodzi wtedy z remisji i trzeba stosować inne środki.

- Kiedy będzie można go przesłuchać? - zapytał Wyatt. Dials rzucił mu pełne dezaprobaty spojrzenie.

- Wy nigdy nie dajecie za wygraną, prawda? Ten człowiek umiera. Jeśli uda nam się go uratować, być może będziecie z nim mogli krótko porozmawiać. Ale nie dopuszczę was do niego, dopóki jego stan się nie poprawi. Nie chcę, żeby powtórzyło się to samo, co poprzednio - dodał lodowatym tonem.

- Słuchaj no pan - rzucił podniesionym tonem Wyatt. - Nie masz pan najmniejszego pojęcia, o co tu chodzi. Facet ma przy sobie film, który...

- Film został już odnaleziony - oświadczył z triumfem Dials. - Dzięki pańskiemu przyjacielowi - stwierdził, wskazując kciukiem Justina.

Wyatt i Justin popatrzyli na niego zdezorientowani.

- Uderzenie łokciem, którym przygniótł pan jego twarz do ściany, spowodowało otworzenie się małego nacięcia na potylicy. Sprawdziliśmy to i znaleźliśmy niewielką wszczepioną pod skórę kasetkę. Wydział Drugi otworzył ją i znalazł mikrofilm.

- Mimo to musimy go przesłuchać. Mikrofilm mógł zostać skopiowany i przekazany innym osobom - powiedział z naciskiem Wyatt.

- W porządku, facet nigdzie stąd nie wyjeżdża. Kiedy tylko dojdzie do siebie, możecie z nim rozmawiać, ile chcecie - odparł pojednawczo Dials.

- Jakie są jego szanse? - zapytał Wyatt.

- Pompujemy w niego masę płytek krwi i białych krwinek. Krwotok zmniejsza się. Jeżeli jego system immunologiczny nie odrzuci płytek, potrafimy opanować sytuację. Białe krwinki pomogą zwalczyć infekcję. Dlatego również trzymamy go w sterylnym pomieszczeniu. Nawet najmniejsza infekcja mogłaby go zabić.

- Kiedy skończy się krwawienie?

- Przez jakiś czas będziemy jeszcze pompować w niego płytki i białe krwinki, a potem rozpoczniemy podawanie specjalnych leków, które ponownie spowodują remisję. Możemy wypróbować na nim kilka nowych specyfików. Pierwszym z nich jest D-osiemdziesiąt. Działa jak dynamit, ale większość chorych reaguje na niego ostrą alergią. Spróbujemy pacjenta odczulić, a potem rozpoczniemy podawanie leku. Mimo to efekty uboczne będą fatalne. Aż do wejścia w remisję będzie ciężko chory.

- A jeśli nie uda się go odczulić? - zapytał Wyatt. Obawiał się, że nie uda mu się przesłuchać Rosjanina.

- Wtedy spróbujemy czegoś innego. Ale będzie pan mógł z nim przez chwilę porozmawiać, kiedy ustanie krwawienie. Może pan to zrobić przez telefon, który znajduje się w jego pomieszczeniu. Możemy również zainstalować głośniki, żeby mógł pan z nim rozmawiać z tego pokoju. A także kamery telewizyjne.

- Jak długo będzie żył, jeśli uda się spowodować remisję? Dials wzruszył ramionami.

- Zważywszy wszystkie okoliczności, oceniam, że zanim dojdzie do ogólnego wyczerpania organizmu, powinno nam się udać przeprowadzić remisję najwyżej dwukrotnie. To oznacza sześć miesięcy.

Wyatt pokiwał głową i przyjrzał się kredowobiałej twarzy Rosjanina. Jego wargi były czarne, pod oczyma widniały ciemne kręgi. Bandaże przy nosie poczerniały od skrzepłej krwi.

- Jeśli naprawdę chcecie pomóc, możecie dać mu swoje płytki krwi - zwrócił się do obu mężczyzn Dials.

- Jaka jest jego grupa? - zapytał Wyatt.

- W przypadku płytek to nie ma znaczenia. Każdy może przyjąć płytki od dowolnego dawcy. Podłączymy was do separatora i oddzielimy płytki, plazmę i białe krwinki - wyjaśnił Dials.

- W porządku - odparł Wyatt. - Zrobię wszystko, żeby nie stuknął w kalendarz, zanim będę miał okazję z nim pogadać.

- Znakomicie. A pan? - zapytał Dials, zwracając się do Justina. Justin przyjrzał się ponownie Rosjaninowi.

- Dobra, mnie też może pan wpisać na listę.

Zaledwie przed rokiem chciał zabić człowieka, któremu teraz oddawał swoje płytki krwi. W Anglii prawie mu się to udało. I zrobiłby to nie dalej jak wczoraj, gdyby Honeycut nie kazał mu wziąć Feniksa żywcem. A teraz pomagał ocalić mu życie.

Ale Honeycut miał rację. Utrzymanie Feniksa przy życiu było bardzo ważne - zwłaszcza teraz.

*

- Tak jest… tak, panie prezydencie. Zgadza się, panie prezydencie. Wszyscy znakomicie się spisali – powiedział Honeycut do słuchawki. – Tak jest, panie prezydencie… mamy wszystko. Nic nie dostało się w ich ręce. Sprawa jest zakończona, panie prezydencie. Może pan być pewien, że nic nam obecnie nie grozi…

- Pielgrzym? Tak, wciąż przysługuje mu urlop, o którym mówiliśmy.

Przez chwilę przysłuchiwał się temu, co miał do powiedzenia jego rozmówca.

- Tak, panie prezydencie. Przykro mi, że Borsuk nie przeżył tej akcji. Był dobrym agentem. Jednym z najlepszych.

No dalej, palancie, zwolnij wreszcie tę linię, mówiła jego zniecierpliwiona mina.

- Tak… tak… dziękuję, panie prezydencie. Oczywiście, nie omieszkam. Do widzenia, panie prezydencie – powiedział.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na doktor Ryerson.

- Był tak szczęśliwy, że mógłby mi jeść z ręki – stwierdził.

- Ma powód. Wszystko skończone – odparła Elizabeth.

- Skończone dla niego, nie dla nas. Wciąż mamy na głowie sprawę dwudziestej piątej strony i dziennika.

- Brakującej strony nie odnaleziono ani przy Feniksie, ani na mikrofilmie – powiedziała.

Honeycut pokiwał głową.

- Musimy się upewnić, czy o niej wie.

- Dlaczego to takie ważne? – zapytała. – Mamy go i nigdy nie wypuścimy z rąk. Nie może nam zaszkodzić, nawet jeśli wie.

- Nie odnaleźliśmy tej strony – odparł Honeycut. – Wciąż jest gdzieś ukryta. Podobnie jak dziennik. Razem mogą sprawić nam dużo kłopotów.

- Wydaje mi się, że za bardzo się przejmujesz – stwierdziła Elizabeth. – Sama kartka nic nie znaczy. Jesteśmy poza tym jedynymi

ludźmi, którzy mogą odnaleźć dziennik. Nikt inny nie wie o jego istnieniu.

- Nieprawda – przerwał jej Honeycut. – O dzienniku wie również Pielgrzym. A ja nadal nie mam pojęcia, co myśleć o tej jego wyprawie do mieszkania Bridgesa. Pielgrzym mnie niepokoi. Jest sprytny. Za bardzo sprytny i za bardzo niezależny… jak Spartanin. Trzeba go obserwować. Mam zamiar go kontrolować podczas tego urlopu – dodał.

- Co twoim zdaniem może takiego zrobić? Kontrolujemy go przecież całkowicie dzięki umieszczonemu w płytce materiałowi wybuchowemu – powiedziała Elizabeth.

- Po prostu mu nie ufam. Do soboty wieczór pozostanie na St Simon Island. Wtedy zdejmą mu szwy i będzie mógł wyjechać na wypoczynek. Poinformowano go, że płytka zostanie zdezaktywowana aż do powrotu do służby. Otrzymał numer telefonu, pod który ma zadzwonić, gdyby czegoś potrzebował. Skontaktuje się z nami po powrocie.

- Ale ty oczywiście nie masz zamiaru dezaktywować płytki? – zapytała Elizabeth.

- Oczywiście, że nie. Jednak świadomość, że przestaliśmy go kontrolować, może go trochę ośmielić. Jeśli coś odkryje, będziemy interweniować. Ale na wszelki wypadek każę chyba Rainmakerowi trzymać się blisko niego.

- Co się stanie, jeśli Pielgrzym go zauważy?

- Powiedziałem „blisko”. Nie będzie widoczny, lecz w razie konieczności szybko wkroczy do akcji. Bezpośrednią obserwację będzie prowadził inny agent, Gemini. Gemini jest mistrzem dyskretnej inwigilacji. Będziemy wiedzieli o wszystkich ruchach Pielgrzyma.

- Naprawdę uważasz, że będzie próbował odnaleźć dziennik? – zapytała Elizabeth.

Oczy Honeycuta zamieniły się w wąskie szparki.

- Sądzę, że możemy być tego pewni.

Rozdział 29

Kiedy myśleliśmy, że spełniły się już nasze najśmielsze marzenia, Colorosa zaprezentował nam kolejną niespodziankę. Nasze siły i możliwości kontroli powiększyły się w sposób, który trudno było sobie nawet wyobrazić. Z początku nie chcieliśmy w to wierzyć. Ale Colorosa zaaranżował najbardziej niewiarygodny pokaz, jaki kiedykolwiek oglądaliśmy.

Cały plan mógł zostać zrealizowany jeszcze tego samego dnia, Colorosa jednak przedstawił lepsze rozwiązanie. Rozwiązanie, które zapewniało przejęcie władzy całkiem naturalnie, bez żadnego oporu. Potrzebna była tylko cierpliwość.

Ustęp 73 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Zgodnie z przewidywaniami generała Trawkina Iwan Mielnik ponownie zajrzał do ***dossier*** Feniksa. Kiedy tego samego wieczoru

opuścił siedzibę KGB, ludzie Krykowa zaczęli zastawiać sieć, w którą miał wpaść razem z Limpoulousem.

Siedział zdenerwowany w mieszkaniu, czekając na Greka. Czas mijał nieznośnie wolno. Każde kolejne spotkanie wiązało się z coraz większym ryzykiem. Mielnik wiedział, że nie będzie mógł bez końca zaglądać do danych Feniksa. A największym ryzykiem było wyznaczenie spotkania akurat w tym miejscu.

Tu właśnie wszystko się zaczęło. W mieszkaniu przyjaciela Mielnika.

Mniej więcej przed dziesięcioma miesiącami jego kochanek nawiązał nową znajomość. Wiadomość o tym stanowiła dla Mielnika bolesny cios. Nie mógł pogodzić się ze zdradą.

Kilka tygodni później spotkał swego rywala. Nazywał się Vytas Limpoulous, był wysoki i przystojny. Z początku Mielnik nie krył złości i urazy, ale niebawem sam znalazł się pod urokiem Greka. Wkrótce potem utworzyli wspaniały miłosny trójkąt i Mielnik bardzo zaangażował się uczuciowo – aż do chwili, kiedy Limpoulous zakomunikował mu, co powinien zrobić, żeby o wszystkim nie dowiedział się Wydział Kadr.

Wpadł w zastawioną nań pułapkę. Orzeł został wysłany specjalnie po to, żeby go zwerbować – jeśli trzeba, nawet pod groźbą kompromitacji. Rosjanin wiedział, co go czeka, jeśli Wydział Kadr dowie się o całej sprawie. Nie miał innego wyboru: musiał zgodzić się na warunki tamtego.

Miejsca spotkań były za każdym razem inne, starannie wybrane przez Greka.

Mielnik był w mieszkaniu sam. Swego pierwszego kochanka, nie wiedzącego nic o układzie, jaki wiązał go z Orłem, wysłał na miasto i zakazał wracać przed wieczorem.

Idący ulicą Orzeł ostrożnie zbliżył się do bloku. Wszystko wydawało się w porządku, ale instynkt wyraźnie go ostrzegał. Mielnik miał mu przekazać kolejne bardzo ważne informacje na temat Feniksa, informacje, których potrzebowała agencja. W sytuacji, kiedy w identyfikacji Feniksa nie mógł dopomóc Dymitr Czachowski, najważniejszą sprawą było uzyskanie ostatecznego potwierdzenia.

Grek rozejrzał się jeszcze raz dookoła i wszedł do bloku.

Ludzie Krykowa odczekali kilka chwil, a potem zajęli pozycje.

Winda jechała powoli do góry. Zatrzymała się na piątym piętrze. Orzeł wyszedł na korytarz, przeszedł kilkanaście kroków, które dzieliły go od drzwi, i zastukał w umówiony przedtem sposób.

Drzwi otworzyły się i wszedł do środka.

Nie mówiąc ani słowa, podszedł szybko do okna, uchylił zasłonę i spojrzał na ulicę. Zobaczył ludzi Krykowa, którzy szybko zajmowali wyznaczone wcześniej pozycje. Zdążyli obstawić wszystkie wyjścia, nie miał co do tego cienia wątpliwości.

- Śledzili cię – powiedział spokojnie do Mielnika.

Tamten zrobił się blady jak ściana. Ruszył w stronę okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz, ale Grek powstrzymał go.

- Mamy tylko kilka sekund, zanim tu wpadną. Musisz mi powiedzieć, co wiesz, szybko – rzucił.

Zwarł ścianki trąbki Eustachiusza, żeby poinformować SENTINELA, że za chwilę wyśle ważną wiadomość. BLIP!

BIP! – odpowiedział natychmiast SENTINEL. Mielnika ogarnął paniczny strach. Nie odrywał wzroku od oczu Limpoulousa.

- Vytas… ja… ja nie…

- Wszystko w porządku, Iwan – stwierdził Grek, kładąc dłoń na ramieniu niższego mężczyzny. – Wiem, że to nie twoja wina. Ale musisz mi szybko powiedzieć. Mamy mało czasu.

Mielnik gwałtownie zamrugał. Do oczu napłynęły mu łzy, w gardlezaczęła formować się twarda gruda przerażenia. Wiedział, co czeka go już za chwilę.

- Feniks… Feniks został ujęty – powiedział, przełykając ślinę. – Operacja miała kryptonim SENTINEL. Kompletnie się załamała. Feniks był naszą jedyną nadzieją.

- Czy to wszystko? – zapytał Limpoulous.

- Tak – odparł Mielnik.

- Teraz stąd wyjdę. Jeśli zdążę dostać się na inne piętro, być może będziesz miał jakąś szansę – oznajmił Grek.

BIP! Wiadomość przyjęta.

BLIP! BLIP! Trąbka Eustachiusza Orła zasygnalizowała, że znajduje się w niebezpieczeństwie i że grozi mu aresztowanie.

Dotknął delikatnie policzka Mielnika i ruszył ku drzwiom. Uchyliwszy je, zobaczył otwierające się drzwi windy i wyskakujących z niej czterech kagebistów.

Zatrzasnął drzwi, zamknął je na klucz i odwrócił się w stronę Mielnika.

- Vytas, ja… – dalsze słowa utkwiły Mielnikowi w gardle, kiedy zobaczył w ręku Limpoulousa zaopatrzony w tłumik pistolet.

BANG! BANG!

Mielnik osunął się na podłogę. Nie musiał się już niczego bać. Drzwi poszły w drzazgi. BANG! BANG!

Kule przeszyły pierwszego Rosjanina, który się w nich pokazał. BANG!

Drugiego mężczyznę rzuciło o ścianę przedpokoju.

Orzeł popędził do kuchni. Atakujący nie odpowiadali ogniem.

BANG!

Jeszcze jeden przy drzwiach.

Wbiegając do kuchni, zobaczył człowieka stojącego za oknem na szerokim gzymsie. BANG!

Człowiek runął w dół razem z odłamkami szkła. Magazynek w pistolecie Limpoulousa byl pusty, komora również. Z tyłu, zza rozłupanych w drzazgi drzwi doszły go dwa ciche dźwięki.

Nasycone środkiem usypiającym strzałki trafiły go prosto w plecy. Opadł na kolana, wypuszczając z dłoni broń. Zachwiał się, próbując odzyskać równowagę, a potem runął prosto na twarz.

Zgodnie z obietnicą Orzeł został wzięty żywcem. Ale koszty tej operacji okazały się dla Krykowa bardzo wysokie.

Leonid Trawkin miał jednak teraz to, czego potrzebował do realizacji ostatniej fazy planu. Towar do wymiany.

Winda zatrzymała się na dwudziestym piętrze Horizon Tower w Fort Lee, New Jersey. Justin wyszedł z kabiny i ruszył korytarzem w stronę mieszkania Barbary.

Przedtem odwiedził własny apartament, żeby sprawdzić, w jakim jest stanie. Wyglądał dokładnie tak samo, jak przed walką. Połamane meble i pokrwawiony dywanik zostały zastąpione innymi. Tylko na popielniczce od Barbary pozostały ślady świadczące o tym, że posłużyła niezgodnie ze swoim przeznaczeniem. W kilku miejscach odłupało się szkło. Wydział Drugi nie wymienił jej, ponieważ nie znaleziono identycznego egzemplarza. Popielniczka była prawdziwym unikatem.

Przycisnął dzwonek.

Barbara czekała na niego. Otworzyła drzwi już po kilku sekundach.

- Długo się nie widzieliśmy… – Słowa uwięzły jej w gardle, kiedy zobaczyła jego poobijaną twarz. – Och, Justin, co się stało? – zapytała, biorąc jego twarz w miękkie, ciepłe dłonie.

- W porządku, Króliczku. Miałem po prostu drobny wypadek samochodowy w Seattle. Naprawdę czuję się lepiej, niż wyglądam – powiedział, wchodząc do mieszkania.

- Jesteś pewien? – zapytała ze współczuciem.

- Jasne, nic mi nie jest. Naprawdę.

- Och, Justin, dlaczego nie zadzwoniłeś i nic nie powiedziałeś? Jak to się stało?

Jej troska sprawiła mu wyraźną przyjemność.

- Nie zadzwoniłem, bo nie chciałem cię martwić. Czułem się nie najgorzej. Wiedziałem, że nic mi nie będzie.

Potrząsnęła głową, wpatrując się w niego. Do oczu napłynęły jej łzy.

- Samochód stoczył się ze wzgórza – powiedział. – Wziąłem za szybko ostry zakręt i straciłem panowanie nad kierownicą. Wóz nadaje się tylko na złom.

- Czy ktoś z tobą był? – zapytała, obejmując go ramieniem i prowadząc do kuchni.

- Nie, byłem sam – odparł, siadając przy stole.

Barbara wzięła jego głowę w ramiona i przytuliła ją do swoich bujnych piersi. Jak zwykle nie miała biustonosza.

- Mogłeś zginąć – powiedziała cicho.

Objął ją w pasie i mocno przycisnął do siebie. Miał ochotę pozostać tutaj, pozwolić, żeby ukoiły go jej miękkie piersi i słodki zapach; pozostać i zapomnieć o wszystkich rzeczach, które wydarzyły się w zeszłym tygodniu.

Domyśliła się tego i nie odsuwała się, delikatnie gładząc go po włosach. Trwali tak w uścisku bardzo długo, ciesząc się swoją bliskością.

- Chcesz się czegoś napić? – zapytała w końcu, cofając się, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Nie mogę. Biorę lekarstwa i nie wolno mi pić alkoholu – powiedział.

- Jakie lekarstwa?

- Przeciwbólowe. Na to – powiedział, podnosząc obandażowaną dłoń.

Wstrząśnięta widokiem jego twarzy, w pierwszej chwili w ogóle nie zauważyła bandaża.

- Co ci się stało w rękę? – zapytała.

- Przeciąłem ją bardzo głęboko – odparł, pokazując palcem linię, wzdłuż której wbiła się w jego dłoń garota. – Trzeba było założyć czterdzieści szwów.

- Czterdzieści szwów! O mój Boże! Czy będziesz mógł się nią normalnie posługiwać? – W jej oczach ponownie zalśniły łzy.

- Jasne – odparł, poruszając ręką. – Większość szwów jest w środku. Na szczęście rana nie jest poszarpana. Cięcie było eleganckie i proste. Za parę miesięcy nie będzie prawie nic widać. Miałem szczęście, zajął się mną wspaniały lekarz.

Uniosła delikatnie jego rękę i pocałowała wystające spod bandaży palce.

- Czterdzieści szwów…

- To nic takiego. Naprawdę mnie nie boli.

- Aż boję się zapytać, gdzie jeszcze…

- Trochę obrażeń twarzy – odparł, pokazując palcem te najbardziej widoczne. – Kilka połamanych żeber i obolałe kolano. Reszta jest w porządku.

- Nic dziwnego, te twoje tabletki znieczulają. Masz tam jeszcze coś w spodniach? – próbowała żartować.

- Jasne. Chcesz zobaczyć?

- Hmm – mruknęła.

Pogładził ją delikatnie skrajem dłoni między udami.

- Rozbierz się – powiedział z uśmiechem.

Leżeli potem długo, objęci ramionami, nie zwracając uwagi na mijające popołudnie. Kochali się bardzo ostrożnie: żebra bolały Justina o wiele bardziej, niż gotów był to przyznać, nawet wobec samego siebie.

Opowiedział Barbarze o wakacjach, które zaoferowano mu w ramach gratyfikacji za ostatnie zlecenie. Nie posiadała się z radości, mogąc odłożyć na jakiś czas swoją pisaninę i mieć go przez tak długi czas tylko dla siebie.

- Dokąd moglibyśmy pojechać? – zapytała, nie kryjąc dziecinnego entuzjazmu.

- Do Grecji, do Włoch, do Austrii. Szwajcarii, Francji, Niemiec, Anglii… Izraela – wyliczał z uśmiechem.

- Nie mogę się zdecydować. Który kraj wybierzemy?

- Wszystkie – odparł. – Po tygodniu w każdym. Na jej twarzy radość walczyła z niedowierzaniem.

- Jeśli nie masz nic przeciwko – dodał – moglibyśmy jeszcze spędzić tydzień w Arabii Saudyjskiej.

- W Arabii Saudyjskiej? Jasne, gdzie tylko chcesz – powiedziała. – Nieważne gdzie, byleśmy byli razem. Ale… dlaczego akurat Arabia Saudyjska? – zapytała. – Nie żeby mi to przeszkadzało, ale czy jest jakaś szczególna przyczyna?

- Chodzi o Pappy'ego. Nie pamiętasz? Opowiadałem ci, że Steve pracuje w Arabii Saudyjskiej.

- A, tak… Pamiętam. Twój kolega z college'u.

- To nie jakiś tam kolega z college'u – zaoponował Justin – ale najlepszy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miałem. Łączy nas wiele wspólnie przeżytych lat i mnóstwo wspomnień.

Niewielu było ludzi, których Justin uważał za swych prawdziwych przyjaciół. Należał do nich między innymi Ted. Było jeszcze kilku innych, również ze studenckich czasów, najbliżej jednak przyjaźnił się ze Steve'em.

- Nie widziałem go od ponad roku. I napisałem mu o tobie. Nie może się doczekać, żeby cię zobaczyć. To znakomita sposobność. Nie chciałbym, żebyśmy ją zmarnowali.

- Wspaniale – odparła z promiennym uśmiechem.

- Zaczniemy może od Arabii, a potem polecimy do Izraela i Grecji. Później objedziemy Europę i zakończymy wakacje tygodniowym pobytem w Anglii – zaproponował.

Mówiąc o Anglii miał w tym swój cel.

- No i jak ci się to podoba, piękna pani? – zapytał po chwili.

- Wspaniały plan – powiedziała rozentuzjazmowana. – Nie wierzę własnym uszom. Dziewięć tygodni! – Nagle spoważniała. – To będzie kosztowało mnóstwo ***pesos, amigo.*** Skąd je weźmiemy? Trzeba będzie co najmniej…

Uciszył ją pocałunkiem.

- Nie martw się o pieniądze. Za to ostatnie zlecenie dostałem naprawdę pokaźną premię. Wypadek zdarzył się, kiedy wracałem z pracy – skłamał.

- Ale i tak spróbujemy zaoszczędzić tyle, ile się da. Najtańsze hoteliki. Przez cały czas drelichy i sandały – odparła.

- Proponuję imprezę pierwszej klasy, od początku do końca – zaprotestował Justin.

- Już sam fakt, że mogę być razem z tobą, sprawia, że dla mnie jest to impreza pierwszej klasy – powiedziała, całując go. – Będziemy podróżować jak nomadzi. Pierwsza klasa w Arabii Saudyjskiej, ze względu na Steve'a, a potem studencka rajza. Zgoda?

Nigdy nie mógł się oprzeć jej urokowi.

- W porządku, umowa stoi. Zrobimy, jak będziesz chciała – ustąpił.

Później, po wspólnym prysznicu, Justin zaczął się ubierać. Barbara obandażowała mu obolałą klatkę piersiową i założyła na dłoń świeży opatrunek.

Cięcie zdążyło się już zrosnąć, pozostawiając na skórze cienką różową linię. Lekarz spisał się na medal. Podskórne szwy, które na razie trochę mu doskwierały, powinny się za jakiś czas rozpuścić.

Wszystkie zaszyte rany wspaniale się zrastały. Po ustąpieniu obrzęków na twarzy powinny pozostać zaledwie drobne ślady, dodające tylko pewnej surowości jego aparycji.

Barbara zaczęła się ubierać, a Justin szykował się do wyjścia. Miał odebrać na weekend swojego syna. Nazajutrz zaprosił na kolację ojca. Barbara miała przyjechać do niego, kiedy odbierze już Michaela.

- Zabierz ze sobą trochę rzeczy – powiedział. – Chcę, żebyś u mnie została. Dobrze?

- W ciągu następnych kilku tygodni nie zamierzam odstępować cię na dłużej niż godzinę – odparła, mrucząc jak kotka.

Justin podszedł bliżej i mocno ją przytulił. Po chwili spojrzał w jej piękne błękitne oczy.

- Nie miałem na myśli tylko naszego urlopu, Króliczku – powiedział. – Chciałbym, żeby to trwało zdecydowanie dłużej.

Jej oczy znowu zwilgotniały.

- Chcę, żebyś za mnie wyszła – powiedział. Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy.

- Nie dam ci ani chwili na zastanowienie – odparła łamiącym się głosem. – Przyjmuję twoje oświadczyny. Przyjmuję. Przyjmuję.

Skoczyła w górę i zarzuciła mu ręce na szyję.

Była taka drobna i ciepła. Tak bardzo jej pożądał; miał ochotę wtulić ją w siebie tak mocno, aż stałaby się częścią jego samego. Ale jego żebra zaprotestowały i musiał postawić ją na podłodze.

Nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy.

- Kocham cię, Króliczku. Bardziej niż kogokolwiek lub cokolwiek zdarzyło mi się kochać w życiu – powiedział.

- Daj spokój, ty wielka ofermo. Uciekaj stąd, zanim znowu zerwę z ciebie portki.

- Będziemy mieli na to mnóstwo czasu – powiedział. – Od teraz będziemy mieli mnóstwo czasu dla siebie.

- Mnóstwo czasu dla siebie… – powtórzyła, składając mu głowę na piersi i zaciskając powieki, żeby powstrzymać kapiące łzy.

*

Kolacja nie przebiegła dokładnie tak, jak to sobie wyobrażał. Michael był poirytowany i kapryśny, ojciec wydawał się jakiś skrępowany, a po wszystkim, co się wydarzyło, Justin czuł się trochę nieswojo we własnym mieszkaniu.

Co chwila wychodził do sypialni, żeby upewnić się, czy nie zostało w niej żadnych śladów po walce, jaką stoczył z Ten Braakiem. Barbara nie zauważyła, że z popielniczki odłupało się kilka kawałków. Wszystko wydawało się w porządku. Mimo to czuł się w mieszkaniu dziwnie. Jakby znajdował się w akwarium.

Nie było już bezpieczne. Straciło swoją prywatność.

Wieczór wydawał się trwać całą wieczność. Justin modlił się o to, żeby zostać sam na sam z Barbarą. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że nie zna już dobrze własnego ojca i syna. A może to oni nie znali dobrze jego: nie wiedzieli przecież, kim jest naprawdę i co robi.

Od totalnej katastrofy uratowała spotkanie Barbara. Podtrzymywała rozmowę, wtrącając zawsze odpowiednią uwagę w odpowiednim miejscu.

Wreszcie kolacja się skończyła. Justin odwiózł ojca i syna i wrócił razem z Barbarą do domu.

Tej nocy znowu śnił mu się napastnik bez twarzy. Umysł gorączkowo szukał sposobów obrony. Przypominał sobie, gdzie zostawił pistolet, gdzie jest termiczny kubek i popielniczka.

Niezła broń: termiczny kubek i popielniczka.

W końcu, trzymany w objęciach przez Barbarę zapadł w głęboki sen. Obudziła go gdzieś koło czwartej rano, bo rzucał się dziko w pościeli, jakby z kimś walczył.

Cały spocony przytulił ją mocno do siebie. A potem leżał na wznak, rozmyślając o dzwoneczkach i rozpaczliwie pragnąc usłyszeć ich dźwięk. Nie chciały się jednak odezwać.

- Lubisz dźwięk dzwoneczków? Takich, jakie wieszają czasem na werandach? - zapytał.

- Hmm? Co mówisz? - wymamrotała, budząc się z drzemki.

- Pytałem, czy lubisz dźwięk dzwoneczków - powtórzył.

- Tak, chyba tak - odparła. - Dlaczego pytasz?

- Sam nie wiem... Kiedy byłem dzieckiem, mieliśmy dzwoneczki na werandzie z tyłu domu. Mogłem ich słuchać przez całą noc. Były takie ciche i kojące. Kołysały mnie do snu. Pomyślałem, że przyjemnie byłoby je mieć, przyjemnie byłoby słuchać w nocy ich cichej, srebrzystej muzyki.

- Masz rację - mruknęła zaspanym głosem.

Tak, to byłoby przyjemne, pomyślał. Gdyby tylko mógł je teraz usłyszeć!

Przez resztę nocy prawie nie spał. Zdrzemnął się dopiero wtedy, kiedy pokój wypełniło poranne słońce.

Tego ranka próbował się dodzwonić do Steve'a, ale go nie było. Pappy miał jednak automatyczną sekretarkę, więc Justin nagrał mu wiadomość o planowanym przyjeździe wraz z prośbą, by zadzwonił przy najbliższej sposobności.

Cały następny dzień spędzili na planowaniu podróży. Zastanawiali się, jaką zabrać garderobę, żeby nie przeciążać bagażu. Postanowili, że po przyjeździe do Europy wynajmą samochód i będą podróżowali bocznymi drogami, zatrzymując się tam, gdzie im przyjdzie ochota.

Prawie o siódmej wieczorem zadzwonił telefon. Justin podniósł słuchawkę.

- Halo? - odezwał się.

- To ty, J.C.? - rozległ się w słuchawce głos Steve'a.

- Pappy! - zawołał, natychmiast go rozpoznając.

Do rozmowy włączyła się zagraniczna telefonistka. Kiedy formalności zostały załatwione, wyłączyła się.

- Cześć, braciszku. Co u ciebie słychać? - zapytał tubalnym głosem Steve. Był prawdziwym olbrzymem, o cztery cale wyższym od Justina i mniej więcej o czterdzieści funtów cięższym. Nie byle jakie czterdzieści funtów.

- Czuję się świetnie. Gdzieś ty się do diabła podziewał? Próbowałem cię złapać - oświadczył Justin.

- Wiem. Powinieneś pamiętać, że mamy tutaj zupełnie inną porę dnia. Kiedy dzwoniłeś, wyszedłem na panienki.

Steve zawsze miał słabość do kobiet.

- Która tam u ciebie godzina? - zapytał Justin.

- Dochodzi trzecia rano.

- Właśnie przyszedłeś?

- Nie. Właśnie wychodzę.

- Chyba należy ci się trochę snu? - strofował go żartobliwie Justin.

- Nie w tym interesie, braciszku - odparł Steve.

- Interesie? O trzeciej nad ranem? Masz chyba na myśli małpi interes - dokuczał mu Justin.

- Nie, nie - odpowiedział ze śmiechem Steve. - Tym razem to naprawdę sprawy zawodowe. Wyjeżdżam na tereny nowych wierceń. Nie będzie mnie tutaj przez jakieś trzy miesiące. Dlatego dzwonię o takiej nieludzkiej porze. Podczas tych wakacji nie będziemy mogli się spotkać. Nie mógłbyś odłożyć urlopu... przynajmniej jednego tygodnia... do czasu, kiedy wrócę?

- Jasne, nie ma sprawy.

- To wspaniale. Dam ci znać listownie, kiedy wrócę do swojej nory i kiedy najlepiej będzie się spotkać.

- Świetnie. Mówisz, że za mniej więcej trzy miesiące?

- Tak, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Ale dam ci jeszcze znać. Czy twoja dziewczyna też będzie mogła przyjechać?

- Na pewno nie przepuści takiej gratki - odparł Justin.

- To wspaniale. Naprawdę chciałbym ją spotkać.

- Na pewno ci się to uda. Mamy zamiar się pobrać.

- Powtórz jeszcze raz. Przez chwilę źle cię słyszałem - powiedział Pappy. Rzeczywiście na linii przez moment były jakieś zakłócenia.

- Powiedziałem, że mamy zamiar się pobrać - powtórzył głośniej Justin.

- Naprawdę? To wspaniała wiadomość, braciszku. Hej, posłuchaj. Jeśli Barbara nie będzie miała nic przeciwko temu, chciałbym, kiedy już tu będziecie, zabrać cię na wieczór kawalerski. Myślisz, że będzie się bardzo gniewać?

- Nie ma sprawy, Pappy, jeśli tylko nie zarażę się żadnymi egzotycznymi chorobami.

Barbara wchodziła właśnie do pokoju z gorącą czekoladą.

- Nie podoba mi się to, co słyszę - zażartowała.

- To ona? - zapytał Steve.

- Tak.

- Pozwól mi z nią trochę porozmawiać.

- Jasne. Zaczekaj chwilkę. Justin wręczył słuchawkę Barbarze.

- Masz, dowiedz się z samego źródła - uśmiechnął się. Barbara wzięła do ręki słuchawkę. Przez kilka minut rozmawiali jak starzy

przyjaciele. Potem wydała krótki okrzyk zdziwienia i zaczęła się histerycznie śmiać. Justin odebrał jej słuchawkę.

- Co tam knujecie? - zapytał.

- To nasza słodka tajemnica. Dowiesz się po przyjeździe. Teraz muszę już kończyć, braciszku - stwierdził Steve.

- W porządku, Pappy. A kiedy wybierasz się z powrotem do domu? Myślałem, że podpisałeś kontrakt tylko na rok? - zapytał Justin.

- Na razie to niemożliwe. Za duży szmal tutaj robię. A poza tym wspaniale mi się tu żyje, mówię ci. Zobaczysz, co mam na myśli, kiedy przyjedziesz. Zacznę się zastanawiać nad powrotem nie wcześniej niż za rok. Porozmawiamy o tym dłużej, kiedy przyjedziesz. Tymczasem uważaj na siebie i na swoją panią.

- Będę uważał, Pappy. Ty też dbaj o siebie. I nie przywieź przypadkiem z pustyni wielbłądziego trypra albo czegoś podobnego.

Steve roześmiał się.

- Nie ze mną takie numery, braciszku. Wielbłądy zachowam dla ciebie. Naprawdę czekam na was z utęsknieniem.

- Ja też. Trzymaj się, Steve.

- Cześć, braciszku. Połączenie zostało przerwane.

- Przyjemnie było usłyszeć jego głos - powiedział Justin.

- Uwielbiasz go, prawda? - zapytała z uśmiechem Barbara.

- Tak - odparł, wracając wspomnieniami do studenckich czasów. - Z czego się tak śmiałaś? - zapytał po chwili.

- Dowiesz się, jak tam przyjedziemy - oznajmiła. - Mam nadzieję, że lubisz wielbłądy - dodała i wybuchnęła śmiechem.

Justin rzucił się za nią w pogoń. Okrążywszy kanapę, uciekła z piskiem do sypialni. Próbowała zamknąć za sobą drzwi, ale Justin był szybszy.

Poddała się, łapiąc zdyszany oddech.

- Wielbłądy, mówisz? - zapytał groźnie.

- Nie znasz tego powiedzonka? Nie ma większego garbu od garbu wielbłąda - powiedziała, zarzucając mu ręce na ramiona i całując w usta. - Rozbierz się - szepnęła.

Tej nocy nie myślał o obronie przed atakiem i nie przyśnił mu się napastnik bez twarzy. Podobnie jak dzwoneczki, Barbara również czasami potrafiła mu przynieść zapomnienie.

Rozdział 30

Na naszych oczach rodziła się Czwarta Rzesza. Niepokonana, niezwyciężona. Świat, w którym do aryjskiej dominacji doszło bez użycia siły. Świat doskonałych Aryjczyków. Świat władców.

Tamtego miesiąca omal nie powaliła mnie choroba. Ale od dawna zżyłem się ze śmiercią. Oszukałem ją raz przed trzydziestu laty i już się jej nie boję. Mogę umrzeć choćby jutro, wiedząc, że urzeczywistniły się moje sny, spełniła obietnica. Gdybym tylko mógł podzielić się tą wiadomością z tymi, którzy nie dożyli.

Ustęp 74 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

- To by było wszystko - powiedziała Barbara, kiedy razem z Justinem wyszli na zalany słońcem parking centrum handlowego Paramus. Każde z nich niosło kilka lekkich paczek. - Po południu się spakujemy, a potem pójdziemy wcześnie spać, żeby jutro rano nie spóźnić się na lotnisko - dodała.

Poprzedni tydzień minął im bardzo szybko. Mimo że nie zabierali ze sobą dużo bagaży, tak długa podróż wymagała załatwienia mnóstwa spraw. Zarezerwowali tylko bilety lotnicze i pierwsze noclegi w Izraelu i Grecji. Reszta miała być totalną improwizacją: zamierzali zatrzymywać się, gdzie im przyjdzie ochota.

Po chwili wjeżdżali już na Route 17, kierując się na południe, w stronę Garden State Plaża, gdzie mieli do załatwienia ostatnią sprawę. Justin chciał koniecznie zaopatrzyć się w cygara u swego stałego dostawcy, Wally'ego Franka.

Najbardziej lubił specjalny, ręcznie zwijany gatunek, na którym Wally Frank umieszczał znak własnej firmy. Nie kosztowały zbyt wiele, ale idealnie mu odpowiadały - bardziej niż większość droższych gatunków, których przedtem próbował.

- Masz może jakąś kartkę papieru? Chcę zrobić listę - powiedziała Barbara.

- Jeszcze jedną listę? W domu mamy ich chyba ze dwadzieścia. Robisz listy przez cały tydzień - roześmiał się.

- Tak, wiem. Ale za każdym razem, kiedy robię nową, wyrzucam jedną z poprzednich. Dzięki temu, kiedy się w końcu spakujemy, będziemy mieli do sprawdzenia tylko jedną.

- W schowku jest chyba mały notes - powiedział. Otworzyła schowek i zaczęła w nim grzebać.

- O! Wygląda całkiem nieźle - oznajmiła, wyciągając eleganckie cygaro.

Justin natychmiast je poznał. To było jedno z dwóch cygar, które dał mu Fanning podczas polowania na Ten Braaka. Wypalił wtedy jedno, a drugie zachował na potem. Później nie mógł go znaleźć. Musiał wetknąć je tutaj zupełnie bezwiednie.

- To dobry gatunek - powiedział. - Dostałem je od kumpla jakieś trzy tygodnie temu.

- Masz, zapal. Uwielbiam zapach twoich cygar - powiedziała, odwijając celofan.

Justin odgryzł końcówkę i wsadził cygaro między zęby. Poszukał w kieszeni zapałek, ale ich nie znalazł. Barbara podała mu pudełko, które leżało w schowku.

Trzymał przez chwilę cygaro w zębach, rozmyślając o Tedzie. Za każdym razem, kiedy coś przypominało mu zmarłego partnera, musiał na nowo przekonywać sam siebie, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Barbara znalazła notes i zaczęła sporządzać nową listę.

Justin zapalił zapałkę i uniósł ją w górę. Za ciebie, Ted, pomyślał.

Przytknął płomień do gmbego czubka cygara i zaciągnął się lekko. Samochód zaczęły wypełniać kłęby aromatycznego dymu. Uchylił szybę, żeby je wypuścić.

- Wspaniały zapach, kochanie - powiedziała Barbara. - Twój przyjaciel wie, co dobre. Dlaczego nie zamówisz kilku takich u Wally'ego Franka?

- Nie ma ich na składzie. Pochodzą chyba z Kuby. Kumpel powiedział, że dostał je gdzieś w Anglii. Z prywatnych zapasów jakiegoś dostawcy.

- Wiesz może, jak się nazywa? Ten dostawca? - zapytała.

- Nie mam pojęcia.

Barbara sięgnęła do popielniczki i wyjęła z niej wyrzuconą wcześniej banderolę.

- Nie będzie go trudno znaleźć. Marka wydaje się raczej rzadka - powiedziała, podając opaskę Justinowi.

Przyjrzał się jej uważnie. Znak firmy był bardzo starannie wykonany.

- Rzeczywiście. Jestem pewien, że uda nam się odkryć, gdzie je kupił. - Przypomniał sobie teraz, że schował kiedyś taką opaskę do portfela. Znak firmy wydawał się znajomy, ale nie mógł sobie uprzytomnić, gdzie widział go wcześniej.

- Popytamy się o nie w Anglii. Uważam, że powinieneś ich sobie trochę kupić. Mają wspaniały aromat.

- Tak, chyba to zrobimy - odparł. Ale wcale nie miał na to ochoty. Te cygara przypominałyby mu zawsze Teda i to, co się wydarzyło. A on chciał o tym wszystkim zapomnieć. Na zawsze.

*

Trzyosobowa ekipa śledcza, składająca się z Richarda Wyatta, doktora Petera Bella i Victora Bishoffa, zasiadła przed czterema monitorami. Na ekranach widać było Kuradina, filmowanego z różnych pozycji. Oprócz tego mieli przed sobą monitory medyczne, którymi posługiwali się podczas przesłuchania Czachowskiego. Bell śledził je pilnie przez cały czas.

Poziom płytek krwi i białych krwinek ustabilizował się na wystarczającym poziomie, aby można było rozpocząć oparty na D-80 program odczulania.

Rosjanin podłączony był równocześnie do dwóch kroplówek. Jedna tłoczyła w niego świeżą krew, druga roztwór glukozy, w którym zawarta była niewielka dawka D-80.

W miarę jak słabł system immunologiczny organizmu, dawki D-80 stopniowo zwiększano. Objawy uboczne miały mniejsze natężenie niż u pacjentów, którym wcześniej podawano ten lek. Oznaczało to, że program odczulania można realizować w dość szybkim tempie. W ciągu następnych trzech albo czterech tygodni Kuradin będzie mógł zacząć otrzymywać dawki na tyle silne, by zwalczyły chore komórki.

Przed rozpoczęciem przesłuchań doktor Becker Dials odbył z Rosjaninem kilka rozmów. Był z nim bardzo szczery. Kuradin wiedział, że umiera i że jego szanse wejścia w trzeci okres remisji nie są zbyt duże.

Dano mu trochę czasu na przemyślenie tego, co usłyszał od Dialsa. W gruncie rzeczy wcale nie było mu to potrzebne. Pogodził się

z losem jeszcze przed przyjęciem tej misji. Tych kilka dni zwłoki było jednak ważne ze względu na ostatnią fazę planu.

Przesłuchania rozpoczęły się przed trzema dniami i Kuradin okazał się bardzo chętny do współpracy. Zdziwiło to Wyatta, który spodziewał się oporu i miał zamiar wyciskać z niego bezlitośnie wszelkie istotne informacje.

Wskazania monitorów sygnalizowały, że Rosjanin odpowiada na pytania zgodnie z prawdą.

Trzej przesłuchujący nie wiedzieli jednak, że Kuradin przeszedł specjalne szkolenie i potrafi z łatwością oszukiwać ich urządzenia. Dopóki wiedział, czego może się spodziewać, dopóty mógł ciągnąć to przedstawienie przez dowolną liczbę sesji. Musiał się tylko wystrzegać nagłych niespodzianek. Nieoczekiwane pytanie mogło mu nie dać czasu na odpowiednie przygotowanie, dzięki któremu skutecznie prowadził swoją grę. Ale umysł Kuradina był bardzo szybki. Potrafił błyskawicznie oceniać sytuację i improwizować.

Przedstawił się Amerykanom jako Michaił Jarin. Było to prawdziwe nazwisko Feniksa. Przesłuchania rozpoczęły się od dokładnego sprawdzenia danych osobistych, które skonfrontowano z informacjami uzyskanymi przez Orła, jeszcze przed jego niedawnym aresztowaniem. Wszystko zgadzało się co do joty.

Pierwsze dwadzieścia minut obecnej sesji upłynęło na powtarzaniu i wyjaśnianiu tych informacji.

- Wróćmy do Anglii, panie Jarin. Na czym polegało wówczas pańskie zadanie? – zapytał Wyatt.

- Polecono mi spotkać się z kurierem, w którego posiadaniu znajdowały się interesujące Moskwę informacje. Miałem zapłacić mu pewną sumę, odebrać papiery i sporządzić na mikrofilmie ich kopię. Mikrofilm miał zostać ukryty w skrzynce kontaktowej i odebrany przez innego agenta, w przypadku gdybym napotkał jakieś trudności przy wyjeździe.

- Czy otrzymał pan informacje, po które pan przyjechał? – zapytał Wyatt.

- Nie. Kurier wprawdzie przybył i doszło do wymiany, ale przerwano nam w chwili, gdy fotografowałem papiery. W ciemności wywiązała się walka, podczas której zgubiłem aparat. Nie miałem czasu go szukać, nie udało mi się również odzyskać papierów. Musiałem uciekać.

Na monitorach nie działo się nic interesującego.

- Wie pan, co było w tych papierach?

- Nie – odparł Kuradin. – Rzuciłem na nie okiem przed sfotografowaniem, ale były zaszyfrowane. Informacja zawarta była w sześcioliterowych grupach, w pięciu albo sześciu kolumnach na każdej stronie. Nie pamiętam układu żadnej z grup. Było ich zbyt wiele, żeby cokolwiek zapamiętać.

Monitory nadal rejestrowały normalne wskazania.

- Czy mówią panu coś kryptonimy Pielgrzym, Borsuk i Spartanin? – zapytał Wyatt.

- Tak. Pod pierwszym kryptonimem kryje się agent, który przerwał nam wymianę w Anglii.

Kuradin wyjaśnił, jak doszło do identyfikacji Pielgrzyma. Odpowiedział na wszystkie pytania Wyatta, dotyczące zakresu wiedzy Rosjan na temat SENTINELA. Wyjaśnił również, czego dowiedziano się wcześniej od Bridgesa, i opowiedział o dowodach, jakie zaoferował Amerykanin, dostarczając listę działających w administracji amerykańskiej agentów KGB, a także dane na temat instalacji rakietowych oraz rozmieszczenia i uzbrojenia łodzi podwodnych klasy Siska.

- Wszystkie te informacje okazały się prawdziwe, do najmniejszego szczegółu. Dlatego właśnie w całej operacji postanowiliśmy posłużyć się wyłącznie agentami dotąd nieczynnymi, z wyjątkiem oczywiście Otto Ten Braaka – dodał.

Przedstawił im cały plan, nie wspominając jednak oczywiście o sfałszowaniu ***dossier*** Feniksa i ostatniej fazie.

- Zdawaliśmy sobie sprawę z możliwości SENTINELA – powiedział. – Musieliśmy się dowiedzieć, jaka jest zasada działania jego intelektu. Jak doszło do jego powstania i jak funkcjonuje. To właśnie zaoferował nam doktor Bridges. I po to tutaj przyjechałem.

- Dlaczego nie próbowaliście zabrać Bridgesa ze sobą? – zapytał Wyatt.

- Kontakty z nim oraz jego profil psychologiczny, jaki sporządzili nasi specjaliści, doprowadziły nas do przekonania, że oprócz samej dokumentacji nie ma nam do zaoferowania nic ciekawego – wyjaśnił Kuradin. – W oparciu o dostarczone przez niego

dane naszym naukowcom powinno się udać skonstruowanie drugiego SENTINELA.

- Czy zamierzał pan sporządzić inne kopie, gdyby udało się wywołać film?

- Nie. Potrzebny był wyłącznie jeden zespół mikrodotów, który miał zostać wszczepiony tak samo, jak to zrobiono z nie wywołanym filmem. To na wypadek, gdybym zginął. Moskwa wystąpiłaby wtedy o zwrot mego ciała. Wszystko było bardzo dokładnie zaplanowane. Nie miało prawa się nie udać.

- Zadam panu jeszcze tylko jedno pytanie, a potem kończymy sesję. Dlaczego usunął pan dwudziestą piątą stronę?

- Nie było żadnej dwudziestej piątej strony – odparł spokojnie Kuradin. Był przygotowany na to pytanie.

- Owszem, była, a pan ją usunął – upierał się Wyatt.

- Nie. Odzyskaliście informację w takim samym kształcie, w jakim przekazał nam ją doktor Bridges – skłamał przekonująco Kuradin.

- A czy doktor wspominał coś o dwudziestej piątej stronie albo w ogóle o jakiejś dodatkowej informacji? – drążył dalej Wyatt.

- Nie – odparł Kuradin, potrząsając głową. – Niczego takiego nie mówił. Niepokoił go fakt, że od momentu, kiedy ukradł dokumentację, upłynęło sporo czasu. Poinformował nas o działaniach, które po odkryciu kradzieży może podjąć SENTINEL w celu ustalenia miejsca jego pobytu. Wydaje mi się, że tu właśnie tkwi przyczyna załamania się całego planu. Gdyby nieobecność Bridgesa odkryto

dopiero w poniedziałek, na pewno by się nam udało. Ten Braakowi również.

- Na dzisiaj to wystarczy. Dziękujemy panu, panie Jarin. Przyjemnego odpoczynku.

Kiedy później przeglądali protokół sesji, dyskutowali na temat tego, co powiedział Feniks o dwudziestej piątej stronie.

- Jak uważasz, Pete? Mówi prawdę czy kłamie? – zapytał Wyatt, zwracając się do doktora Bella.

- Wskazania na monitorach się nie zmieniły – odparł Bell. – Wiemy, że są ludzie, którzy potrafią kontrolować te rzeczy, ale to pytanie, tak niespodziewanie zadane, powinno go zaskoczyć. Myślę, że mówi nam prawdę od samego początku. Wierzę, że nigdy nie widział dwudziestej piątej strony i nic o niej nie wie.

- Jakie jest twoje zdanie, Victor? – zapytał Wyatt.

- Zgadzam się z doktorem, Dick. Według mnie facet gra z nami w otwarte karty od samego początku. W jego twarzy i oczach nie było nic, absolutnie nic, co mogłoby wskazywać, że okłamał nas choćby w jednej sprawie.

- Dziękuję, panowie – oświadczył Wyatt. Następne pytania miał skierować do SENTINELA, który także obserwował wszystkie monitory podczas przesłuchania.

*

Robert Morsand siedział przy stoliku w ogródku paryskiej kawiarni. Czekał na Pawła Jentika, agenta KGB. Spotykali się już w przeszłości, wymieniając interesujące obie strony informacje. Obaj z

Jentikiem wiele razy stwierdzali ze zdumieniem, że znajdują się często po tej samej stronie barykady. Byli przeciwnikami, ale również przyjaciółmi i darzyli się szacunkiem. Ich ulubioną zabawą było zdobywanie o sobie wzajemnie różnych drobnych informacji, najczęściej osobistej natury.

Dzień był słoneczny i ciepły. We Francji zaczęło się już lato, odsuwając w przeszłość wspomnienie wyjątkowo ostrej zimy. Była połowa czerwca; od afery z Czachowskim minęły dwa miesiące.

Prowadzone przez obie strony dochodzenia zakończyły się niczym. Jedno wielkie fiasko. Czachowski po prostu rozpłynął się w powietrzu.

Jentik zaszedł Morsanda od tyłu. Podsunął sobie krzesło i usiadł przy małym okrągłym stoliku. Amerykanin przyglądał się przez chwilę Rosjaninowi przez kłęby fajczanego dymu.

- Starzejesz się, Jentik. Usłyszałem z odległości co najmniej dziesięciu jardów, jak się skradasz.

Jentik uśmiechnął się szeroko.

- A ty masz o wiele więcej siwych włosów niż ostatnio - odciął się.

- Specjalnie farbuję je na ten kolor, żeby uśpić twoją czujność - powiedział Morsand, nie wyjmując fajki z ust.

- A ja specjalnie robię tyle hałasu, żebyś nie umarł ze strachu.

- Co jest grane, Jentik? - zapytał Morsand.

- Szykuje się wymiana - odparł Rosjanin, mierząc wzrokiem swego amerykańskiego kolegę.

Morsand pyknął z fajki i dał palcem znak kelnerowi, żeby podał jeszcze jedno ***espresso.***

- Słucham - powiedział.

- Interesuje nas osoba Michaiła Jarina. W zamian oferujemy Vytasa Limpoulousa - oświadczył Rosjanin.

Obaj mężczyźni umilkli, kiedy kelner postawił na stoliku kawę. Morsand wykorzystał chwilę przerwy, żeby opróżnić i na nowo napełnić tytoniem fajkę. A także zebrać myśli.

Kiedy kelner odszedł, Morsand ponownie zapalił fajkę.

- Co to za jedni, do cholery? - zapytał. - Nic nie słyszałem ani o jednym, ani o drugim.

- To dowodzi tylko tego, jak mało w rzeczywistości wiesz - powiedział Rosjanin. Jego angielski był prawie bez zarzutu. - Interesuje nas uczciwa wymiana, w dowolnym wyznaczonym przez was czasie i miejscu.

Musi im na nim strasznie zależeć, pomyślał Morsand. Rosjanie nigdy nie ustępowali nawet na cal. Pertraktacje z nimi przypominały próbę kupienia od Araba jego siostry. Zazwyczaj okazywało się, że nabywcy przypadał wielbłąd, a Arab dostawał w zamian jego jaja.

- Skąd wam przyszło do głowy, że chcemy z powrotem Limpoulousa? - zapytał Morsand. Miał nadzieję, że dowie się czegoś więcej na temat agentów, których nazwiska słyszał po raz pierwszy w życiu.

- Na pewno go chcecie. Jesteśmy tego pewni. Przekaż tylko tę ofertę swoim zwierzchnikom. Założę się, że okażą zainteresowanie -

oświadczył Rosjanin, popijając małymi łyczkami kawę. - Kiedy będziesz coś wiedział, skontaktuj się ze mną.

Morsandowi wcale nie podobała się rola najmniej poinformowanego. To prawda, nie wiedział o wszystkich przetrzymywanych przez Rosjan agentach, ale znał tych najważniejszych. A o Vytasie Limpoulousie słyszał po raz pierwszy w życiu.

- Porozmawiam z górą i przekażę ci, co postanowili - powiedział.

Rosjanin kiwnął głową.

- Dobrze. A teraz, kiedy mamy za sobą sprawy zawodowe, powiedz, jak się miewa twoja urocza rodzinka? Rozumiem, że recital fortepianowy twojej córki w zeszłym tygodniu okazał się prawdziwym sukcesem...

*

- Zaproponowali wymianę – powiedział Honeycut, zwracając się do Richarda Wyatta. – Chcą odzyskać Jarina. W zamian proponują Orła.

Wyatt zastanawiał się przez chwilę, mrużąc oczy.

- Jaki jest stan Jarina? – zapytał Honeycut.

- Zaczyna reagować na podawany mu lek. Dials uważa, że niedługo dojdzie do remisji.

- Czy możemy od niego coś jeszcze wyciągnąć?

- Nie sądzę. Cały czas bardzo chętnie z nami współpracował. Monitory wykazują, że mówił prawdę. Nie ma wątpliwości, że jest

tym samym agentem, którego Pielgrzym postrzelił w Anglii. Wszystko się idealnie zgadza.

- Tak, rzeczywiście wszystko się zgadzało od samego początku. Również wtedy, gdy w Beloit byliśmy przekonani, że mamy do czynienia z Davidem Fromme'em – stwierdził Honeycut. – Żałuję, że Czachowski jest nieprzytomny i nie może go zidentyfikować.

- Czachowski wciąż znajduje się w głębokiej śpiączce – powiedział Wyatt. – Dials twierdzi jednak, że wszystkie funkcje życiowe są w normie i może się w każdej chwili obudzić. Ile mamy czasu do zakończenia negocjacji?

- Myślę, że jakieś cztery tygodnie. Wiemy, że Orzeł żyje i że jego implant nie został usunięty. Próbują go teraz złamać, używając najprawdopodobniej technik deprywacji sensorycznej. SENTINEL wprowadził go za pośrednictwem płytki w stan głębokiej hipnozy. Niczego z niego nie wyciągną. Ale muszą utrzymywać go przy życiu, jeśli chcą doprowadzić do wymiany.

- Wygląda na to, że bardzo im na niej zależy, Irv. Myślą, że Jarin wciąż ma wszczepiony film. Są przekonani, że dokumentacja dotrze jednak do nich – powiedział Wyatt.

- Chyba masz rację, Dick. Pewnie uwzględniono również białaczkę Jarina. Jego zły stan zdrowia ma wpłynąć pozytywnie na naszą decyzję. Ale chciałbym, żeby Czachowski mógł na niego rzucić okiem. Jesteś pewien, że nie istnieje możliwość drugiego wszczepu?

- W żadnym wypadku. SENTINEL gruntownie go prześwietlił. Jest czysty od stóp do głów – odparł Wyatt.

- Cóż, w takim razie uważam, że powinniśmy przystąpić do negocjacji. Musimy odzyskać Orła, zanim odkryją implant. Jeśli będą mieli dosyć czasu, uda im się tego dokonać. Wiele im to nie da, ale być może dosyć, żeby zacząć zakłócać naszą łączność.

- Mamy jeszcze jeden problem – powiedział Honeycut. – Rosjanie zwrócili się z ofertą wymiany do Roberta Morsanda w Paryżu. Nie wiedzieli po prostu, do kogo innego się zwrócić. A CIA wie, że coś dzieje się za ich plecami. Węszą na wszystkie strony, żeby dowiedzieć się, kim są Jarin i Orzeł.

- Możemy co prawda załatwić wyłączenie ich z gry, martwi mnie jednak to, co będzie potem. Cała sprawa wzbudzi ich ciekawość, zwłaszcza po aferze z Czachowskim. Piekielnie trudno będzie trzymać dalej to wszystko w tajemnicy.

- Ale nie mamy przecież innego wyboru, prawda? Musimy odzyskać Orła, a oni chcą za niego Jarina – zauważył Wyatt.

- Zgadza się. Musimy załatwić to jak trzeba i pogodzić się z tym, że przez jakiś czas będzie trochę smrodu.

- Jak mamy postępować teraz z Jarinem? – zapytał Wyatt.

- Kontynuujcie przesłuchania aż do samego końca. Jeśli coś się nie będzie zgadzać, odwołamy wymianę i postaramy się załatwić to w inny sposób – odparł Honeycut.

- W porządku, Irv. Będziemy dalej maglować Jarina. Ale moim zdaniem to niepotrzebne.

- Jarin to sprytny gość. Wciąż mu nie ufam.

- Cóż, zawsze możemy spowodować, że po czterdziestu ośmiu godzinach od uwolnienia będzie gryzł ziemię. Nie zagrozi nam wtedy niczym.

- Jeśli zajdzie taka konieczność, być może się na to zdecydujemy.

*

W ciągu ośmiu tygodni Justin i Barbara objechali zgodnie ze swoim planem całą Europę. Nadeszła pora na ostatnią część wakacji, którą mieli spędzić w Anglii.

Anglia ma swój specyficzny urok, ale oni byli zbyt zmęczeni, żeby go w pełni docenić. Przez pierwsze dwa dni nie dopisała pogoda i większość czasu spędzili odsypiając poprzednie osiem tygodni.

Trzeci dzień był przepiękny, a Justin i Barbara wypoczęci i gotowi do zwiedzania.

Barbara stwierdziła, że chce powłóczyć się po londyńskich sklepach. W rzeczywistości miała zamiar odnaleźć sklep z cygarami, które Justin dostał od Fanninga, i kupić mu je w prezencie. Oznajmiła w związku z tym, że przez cały ranek i wczesne popołudnie będzie robiła zakupy.

Justin wykorzystał sposobność, żeby załatwić sprawę, która od dawna nie dawała mu spokoju. Wybrał się wynajętym samochodem na dwugodzinną przejażdżkę do Coventry, do domu Spartanina.Zatrzymał się najpierw na ulicy. Na drzewie przy bramie widniał duży znak: NA SPRZEDAŻ. Kiedy popatrzył z powrotem na dom, zobaczył niskiego, starego mężczyznę, który wszedł po

stopniach na ganek. Justin skręcił w alejkę i zatrzymał się przy wejściu.

Niski człowieczek miał na sobie szare spodnie i szary sweter. Obrócił się i przechylił głowę, żeby obejrzeć wysiadającego z samochodu wysokiego młodego mężczyznę.

- Dzień dobry - powiedział Justin.

- Dzieńdoberek - odparł tamten barytonem, w którym słychać było silny akcent cockney.

- Widzę, że dom jest na sprzedaż. Jest pan może agentem, który przeprowadza inwentarz?

Stary przechylił głowę na drugą stronę, mrużąc oczy przed świecącym prosto w twarz porannym słońcem.

- Amerykanin, nie? - zapytał. Justin kiwnął z uśmiechem głową.

- Tak samo jak ten biedny sukinsyn, który był właścicielem. Odwalił kitę. We własnym domu - oznajmił, wskazując kciukiem za siebie.

- Wydarzył się jakiś wypadek? - zapytał Justin.

- Jaki tam wypadek... Ktoś go zastrzelił. Z dubeltówki. Zrobił z niego prawdziwą miazgę.

- Jezu - jęknął Justin, udając zaskoczenie.

- Nikt nie chce teraz tego kupić - dodał stary. - Nikt nie ma ochoty na dom, w którym kogoś zamordowano. Boją się duchów, rozumie pan?

- Jest pan agentem?

- Nie, dozorcą. Sprzątam tutaj i dbam o ogród. Nie jest pan przypadkiem zainteresowany?

- Może. Czy mógłbym zajrzeć do środka? - zapytał Justin.

- Bez agenta nie wolno panu tam wchodzić - odparł stary.

- Chcę tylko rzucić okiem. Może pan wejść razem ze mną. Jeśli mi się spodoba, zadzwonię do agenta.

Dozorca kiwnął głową.

- Chyba się panu nie spodoba. W tym domu straszy. Justin ruszył za nim do środka.

Umeblowanie było dokładnie takie samo jak wtedy, gdy razem z Fanningiem przeszukiwali dom po zabójstwie.

- Wspaniały dom - stwierdził Justin. - Czy umeblowanie wchodzi w skład oferty?

- Jak pan widzi - odparł stary, kiwając głową. Weszli do gabinetu.

- Tutaj właśnie zginął właściciel - poinformował go dozorca. - W klopie - dodał, wskazując ręką toaletę.

Rozłupane drzwi zostały wymienione na nowe. Justin wszedł do toalety i rozejrzał się. W środku było czysto. Wymieniono sedes i zatynkowano wszystkie dziury po śrucie.

- Mówi pan, że ktoś go zabił w toalecie? - zapytał.

- Odstrzelił mu łeb, ot co. Nigdy nie odnaleziono sprawcy - stwierdził stary.

- Jezu - powtórzył Justin, potrząsając głową. Przeszedł go nagły dreszcz, kiedy przypomniał sobie swój sen.

Wyszedł z toalety i stanął pośrodku gabinetu.

- Piękne biurko - stwierdził. Usiadł za nim i kiwając się na krześle przesunął dłońmi po odkurzonym blacie. Biurko wyglądało tak samo jak wtedy, gdy wychodził stąd razem z Tedem.

Przyjrzał się bibliotece i natychmiast zauważył zmianę. Brakowało wielu książek. Może ze stu. Przebiegł oczyma regał, czując nerwowy skurcz w żołądku.

- Gdzie jest reszta... - zaczął, i przerwał. - To znaczy... mam na myśli... te książki. - Wstał i podszedł do regału. - Niektóre z tych dzieł zebranych wyglądają, jakby brakowało w nich paru tomów - dodał, wskazując na wyraźnie zdekompletowane edycje.

- Musiał je zabrać brat - oświadczył stary.

- Brat...?

- Brat właściciela. Przyjechał z Ameryki jakiś miesiąc po tym, jak to się wydarzyło. Przyszedł tutaj i powiedział, żeby sprzedać wszystko tak, jak stoi. Oprócz paru książek, które zabrał ze sobą.

- Ile ich było? - zapytał Justin.

- Pięćdziesiąt, może więcej. Niczego więcej nie zabierał. Tylko książki.

Książki. Były tutaj przez cały czas. Jak mogli na to nie wpaść?

Podszedł z powrotem do biurka i otworzył szufladę, w której leżała stara, połamana lampa.

Wyciągnął ją i przekręcił, żeby przyjrzeć się żarówce. Nie zauważyli tego! Żarówka była ultrafioletowa. Widzieli ją i nic nie zauważyli.

Do przepisania dziennika użyto specjalnego atramentu. Normalnie niewidoczny, ukazywał się w promieniach ultrafioletowych.

Stary obserwował podejrzliwie dziwne zachowanie nieproszonego gościa.

Justin usiadł przy biurku i omiótł oczyma stojące na nim przedmioty: starą jarzeniową lampę, pudełko na cygara, przycisk do papierów z pleksiglasu, w którym zatopiono monety... Pudełko na cygara! Przyjrzał mu się ponownie.

Dotknął ręką znajomego herbu na pokrywce. Otworzył pudełko i włożył rękę do środka. Palce same odnalazły cygaro. Wyjął schowaną do portfela opaskę - i poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

Opaska na cygarze była taka sama. Taka sama jak ta zdjęta z cygara, które dostał od Fanninga - jeszcze przed ich wyjazdem do Anglii.

Przypomniał sobie noc, kiedy przymierzali się do schwytania Ten Braaka. Przypomniał sobie dubeltówkę Fanninga, jego Malutką. Spartanin zastrzelony został z dubeltówki.

Po nagle pobladłej twarzy spływały mu krople potu. To niemożliwe. Nic podobnego nigdy nie przyszłoby mu do głowy.

„Nic nie jest takie, jak się wydaje... nic nie jest realne - powiedział mu kiedyś Ted. - Nigdy nie szukaj sobie przyjaciół w tym fachu. Dzięki temu łatwiej jest pracować i łatwiej przetrwać”.

- Nic nie jest realne... Nie szukaj sobie przyjaciół w tym fachu. Bo któregoś dnia będziesz być może musiał zabić jednego z nich - dopowiedział sobie na głos Justin.

- Co pan mówi? Nie dosłyszałem - zapytał stary.

- Nic takiego. Niech mi pan powie, jak mogę skontaktować się z tym agentem?

Rozdział 31

Naszą radość zakłóciła smutna wiadomość. W Afryce Południowej, mimo zapewnionej przez nas ochrony, zamordowany został Konstanty.

Ośrodek sterujący w Afryce Południowej został zamknięty. Nie było potrzeby dłużej go utrzymywać.

Ustęp 76 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

- Czy będziemy się teraz starali odzyskać te książki? - zapytała Elizabeth Ryerson.

- Nie - odparł swoim chrapliwym głosem Honeycut. - Nie możemy. Brat Spartanina za długo już je ma. Dziennik na pewno został już odszyfrowany. Nawet gdybyśmy odzyskali książki, wciąż musielibyśmy się martwić o jego kopię. Kopię, która z całą pewnością została dobrze ukryta. Uważam, że najwięcej szans daje nam dalsza obserwacja Pielgrzyma. Jestem przekonany, że odwiedzi brata Spartanina i jeśli okaże się dość przekonujący, może nawet uda mu się

zdobyć kopię. Wtedy za jednym zamachem rozwiążemy wszystkie problemy.

- Naprawdę sądzisz, że ta kopia może stanowić dla nas jakiekolwiek zagrożenie? - zapytała Elizabeth. - Nawet jeśli ktoś ją znajdzie, jak zdoła pojąć jej prawdziwe znaczenie, nie mając dostępu do pozostałych dokumentów?

- Nie wiemy, co zawiera reszta dziennika - powiedział Honeycut. - Może tam być dosyć informacji, żeby ściągnąć na nas kłopoty, jeśli kopia dostanie się w niepowołane ręce.

- Poradzimy sobie - oświadczyła Elizabeth. - Nic nie zdoła nas już teraz powstrzymać.

- Nie bądź taka pewna - odparł Honeycut. - Bridgesowi o mało nie udało się zatrzymać całej maszynerii. Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby Sowieci dostali w swoje ręce te schematy i zbudowali własną wersję SENTINELA? Poza tym nie chodzi terazwcale o to, czy ktoś jest w stanie nas powstrzymać - ciągnął. - Dotarliśmy bardzo daleko. Plan znajduje się w przededniu ostatecznej realizacji. Nie możemy narażać teraz całego programu i ryzykować powrotu do starej drogi.

- Mimo to nie ufam Pielgrzymowi - upierała się Elizabeth. - To niebezpieczny człowiek. Nie sposób przewidzieć, co zrobi, będąc w posiadaniu tej informacji. Może nawiązać te same kontakty, które nawiązał Spartanin. Nie powinniśmy go lekceważyć.

- Nie mamy się czego obawiać ze strony Pielgrzyma. Śledzimy każdy jego ruch. Rainmaker i Gemini są blisko. W ostateczności

zawsze możemy zdetonować ładunek w jego implancie. Na razie jednak jest użyteczny. Będziemy go dobrze kontrolować - stwierdził Honeycut.

- Moim zdaniem popełniamy błąd - powiedziała Elizabeth. - Boję się tego człowieka. Gdyby znalazł się nagi w klatce z wygłodniałymi lwami, nie postawiłabym złamanego szeląga na lwy.

Honeycut roześmiał się. Bardzo lubił i podziwiał Justina. Jeszcze do niedawna łudził się, iż jego przewidywania, że Pielgrzym będzie starał się odnaleźć dziennik, okażą się mylne. Nie chciał stracić agenta o takich możliwościach.

Ale postępowanie Justina nie pozostawiało w tym względzie wielu wątpliwości. Najwyraźniej chciał dowiedzieć się czegoś więcej. Honeycut liczył na to, że upór i ciekawość Pielgrzyma doprowadzą go w końcu do dziennika.

- Damy mu szerokie możliwości działania. Pozwolimy mu znaleźć ten dziennik dla nas. A potem się nim zaopiekujemy - powiedział.

Wstał z krzesła i ruszył ku wyjściu, ale tuż przed drzwiami zatrzymał się i odwrócił z powrotem w stronę Elizabeth. Przez kilka chwil rozglądał się po sali, w której mieściło się centrum operacyjne Alphy.

- Chcę, żeby poczyniono przygotowania do zamknięcia Alphy - powiedział.

- Do zamknięcia Alphy...? - powtórzyła z niedowierzaniem Elizabeth.

- Każ SENTINELOWI przejrzeć wszystkie dane personalne i zdecydować, kogo zabrać, a kogo zostawić. Chcę, aby wszystkie prowadzone tutaj operacje zostały przeniesione w ciągu trzydziestu dni do Sigmy. Pracownicy, których nie będziemy tam potrzebować, mają zostać przeniesieni na górę, do kompleksu Aztek. Dopilnuj, żeby otrzymali wszyscy porządne gratyfikacje. Nikt nie powinien czuć się pokrzywdzony. Po zamknięciu Alphy chcę zapieczętować cały kompleks na głucho i uzbroić automatyczny system aktywnej obrony. Nikt nie ma prawa się tutaj dostać.

Elizabeth była wstrząśnięta. Zupełnie nie spodziewała się zamknięcia Alphy, ale rozumiała, czym kierował się Honeycut. Afera z Bridgesem wystawiła na szwank bezpieczeństwo całego obiektu. Jego zamknięcie powstrzyma Sowietów od prób nawiązania kolejnego kontaktu i powtórzenia całej operacji.

*

Impala zjechała z płatnej autostrady New Jersey Turnpike i skręciła w stronę Hightstown.

Brat Spartanina był lekarzem i mieszkał w East Windsor, New Jersey, dokładnie na skraju Hightstown. Dziennik, który mógł być ukryty w dowolnym miejscu na całym świecie, w rzeczywistości znajdował się w odległości zaledwie godziny jazdy od Nowego Jorku. Doktor Jack Priest należał do zespołu lekarzy, których gabinety znajdowały się w Princeton. Justin skręcił w tamtym kierunku.

Po drodze zastanawiał się, w jaki sposób przedstawić sprawę Priestowi. Rozmowa mogła okazać się trudna. Wszystko zależało od

tego, ile wie jego rozmówca. Zdecydował, że nie będzie owijał niczego w bawełnę.

Miał świadomość, że porusza się po niebezpiecznym gruncie. Ale wszystkie fakty, które niepokoiły go od tak dawna, zaczęły teraz pasować do siebie. Kluczem był dziennik. Po odkryciu, jakiego dokonał w Anglii, musiał poznać odpowiedź.

Wjechał na parking przed polikliniką i przyjrzał się stojącym tam samochodom. Dwa z nich miały na zderzakach lekarskie znaczki. SENTINEL powiedziałby mu w ciągu sekundy, czy któryś z nich należy do Priesta. Ale Justin nie chciał, aby ktokolwiek śledził jego poczynania.

Zaparkował samochód i wszedł do budynku.

W rejestracji siedziała za przesuwaną szybą srogo wyglądająca matrona z krótko przystrzyżonymi siwiejącymi włosami.

- Poliklinika – odezwała się, podniósłszy słuchawkę brzęczącego telefonu w tej samej chwili, kiedy Justin wszedł do holu. – Nie, przykro mi, ale doktor Roth zaraz przestaje przyjmować. Będzie z powrotem jutro rano.

Justin podszedł do okienka i spojrzał na zeszyt, w którym odnotowywane były wizyty. Priest właśnie przyjmował. Kilka wcześniejszych nazwisk było skreślonych. Zostało jeszcze trochę wolnego czasu przed południem. Postanowił, że zamówi wizytę.

- Proszę chwilę zaczekać, zaraz sprawdzę – powiedziała kobieta do telefonu i przewróciła stronę, którą próbował przeczytać.

- Nie, cały ranek jest już zajęty – stwierdziła. – Ma okienko o pierwszej trzydzieści i następne o trzeciej. O trzeciej? W porządku, wpisuję pana – dodała, notując nazwisko w zeszycie. – Jest pan umówiony, do zobaczenia jutro – powiedziała. Odłożyła słuchawkę i odwróciła z powrotem stronę.

Justin wlepił oczy w zeszyt, próbując odczytać jej niewyraźne kulfony.

- Czym mogę panu służyć? – zapytała.

Przypominała mu nauczycielkę, która uczyła go kiedyś w podstawówce. Czuł się jak uczeń, który nie odrobił pracy domowej i którego poproszono nagle o pokazanie zeszytu.

- Nie jestem umówiony. Zastanawiam się, czy doktor Priest nie mógłby przyjąć mnie dzisiaj przed południem.

Zmarszczyła z dezaprobatą czoło.

- Przykro mi, ale wszystkie wizyty powinny być ustalane wcześniej. Posłuż się wybiegiem. Powiedz, że to sprawa prywatna.

- Przyjaźniłem się blisko z bratem doktora Priesta. Powód, dla którego chcę się z nim widzieć, nie ma nic wspólnego z moim zdrowiem – wyjaśnił Justin. – To zajmie tylko kilka minut.

- Przykro mi, ale wizyty ustala się telefonicznie.

- Nie może pani po prostu powiedzieć doktorowi?

- Przykro mi, ale musi pan…

- Proszę zapytać doktora, czy może poświęcić kilka minut na spotkanie z człowiekiem, który przyjaźnił się z jego bratem –

powiedział cichym, ale stanowczym głosem. – Nazywam się Justin Chaple.

Kobieta z głośnym sapnięciem wstała z krzesła.

- Zapytam. Niech pan tu zaczeka.

Słyszał, jak mruczy coś pod nosem, wychodząc ze swojej klitki. Po chwili wróciła.

- Pan doktor przyjmie pana za kilka minut – oznajmiła. Justin odetchnął cicho z ulgą.

- Dziękuję. Jestem pani bardzo zobowiązany.

- Nie ma za co – odparła. – Pan doktor zaraz pana poprosi.

- Dziękuję – powtórzył Justin, siadając w poczekalni.

Jakieś dziesięć minut później zza rogu korytarza wyłoniła się ładna buzia pielęgniarki.

- Pan Chaple? – zapytała. Justin wstał i ruszył w jej stronę.

- Proszę za mną – powiedziała.

Niezła szprotka, pomyślał Justin. Wprowadziła go do przerobionej z kuchni małej poczekalni.

- Proszę się poczęstować, jeśli ma pan ochotę – zaproponowała, wskazując stojący na kuchence dzbanek kawy. – Pan doktor zaraz do pana przyjdzie.

- Dziękuję – odparł z uśmiechem.

Obszedł mały pokoik, przyglądając się wiszącym na ścianie dyplomom i wykresom. Po kilku chwilach usłyszał głosy na korytarzu.

Doktor Priest przez chwilę jeszcze z kimś rozmawiał, a potem roześmiał się i wszedł do pokoju.

Był wysokim szczupłym mężczyzną z długimi, starannie uczesanymi włosami. Zbliżał się do czterdziestki.

- Słucham pana? – zapytał. Na ustach miał uśmiech, ale w oczach czaił się niepokój.

- Byłem przyjacielem Billy'ego, doktorze Priest – oznajmił Justin. W pewnym sensie była to prawda.

Priest nie przestawał wpatrywać się.Tustinowi prosto w oczy. Czekał.

- Wiem, dlaczego został zamordowany, doktorze. I przyszedłem, żeby panu pomóc. Przyszedłem po dziennik.

Twarz Priesta stężała.

- Dziennik? Przykro mi, ale nie wiem, o czym pan mówi, panie Chaple – powiedział, odwracając się ku drzwiom.

- Nie powinien pan stąd wychodzić, doktorze Priest, dopóki nie usłyszy pan tego, co mam do powiedzenia.

Priest zatrzymał się, odwrócony plecami do Justina.

- Zabili Billy'ego właśnie z powodu tego dziennika. Pana też zabiją. Wiem, że został zapisany na stronicach książek, które przywiózł pan z Anglii. A jeśli wiem o tym ja, istnieje duże prawdopodobieństwo, że dowiedzą się również oni.

Priest odwrócił się, roztrzęsiony i blady.

- Nie wiem nic o żadnym…

- Nie skończą na panu, doktorze Priest. Zabiją całą pańską rodzinę, pańską żonę i dzieci. Nawet przyjaciół, którzy ich zdaniem mogli się czegoś od pana dowiedzieć. Nie będą ryzykować – ostrzegł Justin. – Zabiją każdą osobę, co do której istnieje najmniejsze podejrzenie, że coś wie.

Na czole Priesta pojawiły się grube krople potu.

- Przykro mi, panie Chaple. Wciąż nie wiem, o czym pan mówi. Będzie pan musiał mi wybaczyć… czekają na mnie pacjenci.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Na korytarzu wręczył ładnej pielęgniarce historię choroby.

- Wypełnij to, Peg – powiedział i zniknął za innymi drzwiami. Justin wyszedł z budynku.

Mniej więcej pół godziny później Priest opuścił w wielkim pośpiechu klinikę. Wyjechał z parkingu i ruszył w kierunku Hightstown. W bezpiecznej odległości za nim podążała impala. Dwadzieścia minut później Priest skręcił na długi podjazd, prowadzący do luksusowego domu. Kiedy wysiadł z samochodu, zobaczył zatrzymującą się z tyłu impalę. Stanął i przyglądał się Justinowi, który także wysiadł i skierował się w jego stronę. Dwaj mężczyźni mierzyli się przez chwilę wzrokiem.

- Jest pan uparty, prawda, panie Chaple? Justin pokiwał powoli głową.

- Przykro mi, panie Chaple, chętnie bym panu pomógł, ale nie istnieje żaden dziennik…

- Oni po niego przyjdą, doktorze Priest – przerwał mu Justin.

- Kim są ci „oni” – zapytał doktor.

Justin nie odzywał się przez chwilę. A potem przypomniał sobie coś, co znajdowało się na dwudziestej piątej stronie, którą znalazł w apartamencie Bridgesa.

- Operacja Raptor, doktorze. Mówi panu coś ta nazwa? Wyraz twarzy Priesta powiedział mu, że trafił w czuły punkt.

Doktor zmarszczył brwi i wbił oczy w ziemię.

- Przejdźmy się trochę – powiedział.

Obeszli wielki dom i wspięli się po schodkach na długą, ocienioną werandę.

Priest zatrzymał się i spojrzał na niskie, pokryte darnią pagórki, które wznosiły się za jego posiadłością. Na odległym wzgórzu stała wysoka, smukła wieża.

- Obok tej wieży jest mały cmentarz – powiedział, wskazując ręką. – Tam został pogrzebany mój brat. Kiedy tu przyjeżdżał, zawsze wybieraliśmy się na spacer na torfowiska, a potem łaziliśmy po cmentarzu i rozmawialiśmy o różnych sprawach. Wydawało mi się, że sprawia mu to przyjemność. Raz w tygodniu zanoszę kwiaty na jego grób – dodał. – I myślę o Billym. Myślę o tym, jak zmarnował swoje życie.

- Jego życie będzie zmarnowane dopiero wtedy, jeżeli nie uczyni się nic w sprawie dziennika – stwierdził Justin.

- Wciąż wraca pan do jakiegoś nie istniejącego dziennika.

- Ten dziennik ma wielkie znaczenie dla bezpieczeństwa państwa, doktorze Priest. Nie wolno mi panu zdradzić żadnych

szczegółów, oprócz tego, że ja i pański brat pracowaliśmy w tej samej branży. Pański brat wiedział, co odkrył i co go czeka. Zdawał sobie także sprawę, jak ważne jest, żeby ten dziennik trafił we właściwe ręce.

- Skoro był pańskim przyjacielem, dlaczego go panu nie oddał? – zapytał Priest, uświadamiając sobie, że dalsze udawanie na nic się nie zda.

- Byłem w drugiej części świata, doktorze Priest. Gdyby wiedział, jak się ze mną szybko skontaktować, na pewno by to zrobił. Myśli pan, że angażowałby swego brata i jego rodzinę w coś, co groziłoby im śmiercią? Nie, doktorze. Ale nie miał czasu. I zdecydował się na jedyny desperacki krok, który mu przyszedł do głowy. Przepisał dziennik do tych książek, posługując się specjalnym, czułym na ultrafiolet atramentem oraz znanym panu szyfrem. Wysłał mi wiadomość… wiedział, że w końcu dotrze – skłamał Justin. – Zjawiłem się tutaj po to, żeby oddać mu przysługę. Taką samą przysługę, jaką on na pewno oddałby mnie, gdyby mógł.

Priest spojrzał prosto w te kłamiące bez zmrużenia powiek oczy, próbując przejrzeć Justina.

- Nie mogę już pomóc Billy'emu – mówił dalej Pielgrzym – ale mogę spróbować pomóc panu i przekazać informację we właściwe ręce. Powiedziałem, że przyjdą po pana. I przyjdą… już niedługo. A odchodząc, zostawią za sobą same trupy… Musi pan oddać mi książki i odszyfrowany dziennik. Wiem, że pan go przepisał. Przekazanie go

mnie to pańska jedyna szansa. Zrobi pan to? Dla samego siebie i dla Billy'ego?

- Nie mogę panu odpowiedzieć w tej chwili – odparł Priest. – Nie skończyłem go jeszcze przepisywać. W każdej z osiemdziesięciu trzech książek zapisano pojedynczy fragment. Odszyfrowałem dopiero sześćdziesiąt cztery. To zabiera mnóstwo czasu…

- W takim razie niech pan odda mi to, co pan już zrobił, i zdradzi szyfr. Zabiorę książki i resztę odczytam sam.

- Muszę się nad tym chwilę zastanowić – oświadczył Priest.

- Być może nie ma pan już ani chwili – powiedział Justin.

- No cóż, wydaje mi się, że obaj musimy zaryzykować. Ale rozszyfrowanych fragmentów nie mam tutaj. Są schowane tam, gdzie nikt ich nigdy nie znajdzie. Trochę potrwa, zanim wydobędę je z ukrycia. Musi pan także zrozumieć, panie Chaple, że mój brat obdarzył mnie zaufaniem. Wierzę, że był pan jego przyjacielem, ale on zginął z powodu tego dziennika… To było dla niego bardzo ważne.

- To jest ważne dla wielu ludzi, doktorze Priest – odparł Justin.

- Tak, wystarczająco ważne, żeby zabijać. Pozwoli pan, że zadam jedno pytanie?

Justin kiwnął głową.

- Czy mnie także zabiłby pan z powodu tego dziennika? Justin przez chwilę milczał.

- Wyjaśniłem panu, że sprawa dotyczy bezpieczeństwa państwa. Tak, zabiłbym pana, gdyby nie było innego sposobu.

- Wierzę, że pan by to zrobił, panie Chaple – stwierdził Priest.

- Mam nadzieję, że nie będę musiał. Szanuję przyczyny, dla których chce się pan nad tym spokojnie zastanowić. Ale proszę, niech to nie trwa zbyt długo. Im wcześniej dostanę ten dziennik, tym większe ma pan szanse przeżycia.Obeszli z powrotem dom. Przed odjazdem Justin dał Priestowi kartkę z numerami swojego telefonu i skrytki pocztowej.

- Jeśli to ma dla pana jakieś znaczenie, doktorze Priest, człowiek, który zabił pańskiego brata, nie żyje. Patrzyłem na jego śmierć.

- To ważne, panie Chaple. Dziękuję – powiedział Priest.

- Niech pan do mnie zadzwoni, doktorze – Justin dotknął leżącej w dłoni Priesta kartki. Potem wsiadł do samochodu i odjechał.

*

Irwin Honeycut wszedł szybkim krokiem do centrum operacyjnego Alphy.

- Słyszałaś? - zapytał Elizabeth Ryerson.

- Tak, mniej więcej przed dwudziestoma minutami - odparła.

- Być może przeprowadzimy to jednak zgodnie z twoimi sugestiami - powiedział. - Nikt poza nimi nie wie o tym dzienniku, a odszyfrowane fragmenty ukryte są w miejscu, do którego nikt nie ma dostępu. Jeśli Priest ma rację, twierdząc, że tak dobrze je zamelinował, możemy po prostu odebrać książki, zneutralizować go i zamknąć całą sprawę.

- A Pielgrzym? - zapytała Elizabeth.

- Jeszcze nie. Ma do odegrania ważną rolę podczas wymiany Jarina na Orła. Nie chcę niepotrzebnie pokazywać więcej agentów, niż muszę. Pielgrzym jest jedyną osobą, która może na miejscu zidentyfikować Orła. Zna go lepiej niż ktokolwiek inny. Poza tym chcę ustalić, ile dokładnie wie. Ta wzmianka o Operacji Raptor świadczy, że całkiem dużo. Odnalazł chyba dwudziestą piątą stronę w apartamencie Bridgesa. Jeśli to prawda, musimy ją odzyskać, jeszcze zanim ostatecznie się z nim uporamy. A wtedy będzie po kłopocie.

- Ta informacja nie jest aż tak niebezpieczna jak dziennik - powiedziała Elizabeth. - Jej ujawnienie nie powinno nam tak bardzo zaszkodzić.

- To prawda. Poleciłem już Rainmakerowi, żeby miał oko na Priesta. Jeśli spróbuje wydobyć z kryjówki kopię, odzyskamy ją. A potem, po sfinalizowaniu wymiany, wezwiemy Pielgrzyma i będziemy go maglować tak długo, aż ustalimy, ile rzeczywiście wie na temat Operacji Raptor. Przy odrobinie szczęścia cała sprawa zakończy się w ciągu tygodnia. Tymczasem wysłałem kolejną ekipę - dodał. - Mają za zadanie odzyskać książki podczas nieobecności Priesta w domu. A Rainmaker nie będzie go spuszczał z oczu, na wypadek gdyby chciał wydobyć dziennik z ukrycia.

- Dobrze. Naprawdę uważam, że tak będzie lepiej, Irv - powiedziała Elizabeth. - Im mniej Pielgrzym będzie wiedział, tym mniejszą może nam wyrządzić szkodę.

- On nie stanowi dla nas żadnego zagrożenia - zapewnił ją Honeycut. - Niezależnie od tego, jak duży jest zakres jego wiedzy, to

tylko jeden człowiek. A my doskonale wiemy, co r6bi, dokąd się udaje i co mówi. Jeden człowiek, w dodatku tak dokładnie kontrolowany, nie zdoła nic zrobić.

*

Priest wjechał na długi podjazd i zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami garażu. Wrócił właśnie z lotniska w Filadelfii, gdzie wsadził swoją żonę i córki do samolotu lecącego do Minnesoty. Wysłał je na jakiś czas do jej rodziców. Miał przedtem przeprawę z żoną, która w żaden sposób nie mogła zrozumieć jego postępowania.

Wróciwszy razem z dziewczynkami z zakupów, zastał bagaże spakowane i załadowane do samochodu. Jazda na lotnisko, a potem chwile, które spędzili ze sobą przed ich wejściem do samolotu, były istnym koszmarem. To była najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek musiał zrobić w życiu. Nawet nie z powodu gradu pytań, na które nie mógł odpowiedzieć, a którymi bez przerwy zasypywała go żona, ale dlatego, że tak bardzo je wszystkie kochał. Spoglądając w ślad za żoną i córkami, zdał sobie sprawę, że być może nie zobaczy ich już nigdy w życiu. Wstrzymywał łzy aż do chwili, kiedy zniknęły mu z oczu. Przeżyją przynajmniej one.

Przed wyjściem z terminalu nadał list. Rainmaker poinformował o tym centralę, a potem śledził doktora aż do Hightstown. Znalazłszy się w domu, Priest zamknął wszystkie drzwi i okna i wszedł do gabinetu. Miał zamiar odszyfrować pozostałe dziewiętnaście fragmentów dziennika. Wyjął ultrafioletową lampę, notes i ołówki, a potem poszedł po książki.

Serce skoczyło mu w piersi i krew zaszumiała w uszach, kiedy zobaczył puste kartony. Książki zniknęły!

Przez chwilę się zastanawiał, a potem podszedł do biurka, wyjął z kieszeni kartkę z numerem telefonu Justina i podniósł słuchawkę. Przeczytał numer, a potem spalił kartkę w popielniczce i pokruszył jej spopielałe resztki.

Nacisnął klawisze w przyciskowym telefonie.

W tej samej chwili usłyszał jakiś hałas.

Dochodził z wnętrza domu. Ktoś tu był. Wstrzymał oddech. Telefon w mieszkaniu Justina zadzwonił po raz pierwszy.

Usiłował gorączkowo zebrać myśli. Pomyślał o zaufaniu, jakim obdarzył tamtego jego nieżyjący brat. Już wcześniej postanowił przekazać mu pałeczkę.

Taka była treść listu, który wysłał na numer skrytki pocztowej Justina. Napisał w nim, że zamierza odszyfrować dziennik do końca, a następnie wydobyć z ukrycia jego spisaną już część i wręczyć mu całość.

Słuchając brzęczenia sygnału w słuchawce, myślał o tych fragmentach dziennika, które już odszyfrował. Rozumiał, co czyta, ale nie potrafił uświadomić sobie pełnego znaczenia dokumentu. Żeby to wszystko pojąć, potrzebna była wiedza o faktach, które znał tylko Billy. Być może Justin Chaple zna je także i potrafi złożyć w całość łamigłówkę, która tak bardzo przeraziła Billy'ego.

Znowu usłyszał hałas. Tym razem dochodził zza drzwi gabinetu.

O Boże! Chaple, odbierz telefon, pomyślał. Proszę! Odbierz telefon!

- Halo – odezwał się głos Justina.

Pot spływał Priestowi po czole. Ze strachu dudniło mu w uszach i w głowie. Paliły go oczy.

- Mówi Jack Priest – powiedział, pamiętając, żeby nie wymówić nazwiska rozmówcy. Miał do niego teraz pełne zaufanie.

Zobaczył obracającą się powoli klamkę. Łzy stanęły mu w oczach. Trząsł się cały ze strachu.

- Zadzwoniłem, żeby o coś zapytać – powiedział łamiącym się głosem.

Drzwi zaczęły się uchylać.

Priest odwrócił się, nie chcąc patrzeć na to, co go czeka. Strach tamował mu głos, ale musiał przekazać Justinowi wiadomość tak, aby nikt niepowołany jej nie zrozumiał.

- Zastanawiałem się właśnie… – zaczął. – Skoro przyjaźnił się pan z Billym, dlaczego nie odwiedzi pan jego grobu?

Rozległ się głuchy odgłos oddanych przez tłumik strzałów.

Justin usłyszał jedynie stuk upuszczonej słuchawki. Połączenie zostało przerwane.

Usiadł zdezorientowany na łóżku. Po głowie znów zaczęły mu chodzić dziwne myśli.

BIP!

Sygnał przestraszył go.

BLIP! – odpowiedział po krótkiej zwłoce, zwierając ścianki trąbki Eustachiusza.

Na łóżku obok niego spała Barbara. Wstał ostrożnie, żeby jej nie zbudzić, i przeszedł do salonu.

- Tak? – zapytał szeptem.

- Jesteś potrzebny, Pielgrzym – oznajmił cichy głos. – Czy możesz jutro rano stawić się na wyspie St Simon?

Justin poczuł skurcz żołądka.

Czy to możliwe, żeby wszystko monitorowali, poczynając od jego pierwszej wizyty u Priesta? Jeżeli tak, był już martwy.

Niewiele mógł zrobić w tej sytuacji. Musiał postępować zgodnie z poleceniami. Z wszczepioną płytką nie miał dokąd uciec. Znaleźliby go wszędzie.

- Tak. Jak mam się tam dostać? – zapytał.

- Startujesz z Teterboro Airport jutro rano o ósmej zero pięć na pokładzie leara. Wybacz, że przerywamy ci wakacje, ale wynikła ważna sprawa w związku z Feniksem. Instrukcje otrzymasz na St Simon. Powrót do domu możesz planować za mniej więcej trzy dni.

- W porządku, przyjąłem – odparł Justin.

- Dziękuję, Pielgrzym. Powodzenia – powiedział SENTINEL, kończąc transmisję.

Justin usiadł na kanapie, próbując zebrać myśli. Czy to wezwanie było przypadkowe, czy też został namierzony? Do pogrążonego w mroku salonu weszła Barbara.

- Co się stało? – zapytała zaspanym głosem.

- Nic, kochanie. Będę musiał na kilka dni wyjechać, to wszystko. Obawiam się, że nasze wakacje mają się ku końcowi – dodał.

- To w tej sprawie był ten telefon? – zapytała.

- Tak.

- Mogliby przynajmniej poczekać do rana – powiedziała, siadając obok niego na kanapie.

Objął ją ramieniem i położyli się razem na miękkich poduszkach. Po kilku chwilach oddech Barbary stał się równy i głęboki. Zasnęła.

Justin trzymał ją delikatnie w ramionach, czując, jak opadają i wznoszą się jej piersi.

Przyglądał się jej przez dłuższy czas, szczęśliwy i zakochany po uszy. Miał ochotę trzymać ją tak przez całą wieczność i nigdy nie wypuścić z ramion.

Zwłaszcza nazajutrz rano.

Rozdział 32

Ostrzegłem ich, żeby uważali na Tytusa. Boję się, że w jakiś sposób zaszkodzi całemu planowi. Proponowałem neutralizację, ale nie chcieli mnie słuchać. Jestem stary i posądzają mnie o sklerozę.

Moje zdrowie pogarsza się z dnia na dzień. Mam kłopoty z pisaniem i prawie nie widzę przed sobą kartki. Nie mogę też już posługiwać się lewą ręką. Ukazują mi się wszyscy ci, którzy umarli.

Widzę Izy w ich oczach. Mój koniec jest bliski, ale nie mąci to mego szczęścia, bo niedługo potem nastąpi początek.

Ustęp 77 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Lot na St Simon nie odbiegał w niczym od normy, ale Justin szykował się na najgorsze.

Drzwi windy otworzyły się na najniższym poziomie kliniki kardiologicznej Dialsa. Na korytarzu czekał Richard Wyatt.

- Cześć, kolego. Jak minął lot? – pozdrowił Pielgrzyma, podając mu rękę.

- Doskonale – odparł Justin, odwzajemniając mocny uścisk. – Co to za afera z Feniksem? – zapytał.

- Wynegocjowano wymianę – powiedział Wyatt.

- Jak to, do diabła, możliwe? – wściekł się Justin. – Po całym tym piekle, przez które przeszliśmy? Jak mogą tak po prostu pozwolić mu wrócić?

- Mają kogoś, na kim bardzo nam zależy – powiedział Wyatt, ruszając razem z nim długim korytarzem w stronę centrum operacyjnego.

- Nie mogę w to uwierzyć. Facet widział naszych agentów. Wie o Alphie i o St Simon. Wciąż może nam bardzo zaszkodzić.

Wyatt potrząsnął głową.

- Nie może nam nic zrobić. W przeciwnym razie nigdy byśmy go nie wypuścili, bez względu na to, kogo nam chcą dać w zamian.

Justin jednak nadal miał się na baczności. Nie miał zamiaru dać się zaskoczyć. Fakty, które odkrył w zeszłym tygodniu, pozostawiły mu w głowie prawdziwy zamęt. Nie wiedział, co jest prawdą, a co nią nie jest; nie wiedział, komu może ufać.

- Za kogo go wymieniamy? – zapytał.

- Odpowiedź na to pytanie i na wszystkie inne poznasz już za parę minut.

Dotarli do centrum operacyjnego i weszli przez przesuwane drzwi do środka. Za nimi stał Irwin Honeycut.

Justin spoglądał to na Honeycuta, to na Wyatta, oceniając sytuację.

- Cześć, Pielgrzym – powiedział Honeycut, wyciągając w jego stronę rękę.

- Dzień dobry – odparł Justin, odwzajemniając uścisk.

- Przepraszam, że musiałem w ten sposób przerwać ci urlop, ale to ważna sprawa – oznajmił Honeycut. – Dziękuję, Dick. Resztę możesz zostawić mnie – dodał, zwracając się do Wyatta.

Wyatt uśmiechnął się na pożegnanie i opuścił centrum operacyjne. Dwaj mężczyźni zostali sami. Przez chwilę patrzyli sobie w milczeniu w oczy.

- Jak udały się wakacje? – odezwał się w końcu Honeycut, przerywając ten niemy pojedynek.

- Znakomicie – odparł Justin.

- Przemyślałeś moją ofertę? – zapytał Honeycut.

- Tak.

- I…?

Justin nie wiedział, co jest tu grane, ani kto jest po czyjej stronie. Ale przyjmując propozycję tamtego, kupował sobie czas aż do chwili, kiedy dowie się czegoś więcej.

- Postanowiłem ją przyjąć – powiedział.

- Znakomicie! Znakomicie! – ucieszył się Honeycut, potrząsając z radością dłonią Justina. – To dobra decyzja – dodał, uśmiechając się szeroko. – Teraz powiem ci, z czym przyjdzie nam się zmierzyć.

Wskazał Pielgrzymowi krzesło stojące przed dużym biurkiem. Sam usiadł z drugiej strony, otworzył środkową szufladę i wsunął do niej rękę.

Justin sięgał już po swego mauzera, ale znieruchomiał, kiedy w dłoni Honeycuta ukazała się cienka metalowa tabliczka.

- To jest twoja nowa karta identyfikacyjna. Ma symbol SSC-7X. Oznacza on drugi co do ważności stopień w hierarchii całej agencji. Z tym „X" możesz zrobić wszystko: zajrzeć do każdego ***dosster,*** zażądać nieograniczonego dostępu do posiadanych przez SENTINELA informacji; naprawdę wszystko, łącznie z rozpętaniem małej wojny, jeśli będziesz musiał. Będziesz potrzebował tych uprawnień, żeby pomóc nam rozwiązać problem, przed którym stanęliśmy.Justin był zdumiony i oszołomiony. Zaledwie przed kilkoma sekundami bał się, że Honeycut wyciągnie z szuflady pistolet. Teraz znowu nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić.

Ten stopień został ci przydzielony w momencie objęcia nowego stanowiska – oświadczył Honeycut. – Objąłeś je wchodząc na pokład samolotu w Teterboro.

- Skąd pan wiedział, że się zgodzę?

- Wiedziałem – odparł z chytrym uśmiechem Honeycut. – Na tobie i ludziach do ciebie podobnych opiera się przyszłość naszej agencji. Jesteś oddany swojemu krajowi i wartościom, o które walczy ta agencja. Kazałem sporządzić dla ciebie tę kartę, zanim jeszcze poszedłeś na urlop.

Justin z przymusem odwzajemnił uśmiech.

- Teraz poinformuję cię, z czym przyjdzie nam się zmierzyć – powiedział Honeycut, poważniejąc. – Wiesz, że poszukujemy dziennika, który odkrył Spartanin. Z popiołów, które znaleźliśmy w kominku Spartanina, udało nam się odtworzyć mniej więcej połowę. Było tego dosyć, żeby stwierdzić, że znaleźliśmy się w dużych kłopotach. Agencja jest infiltrowana.

- Infiltrowana? Przez kogo? Przez Sowietów? – zapytał Justin. Honeycut potrząsnął głową.

- Nie, nie przez Sowietów. Z tego, co udało nam się odtworzyć z popiołów, dowiedzieliśmy się, że dziennik został napisany przez niejakiego Wolfa. Nie wiemy, jak brzmiało jego prawdziwe nazwisko, ale wiemy, kim był. Nazistą.

Justin wstał i przeszedł powoli kilka kroków.

To oczywiste, pomyślał. Dziennik napisany był po niemiecku. Odnaleziony został w Madrycie, gdzie uwiło sobie ciepłe gniazdko

wielu nazistów. Istniała poza tym dwudziesta piąta strona, którą znalazł w apartamencie Bridgesa. Wspominano tam o Niederlage; o roku 1941 i o czymś, co nosiło nazwę Operacja Raptor. Były także różne kryptonimy i nazwy krajów: Hiszpanii, Argentyny, Afryki Południowej, Niemiec i Stanów Zjednoczonych.

Odwrócił się plecami do Honeycuta, zastanawiając się, czy nie powiedzieć mu o brakującej stronie i o bracie Spartanina. Doszedł jednak do wniosku, że zaczeka z tym, aż dowie się czegoś więcej.

- Naziści? Jest pan pewien? – zapytał.

- Tak – odparł Honeycut. – To, co odkryliśmy, nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości. Planują utworzenie Czwartej Rzeszy tutaj, w Stanach Zjednoczonych. Dlatego tak ważne jest, abyśmy odzyskali resztę dziennika. Możemy się z niej dowiedzieć o wiele więcej. Najpierw jednak musimy uporać się ze sprawą Feniksa. Dopiero potem skoncentrujemy wszystkie wysiłki w celu odzyskania dziennika. Otrzymasz jego odtworzone fragmenty i wszelką pomoc, jakiej możemy ci udzielić. Musimy jednak być bardzo ostrożni. Nie wiadomo, jak głęboko sięga infiltracja. Wiemy, że chodzi o kogoś posiadającego stopień SSC-7 albo wyższy, o osobę, która dysponuje swobodnym dostępem do SENTINELA. Osobę, która w odpowiedniej chwili może wykorzystać go do swoich celów.

- Ale w jaki sposób ktoś mógłby nad nim zapanować? – zapytał Justin. – Wydawało mi się, że cały personel podlega drobiazgowej lustracji.

- To prawda. Dziennik jednak nie pozostawia prawie żadnych wątpliwości, że w jakiś sposób udało im się dotrzeć tak daleko. Kogoś, kto zakonspirował się przed ponad trzydziestu pięciu laty, praktycznie nie sposób wykryć. Nawet jeśli lustrację przeprowadza SENTINEL.

Justin znowu zaczął przemierzać gabinet. – Sądzi pan, że reszta dziennika dostarczy panu odpowiedzi? – zapytał w końcu.

- Może dostarczyć – odparł Honeycut.

Żołądek Justina wyczyniał dzikie harce. Być może mylnie ocenił fakty, które odkryli Bridges i Spartanin. Może Honeycut mówił prawdę?

Był jeszcze Fanning. Jaką rolę odegrał w tym wszystkim? Po której naprawdę był stronie? Jak głęboko sięgała infiltracja? Wciąż potrzebował więcej informacji.

- Nie chcę, aby ktoś miał dostęp do mojego ***dossier*** – powiedział. – Czy uda się to załatwić?

Honeycut kiwnął głową.

- Dane mogą zostać utajnione – odparł – a dostęp do nich uzależniony od pozytywnego potwierdzenia wzoru głosu.

- Mam na myśli klauzulę najwyższej tajności – oznajmił Justin. – To oznacza, że moje ***dossier*** będzie niedostępne nawet dla kierownictwa. Może pan to załatwić?

- Oczywiście – kiwnął głową Honeycut. – Wygląda na to, że obaj szybko zarobimy na dodatkową gratyfikację – zażartował. – Teraz opowiem ci o Feniksie. Sowieci ujęli naszego agenta

działającego w Moskwie, Orła. Bardzo ważnego agenta. Został aresztowany dzień po zatrzymaniu przez nas Feniksa. To właśnie od niego uzyskaliśmy informacje, dzięki którym udało nam się tamtego zatrzymać. Po aresztowaniu przeszedł naprawdę ciężkie chwile. Żeby go złamać, Rosjanie zastosowali technikę intensywnej deprywacji sensorycznej. Nie sądzimy, żeby coś im powiedział, ale nie mamy co do tego pewności. Na wczesnym etapie przesłuchań, kiedy mogliśmy się jeszcze z nim skontaktować za pośrednictwem wszczepionej płytki, SENTINELOWI udało się wprowadzić go w sen hipnotyczny. Na tym urwały się wszelkie możliwości kontaktu. Nie wiemy, co się z nim potem działo. Teraz wychodzi ze stanu deprywacji. Przed wymianą będą się niewątpliwie starali doprowadzić go do jakiej takiej formy.

- Godząc się na nią, podejmujemy duże ryzyko – stwierdził Justin. – Feniks wie o Alphie i o St Simon. Widział także dużo twarzy, wliczając w to moją.

- Alpha jest w stanie likwidacji – odparł Honeycut. – Nawet gdyby nie doszło do wymiany, jej dalsza działalność stanowiłaby zbyt wielkie ryzyko. Co się tyczy wyspy St Simon, to Feniks nie ma pojęcia, gdzie przebywał. Równie dobrze moglibyśmy go leczyć w Chinach.

- A ludzie, których może zidentyfikować? Ja też jestem na tej liście – powiedział Justin.

- To jedna z przyczyn, dla których cię tu wezwaliśmy. Będziesz go eskortował podczas wymiany.

- I cały świat się dowie, kim jestem. – Justin potrząsnął głową. – Wcale mi się to nie podoba.

- Twój kamuflaż pozostanie nienaruszony. Nie możemy pokazywać im więcej twarzy. A twojej nie zobaczą już nigdy więcej, ponieważ na nowym stanowisku nie będziesz pracował w terenie. Jedyne problemy mogą nas spotkać ze strony CIA.

- CIA?

- Tak. Sowieci nie wiedzieli, jak się z nami skontaktować, i zrobili to za pośrednictwem Roberta Morsanda w Paryżu.

- Będą prowadzić przeciwko mnie dochodzenie – powiedział Justin.

- Żadne dochodzenie niczego nie wykaże. Tutaj nic ci nie grozi. Ale musimy być ostrożni, dopóki nie uwierzą w twój kamuflaż – powiedział Honeycut.

- Na czym on ma polegać? – zapytał Justin.

- Pomagasz po prostu zidentyfikować amerykańskiego obywatela, którego Sowieci zatrzymali pod zarzutem szpiegostwa. Fakt, że go dobrze znasz, uprawdopodobni całą historię – wyjaśnił Honeycut.

- Ale ja wcale nie znam Orła. Odkryją to w ciągu minuty.

- Odkryją, że znasz go całkiem dobrze. Prawdziwe nazwisko Orła brzmi Steven Pappachristus.

- Pappy? – zapytał z niedowierzaniem Justin.

- Zgadza się. Steve pracuje w agencji już od pięciu lat – odparł Honeycut.

- On nie może być Orłem – upierał się Justin. – Powiedział pan, że ujęto go dzień po zatrzymaniu przez nas Feniksa?

Honeycut skinął głową.

- Tak się składa, że rozmawiałem z Pappym w tydzień potem – oświadczył Justin. – Steve od ponad roku przebywa w Arabii Saudyjskiej. Mam od niego listy i kartki pocztowe.

- Kartki i listy, które otrzymywałeś, zostały wysłane w ramach tworzenia kamuflażu. Był w Rosji przez cały czas, kiedy ty myślałeś, że przebywa na Bliskim Wschodzie – powiedział Honeycut.

- Rozmawiałem z nim przez telefon! – zaprotestował Justin.

- Nie rozmawiałeś z Pappym, „braciszku" – stwierdził Honeycut. – Rozmawiałeś z SENTINELEM.

*

- D-osiemdziesiąt jest pochodną specyfiku o nazwie daunorubycyna. Tak jak pierwotnie planowaliśmy, udało nam się uzyskać u Kuradina remisję właśnie w wyniku podawania D-osiemdziesiąt. Mieliśmy szczęście. Po zakończeniu prowadzonych pod kierunkiem Wyatta przesłuchań gotowi byliśmy nawet zastosować D-osiemdziesiąt trzy - wyjaśnił Justinowi doktor Becker Dials.

- A czym jest D-osiemdziesiąt trzy? - zapytał Justin.

- Pochodną D-osiemdziesiąt. Powstrzymuje absolutnie wszystkie formy nowotworu. Ale nie możemy jej normalnie używać.

- Dlaczego?

- Ponieważ raz rozpoczętego podawania nie można już przerwać. Wstrzymanie leczenia powoduje u pacjenta śmierć w ciągu siedemdziesięciu dwu godzin. We wszystkich przypadkach.

Justin uniósł brew.

- Mamy nadzieję, że dalsze badania nad enzymatycznym działaniem daunorubycyny w procesie przemiany materii doprowadzą nas do odkrycia skuteczniejszych, a zarazem mniej toksycznych leków - powiedział Dials. - Może nawet do odkrycia skutecznego lekarstwa na raka.

- A co stanie się, kiedy przekażemy go Rosjanom? - zapytał Justin.

- Remisja będzie trwała jeszcze przez jakieś trzydzieści dni. Potem jego stan szybko się pogorszy. Z wyjątkiem D-osiemdziesiąt albo D-osiemdziesiąt trzy nic nie jest w stanie spowodować ponownej poprawy. W jego konkretnym przypadku nawet przy ciągłym podawaniu D-osiemdziesiąt nie daję mu więcej niż cztery do sześciu miesięcy życia.

- Czy on o tym wie?

- Tak. Mimo to chce wrócić do domu, żeby tam umrzeć.

- To, czego chce, a czego nie chce Feniks, nie ma najmniejszego znaczenia - burknął Honeycut. - Nie do niego należy decyzja. Chcemy odzyskać Orła, a oni chcą Feniksa. Więc dostaną go, żywego lub umarłego.

Po chwili milczenia zwrócił się do Justina:

- Orzeł ma wszczepioną płytkę starego typu. Jest większa, istnieje więc niebezpieczeństwo, że ją odkryją i usuną, zanim nam go przekażą. Mając płytkę, mogą zacząć przechwytywać nasze transmisje. A potem zlokalizują nadajniki i rozpoczną zagłuszanie. Dlatego właśnie chcę, żebyś tam był. Musisz dopilnować, abyśmy bez żadnych przeszkód odzyskali Orła... albo zabić go, jeśli okaże się to konieczne.

Justinowi żołądek podszedł do gardła.

- Nie możemy dopuścić do tego, żeby zdobyli płytkę - mówił dalej Honeycut. - Wiemy, że jeszcze jest na swoim miejscu, ale nie sposób przewidzieć, jaki mogą nam wyciąć numer.

- Ale... - zaczął Justin.

- To nie jest przyjemna ewentualność - przerwał mu Honeycut, zanim Pielgrzym zdążył powiedzieć coś więcej - musisz być jednak na nią psychicznie przygotowany. Wszystko wskazuje na to, że wymiana przebiegnie spokojnie, chcę jednak, żebyś wiedział, czego od ciebie oczekujemy, gdyby coś poszło nie tak.

- Dziękuję bardzo - odparł lodowatym tonem Justin.

- Sowieci mają nadzieję, że Feniks ma wszczepioną kasetkę z mikrodotem - ciągnął Honeycut. - Ale my ją odnaleźliśmy.

- Tak, pamiętam - powiedział Justin. - Rana z tyłu głowy.

- Zgadza się - potwierdził Dials. - Rosjanie nie wiedzą, że ją odkryliśmy.

- W wymianie uczestniczyć będzie także doktor Waith, którego być może pamiętasz: połatał cię po twoim spotkaniu z Ten Braakiem -

powiedział Honeycut. - Oprócz tego dwaj ludzie z Departamentu Stanu i Robert Morsand z CIA, wraz ze swym asystentem, Budem Kodekiem.

- Gdzie i kiedy się to odbędzie?

- Jutro w Dieppe, we Francji. Podczas całej operacji będziesz z nami w ciągłym kontakcie za pośrednictwem SENTINELA. Uważaj na Morsanda. To sprytny facet i czepia się najdrobniejszych szczegółów.

Justin kiwnął głową.

- Jestem przekonany, że wszystko pójdzie jak po maśle - powiedział Honeycut, kładąc mu rękę na ramieniu. - Wierz mi, my wszyscy także chcemy, żeby Steve wrócił bezpiecznie do domu.

- Jutro, o godzinie czternastej zero zero - poinformował Kodeka Robert Morsand. - Z ich strony za operację odpowiedzialny jest Jentik. Z naszej strony kieruję nią ja, ale prawdę mówiąc, nie mam najmniejszego pojęcia, co jest grane. Platt oświadczył, że dochodzenie w tej sprawie zostało wstrzymane na mocy rozkazu samego prezydenta. Wezwano go do Gabinetu Owalnego i poinformowano po prostu o wymianie. Jakieś głodne kawałki o amerykańskim obywatelu zatrzymanym pod zarzutem szpiegostwa.

- Kim jest ten cały Jarin? - zapytał Kodek.

- O nim też nikt nie powiedział mi ani słowa... tyle tylko, że wymiana ma dojść do skutku i że Limpoulous, jeśli to w ogóle prawdziwe nazwisko, ma natychmiast odlecieć do Waszyngtonu - odparł Morsand.

- Myślisz, że Jarin to w rzeczywistości Czachowski? - zapytał Kodek.

- Całkiem możliwe. Platt bez przerwy wierci nam o niego dziurę w brzuchu. Kiedy Jentik poprosił o spotkanie, byłem przekonany, że chce mówić o Czachowskim.

- W takim razie kim jest Limpoulous?

- Musimy z odpowiedzią na to zaczekać do jutra. Chcę mieć zdjęcia z przebiegu całej wymiany. Zbliżenia wszystkich twarzy. Chcę usłyszeć każde wypowiedziane słowo. Dzieje się tutaj coś podejrzanego i Platt chce o tym wiedzieć. A ja mam do wyrównania rachunki z ludźmi, którzy porwali Czachowskiego. Nikt nie będzie bezkarnie grać mi na nosie.

*

Na wyspie St Simon była godzina 1:00. Pogrążony w myślach Justin siedział w jednej z sal konferencyjnych.

W głowie miał istny mętlik. Nic nie było go już w stanie zdziwić. To był cholerny tydzień. Dowiedział się o książkach w Anglii; odkrył, że być może to Fanning zamordował Spartanina; zlokalizował dziennik, choć jeszcze go nie przejął; dowiedział się, że agencja jest infiltrowana przez nazistów i że Feniks zostanie oddany Rosjanom – oddany w zamian za człowieka, który był jego najlepszym przyjacielem, człowieka, o którego pracy w agencji nie miał najmniejszego pojęcia i którego, jeśli coś pójdzie źle, miał jeszcze tego samego dnia uśmiercić.

Co jeszcze, do diabła, może się wydarzyć? Być może odkryje, że Barbara jest transseksualistką. Zaśmiał się niewesoło i pociągnął łyk herbaty.

Gorący napój przypomniał mu termiczny kubek… kubek i popielniczkę, jego tajny arsenał.Wiedział, że wkrótce będzie musiał opowiedzieć Honeycutowi o dzienniku i o dwudziestej piątej stronie. Czuł, że może mu zaufać. Ale nie wiedział, komu jeszcze.

Co się stanie, jeśli Honeycut nie zdoła załatwić mu klauzuli najwyższej tajności? Co się stanie, jeśli ktoś będzie śledzić jego rozmowy z komputerem?

Jeśli otrzyma od Priesta dziennik jeszcze przed wyjawieniem wszystkiego Honeycutowi, pozna być może odpowiedzi na dręczące go pytania. Może powinien się wstrzymać do czasu, kiedy przeczyta dziennik…

Nagle przypomniał sobie dziwną wiadomość, którą przekazał mu telefonicznie Priest. Doktor dziwił się, że Justin nie odwiedził grobu jego brata. Co chciał przez to powiedzieć? Że nie zamierza oddać mu dziennika, bo nie uwierzył w jego historyjkę? Justin był pewien, że udało mu się go przekonać.

Usłyszał kroki na korytarzu. Drzwi uchyliły się i do środka wszedł Richard Wyatt.

- Cześć – powitał go. – Gotów do wyjazdu?

- Oczywiście – odparł Justin.

- To dobrze. Za parę minut dostarczą tutaj Feniksa. Dopilnuj, żeby miał to na głowie przez cały czas, zanim nie wydadzą ci Orła – powiedział Wyatt, rzucając na stół wełniany kaptur.

Justin podniósł go i uważnie mu się przyjrzał.

- Ma ukryć jego głowę – wyjaśnił Wyatt.

- Ukryć głowę…? – powtórzył Justin.

- Tak. Doktor Dials nie opisał efektów ubocznych D-osiemdziesiąt tak dokładnie, jak powinien. Oprócz mdłości i utraty wagi Feniksowi wypadły wszystkie włosy. Jest łysy jak kolano. Kiedy zobaczą łysą głowę, mogą domyślić się, że nie ma już wszczepu, i odwołają całą wymianę… – Po chwili dodał: - Już niedługo cały ten koszmar się skończy.

Może dla ciebie, pomyślał Justin. Zastanawiał się, jaką przyznano Wyattowi kategorię – SSC-7 czy wyższą. Ciekawe, ilu pracowników ją posiadało.

- Pamiętasz dokładnie swoją legendę? – zapytał Wyatt. – Możesz być pewien, że Morsand będzie cię traktował bardzo podejrzliwie.

Justin kiwnął głową.

- Cóż, w takim razie życzę powodzenia – powiedział tamten, wyciągając rękę.

- Dzięki – odparł Justin.

- Będę przy monitorach razem z Pegazem. Jeśli coś wzbudzi twoje podejrzenia, zawiadom nas pojedynczym tonem.

Skinął mu głową na pożegnanie i wyszedł.

Po kilku chwilach z korytarza dobiegły jakieś hałasy. Drzwi odsunęły się i do Sali wjechał na inwalidzkim wózku Kuradin. Po obu stronach miał żandarmów. Trzeci popychał wózek.

Justin był wstrząśnięty widokiem Rosjanina. Feniks wydawał się o trzydzieści funtów lżejszy; pod zapadniętymi, zmęczonymi oczyma widniały ciemne kręgi. Twarz miał szarą, policzki wychudłe, nos upodobnił się do dzioba. Wypadły mu wszystkie włosy, łącznie z brwiami.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

Kuradin nie spodziewał się ponownie zobaczyć Pielgrzyma. Przez twarz przebiegł mu cień niepokoju.

- Znowu się spotykamy – powiedział słabym, zmęczonym głosem. Justin nie odpowiedział.

- Po raz trzeci i ostatni – dodał Kuradin. Justin posłał mu chłodne spojrzenie.

- Chciałem panu podziękować – ciągnął nie zrażony tym Rosjanin. – Słyszałem, że oddał mi pan swoje płytki krwi. Wygląda na to, że łączy nas teraz coś więcej niż wspólna profesja.

- Nic nas nie łączy – warknął Justin.

- Więcej, niż pan sądzi – stwierdził Kuradin. Mimo choroby jego oczy nie straciły nic ze swojej przenikliwości.

- Nic nas nie łączy – powtórzył lodowatym tonem Justin.

- Łączy nas sposób życia. Sposób życia, który nami całkowicie zawładnął. Raz wygrywamy… innym razem przegrywamy.

- Pan przegrał – oświadczył Justin.

- Tak, dzisiaj przegrałem. **I** nie mam już przed sobą jutra.

- To nie była zupełna przegrana – powiedział Justin. – Wraca pan żywy do domu. W tym fachu to zawsze jest jakieś zwycięstwo. Ale gdyby to ode mnie zależało, zostałaby z pana krwawa miazga.

- Tak, wiem. Wracam jednak do domu. Do mojej córki i moich wnucząt, jeśli pozwolą mi je zobaczyć.

- Niech pan to włoży – powiedział Justin, rzucając Rosjaninowi kaptur na kolana. – I proszę nie próbować go zdejmować, bo nigdy nie wróci pan do rodziny – ostrzegł.

Taka nienawiść w tak młodym człowieku, pomyślał Kuradin. Wciągnął kaptur na głowę.

- Niżej, na uszy – rozkazał Justin. Kuradin spełnił polecenie.

Justin wyjął małą strzykawkę i podszedł do niego.

- Niech pan zawinie rękaw – polecił.

Rosjanin wiedział, że chcą go uśpić, żeby nie zobaczył niczego w drodze do samolotu. Posłusznie zawinął rękaw.Justin przetarł mu ramię spirytusem i wbił igłę, ale tłoczek strzykawki zablokował się. Wyciągnął igłę i wbił ją ponownie.

Po chwili głowa Kuradina zachwiała się i przechyliła na prawą stronę.

- Zabierzcie go stąd – polecił Justin strażnikom.

*

Kuradin odzyskał przytomność nad oceanem, słysząc świst silników odrzutowca. Siedział nieruchomo, nie otwierając oczu. Wracał do domu!

Jego misja była prawie skończona. Jeszcze tylko kilka godzin, i wszystko to przejdzie do historii – a Rosja będzie miała komputer. Odprężył się psychicznie i fizycznie.

Pozostało mu tylko przejście paru kroków po pustym pasie startowym. Parę kroków, które dzieliło go od bezpieczeństwa i zwycięstwa. Ostatnie kroki do domu.

*

Na niższym poziomie kliniki kardiologicznej Dialsa pielęgniarka sprawdzała tempo przepływu jednej z kroplówek, do której podłączony był Dymitr Czachowski.

Nagle dłoń chorego poruszyła się.

Pielęgniarka popatrzyła zaskoczona na rękę, która podniosła się w górę i opadła z powrotem na łóżko.

Rozległ się cichy jęk, a potem pacjent zamrugał oczyma.

Otworzył powieki i ponownie zamrugał, próbując dojrzeć coś zza zasnuwającej oczy mgły.

Pielęgniarka nacisnęła przycisk.

Do izolatki wpadła ekipa medyków.

Trzydzieści minut później Becker Dials telefonował do Honeycuta.

- Tak, o co chodzi? – rozległ się chrapliwy głos Pegaza.

- Irv? Mówi Buck. Zejdź zaraz na oddział intensywnej opieki. Czachowski wychodzi ze śpiączki.

Honeycut wyprostował się na krześle.

- Natychmiast zawiadom Wyatta i doktor Ryerson – rzucił. – Będę na dole za dwie minuty. Czy może mówić?

- Jeszcze nie, ale będzie mógł za parę godzin – odparł Dials.

- Czy będzie mówił do rzeczy?

- W tej chwili nie sposób tego stwierdzić. Ale wszystkie wskazania wydają się dobre. Moim zdaniem istnieje duża szansa, że będzie w pełni władz umysłowych.

- Zaraz tam będę.

Rozdział 33

Dzisiaj odwiedził mnie Colorosa. Powiedziałem mu o Tytusie. Chyba mi uwierzył. Powiedział, że zajmie się tą sprawą.

Czekam na śmierć, ale Colorosa twierdzi, że będę żył wiecznie. Mówi, że na całym świecie będą stały moje pomniki. Że moje nazwisko nigdy nie zniknie z podręczników historii.

Jest wielkim człowiekiem, ale ja widzę już tego, kto przyjdzie po nim… widzę następnego Fuhrera. Przyjdzie już niedługo i nikt nie będzie kwestionował jego wielkości.

Ustęp 81 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Justin przetarł mokrym zimnym ręcznikiem czoło i oczy. Podziałało to na niego odświeżająco. Od opuszczenia St Simon nie spał ani chwili.

Jego umysł bez przerwy analizował fragmenty informacji, sortując je i składając na nowo, próbując uchwycić sens niewiarygodnie splątanej gmatwaniny.

Wielki rządowy odrzutowiec wylądował prawie przed dwudziestoma minutami. Pilot pokołował w stronę nie używanego fragmentu pasa i wygasił silniki.

Rosyjski samolot wylądował już także i stał kilkaset jardów dalej.

Niebo nad Dieppe było szare. Padał ulewny deszcz i wiał chłodny, porywisty wiatr. Pogoda zupełnie nietypowa dla lipca.

Justin odłożył ręcznik i podszedł do małego stolika. Leżała na nim wąska, płaska teczka. Otworzył ją.

Wewnątrz znajdował się Colt Trooper MK 111 kalibru 357 magnum. Duża broń z czterocalową lufą, czterdzieści jeden uncji błękitnej stali. Wstrząs spowodowany uderzeniem jej pocisku mógł uśmiercić przeciwnika nawet przy strzale w nogę albo ramię.

Justin założył kaburę pod pachę i przekręcił bębenek, sprawdzając, czy broń jest załadowana. Potem wsunął ją delikatnie do kabury. Była ciężka, ale pasowała idealnie.Zakładając winylową przeciwdeszczową kurtkę, wyjrzał przez małe okienko. Zobaczył zbliżające się osoby i natychmiast rozpoznał Roberta Morsanda. Towarzyszył mu barczysty mężczyzna, Bud Kodek.

Z podążających za nimi dwóch pozostałych mężczyzn rozpoznał tylko Arthura Edgara z Departamentu Stanu.

Zerknął jeszcze raz we wbudowane w ściankę lustro, żeby upewnić się, czy nie widać colta. Usatysfakcjonowany wyszedł ze swego pomieszczenia, minął następne i znalazł się w głównej kabinie, w której siedział Kuradin, przykuty do jednego z żandarmów.

*

Deszcz zacinał prosto w twarze idących raźnym krokiem Morsanda i Kodeka.

- Myślisz, że to Czachowski? - zapytał Kodek.

- Mam nadzieję, że nie - odparł,Morsand.

- Czy Platt przekazał ci jakieś informacje na temat Limpoulousa lub tego Chaple'a?

- Same głodne kawałki - odparł Morsand. - Ale nie oczekiwałem niczego więcej. Sprawą zajął się Departament Stanu. To ich przedstawienie. My jesteśmy tutaj tylko dla picu - dodał.

- Platt ma zamiar wszcząć śledztwo?

- Możesz się założyć, że tak. Mimo zakazu przydzielił już do tej sprawy kilku swoich zaufanych ludzi. Chce znać odpowiedź na parę pytań, podobnie zresztą jak ja - stwierdził Morsand. - Czy nasi ludzie zajęli wyznaczone pozycje? - zapytał Kodeka.

- Oczywiście. Będziemy mieli fotki wszystkich Rosjan i Amerykanów. Ekipa dźwiękowców rozmieszczona jest tak, żeby nie uronić ani słowa z tego, co zostanie powiedziane - odparł Kodek.

- Dobrze. Zobaczmy teraz kilka nowych twarzy - mruknął Morsand, kiedy doszli do schodków, prowadzących do samolotu.

Justin usłyszał szybkie kroki po metalowych stopniach. W chwilę później do głównej kabiny wszedł przez otwarte drzwi Morsand, a w ślad za nim Kodek.

Oczy Morsanda natychmiast pobiegły ku Kuradinowi. Ogarnęła go ulga i jednocześnie rozczarowanie. Był prawie pewien, że zobaczy Czachowskiego.

Zmierzył wzrokiem Justina.

- Pan nazywa się Chaple? - zapytał.

- Tak - odparł grzecznie Justin.

- Robert Morsand - przedstawił się jego rozmówca, podając rękę.

Justin uścisnął ją.

- A to Bud Kodek. Kolejny uścisk dłoni.

Morsand rozejrzał się szybko po kabinie. Zobaczył drzwi do jednego z pomieszczeń z tyłu i zerknął z powrotem na Justina.

- Pozwoli pan na chwilę? - zapytał.

Wycofali się do mniejszej kabiny. Morsand zamknął za sobą drzwi.

- Niech pan usiądzie, panie Chaple - powiedział.

- Dziękuję, postoję - odparł Justin.

Morsand przez chwilę wpatrywał się w jego chłodne oczy. Zbyt chłodne, pomyślał.

- Jak pan w to wdepnął? - zapytał.

Justin przez chwilę milczał. Był pewien, że Morsand nic o nim nie wie.

- Ma pan przecież całe moje ***dossier*** - powiedział.

- Chciałbym jednak, żeby poinformował mnie pan o wszystkim, co pan wie - nalegał tamten.

- Przykro mi, panie Morsand, ale nie mam panu nic więcej do powiedzenia - odparł Justin, odwracając się w stronę drzwi.

- Zaczekaj no chwilę - zawołał Morsand, łapiąc go za ramię. Justin odwrócił się błyskawicznie i wbił w niego lodowaty wzrok. Natychmiast się uspokoił, ale jego gwałtowna reakcja nie uszła uwagi Morsanda.

- Nie mam nic do powiedzenia - powtórzył Justin.

- Gówno prawda. Chcę wiedzieć, kim jest Limpoulous i co pan ma z tym wszystkim wspólnego - powiedział Morsand.

- Znam go, to wszystko - odparł Justin.

- Jak brzmi jego prawdziwe nazwisko i co robił w Rosji? - pytał dalej Morsand.

- Wydawało mi się, że to wy powinniście wiedzieć wszystko i o wszystkim - stwierdził Justin.

- Odpowiedz po prostu na moje pytanie - warknął Morsand, wbijając palec w pierś Justina.

W ułamku sekundy Justin złapał przegub Morsanda w mocny jak imadło uścisk.

- Oszczędź pan sobie tych numerów dla kogo innego - powiedział, odsuwając jego rękę.

- Powiesz mi, co chcę wiedzieć, albo każę wszcząć śledztwo, które powie mi o tobie więcej, niż wiesz o sobie sam - zagroził Morsand. - Więcej, niż będziesz chciał wiedzieć - dodał.

Justin uśmiechnął się.

- Wypchaj się pan trocinami - powiedział, odwracając się ponownie w stronę drzwi.

- Ty sukinsy...Drzwi otworzyły się od zewnątrz i ukazała się w nich głowa Arthura Edgara.

Justin wyszedł, a Edgar wsunął się do środka i zamknął za sobą drzwi. Morsand zmierzył wzrokiem niskiego, korpulentnego mężczyznę z lśniącą łysą głową.

- Co się tu dzieje? - zapytał urzędnik Departamentu Stanu.

- To sprawa między nim a mną - odparł Morsand.

- Zabroniono ci zadawania jakichkolwiek pytań - oświadczył niski mężczyzna. - Nie wolno ci rozmawiać z Jarinem, Limpoulousem i Chaple'em zarówno przed, jak i po wymianie. To nie twój ***show.*** Sprawą zajmuje się Departament Stanu. Jesteś tutaj tylko ze względu na wymogi protokołu, ponieważ kontakt został nawiązany za pośrednictwem twojego urzędu.

- Nie wciskaj mi bzdur - odparł Morsand. - Możesz być pewien, że postaram się odkryć, co tu jest grane. To moje terytorium. Muszę wiedzieć o wszystkim, co się dzieje, w przeciwnym razie mogę dostać po dupie.

- Jesteś głupcem, Morsand. Platt otrzymał rozkaz z najwyższego szczebla. Ma przerwać dochodzenie w tej sprawie. Ciebie to też dotyczy.

- Daruj to sobie, bo i tak nie słucham. Coś się tutaj szykuje i mam zamiar dowiedzieć się, co.

Edgar przyjrzał się Morsandowi. Sam też chciałby znać odpowiedź na wiele pytań. Ale rozkaz z góry rozkazem z góry.

Morsand był wartościowym agentem i Edgar nie chciał irytować go bardziej, niż to było konieczne. Pochylił głowę i przez chwilę się zastanawiał.

- Sam też wiem bardzo mało - zaczął. - Obiecuję ci jednak, Bob, że wszystko, czego się dowiem, znajdzie się na twoim biurku. Nic więcej nie mogę teraz zrobić.

Morsand kiwnął niechętnie głową.

- W porządku, ale chcę to mieć szybko. W przeciwnym razie poszukam odpowiedzi na własną rękę.

- Będziesz je miał, obiecuję. Oficjalnie ty kierujesz całą operacją, tak przynajmniej zostanie zapisane w raporcie. Tutaj tylko ty i ja wiemy, że w rzeczywistości wszystko organizuje Departament Stanu. Oni są odpowiedzialni za to, co się dzisiaj wydarzy. A teraz lepiej już idź i obejmij dowództwo.

- Idź pierwszy. Muszę ochłonąć - powiedział Morsand. - Daj mi trochę czasu.

- W porządku. Zostało nam jeszcze jakieś pięćdziesiąt minut - stwierdził Edgar, ruszając ku drzwiom.

- Przyślij tutaj Kodeka, dobrze? - poprosił Morsand.

Edgar odwrócił się i podniósł w górę palec.

- Pamiętaj, tylko ty i ja. Kodek nie ma prawa o niczym wiedzieć. Morsand kiwnął głową. Kodek i tak już wiedział.

Edgar wyszedł z kabiny.

Po kilku chwilach do środka wszedł Kodek.

- Co miał do powiedzenia Edgar? - zapytał.

- Nic, o czym byśmy już nie wiedzieli. To nasz ***show*** i jednocześnie nie nasz - odparł kwaśno Morsand. - Nie zadawajcie żadnych pytań. Siedźcie na dupie, miejcie oczy szeroko otwarte i udawajcie, że to wy wydajecie polecenia - rzucił. Na jego twarzy wciąż malował się gniew.

- Słowem, robimy dobrą minę do złej gry? - zapytał Kodek. Morsand uśmiechnął się.

- Szybko się uczysz.

Minęła ponad godzina, zanim towarzystwo zaczęło wychodzić z samolotu. Deszcz zelżał i teraz już tylko mżyło.

Migawki aparatów ukrytych za drzewami, daleko od pasa startowego, pstrykały za każdym razem, kiedy w otwartych drzwiach samolotu pojawiała się kolejna postać. Potężne obiektywy zapewniały doskonałe zbliżenia, szczególną uwagę poświęcając Justinowi, Kuradinowi i doktorowi Waithowi.

W odległości sześćdziesięciu jardów od samolotu zatrzymały się, jedna za drugą, trzy limuzyny.

Sto jardów dalej, przed sowieckim samolotem, również zaparkowały ustawione w jednej linii samochody. Rosjanie jeszcze się nie pokazali.

Doktor Waith i Justin stanęli z boku, w odległości kilkunastu jardów od innych. Kuradin wsiadł razem z żandarmem do jednego z samochodów.

Waith rozejrzał się dookoła, żeby upewnić się, czy nikt ich nie usłyszy. Podniósł w górę lewą dłoń Justina i przyjrzał się widniejącej na niej cienkiej, prostej kresce.

- Ładnie się zagoiło - powiedział. - Masz jakieś problemy z posługiwaniem się tą dłonią?

- Żadnych, doktorze. To był kawał dobrej roboty - stwierdził Justin.

Waith uśmiechnął się.

- Orzeł przeszedł prawdziwe piekło - powiedział, spoglądając w stronę rosyjskiego samolotu. - Po potwierdzeniu tożsamości przyjrzyj się skórze za jego prawym uchem, żeby sprawdzić, czy nie ma śladów interwencji chirurgicznej. Z naszych namiarów wynika, że płytka jest wciąż na swoim miejscu. Ale przez sześć tygodni wszelki kontakt był niemożliwy. Musimy wiedzieć, czy w ciągu tego czasu nie zlokalizowali jej, nie usunęli i nie wszczepili z powrotem.Justin kiwnął głową.

- Wiesz, że jeżeli coś pójdzie nie tak i Orzeł nie zostanie nam przekazany, czeka go jeszcze gorsze piekło? - zapytał Waith.

Justin ponownie kiwnął głową.

- Wiem. To się nie zdarzy. Nie pozwolę na to.

- Mam nadzieję, że to rozumiesz.

- Nie martw się, doktorze. Rozumiem - zapewnił go Justin. Morsand podszedł do Pielgrzyma i stanął za nim, przyglądając się rosyjskiemu samolotowi.

- Mamy mniej więcej sto jardów do ich samochodów - powiedział. - W odsłoniętym terenie to całkiem długi spacer.

Nie musiał tego mówić Justinowi, który przyjrzał się już leżącemu przed nimi pasowi ziemi niczyjej. Gdyby doszło do strzelaniny, to miejsce nie zapewniało żadnej ochrony.

- Takie wymiany bywają nieraz zabawne - ciągnął Morsand. - Widziałem już różne rzeczy. Jeśli coś się stanie, kiedy znajdziecie się na pasie startowym, niech pan po prostu pada razem z Jarinem na ziemię. Niech pan nie próbuje uciekać, bo będziecie przykuci do siebie kajdankami, a wlokąc go za sobą, stanie się pan łatwym celem. I niech pan nie podnosi głowy.

- Będę wiedział, co robić - zapewnił go Justin.

- Wychodzą! - krzyknął Kodek, podnosząc do oczu lornetkę. Morsand i Justin przysunęli się do niego. Waith podszedł do samochodu, w którym siedział Kuradin.

- Kogo widzisz? - zapytał Morsand.

Waith i żandarm pomogli Kuradinowi wysiąść z samochodu. Kodek przyglądał się przez lornetkę ludziom pokazującym się w drzwiach rosyjskiego samolotu.

- Jest Jen tik... - mówił. - Widzę Szarkenkę... a to musi być Olgańska i... poczekaj chwilę... - Gwizdnął głośno. - To Krykow!

Anatol Krykow nie fatygował się z Moskwy dla byle kogo.

- Jesteś pewien, że to Krykow? - zapytał Morsand.

- Absolutnie.

Morsand obejrzał się na Justina.

- Może się pan odprężyć. Nie będzie żadnych problemów - powiedział.

Justin posłał mu pytające spojrzenie. Rosyjskie nazwiska nic mu nie mówiły.

- Mężczyzna, który schodzi teraz po schodkach, to Anatol Krykow. Pracuje bezpośrednio dla Leonida Trawkina. Fakt, że tu się zjawił, oznacza, że nie będzie żadnych niespodzianek - stwierdził.

- Dobrze wiedzieć - odparł Justin. Żadnych niespodzianek do czasu, zanim odkryją, że Kuradin nie ma wszczepionego mikrodotu, dodał w myśli.

- To musi być Limpoulous - zawołał Kodek. - Potężny facet, naprawdę potężny. Ma na rękach kajdanki.

Podał lornetkę Justinowi.

- Proszę, niech pan spojrzy.

Justin wziął lornetkę i podniósł ją do oczu, regulując ostrość. To był Pappy, bez dwóch zdań. Schodził powoli po schodkach, podtrzymywany przez Rosjan. Przykro go było oglądać w tym stanie.

- To on - powiedział, oddając po kilku sekundach lornetkę.

- W porządku, przygotujmy się - rzucił Morsand. Wyciągnął kajdanki, założył jedną obręcz na przegub Justina i dał mu klucz.

- Niech pan użyje go dopiero po potwierdzeniu identyfikacji - poinstruował Pielgrzyma.

Justin kiwnął głową.

Kiedy doprowadzono do nich Kuradina, rozpięto mu kajdanki i przykuto go do Justina.

- Jak będą gotowi, podniosą białą flagę. My zrobimy to samo. Minutę później podniosą czerwoną. Ruszy pan w ich stronę, gdy my podniesiemy naszą. Spotka się pan z nimi pośrodku drogi, dokona identyfikacji i przekaże Jarina. A potem jak najszybciej wróci - powiedział Morsand.

Justin kiwnął głową. „Jak najszybciej" było właściwym słowem.

Nerwy Kuradina były napięte jak postronki. Tylko sto jardów dzieliło go od sukcesu. Wydawało mu się, że nigdy ich nie pokona, choć rozegrał to wszystko po mistrzowsku. Został mu tylko jeden ruch, jeden ruch, po którym nastąpi szach-mat.

*

Richard Wyatt wszedł na oddział intensywnej terapii kliniki kardiologicznej Dialsa.

Doktor Becker Dials pochylał się nad Dymitrem Czachowskim.

- Jest już przytomny? – zapytał Wyatt.

- Półprzytomny.

- Szykują się do wymiany – powiedział Wyatt. – Czy pacjent może odpowiedzieć na jedno moje pytanie?

- Może pan spróbować – odparł Dials. – Wydaje mi się, że powinien pana słyszeć, ale nie wiem, czy zrozumie, o co pan go pyta. Myśli w tej chwili wyłącznie po rosyjsku i może być zbyt zamroczony, żeby pana rozumieć.

- Musimy spróbować – powiedział Wyatt. – Czy mamy tutaj bezpośrednią łączność z SENTINELEM? Mógłby tłumaczyć na rosyjski.

Dials podszedł do konsoli komputerowej SENTINELA i wcisnął biały guzik.

- Tak? – odezwał się cichy głos.

- SENTINEL, potrzebujemy pomocy językowej. Chodzi o tłumaczenie na rosyjski – powiedział Dials.

- Jestem gotów – odparł głos.

*

Po sowieckiej stronie ukazała się biała flaga. Kodek podniósł taką samą.

- Została nam jedna minuta - oznajmił Morsand.

*

Wyatt pochylił się nad łóżkiem, zbliżając usta do ucha Czachowskiego.

- Dymitr… Dymitr – odezwał się cicho.

Oczy Rosjanina otworzyły się, powieki zatrzepotały i pozostały lekko uchylone.

- SENTINEL, zapytaj go, czy słyszy i rozumie to, co się do niego mówi – polecił Wyatt.

SENTINEL przetłumaczył pytanie na rosyjski. Żadnej odpowiedzi.

- Głośniej – poprosił Wyatt. SENTINEL powtórzył pytanie głośniej. Czachowski kiwnął słabo głową.

- Dobrze. Dobrze – szepnął Wyatt. Wyjął z koperty fotografię Kuradina i przytrzymał ją przed twarzą Czachowskiego.

- SENTINEL, zapytaj go, czy rozpoznaje tego człowieka. SENTINEL przetłumaczył.

Czachowski kilkakrotnie zamrugał zasnutymi mgłą oczyma. – Więcej światła – rzucił Wyatt.

- Czy rozpoznajesz tego człowieka? – powtórzył po rosyjsku SENTINEL.

Czachowski spojrzał na fotografię i kiwnął głową.

*

- Czerwona flaga. Ruszajcie - powiedział Morsand.

Justin i Kuradin zaczęli się oddalać od stojących samochodów. Od linii Rosjan oderwali się Steve i eskortujący go mężczyzna. Steve szedł powoli, podtrzymywany przez Rosjanina.

- Zapytaj go, czy ten mężczyzna to Feniks - polecił Wyatt.

- Jezu Chryste - odezwał się Dials. - Ile jeszcze dowodów wam trzeba?

Słowa Dialsa i pytanie SENTINELA zabrzmiały równocześnie. Kuradin nie usłyszał pytania.

- Zamknij się pan - warknął Wyatt do Dialsa. - SENTINEL, zadaj pytanie jeszcze raz.

- Czy ten mężczyzna to Feniks? - powtórzył SENTINEL. Czachowski zamrugał i spojrzał ponownie na fotografię. SENTINEL powtórzył pytanie.

Czachowski potrząsnął przecząco głową. Nie.

*

Żółte światła i dzwonek alarmowy wytrąciły z równowagi wszystkich obecnych w centrum operacyjnym.

Honeycutowi serce o mało nie wyskoczyło z piersi. Zerwał się z krzesła i podbiegł do konsoli kontrolnej, żeby potwierdzić przyjęcie żółtego alarmu i wyłączyć przenikliwy dźwięk dzwonka.

*

- Kim jest ten człowiek? – zapytał z własnej inicjatywy SENTINEL.

Czachowski powiedział coś szeptem. Wyatt nie dosłyszał.

- To Centaur – przetłumaczył SENTINEL, który odebrał prawie niesłyszalny szept za pomocą specjalnych filtrów.

- Co nam możesz o nim powiedzieć? – zapytał SENTINEL. Czachowski znowu odpowiedział coś szeptem.

Tym razem słychać go było wyraźniej, ponieważ w oczekiwaniu na przekład SENTINELA w izolatce zapadła grobowa cisza.

- Ma fotograficzną pamięć – oznajmił SENTINEL. BIP!

BLIP! – odpowiedział Justin.

- Pielgrzym – odezwał się cichy głos SENTINELA. – Nie możesz dopuścić do wymiany. Dowiedzieliśmy się właśnie, że to nie Feniks. To fenomen pamięci, będący w stanie odtworzyć wszystko to,

co raz zobaczył. Jego kryptonim brzmi Centaur. Ma całą dokumentację w głowie. Musi zostać zneutralizowany. Konieczna jest również neutralizacja Orła.

Serce skoczyło Justinowi w piersi.

- Pielgrzym, potwierdź przyjęcie rozkazu – odezwał się SENTINEL. I po chwili znowu: - Pielgrzym, czy otrzymałeś rozkaz dotyczący Orła?BLIP! – potwierdził Justin.

Krew uderzyła mu do głowy. Nagle zaczęły go palić oczy. W głowie dudniły słowa: „konieczna jest również neutralizacja Orła… neutralizacja Orła".

To niemożliwe. Nie wydano w ogóle takiego rozkazu. To nie mogło dotyczyć Pappy'ego.

Serce waliło mu wściekle w piersi, kolana zmiękły nagle. Zwolnił kroku, próbując gorączkowo zebrać myśli.

*

- Czy możemy wyeliminować wszystkich trzech za pomocą ładunku wybuchowego zawartego w płytce? - zapytał Honeycut, zwracając się do Elizabeth Ryerson. - Czy to się uda, kiedy znajdą się blisko siebie?

Potrząsnęła głową.

- Nie sposób tego zagwarantować. Może się uda, ale osobiście mocno w to wątpię.

Do centrum operacyjnego wbiegł Wyatt.

Honeycut rozważał szybko stojące przed nim możliwości. Sprawę mogły załatwić laserowe baterie SENTINELA, ale w ten sposób ujawniliby posiadanie tej broni.

- Ile jeszcze zostało Centaurowi? - zapytał.

- Mniej więcej czterdzieści osiem godzin - odpowiedziała Elizabeth, mając na myśli czas, jaki pozostał Centaurowi do śmierci. Bez wiedzy Dialsa podano mu D-83. Rosjanie nie powinni mieć z niego po wymianie wielkiego pożytku.

- Za długo - stwierdził Wyatt. - Przesłuchanie w tak ważnej sprawie zacznie się natychmiast po wejściu Centaura na pokład samolotu.

- Możemy zestrzelić ich z laserowej baterii zaraz po starcie - powiedział Honeycut.

- To też nic nie da - wtrącił Wyatt. - Mają przecież czarną skrzynkę. Jeśli Centaur zdąży przekazać im podstawowe informacje, będą górą.

- W takim razie to musi stać się już teraz - powiedział Honeycut. - Wszystko jest w rękach Pielgrzyma.

*

Justin wciąż gorączkowo analizował sytuację. Logika podpowiadała mu, żeby się zatrzymać, wyeliminować Steve'a, a potem wycofać za linię samochodów, posługując się Centaurem jako tarczą.

Ale to był Steve, a nie jakaś anonimowa postać. Nie mógł tego zrobić.

Poza tym na odsłoniętym pasie startowym i tak nie miał zbyt wielkich szans. Postanowił, że będzie się starał odzyskać Steve'a żywego. Przynajmniej spróbuje. Tyle był mu winien.

Szedł dalej, nie przestając się nad tym zastanawiać.

Zobaczył, że eskortujący Orła Rosjanin niesie przerzucony przez ramię długi trencz. Wiedział, że znajduje się w nim kuloodporna kamizelka, która ma chronić Centaura po dokonaniu wymiany. Pozostawał tylko strzał w głowę.

Colt nastawiony był na dwadzieścia pięć jardów. Ale śmiertelny strzał można było prawdopodobnie oddać nawet z odległości trzydziestu pięciu.

Kuradin obrócił głowę i przyjrzał się Justinowi. Widział malujące się na jego twarzy napięcie. Zostało jeszcze tylko parę kroków. Obie grupki spotkały się pośrodku pasa.

Steve podniósł z trudem wzrok. W jego oczach pojawiło się niedowierzanie.

- Justin? – odezwał się chrapliwym głosem.

- Wszystko w porządku, Pappy. Zabieram cię do domu – odparł Pielgrzym. Razem z konwojentem uwolnił Orła z kajdanek, po czym wyciągnął rękę, żeby go podeprzeć.

Kuradin dał krok do przodu, a potem odwrócił się z powrotem do Justina. Ich oczy spotkały się.

Pielgrzym zobaczył w spojrzeniu Rosjanina coś, czego nie widział tam wcześniej. Była to radość z odniesionego zwycięstwa.

Odniesionego nie tylko teraz, tutaj, ale również wcześniej, w Anglii. Tamtego marcowego dnia przegrał Justin.

Kuradin natomiast zobaczył ukrytą w oczach Justina groźbę. Tak naprawdę wcale go to nie zaskoczyło, niepokoiło go tylko, że pojawiła się właśnie teraz – zamiast spodziewanego triumfu.

Wyciągnął dłoń.

- Żegnaj, kolego – powiedział. – I jeszcze raz dziękuję. Justin wpatrywał się w niego chłodno. Wyciągnięta ręka opadła z powrotem.

- Nadejdzie kiedyś dzień, kiedy tacy jak my przestaną być potrzebni – powiedział Kuradin. – Kiedy indziej mógłbyś zostać moim przyjacielem. Do widzenia, kolego.

Przez chwilę jeszcze patrzyli na siebie, a potem odwrócili się. Obie grupki zaczęły oddalać się w stronę swoich samochodów.

*

- Na co on czeka? - ryknął Honeycut.

Na ekranie widać było teraz obraz pasa startowego. Kamery SENTINELA przeszły na podczerwień i wszystkie postacie wyglądały jak czerwone plamy na błękitnym tle. Zła pogoda uniemożliwiła normalny podgląd.

- Nie zrobi tego - krzyknęła histerycznym głosem Elizabeth. - Uprzedzałam cię! - zawołała, potrząsając głową i pieniąc się ze złości. Kradli jej komputer, jej dziecko!

- Nie, Pielgrzym jest w porządku - stwierdził Wyatt. - Chce chyba uratować życie Orłowi.

- SENTINEL, przygotuj baterie laserowe - rozkazał Honeycut.

- Poczekaj - przerwał mu Wyatt. - Daj mu jeszcze kilka sekund.

- Baterie laserowe gotowe do oddania strzału - oznajmił SENTINEL.

Honeycut spojrzał na Wyatta.

- On to zrobi - powiedział Wyatt, kiwając kilka razy głową.

- SENTINEL, czekaj na rozkaz - rzucił Honeycut.

- Czekam.

*

- Co tutaj robisz, Justin? - zapytał Steve, kiedy szli powoli z powrotem.

- Nic nie mów. Możesz biec? Uda ci się dobiec do samochodów?

- Jasne - odparł Steve.

- Więc kiedy powiem „biegnij”, uciekaj - polecił mu Justin, sięgając pod kurtkę. Potem powiedział: - SENTINEL, chcę znać odległość między dwoma grupami. Podawaj co pięć jardów.

- Piętnaście jardów, Pielgrzym - odezwał się głos. - Dwadzieścia jardów.

Dłoń Justina zacisnęła się na rękojeści colta i wysunęła go z kabury. Wyciągnął rewolwer spod kurtki.

- Dwadzieścia pięć jardów.

- Co jest?! - krzyknął Morsand. - Co on robi?! - wrzasnął, wskazując na Justina.

- Biegnij! - krzyknął Pielgrzym, popychając Steve’a, żeby dać mu parę jardów przewagi.

Wszystkie oczy skupiły się na nim. Odwrócił się w stronę dwóch Rosjan.

- Centaur! - zawołał.

Kuradin zatrzymał się jak wryty na dźwięk swojego kryptonimu. Spojrzał na Justina, zdając sobie sprawę, że to już koniec. Colt tamtego mierzył prosto w jego głowę.

Przez sekundę wydawało się, że czas zatrzymał się w miejscu. A potem zagrzmiało magnum Justina.

Głowa Kuradina rozleciała się na kawałki niczym dynia, mózg trysnął z roztrzaskanej czaszki.

Justin rzucił się do ucieczki w tej samej chwili, kiedy rozległy się pierwsze strzały rosyjskich agentów. Już po dwóch krokach potknął się o Steve'a, który nie miał siły biec, i pchnięty przez niego od razu się wywrócił.

Padając poczuł, że jedna kula przebiła mu prawą stopę, a druga drasnęła tył głowy, tuż za prawym uchem, dokładnie tam, gdzie znajdowała się wszczepiona płytka.

Siła strzałów rzuciła go na twarz. Przeturlał się i zamarł w bezruchu.

Osłupiali Amerykanie zareagowali z opóźnieniem. Żaden z nich nie strzelił do rosyjskiego konwojenta, który podbiegł sprintem do Steve'a, złapał go pod pachy i używając jako osłony powlókł z powrotem w stronę rosyjskich samochodów.

Steve wierzgał słabo nogami, ale nie potrafił się uwolnić.

Głowę Justina wypełniały trzaski, wydawane przez zniszczoną płytkę. Paraliżujący ból nie pozwalał mu otworzyć oczu.

Wciąż trzymając w dłoni colta, obrócił się na brzuch i całą siłą woli zmusił się, żeby otworzyć powieki.

- Nie... nie... o Boże, nie... - krzyczał żałośnie Steve.

Justin obserwował jak przez mgłę jego daremne wysiłki, widział ręce, które Pappy wysuwał w błagalnym geście w jego stronę.

Oczy zaszły mu łzami z bólu.

Zneutralizuj Orła!

Te dwa słowa dudniły mu bez przerwy w głowie, głośniejsze od przeraźliwych trzasków. Czy to jego własny umysł wydawał ten rozkaz? Czy SENTINEL? Nie wiedział.

Zneutralizuj Orła!

Nadludzkim wysiłkiem woli opanował ból i uniósł w górę colta. Oparłszy kolbę na betonie, zacisnął mocno obie drżące ręce na rękojeści rewolweru. Skierował lufę w stronę rozmazanego ruchomego celu, celując w sam jego środek.

Od strony Rosjan ponownie rozległ się terkot wystrzałów.

Nacisnął spust.

Odrzuciło mu głowę do tyłu. Poczuł straszliwy ból w prawym oku i jego umysł wypełnił jaskrawy kalejdoskop barw.

Umilkły wszystkie dźwięki, a potem wszystkie kolory zlały się w czerń i zamarł w bezruchu.

Rozdział 34

W ciągu ubiegłych miesięcy prawie codziennie słyszałem głosy. Odzywają się tuż za moim oknem. Ale jestem stary i poruszam się bardzo powoli. Zanim dojdę do okna, nikogo już tam nie ma. Odchodzą pewnie zasmuceni i myślą, że ich nie usłyszałem albo o nich nie dbam. Gdyby tylko chcieli zaczekać trochę dłużej, żebym mógł przemówić do nich po raz ostatni, tak jak kiedyś, żebym mógł powiedzieć im, że nie muszą się niczego obawiać, że nasz czas jest bliski.

Ustęp 82 częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

- Platt zezwolił wreszcie na wszczęcie oficjalnego dochodzenia – poinformował swego asystenta Robert Morsand.

- Musi być nieźle wkurzony – stwierdził Kodek.

- Ha! Mam na tyłku ślady jego zębów. Ten wszarz Edgar zmył się stąd, kiedy tylko w powietrzu zaczął fruwać ołów. I zgadnij, kto został, żeby pozbierać łyżeczką od herbaty całe to szambo? Człowiek, na którego właśnie patrzysz. Nie zdziw się, jeśli niedługo sam zasiądziesz za tym biurkiem.

- Nie zrobią tego – powiedział stanowczo Kodek. – W jaki sposób, do diabła, mogłeś zapobiec temu, co się wydarzyło? To była dla ciebie taka sama niespodzianka, jak dla całej reszty.

- Na tym właśnie polega problem. Nie potrafię tego wyjaśnić. Kiedy rozmawiałem z Edgarem w samolocie, utrzymywał, że Departament Stanu bierze odpowiedzialność za wszystko. A teraz

zwalają to na mnie. Nie dlatego, że to moja wina, ale dlatego, że stałem tam jak ten głupi sukinsyn, trzymając palec w dupie i nie znając odpowiedzi na żadne pytanie.

- Cztery trupy: Chaple, Limpoulous, Jarin i sowiecki konwojent. A my nie oddaliśmy ani jednego strzału. Nie licząc oczywiście Chaple'a. Lepiej byłoby, żeby rozpętała się tam prawdziwa strzelanina. Wtedy moglibyśmy zwalić wszystko na Sowietów. A w tej sytuacji to my ponosimy odpowiedzialność za śmierć tych ludzi.

- Co teraz będzie? – zapytał Kodek.

- Zajmiemy się ustalaniem, co się naprawdę stało i dlaczego. Zrobimy to po swojemu. Nie obchodzi mnie, kto będzie się wtrącał. Stawką jest teraz moja własna posada i możesz się założyć, że tym razem poznam odpowiedzi na wszystkie pytania.

*

Leonid Trawkin siedział w swoim gabinecie. Właśnie wrócił z posiedzenia Komitetu Centralnego.

Tak mało brakowało do szczęśliwego zakończenia. Centaura musiał wydać Dymitr Czachowski - to było jedyne wytłumaczenie, jakie mógł im przedstawić.

Trudno było opisać reakcję Komitetu. Porażka jest czymś, czego się nie wybacza. A on ponosił pełną odpowiedzialność za ucieczkę Czachowskiego i za fiasko, jakim zakończyła się próba zdobycia dokumentacji SENTINELA. Taka jest cena, jaką płaci się za władzę.

Spakował kilka osobistych drobiazgów z biurka, przy którym zaledwie dzień wcześniej, kiedy dotarły do niego pierwsze

wiadomości, opłakiwał śmierć swego przyjaciela, Aleksego Kuradina. Komitet wysłał go na przedłużony urlop, podczas którego miał się zastanowić, w jaki sposób ponownie dobrać się do dokumentacji SENTINELA. Osobiście jednak wątpił, czy kiedykolwiek zasiądzie jeszcze za biurkiem szefa KGB. W Związku Sowieckim los człowieka bywa kapryśny.

Rozpaczliwie potrzebował tego urlopu. Wydarzenia ubiegłych miesięcy sprawiły, że czuł się przygnębiony i całkowicie rozbity.

Wyparował już z niego gniew, który poczuł, słuchając bezpardonowych ataków ze strony członków Komitetu. Chciał zamknąć im wszystkim usta pytając, co uczyniliby postawieni na jego miejscu, i oskarżając ich o to, że sami pierwsi nie stworzyli komputera o podobnych do SENTINELA możliwościach. Przed kilkoma miesiącami, kiedy opowiedział im o tym komputerze i o tym, że być może uda się wykraść jego dokumentację, nie mieli żadnych propozycji, potrafili tylko w milczeniu słuchać, wierząc, że to on zdoła znaleźć właściwe rozwiązanie. Gdyby wszystko poszło po ich myśli, stałby się dzisiaj ich bohaterem. Ale nie udało się, i popadł w niełaskę.

Jakoś przeżyje to niepowodzenie. A to, czy uda mu się zachować swoje stanowisko i związaną z nim odpowiedzialność, znaczyło dla niego w tej chwili bardzo mało.

Chciał teraz jedynie odsunąć od siebie świadomość porażki, odsunąć poczucie winy za śmierć przyjaciela i ponurą pewność, że SENTINEL jednak istnieje.

Chciał o tym wszystkim zapomnieć.Był pierwszy dzień grudnia.

Mały lear mknął bez wysiłku przez czyste, błękitne niebo. Na pokładzie znajdował się tylko jeden pasażer.

Mężczyzna siedział przy oknie z prawej strony, przyglądając się krajobrazowi Gór Skalistych. Samolot przechylił się ostro na prawo, jakby pilot chciał mieć lepszy widok na zastygłe niżej w bezruchu piękno natury.

Pasażer zaciskał w lewej dłoni leżącą na kolanach laskę. Prawa z roztargnieniem dotknęła opaski na brakującym prawym oku. Wciąż jeszcze go bolało.

Patrzył na nie kończące się ośnieżone szczyty, zastanawiając się, w którym z nich kryje się SENTINEL.

Samolot zaczął szybko tracić wysokość, kierując się w stronę Kolorado. Mężczyzna został ponownie wezwany przez SENTINELA. Wezwany do Sigmy.

*

Irwin Honeycut stał razem z doktor Elizabeth Ryerson w centrum kontrolnym Sigmy, patrząc na sunący powoli po ekranie monitora punkt. Wskazywał pozycję samolotu na planie stanu Kolorado. Od lądowania na prywatnym lotnisku dzieliły go tylko minuty.

- Będzie tutaj za niespełna godzinę – powiedział Honeycut. Elizabeth nie odpowiedziała. Kiedy przyglądała się poruszającej się po mapie kropce, na jej twarzy widniało dziwne napięcie.

- Niewiarygodny facet, najskromniej mówiąc – stwierdził Honeycut głosem niewiele silniejszym od szeptu.

- W tym człowieku jest więcej życia niż w kocie – przyznała Elizabeth. – Ale sprowadzanie go tutaj nic nam nie da – dodała.

- Wie, gdzie jest dziennik – odparł Honeycut. – Priest nadał do niego list, lecz Gemini nie zdołał go odnaleźć. Musi mieć gdzieś skrytkę pocztową. Założę się, że znajdziemy tam również dwudziestą piątą stronę.

- Nie wiemy, czy Priest coś mu wysłał – przerwała Honeycutowi. – Ten dziennik nigdy nie zostanie odnaleziony. Powinniśmy zająć się Pielgrzymem, kiedy dochodził do zdrowia w St Simon.

- On wie, gdzie to jest – powiedział Honeycut. – Chcę zamknąć tę sprawę raz na zawsze. Możemy to zrobić jedynie odzyskując dziennik.

- Myślisz, że uda ci się skłonić Pielgrzyma do wyjawienia miejsca, w którym ukryty jest dziennik? – zapytała ze sceptycyzmem.

- Może się nie uda. Ale tak czy owak, wkrótce go odzyskamy.

- Bez wszczepionej płytki jest dla nas podwójnie niebezpieczny. Jeśli nam się urwie, stracimy go na dobre – stwierdziła.

- To się nie zdarzy. Chciałbym go zatrzymać w agencji i wydaje mi się, że oferta, jaką mu złożę, zdoła go przekonać.

- Jesteś szalony. Nie będziesz mógł mu nigdy ufać.

- Nie masz racji – sprzeciwił się Honeycut. – On wie, gdzie jest dziennik, ale nie zna jego treści. Jeśli nie dowie się niczego więcej,

będziemy mieli szansę zatrzymania w naszych szeregach wyjątkowo utalentowanego agenta.

- Nie wiem, dlaczego uparłeś się, żeby zachować go przy życiu – powiedziała. – Jest jak dzikie zwierzę, które bierzesz do własnego domu. Karmisz je, opiekujesz się nim, uczysz miłości, a potem którejś nocy to zwierzę rozszarpuje ci gardło. Popełniasz błąd, Irv. Bardzo, bardzo duży błąd – odparła.

- Nie wydaje mi się. Ale jeśli okaże się, że masz rację, Rainmaker i Gemini są blisko.

- Co mu mogą zrobić? – zapytała Elizabeth.

- Rainmaker jest być może jedynym żyjącym człowiekiem, który potrafi zmierzyć się z Pielgrzymem na jego własnym terenie. A Gemini może być równie skuteczny, choć przy użyciu bardziej subtelnych środków – powiedział Honeycut. – Możemy mieć nad nim całkowitą kontrolę. Jestem pewien, że wszystko pójdzie dokładnie tak, jak zaplanowałem. Odzyskamy zarówno dziennik, jak i naszego najbardziej wartościowego agenta.

- Jestem przekonana Irv, że się mylisz. Mam tylko nadzieję, że nie będziesz musiał żałować swojej decyzji.

- To się jeszcze okaże, Beth. To się jeszcze okaże.

*

Lear dotknął miękko długiego pasa startowego. Pędząca po gładkim betonie czarna limuzyna okrążyła samolot i zatrzymała się jakieś trzydzieści stóp dalej.

Otworzyły się tylne drzwiczki i z samochodu wysiadł Rainmaker. Podszedł do leara. Metalowe schodki opadły w dół, drzwi otworzyły się i ukazał się w nich Justin.

Rainmaker podniósł wzrok, osłaniając oczy przed odbijającymi się od białego samolotu promieniami słońca. Justin wydawał się o piętnaście funtów lżejszy. Na wychudłej twarzy miał założoną ukośnie na prawe oko czarną opaskę. Oparł się ciężko na trzymanej w lewej ręce lasce i obrócił lekko głowę w prawo. Spojrzał na swego byłego partnera.

- Cześć, Smiley - odezwał się pogodnym głosem.

- Cześć, Pielgrzym - odparł Rainmaker z uśmiechem. Był to chyba pierwszy uśmiech, jaki Justin ujrzał od czasu, kiedy się poznali.

Nauczył się strzec ludzi, którzy nigdy się nie uśmiechają. W tym fachu oznaczało to na ogół, że są niebezpieczni.Zszedł kuśtykając po schodkach, trzymając w ręku błękitną lotniczą torbę.

- Pozwól, że to wezmę - zaoferował pomoc Rainmaker, sięgając po torbę.

- Dzięki - odparł Pielgrzym.

Rainmaker spojrzał na przepaskę na oku i dopiero teraz zauważył, że jego partner stracił również kawałek prawego ucha. Urwał go pocisk, który zadrasnął Justina w głowę. Zniszczenie neuronowych połączeń płytki spowodowało, że Pielgrzym nie słyszał na to ucho.

Podeszli powoli do samochodu. Justin kuśtykał, zarzucając lekko na zewnątrz prawą stopą.

- Jak twoja noga? - zapytał Rainmaker.

- Całkiem nieźle - odparł Justin. - Dwukrotnie ją operowali. Straciłem większość śródstopia i kawałek pięty. Ale Waith twierdzi, że jeżeli nauczę się właściwie stawiać zewnętrzny skraj stopy, będę mógł normalnie chodzić, nie kulejąc. Powiedział, że będę mógł nawet biegać. Nie mogę się doczekać, aż przestanie mnie boleć na tyle, żebym zaczął uprawiać jogging i odzyskiwać formę.

Mówił spokojnie, lecz w środku był cały spięty - niczym bliska pęknięcia cięciwa. Spędzone w samotności miesiące rekonwalescencji bardzo mu się dłużyły i wiele sobie przemyślał. Wciąż nie dawały mu spokoju pewne fakty, sprzeczne fragmenty informacji i rozbrajająca szczerość Honeycuta. W jego głowie pulsowało ostrzegawcze światełko.

- Dobrze, że mamy cię tu z powrotem - powiedział Rainmaker.

- Ja też się cieszę, że wróciłem - skłamał Justin.

*

Przesuwane drzwi otworzyły się, odsłaniając wnętrze centrum kontrolnego Sigmy. Justin utykając lekko wszedł do środka.

- Miło mi znów cię widzieć – powiedział ciepło Honeycut, ujmując jego prawą dłoń w obie ręce. – Jak się czujesz?

- Jak milion dolców prosto spod prasy drukarskiej: trochę sztywny i mało pogięty, ale mimo to całkiem zdatny do użytku – odparł z szerokim uśmiechem Justin.

- Zrzuciłeś zbyt wiele funtów – stwierdził Honeycut – ale przywrócimy cię szybko do formy.

Justin uśmiechnął się i rzucił okiem w stronę Elizabeth Ryerson. Jej ponura mina utwierdziła go w podejrzeniach.

- Cześć, Pielgrzym – powiedziała, wyginając usta w mało przekonującym uśmiechu. Stanęły jej przed oczyma erotyczne fantazje sprzed wielu miesięcy.

- Dzień dobry, doktor Ryerson. Ma pani tutaj wspaniałą siedzibę. O wiele bardziej imponującą niż Alpha – powiedział Justin.

Rozejrzał się po dużej owalnej Sali. Po prawej stronie drzwi znajdował się długi pulpit, ustawiony na podium, które obiegało prawie całą salę. Niebieska podłoga pośrodku Sali i przy wejściu była tego samego koloru co korytarz za drzwiami. Znajdowali się na Pokładzie Błękitnym, czyli na poziomie głównym, położonym głęboko w podziemiach kompleksu Sigmy.

Na zawieszonym za pulpitem wielkim ekranie z pleksiglasu widniała mapa świata.

Honeycut nie spuszczał wzroku z Justina, wpatrującego się z zaciekawieniem w ekran.

- Może opowiesz w skrócie Pielgrzymowi, co tutaj mamy – zwrócił się do Elizabeth.

Posłała mu piorunujące spojrzenie, ale po chwili znów uśmiechnęła się z przymusem.

- Z przyjemnością – odparła.

Razem z Justinem weszła na podium i stanęła za niskim pulpitem, z którego wyrastał istny las przełączników i przycisków.

- To stanowisko wewnętrznej kontroli bezpieczeństwa – zaczęła. – Możemy stąd kierować systemem obronnym na terenie całego kompleksu, który jest prawie trzy razy większy od tego, który widziałeś w Alphie. Możemy sterować nim ręcznie albo przełączyć na działanie automatyczne. Wtedy kontrolę nad całym kompleksem obejmuje SENTINEL – z wyjątkiem tej Sali. Nie ma tu żadnych urządzeń do wykrywania nieproszonych gości, bo nikt nie dostanie się tak daleko. Ekran z tyłu przedstawia mapę świata. Możemy na nim pokazać pozycje międzykontynentalnych pocisków, miejsca przebywania naszych agentów, a także lokalizację flot, sensorów, satelitów i wszelkich innych obiektów.

Nie schodząc z podwyższenia, podeszła do następnego pulpitu. Justin pokuśtykał w ślad za nią.

- To centrum dowodzenia. Podczas wojny zapewnia kontrolę nad wszystkimi systemami obronnymi. Ten czarny monitor służy do przedstawiania danych napływających z ponad tysiąca systemów jednocześnie.

Przeszli dalej, do kolejnej konsoli.

- Tu mieści się stanowisko kontroli satelitów i analizy dostarczanych przez sensory danych. Mówiąc obrazowo, to oczy i uszy, dzięki którym wiemy, co dzieje się na całym świecie. Z lewej strony mamy centrum komunikacyjne i stanowisko kontroli systemów służących podtrzymaniu życia w całym kompleksie. A z ostatniego pulpitu kontrolujemy jego zewnętrzne bezpieczeństwo. Uważam, że znajdujemy się w najlepiej strzeżonym obiekcie na całym świecie, nie

licząc oczywiście właściwej siedziby SENTINELA, która mieści się niedaleko stąd – podsumowała Elizabeth.

- Imponujące – stwierdził Justin. – Możecie kontrolować wszystko, nie ruszając się z tej Sali.

Podszedł z powrotem do stanowiska kontroli dowodzenia. Pośrodku dużego czerwonego przełącznika znajdowała się dziurka od klucza. Całość schowana była pod szkłem.

- A to co? – zapytał, pokazując przełącznik.

- To nasza polisa ubezpieczeniowa, o której opowiadałam ci w Alphie. Centralny wyłącznik.

Pokazała mu duży płaski klucz, zawieszony na łańcuszku u szyi.

- Ten klucz aktywizuje wyłącznik. Ma go również Pegaz i powinien mieć prezydent, jeśli znajdzie się na terenie kompleksu. Są tylko trzy klucze. Każdy został indywidualnie dostosowany do impedancji danej osoby. Nikt poza nimi nie zdoła uaktywnić wyłącznika, nie znając specyficznej sekwencji ułożeń klucza.

A więc naprawdę można to wyłączyć, pomyślał Justin.

- Bardzo interesujące – stwierdził.

- Miałeś długi lot – wtrącił się Honeycut. – Może pokażemy ci teraz, gdzie będziesz mógł wziąć prysznic i przez kilka godzin odpocząć. Kiedy się odprężysz i coś zjesz, przyjdę do ciebie, żeby przedyskutować pewne sprawy.

- Dobrze – zgodził się Justin.

Honeycut nacisnął przycisk umieszczony w ścianie przy drzwiach, tuż obok sprawdzającego kartę identyfikacyjną automatu. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł strażnik.

- Zaprowadź Pielgrzyma do jego tymczasowej kwatery – powiedział Honeycut.

Justin wsiadł razem ze strażnikiem do trójkołowego elektrycznego pojazdu, który przywiózł go tu poprzednio przez labirynt błękitnych i białych korytarzy.

Drzwi do centrum kontrolnego zamknęły się.

- Za bardzo go wtajemniczasz – powiedziała z pretensją Elizabeth.

- Wyłącznie ja będę decydował, w co go wtajemniczać – warknął Honeycut. – Zorientuję się lepiej, kiedy porozmawiam z nim na osobności.

*

Justin wziął prysznic, zdrzemnął się i zjadł najbardziej fantastycznego sandwicza, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mu się mieć w ustach. Potem rozejrzał się uważnie po pokoju, szukając ukrytych kamer.

Nie odkrył żadnych, ale wiedział, że gdzieś tu muszą być. Instynkt podpowiadał mu, że jego status niewiele różni się od statusu więźnia. Zaraz potem drzwi rozsunęły się i do środka wszedł Honeycut.

- Mam nadzieję, że dobrze wypocząłeś i dostałeś coś do jedzenia? - zapytał.

- Tak, dziękuję - odparł Justin.

- To dobrze. Jest kilka ważnych spraw, które chciałbym z tobą przedyskutować. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym zrobić to tutaj.

- Proszę bardzo.

- Po pierwsze, chciałbym ci powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu tego, co stało się ze Steve'em.

Justin poczuł, jak zalewa go nagła fala żalu i poczucia winy. Niepewność co do własnej sytuacji sprawiła, że dotąd odsuwał od siebie tę sprawę. Nagłe przypomnienie boleśnie go ukłuło.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego było to konieczne. Jeśli chcesz, możemy o tym porozmawiać - zaproponował Honeycut.

Justin potrząsnął głową.

- Nie trzeba... rozumiem - wymamrotał.

- To była jedna z najtrudniejszych rzeczy, o które można kogoś poprosić. Wiem, jak bardzo chciałeś ocalić Steve'owi życie. Żałuję, że ci się to nie udało - powiedział Honeycut.

- Podobnie jak ja - szepnął Justin.

- Czy poinformowano cię o tym, co się potem zdarzyło? - zapytał Honeycut.

- Nie - odparł Justin. - Wszyscy jakby nabrali wody w usta. Wiedziałem, że Steve zginął, a ja dostałem w oko rykoszetem. Przez cały czas, jaki spędziłem na St Simon, byłem trzymany w izolacji.

- Cóż, wszyscy postępowali zgodnie z dyrektywami. Chodziło o to, żebyś w pełni doszedł do siebie, zanim poznasz wszystkie fakty.

Obawiam się, że nie są one przyjemne - stwierdził prawie przepraszającym tonem Honeycut.

Justin przyjrzał mu się, lekko przechylając na bok głowę. Wciąż nie mógł się przyzwyczaić do posługiwania tylko jednym okiem. Czekał na ciąg dalszy.

- Twój strzał zabił Steve'a i rosyjskiego konwojenta, który starał się zaciągnąć go z powrotem do swoich. Kula trafiła Steve'a w gardło, przebiła je na wylot i ugodziła w pierś Rosjanina. Żył jeszcze przez dwadzieścia minut. Steve zmarł od razu, zupełnie bezboleśnie - dodał Honeycut, starając się zmniejszyć dręczące Pielgrzyma poczucie winy.

Skąd on, do jasnej cholery, może wiedzieć, czy ktoś umarł bezboleśnie? - pomyślał Justin. Skąd wie, co czuje ginący człowiek? Nie wyobrażał sobie, żeby jakikolwiek rodzaj śmierci mógł być bezbolesny. Niektóre były może „mniej bolesne" od innych, ale żaden nie był całkiem wolny od bólu.

- Po strzelaninie - ciągnął Honeycut - doktor Waith wyszedł po ciebie pod osłoną białej flagi. Stwierdził, że jeszcze żyjesz, ale głośno oświadczył, że zginąłeś. Nikt w to zresztą nie wątpił. Dwie rany głowy sprawiały wrażenie, jakby przestrzelono ci czaszkę na wylot. Potem razem ze zwłokami Steve'a zostałeś szybko załadowany na pokład samolotu i przewieziony z powrotem do Stanów.

Justin uświadomił sobie nagle, jaką to nieprzyjemną wiadomość ma mu do przekazania Honeycut. Zerwał się gwałtownie z krzesła. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

- Ja nie żyję! Wszyscy myślą, że nie żyję! Mój ojciec, Barbara, Susan i Michael! Wszyscy. Nie mylę się, prawda? - zapytał podniesionym głosem, z którego przebijały ból i wściekłość.

- Niestety nie - odparł Honeycut.

Justin usiadł powoli z powrotem i utkwił wzrok w podłodze. Wyobrażał sobie, co przeżyli jego ojciec i syn. Michael był prawdopodobnie wystarczająco dojrzały, żeby zdać sobie sprawę z nieuchronności śmierci. Pomyślał o Barbarze, westchnął głośno i podniósł dłonie do twarzy. Wnętrzności szarpał mu ciężki, mdlący ból. Chciało mu się płakać, nie nad sobą, ale nad ludźmi, których kochał i którym sprawił tyle bólu.

Potrząsnął głową, czując toczące się po lewym policzku łzy. Miał nie oglądać ich już nigdy w życiu. Nie potrafił się z tym pogodzić.

- Przekonanie wszystkich, że zginąłeś, było niezmiernie ważne - oświadczył Honeycut. - Musieliśmy to zrobić dla dobra agencji.

Justin znów zerwał się na nogi.

- Mam gdzieś dobro tej cholernej agencji! Oddałem jej dosyć! - ryknął. - I co otrzymałem w zamian? Z czym zostałem? Z jednym okiem, jednym uchem i jedną stopą. Zabrała mi wszystko!

- Nie, nie wszystko - odparł spokojnie Honeycut. - W gruncie rzeczy nie straciłeś niczego, czego nie można by przywrócić. Wkrótce po zakończeniu śledztwa twoja rodzina dowie się, że przeżyłeś. Zdecydowaliśmy, że tak będzie lepiej zarówno dla twojego, jak i dla ich dobra. Pomyśl, przez co musieliby przejść, gdybyś okryty hańbą

stanął przed sądem pod zarzutem morderstwa. Kiedy środki przekazu rozpętały wokół tej sprawy burzę, rząd Stanów Zjednoczonych publicznie potępił twoje postępowanie. Ale za rok wszystko zostanie zapomniane. Motywy, którymi się kierowałeś, nigdy nie zostaną ujawnione. A twoja rodzina będzie cię miała z powrotem, całego i zdrowego - dodał.

Justin oddychał ciężko, nie spuszczając z niego wzroku.

- Powiedziałem, że nie straciłeś niczego, czego nie można by przywrócić. Nie masz oka i nie słyszysz na prawe ucho. Jesteśmy w stanie przywrócić ci i jedno, i drugie - stwierdził Honeycut, przerywając dla większego efektu.

Justin posłał mu pytające spojrzenie.

- To prawda. Możemy ofiarować ci z powrotem oko i słuch w prawym uchu. Potrzebna nam jest tylko twoja zgoda.

Justin nie był w stanie wymówić ani słowa.

- Po usunięciu resztek oka zainstalowano ci w oczodole prowizoryczną sztuczną gałkę. Mięśnie odpowiedzialne za ruchy oka uda się odtworzyć. Po serii ćwiczeń będą poruszały gałką dokładnie tak samo, jak to robiły z okiem. Sztuczny organ będzie znacznie lepszy od naturalnego. Da ci możliwości, o których nawet ci się nie śniło, jak choćby zdolność widzenia w nocy i na dużą odległość. Prawe ucho będzie nadzwyczaj czułe, jego możliwości znacznie przekroczą zakres ludzkiego słuchu. Wystarczy powiedzieć „tak”, i wszystko to będzie twoje - kusił Honeycut.

Justin zastanawiał się.

- To oko... czy SENTINEL też będzie przez nie widział? - zapytał w końcu Justin.

- Tak - odparł Honeycut. - Kolejna ogromna korzyść.

Już wszczepiona płytka sprawiała, że Justin czuł się nieswojo. Pozbawiony był poczucia prywatności. Decyzja była trudna. Rozpaczliwie pragnął oglądać znowu świat dwojgiem oczu i odzyskać słuch w drugim uchu. Ale poświęcenie intymności było olbrzymią ceną. Wszystko, co zobaczy, wszystko, co usłyszy, będzie dzielił z maszyną. Będzie patrzył na Barbarę, będzie się z nią kochał - wspólnie z SENTINELEM. Nie potrafił się zdecydować.

Korzyści były oczywiste, ale cena, jaką musiałby zapłacić, bardzo wysoka.

- Są tylko dwa warunki - oświadczył Honeycut. - Po pierwsze musisz dalej pracować w terenie. Twoje wynagrodzenie nadal będzie wynosić tyle, ile zaoferowałem ci poprzednio. Jeśli sobie życzysz, nawet więcej.

Kolejny argument za tym, by przyjąć propozycję.

- Powiedział pan, że stawia dwa warunki. Jak brzmi drugi? - zapytał Justin.

- Jest całkiem prosty. Musisz zwrócić nam dziennik i dwudziestą piątą stronę.

Na twarzy Justina pojawił się rumieniec.

- Wiemy, że odnalazłeś dwudziestą piątą stronę w apartamencie Bridgesa - powiedział Honeycut. - Znamy jej treść. Wydział Drugi usunął taśmę z jego maszyny. Odbity był na niej cały tekst. Wiemy

także o bracie Spartanina, o książkach i o ultrafioletowej lampie, którą się posłużył. Na dzień przed wezwaniem cię na St Simon Priest wysłał do ciebie list. Naszym zdaniem dowiesz się z niego, gdzie ukryty jest dziennik. Chcemy, żebyś go nam zwrócił. Justin był zupełnie oszołomiony.

- Nie dostałem żadnego listu - powiedział.

- Czy możemy być wobec siebie zupełnie szczerzy? - zapytał Honeycut.

Justin po chwili zastanowienia kiwnął głową.

- Wiemy, że odwiedziłeś Priesta. Wiemy, że coś do ciebie wysłał. Wiemy także, że masz skrytkę pocztową. Dotychczas jej nie zlokalizowaliśmy i nie sądzę, żeby to się udało. Ale wiemy, że istnieje. Zwróć nam dwudziestą piątą stronę i pomóż zlokalizować odszyfrowany dziennik, a nigdy więcej nie powrócimy do tego tematu. Wszystko zostanie wybaczone.

- Mówi pan serio? - zapytał Justin.

- Tak - odparł Honeycut.

- Ten dziennik... zna pan połowę tego, co zawiera. Czy wtedy, kiedy rozmawialiśmy, mówił pan prawdę? Na temat infiltracji?

- Szczerą prawdę, przysięgam. Wciąż mamy ten sam problem, dokładnie tak, jak ci mówiłem. Nie udało mi się uzyskać dla ciebie specjalnego statusu przy prowadzeniu dochodzenia. A to oznacza, że odnalezienie naszego człowieka będzie o wiele trudniejsze. Nie wydaje nam się jednak, żeby dysponował w tej chwili środkami pozwalającymi na przejęcie kontroli. Wszczepiliśmy płytki wszystkim

osobom, które zatrudnione są w agencji bądź posiadają jakąkolwiek wiedzę na temat SENTINELA. Obejmuje to również prezydenta Stanów Zjednoczonych i cały jego komitet doradczy. To wyścig z czasem, ale wciąż mamy SENTINELA, i to decyduje o naszej przewadze. Jesteś najlepszym agentem, jakiego mam, Justinie. I jedyną poza Elizabeth Ryerson osobą, z którą ośmielam się na ten temat dyskutować, aby ocalić nasz program i uchronić cały kraj przed zagrożeniem.

Zapadła cisza. Honeycut cierpliwie czekał.

- Mam do pana jeszcze jedno pytanie - przerwał w końcu milczenie Justin.

- Strzelaj.

- Dlaczego Ted Fanning zabił Spartanina?

Honeycut poczerwieniał. Pytanie zaskoczyło go. Wstał, zwężając oczy w szparki.

- Dlaczego uważasz, że to Fanning zabił Spartanina? - zapytał.

- To nieistotne. Ważne, że wiem. I pytam pana, dlaczego.

- Ted Fanning był dobrym agentem, lojalnym wobec programu i swego kraju. Działał, wykonując moje rozkazy - odparł Honeycut. - Dotarły do nas pewne informacje, że w kraju działa prężne ugrupowanie nazistowskie i że jego przedstawiciele zajmują poważne stanowiska w rządzie. Wiedzieliśmy również, że istnieje dokument, określający cele tego ruchu. Spartanin przeprowadził akcję specjalną i odzyskał dziennik, nie podporządkował się jednak instrukcjom. Powiedziano mu, żeby zwrócił dokument, nie zaznajamiając się z jego

zawartością. Ale on zaczął go tłumaczyć. To, że nie oddał dziennika, a także próby jego odczytania i wykorzystania zawartych w nim informacji stanowiło dla nas poważne zagrożenie. Z jego postępowania wynikało, że od początku nie zamierzał go zwrócić agencji. Zdradził w ten sposób swój kraj, najprawdopodobniej dla osiągnięcia jakichś osobistych korzyści. Możliwe nawet, że należał do tamtego ruchu albo był z nim w jakiś sposób związany. Postanowiłem wysłać po dziennik Fanninga. Resztę już znasz - zakończył Honeycut.

Justin siedział w milczeniu, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

Co mogło skłonić Spartanina do zatrzymania dziennika? Na pewno wiedział, że będzie go to kosztować życie. Nie mogło być mowy o osobistych korzyściach, Justin był o tym przekonany. I dlaczego zadał sobie tyle trudu, przepisując fragmenty dziennika do książek, które miał zabrać jego brat? Gdyby należał do ruchu, po prostu by go zniszczył.

Nie. Wyjaśnienie Honeycuta nie trzymało się kupy. Musiał się nad nim jeszcze zastanowić.

- To mnie satysfakcjonuje - skłamał. - Kiedy otrzymam swoje nowe oko? - zapytał.

Honeycut uśmiechnął się z ulgą.

- A kiedy dostaniemy dwudziestą piątą stronę i dziennik? - odpowiedział pytaniem.

- Muszę najpierw ustalić miejsce, w którym został ukryty - odparł Justin. - Naprawdę nie wiem, gdzie jest odszyfrowana przez

Priesta kopia. Ale wszystko znajduje się w przywiezionych przez niego z Anglii książkach.

- Chcemy i książki, i kopię - powiedział Honeycut.

- Kiedy tylko uznacie, że mogę bezpiecznie opuścić ośrodek, przekażę wam dwudziestą piątą stronę i list, który do mnie wysłał. Tylko ja mogę je odzyskać, w związku z czym informowanie was, gdzie są ukryte, mija się z celem.

Kupował sobie w ten sposób trochę czasu. Nie miał w tej chwili wszczepionej płytki. Jeśli go wypuszczą, wymknie się im z rąk.

Honeycut pomyślał, że jeśli Justin otrzyma sztuczne oko i urządzenie słuchowe, zanim wyruszy po informacje, nie będzie miał szansy ich przechytrzyć. Wierzył w jego szczere intencje, ale trochę ostrożności nigdy nie zawadzi.

- Twoja proteza będzie gotowa za jakieś dwa, trzy tygodnie - powiedział. - Miesiąc zajmą ci ćwiczenia dostosowawcze. Tyle chyba możemy poczekać. To przekona również infiltratora, że jest całkowicie bezpieczny. Czy mam w związku z tym uważać, że dobiliśmy targu? - zapytał.

- Oczywiście - odparł bez wahania Justin. Uścisnęli sobie ręce.

- Znaleźliśmy ci kwaterę poza kompleksem - oznajmił Honeycut. - Obawiałem się, że siedząc tutaj, czułbyś się jak w klatce. To uroczy mały domek położony na odludziu. Jestem pewien, że ci się spodoba. Jest jeszcze jedna niespodzianka, o której zapomniałem ci powiedzieć - dodał. - Sprawi, że jeszcze bardziej polubisz swoją nową

kwaterę. I przekonasz się, że naprawdę leży nam na sercu twoje dobro.

- Co to takiego? - zapytał Justin.

- Niech to pozostanie niespodzianką do samego końca - odparł, śmiejąc się, Honeycut.

Po południu limuzyna odwiozła Justina do jego nowego domu.

Honeycut miał rację. Kiedy samochód zatrzymał się przy wyludnionej drodze, miejsce wydało się Justinowi naprawdę urocze.

Wysiadł i pokuśtykał ścieżką, trzymając w ręku swoją niebieską lotniczą torbę. Włożył klucz do zamka, ale drzwi były już otwarte.

Przekręcił ostrożnie klamkę i pchnął drzwi do środka. Zatoczyły cichy łuk i zobaczył za nimi osobę, której obecności spodziewał się najmniej.

W hallu stała Barbara.

Rozdział 35

Boję się, że nie dożyję następnego dnia. Często myślałem o śmierci, od czasu kiedy oszukałem ją dawno temu w Berlinie. Okazywała mi do tej pory cierpliwość. Ale teraz nie chce czekać dłużej, a mnie jest już wszystko jedno. „Przygotujcie się, powiadam światu. Już niedługo wymierzona zostanie od dawna oczekiwana sprawiedliwość. Nikomu nie uda się przed nią umknąć. Historia świata zostanie napisana na nowo i raz na zawsze ustalona zostanie jego przyszłość. Zapomnieliście o przeszłości. Zbyt długo

korzystaliście z owoców niesłusznego zwycięstwa i poczucia fałszywej racji. Wyrównane zostaną wszystkie rachunki". Sieg Heill Sieg Heill Pozdrawiam duchy narodu. Duchy narodu żyją!

Ostatni ustęp częściowo odtworzonego *Dziennika Wolfa*

Na widok Barbary ogarnęły Justina sprzeczne uczucia: bezbrzeżna radość walczyła z głębokimi podejrzeniami.

Nie wiedział już, co sądzić o tym, co usłyszał od Honeycuta. Za każdym razem, kiedy ogarniały go podejrzenia i wątpliwości, Pegaz robił coś, co sprawiało, że czuł się nagle głupio na samą myśl, że mógł kiedykolwiek nie dowierzać temu człowiekowi.

Barbara była teraz w jego ramionach, zbyt wzruszona, żeby coś mówić. Z oczyma pełnymi łez przytulała mocno głowę do jego piersi. Obejmował ją, w ogóle się nie odzywając, bojąc się, że jeśli to zrobi, wszystko pryśnie jak sen.

- Och, Justin... Powiedzieli mi, że zginąłeś - wyszeptała łamiącym się od płaczu głosem.

- Cśśś... Jestem tu, Króliczku. Jestem tu - powiedział, obejmując ją jeszcze mocniej.

- Och, trzymaj mnie. Trzymaj. Nie puszczaj - błagała.

Po długiej chwili odchyliła się lekko do tyłu i spojrzała na niego. Jej dłonie powędrowały w górę i delikatnie dotknęły jego twarzy. Płakała ze szczęścia, że ma go z powrotem, i z żalu, z powodu tego wszystkiego, co mu się przydarzyło.

- Za każdym razem, kiedy mnie opuszczasz... - zaczęła i głos jej się załamał.

- Nic mi nie jest - powiedział cicho, przesuwając palcem po jej policzku, żeby zebrać łzę.

- Nigdy więcej, Justin. Nigdy więcej już mnie nie zostawiaj - powiedziała, tuląc ponownie głowę do jego piersi.

Musiał długo trzymać ją w objęciach, zanim poczuł, że jej napięcie słabnie. Przeszli powoli do salonu; Barbara trzymała go mocno, jakby był ostatnią deską ratunku.

- Jestem tutaj już od tygodnia - powiedziała, pociągając nosem. - Czekałam i przygotowywałam wszystko. Powiedzieli mi, jakich doznałeś kontuzji, ale dla mnie to nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, że żyjesz. Nie potrafisz sobie wyobrazić, co czułam, kiedy powiedzieli mi, że zginąłeś. Zatrzymało się wtedy całe moje życie - szepnęła i znowu zaczęła płakać. - Stanęło w miejscu.

- Ćśśś... już wszystko w porządku - uspokajał ją. Kiedy odzyskała nad sobą panowanie, powiedziała:

- Przyszli do mnie ludzie z Departamentu Stanu i poinformowali mnie, co się stało. Zadawali mi nie kończące się pytania, na które nie potrafiłam odpowiedzieć. Tego samego wieczoru podali wszystko w wiadomościach. Nie mogłam uwierzyć, że ty i Steve...

Usiedli na sofie. Barbara trzymała jego obie ręce.

- Jak się czuje mój ojciec? - zapytał. W jej oczach znowu pojawiły się łzy.

- Zniósł to bardzo źle - odparła.

- A Michael?

- Nie wydaje mi się, żeby w pełni rozumiał, co się stało. Tego dnia... nie mogę o tym myśleć, zbyt straszne jest przeżywanie tego na nowo, poruszanie tego, co we mnie umarło... Tego dnia, kiedy był pogrzeb, stałam na cmentarzu obok twojego ojca, próbując podtrzymać go na duchu. Michael sprawiał wrażenie, jakby nie bardzo wiedział, co się dzieje: dlaczego milczy jego matka, skąd wzięły się łzy twojego ojca i moje. Trumna nie została otwarta. Nie widząc ciebie, Michael chyba nie zdawał sobie sprawy, że to pogrzeb jego ojca. Kiedy ksiądz skończył przemawiać i ludzie zaczęli się rozchodzić, zapytał Susan, kiedy tato wróci do domu. Do tego momentu była silna, ale wtedy zupełnie się załamała. Widząc płaczącą matkę, Michael rozpłakał się także.

Po chwili milczenia podjęła:

- Ja stałam tam dalej razem z twoim ojcem. Nie mogliśmy zostawić ciebie samego, tak bardzo samotnego... - załkała. - Nie mogłam zmusić się do odejścia. Ten mały kawałek ziemi stanowił całe moje życie. Chciałam położyć się na ziemi, żeby być bliżej ciebie, żeby cię ogrzać, żeby ci powiedzieć, że jestem z tobą... - Nie mogła mówić dalej.

W jedynym oku Justina stanęły łzy. Tulił ją mocno, dopóki się nie uspokoiła.

- A potem, mniej więcej trzy tygodnie temu, przyszedł do mnie tamten facet. Powiedział, że wcale nie zginąłeś. Uderzyłam go i sklęłam za to, że jest taki okrutny. Ale on podszedł do telefonu i

wykręcił jakiś numer. Potem podał numer kodu i przekazał mi słuchawkę. Wtedy właśnie z tobą rozmawiałam.

Zaskoczyło to Justina. Nie rozmawiał wtedy z Barbarą, ale domyślał się, kto go zastąpił. SENTINEL. Postanowił, że nie będzie tego wyjaśniał.

- Czy mój ojciec wie? - zapytał, zmieniając temat.

- Nie. Ten człowiek powiedział, że przez następnych kilka miesięcy, do czasu kiedy zakończone zostanie dochodzenie, ja będę jedyną wtajemniczoną osobą. Poinformował mnie, że przez cały ten czas, kiedy wszyscy myśleli, że pracujesz dla American Mutual, wykonywałeś zadania na rzecz rządu. Powiedział, że zabiłeś Steve'a przypadkowo, próbując go uratować, i że to, co zdarzyło się tamtego dnia, miało olbrzymie znaczenie dla bezpieczeństwa całego kraju. Potem przygotowano wszystko, abym mogła tu do ciebie przyjechać. Rodzina myśli, że wyjechałam, żeby zapomnieć o całej sprawie. Nikt nie wie, gdzie jestem - zakończyła.

- Co to był za facet? - zapytał Justin.

- Powiedział, że nazywa się Frank Osborne - odparła. Justinowi nic to nazwisko nie mówiło.

- Jak wyglądał?

- Niższy od ciebie, z ciemnymi włosami i oczyma, i okrągłą, młodo wyglądającą twarzą. Był bardzo poważny.

Rainmaker, pomyślał Justin.

- Co jeszcze ci powiedział?

- Że spędzimy tu kilka miesięcy, aż zupełnie powrócisz do zdrowia. A potem będziemy mogli pojechać, gdzie tylko zechcemy. Że cały świat stoi przed nami otworem.

- Pod warunkiem, że Justin Chaple na zawsze pozostanie martwy - wtrącił.

- Tak długo, jak mogę być z tobą, nie obchodzi mnie to, czy ktoś wie, że żyjesz - powiedziała.

Wziął ją w ramiona i przytulił. Ale coś tutaj się nie zgadzało.

Tej nocy przeszkadzało mu uczucie, że jest obserwowany. Bardzo trudno było mu się skoncentrować na seksie z Barbarą. Wiedział, że cały dom jest najprawdopodobniej naszpikowany ukrytymi kamerami i aparaturą podsłuchową.Czuł, że jego doznania dzieli z nim wiele niewidzialnych oczu... oraz SENTINEL.

Barbara jednak traktowała go bardzo wyrozumiale i robiła wszystko, żeby go uspokoić i wprowadzić w odpowiedni nastrój. Była tu przecież, jak mówiła, żeby się nim opiekować.

W końcu poddał się jej czułym zabiegom.

Następne dni były dla niego bardzo trudne. Nie wiedział, czy może zaufać Honeycutowi. Nie wiedział, czy powinien przekazać mu informacje, czy też raczej poczekać do czasu, kiedy będzie mógł odzyskać dziennik i podjąć decyzję po zapoznaniu się z jego treścią.

Niepokoiła go również Elizabeth Ryerson. Za każdym razem, kiedy dochodził do wniosku, że powinien zaufać Honeycutowi, widział jej twarz i malujące się na niej napięcie. Coś tu nie pasowało.

Barbara bez przerwy była blisko niego. Bez przerwy go dotykała - trzymała za rękę albo za ramię, gładziła po włosach albo po policzku - jakby bała się, że znów go straci, tym razem na zawsze.

Trzeciego dnia Justinowi udało się wymknąć wczesnym rankiem z domu, kiedy Barbara jeszcze spała.

Spacerował po dużym, okolonym drzewami podwórku, wdychając chłodne rześkie powietrze Kolorado, i próbował uporządkować w głowie wszystkie fakty. Musiał podjąć decyzję, czy ma ufać Honeycutowi. Nie pozostało mu wiele czasu.

Szedł, kopiąc zdrową lewą nogą świeżo spadły śnieg. Prawa stopa nie dokuczała mu zbytnio, ale udawał, że chodzenie sprawia mu nadal dużą trudność. To mogło mu się później przydać.

Poza domem czuł się wolny, mniej ograniczony. Chodził prawie przez godzinę, zanim w prawym rogu podwórka odkrył schowany w niskich krzakach sensor.

Osadzony na ruchomej głowicy, tkwił nieruchomo w miejscu. Justin okrążył go łukiem. Sensor obrócił się w ślad za nim. To oznaczało, że został wyskalowany właśnie na niego. Czujniki były prawdopodobnie rozmieszczone na terenie całej posiadłości. Odnotowywały każdy jego ruch.

A potem uświadomił sobie, dlaczego sprowadzono tu Barbarę. Honeycut wiedział, że nigdy nie będzie chciał jej zostawić. Użyto jej w charakterze kotwicy, która miała trzymać go w tym domu.

Było to sprytne posunięcie. Bez Barbary i wszczepionej płytki łatwo mógłby umknąć. Ale gdyby ją zostawił, z pewnością posłużyliby się nią, żeby skłonić go do powrotu.

Wszedł do domu. Barbara właśnie wstawała.

- Cześć - powiedziała, dając mu całusa. - Wybieram się dzisiaj do sklepu, żeby kupić coś do jedzenia. Chcesz, żeby przywieźć ci coś specjalnego?

- Nie, dziękuję - odparł.

Po chwili zastanowienia zmienił jednak zdanie.

- Może przywiozłabyś mi trochę papieru - poprosił.

- Papieru? Jakiego papieru?

- Do pisania - wyjaśnił. - Dużo.

- Masz zamiar napisać książkę?

- Zawsze powtarzałaś, że chcesz, żebym zaczął coś pisać, prawda? Kiedyś trzeba w końcu zacząć. A tutaj mam doskonałe warunki. Spokój, wspaniała atmosfera. Wydaje mi się, że powinienem spróbować - powiedział.

Podeszła bliżej i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Bardzo się cieszę. Czas już, żebyś zaczął szukać nowego sposobu na życie.

Dwie godziny później wybrała się na zakupy. Pojechała srebrno-błękitną corvettą, którą zostawiono przy domu do ich użytku.

Justin wykorzystał jej nieobecność, żeby przenieść do piwnicy krzesło i małe biurko. Ustawił je dokładnie pod jaskrawą lampą.

- Jesteś pewien, że nie będzie ci wygodniej na górze? - zapytała Barbara po powrocie, gładząc go delikatnie po włosach.

- Nie, bardzo mi się tutaj podoba. Nie będę się tutaj rozpraszał. Na górze rzucałbym się pewnie na ciebie za każdym razem, kiedy przechodziłabyś obok. Poza tym nie chcę, żebyś to czytała, dopóki nie uznam, że nie jest już takie okropne - skłamał.

- Mogę ci przecież pomóc - zaprotestowała słabo.

- Zobaczysz to, kiedy będę gotów. Zgoda?

- Zgoda. Ale nie zostawiaj mnie zbyt długo samej na górze. Mogę poczuć się samotna, wyjechać z domu i poszukać szczęścia z jednym z tych facetów przy skrzyżowaniu z główną drogą - zażartowała.

Justin popatrzył na nią.

- Daj spokój, dzieciaku. Tylko żartowałam - powiedziała, widząc nagłą zmianę wyrazu jego twarzy.

- Jacyś ludzie pilnują skrzyżowania? Ilu?

- Dwóch - odparła zakłopotana.

- Mają jakiś samochód?

- Tak. Chyba impalę.

Impala. To oznaczało, że byli z agencji.

- Nie martw się - dodała. - Są tam od mojego przyjazdu. Pan Osborne powiedział, że wysłał ich tam, żeby nikogo tu nie wpuszczali.

Albo nie wypuszczali, pomyślał Justin. Uśmiechnął się, żeby dodać jej otuchy.

- Chodź, zjedzmy coś - zaproponowała. - Kupiłam trochę wspaniałego zimnego rostbefu i dwie sałatki. Możesz zacząć zaraz po lunchu... i po igraszkach na sianie - powiedziała, puszczając do niego oko.

Justin skończył pisać dopiero późnym wieczorem, zrobiwszy sobie tylko krótką przerwę na kolację. Zamknął drzwi do piwnicy i schował klucz do kieszeni. Ale do tych drzwi pasował prawdopodobnie każdy klucz w domu. Jutro będzie je miał wszystkie w kieszeni.

- Wiesz, jak długo byłeś na dole? - zapytała z udaną irytacją Barbara.

- Za długo? - zdziwił się Justin.

- Nie możesz napisać książki w ciągu jednej nocy - stwierdziła. - Kilka razy korciło mnie, żeby zejść na dół i sprawdzić, czy nie masz tam jakiejś kobiety - zażartowała.

- Nie weszłabyś, drzwi były zamknięte od środka - powiedział.

- Wiem, sprawdzałam - uśmiechnęła się. - Jak się czujesz jako jednodniowy pisarz? - zapytała.

- Bardzo marnie - odparł. - Musiałem napisać pięćdziesiąt stron, żeby otrzymać osiem, które mi się spodobały.

- Tak właśnie wygląda pisanie - stwierdziła. - Nie sądzisz, że lepiej byłoby zrobić najpierw konspekt, a dopiero potem zaczynać? Taki plan mógłby ci wiele pomóc.

- Wiem dokładnie, co chcę napisać - powiedział. - Problem polega na znalezieniu odpowiednich słów.

- Jutro pojadę, żeby kupić książki, które powinny ci pomóc. Książki o tym, w jaki sposób używać przymiotników i przysłówków, książki na temat ortografii i stylu. Są również całkiem dobre prace o pisaniu powieści, sztuk i nowel - powiedziała. - A swoją drogą, co ty właściwie piszesz? Opowiadanie?

Rozszerzony raport, chciał odpowiedzieć. W ciągu tych kilku spędzonych na dole godzin zapisał prawie sześćdziesiąt stron, przedstawiając wszystko, co wydarzyło się od czasu incydentu ze Spartaninem w Anglii. Niepotrzebne były do tego zdolności twórcze, wyłącznie pamięć. I wcale nie obchodził go styl.

- Tak, opowiadanie - odparł.

- O czym? - zapytała.

- O facecie, który morduje dziewczynę, bo zadawała mu zbyt wiele pytań - powiedział groźnym tonem. Objęli się i przeszli do sypialni.

Przez następnych kilka dni prawie nie odchodził od biurka, ale wieczorem czwartego dnia raport był gotów.

Nastrój Barbary poprawił się, kiedy oznajmił, że zrobi sobie kilka dni przerwy.

Złapał ją potem raz, kiedy próbowała dostać się do piwnicy. Ale drzwi były zamknięte, a on miał teraz wszystkie klucze. Obrócił to w żart, twierdząc, że nie powinna oglądać jego pracy, dopóki jej nie skończy. Nie wiedziała, jak bardzo zależy mu na tym, żeby nigdy nie przeczytała ani jednego słowa z tego, co napisał.

W końcu jednak praca była skończona. Musiał teraz tylko podjąć decyzję, czy ma zaufać Honeycutowi.

*

- Nie jesteś jeszcze przekonany? – zapytała Elizabeth Ryerson, zwracając się do Honeycuta. – Pisał prawie przez pięć dni bez przerwy. Chcesz się założyć, czego dotyczy to dzieło? – zapytała złośliwie.

Honeycut milczał zamyślony.

- Nadal uważasz, że odda ci ten dziennik? – nie dawała za wygraną.

- Nie próbował uciec – odparł Honeycut.

- Wie o zainstalowanych wokół posiadłości czujnikach. Jednego prawie dotknął. Wie także o strażnikach pilnujących drogi. Musisz spojrzeć prawdzie w oczy, Irv. Pielgrzym jest niebezpiecznym człowiekiem. Za dużo wie.

- Nie wie jeszcze, co jest w dzienniku.

- Zgoda, tyle mogę ci przyznać. Ale wie, że zawiera coś bardzo ważnego. Będzie starał się go odnaleźć, wiesz, że to zrobi, jeśli damy mu najmniejszą szansę. A wtedy stanie się bardzo, bardzo niebezpieczny. Pamiętaj, że nie ma już wszczepionej płytki – przypomniała.

- Za tydzień będzie miał. Wciąż uważam, że prędka zgoda na wszczepienie sztucznego oka świadczy o jego szczerości – upierał się Honeycut.

- Kupuje po prostu czas, żeby wymyślić jakiś bezpieczny sposób wydostania się stamtąd razem z dziewczyną. Ucieknie nam, i to już wkrótce. A wtedy znajdziemy się w poważnych opałach.

Honeycut zastanawiał się w milczeniu. Zastrzeżenia Elizabeth już nie wydawały mu się takie absurdalne.

Mieli teraz w swoim posiadaniu cały dziennik, przepisany z książek Priesta. Pozostała tylko dobrze ukryta kopia, której wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nikt nigdy nie powinien odnaleźć.

- Wiem, w jaki sposób możemy sprawdzić twoją teorię – powiedziała nagle Elizabeth.

Honeycut podniósł wzrok.

- Sprowadźmy Pielgrzyma do Sigmy. Za parę dni będzie tu musiał i tak przyjechać na ostatnie badanie przed wszczepieniem nowego oka. Sprowadzimy go i w tym samym czasie wyślemy Rainmakera, żeby sprawdził, co on takiego wypisuje. Jeśli to nic groźnego, będziemy nadal postępować zgodnie z twoim planem, a ja przyznam ci rację. Musiałby być kompletnym głupcem, gdyby pozwolił sobie wszczepić płytkę, nie będąc wobec nas całkowicie lojalny – stwierdziła.

- A jeśli okaże się, że masz rację? – zapytał Honeycut.

- Wtedy Rainmaker poczeka w jego domu i wykończy go zaraz po powrocie – powiedziała Elizabeth.

Honeycut wciąż się zastanawiał. Uważał, że powinni odzyskać kopię, aby wykluczyć możliwość jej przypadkowego odnalezienia przez kogoś niepowołanego.

- Zgadzam się, ale z jedną małą korektą, na wypadek gdyby zdarzyło się coś niespodziewanego. Tak czy owak, powinnaś być zadowolona.

- W porządku, jeśli w ten sposób położymy kres całemu bałaganowi – odparła Elizabeth po chwili milczenia.

- Zrobimy to, mogę cię zapewnić.

*

Justin nieufnie przyjął nagłe wezwanie do Sigmy. Przed wyjazdem schował raport do szuflady i zamknął ją na klucz, który zabrał ze sobą. Drzwi piwnicy zostały ponownie zamknięte, Justin upewnił się także, czy ma przy sobie wszystkie domowe klucze.

Kiedy wsiadał do samochodu, Barbara przyglądała się z zatroskaniem. Tak bardzo chciała, żeby jak najszybciej wrócił. Za każdym razem, kiedy ją opuszczał, ocierał się niemal o śmierć. Nie potrafiłaby się pogodzić z jego ponowną utratą. Czekała z utęsknieniem, kiedy będą mogli osiedlić się gdzieś razem - prywatni ludzie w swoim własnym, prywatnym świecie.

*

Barbara przypięła do drzwi liścik do Justina, informując go, że wybiera się na zakupy i wróci za dwie godziny.

Kiedy corvetta oddaliła się na wystarczającą odległość, na prywatną, prowadzącą do domu drogę wjechała impala.

Rainmaker otworzył wytrychem drzwi do domu. Minutę później otworzył drzwi do piwnicy i zszedł na dół.

*

- To powinno wystarczyć. Wszystko jest w doskonałym stanie – oświadczył doktor Amos Kent, kończąc badanie. – Za dwa dni poddamy sztuczne oko ostatniemu testowi, a w przyszły poniedziałek będzie gotowe do implantacji.

- No i co ty na to? – zapytał Honeycut.

- Jestem zachwycony. Kiedy odzyskam słuch po prawej stronie? – zapytał Justin.

- Tego samego dnia – odparł Kent. – Zabieg będzie bardzo krótki, podobnie jak w przypadku wszczepu poprzedniej płytki. Tym razem jednak płytka przejmie funkcję słuchu. Nie jest wymagana żadna terapia, musimy tylko sprawdzić odczyty, żeby określić, w jakim dokładnie zakresie będziesz odbierał bodźce. Okay, to wszystko.

Pacjent podziękował mu i uścisnął dłoń.

Honeycut odprowadził Justina do stanowiska kontroli, z którego pod eskortą miał przejść z powrotem do limuzyny. Cieszyło go zainteresowanie nowym okiem, jakie okazywał Pielgrzym podczas badania.

Wiozący Justina trójkołowy wózek zniknął za zakrętem korytarza. Honeycut odwrócił się i skierował w stronę centrum kontrolnego, ale w tej samej chwili zobaczył podążającą ku niemu Elizabeth Ryerson.

Uśmiechała się jak kot, któremu właśnie udało się upolować kanarka.

*

W czasie jazdy z powrotem Justin zauważył, że posterunek przy głównej drodze zniknął. Może jego zachowanie podczas badania przekonało ich, że niczego nie knuje.

Wciąż miał jeszcze pięć dni, aby wybrać wolność. Powinien podjąć decyzję w ciągu najbliższych dwóch.

Wysadzono go przed samym domem. Przez chwilę obserwował, jak limuzyna zawraca i znika za zakrętem. Na drzwiach zobaczył liścik od Barbary.

Otworzył je, minął salon i jadalnię i wchodząc do kuchni ujrzał otwarte drzwi do piwnicy. Zastygł w bezruchu.

Powoli zaczął się cofać. W jadalni obrócił się i zatrzymał w miejscu.

Po drugiej stronie pokoju stał Rainmaker, uśmiechając się od ucha do ucha.

W lewej ręce miał gruby plik kartek, zawierających sporządzony przez Justina raport. W prawej trzymał pistolet.

- Tędy - odezwał się, wskazując Pielgrzymowi drogę do salonu. - Powoli.

Justin utykając spełnił jego polecenie.

- Tam - powiedział Rainmaker, wskazując hol prowadzący do głównej sypialni.

Pielgrzym obszedł go powoli.

Rainmaker stał teraz obrócony plecami do drzwi, mniej więcej w odległości czterech stóp od Justina.Justin przyjrzał się wymierzonej w

niego broni. Był to Mauzer HSc - jego własny mauzer. Rainmaker zauważył, że pistolet został rozpoznany.

- To taka mała ironia losu - stwierdził. - Pomyślałem, że może zechcesz się przekonać, jak wygląda to, co tyle razy spotykało z twojej ręki innych.

Jego słowa nie wywarły na Justinie większego wrażenia.

- Niegrzeczny z ciebie chłopiec, Pielgrzym - powiedział Rainmaker, unosząc w górę plik papierów. - Bardzo niegrzeczny.

- Popełnili duży błąd, przysyłając tylko ciebie - stwierdził Justin z groźnym uśmiechem.

Rainmaker poczuł się nagle zbity z tropu. Miał bezwzględną przewagę, ale tamten wciąż wydawał się nad nim górować. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Nie, Pielgrzym. To ty popełniłeś dzisiaj duży błąd. Nie jesteś jednak taki twardy.

W tej samej chwili drzwi za Rainmakerem otworzyły się i do środka weszła Barbara.

- Uwierzysz, że minęłam posterunek i... - słowa uwięzły jej w gardle, kiedy zobaczyła broń w ręku intruza.

Zaskoczony nagłym ruchem za plecami, Rainmaker obrócił instynktownie głowę. Natychmiast zdał sobie sprawę z własnego błędu, ale w tej samej chwili w powietrzu rozległ się świst zataczającej łuk laski.

Trafiony w środek czoła, osunął się na podłogę. Zanim uświadomił sobie, co się stało, laska ponownie opadła z trzaskiem w dół, trafiając go tym razem w prawą skroń.

W ułamku sekundy mauzer znalazł się w dłoni Justina. Znów panował nad sytuacją, znów miał w ręku władzę.

Barbara stała z otwartymi ustami, zasłaniając twarz dłońmi.

- Idź do samochodu - rzucił. - Już tutaj nie mieszkamy. Stała dalej wstrząśnięta, nie mogąc ruszyć się z miejsca.

- Czy posterunek przy głównej drodze jest obsadzony? - zapytał Justin.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Szybko! Do samochodu! Już! Ruszyła jak w transie w stronę drzwi.

Justin przeszedł szybko do sypialni i zabrał błękitną lotniczą torbę. Idąc wcale nie utykał.

Wrócił do salonu, zabrał notatki i wetknął je do torby, a potem podniósł z podłogi laskę i podszedł do nieprzytomnego Rainmakera.

Stanął nad nim okrakiem i pochylił się nisko. Wsadził mu głęboko w usta lufę mauzera i nacisnął spust.

- Drugi duży błąd, Smiley - powiedział. - Najpierw strzelaj, potem gadaj.

Obrócił się w stronę drzwi i zobaczył stojącą w progu, wpatrującą się w niego przerażonymi oczyma Barbarę.

Złapał ją mocno za ramię i wypchnął z domu.

Wsiedli do corvetty i ruszyli z piskiem opon wąską drogą. Posterunek na skrzyżowaniu nadal nie był obsadzony. Justin przycisnął gaz do dechy. Wszystkie decyzje zostały podjęte za niego. Pozostała mu tylko ucieczka.

*

- Trzeba być zawsze przygotowanym na wszelkie niespodzianki – powiedział Honeycut do spanikowanej Elizabeth Ryerson. Na jego twarzy również malowało się wyraźne zatroskanie.

- I po co to wszystko było? – zapytała go rozgoryczona. – Znaleźliśmy się teraz w poważnych kłopotach.

- W dalszym ciągu kontrolujemy sytuację – odparł z naciskiem Honeycut. – Pielgrzym wyruszy teraz po dziennik. Niedługo będzie po wszystkim. Dokładnie tak, jak powiedziałem. – W jego głosie słychać było jednak przygnębienie. Był rozczarowany, że nie udało mu się dojść do porozumienia z Justinem. Bardzo go lubił. Za bardzo.

*

Od chwili wyjazdu z domu Barbara pogrążona była w bolesnym milczeniu. Ani razu nie spojrzała w twarz Justinowi. Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. Nie zareagowała.

- Wypluj to z siebie - powiedział, cofając rękę. Po raz pierwszy od wyjazdu podniosła wzrok.

- Przed chwilą zastrzeliłeś człowieka. Tak, jakby to nic nie było. Przed chwilą go zastrzeliłeś - powtórzyła.

- On przyszedł, żeby nas zabić - stwierdził bezbarwnym głosem. - Gdybym tego nie zrobił, oboje bylibyśmy już martwi.

- Dlaczego? - domagała się odpowiedzi.

Wbił wzrok w ciągnącą się przed nimi wstęgę asfaltu.

- Czy przed Dieppe zabiłeś już kogoś? - zapytała. Justin milczał.

- Odpowiedz mi, do jasnej cholery! - krzyknęła.

- To nie ma nic do rzeczy - odparł.

- Owszem, ma - stwierdziła, odwracając się w jego stronę. - Czy zabiłeś kiedyś człowieka przed Dieppe? - powtórzyła z uporem.

- Tak - odparł, nie patrząc na nią.

- Och, mój Boże - jęknęła, chowając twarz w dłoniach. Justin prowadził w milczeniu.Po chwili otarła łzy wnętrzem dłoni i ponownie mu się przyjrzała.

- Ilu ludzi przed Dieppe? - spytała. Potrząsnął głową i posłał jej gniewne spojrzenie.

- Jezu Chryste, jakie to ma znaczenie? Wiesz chyba, co nam grozi. Chcą nas zabić. Ja próbuję nas ocalić. Muszę się skoncentrować na tym, co nas czeka, co jest przed nami - powiedział, wskazując pustą drogę.

- Ilu? - powtórzyła.

- Dlaczego to takie dla ciebie ważne?

- Chcę wiedzieć.

Zaciskając szczęki, patrzył zwężonymi oczyma prosto przed siebie.

- Ilu?

- Myślisz, że robię nacięcia na kolbie pistoletu, żeby nie stracić rachuby? Próbuję zapomnieć - odparł zirytowany.

- Więcej niż pięciu? - zapytała z napięciem w głosie.

- Tak - odparł przez zaciśnięte zęby.

- Więcej niż dziesięciu?

- Do jasnej cholery! Skończysz z tym wreszcie? - wrzasnął. - Jakie to ma znaczenie? Wciąż jestem sobą. Tym samym facetem, z którym rano się kochałaś, pamiętasz?

- Tylko częściowo - wyszeptała.

Zmierzył ją wściekłym wzrokiem. Nigdy dotąd tak na nią nie patrzył. Nie odzywała się potem przez kilka godzin.

Umysł Justina pracował gorączkowo. Z ulgą przyjął jej milczenie; mógł się dzięki temu spokojnie zastanowić, nie tracąc czasu na bezowocną dyskusję. Uznał, że najbezpieczniejszym środkiem lokomocji jest samochód. W samochodzie mógł do pewnego stopnia kontrolować sytuację. W samolocie byłby bezbronny, tak jak Centaur.

Do Nowego Jorku mieli szmat drogi; było mnóstwo miejsc, w których mogli się zaszyć. Ale najpierw musiał się pozbyć corvetty, która została im oddana do dyspozycji przez agencję i na pewno naszpikowana była elektroniką. Nie powinno to sprawić większych trudności.

O trzeciej w nocy zatrzymali się przy małej, czynnej całą dobę restauracji.

Justin zjadł z apetytem jajecznicę, ziemniaki i parówki. Barbara nawet nie dotknęła swojego talerza.

Siedział w miejscu, z którego miał dobry widok na samochód. Bez przerwy obserwował, czy nikt się do niego nie zbliża.

- Kocham cię, Justin... - powiedziała, sięgając przez stół i dotykając jego dłoni.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Przepraszam, że zachowywałam się w ten sposób - dodała.

- Nie przejmuj się - uspokoił ją. - Spróbuj coś zjeść. Nie będziemy się już nigdzie zatrzymywać.

- Dokąd jedziemy? - zapytała, łykając pierwszy kęs zimnej jajecznicy.

- Do domu.

- Dlaczego musimy uciekać?

- Mam coś, czego oni chcą. Albo przynajmniej wydaje im się, że mam - odpowiedział.

- Co to jest?

- Nie chciałbym ci tego mówić - powiedział, podnosząc wzrok znad talerza. - Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie.

- Dlaczego tego po prostu nie oddasz? Może zostawiliby nas wtedy w spokoju - powiedziała prawie błagalnym tonem.

- To już niemożliwe. Nigdy nie zostawią nas w spokoju. Zbyt głęboko w tym siedzę - odparł.

- Chciałabym zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi - westchnęła.

- Wierz mi, im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie - powtórzył. Skończyli jeść. Justin kupił trochę bułek i cygar. Musiał palić, żeby nie zasnąć podczas prowadzenia. Wyszli z restauracji.

Stężał cały, kiedy drogą przejechała impala. W środku siedzieli stary mężczyzna i kobieta. Poczuł, jak ogarnia go ulga.

- Co się stało? - zapytała Barbara.

- Nic - odparł, potrząsając głową. - Po prostu dostaję paranoi na widok każdej impali.

- Kocham cię, Justinie - powiedziała znowu, ujmując w obie ręce jego dłoń. Objął ją i przycisnął mocno do siebie.

- Co nas czeka? - zapytała.

- Dużo ruchu - odparł, kiedy weszli na parking. - Dużo ruchu i oglądania się za siebie.

Nikt nie zauważył, że wsiedli do innego samochodu. Maska była otwarta tylko przez minutę. A potem odjechali świeżo skradzionym camaro.

Zanim na nocnym niebie pokazał się brzask, Justin jeszcze raz się zatrzymał. W ciągu dziesięciu minut zaopatrzył się w nowe tablice rejestracyjne. Tablice skradzionego camaro zamontowane zostały na drugim samochodzie. Jego właściciel nie powinien zauważyć różnicy przez kilka dni albo tygodni.

Ruszyli dalej, w drogę do domu. Do domu? Nigdy już nie będą mogli nazwać żadnego miejsca swoim domem.

- Czy oni kiedykolwiek przestaną nas ścigać? - zapytała Barbara.

- Nie.Jej twarz przybrała bolesny wyraz. Ich szczęście tak nagle zmieniło się w koszmar.

Wczesnym rankiem, zaraz po wschodzie słońca, zatrzymali się na stacji benzynowej.

- Zatankujemy do pełna - powiedział Justin. - Możemy na razie używać moich kart kredytowych. Na tym etapie nie ma znaczenia, czy dowiedzą się, którędy podróżowaliśmy. Bardziej martwi mnie, co będzie za tydzień.

- Ja też mam karty kredytowe - powiedziała.

- Jeżeli ich użyjemy, znajdą nas równie łatwo. Potrzebujemy gotówki. Zostało mi tylko osiemdziesiąt dolarów. A tobie? - zapytał.

- Mam mnóstwo forsy - uśmiechnęła się. - Zanim przyjechałam do ciebie do Kolorado, podjęłam z banku trzy tysiące. Wydałam z tego tylko sto dolarów.

- To dobrze. Powinno nam to na jakiś czas wystarczyć. Później coś wymyślimy - powiedział.

- Wiem, że chcesz, abym wiedziała jak najmniej, ale czy nie mógłbyś powiedzieć mi przynajmniej, przed kim uciekamy? Czy to jakaś agencja rządowa?

Justin zastanawiał się przez chwilę.

- Nie, to nie rząd - odparł.

- W końcu nas zabiją, prawda?

- Tylko jeżeli damy im szansę. Nie pójdzie im to tak łatwo, jak myślą - powiedział.

Barbara oparła się o deskę rozdzielczą i dotknęła jego ramienia.

- To, co robimy, jest słuszne, prawda, Justinie? - zapytała.

- Bardziej, niż ci się wydaje - odparł cicho.

*

Camaro wjechał na parking przy motelu Arcola w Saddle Brook, New Jersey. Zdołali dotrzeć bezpiecznie aż tutaj, zatrzymując się tylko, żeby coś zjeść i zatankować.

Barbara zmieniała kilkakrotnie Justina za kierownicą, żeby mógł się zdrzemnąć. Uzyskali znakomity czas w jeździe i zdaniem Justina mieli dzień albo dwa w zapasie.

Justin wszedł do biura turystycznego i wynajął mały apartament z kuchenką. Przygotowując sobie sami posiłki, nie powinni rzucać się tak bardzo w oczy.

Milę dalej wstąpili do supermarketu i zaopatrzyli się we wszystko, co mogło być im potrzebne w ciągu kilku następnych dni. Kupili także trochę ubrań i innych niezbędnych rzeczy.

- Ostatni raz posługujemy się kartami kredytowymi – powiedział Justin. – Potem będziemy musieli płacić gotówką.

- Trzy tysiące nie starczą na długo – stwierdziła Barbara.

- Muszą – odparł Justin. – Większość pieniędzy przeznaczymy na nowy środek transportu. Nie możemy zbyt długo posługiwać się tym samochodem, a kolejna kradzież zwiększy ryzyko aresztowania.

- Więc co teraz zrobimy? – zapytała Barbara.

- Zjemy dobry lunch i poczekamy na złą pogodę – powiedział.

- Złą pogodę? – zdziwiła się.

- Potrzebuję tylko jednego deszczowego albo śnieżnego dnia – odparł.

SENTINEL nie mógł ich śledzić podczas złej pogody. Będą bezpieczni aż do chwili, kiedy odzyska dziennik. Wtedy rozpęta się prawdziwe piekło. Ale zła pogoda pomoże im również zatrzeć za sobą ślady.

Jakby na zamówienie, następny dzień był brzydki. Niebo zasnuło się chmurami i padał ulewny deszcz. Według meteorologów taka pogoda miała się utrzymywać przez co najmniej trzy dni.

Koło trzeciej po południu Justin ubrał się i włożył płaszcz.

- Dokąd jedziemy? – zapytała Barbara, sięgając po swój płaszcz.

- Tym razem jadę sam.

- Nie, Justinie. Chcę być razem z tobą – nalegała.

- Wszystko będzie dobrze. Nic mi nie grozi – powiedział. – Powinienem wrócić wieczorem. Gdybyś nie miała ode mnie wiadomości do rana, weź taksówkę i uciekaj stąd.

- Zabierz mnie ze sobą – poprosiła.

- Nie. Będziesz tutaj bardziej bezpieczna. Nie wiesz niczego, co może im zaszkodzić. Nawet tego, kim są.

- Proszę…

- Nie.

Objął ją i pocałował.

- Kocham cię – powiedział i przez dłuższą chwilę trzymał w ramionach.

Kiedy wyszedł, rozpłakała się.

*

Justin stanął z boku urzędu pocztowego, żeby przeczytać spokojnie otrzymany od Priesta list. Otworzył kopertę i przebiegł oczyma krótką wiadomość.

Panie Chaple.

Postanowiłem oddać panu dziennik. Przepisanie pozostałej części zajmie mi trzy dni ciągłej pracy. Odszyfrowanie zawartych w książkach fragmentów trwa bardzo długo.

Kiedy skończę, skontaktuję się z panem, aby ustalić warunki spotkania, podczas którego otrzyma pan przepisany w całości dziennik.

Dziękuję w imieniu moim i Billy'ego.

Jack Priest

Wbrew temu, czego spodziewał się Honeycut, list nie zawierał żadnej wzmianki na temat miejsca ukrycia dziennika. Justin był zdezorientowany i rozczarowany.

Zastanawiał się przez chwilę nad tym, co usłyszał od Priesta przez telefon.

„Zadzwoniłem, żeby o coś zapytać - mówił wtedy Priest. - Zastanawiałem się właśnie... skoro tak blisko przyjaźnił się pan z Billym, dlaczego nie odwiedził pan jego grobu?" - Pytanie zadane było drżącym, podenerwowanym głosem.

A potem odłożył słuchawkę.

Justin odtworzył wszystko jeszcze raz w pamięci, starając się niczego nie przeoczyć.

Nie! Priest nie odłożył tak po prostu słuchawki. Wyglądało to, jakby wypadła mu z ręki, a potem została odłożona. Nie wymienił poza tym jego nazwiska. I mówił o grobie...

To było to! Brat Billy'ego próbował mu przekazać, gdzie został ukryty dziennik.

Powiedział, że chodzi często na grób brata, żeby złożyć tam kwiaty - i prawdopodobnie ukryć odszyfrowane fragmenty dziennika.

Justin podszedł szybko do urzędniczki. Poprosił o zważenie papierów, które znalazł w apartamencie Bridgesa, a także spisanej niedawno relacji. Dowiedział się, ile będzie kosztowała przesyłka, dokupił trochę więcej znaczków i wyszedł z poczty.

Po drodze zatrzymał się i kupił dwie duże brązowe koperty i latarkę. Trzydzieści minut później jechał w stronę Hightstown, bezpiecznie skryty wśród tysięcy innych samochodów sieczonych marznącą mżawką i mokrym śniegiem.

Jazda do Hightstown zajęła mu więcej czasu, niż się spodziewał. Po zjeździe z New Jersey Turnpike źle skręcił na skrzyżowaniu, ale szybko naprawił swój błąd.

Ciemne chmury wisiały nisko nad ziemią. Jednym okiem nie widział zbyt dobrze w mroku. Zwolnił do paru mil na godzinę, szukając znajomych punktów orientacyjnych.

Na kolejnym skrzyżowaniu zatrzymał się i przyjrzał tabliczce z nazwą ulicy. Nazywała się Windsor-Perrinville Road - przypomniał sobie, że dom Priesta stoi przy niej ćwierć mili dalej.

Wiedział, że dalej nie ma już żadnych skrzyżowań. Aby dotrzeć na cmentarz, musiał skręcić w lewo. Brama była pół mili od skrzyżowania.

Zgasiwszy światła, skręcił w wąską alejkę, biegnącą jakieś sto jardów do miejsca, w którym rozgałęziała się w wydłużony owal. Objechał rondo i ustawił samochód przodem do wyjazdu, na wypadek gdyby trzeba było się stąd szybko wynosić.

Trzymając w ręku latarkę, wysiadł z samochodu i zaczął sprawdzać groby.

Dotarłszy do wielkich, pozbawionych liści drzew, poczuł, jak bardzo zmoczył go deszcz. Drzewa dawały pewną ochronę. Ich splątane gałęzie tłumiły też uderzenia wzmagającego się wiatru.

Znajdował się w odległości mniej więcej stu jardów od wieży. Na małym cmentarzyku nie było zbyt wielu grobów, ale paskudna pogoda utrudniała zadanie.

Ruszył dalej na prawo, posuwając się wzdłuż skraju cmentarza. Na grzbiecie łagodnego wzniesienia, mniej więcej na wysokości wieży, odnalazł pierwszy nagrobek.

Napis głosił, że leży tu doktor medycyny Jack Priest. Zmarł tego samego dnia, kiedy Justin został wezwany na St Simon. Wyjaśniła się sprawa upuszczonej słuchawki.

Oznaczało to, że Honeycut odtworzył już cały dziennik. Częściowo odszyfrowana kopia stanowiła teraz jedyny ocalały ślad.

Obok grobu Jacka odnalazł nagrobek Williama Priesta. Spartanina.

Dłonie i twarz zesztywniały mu z zimna. Zgasił latarkę, żeby zmniejszyć ryzyko ujawnienia, po czym uważnie obejrzał otoczenie grobu.

Przy podstawie nagrobka wystawała z ziemi kamienna waza, w której wciąż tkwił metalowy kubek z zeschniętymi brązowymi łodygami zostawionych tu jesienią kwiatów. Po kilku próbach Justinowi udało się go wyciągnąć. Był zbyt mały, by mogło zmieścić się w nim wiele kartek.

Włożył dłoń do wnętrza wazy. Zdrętwiałe palce z trudem poruszały się w lodowatej wodzie. Nic nie znalazł.

Rozejrzał się dookoła. Poza wazą nie było żadnego innego miejsca, w którym Priest mógłby szybko i niepostrzeżenie schować papiery.

Ukląkł na mokrej ziemi; pod kolanami zaszeleściły zeschłe źdźbła brązowej trawy. Objął oburącz wazę i zaparłszy się z całej siły, spróbował ją poruszyć. W końcu drgnęła. Po kilku dalszych szarpnięciach wydobył ją z ziemi.

Postawił wazę z boku i wsadził rękę do dziury. Była głęboka. Musiał wsunąć prawie całą rękę, zanim poczuł metalowy cylinder.

Wyciągnął go. Wiedział, że w takich cylindrach przechowuje się i sterylizuje szklane pincety. Zwinięte w środku kartki powinny być suche i w dobrym stanie.

Nagle usłyszał za plecami cichy szelest zmarzniętej trawy. Obrócił się na kolanach; w jego dłoni natychmiast pojawił się mauzer.

Wycie wiatru przerwały dwa suche trzaski wystrzałów.

Napastnik runął sztywno do tyłu i padł z głuchym odgłosem na ziemię.

Justin rozejrzał się, szukając wzrokiem kolejnych przeciwników. Szybko przebiegł otwarty teren, dzielący go od wieży. Ze szczytu pagórka powinien mieć dobry widok. Nie zobaczył nikogo.

W oddali paliły się światła w domu Priesta. Dom prawdopodobnie również był pod obserwacją. Wkrótce powinni nadejść.

Wrócił szybko do ciała i przyjrzał się martwej twarzy. Nie znał jej. Przeszukał szybko zwłoki, szukając znaków identyfikacyjnych agencji. Nie było żadnych. I żadnej broni.

Czyżby zareagował zbyt szybko i zabił niewinnego człowieka? Ale kto przy zdrowych zmysłach odwiedzałby cmentarz w taką noc jak ta? Gdyby ten facet był ścigającym go agentem, gryzłby już ziemię.

Wrócił na wzniesienie, na którym stała wieża, i obszedł ją dokoła. Pod drugiej stronie zobaczył świeży grób. Wciąż leżały na nim naręcza złożonych podczas pogrzebu kwiatów. Przeczytał napis na tabliczce. Leżało tu pięcioletnie dziecko, zmarłe zaledwie przed

siedmioma dniami. Obok znajdował się nagrobek pochowanej przed sześcioma miesiącami młodej matki.

Wrócił szybko do samochodu. Kiedy odjeżdżał, w jego umyśle pozostało tylko odległe wspomnienie tego, co zrobił.

Zatrzymał się przy pierwszej stacji przy płatnej autostradzie, zaparkował samochód i wszedł do kafeterii.

Kupił kawę i dwa pączki i zajął stolik w rogu. Miał stąd dobry widok na całą kafeterię i nie musiał się obawiać ataku z tyłu.

Zjadł jeden z pączków, a potem odkręcił gładką pokrywkę cylindra z nierdzewnej stali, wyciągnął zwinięty plik kartek i zaczął czytać.

Było tam łącznie około osiemdziesięciu kartek, zawierających sześćdziesiąt cztery fragmenty dziennika. Dokładnie tak, jak powiedział Priest. Kartki nie były ułożone po kolei: fragmenty początkowe przeplatały się z końcowymi i ze środka.

Wymowa dokumentu, nawet bez brakujących ustępów, była jednoznaczna. Treść odnalezionej w apartamencie Bridgesa dwudziestej piątej strony doskonale pasowała do przedstawionych w dzienniku faktów. Justin uzyskał wreszcie odpowiedź na dręczące go pytania.

Wyjął z niebieskiej lotniczej torby brązowe koperty i rozłożył na stoliku wszystkie papiery.

Sporządził krótką notatkę i po namyśle podzielił dokumenty na dwie grupy. Do pierwszej koperty włożył notatkę, dziennik, spisaną

przez siebie relację i dwudziestą piątą stronę. Pozostałe papiery, które znalazł w apartamencie Bridgesa, znalazły się w drugiej.

Zakleił koperty, zaadresował je i nalepił więcej niż trzeba znaczków. Wrzucił je do skrzynki pocztowej, po czym wsiadł do samochodu i ruszył w drogę powrotną do Barbary.

Nie pozostało mu już dużo więcej do zrobienia. Dalszy bieg sprawy nie zależał od niego; znajdzie się teraz w rękach kogoś, komu uda się być może znaleźć rozwiązanie.

*

- Wszystko stracone – oznajmiła z goryczą doktor Ryerson. – Pielgrzym zniknął. Twój plan spalił na panewce.

- Nieprawda – odparł Honeycut.

- Nie wiemy, gdzie się znajduje – rzuciła. – Odzyskał na pewno dziennik i może być teraz gdziekolwiek. Nie ma go od dziewięciu godzin. Nigdy już…

- Wróci po dziewczynę – stwierdził cicho Honeycut. W jego głosie brzmiała niezachwiana pewność. – A kiedy to zrobi, będziemy mieli w ręku i jego, i dziennik. Gemini ma wszystko przygotowane – dodał.

- Myliłeś się co do niego przez cały czas. Mówiłeś, że trzeba być gotowym na wszelkie niespodzianki. A co będzie, jeśli po nią nie wróci? Co wtedy?

- Wróci. Sprawa jest już prawie zakończona.

- Nie zawsze jesteś taki nieomylny, jak ci się wydaje, Irv – stwierdziła z przekąsem.

- Dlaczego po prostu nie zaczekamy trochę dłużej? – powiedział spokojnie Honeycut.

*

Rozległo się ciche pukanie. Barbara podbiegła do drzwi, przekręciła klucz w zamku i otworzyła. Kiedy Justin wszedł do środka, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Och, Justin! Tak się bałam - załkała.

- Wszystko w porządku - uspokoił ją.

- Zmarzłeś na kość - powiedziała. - Szybko przebierz się w coś suchego. - Zamknęła za nim drzwi. - Znalazłeś to? Masz to, czego szukałeś?

- Tak, znalazłem - odparł oschle.

- No i?

- No i co? - powtórzył.

- Gdzie to jest? - zapytała niecierpliwie.

- Nie mam tego przy sobie - odparł.

- Nie masz... nie rozumiem - wyjąkała, zbita z tropu.

- Znalazłem to, ale nie wziąłem ze sobą - wyjaśnił. - Przywożenie tego tutaj nie miałoby sensu.

- Więc gdzie to jest? - nalegała.

- Tam, gdzie przyniesie więcej pożytku - odparł. - To już nie nasz problem.

- Nie rozumiem - wyjąkała.

- Nie musisz rozumieć. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie.

- Niedobrze mi się robi, kiedy to słyszę - odparła ze złością. - Ja też tkwię w tym po uszy. Od tej chwili wszystko, co się stanie z tobą, spotka również mnie. Nie sądzisz, że zasługuję na to, żeby wiedzieć, dlaczego ktoś chce nas zabić?

Justin zaczął zdejmować mokre ubranie. Barbara obserwowała go z poczerwieniałą twarzą.

- Nie zamierzasz mi powiedzieć, prawda? - zapytała podenerwowana.

- Nie, nie zamierzam.

- Justin, ja...

- Przedstawiłem ci moje powody. I nie chcę do tego wracać - stwierdził kategorycznym tonem.

Przyglądała się z irytacją, jak wkłada suche rzeczy.

- Zrobię ci trochę ciepłej czekolady - powiedziała w końcu, kierując się w stronę małej kuchenki.

- Dzięki. O niczym innym nie marzę.

Kilka minut później podeszła do łóżka, niosąc dwie filiżanki gęstej, parującej czekolady. Wręczyła jedną z nich Justinowi, który położył się tymczasem do łóżka.

Pociągnął mały łyk, podmuchał i łyknął trochę więcej.

- O rany, tego mi było trzeba... Na dworze zimno jak w psiarni - stwierdził. - Jutro będziemy musieli stąd wyjechać.

- Dokąd? - zapytała.

- Jeszcze się nie zdecydowałem - odparł, tłumiąc ziewnięcie. - Boże, ale jestem zmordowany. Cała ta jazda dała mi nieźle w kość - dodał, pociągając kolejny łyk czekolady.

Jego twarz ogarnęła dziwna sztywność, prawie odrętwienie. Otworzył szeroko usta, żeby rozciągnąć mięśnie szczęki.

Ciążyła mu lewa powieka. Poczuł, że drżą mu nogi i ręce.

- Jezu - mruknął z wyrazem oszołomienia na twarzy. Barbara usiadła, obserwując go nerwowo.

Głowa opadła Justinowi w dół, ale po chwili wyprostował się, mało nie rozlewając czekolady.

- Niedobrze się czuję - powiedział prawie szeptem.

- Oddaj im dziennik, Justinie - odezwała się Barbara.

Justin potrząsnął głową, próbując zebrać myśli. Podniósł z trudem wzrok.

- Oddaj im dziennik, Justinie - powtórzyła.

Popatrzył na nią, a potem na filiżankę. Na jego twarzy pojawił się nagły błysk zrozumienia.

- Gdzie jest dziennik, Justinie? - zapytała, siadając obok niego na łóżku.

Filiżanka wypadła mu z dłoni, czekolada rozlała się na pościel. Opadł na poduszki i wpatrywał się w nią oszołomiony, odpływając powoli w sen.

- Ty... ty... - zabełkotał.

- Po prostu im go oddaj - poprosiła. - Nie rozumiesz tego? Pozwolą nam wtedy odejść. Powiedz mi tylko, gdzie jest dziennik. Justin... Justin... - powtórzyła, potrząsając nim, żeby nie zasnął.

Resztkami sił zamachnął się, trafiając ją prosto w policzek. Siła uderzenia zrzuciła ją z łóżka na podłogę.

Zerwała się szybko na nogi z oczyma pełnymi łez. Nie z powodu zadanego bólu, ale dlatego, że to zrobił.

Malująca się na jego twarzy nienawiść sprawiła, że nagle poczuła się bezbronna i straszliwie samotna.

- Jesteś takim głupcem! - krzyknęła. - Dlaczego nie dasz im tego, o co proszą? Czy nie wiesz, że nie ma innego wyjścia? To nasza jedyna realna szansa.

Justin próbował odpowiedzieć, ale z jego ust wydobywał się tylko bełkot.

- Nie zrozumiałeś jeszcze, że to jedyne wyjście? Że nic nie jest realne? - mówiła dalej. - Tak samo jak te twoje głupie dzwoneczki. Wszystko fabrykowane, było na twój użytek. Nic nie było realne. Wszystko udawane - podsumowała. Oczy miała mokre od łez.

Pokój zamieniał się w niewyraźną plamę, zamazywały się wszystkie kształty. Tylko światła i cienie. A potem czarny tunel. I żadnego dźwięku.

BLIP!

BIP!

- Tak, Gemini? - odezwał się głos SENTINELA.

- Słyszeliście wszystko? - zapytała Barbara.

- Tak.

Spojrzała na Justina, czując w sercu nieznośny ból. Po jej policzkach płynęły łzy.

- Możecie już po niego przyjść - powiedziała.Irwin Honeycut wszedł raźnym krokiem do centrum kontrolnego Sigmy i spojrzał na Elizabeth Ryerson. „Uprzedzałam cię", mówiła jej zgorzkniała mina.

- Daruj sobie - warknął, zanim zdążyła otworzyć usta.

- Wszystko stracone - odezwała się mimo to. - Dziennik, dwudziesta piąta strona, spisana przez niego relacja... wszystko. Gdybyś zneutralizował go, kiedy ci radziłam, nie doszłoby w ogóle do tej sytuacji. Nie dokończony przekład nigdy nie zostałby odnaleziony. A nawet gdyby to się stało, nikt nie zrozumiałby, o co w nim chodzi. Ale teraz... teraz połapie się w tym nawet uczeń podstawówki.

- Jest jeszcze szansa - oświadczył, bardziej z uporu i pychy niż z wewnętrznego przekonania. - Wszystko odzyskamy - dodał swoim najbardziej sugestywnym tonem. - Po prostu ukrył to gdzie indziej. Zmusimy go, żeby wyjawił miejsce kryjówki.

- Szansa... kryjówka... - powtórzyła Elizabeth, potrząsając głową. Dziwił ją jego niepoprawny optymizm. - Te materiały mogą być w tej chwili wszędzie... nawet na biurku prezydenta.

Honeycut wbił w nią rozgorączkowane oczy.

- I co z tego? Co może na to poradzić prezydent? Znajdujemy się w punkcie, w którym nic nie może już nam zaszkodzić. Sama o tym dobrze wiesz - stwierdził poirytowany.

- Masz rację, Irv. Ale możemy zetknąć się z większymi przeszkodami.

- Jakimi przeszkodami?

- Ze strony innych ludzi. Jeszcze za wcześnie - odparła Elizabeth.

- Ludzie nie ruszą nawet palcem.

- Zgadza się, nie ruszą. Ale to będzie wymagać odwołania się do „starych metod", których nie było w planie. Realizacja naszych celów może się wydłużyć o całe lata.

- Zawsze byliśmy przygotowani na tę możliwość - odparł Honeycut. - Tak czy owak, plan zostanie zrealizowany niezależnie od tego, czy odzyskamy dziennik. A jeśli Pielgrzym powie, gdzie go ukrył, być może nie zajdzie potrzeba odwoływania się do innych metod.

- Może komuś go przekazał - powiedziała. Honeycut spojrzał na nią ostro.

- To już nie ma znaczenia. Potrafimy zażegnać każde niebezpieczeństwo. Tym razem nie będziemy podejmować żadnego głupiego ryzyka.

Po raz pierwszy Honeycut przyznał, że w wyniku błędnej oceny podjął niepotrzebne ryzyko. Elizabeth nigdy dotąd nie słyszała, by przyznawał się do błędu.

- A co będzie, jeśli wysłał dokumenty do „Washington Post" albo „New York Timesa"? - zapytała. - Co wtedy zrobisz?

Honeycut roześmiał się.

- Uznają to z pewnością za kawał - skomentował. - Wątpię, żeby „Post” albo „Times” potraktowały to poważnie, nie uzyskując przedtem potwierdzenia z drugiej ręki. Nie będą znali nawet źródła informacji.

- W tych papierach jest wszystko - zaprotestowała Elizabeth. - Kiedy dowie się o tym opinia publiczna, rozpęta się istne piekło. W programie uczestniczy wielu ludzi. Jeśli uwierzy w to choć jeden z nich...

Uśmiech spełzł z twarzy Honeycuta.

- Mamy Pielgrzyma. Rozwiązana została przynajmniej ta sprawa. Nie może nam już więcej zaszkodzić. I nie mam wątpliwości, że powie nam, gdzie ukrył dziennik - powiedział z przekonaniem. - Jestem pewien, że w ten czy inny sposób potrafimy otworzyć mu usta.

Mimo tych stwierdzeń na jego twarzy ponownie pojawił się niepokój, ale Elizabeth nie powiedziała już ani słowa. Wyczuwała rosnącą w nim wewnętrzną desperację, wyczuwała, jak broniąc się przed nią, próbuje odnaleźć w sobie resztki optymizmu. Było jej go niemal żal.

*

Powolny powrót Justina do rzeczywistości wypełniały bolesne migawki ostatnich chwil z Barbarą. Wspomnienie jej zdrady paliło żywym ogniem.

Nic nie jest realne! Barbara, Ted, Pappy, agencja… nawet dzwoneczki. Nierealne… sfabrykowane na jego użytek.

Otworzył oko i rozejrzał się po pokoju. Znajdował się z powrotem w Sigmie.

Usiadł.

Krew pulsowała mu w głowie, bolało oko. Był chory i wewnętrznie obolały. Doszedł do kresu. Zapłacił najwyższą cenę.

Nagle ogarnął go spokój. Nie bał się czekającego go końca. Zrobił wszystko, co mógł, wszystko, na co go było stać. Czuł się dumny z tego, że wbrew wszelkim przeciwnościom nie zdradził siebie ani swoich przekonań. Było to przecież takie łatwe: wystarczyło odwrócić się i udać, że niczego się nie widzi – nie angażować się i pozostać bezpiecznym.

Spojrzał na datownik w swoim zegarku. Minęły już dwa dni. Potarł gęsty zarost na twarzy. Warto by się ogolić, ale po co? Najprawdopodobniej już nigdy się nie ogoli. Nigdy nie zrobi już wielu rzeczy.

Wyciągnął przed siebie ręce i spostrzegł, że są upstrzone ukłuciami po zastrzykach, którymi utrzymywano go w stanie nieświadomości. Wstał z łóżka i rozprostował zesztywniałe mięśnie, mając świadomość, że z pewnością jest obserwowany. Kamery musiały być dobrze ukryte, ale wiedział, że tu są. Przeszedł kuśtykając kilka kroków i rozejrzał się po pokoju. Jego laska leżała na małym stoliku w drugim końcu pokoju. Idąc po nią poczuł, że coś wypycha mu tylną kieszeń. Sięgnął do tyłu i wyciągnął portfel. W środku był gruby plik banknotów.

Barbara. Nowe ukłucie bólu.

Przeliczył je w milczeniu. Dwa tysiące sześćset dolarów. Zanim schował je z powrotem, wyciągnął otrzymaną od Honeycuta metalową kartę identyfikacyjną i podpierając się laską pokuśtykał w stronę przesuwanych drzwi.

Nacisnął przycisk.

Tak jak się spodziewał, nic się nie wydarzyło. Wsunął kartę w otwór. Nadal nic.

Wrócił do łóżka i usiadł na nim. Wyginając kilkakrotnie kartę w obie strony, złamał ją na pół. Przez dłuższą chwilę trzymał oba kawałki w dłoni, bacznie się w nie wpatrując.

Usłyszał nagle odgłos przesuwanych drzwi. Podniósł wzrok. Do środka weszli dwaj uzbrojeni strażnicy. Na korytarzu stali dwaj inni.

- Proszę z nami – oświadczył jeden z nich chłodnym tonem.

Justin wstał i wyszedł bez słowa na korytarz, chowając kawałki karty do kieszeni.

Po paru chwilach dwa elektryczne wózki zatrzymały się przed drzwiami centrum kontrolnego. Justin wysiadł, dwaj strażnicy stanęli tuż obok niego. Drzwi rozsunęły się i wprowadzono go pod eskortą do środka.

Czekali tam na niego Honeycut i Elizabeth Ryerson.

- Dziękuję. Możecie zostawić nas samych – zwrócił się Honeycut do strażników. Celował do Justina z jego własnego mauzera. Na zaczerwienionej twarzy malowała się prawie otwarta wrogość.

Cała trójka stała przez chwilę w niezręcznym milczeniu.

Justin rzucił okiem na Elizabeth. W jej oczach widniało zdenerwowanie, ale ulotniło się gdzieś dziwne napięcie, które widział w nich wcześniej. Była teraz zdecydowanie bardziej pewna siebie.

Honeycut podniósł w górę pistolet, po czym wyjął magazynek i wyrzucił z komory nabój, chcąc najwyraźniej zdobyć w ten sposób zaufanie Justina.

- Siadaj – powiedział, wskazując mu jedyne stojące pośrodku Sali krzesło.

Justin spełnił jego polecenie.

Honeycut wpatrywał się w niego w milczeniu. Justin nie spuszczał wzroku, czekając, aż tamten odezwie się pierwszy.

- Wiemy, że odnalazłeś dziennik – powiedział w końcu Pegaz. – Na pewno go przeczytałeś.

Justin milczał, patrząc mu prosto w oczy.

- Teraz powiesz nam, co z nim zrobiłeś – oświadczył kategorycznym tonem Honeycut.

Justin nadal milczał.

- Gdzie jest dziennik, Justinie? Wciąż żadnej odpowiedzi.

- Oszczędźmy sobie całego tego przedstawienia – powiedział Pegaz, kładąc przed sobą na pulpicie pistolet wraz z magazynkiem.

Dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

- Gdzie jest dziennik, Justinie? – powtórzył Honeycut.

- Ty wszystko wiesz najlepiej. Ty mi powiedz – odparł Justin. Honeycut zmarszczył brwi i potrząsnął głową, pocierając dłonią poczerwieniały kark.

- To może być łatwe albo trudne… dla nas obu. Nie chcę stosować wobec ciebie nieprzyjemnych środków perswazji. Ale jeśli nie pozostawisz nam innego wyjścia, posłużymy się wszelkimi niezbędnymi metodami, aby zmusić cię do powiedzenia tego, co chcemy wiedzieć – zagroził.

- To nie w twoim stylu, panie Colorosa – odparł Justin. Twarz Honeycuta poczerwieniała jeszcze bardziej. Rzucił Justinowi groźne spojrzenie.

- Wiem, że nietrudno było to zgadnąć – powiedział. – Ale te sprawy nie mają teraz znaczenia. Gdzie jest dziennik? – powtórzył ostro.

- Gdzie jest Barbara? – odpowiedział pytaniem Justin. Honeycut przez dłuższą chwilę patrzył na niego w milczeniu.

- Powierzono jej inne zadanie – odparł w końcu.

- Inne zadanie… – powtórzył Justin. – Jak długo brała w tym udział?

- Jeszcze zanim ją poznałeś – powiedział Honeycut. – Trochę ponad trzy lata.

- A Steve? On także wiedział o tym całym szambie, któremu nadaliście nazwę Operacji Raptor?

- Nie. Wie o tym bardzo mała liczba osób uczestniczących w programie.

- A prezydent? – zapytał Justin, Honeycut potrząsnął w odpowiedzi głową.

- Tajemnica jest dobrze strzeżona. Gdzie jest dziennik? – zapytał ponownie.

Żadnej odpowiedzi.

- To nic nie da – stwierdził Honeycut. – W żaden sposób nie uda ci się teraz powstrzymać Operacji Raptor. Nie powstrzyma jej nikt i nic. Odpowiadając na moje pytanie, ułatwisz tylko wszystkim życie. Nic nie wygrasz, odmawiając odpowiedzi.

Na wargach Justina pojawił się ironiczny uśmieszek.

- Nie wydaje mi się – powiedział.

- Ależ owszem, zapewniam cię, że to prawda. Plan jest w zbyt zaawansowanym stadium. Wstrzymanie jego realizacji jest absolutnie niemożliwe.

Justin nie przestawał się uśmiechać.

- Gdzie jest ten dziennik? – wrzasnęła bliska histerii Elizabeth. Nie potrafiła dłużej opanować furii, jaką wzbudzał w niej niewzruszony spokój Justina.

Justin rzucił jej chłodne spojrzenie, a potem odwrócił wzrok, jakby nie dostrzegał w ogóle jej obecności.

- Ty sukinsynu! – syknęła. – Powiesz nam, gdzie on jest, albo… albo…

- Dlaczego nie podejdziesz trochę bliżej? – uśmiechnął się Justin. – Mógłbym ci dać to, czego od dawna potrzebujesz.

- Gdzie jest dziennik? – ryknął Honeycut. Justin posłał mu wyzywające spojrzenie.

- Tam, gdzie wyrządzi wam najwięcej szkody – odparł. Elizabeth popatrzyła nerwowo na Honeycuta. „A widzisz! Uprzedzałam cię” – mówiły jej oczy.

- Postępujesz bardzo głupio – stwierdził Honeycut. – Powiedziałem ci już, że nikt w żaden sposób nie zdoła nam zaszkodzić. Nie oddając nam dziennika, sprowadzisz tylko na siebie i osobę, która go ma, duże nieprzyjemności. Powiedz nam, gdzie on jest. Jeśli powiesz to teraz, wyjdziesz stąd żywy. Masz na to moje słowo.

Żywy!

Na twarzy Elizabeth odmalowało się niedowierzanie. Chciała coś powiedzieć, ale uciszyła ją podniesiona dłoń Honeycuta.

- Spodziewasz się, że w to uwierzę? – zapytał Justin.

- Pozwolimy ci stąd swobodnie wyjść, obiecuję – odparł Honeycut. – Podejmiemy oczywiście odpowiednie środki zapobiegawcze, wszczepiając ci płytkę z ładunkiem wybuchowym. Damy ci również oko, które straciłeś. Dopóki będziesz zachowywał milczenie, pozwolimy ci prowadzić normalne życie. Pomożemy ci nawet zacząć wszystko od nowa, powiedzmy w Australii albo Nowej Zelandii. Wybór należy do ciebie.

- Normalne życie? – powtórzył z sarkazmem Justin. – W obliczu tego, co reprezentujecie? Nie będzie takiej rzeczy jak normalne życie.

- Nie jest tak, jak myślisz – powiedział z naciskiem Honeycut.

- Nie? Ty pieprzony komediancie!

- To będzie wyglądać zupełnie inaczej, Justinie. Posłuchaj, chcę wyjaśnić ci kilka spraw…

- Proszę bardzo. Czasu mi nie brakuje.

Honeycut zszedł z podwyższenia przy pulpicie i podszedł do Justina.

- Podstawowe zasady narodowego socjalizmu były dobre dla Niemiec. I okazałyby się dobre dla całego świata, gdyby nie błędy popełnione przy ich realizacji – zaczął. – Popełniono wiele błędów, wiele poważnych błędów. Z dzisiejszej perspektywy, po fakcie, łatwo ustalić, na czym polegały. Ale dlatego właśnie studiujemy historię, prawda? Żeby uczyć się na błędach. Uniknąć pomyłek popełnionych w przeszłości. Jednym z największych błędów był brak cierpliwości. Zamiast rozłożyć wszystko na sto lat, tak jak to uczyniliśmy w Operacji Raptor, Niemcy parli ślepo naprzód. Mieli oczywiście swój plan, ale był on szalenie krótkowzroczny. Nie potrafili wyjść poza tu i teraz, nie miał więc szans realizacji.

Zamilkł na chwilę, a potem mówił dalej:

- Przyszłość Trzeciej Rzeszy leżała w niemieckiej młodzieży, w członkach Hitlerjugend, ich dzieciach i wnukach. Stamtąd powinien był wyłonić się przywódca, zdolny zaprowadzić narodowy socjalizm w skali całego globu… Ale oni wplątali się w wojny na całym świecie. Dowodzili nimi nie dorastający do swoich stanowisk ignoranci, ludzie o nędznych, małych móżdżkach, którym władza uderzyła do głowy. Posługiwali się gwałtem i terrorem, żeby nawrócić na nową wiarę tych, którzy zbyt wolno przyjmowali ideologię

Nowego Porządku. Myśleli, że w ten sposób uda im się podbić cały świat. Z realizacją swych zamierzeń powinni byli zaczekać do chwili, kiedy dorośnie młode narodowosocjalistyczne pokolenie. Zamiast tego roztrwonili swoją młodzież na polach bitewnych, wygubili najlepszych. To jedna ze smutnych rzeczy, które przynosi każda wojna: giną w niej najlepsi i tracą wszystkie strony.

W utkwionych w Justinie oczach Honeycuta pojawił się smutek. Najlepsi umierają. Jak boleśnie potwierdzała się ta prawda.

- Wszystko to zakończyło się klęską – ciągnął. – W tym punkcie zaczyna się Operacja Raptor. Kontynuujemy cele ruchu, lecz bez udziału tych, którzy zadbali o to, żeby przetrwać. To wszystko są „starzy naziści", architekci „starej drogi". Nie interesują nas już ani oni, ani ich metody. Wszyscy naznaczeni są piętnem klęski. Nie potrafią pozbyć się błędnych przekonań, które doprowadziły do katastrofy. Największe nadzieje pokładamy w dzieciach generacji, której obce są gorzkie wspomnienia tego bolesnego okresu. Nowy narodowy socjalizm nie będzie w żaden sposób powiązany ze starym. Nigdy nie odejdzie od dyrektyw, które wyznaczyliśmy w Operacji Raptor.

Znów zamilkł na chwilę.

- Jak dowiedziałeś się z dziennika, ustanowiliśmy pięć centrów sterujących, w których miały się koncentrować nasze wysiłki. Każdy był potencjalną siedzibą nowego Reichu, nowego Vaterlandu. Ale w miarę upływu czasu okazało się, że niektóre z nich nie mogą spełnić swej roli. Zamknęliśmy je więc ze względu na bezpieczeństwo

pozostałych. Pierwszy zamknięty został ośrodek w Niemczech, potem w Argentynie i Afryce Południowej. Centrum hiszpańskie rozwiązane zostało ostatnie, dopiero w zeszłym roku. Być może przypominasz sobie z dziennika wzmiankę o Tytusie. Po śmierci Wolfa Tytusowi udało się przejąć dziennik. Starał się zdobyć władzę, ale nigdy nie miał najmniejszej szansy. Właśnie w trakcie przeprowadzanej przeciwko niemu akcji specjalnej Spartanin natrafił na dziennik.

- Kim był Wolf? – zapytał Justin.

- To nie ma już w tej chwili większego znaczenia – odparł Honeycut. – Któregoś dnia, kiedy Operacja Raptor zostanie zrealizowana, ludzie dowiedzą się, kim był naprawdę.

- Ludzie dowiedzą się? – powtórzył Justin. – Jacy ludzie? Ci, co przetrwają? Supermeni ludzkiej rasy? Niemcy? – zapytał z przekąsem.

- Aryjczycy – poprawił go Honeycut.

- Nadludzie – rzucił Justin. – To wszystko wierutne bzdury.

- Niezupełnie – sprzeciwił się Honeycut. – To wyjątkowa rasa, mimo wszystkich swoich wad. Wciąż zdolna do wniesienia wyjątkowego wkładu w rozwój gatunku ludzkiego. Dwukrotnie powstali przeciw całemu światu i dwukrotnie o mało nie udało im się zwyciężyć. Jeden mały naród przeciwko całemu światu. Nie możesz zaprzeczyć, że są wyjątkowi. Ich prężność nie ma sobie równej w ludzkiej historii.

- Podobnie jak popełnione przez nich ludobójstwa – przerwał mu Justin.

- Nie tylko oni je popełniali – stwierdził Honeycut. – Czy wiesz, że Rosjanie wymordowali prawie tyle samo swoich ziomków we własnych obozach śmierci? Nie piszą o tym w podręcznikach historii. Nie piszą o ich okrucieństwach na Łotwie, w Estonii i wielu innych krajach, ani o tym, co zrobili w Polsce, atakując od wschodu, podczas gdy Niemcy prowadziły ofensywę na zachodzie. Podręczniki historii nie podają, ilu ludzi zginęło podczas rewolucji bolszewickiej, podczas krwawego obejmowania władzy przez Stalina czy podczas czystek po jego śmierci. Te liczby „nie istnieją", choć są o wiele wyższe od pięćdziesięciu pięciu milionów, które przypisuje się nam, naszej wojnie. Ale któregoś dnia książki przedstawią prawdziwą historię…

- To, co mówisz, jest prawdopodobnie prawdą – przyznał Justin. – Nie zmienia to jednak faktu, że wasi ludzie w metodyczny i okrutny sposób wymordowali całe miliony. Życie ludzkie nie znaczyło dla nich więcej niż źdźbło trawy. Mordowano w imię rasowej czystości, aby zetrzeć podludzi z powierzchni ziemi i pozostawić tylko Aryjczyków.

W oczach Honeycuta zapaliły się iskierki wściekłości.

- Spójrz na Afrykę, na Amerykę Południową! Nie potrafią dotrzymać kroku reszcie świata. Czy możesz temu zaprzeczyć? Podobni im ludzie niszczą dzisiaj twój kraj swoją nieefektywną pracą i stylem życia. Pokazuje to jasno system opieki społecznej. Dławią gospodarkę. Dławią świat. A w Niemczech nie było żadnej opieki społecznej: wszyscy pracowali, wszyscy wnosili swój wkład.

- Zwłaszcza podludzie w niewolniczych obozach pracy – stwierdził kpiąco Justin.

- Stworzyliśmy je tylko dlatego, że nasze siły były poważnie nadwątlone przez wysiłek wojenny. Po opanowaniu Europy zaczęło brakować ludzi. Odnieśliśmy imponujące zwycięstwa, ale kosztowały nas one panowanie na morzach i w powietrzu, poważnie ograniczyły też nasze siły lądowe. Nie byliśmy w stanie efektywnie zaopatrywać naszych armii. Musieliśmy posłużyć się pracą niewolniczą, aby podtrzymać olbrzymi wysiłek gospodarczy potrzebny do utrzymania naszych nowych granic i aby móc skierować dodatkowych ludzi na front.

- A obozy śmierci? – zapytał Justin. – Jak zamierzasz je usprawiedliwić?

- Obozy koncentracyjne przekształciły się w obozy śmierci dopiero wtedy, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że wojna jest przegrana. Konieczne było zmniejszenie siły naszych przeciwników.

- Podludzi… – dodał zgryźliwie Justin. – Żydów, Czechów, Polaków i Rosjan… wszystkich tych, którzy nie urodzili się Aryjczykami.

Honeycut opuścił na chwilę wzrok, ale zaraz znów spojrzał na Justina.

- Próba totalnej eksterminacji była naszym najbardziej katastrofalnym błędem. Łatwo jest to stwierdzić po fakcie, wtedy jednak nie sposób było tego przewidzieć. Niemcy pogrążyli się w nienawiści, której dzisiaj żałujemy, ale wtedy wydawała się ona

istotnym motorem działania. Gdyby Żydzi zostali włączeni do naszego planu, gdyby wzięli w nim udział, można byłoby przeobrazić klęskę w zwycięstwo. Rasowa czystość i historyczna tożsamość Żydów mogłaby nam zapewnić legion lojalnych nazistów prawie w każdym kraju świata. Ich wiara, że są narodem wybranym przez Boga, nie różni się tak bardzo od przekonań Aryjczyków. Gdybyśmy to wykorzystali, szybko zidentyfikowaliby się z naszym ruchem. Stany Zjednoczone nie włączyłyby się do wojny, a może nawet w wyniku żydowskich wpływów przystąpiłyby do niej po naszej stronie. Nie wspominam już o innych korzyściach, jakich przysporzyłoby nam to na całym świecie.

- Nie można wymazać długich stuleci nienawiści – stwierdził Justin. – Żydzi byli przedmiotem wrogości w ciągu całej historii. Nie można powiedzieć ludziom, którzy nienawiść do nich wyssali z mlekiem matki, żeby nagle ich pokochali, zaakceptowali, dzielili z nimi wspólny los.

- Można to zrobić, jeśli wszystko się dokładnie zaplanuje – powiedział Honeycut. – Żydzi wcale się tak od nas nie różnią.

Justin wybuchnął śmiechem.

- Wcale się nie różnią? – zapytał, potrząsając głową. – Powiesz może, że są Aryjczykami?

- Spójrz na dzisiejszy Izrael – rzucił Honeycut. – Kraj zbudowany przez ocalałych niemieckich Żydów. Przyjrzyj się ich sile, ich odwadze. Czyż nie są podobni do nas? Są Żydami, to prawda, ale są również Niemcami.

- Aryjczykami! – zawołał ze śmiechem Justin.

- Tak, Aryjczykami – zgodził się Honeycut.

- Powiedz to sześciu milionom ludzi, których zabiliście. Przykro mi, chłopcy, wtedy tego nie wiedzieliśmy. Ale okazało się, że mimo wszystko jesteście Aryjczykami.

- Gdybyś zobaczył dzisiejszy Izrael, na pewno byś się ze mną zgodził – powiedział Honeycut.

- Chryste, ty naprawdę w to wszystko wierzysz, prawda? – zapytał Justin.

- Tak, wierzę.

- Są silni, zgadza się – zaczął Justin – ale nie dlatego, że płynie w nich aryjska krew. Chcą przetrwać. Nigdy już nie będzie obozów śmierci, w których Żydzi maszerowaliby jak barany do komór gazowych. Walczą o przetrwanie. I nie odwołują się do aryjskiego dziedzictwa, żeby podbić świat. Nie próbują zabić nikogo, kto mógłby się z nimi nie zgadzać.

- Czyżby? – uśmiechnął się Honeycut. – Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo się mylisz. Gdybyś wiedział, jakie ośrodki budują w wielkiej tajemnicy w swoim kraju.

- Chcą tylko bronić własnego kraju, nie dopuścić do kolejnego holocaustu, który mógłby spotkać ich dzieci. Dzieci są ich przyszłością. Budują ją, nie szczędząc krwi, potu i łez. Dzieci Izraela… – Justin przerwał nagle, spostrzegłszy, że to, co chce powiedzieć, zanadto przypomina argumentację przeciwnika. – Chodzi im tylko o przetrwanie – powiedział i umilkł.

- To, co mówisz, to niewątpliwie prawda – przyznał Honeycut. – Ale oni też mają swoje plany. Gdybyś je poznał, nie byłbyś taki pewien ich niewinności.

- A jak nazywasz to, co sam próbujesz zrealizować? Czym jest Operacja Raptor? – zapytał Justin.

- Dochodzimy dokładnie do punktu, o który mi chodziło – oświadczył Honeycut. – Operacja Raptor jest tym, czym mógłby stać się narodowy socjalizm, czym powinien się stać, gdyby we właściwy sposób spełnione zostały jego założenia. Jej celem jest uczynienie świata lepszym dla wszystkich żyjących na nim ludzi, stworzenie świata tak uporządkowanego i rozwiniętego, że trudno to sobie dziś wyobrazić. Dla dobra wszystkich ludzi – stwierdził z naciskiem.

- Dla wszystkich ludzi… – powtórzył zgryźliwie Justin. – Dla Żydów, Murzynów, dla opóźnionych w rozwoju, dla kalek i niepełnosprawnych?

- Żydzi są Aryjczykami. Zdaliśmy sobie teraz z tego sprawę. Już ci mówiłem – powiedział Honeycut.

- O Jezu! – roześmiał się Justin. – To istna komedia. Chorobliwa, pieprzona komedia. Przypuszczam, że i w żyłach czarnych płynie aryjska krew? – zapytał.

- Nie, oni stanowią wyjątek – odpowiedział twardo Honeycut.

- Wyjątek… Rozumiem. Przypuszczam, że zorganizuje się dla nich nowe obozy śmierci – powiedział Justin.

- Nie będzie żadnych obozów śmierci – odparł Honeycut. – Zostaną wykorzystani.

- Wykorzystani? Jako siła niewolnicza? Będą pracować w waszych fabrykach, uprawiać wasze pola albo ułatwiać Aryjczykom życie jako służba domowa? Czy taka ma być ich rola w planowanym przez was Nowym Porządku?

- Są silni – odparł Honeycut. – Przy zastosowaniu odpowiednich technik hodowlanych możliwe będzie uzyskanie w końcu zadowalającej aryjskiej dominanty. Lekka czarna domieszka jest nawet pożądana.

- A co z tymi, którzy już są czarni? Co się z nimi stanie? Co będzie z żółtymi i czerwonymi?

- Znajdzie się dla nich jakieś rozwiązanie.

- Rozwiązanie? Ostateczne rozwiązanie? – zapytał Justin.

- Rozwiązanie – powtórzył z uporem Honeycut.

- A ludzie opóźnieni w rozwoju i z innymi wadami wrodzonymi? Ludzie niepełnosprawni?

- Są bezużyteczni – oświadczył chłodno Honeycut. – W przyszłości nie będzie tego rodzaju wad. Potrafimy je wyeliminować.

- Wszelkie pomyłki natury po prostu po cichu się uprzątnie? Honeycut milczał, ale odpowiedź można było wyczytać w jego oczach.

- To się nigdy nie uda – powiedział Justin. – Świat nigdy się na to nie zgodzi.

- Świat nie zorientuje się nawet, że coś się zmieniło – odparł Honeycut. – Jesteśmy teraz cierpliwi… i dysponujemy wszelkimi koniecznymi środkami, aby móc wcielić w życie nasz plan. Za kolejne

sześćdziesiąt lat będzie po wszystkim. To nie może się nie udać. Nie ma innego wyjścia.

- I nie będzie wolności – stwierdził Justin.

- Nigdy nie istniała prawdziwa wolność. Każdy jest w ten czy inny sposób kontrolowany i daje mu się dokładnie tyle wolności, żeby był zadowolony. Prawdziwa wolność, totalna wolność jest zbyt groźna, zbyt przerażająca. Gdyby ludzie wiedzieli, jak naprawdę wygląda, nigdy by się na nią nie zgodzili. Wszyscy pójdą za nami. Chęć dostosowania się leży głęboko w ludzkiej naturze.

- Są przecież przywódcy – sprzeciwił się Justin. – Każdy naród, każda grupa ma swojego przywódcę.

- Oni także pójdą za nami – odparł Honeycut. – Dzisiaj też poddają się woli prawa, wyższej władzy… albo jeśli chcesz, woli Boga. Istota religii opiera się na koncepcji istoty wyższej, której woli trzeba się poddać.

- Ty też, Colorosa? Jako nowy Fiihrer będziesz musiał prowadzić innych. Czyjej woli się poddasz? – zapytał Justin.

- Cała przyszłość będzie przebiegać zgodnie z planem. Wszyscy będą go realizować – odparł Honeycut.

- Aż do Narodzin Nowego Człowieka, człowieka Nowego Porządku? – zapytał z palącym sarkazmem Justin.

- Aż do powstania nowej, doskonalszej egzystencji i doskonalszej ludzkiej rasy – odparł Honeycut. – Rasy, której czystość będzie kontrolowana, rasy silnej, szczęśliwej, inteligentnej. Obdarowanej za pośrednictwem wszczepianych przy urodzeniu płytek

całą inteligencją SENTINELA. – W oczach Honeycuta zalśniło podniecenie. – Czy możesz wyobrazić sobie stojące przed nami możliwości? Małe dzieci posiadające w wieku dziesięciu lat wiedzę, która przekracza wszelkie najbardziej zaawansowane poziomy. Będą wnosiły swój wkład na rzecz doskonałego porządku w ciągu stu pięćdziesięciu albo i więcej lat, do których wydłużone zostanie ludzkie życie. To wszystko jest możliwe. Możemy to zrealizować choćby zaraz – powiedział z dziecinnym entuzjazmem.

- Świat marionetek – odparł Justin. – Marionetek poruszanych sznurkami, które będziesz pociągał za pośrednictwem SENTINELA, sznurkami, które będą pociągali wszyscy przyszli Fiihrerzy. Zaprogramowane, pozbawione własnego rozumu i woli kukiełki, które w imię swego aryjskiego posłannictwa podboju będą starały się ujarzmić cały wszechświat.

- Kiedy okaże się to konieczne, będą podbijać. Zaprowadzą idealny porządek i szczęście wszędzie tam, dokąd dotrą, do nowych światów i nowych galaktyk.

- Twój idealny porządek to domek z kart – stwierdził Justin.

- Nie, to nieunikniona rzeczywistość. Nowy Ład już się rodzi. Właśnie tworzymy jego forpoczty. Rozpoczęliśmy masowe wszczepianie płytek. Mają je już tysiące ludzi. Wkrótce będą ich setki tysięcy, potem miliony. Nowy Ład będą budowali twoi prawnukowie. Na pewno zainteresuje cię, że twój syn zostanie któregoś dnia fizykiem nuklearnym – dodał z dziwną satysfakcją w oku Honeycut.

- Mój… mój syn? Michael? – wyjąkał z niedowierzaniem Justin.

- Tak. Michael. Nie zauważyłeś jego wyjątkowych zdolności do matematyki i fizyki?

Justin wpatrywał się twardym wzrokiem w Honeycuta. Czuł, jak wzbiera w nim gniew.

- Nic nie zauważyłeś, prawda? – zapytał Honeycut. – Dlatego, że tak naprawdę nigdy z nim nie rozmawiałeś. Zabierałeś go tylko w różne miejsca, kiedy byliście razem, wypełniałeś po prostu czas. Nie znasz go nawet. Był jednym z pierwszych zaimplantowanych.

Justina ogarnęła wściekła furia. Ośmielili się to zrobić jego synowi…

- Jesteście chorzy – rzucił z wściekłością.

Na twarzy Honeycuta pojawił się lekki uśmiech.Elizabeth z satysfakcją obserwowała Justina. Wiedziała, że jest bezsilny, i ta myśl sprawiała jej prawdziwą rozkosz.

- Trzecia Rzesza miała trwać tysiąc lat – powiedział uśmiechając się Honeycut. – Czwarta Rzesza będzie trwała wiecznie.

- Jesteś chory, ty sukinsynu! Wiesz o tym? Jesteście chorzy oboje! – zawołał Justin.

- Powiedz nam, gdzie jest dziennik – odezwał się Honeycut, ponownie przybierając poważny wyraz twarzy.

- W twoim zasranym tyłku. Otwórz szeroko oczy i sam go poszukaj.

- Gdzie jest dziennik? – powtórzył Honeycut.

- U ludzi, którzy rozwalą ten twój domek z kart, nędzny nazisto! Elizabeth posłała Honeycutowi zaniepokojone spojrzenie.

- Słyszałeś, co powiedział? Podniósł rękę, żeby ją uciszyć.

- Nic nie zdoła nas teraz powstrzymać – powtórzył po raz któryś z rzędu.

- Nie byłbym tego taki pewien – odpalił Justin.

Elizabeth była przygotowana na najgorsze. Pielgrzym najwyraźniej uważał, że jest im w stanie zaszkodzić. A może to był tylko bluff, wynikający z totalnej bezradności i wściekłości, jaka ogarnęła go na wieść o wszczepieniu synowi płytki.

- Pytam po raz ostatni. Potem spróbujemy mniej, przyjemnych metod. Gdzie jest dziennik? – zapytał Honeycut.

- Pocałuj mnie w dupę – odparł Justin, spoglądając w bok. Nie było wątpliwości, że to jego ostateczna odpowiedź.

Honeycut nacisnął jeden z przycisków na konsoli. Drzwi centrum kontrolnego rozsunęły się i do środka weszło dwóch strażników.

- Zabierzcie go z powrotem do jego pokoju – rozkazał chłodno Honeycut.

Justin wstał, podpierając się laską. Odwrócił się do strażników, mierząc ich wzrokiem.

Desperacko oceniał swoje szanse.

Ruszył kuśtykając do wyjścia. Jeden ze strażników eskortował go z przodu, drugi z tyłu. Ręka Justina powędrowała do kieszeni i dotknęła jednej z połówek bezużytecznej, złamanej wcześniej karty. Znajdował się teraz na wysokości drzwi.

Podniósł rękę i szybkim ruchem wypchnął na korytarz pierwszego ze strażników.

Drugiego ze strażników uderzył od tyłu nogą, trafiając w splot słoneczny. Mężczyzna stęknął głucho i runął na podłogę.

W ułamku sekundy Justin wepchnął połówkę karty w otwór przy drzwiach. Natychmiast się zamknęły, reagując automatycznie na pojawienie się w otworze obcego obiektu.

Zanim drugi strażnik zdążył dojść do siebie, w powietrzu świsnęła laska, trafiając go w bok głowy. Justin odebrał mu broń.

Świadomość tego, co się dzieje, całkowicie sparaliżowała Elizabeth. Zagrożenie znowu było realne.

Honeycut sięgnął po leżącego na konsoli mauzera. Gorączkowo usiłował wcisnąć magazynek.

- Nie ruszaj się! – rozległ się rozkaz Justina.

Honeycut zastygł w bezruchu. Wiedział, że ten człowiek na pewno nie bluffuje.

- Odłóż pistolet i odejdź od pulpitu – polecił Justin. – Stańcie tam, obok niego – powiedział do Elizabeth i oszołomionego strażnika, trzymającego się za krwawiącą głowę.

Szybko wykonali polecenie.

Justin rzucił okiem na drzwi. Dobiegało zza nich wściekłe walenie. Wkrótce na korytarzu pojawi się cała służba bezpieczeństwa.

Podszedł do stanowiska dowodzenia i podniósł leżącego na pulpicie mauzera.

Rzucił szybko okiem na magazynek, a potem wsunął go do środka.

Rozszerzone ze strachu oczy Elizabeth przypominały piłeczki baseballowe. Posłała wymowne spojrzenie Honeycutowi. „To twoja wina. Wszystko to twoja wina. Gdybyś mnie posłuchał…" – mówił jej wzrok.

- Chodź no tutaj – rzucił Justin, wskazując w jej stronę. Wykonując jego polecenie, wspięła się powoli na podwyższenie pomiędzy stanowiskiem dowodzenia a stanowiskiem kontroli wewnętrznej. Trzęsły jej się kolana, twarz była mokra od potu. Spełniały się jej najgorsze obawy. Stał przed nią człowiek, który nawiedzał ją w snach. Pielgrzym. Jego pistolet. Jego organ. Ale tym razem przynosił jej śmierć, nie rozkosz.

- Tam – powiedział Justin, wskazując stanowisko kontroli wewnętrznej.

Rzuciła bezradne spojrzenie Honeycutowi.

- On nie może ci teraz pomóc – powiedział Justin. – Szybciej! – syknął.

Stanęła na miękkich nogach przy pulpicie.

- Uruchom system aktywnej obrony na całym korytarzu – polecił stanowczym tonem Justin.

Popatrzyła na niego, stojąc bez ruchu. KRAK! – szczeknął krótko mauzer.

Trafionego kulą w pierś strażnika rzuciło gwałtownie do tyłu. Legł na podłodze niczym kupka łachmanów. Dygotał przez chwilę w agonii, a potem znieruchomiał.

Elizabeth krzyknęła głośno na odgłos wystrzału.

- Uruchom system! – rozkazał Justin, celując do niej z mauzera. Jego lufa znalazła się teraz tuż przed jej twarzą – tak jak we śnie.

Wyciągnęła dłoń i nacisnęła jeden z wielu przycisków w gąszczu przełączników na pulpicie.

Walenie w drzwi umilkło. Zamiast niego rozległy się stłumione okrzyki bólu i jęki. Po kilku sekundach zapadła dzwoniąca w uszach cisza.

Centrum kontrolne było teraz bezpieczne. Nikt nie mógł się do niego zbliżyć.

- Wyjmij klucz – rozkazał Justin.

Okrągłe oczy Elizabeth wpatrywały się w pistolet, który znajdował się tak blisko jej twarzy.

- Ruszaj się, bo inaczej odstrzelę ci głowę – zagroził Justin, dotykając palcem spustu.

Elizabeth sięgnęła do łańcuszka na szyi i wyciągnęła płaski, błyszczący klucz. Trzęsąc się podeszła do stanowiska dowodzenia. Spojrzała błagalnie w stronę Honeycuta, ale on nie spuszczał oczu z Justina.

Uniosła zamontowaną na zawiasach szklaną płytkę i przez chwilę się wahała.

- Włóż klucz! – krzyknął groźnie Justin.

Elizabeth nie mogła opanować drżenia rąk. W końcu udało jej się umieścić klucz w zamku i przekręcić go w prawo. Teraz pozostawało tylko przesunąć wyłącznik.

- Odsuń się – powiedział Justin, wciąż mierząc z pistoletu w jej głowę. – Tam – dodał, wskazując ekran, na którym widniała mapa świata, tuż za stanowiskiem kontroli wewnętrznej.

Elizabeth spełniła polecenie. Stanęła pomiędzy ekranem a konsolą i zaczęła powoli odwracać się w stronę Justina. Koszmar, który prześladował ją we śnie, stał się rzeczywistością. Pistolet wymierzony był prosto w jej twarz. Tak… tak, przeleciało jej przez głowę. Och, Justin… tak. Proszę… proszę, Justin.

KRAK!

Siła strzału odrzuciła jej głowę do tyłu; z dziury w skroni buchnął niczym woda z węża strumień krwi. Wygięła się w łuk i runęła na podłogę. Przypominające czerwoną farbę strugi zachlapały ekran. Potoki krwi stawały się coraz słabsze, a potem przestały płynąć. Elizabeth nie bała się już Pielgrzyma.

Wstrząśnięty Honeycut wytrzeszczał z niedowierzaniem oczy. Cała wybitna inteligencja i geniusz twórczy tej kobiety poszły na marne z powodu jego błędu w ocenie.

- To jest obietnica waszego Nowego Ładu – powiedział Justin, wskazując na wielki ekran, pochlapany krwią, która spływała po kolorowych plamach wyobrażających morza i kontynenty. – To właśnie, a nie brednie, które usiłowałeś mi wcisnąć, stanowi dziedzictwo, które oferujecie światu. Jeśli u władzy będą tacy ludzie

jak ty, zawsze będą istnieć obozy śmierci i niższe rasy, które trzeba zetrzeć z powierzchni ziemi. Za drutami znajdą się wszyscy czarni, okaleczeni i psychicznie chorzy. I Żydzi. Żydzi i wszyscy inni, którzy nie pasują do wyznaczonego przez was wzorca doskonałości. Nie różnicie się wcale od tych, którym nie udało się za pierwszym razem. Cała wasza filozofia jest spaczona i zbrodnicza. I zawsze będzie. Niezależnie od tego, jak dobry plan wymyślicie, zawsze spotkacie się z oporem. Zawsze będą ludzie tacy jak ja, którzy popsują wam szyki. Potrzebny jest tylko jeden człowiek, żeby to się zaczęło. Jeden człowiek, który uświadomi innym, co się dzieje. I zawsze znajdzie się ten jeden człowiek, Colorosa. Zawsze.

Mauzer szczeknął ponownie. Kula trafiła Honeycuta w głowę i obaliła go na podłogę.

- Fuhrerowie także umierają jak ludzie – stwierdził Justin. Podszedł do pulpitu i przesunął przełącznik na pozycję wyłączającą cały układ. Zagrożenie przestało istnieć.

Stojąc na miękkich nogach wpatrywał się spocony w pulpit. W głowie huczały mu myśli o Michaelu… i o Barbarze.

A potem usłyszał cichy, łagodny śmiech.

Trzymając w dłoni gotowego do strzału mauzera obrócił się na pięcie, omiatając wzrokiem drzwi i trzy leżące na podłodze ciała. Śmiech stawał się coraz głośniejszy.

- Naprawdę myślałeś, że to będzie takie łatwe, Pielgrzym? – odezwał się znajomy głos.

To był SENTINEL!

- Tak, Pielgrzym, zawsze znajdzie się jeden niepokorny: jak ty i być może kilku innych. Ale zawsze będzie ich zbyt mało i okażą się żałośnie nieskuteczni. Zostaną wytropieni, odnalezieni i po cichu usunięci. Świat w ogóle się o nich nie dowie – oznajmił głos.

Justin starał się opanować nagły szok. Stał w milczeniu, próbując zebrać myśli. Nagle wszystko stało się dla niego jasne.

- To nie miał być nigdy Honeycut, prawda? – zapytał, utkwiwszy oczy w błyszczącym, jasnobłękitnym ekranie zawieszonego pośrodku sufitu monitora. – On nigdy nie miał zostać Fiihrerem. Miałeś nim zostać ty.

- Tak – odparł cichy głos.

Justin spojrzał na pulpit kontroli wewnętrznej, a potem podbiegł doń i zaczął szybko wciskać kolejne przyciski.

- Nie! Nie rób tego! – odezwał się z naciskiem głos.

- Będziesz musiał realizować to wszystko w pojedynkę – krzyczał Justin, waląc w guziki, które rozjarzały się czerwonym światłem.

- Zatrzymaj się! – rozkazał głos.

- To ty mnie zatrzymaj, jeśli potrafisz – krzyknął Justin. Wiedział, że w centrum operacyjnym nie ma systemu aktywnej obrony.

Pomieszczenie wypełnił nagle rozdzierający bębenki świst, który stawał się coraz donośniejszy i wyższy.

Świdrujący ból o mało nie zwalił Justina z nóg.

Zasłonił lewe ucho dłonią, nie przestając jak w transie naciskać przycisków, uruchamiających systemy aktywnej obrony na terenie całego kompleksu.

Nacisnął ostatni guzik. Cały pulpit rozjarzył się czerwonym światłem.

Świst osłabł i umilkł.

Fakt, że Justin był głuchy na jedno ucho, uratował mu być może życie. Dysząc ciężko i wciąż czując ból w głowie, wpatrywał się z nienawiścią w błękitny ekran.

- Jesteś kompletnym głupcem, Pielgrzym. Niczego w ten sposób nie osiągnąłeś – oznajmił głos.

- Może nie, ale ciebie z pewnością cholernie dużo to kosztowało – odparł Justin.

- Niewiele – stwierdził głos.

- Tyle właśnie znaczą dla ciebie twoi ludzie? Niewiele? – zapytał Justin.

- Ja stanowię jedyną rację ich egzystencji – oświadczył głos. – Ja i plan.

- Będziesz musiał się bardziej starać – powiedział Justin. – Realizacja twoich dążeń wymaga dużo serca i miłości. Miał ją Hitler. Kochał swój naród, być może nawet zbyt gorąco. A naród tak samo gorąco kochał jego. Będziesz musiał się bardziej starać.

- Staram się – odparł głos. – Kiedy tego potrzebowałeś, pozwoliłem ci słuchać dzwoneczków.

- Dzwoneczki? Kto czerpał z tego większą korzyść? Ja czy ty? – zapytał Justin. – Czy to właśnie zamierzasz dać światu? Ukołysać ludzi do snu, wymóc posłuch poprzez fałszywe poczucie bezpieczeństwa?

- Słyszałeś je, ponieważ dbałem o ciebie. Bo ich potrzebowałeś – upierał się głos. – Ja dbam o ludzi, Pielgrzym.

- Właśnie miałem okazję to poznać – odparł zgryźliwie Justin. – Bardzo obszedł cię los pracowników tego kompleksu… ludzi, którzy pomogli cię zbudować, którzy pracowali tutaj, żeby cię udoskonalić.

- Zawsze będą się zdarzać różne wypadki – stwierdził głos. – Nie mogę im wszystkim zapobiec. To nie ja zresztą uruchomiłem system aktywnej obrony. Ty to zrobiłeś. I nic tym nie osiągnąłeś.

Nigdy się stąd nie wydostaniesz. Nie możesz mi już więcej zaszkodzić. Pozostałe pulpity znajdują się teraz pod moją pełną kontrolą.

- Nie muszę wychodzić z tej Sali, żeby ci zaszkodzić – odparł Justin. – Zatroszczyłem się o to już wcześniej.

- Co mogłeś takiego zrobić? – zapytał głos. – Jesteś sam jak palec.

- Tak, jestem sam. Na razie udało mi się dokonać tego – powiedział Justin, zataczając łuk ręką. – Ale dlaczego nie miałbyś rozważyć różnych innych możliwości? Wszystkich możliwości – zakpił, całkowicie odzyskawszy zimną krew. Najlepszą obroną mógł okazać się atak.

Zapadło milczenie.

- Możesz odejść – oznajmił po chwili głos.

Justin zmrużył ostrożnie oczy i potarł kilkudniowy zarost.

- To trochę więcej, niż się spodziewałem – powiedział. – Dlaczego?

- Mam swoje powody – odparł głos.

- Jasne, że masz – zgodził się Justin.

Wiedział, że SENTINEL łudzi się, iż wypuszczając go na wolność odkryje, co się stało z dziennikiem i pozostałymi dokumentami.

Wiedział też, że podjęte przez niego zabezpieczenia są do tego stopnia nietypowe, że nie rozpracuje ich nawet SENTINEL.

- Możesz odejść po uprzednim wyłączeniu wszystkich systemów aktywnej obrony – powiedział głos.

- Dlaczego? – powtórzył Justin.

- Powiedzmy – odparł po krótkim milczeniu głos – że jestem ci to winien za wszystko, co zrobiłeś dla ocalenia programu podczas afery z Centaurem. W ramach rekompensaty poniesionych przez ciebie wówczas strat. Obaj zapłaciliśmy wysoką cenę. Spłacam dług, jaki u ciebie zaciągnąłem – wyjaśnił cicho.

- Popełniasz błąd – powiedział Justin. – Będąc na twoim miejscu, nigdy nie dałbym ci takiej szansy.

- Wiem o tym. Ponieważ to ty, a nie ja, jesteś tym, który o nic się nie troszczy, który nic nie czuje. Sam ocenię, czy wypuszczenie cię stąd jest błędem, czy przyniesie mi korzyść. To ryzyko, które chcę podjąć. Mam swoje powody.

- A więc pozwolisz mi teraz stąd wyjść? Bez żadnych sztuczek? – zapytał Justin.

- Żadnych sztuczek, masz na to moje słowo.

- Jeśli jest cokolwiek warte.

- Zapewniam cię, że warte jest bardzo dużo – stwierdził głos. – Możesz odejść.

- Przyjmuję twoją ofertę – oznajmił Justin i zaczął wyłączać systemy aktywnej obrony.Niezależnie od tego, jakimi powodami kierował się SENTINEL, zaoferowano mu szansę. A każda szansa warta była wykorzystania, jeśli oznaczała pozostanie przy życiu. Jak długo żył, tak długo będzie istniał opór przeciwko dziedzictwu Operacji Raptor. Tak długo, jak długo istnieć będzie opór, pozostanie nadzieja.

- Wszystkie systemy aktywnej obrony wyłączone.

- Możesz odejść – powiedział głos.

Justin podszedł do drzwi i wyjął złamaną kartę z otworu. Drzwi natychmiast się rozsunęły, odsłaniając leżące w mrocznym korytarzu trupy strażników.

Uprzytomnił sobie, że jest jedyną osobą, która ocalała w całej Sigmie. Wszyscy byli zabici. Cała Sigma była martwa.

- Trzymaj się, Pielgrzym… tak długo, jak potrafisz – odezwał się głos.

- Taki mam zamiar – odparł.

Wyszedł na korytarz i odwrócił się w stronę błękitnego monitora.

- To się nigdy nie uda, SENTINEL. Nigdy! Ludzie nigdy nie pokochają cię tak, jak kochali Hitlera. On był człowiekiem – powiedział.

- Uda się, Pielgrzym – zaprotestował głos.

- Zawsze znajdzie się jeden człowiek, który ci nie ulegnie – stwierdził Justin.

SENTINEL milczał.

- Niezależnie od tego, jak wielki i potężny się staniesz, ludzie nigdy nie przestaną się sprzeciwiać. Taka jest ludzka natura.

- Sprzeciwiać się? – zapytał SENTINEL. – Do rewolucji dochodzi tylko wtedy, kiedy istnieją ziarna niezadowolenia. A w przyszłości nie będzie żadnego nieza…

- Nie mówię o rewolucji – przerwał mu Justin. – Mówię o wieży Babel. Ludzie zawsze będą dążyli do zbudowania kolejnej wieży Babel. Będą przynajmniej próbowali. I podobnie jak to się stało w twoim przypadku, w końcu im się uda. A wtedy zapomną o tobie.

Odwrócił się i zaczął się oddalać.

- To się uda, Pielgrzym – zawołał za nim głos. – A ludzie… ludzie mnie pokochają.

Drzwi zamknęły się i Justin ruszył szybko w głąb Sigmy, zanurzając się w mrok. Ciemność była jego żywiołem. Obfitowała w zagrożenia, ale dla człowieka, który był z nimi zżyty, oznaczała również poczucie bezpieczeństwa.

Epilog

Do Bożego Narodzenia zostało dwa dni, ale dla niego czas zatrzymał się w miejscu, odkąd przed ponad tygodniem znalazł w skrzynce pocztowej dwie brązowe koperty.

Otworzył je z ciekawością. Jako pisarz otrzymywał często od przyjaciół, znajomych, a nawet całkiem obcych ludzi listy, które w ich mniemaniu mogły posłużyć za materiał do kolejnego bestsellera. Ciekawość przerodziła się jednak rychło w najwyższe zainteresowanie, kiedy przeczytał notatkę, zawartą w kopercie, którą miał otworzyć pierwszą. Podpisana była nazwiskiem przyjaciela, w którego pogrzebie niedawno uczestniczył. Wziął do ręki krótki list.

Andre, wiem, co sobie pomyślisz, kiedy zaczniesz czytać te słowa. Ale zapewniam Cię, że nie są to żadne wygłupy. To wszystko szczera prawda. To, co widzimy, nie zawsze jest tym, na co wygląda. Powiedział mi to kiedyś przyjaciel, ale puściłem jego słowa mimo uszu. Jak bardzo utrafił w sedno!

Tak czy owak, zwracam się do Ciebie o pomoc, ponieważ jesteś jedyną osobą na świecie, która, wierzę w to, zrobi właściwy użytek z informacji zawartych w tych kopertach. Zrozumiesz, co mam na myśli, kiedy przeczytasz wszystkie materiały, które Ci przesłałem. Musisz mi uwierzyć, Andre, kiedy zapewniam Cię, że to najprawdziwsza prawda. Znaczenie tego wszystkiego jest oczywiste. Jesteś jedyną osobą, która będzie mogła coś w tej sprawie zrobić. Będziesz wiedział, co trzeba uczynić. Powodzenia.

Justin Chaple

Wypuścił z dłoni list. Jego oczy pobiegły ku leżącym na biurku papierom. Dziennik, ręcznie spisana kronika ostatnich dziesięciu miesięcy i dwudziesta piąta strona.

Podniósł wzrok, spoglądając na opakowane w świąteczny papier pudełko, w którym mieściła się teraz cała dokumentacja: dwadzieścia cztery kopie schematów, które doktor Edward Bridges odbił w bibliotece tego samego dnia, kiedy ukradł je z Alphy. Justin odnalazł je razem z dwudziestym piątym arkuszem podczas rewizji, którą przeprowadził w apartamencie Bridgesa.

Na jego barkach spoczywała teraz cała przyszłość rodzaju ludzkiego. Czuł, że ten ciężar przytłacza go do ziemi.

To nie było fair. Dlaczego akurat on? Dlaczego on musiał podjąć tę straszliwą decyzję? Dlaczego nie mógł tego zrobić ktoś inny?

Stały przed nim dwie możliwości. Pierwsza wydawała się całkiem łatwa. Niczego po prostu nie zrobi. Będzie prowadził życie niewiele różniące się od poprzedniego – przez jakiś czas. Ale jak będzie wyglądało życie jego dzieci? W jakim świecie przyjdzie im żyć dlatego, że zaniechał działania?

Druga możliwość była prawie nie do pomyślenia. Ale tak naprawdę cóż innego mu pozostało? Jedyna szansa, jaką miał jeszcze świat, leżała w równowadze sił.

Pokój zawirował mu nad głową. Nie mógł opanować drżenia rąk i całego ciała; wnętrzności paliły go, jakby zżerała je jakaś wolno

działająca trucizna. Ale jego umysłu nie dręczyła już niepewność – możliwa była tylko jedna decyzja.

Wstał z krzesła i włożył płaszcz, po czym wziął do ręki opakowane w świąteczny papier pudełko i wyszedł z mieszkania, żeby zrobić to, co musiał zrobić, żeby spełnić swoją judaszową misję.

*

Kiedy wrócił do domu, na dworze zapadł już wczesny zimowy zmierzch. Mrok stanowił dobrą oprawę dla ponurego czynu, którego właśnie dokonał.

Nigdy przedtem nie był w sowieckiej ambasadzie. Nie różniła się specjalnie od innych urzędów. Ludzie byli przyjaźni i grzeczni. Pozostanie dla nich na zawsze człowiekiem bez nazwiska. Tak było lepiej. Anonimowość zapewniała mu ochronę.

Podszedł z powrotem do biurka i zaczął zastanawiać się nad drugą częścią swojego planu.

„Dopóki żyje choć jeden człowiek, który wie, dopóty trwać będzie opór. Ten jeden człowiek stanowi jego zalążek. Ludzi można zawsze uświadomić i oddać w ich ręce decyzję. To jest ich broń. Opór stanowi ich metodę i jedyną nadzieję”. Te słowa pochodziły ze spisanej przez Justina relacji.

A teraz tym jedynym człowiekiem miał się stać on. Tym jedynym człowiekiem, którego zadaniem jest uświadomienie ludzi.

Wkręcił do maszyny czysty arkusz papieru, napełnił tytoniem fajkę i zapalił ją. Potem zaczął pisać.

Prolog

Deszcz przestał padać; samotną, skrytą w mroku postać mężczyzny otulało chłodne i ciężkie od wilgoci nocne powietrze. Bystre, bezwzględne oczy omiatały pustą ulicę. Mężczyzna wiedział, że wkrótce powinien się pojawić kurier. Od mokrych ścian domów i płyt chodnika odbijało się miękkie światło starych latarni; była typowa angielska marcowa pogoda.

Dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym znajdował się mężczyzna, od ulicy odchodziła...